

**Numer 1 na liście bestsellerów New York Timesa**



**JIM  
BUTCHER**

**AKTA DRESDENA**

**OPOWIEŚĆ O DUCHACH**

*Magia.  
Potrafi zabić.*



# **JIM BUTCHER**

**AKTA DRESDENA**

## **OPOWIEŚĆ O DUCHACH**

**PRZEŁOŻYŁA ANNA STUDNIAREK**

**WYDAWNICTWO MAG  
WARSZAWA 2019**

## **Spis treści**

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Podziękowania

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Rozdział dwunasty

Rozdział trzynasty

Rozdział czternasty

Rozdział piętnasty

Rozdział szesnasty

Rozdział siedemnasty

Rozdział osiemnasty

Rozdział dziewiętnasty

Rozdział dwudziesty

Rozdział dwudziesty pierwszy

Rozdział dwudziesty drugi  
Rozdział dwudziesty trzeci  
Rozdział dwudziesty czwarty  
Rozdział dwudziesty piąty  
Rozdział dwudziesty szósty  
Rozdział dwudziesty siódmy  
Rozdział dwudziesty ósmy  
Rozdział dwudziesty dziewiąty  
Rozdział trzydziesty  
Rozdział trzydziesty pierwszy  
Rozdział trzydziesty drugi  
Rozdział trzydziesty trzeci  
Rozdział trzydziesty czwarty  
Rozdział trzydziesty piąty  
Rozdział trzydziesty szósty  
Rozdział trzydziesty siódmy  
Rozdział trzydziesty ósmy  
Rozdział trzydziesty dziewiąty  
Rozdział czterdziesty  
Rozdział czterdziesty pierwszy  
Rozdział czterdziesty drugi  
Rozdział czterdziesty trzeci  
Rozdział czterdziesty czwarty  
Rozdział czterdziesty piąty  
Rozdział czterdziesty szósty

Rozdział czterdziesty siódmy

Rozdział czterdziesty ósmy

Rozdział czterdziesty dziewiąty

Rozdział pięćdziesiąty

Rozdział pięćdziesiąty pierwszy

Od autora

Tytuł oryginału:  
*The Dresden Files – Book Thirteen. Ghost Story*

Copyright © 2012 by Jim Butcher

Copyright for the Polish translation  
© 2019 by Wydawnictwo MAG

Redakcja:  
Joanna Figlewska

Korekta:  
Urszula Okrzeja

Ilustracja na okładce:  
Chris McGarth

Opracowanie graficzne okładki:  
Piotr Chyliński

Projekt typograficzny, skład i łamanie:  
Tomek Laisar Fruń

ISBN 978-83-66409-73-6

Wydanie II

Wydawca:  
Wydawnictwo MAG  
ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa  
tel./fax 228 134 743  
www.mag.com.pl

Wyłączny dystrybutor:  
Dressler Dublin sp. z o. o.  
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.  
tel. 22 733 50 10  
www.dressler.com.pl

Skład wersji elektronicznej  
pan@drewnianyrower.com

*Air,  
za przedstawienie mnie Mab  
w świetle o barwie cebuli.*

# Podziękowania

Jak zawsze zbyt wielu ludzi zasługuje na podziękowania, na które mam zbyt mało miejsca. Tym razem pragnę szczególnie podziękować redaktorce Anne za znoszenie moich opóźnień w pisaniu. Jestem pewien, że wiele razy przyprawilem o ból głowy i ją, i innych ludzi próbujących ustalić plan wydawniczy w wydawnictwie Penguin. Bez pomocy mojej agentki Jenn nie udałooby się tego wszystkiego wyprostować, pomogła mi również w trudniejszych momentach, za co jestem jej wdzięczny. Wszystkich was przeprosiłbym na kolanach, gdybym był pewien, że to się już nigdy nie powtórzy. Inaczej byłoby to trochę nieszczerze, więc podziękuję wam jedynie za waszą cierpliwość i wyrozumiałość.

Mieszkańcy Wariatkowa Beta zasługują na jeszcze większe podziękowania niż zazwyczaj, szczególnie wszyscy, którzy poświęcili tak dużo czasu i skupienia w ostatnich kilku tygodniach przed terminem wprowadzenia poprawek. Wasze informacje zwrotne, wsparcie i rady były szczególnie cenne.

Moi drodzy patroni, czytelnicy – mogę jedynie podziękować wam za cierpliwość po tym, jak zakończyłem ostatnią powieść w taki sposób, a później kazałem wszystkim czekać trzy miesiące dłużej niż zwykle, upewniając się, że ta książka jest gotowa do wydania. Bawcie się dobrze! (I, formalnie rzecz biorąc, *Zmiany* nie skończyły się cliffhangerem. Naprawdę).

Dziękuję również Shannon, która musiała żyć ze mną w tym okresie szaleństwa bardziej gorączkowego niż zwykle – jestem całkiem pewien, że w przewidywalnej przyszłości wrócę do zdrowych zmysłów. Spróbuję Ci to wynagrodzić.



# Rozdział pierwszy

Życie jest trudne.

Umieranie jest łatwe.

Tak wiele rzeczy musi się złożyć, by powstało życie. Musi dojść do tego w miejscu, które umożliwia jego rozwój, co z perspektywy wszechświata jest równie rzadkie, jak śnieg na pustyni. Żeby się rozpoczęło, muszą spotkać się jego rodzice, w takiej czy innej postaci. W okresie od poczęcia do narodzin może je zakończyć wiele różnych zagrożeń. Nie wspominając już o trosce i wysiłku niezbędnych, by dbać o nowe życie do czasu, gdy będzie dość duże, by poradzić sobie samodzielnie.

Życie jest pełne trudu, poświęcenia i bólu, a w chwili gdy przestajemy rosnąć, wiemy, że zaczęliśmy umierać. Przyglądamy się bezradnie, jak rok po roku nasze ciała starzeją się i zawodzą, choć instynkt przetrwania każe nam działać dalej – co oznacza życie z przerażającą świadomością, że, tak czy inaczej, śmierć jest nieunikniona. Stworzenie i podtrzymanie życia wymaga ogromnych wysiłków, a proces ten jest pełen pułapek i niespodziewanych komplikacji.

W porównaniu z tym zakończenie życia jest proste. A nawet łatwe. Wymaga względnie niewielkiego wysiłku, pojedynczego mikroba, ostrza, dużego ciężaru... albo kilku gramów ołowiu.

Tak trudno je stworzyć. Tak łatwo zniszczyć.

Można by sądzić, że życie będzie miało dla nas większą wartość.

Umarłem w wodzie.

Nie wiem, czy zabił mnie upływ krwi z rany postrzałowej, czy utonąłem. Choć śmierć jest największą grozą ludzkiego doświadczenia, po jej zakończeniu szczegóły przestają się liczyć. Już nie jest przerażająca. Słyszeliście o tym tunelu ze światełkiem na końcu, o którym wspominają ludzie, którzy otarli się o śmierć? Mam to za sobą.

Oczywiście nigdy nie słyszałem, żeby ktoś pędzący w stronę światełka usłyszał niespodziewanie przeraźliwy gwizd lokomotywy.

Nagle jak przez mgłę uświadomiłem sobie, że czuję swoje stopy i że stoję na czymś przypominającym tory. Wiedziałem, czym są, bo zbliżający się pociąg sprawiał, że drżały pod moimi podszewkami. Serce zabiło mi szybciej.

Na litość, czy nie mówiłem przed chwilą, że śmierć już nie jest przerażająca? Powiedźcie to moim gruczołom dokrewnym.

Oparłem dłonie na biodrach i z niesmakiem wpatrywałem się w nadjeżdżający pociąg. Miałem za sobą długi dzień, podczas którego walczyłem z siłami zła, całkowicie zniszczyłem Czerwony Dwór, uratowałem córkę i zamordowałem jej matkę – aha, i po drodze zostałem śmiertelnie postrzelony. Tego typu rzeczy.

Miałem zaznać spokoju, stać się jednością ze świętą światłością albo ustawić się w kolejce do następnej przejażdżki kolejką górską – a może płonąć w piecu wyposażonym w stereo, które odtwarzało wyłącznie Barry'ego Manilowa. Tak się dzieje, kiedy człowiek umiera, prawda? Czeka go nagroda. Poznaje odpowiedź na Wielkie Pytania życia.

– Nie zostaje się przejechanym przez pociąg – powiedziałem z irytacją.

Założyłem ręce na piersi, mocno stanąłem na nogach i wojowniczo uniosłem brodę, kiedy pociąg z dudnieniem zbliżał się w moją stronę.

– Co z tobą?! – ryknął jakiś mężczyzna, a później wokół mojego prawego ramienia zacisnęła się ciężka, silna ręka, która siłą ściągnęła mnie z torów. – Nie widzisz tego przeklętego pociągu?

Wspomniany pociąg zaryczał jak żywa istota, wściekła bestia, która wyla i zawodziła z rozczarowaniem, kiedy zostałem zabrany jej z drogi. Podmuchi szarpał mnie jak ostre, gorące palce i nawet pociągnął mnie kilka centymetrów w stronę skraju peronu.

Minęła cała subiektywna wieczność, zanim przejechał, a ja jeszcze przez chwilę leżałem na ziemi, dysząc ciężko, moje serce zaś pędziło na złamanie karku. Kiedy w końcu zaczęło zwalniać, rozejrzałem się dookoła.

Leżałem rozciągnięty na czystym, ale podniszczonym betonowym peronie i nagle uświadomiłem sobie, że nad moją głową świecą jarzeniówki, jak na wielu stacjach kolejowych w okolicach Chicago. Rozejrzałem się po peronie, ale choć wydawał się znajomy, nie umiałem go do końca umiejscowić. Nie było innych pasażerów. Żadnych ulotek ani reklam. Tylko pusty, czysty, pozbawiony cech szczególnych budynek.

I para starannie wypastowanych eleganckich półbutów.

Przeniosłem wzrok w górę, po tanich spodniach i taniej marynarce, i ujrzałem mężczyznę koło trzydziestki, który z kolei patrzył na mnie. Był niski, ale masywny, i robił wrażenie, że gdyby zderzył się z samochodem, wgniótłby zderzak. Oczy miał ciemne i błyszczące, co sugerowało bystrą inteligencję, a linię włosów cofniętą dość daleko od miejsca, gdzie musiała znajdować się na początku. I choć nie nazwałbym

go przystojnym, jego twarz wzbudzała zaufanie.

– Pociągi w kierunku południowym ostatnio jeżdżą dosyć szybko. – Patrzył na mnie z góry. – Pomyślałem, że raczej nie chciałbyś się z nim spiknąć, tajemniczy przybyszu.

Gapiłem się na niego. W głowie dodałem dwadzieścia lat i dwadzieścia kilo do mężczyzny, który stał przede mną, odjąłem jeszcze więcej włosów i uświadomiłem sobie, że go znam.

– C... – wykrztusiłem. – C-c-c...

– Powiedz to razem ze mną – polecił i wypowiedział bardzo starannie: – Carmichael.

– Ale ty jesteś... no wiesz. Martwy.

Prychnął.

– A niech mnie. Jest z nami teraz prawdziwy detektyw. Możemy wykorzystać niesamowity magiczny intelekt tajemniczego przybysza we własnej osobie. – Uśmiechnął się szeroko i wyciągnął do mnie rękę. – I kto to mówi, Dresdenie.

Wciąż oszołomiony, złapałem za rękę sierżanta Rona Carmichaela, niegdyś z Wydziału Dochodzeń Specjalnych chicagowskiej policji. Był partnerem Murphy. I oddał życie, żeby ocalić ją przed rozszalałym loup-garou. To było... Na wszystkie dzwony piekieł, ponad dziesięć lat temu. Widziałem, jak umierał.

Kiedy już wstałem, przez chwilę patrzyłem na niego z góry, potrząsając głową. Byłem od niego dużo wyższy.

– Ty... Wyglądasz świetnie.

– Zabawne, jak śmierć wpływa na człowieka. – Teatralnie otworzył szerzej oczy. – A ja męczyłem się ze Strażnikami Wagi i całym tym szajsem. – Popatrzył na zegarek. – To wszystko jest bardzo miłe, ale lepiej ruszajmy.

– Uch – odezwałem się ostrożnie – dokąd właściwie mamy ruszać?

Carmichael wsunął do ust wykałaczkę i powiedział ze swoim charakterystycznym akcentem:

– Do biura. Chodź.

Wyszedłem za nim ze stacji, a tam czekał na nas stary złoty mustang. Carmichael obszedł go, otworzył drzwi kierowcy i wsiadł. Było ciemno. Padało. Latarnie uliczne świeciły, ale okolica wydawała się opustoszała. Wciąż nie umiałem powiedzieć, gdzie dokładnie w Chicago się znajdowaliśmy, co było cholernie dziwne – znam swoje miasto. Wahalem się przez chwilę, po czym rozejrzałem dookoła, próbując określić swoją lokalizację na podstawie charakterystycznych budynków.

Carmichael otworzył drzwi.

– Nie zadawaj sobie trudu, chłopcze. Tu są wszystkie budynki, które mogły powstać, jak również te, które istnieją. Jeśli zaczniesz się nad tym zastanawiać, tylko rozboli cię głowa.

Wsiadając do starego mustanga, rozejrzałem się raz jeszcze. Zamknąłem drzwi. Carmichael wyjechał powoli na puste ulice.

– To nie jest Chicago.

– Geniusz z ciebie – odparł przyjaźnie.

– W takim razie... gdzie jesteśmy?

– Pomiędzy.

– Pomiędzy czym?

– Pomiędzy czym? Pomiędzy kim. Pomiędzy gdzie. Pomiędzy kiedy.

Zmarszczyłem czoło.

– Zapomniałeś o „dlaczego”.

Pokręcił głową i wyszczerzył zęby.

– Wcale nie, chłopcze. Bardzo tu lubimy „dlaczego”. Jesteśmy wielkimi fanami „dlaczego”.

Przez chwilę rozważałem to ze zmarszczonym czołem, po czym spytałem:

– Dlaczego tu jestem?

– Nie słyszałeś o grze wstępnej, co? Od razu przechodzisz do rzeczy.

– Dlaczego jestem tutaj, a nie, no wiesz, gdziekolwiek powinienem się znajdować?

– Może właśnie znalazłeś się na skraju śmierci. Może toniesz, a to iluzja, którą stworzył dla ciebie twój umysł, by ukryć przed tobą prawdę o śmierci.

– Bycie tutaj? Z tobą? Spotkałem się ze swoją podświadomością i on nie jest aż tak pokręcony.

Carmichael się roześmiał, co brzmiało ciepło i szczerze.

– Ale to właśnie mogłoby się dziać w tej chwili. I o to chodzi.

– Nie rozumiem. Zupełnie.

– I o to też chodzi.

Spiorunowałem go wzrokiem.

Nie przestając się uśmiechać, powiedział:

– Chłopcze, wolno ci zobaczyć tyle, ile jesteś w stanie znieść. Na razie jesteśmy w miejscu, które bardzo przypomina Chicago, jedziemy w deszczu moim starym mustangiem, bo takie są twoje ograniczenia. Coś więcej – przez chwilę zastanawiał się nad doborem słów – zredukowałoby pewne możliwości, a tego żeśmy nigdy nie

lubili.

Przez chwilę się nad tym zastanawiałem.

– Właśnie użyłeś w jednym zdaniu „zredukowałoby” i „żeśmy”.

– Kupiłem jeden z tych kalendarzy „słowo na każdy dzień roku”. Nie bądź konfliktogenny.

– Chyba sobie żartujesz. – Usadawiłem się wygodniej. – Konfliktogenność to moja natura.

Carmichael prychnął i zmrużył oczy.

– No tak. Zobaczymy.

## Rozdział drugi

Carmichael zatrzymał mustanga przed budynkiem, który przypominał mi stare odcinki *Obławy*. Zaparkował na pustej ulicy i razem ruszyliśmy w stronę wejścia.

– To dokąd idziemy?

– Mówiłem ci. Do biura.

Zmarszczyłem czoło.

– Nie mógłbym liczyć na więcej szczegółów?

Zmrużył oczy i rozejrzał się dookoła.

– Nie tutaj. Nie jesteśmy w bezpiecznej okolicy. Ściany mają uszy.

Zatrzymałem się na całkowicie pustym chodniku i rozejrzałem po nieruchomej, opustoszałej ulicy. Widziałem jedynie samotne latarnie, światła uliczne i okna pozbawione zarówno światła, jak i zasłon, bardziej obojętne niż puste oczy trupa.

– Jasne. Mamy tu prawdziwe gniazdo intryg.

Carmichael zatrzymał się przy drzwiach i obejrzał przez ramię. Przez kilka sekund nic nie mówił, po czym odezwał się cicho, bez śladu afektacji w głosie:

– Tam są Istoty, Dresdenie. A niektóre z tych Istot są gorsze od śmierci. Lepiej, żebyś wszedł do środka.

Przewróciłem oczami. Ale...

Coś w pustce wokół mnie nagle zaczęło mi wyjątkowo działać na nerwy.

Wcisnąłem ręce do kieszeni i spróbowałem wkroczyć swobodnym krokiem do środka. Pragnienie, by między mną a pustką znalazła się solidna ściana budynku, mogło nieco podkopać moje wysiłki. Carmichael wyjął klucz, otworzył drzwi i wpuścił mnie do środka, a sam przeszedł za mnie i wpatrywał się w ulicę do chwili, aż znów zamknął drzwi na klucz.

Skinął strażnikowi, gliniarzowi w mundurze galowym, który stał tuż obok windy, w pozycji „spoczni”, ale całkowicie wyprostowany, z rękami założonymi za plecami. Mundur strażnika był dosłownie idealny. Idealnie czysty, idealnie wyprasowany, z idealnie białymi rękawiczkami. Z błyszczącej czarnej kabury na biodrze wystawał zdobiony srebrem, grawerowany rewolwer. Rysy twarzy mężczyzny pasowały do munduru – absolutnie symetryczne, mocne, spokojne.



Zatrzymałem się na chwilę, popatrzyłem na strażnika ze zmarszczonym czołem i sięgnąłem po Wejrzenie.

Zawodowi magowie tacy jak ja mają dostęp do różnych dziwnych rzeczy. Jedną z najdziwniejszych jest Wejrzenie, które w różnych epokach opisywano jako drugi wzrok, trzecie oko, złe oko i mnóstwo innych. Pozwala magowi dostrzec prawdziwą naturę rzeczy, które go otaczają, dostrzec otaczający go niewidzialny świat energii i mocy. To niebezpieczne. Kiedy zobaczy się coś poprzez Wejrzenie, nie da się już tego zapomnieć, a wspomnienie nie blaknie wraz z upływem czasu. Jeśli spojrzy się na coś niewłaściwego, można się pożegnać ze zdrowymi zmysłami.

Jednakże cała ta scena za bardzo przypominała mi *Strefę mroku* i musiałem znaleźć coś, co mógłbym rozpoznać, coś znajomego, coś, czym nie karmił mnie człowiek wyglądający jak młodszy, chudszy Carmichael. Postanowiłem zidentyfikować jeden przedmiot, który z największym prawdopodobieństwem mógłby mi powiedzieć coś o otaczających mnie ludziach – źródło mocy.

Skupiłem się na broni strażnika.

Przez chwilę nie działo się zupełnie nic. A później czerń i srebro błyszczącej broni zmieniły się, przeobraziły. Kabura wydłużyła się, opadając wzdłuż nogi strażnika, wykładana macicą perłową rękojeść również się przekształciła, wyprostowała. Srebrna lufa i magazynek stały się głowicą, jelcem i rękojeścią prostego miecza. Z broni wydobywał się blask – nie odbijała światła korytarza, ale sama nim emanowała.

Strażnik natychmiast przeniósł na mnie spojrzenie swoich niebieskich oczu. Uniósł dłonie i powiedział łagodnie:

– Nie.

Moje Wejrzenie zniknęło, jakby ktoś zatrzaskał mi drzwi przed nosem, i broń była znów zwyczajnym rewolwerem.

Strażnik skinął mi głową.

– Przepraszam za gwałtowność. Mógłby pan zrobić sobie krzywdę.

Spojrzałem. Na jego identyfikatorze widniało jedno słowo – AMITIEL.

– Jasne – powiedziałem cicho, unosząc puste dłonie. – Żaden problem. Nie mam z tym żadnego problemu, stary.

Carmichael skinął z szacunkiem strażnikowi i wcisnął przycisk, żeby przywołać windę. Drzwi natychmiast się otworzyły.

– Chodź, tajemniczy przybyszu. Czas ucieka.

Wydawało się, że słowa te rozbawiły funkcjonariusza Amitiela. Z uśmiechem

uniósł dwa palce do czapki, od niechcienia salutując Carmichaelowi. A następnie znów przyjął rozluźnioną postawę strażnika, spokojnie wpatrując się w pustkę, która wzbudziła we mnie taki niepokój.

Drzwi windy się zamknęły, a kabina trzeszczała przez chwilę, zanim ruszyła.

– Teraz, kiedy między nami a tym czyś, co cię niepokoi, stoi co najmniej jeden anioł stróż, czy mógłbyś mi powiedzieć, dokąd idziemy?

Carmichael zmrużył oczy i chrząknął.

– Ja tu jestem przewodnikiem, Dresdenie. Musisz porozmawiać z kapitanem.

\* \* \*

Carmichael przeprowadził mnie przez komisariat, jedno z tych dużych pomieszczeń, w których biurka stały obok siebie, nie w boksach. Bardzo przypominało centralę Dochodzeń Specjalnych w Chicago. Przy biurkach siedziało kilkanaścioro mężczyzn i kobiet, przeglądali akta, rozmawiali przez telefony i w ogóle wyglądali jak gliny przy pracy. Wszyscy robili wrażenie rówieśników Carmichaela – dokładnie w tym wieku, w którym młodzięcza energia i mądrość zdobyta wraz z doświadczeniem życiowym osiągnęły równowagę. Nie rozpoznałem żadnego z nich, choć Carmichael przywitał się z kilkorgiem skinieniem głowy. Podszedł do drugich drzwi w pomieszczeniu, prowadzących do biura, i zapukał.

– Wejść – powiedział ktoś niezbyt głośno gładkim barytonem.

Carmichael otworzył drzwi i wprowadził mnie do środka. Biuro było niewielkie i nosiło wyraźne ślady zużycia. Widziałem stare szafki na akta, stare drewniane biurko i podniszczone drewniane krzesła. Na blacie stały szufladki na sprawy do zrobienia i załatwione, nabijak do karteczek i telefon z tarczą. Nie było komputera, ale na stole obok biurka spoczywała stara elektryczna maszyna do pisania.

Mężczyzna za biurkiem również wyglądał na rówieśnika Carmichaela i robił wrażenie zawodowego boksera. Wokół oczu miał kilka blizn, a do tego wielokrotnie złamany nos. Zawiesił marynarkę na oparciu krzesła, a rękawy jego białej koszuli opinały się na bicepsach. Podwinął je do łokcia, ukazując przedramiona grube jak drewniane słupy telefoniczne i na oko równie wytrzymałe. Miał jasne włosy, niebieskie oczy i szczękę tak mocną, że kojarzył mi się z buldogiem. Z jakiegoś powodu wyglądał znajomo.

– Jack – powiedział Carmichael – to Dresden.

Jack obrzucił mnie uważnym spojrzeniem, ale nie wstał ani się nie odezwał.

– Zawsze taki jest, zanim wypije kawę – wyjaśnił Carmichael. – Nie traktuj tego osobiście.

– Kawa – powiedziałem, żeby przerwać ciszę, która zapadła. – Brzmi nieźle.

Jack przez chwilę patrzył na mnie z ukosa, po czym odezwał się tym samym melodyjnym głosem:

– Jesteś głodny, Dresdenie?

– Nie.

– Spragniony?

Zastanowiłem się nad tym.

– Nie.

– To dlatego, że jesteś martwy. – Uśmiech Jacka, który zniknął po krótkiej chwili, nie był szczególnie uspokajający. – Nie musisz pić. Nie musisz jeść. Nie ma kawy.

Popatrzyłem na Carmichaela.

– Nie wycofuję swoich słów. – Carmichael spojrział na Jacka i wskazał palcem na drzwi. – Muszę wracać do tej sprawy z rakszasa.

– Idź – powiedział Jack.

Carmichael poklepał mnie po ramieniu.

– Powodzenia, chłopcze. Baw się dobrze.

I wyszedł zdecydowanym krokiem, jak człowiek, który ma zadanie. Ja pozostałem z Jackiem pośród niezręcznej ciszy.

– Nie spodziewałem się, że życie po śmierci będzie tak wyglądać – powiedziałem.

– To dlatego, że wcale nim nie jest.

Zmarszczyłem czoło.

– Powiedział pan, że jestem martwy. Z czego wynika życie po śmierci.

– Jesteś martwy. A to jest pomiędzy.

Znów zmarszczyłem czoło.

– To znaczy coś jak... czyścić?

Jack wzruszył ramionami.

– Jeśli ci to odpowiada, możesz używać tego określenia. Ale nie znalazłeś się tu dlatego, że musisz się oczyścić. Jesteś tutaj ze względu na nieprawidłowości związane ze swoją śmiercią.

– Zostałem postrzelony. Albo utonąłem. Ani jedno, ani drugie nie jest szczególną rzadkością.

Jack uniósł dużą, kwadratową dłoń i pomachał nią.

– Nie chodzi o kwestie fizyczne, ale duchowe.

Zmarszczyłem czoło.

– Duchowe?

– Przeciwnik. Umarłeś, bo oszukiwali.

– Chwileczkę. Jaki przeciwnik?

– Anioł stojący na straży przy windzie jest czymś, co my gliniarze nazywamy poszlaką. Mam ci wszystko rozrysować?

– Yyy... To znaczy piekło? Prawdziwi Upadli?

– Nie do końca. Ale jeśli tak chcesz o tym myśleć, może być. W pewnym sensie. Musisz wiedzieć jedynie, że to źli goście.

– Dlatego tu jestem. Bo oni... złamali jakąś kosmiczną zasadę?

– Wchodziłeś im w drogę. Chcieli, żebyś zniknął. Złamali prawo, żeby do tego doprowadzić. A to sprawia, że jesteś moim problemem.

Zmarszczyłem czoło i popatrzyłem po sobie. Zauważyłem od niechcienia, że mam na sobie dzinsy, prostą czarną koszulkę i swój czarny skórzany płaszcz – który został rozerwany na strzępy i wrzucony do jeziora godzinę albo trzy przed tym, jak zostałem postrzelony. Chcę przez to powiedzieć, że mój płaszcz umarł.

Ale oto miałem go na sobie i wyglądał jak nowy.

I wtedy właśnie to do mnie dotarło.

Byłem martwy.

Byłem martwy.

Chicago, Biała Rada, moi wrogowie, przyjaciele, córka... wszyscy odeszli. Byli przestarzali. A ja nie miałem pojęcia, co się miało teraz ze mną stać. Miałem wrażenie, że pokój zaczął się kołysać. Nogi się pode mną ugięły. Usiadłem na krześle naprzeciwko Jacka.

Czułem na sobie jego spokojne spojrzenie. Odezwał się po chwili.

– Synu, każdy z nas przez to przechodził. Trudno stawić temu czoło, ale musisz się rozluźnić i skupić, albo nic dla ciebie nie będę mógł zrobić.

Odetchnąłem głęboko z zamkniętymi oczami – i po raz pierwszy zauważyłem, jak niewiarygodnie się czuję. Zupełnie jakbym powrócił do dzieciństwa, kiedy przepelniała mnie energia i potrzeba, by pozbyć się jej, robiąc coś przyjemnego. Moje kończyny wydawały się silniejsze, szybsze, lżejsze.

Spojrzałem na lewą rękę i zobaczyłem, że nie pokrywają jej blizny po poparzeniu przed wielu laty. Była cała, jakby nigdy nie stała mi się krzywda.

Doszedłem do logicznego wniosku, że wcale nie czułem się aż tak niewiarygodnie – po prostu zniknął cały katalog obrażeń i traum. Nie było również wyblakłej, bardzo

starej blizny na prawym przedramieniu – pamiątki po tym, jak ześlizgnął mi się nóż, kiedy oczyszczałem rybę, którą złowiliśmy razem z dziadkiem.

Nieodłączne, z wolna narastające dolegliwości i bóle ustąpiły. Co w sumie miało sens, bo nie miałem już ciała.

Ból zniknął.

Potarłem twarz dłonią i powiedziałem:

– Przepraszam. To dużo do przetrwania.

Znów ten uśmiech.

– Ha. To dopiero początek.

Ton jego głosu mnie zirytował. Dał mi coś, czego mogłem się trzymać, więc zaparłem się metaforycznymi nogami i zmusiłem kołyszący się pokój do zatrzymania.

– Kim pan jest? – spytałem. – I jak może mi pan pomóc?

– Jeśli chcesz mnie jakoś nazywać, mów mi „kapitan”. Albo Jack.

– Albo Sparrow?

Jack posłał mi spojrzenie gliniarza, w którym malowała się jedynie odrobina dezaprobaty. Sięgnął nad biurkiem, wyciągnął teczkę i położył ją na podkładce. Otworzył ją i przejrzał zawartość.

– Posłuchaj, chłopcze, utknąłeś tutaj. Nigdzie nie pójdziesz, przynajmniej do czasu, aż wyjaśnimy tę rozbieżność.

– Czemu nie?

– Bo to, co przychodzi później, nie jest dla ludzi, którzy oglądają się za siebie albo psioczą, że zostali niesprawiedliwie potraktowani. – Jack patrzył na mnie ze szczerą miną. – Dlatego wyjaśnimy, w jaki sposób cię wykiwali. Później ruszysz dalej do tego, co jest później.

Pomyślałem o uwięzieniu w pustej skorupie miasta na zewnątrz i zadrzałem.

– W porządku. Jak to naprawimy?

– Wracasz. I łapiesz tego męta, który ci to zrobił.

– Wracam? Wracam do?

– Na Ziemię, zgadza się. Do Chicago. – Jack zamknął teczkę i wrzucił ją do szuflady na sprawy załatwione. – Znajdziesz tego, kto cię zabił.

Uniosłem brew.

– Chyba pan sobie żartuje.

Wpatrywał się we mnie z miną tak przyjazną jak wysoka, ostra górską grań. Przewróciłem oczami.

– Chce pan, żebym rozwiązał sprawę własnego morderstwa?

Wzruszył ramionami.

– Jeśli wolisz dostać robotę tutaj, mogę ci coś załatwić.

– Auć. – Znów zadrżałem. – Nie.

– W porządku. Jakies pytania?

– No... Co miał pan na myśli, kiedy powiedział pan, że mnie odsyła? To znaczy... z powrotem do ciała czy...?

– Nie. Jest niedostępne. To tak nie działa. Wracasz tak, jak stoisz.

Zmarszczyłem czoło i popatrzyłem po sobie.

– Jako duch.

Rozłożył szeroko ręce, jakbym właśnie pojął ogromną i niezmiernie ważną prawdę.

– Nie kręć się po wschodzie słońca. Uważaj na progi. Znasz zasady.

– Jasne. – Poczulem niepokój. – Ale bez ciała...

– Nie będziesz miał zbyt dużo magii do wykorzystania. Większość ludzi nie będzie cię widzieć ani słyszeć. Nie będziesz mógł niczego dotknąć.

Gapilem się na niego.

– Jak mam się dowiedzieć czegoś w takim stanie?

Jack uniósł obie ręce.

– Chłopcze, nie ja ustanowiłem prawo. Ja jedynie pilnuję, by go przestrzegano. – Zmrużył oczy. – Poza tym sądziłem, że jesteś detektywem.

Zacisnąłem zęby i spiorunowałem go wzrokiem. Jestem w tym niezły, ale on nie wyglądał na poruszonego. Powoli wypuściłem powietrze.

– Rozwiązać sprawę własnego morderstwa.

Pokiwał głową.

Gniew, który narodził się w mojej piersi, przeniknął do głosu.

– Pewnie nie wystarczy, że przez całe dorosłe życie starałem się pomagać ludziom i ich chronić. Muszę zrobić coś jeszcze, zanim wyruszę na spotkanie ze Świętym Piotrem.

Jack wzruszył ramionami.

– Nie byłbym tego taki pewien. Z taką historią równie dobrze możesz znaleźć się w pociągu jadącym na południe.

– Piekło – warknąłem. – Wie pan, czym jest piekło, kapitanie Sparrow? Piekło to patrzeć na córkę ze świadomością, że już nigdy się jej nie dotknie. Nigdy się z nią nie porozmawia. Nigdy się jej nie pomoże ani nie ochroni. Poproszę jezioro płomieni.



Nie może się ani trochę równać.

– Jeśli o to chodzi – powiedział spokojnie Jack – wiem, czym jest piekło. Nie jesteś jedynym martwym gościem, który ma córkę.

Opadłem z powrotem na krzesło i zmarszczyłem brwi, a później przekręciłem głowę, by spojrzeć ponad nim na prosty pejzaż wiszący na ścianie.

– Jeśli to ma jakieś znaczenie, trojgu ludzi, których kochasz, stanie się wielka krzywda, jeśli nie znajdziesz swojego mordercy.

– Co ma pan na myśli, mówiąc krzywda?

– Okaleczenie. Przemiana. Załamanie.

– O jakich troje ludzi chodzi?

– Nie mogę ci tego powiedzieć.

– Aha – mruknąłem. – Pewnie, że pan nie może.

Zastanowiłem się nad tym. Może i umarłem, ale z całą pewnością nie byłem gotów odejść. Musiałem się upewnić, że ludzie, którzy pomogli mi pokonać Czerwonego Króla, są bezpieczni. Moja praktykantka Molly została poważnie ranna podczas walki, ale to nie był jej największy problem. Po mojej śmierci nic nie chroniło jej przed przyspieszoną dekapitacją z rozkazu Białej Rady Magów.

A moja córeczka, mała Maggie, wciąż tam była. Pozbawiłem ją matki, a ktoś inny pozbawił ją ojca. Musiałem dopilnować, by ktoś się nią zaopiekował. Musiałem pożegnać się z dziadkiem... i Karrin.

Boże. Co zastała Karrin, kiedy wróciła, żeby mnie zabrać? Wielką kałużę krwi? Mojego trupa? Brakowało jej właściwego oglądu sytuacji i była na tyle uparta, że z całą pewnością obwiniała się o wszystko, co się wydarzyło. Najpewniej doprowadziła się do załamania. Musiałem jakoś do niej dotrzeć, a nie mogłem tego zrobić z tej duchowej Syberii.

Czy to o nich mógł mówić kapitan? A może o kimś zupełnie innym.

Niech to diabli.

Moja jaźń mogła się czuć pełna energii i ożywiona, ale umysł był znużony ponad wszelką miarę. Czy nie zrobiłem już dosyć? Nie pomogłem wystarczająco wielu ludziom, uratowałem wystarczająco wielu więźniów, pokonałem wystarczająco wiele potworów? Narobiłem sobie wrogów wśród najbardziej niebezpiecznych i niegodziwych istot na tej planecie i ciągle z nimi walczyłem. A jedna z nich mnie za to zabiła.

„Niech odpoczywa w pokoju” piszą na tych wszystkich nagrobkach. Walczyłem przeciwko napierającej fali, aż całkiem dosłownie mnie zabiła. Gdzie więc, do diabła,

był mój odpoczynek? Mój pokój?

„Trojgu ludzi, których kochasz, stanie się wielka krzywda, jeśli nie znajdziesz swojego mordercy”.

Moja wyobraźnia stworzyła sceny udręki ludzi, na których najbardziej mi zależało. Co właściwie przypieczętowało sprawę. Nie mogłem pozwolić, by doszło do czegoś takiego.

Poza tym była jeszcze jedna rzecz, przez którą zyskałem pewność, że chcę wrócić. W ostatecznym rozliczeniu... jakiś sukinsyn mnie zabił.

Takich rzeczy nie można puścić płazem.

A gdybym dzięki temu mógł wy dostać się z tego miejsca i ruszyć dalej, dokądkolwiek miałem się udać, była to wartość dodana.

– W porządku – powiedziałem cicho. – Jak to działa?

Przesunął w moją stronę podkładkę, kawałek papieru i ołówek.

– Trafisz pod podany adres w Chicago. Zapisz go tutaj. Kierowca cię tam zawiezie.

Wziąłem podkładkę i papier, spojrzałem na nie ze zmarszczonym czołem i próbowałem wymyślić, dokąd się udać. Chodzi o to, że nie mogłem pojawić się w dowolnym miejscu. Jeśli miałem tam trafić jako czysty duch, próba skontaktowania się ze zwyczajowymi sojusznikami spełzałaby na niczym. Potrzeba sporego talentu, by zobaczyć ducha, który się jeszcze nie zmaterializował w postaci, w jakiej bywają widoczne dla gołego oka. Przyjaciele nie wiedzieliby nawet o mojej obecności.

– Z czystej ciekawości, co się stanie, jeśli nie złapię zabójcy?

Jack spoważniał i odezwał się przyciszonym głosem.

– Zostaniesz tam uwięziony. Może na zawsze. Niezdolny niczego dotknąć. Niezdolny mówić. Będziesz obserwował wydarzenia na świecie bez możliwości wywarcia na nie jakiegokolwiek wpływu.

– Piekło – powiedziałem cicho.

– Piekło.

– Cóż za radosna perspektywa.

– Jesteś martwy, synu. W twojej sytuacji radość nie jest wskazana.

Pokiwałem głową.

To było piekielne – *badum tss!* – ryzyko. To znaczy pozostanie w Czyśchicago może nie byłoby świetną zabawą, ale nie oznaczałoby też udręki. Oceniając po słowach Carmichaela i Jacka oraz sposobie, w jaki zajmowali się swoimi sprawami, wywierali wpływ na otoczenie i może nawet robili coś dobrego. Nie wyglądali na szczególnie podekscytowanych tym, co robili, ale było po nich widać, że ich praca ma sens.

Duch uwięziony na ziemskim padole? To by było o wiele gorsze. Zawsze obecny, zawsze obserwujący i zawsze bezsilny.

Nigdy tak naprawdę nie udało mi się rozwinąć umiejętności z gatunku „nie angażuj się”. W ciągu roku bym oszalał i stał się kolejnym żalonym, szalonym, uwięzionym duchem nawiedzającym miasto, które chronilem przez całe dorosłe życie.

– Pieprzyć to. – Zacząłem pisać na kartce. – Jeśli przyjaciele mnie potrzebują, muszę spróbować.

Jack wziął ode mnie kartkę i skinął głową, być może z aprobatą. Później wstał i włożył marynarkę. W jego dłoni zabrzęczały kluczyki. Był średniego wzrostu, ale poruszał się z pewnością siebie i opanowaną energią, która sprawiała, że z jakiegoś powodu wyglądał znajomo.

– Chodźmy.

Kilkoro gliniarzy – byłem pewien, że są gliniarzami albo przynajmniej robią coś tak podobnego, że to określenie pasowało – kiwało Jackowi głową, kiedy przechodził obok.

– Hej! – zawołał ktoś zza naszych pleców. – Murphy!

Jack przystanął i obejrzał się.

Mężczyzna w garniturze, który pasowałby do historycznej agencji detektywistycznej Pinkertona, podszedł do Jacka z podkładką i wyciągnął ją do niego, razem z piórem. Jack przejrzał treść dokumentu, podpisał go i oddał mężczyźnie.

Znów ruszył przed siebie. Wcisnąłem dłonie do kieszeni płaszcza i poszedłem za nim.

– Kapitan Collin J. Murphy? – spytałem cicho.

Chrząknął.

– Jest pan ojcem Karrin. Prowadził pan sprawy Czarnych Kotów.

Nic nie odpowiedział. Zjechaliśmy windą, minęliśmy anioła stróża i wyszliśmy na ulicę, gdzie przy krawężniku czekał stary buick skylark, ten z płetwami i składanym dachem. Kapitan otworzył drzwi od strony kierowcy i obaj wsiedliśmy. Deszcz bębnił o dach samochodu.

Jack przez chwilę siedział za kierownicą i patrzył niewidzącym wzrokiem.

– Tak – powiedział w końcu.

– Mówiła o panu.

Pokiwał głową.

– Słyszałem, że opiekowałaś się moją Karrie.

Karrie? Próbowałem wyobrazić sobie człowieka, który zwróciłby się tak do Murphy. Rawlins zrobił to raz i tylko raz, ale on nie tylko był jej partnerem, ale też pracował z jej ojcem, kiedy była jeszcze mała. Rawlins był właściwie członkiem rodziny.

Każdy inny, kto chciałby to zrobić, musiałby być Terminatorem. Z planety Krypton.

– Czasami. Ona nie potrzebuje wielkiej opieki.

– Każdy czasem kogoś potrzebuje. – Przekręcił kluczyk i silnik uruchomił się z przyjemnym, gardłowym mručeniem. Jack w zamyśleniu przesunął dłoń po kierownicy i wyjrzał na deszcz. – Możesz się z tego wycofać, jeśli chcesz, synu. Aż do chwili, kiedy wysiądziesz z samochodu. Kiedy to zrobisz, przypieczętujesz wybór drogi... i wszystko, co się z tym łączy.

– Jasne. – Stanowczo przytaknąłem. – Im szybciej zacznę, tym szybciej skończę.

Uniósł w uśmiechu kącik ust i pokiwał głową, jednocześnie chrząkając z aprobatą. Spojrzał na podkładkę, przeczytał zapisany przeze mnie adres i mruknął:

– Dlaczego tutaj?

– Bo w tym miejscu znajdę jedyną osobę w Chicago, która z całą pewnością może mi pomóc.

Kapitan Murphy pokiwał głową.

– W porządku. Ruszajmy.

## Rozdział trzeci

Stary skylark Murphy'ego zatrzymał się na osiedlu mieszkaniowym w Harwood Heights, w okolicy, która wciąż wyglądała na równie pustą, jak reszta miasta. Dom nie pasował do Chicago – przez biały tynk i czerwone dachówki sprawiał wrażenie, jakby został przeniesiony z południowej Kalifornii. W deszczu i żałobnym szarym blasku latarni ulicznych stał zimny, samotny i pozbawiony celu pośród otaczających go bardziej tradycyjnych budynków.

Wycieraczki buicka poruszały się miarowo.

– Kiedy wysiądziesz – powiedział kapitan Murphy – nie będzie powrotu. Zostaniesz sam.

– Dla mnie nie pierwszozna. – Podałem mu rękę. – Dziękuję, kapitanie.

Odpowiedział mi uściskiem. Nie próbowałem zmiążyć mu dłoni – i wzajemnie. Mężczyźni, którzy naprawdę dobrze sobie radzą, rzadko to robią.

Żałowałem, że kapitan Murphy nie żył dość długo, bym miał okazję poznać go w prawdziwym świecie. Miałem przecucie, że byłby piekielnie dobrym sojusznikiem.

– Może uda mi się nawiązać kontakt z Karrin – powiedziałem.

– Żadnych wiadomości. I tak zrobiłem jej krzywdę – odparł, zanim skończyłem mówić. W jego głosie brzmiała niekwestionowana stanowczość. Skinął w stronę domu. – Ale powiedz tamtemu wielkiemu gościowi, że cię przysłałem. To ci może pomóc.

Pokiwałem głową, odetchnąłem głęboko, otworzyłem drzwi samochodu i wyszedłem na...

Większe wrażenie, przynajmniej z początku, zrobiło na mnie to, na co nie wyszedłem. Ponieważ w chwili, kiedy moje stopy dotknęły ziemi, a drzwi samochodu zatrzasnęły się za moimi plecami, nie stałem już pośród deszczowego, porzuconego trupa Chicago. Znajdowałem się na ulicy w zimny, bezchmurny wieczór. Nie padało. Gwiazdy i księżyc świeciły mi nad głową, a światła miasta w połączeniu ze świeżą, dość grubą warstwą śniegu sprawiały, że na zewnątrz było niemal równie jasno jak za dnia.

Otoczyły mnie dźwięki. Ruch uliczny, odległe klaksony, dudniący rytm muzyki

z dużych głośników. Przelatujący odrzutowiec pozostawił za sobą głuchy ryk – znajdowałem się zaledwie kilka kilometrów od lotniska O'Hare.

Obejrzałem się za siebie, ale samochód kapitana Murphy'ego zniknął za mną, najpewniej wrócił do Chicago Pomiedzy.

Stałem sam.

Westchnąłem. Później odwróciłem się i wszedłem na teren nieruchomości należącej do Mortimera Lindquista, ektomanty.

\* \* \*

Niegdyś trawnik Morta wypełniały dekoracje, które miały robić niepokojące i groźne wrażenie. Nagrobki. Parkan z kutego żelaza z wielką metalową bramą. Dziwaczne oświetlenie. Całość mogła sprawiać przerażające wrażenie, jeśli człowiek był dość łatwowierny, a światło słabe, ale przeważnie wszystko wyglądało jak tanie ozdoby na Halloween wokół nory ćpunów.

Czasy się zmieniły.

Mort pozbył się całego taniego śmiecia poza parkanem. Zmienił podwórko przed domem w japoński ogród, w którym znajdowało się kilka żywopłotów i sadzawka ze złotymi rybkami, łącznie z malutkim drewnianym mostkiem łączącym jej brzegi. Na wysokich klombach rosły drzewka bonsai, same gatunki typowe dla Ameryki Północnej. Robiło to niepokojące wrażenie, kiedy patrzyło się na coś, co wyglądało jak dorosły dąb – ale miało niecałe pół metra wysokości i miniaturowe listki.

W Chicago nie było wielu ludzi, którzy robili to dla pieniędzy, co sugerowało, że bonsai były dziełem Morta. Jeśli tak, ich stworzenie wymagało od niego dużo wysiłku i cierpliwości.

Spokojnie podszedłem bliżej i wyciągnąłem rękę, żeby otworzyć bramę.

Moja dłoń przeszła przez nią.

Tak, wiem, zasadniczo byłem duchem, ale nie miałem większego doświadczenia z niematerialnością. Przyzwyczaiałem się, że kiedy sięgam po przedmioty, mogę ich dotknąć. Teraz moja dłoń mrowiła, jakbym obudził się po drzemce, w czasie której służyła mi za poduszkę. Popchnąłem rękę bardziej do przodu i pochyliłem się w bok, a wtedy zobaczyłem, jak czubki moich palców wyłaniają się z metalowej bramy. Na wszelki wypadek poruszyłem palcami.

– W porządku. Nic się na to nie da poradzić.

Odetchnąłem głęboko i wstrzymałem oddech, jakbym miał wskoczyć do głębokiej



wody. Następnie zebrałem się w sobie i rzuciłem się do przodu.

Pełne rozczarowanie. Kiedy przechodziłem przez bramę, poczułem krótkie, intensywne mrowienie. I znalazłem się po drugiej stronie.

Ruszyłem kamienną ścieżką prowadzącą do frontowych drzwi Morta, ale dopiero kiedy przeszedłem przez mostek, zobaczyłem mężczyznę stojącego w cieniu na ganku.

Był wielki. Nie miał sylwetki zawodowego ciężarowca, po prostu z natury był grubośćistym, muskularnym mężczyzną, niemal dorównującym mi wzrostem. Ciemne włosy związał na karku kawałkiem wstążki. Długi, ciemnoniebieski płaszcz sięgał do połowy łydki, a jego rękawy zdobił złoty szamerunek. Pod spodem mężczyzna nosił mundur – dopasowaną niebieską kurtkę, białą koszulę, białe spodnie i wysokie czarne buty. Znad jego ramienia wystawało coś w rodzaju topora o długim drzewcu, a kiedy się zatrzymałem, wolną ręką sięgał już za pas po pistolet skałkowy. Wycelował go odrobinę w bok ode mnie i zawołał:

– Stać! Przedstaw się, szubrawcu, albo znikaj!

– Szubrawcu? – Uniosłem dłoń do piersi, jakby takie oskarżenie mnie zraniło. – To trochę niesprawiedliwe.

– Wyglądasz na szubrawca! – zagrzemiał mężczyzna. – Oraz łachudrę i kanalię. Choć muszę przyznać, że mimo wszystko mógłbyś się jeszcze okazać kongresmenem. – Dostrzegłem w ciemności biel jego zębów, kiedy się uśmiechnął. – Podaj mi imię, człowieku.

– Harry Dresden – powiedziałem bardzo wyraźnie.

Lufa pistoletu przesunęła się jeszcze o kilka stopni z dała ode mnie.

– Mag?

– Nieżyjący mag. – Wskazałem na siebie. – A właściwie nieżyjący Harry Dresden.

– A niech mnie. – Mężczyzna przez chwilę marszczył czoło, jakby w zamyśleniu.

Nie wyglądało to naturalnie w jego wykonaniu.

– Jeśli kłamiesz – powiedział powoli – nie widzę żadnego istotnego powodu, byś to robił, i jestem skłonny cię zastrzelić. Jeśli jednak mówisz prawdę, twoja obecność tutaj sprowadza kłopoty do domu mojego przyjaciela i skłonny jestem zastrzelić cię kilka razy. – Stanowczo pokiwał głową i wycelował we mnie. – Tak czy inaczej...

Zamierzał strzelić. Nie wiedziałem, czy zabiłby mnie po raz drugi, ale biorąc pod uwagę to, czego doświadczyłem od wszechświata, istniała taka możliwość. A przynajmniej, jak doszedłem do wniosku, bolałoby jak jasna cholera. Musiałem powstrzymać tego palanta przed opuszczeniem kurka. Zakładając, że jego strój był

autentyczny, być może nie było to takie trudne.

– Zastrzelenie mnie byłoby odrobinę nieuprzejme, czyż nie? Jestem nieuzbrojony, nie użyłem wobec pana przemocy ani nie ułożyłem. Nawet się przedstawiłem. Pan zaś nawet nie podał mi swojego nazwiska.

Mężczyzna w niebieskim płaszczu zrobił nagle zawstydzoną minę, a lufa pistoletu znów odrobinę opadła.

– Ach tak. Proszę o wybaczenie. W młodości nikt się nie zatroszczył, by zapewnić mi stosowne wychowanie, a ten smutny fakt znajduje odzwierciedlenie również w moim spokojniejszym życiu po życiu. – Wyprostował się i dosłownie strzelił obcasami, przez cały czas nie przesuwając broni, po czym uklonił mi się lekko. – Nieżyjący kapitan sir Stuart Winchester, piechota morska kolonii.

Uniosłem brew.

– Sir Stuart z piechoty morskiej kolonii?

Wzruszył ramionami.

– To długa i skomplikowana historia.

– Cóż, Stu, z całym szacunkiem, ale nie mam sprawy do ciebie, lecz do pana Lindquista.

– Śmiem wątpić. – Stu prychnął. – Masz zaproszenie?

Przez chwilę patrzyłem na niego tępo, po czym powiedziałem:

– Nie mam wielkiego doświadczenia jako duch, ale jestem cholernie pewien, że nie wysła się tak po prostu wiadomości pocztą duchową.

– Byłbyś zaskoczony, jak wielu pracowników poczty pozostawia za sobą cienie – sprzeciwił się Stu. – Jak mi nie, to rutyna sprawia, że wciąż obchodzą swój teren. Biedacy, nawet sobie nie uświadamiają, że coś się zmieniło.

– Nie zmieniaj tematu. Muszę porozmawiać z Mortem.

– Przykro mi, sir. Ale mam polecenie odmówić wejścia wszelkim niezaproszonym duchom.

– I musisz wypełniać polecenia Morta?

– I tak nie przeszedłbyś przez jego próg nieproszony, człowieku.

– Jasne. Musisz wypełniać jego polecenia.

– Nie jesteśmy do tego zmuszeni – powiedział od razu Stu surowym tonem. – Pomagamy mu z przyjaźni, szacunku i... – Westchnął i dodał: – I z nudów. Bogowie, po półwieczu to miasto blaknie, a ja pozostałem tu ponad cztery razy dłużej.

Odkryłem, że uśmiecham się do ducha.

– Stu, pozwól, że złożę ci obietnicę. Może nawet przysięgę. Przyszedłem prosić

Morta o pomoc i nie zamierzam zrobić mu krzywdy... i jestem względnie pewny, że moja obecność nie dołoży się do twojego nieustannego znudzenia.

Stu roześmiał się z głębi brzucha i zaczął mówić, ale dźwięk ten ucichł i mężczyzna wpatrzył się we mnie z namysłem, stukając czubkiem palca w pistolet.

– Jeśli to coś zmienia, przywiózł mnie tu Jack Murphy. Mówił, że mam o tym wspomnieć.

Stu uniósł brwi. Widziałem myśli ścigające się za jego oczami. Nie wygrałyby w sprincie, ale na długi dystans wyraźnie nieźle sobie radził

– Tak? – Wydał wargi. – Porządny gość. Jak na Irlandczyka.

Prychnąłem.

– Jeśli kiedyś pojawi się w okolicy, lepiej, żebyś się uśmiechał, mówiąc...

Moje plecy zalała fala niematerialnego zimna, tak gwałtownie, jakbym stał przed przemysłową chłodziarką i ktoś otworzył jej drzwi.

Odwróciłem się i zobaczyłem humanoidalną, szarą postać unoszącą się nad ziemią jakieś pięć metrów ode mnie i powoli dryfującą w moją stronę. Szczegóły były niewyraźne, proporcje odrobinę niewłaściwe, jakbym patrzył na kiepsko odlaną plastikową lalkę. Nie miała żadnych rysów, jedynie puste oczodoły na zapadniętej, przypominającej czaszkę twarzy, i puste usta, otwarte tak szeroko, jakby ścięgnię podtrzymujące dolną szczękę rozciągnęły się jak stara gumka.

Istota poruszała się ze swego rodzaju wdziękiem, jakby nie miała żadnego ciężaru i musiała dotykać ziemi jedynie po to, by odpychać się od niej czubkami palców. Zbliżając się, wydała dźwięk, głuche, grzechoczące, stłumione sapnięcie. Był to odgłos krzyku udręki, któremu już dawno zabrakło tchu – ale wciąż próbował trwać.

Zbliżyła się do mnie, a mnie zrobiło się zimniej.

– Cofnij się – rzuciłem. – Mówię poważnie.

Istota znów dotknęła palcami stóp ziemi i przybliżyła się, równie bezmyślna i pełna wdzięku jak głodna meduza, i o wiele bardziej niepokojąca.

Zrobiłem kilka szybkich kroków do tyłu i powiedziałem:

– Dobrze. Niech ci będzie. – Uniosłem prawą rękę, zebrałem wolę i warknąłem: – *Fuego*.

I nic – zupełnie nic – się nie wydarzyło.

Nie poczułem budzącej się we mnie mocy. Przez moje myśli nie przemknęło połączenie oszałamiającej ekscytacji, wibrującego napięcia i błyskawicy. Nie było błysku rozpalonego do białości płomienia, który powinien spalić na popiół zbliżającą się zjawę.

Nie było magii.

*Nie było magii.*

– O cholera – wykrztusiłem.

Zatoczyłem się do tyłu, gdy palce istoty sięgnęły do mnie z zabójczym wdziękiem, a odgłos jej stłumionego krzyku stawał się coraz wyższy. Jej palce nie kończyły się paznokciami, raczej jakby rozplływały się na dryfujące pasma, które otaczało zabójcze zimno.

Za moimi plecami rozległ się mechaniczny odgłos – trzask dużego, na wpół odciągniętego kurka, który został właśnie odciągnięty do samego końca w przygotowaniu do wystrzału.

Odwróciłem się i zobaczyłem, że wielki stary pistolet Stu celuje mi w sam środek nosa. Jestem przekonany, że lufa nie była w rzeczywistości wielka jak tunel kolejowy, ale w tamtej chwili zdecydowanie robiła takie wrażenie.

Poczułem, że fala zimna na plecach staje się coraz silniejsza. Kiedy Stu krzyknął „Na ziemię!” już byłem w połowie drogi.

Uderzyłem mocno – najwyraźniej niematerialność nie chroniła mnie przed grawitacją ani nieprzyjemnościami związanymi z jej niepowstrzymanym działaniem – a w tej samej chwili pistolet Stu wystrzelił.

Wszystko wydarzyło się jak we śnie, dość powoli, bym dostrzegł każdy szczegół, a jednocześnie zbyt szybko, bym mógł dotrzymać kroku, choćbym poruszał się z największą prędkością. Spodziewałem się trzasku wystrzału, a może nawet głuchego dudnienia czarnoprochowca. Tymczasem dobiegł mnie ryk, który brzmiał, jakby został przepuszczony przez tuzin różnych DJ-ów, a do tego długi na kilometr tunel kolejowy. Lufy nie opuściła typowa chmura czarnego dymu, lecz koncentryczne kręgi pastelowej mgiełki, wirujące w centrum, jakby coś ciągnęło je za kulą.

Sam pocisk nie był kawałkiem ołowiu, ale kulą wielobarwnego światła, wielkości co najmniej piłeczki golfowej. Przeleciała kilkadziesiąt centymetrów nad moją głową i, słowo daję, z tej odległości wywołała we mnie coś przypominającego lekkie poparzenie słoneczne. Z kuli emanował głęboki ton, podobny do wzmocnionego dźwięku gitary basowej, wibrował w moim ciele i kościach.

Odwróciłem głowę i zobaczyłem, jak kula uderza w pierś atakującej zjawy. Niepocisk wbił się w ciało, wyrywając w jej piersi otwór wielkości mojej pięści. Ze środka istoty wydobyło się coś przypominającego parę wodną. W jej wnętrzu zapłonęło światło, niemal jakby ktoś odtwarzał na oparach obraz ze starego projektora filmowego, i nagle zobaczyłem przeblysk niewyraźnych obrazów, a wszystkie były

ciemne, wypaczone, powykręcane, jakby ktoś zmontował nagranie z przypadkowych kawałków celuloиду z podłogi montażowni.

Obrazy stawały się coraz ciemniejsze, aż nie pozostało nic poza rzednącą chmurą mgiełki. Dopiero wtedy zobaczyłem, że szara postać opada stopniowo, jak powoli opróżniany bukłak.

Mgły zniknęły. Z szarego stwora pozostała jedynie paskudna, bezbarwna bryła na ziemi.

Na dróżce prowadzącej od ganku rozległ się odgłos zdecydowanych kroków i już wkrótce Stu stanął między mną a istotą, czymkolwiek była. Choć jego dłonie przeładowywały pistolet, z użyciem rogu z prochem i stempla, jego spojrzenie krążyło po ulicy wokół nas.

– Do diabła, co to było? – spytałem.

– Upiór. – W jego cichym głosie brzmiała pewna profesjonalna obojętność. – Duch, taki jak ty czy ja, który poddał się rozpacz i porzucił samoświadomość.

– Niebezpieczny?

– Wyjątkowo. – Stu spojrzał na mnie z góry. – Szczególnie dla kogoś takiego jak ty.

– Jak ja?

– Świeżego cienia. Nie masz wielu doświadczeń w nauce, jak bronić się w tym miejscu. I jest niemal niemożliwe, by świeży cień taki jak ty się ukrył: trzyma się go wrażenie życia. – Zmarszczył czoło. – A ciebie szczególnie.

– Może dlatego że jestem magiem.

Stu pokiwał głową.

– Możliwe, możliwe.

– Co by się stało, gdyby...? – Wskazałem na pozostałości upióra.

– Pożarłby twoje wspomnienia – odparł spokojnie Stu.

Rozważałem to przez chwilę i spojrzałem na pozostałości prawie ze smutkiem.

– Nie jestem pewien. Mam kilka, których chętnie bym się pozbył.

Stu wsunął pistolet z powrotem za pas.

– Dla cieni wspomnienia to życie, strawa i moc. Jesteśmy teraz wspomnieniami, magu.

– Obrazy w mgiełce. Kiedy... umierał. To były jego wspomnienia?

– Ano. To, co z nich pozostało.

Stu podszedł bliżej i kucnął nad pozostałościami. Wyciągnął nad nimi rękę, wnętrzem dłoni do dołu, i odetchnął głęboko. Po kilku uderzeniach serca z pozostałości upióra zaczęła się wznosić mgiełka. Prześlizgnęła się przez powietrze

do piersi Stu, wpływając w niego jak woda do basenu. Kiedy się dokonało, Stu wstał i westchnął.

Cokolwiek uderzyło upiora, wyraźnie powstało z tej samej substancji, co sir Stuart. Skoro więc duchy były wspomnieniami...

– Kula – powiedziałem. – Stworzyłeś ją ze wspomnienia?

– Naturalnie. – Na jego twarzy pojawił się wyraz łagodnego, odległego smutku. – Silnego. Pewnego dnia zmienię je w kolejną kulę.

– Dziękuję. Że mi pomogłeś.

– Muszę przyznać, że nie pozbyłem się biednego stwora wyłącznie dla twojego dobra, magu. Byłbyś uczta dla każdego upiora. Prosto ze świata żywych, wciąż z odrobiną witalności i wręcz tryskający świeżymi, niewyblakłymi wspomnieniami. Upiór, który by cię pożarł, stałby się potężny... byłby zaiste złowieszcą, straszliwą istotą. Taką, która mogłaby zagrozić światu żywych z równą łatwością, jak światu ducha. Nie pozwolę na to.

– Aha. I tak dziękuję.

Stu pokiwał głową i podał mi rękę. Przyjąłem ją, wstałem i powiedziałem:

– Muszę porozmawiać z Mortem.

W chwili gdy to mówiłem, dostrzegłem wyłaniające się z ciemności dwa kolejne upiory. Obejrzałem się i zobaczyłem następne, dryfujące bez wysiłku i ze zwodniczą szybkością.

– Jeśli zaprowadzisz mnie za próg Morta, nie będą mi mogły zagrozić. – Skinąłem na upiory. – Nie umiem się przed nimi bronić. Zabiją mnie. A jeśli tak się stanie, będziesz miał na głowie tego potwornego upiora.

– Nie, jeśli wcześniej sam cię zabiję – powiedział spokojnie Stu i postukał palcem w pistolet.

Lekko odwróciłem głowę i spojrzałem na niego z ukosa.

– Nie. Do tego nie dojdzie.

– Skąd wiesz, duchu? – spytał głosem pozbawionym uczuć, ale nie umiał ukryć uśmiechu w oczach.

– Jestem magiem. – Nasyciłem głos złowieszcą nutą. – Mamy swoje sposoby. Nie odezwał się ani słowem, twarz miał poważną, ale jego spojrzenie krążyło. Otrzeźwiałem.

– A te upiory się zbliżają, stary.

Stu prychnął.

– Upiory zawsze się zbliżają. – Wyjął pistolet i wycelował mi w piersi. – Niniejszym



biorę cię w niewolę, nieżyjący magu. Trzymaj ręce na widoku i słuchaj moich poleceń, a nic ci się nie stanie.

Pokazałem mu dłonie.

– Aha. No. W porządku.

Stu skinął głową.

– W takim razie w tył zwrot. Chodźmy porozmawiać z łysym.

## Rozdział czwarty

Przeszedłem za Stu przez frontowe drzwi (niech to diabli, mrowienie, auć), a po drugiej stronie zatrzymałem się na chwilę, żeby rozważyć ten fakt. Jedynie członek rodziny gospodarza mógł wystosować zaproszenie, które pozwoliłoby istocie niematerialnej przejść przez próg domu.

Innymi słowy, sir Stuart był w domu Morta właściwie rodziną. Chyba że był rodziną całkiem dosłownie. W końcu historyczne nawiedzenia zdarzały się często w obrębie określonego rodu. Czy Stu mógł być jednym z przodków Morta, który strzegł przyszłości swojej rodziny? A może mały ektomanta zawsze miał dziwną rodzinę, o której nigdy się nie dowiedziałem?

Interesujące. Lepiej mieć oczy szeroko otwarte.

Dom wyglądał zupełnie inaczej. Coś, co wcześniej było tandetnym pokojem seansów spirytystycznych, zmieniło się w salon z sofą, dwuosobową kanapą i wygodnymi krzesłami. Zobaczyłem jedynie część domu, ale kiedy szedłem z sir Stuartem, widziałem wyraźnie, że paskudna nora została wyremontowana, odnowiona i na inne sposoby upiększona. Stu zaprowadził mnie do pokoju, który był częściowo biblioteką, a częściowo gabinetem. Na kominku trzaskał ogień.

Mortimer Lindquist najwyraźniej w końcu pogodził się z nieuniknionym. Wcześniej widywałem go z paskudnym tupecikiem i jeszcze gorszą zaczeską, ale teraz zrobił się na Charlesa Xaviera. Jego błyszcząca łysa czaszka wyglądała znacznie lepiej niż wtedy, gdy częściowo zasłaniały ją włosy. Od naszego ostatniego spotkania stracił też na wadze. To znaczy nie miał szans, by reklamować ciuchy marki Abercrombie & Fitch czy coś w tym rodzaju, ale przeszedł od zabójczo otyłego do jedynie korpulentnego. Był po pięćdziesiątce, miał około metra siedemdziesięciu wzrostu, nosił czarne spodnie, szarą jedwabną koszulę i okulary w kwadratowych oprawkach.

Siedział przy stole, a przed nim leżała rozłożona talia kart. Albo wróżył z kart, albo stawiał pasjansa – doświadczenie podpowiadało mi, że obie te możliwości mają podobną wagę.

– Czyżbym słyszał strzał, sir Stuarcie? – spytał Mort w zamyśleniu, wpatrując się

w karty. Nagle znieruchomiał w trakcie wykładania kolejnej, poderwał się na równe nogi i odwrócił twarzą do mnie. – Och, doskonale.

– Cześć, Mort – powiedziałem.

– To się nie dzieje. – Mort przeszedł szybko do drugiego pomieszczenia. – To się nie może dziać. Nikt nie ma aż takiego pecha.

Pośpieszyłem za nim, próbując dotrzymać mu kroku, i znalazłem się na korytarzu.

– Muszę porozmawiać...

– Nie obchodzi mnie to. – Nie zatrzymując się, Mort skrzyżował przed sobą ręce w geście odcinania i odpychania. – Nie widzę cię. Nie słucham cię, Dresdenie. Nie wystarczy, że musiałeś mnie wciągać w różne sprawy za życia? Teraz pojawia się tu twój głupi duch? Nie. Cokolwiek to jest, nie.

Weszliśmy do kuchni, gdzie czekał już sir Stuart. Założył ręce na piersi i patrzył na nas z uśmiechem, opierając się o ścianę. Mort podszedł do dużego słoja z ciasteczkami, otworzył go, wyjął jedno oreo i znów go zamknął.

– Mort, daj spokój, nigdy tak nie było. Parę razy przyszedłem do ciebie po pomoc, bo jesteś dobrym specjalistą i...

– Bzdura. – Mort odwrócił się gwałtownie w moją stronę, a jego oczy zabłyśły. – Dresden przychodził do mnie, kiedy był tak zdesperowany, że równie dobrze mógł skorzystać z pomocy każdego żalosego gościa.

Skrzywiłem się. Jego podsumowanie naszych kontaktów było częściowo prawdziwe. Ale nie do końca.

– Mort, proszę.

– Mort, co? – odwarknął. – Jaja sobie robisz. Nie zamierzam dać się wmieszać w kolejny międzynarodowy kryzys, do którego chcesz doprowadzić.

– Obawiam się, że nie mam w tej kwestii większego wyboru, stary. Nie mam nikogo poza tobą. Proszę. Wysłuchaj mnie.

Roześmiał się z niedowierzaniem.

– Nie, to ty mnie wysłuchaj, cieniu. „Nie” znaczy „nie”. To się nie dzieje. To się nie wydarzy. Powiedziałem „nie”!

I zatrzaskał mi przed nosem drzwi do następnego pomieszczenia.

– Niech cię diabli, Mort – warknąłem i przygotowałem się do zanurkowania przez drzwi.

– Dresdenie, st...! – zawołał sir Stuart.

Za późno. Uderzyłem nosem i twarzą w drzwi i jak idiota poleciałem na tyłek. Natychmiast zapiekła mnie twarz, wypełnił ją ból, który wydawał się zupełnie

normalny, identyczny jak u każdego idioty, który wszedł prosto w dębowe drzwi.

– ...ój – dokończył sir Stuart. Westchnął i podał mi rękę. Przyjąłem ją, a on mnie podniósł. – Duchowy pył zmieszany z farbą wewnątrz pokoju – wyjaśnił. – Żaden duch przez niego nie przejdzie.

– Znam go – mruknąłem.

Poczułem irytację, że sam wcześniej o tym nie pomyślałem, jako o dodatkowej ochronie przed wrogimi duchami w moim mieszkaniu. Dla niematerialnych istot duchowy pył był niepodważalnie materialny. Rzucony bezpośrednio na ducha wywoływał ogromny ból i paraliżował go na chwilę, jakby istota została nagle obarczona niewiarygodnym i niespodziewanym ciężarem. Gdybym umieścił go na wszystkich ścianach, zmieniłby je w twardą przeszkodę dla duchów i im podobnych, zamykając im drogę niewzruszoną trwałością.

Oczywiście moja receptura zawierała sproszkowany zubożony uran, przez co rozsypywanie go wewnątrz mieszkania byłoby trochę głupie.

Nie żeby to miało znaczenie. Moje mieszkanie zostało zniszczone, kiedy koktajl Mołotowa rzucony przez wampirzego zabójcę spalił pensjonat aż do fundamentów razem z większością mojego ziemskiego dobytku. Zostało tylko kilka rzeczy, starannie ukrytych. Bóg jeden wie, gdzie teraz były.

W obecnej sytuacji pewnie jednak nie mogłem tego uznawać za stratę. Rzeczy materialne niezbyt przydają się trupowi.

Krzywiąc się, uniosłem dłoń do nosa. Byłem pewien, że znów go złamałem. Nic takiego się nie stało, choć na grzbiecie mojej dłoni rozmazała się kropla rzadkiego, przezroczystego, galaretowatego płynu.

– Na wszystkie dzwony piekieł! Krwawię ektoplazmą?

Na te słowa niezżyjący żołnierz się uśmiechnął.

– Tak się zwykle dzieje z duchami. Będziesz musiał mu wybaczyć, Dresdenie. Czasami mija sporo czasu, zanim coś do niego dotrze.

– Nie mam czasu, żeby czekać, aż to załapie. Potrzebuję jego pomocy.

Sir Stuart uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Nie dostaniesz jej, jeśli będziesz tak stał i powtarzał się jak zepsuta płyta. Powtarzał się jak zepsuta płyta. Powtarzał się jak zepsuta...

– Ha, ha – powiedziałem bez entuzjazmu. – Ludziom, dla których byłem ważny, stanie się krzywdą, jeśli nie będę mógł działać.

Sir Stuart wydał wargi.

– Wydaje mi się, że jeśli twój zgon miał uczynić kogoś podatnym na cios, to tej

osobie już coś się stało. W końcu minęło sześć miesięcy.

Poczułem, że opada mi szczęka.

– C-co? Sześć miesięcy?

Duch pokiwał głową.

– Dokładniej mówiąc, dziś jest dziewiąty maja.

Patrzyłem na niego z osłupieniem. Później odwróciłem się, oparłem plecami o nieprzeniknione drzwi Morta i wykorzystałem je, żeby się nie przewrócić, kiedy osunąłem się na ziemię.

– Sześć miesięcy?

– Tak.

– To nie... – Wiedziałem, że artykułuję strumień świadomości, ale nie mogłem powstrzymać się przed mówieniem. – To nie w porządku. Nie może być w porządku. Jestem martwy do niecałej przeklętej godziny. Co to za bzdury w stylu Ripa van Winkle'a?

Sir Stuart przyglądał mi się z poważną i spokojną miną.

– Czas nie ma teraz dla nas większego znaczenia, Dresdenie, i łatwo się od niego odkleić. Raz straciłem pięć lat, słuchając płyty Pink Floydów.

– Na ziemi leży prawie pół metra śniegu. – Wskazałem w przypadkowym kierunku. – W maju?

Jego głos zabrzmiał oschle.

– Stacja telewizyjna, którą ogląda Mortimer, sugeruje, że to wynik globalnych zmian klimatu będących dziełem ludzi.

Zamierzałem powiedzieć coś obraźliwego, może nawet obelżywego, ale wtedy właśnie w powietrzu rozległ się metaliczny odgłos dzwonek wietrznych. Kilka chwil później dołączyły do nich kolejne, aż zapanował całkiem spory hałas.

– Co to? – spytałem.

Sir Stuart odwrócił się i ruszył w stronę, z której przyszliśmy, a ja pośpieszyłem za nim. W sąsiednim pokoju pod sufitem wisiały dziesiątki dzwonek wietrznych. Wszystkie się kołysały, szeptały i grały, choć powietrze się nie poruszało.

Sir Stuart sięgnął po topór, a ja nagle zrozumiałem, na co patrzę.

To był system alarmowy.

– Co się dzieje?

– Kolejny atak. Mamy mniej niż trzydzieści sekund. Chodź ze mną.

## Rozdział piąty

– Do broni! – ryknął sir Stuart. – Znów na nas nacierają, chłopcy!

Dźwięczenie dzwonków wietrznych zabrzmiało ze zdwojoną mocą, kiedy ze ścian i podłogi domu ektomanty wyłoniły się postacie. Pojawiały się niespodziewanie jak... no tak, duchy. Jasne.

Jeszcze przed chwilą w pomieszczeniu byliśmy tylko ja i sir Stuart, a oto nagle kroczyliśmy na czele istnej zbrojnej bandy. Pozostali nie byli tak wyraźnie zarysowani i realni jak sir Stuart, wydawali się bardziej postrzępieni i rozmyci. Choć sir Stuarta widziałem wyraźnie, patrzenie na pozostałych przypominało wpatrywanie się w kogoś idącego po drugiej stronie ulicy w wyjątkowo silnej ulewie.

Duchów broniących domu Morta nie łączył żaden określony motyw. Wyglądali tak eklektycznie, że robili wrażenie personelu muzeum historii Stanów Zjednoczonych w kostiumach z epoki.

Żołnierze w kolorowych mundurach z czasów wojny o niepodległość sąsiadowali z odzianymi w jelenie skóry drwałami, traperami i Indianami z wojen poprzedzających deklarację niepodległości. Farmerzy z czasów wojny secesyjnej stali ramię w ramię ze sklepikarzami z przełomu dziewiętnastego i dwudziestego wieku. Mężczyźni w garniturach, niektórzy ze strzelbami, a inni z pistoletami maszynowymi, ruszali do ataku, najwyraźniej zapomniawszy o bolesnych podziałach z epoki prohibicji. Piechociarze z okresu pierwszej wojny maszerowali z oddziałem czarnoskórych kawalerzystów, a za nimi podążało pół tuzina prawdziwych, uzbrojonych w rewolwery kowbojów w długich brezentowych płaszczach, jak również grupa trepów, których mundury wskazywały na piechotę z czasów wojny w Wietnamie.

– Hm – mruknąłem. – Czegoś takiego nie ogląda się codziennie.

Nie zatrzymując się w marszu, sir Stuart wydobyl z za pasa stary pistolet i sprawdził go.

– Wiele lat spędziłem w tym mieście. Wiele, bardzo wiele nocy. Aż do niedawna zgodziłbym się z tobą.

Zanim dotarliśmy do frontowych drzwi i przeszliśmy przez nie, obejrzałem się na

małą armię sir Stuarta.

– Ja... a niech to diabli, to bardzo dziwne uczucie... domyślam się, że dostrzegasz jakiś wzorzec.

– To piąta noc z kolei, kiedy nas atakują – odparł sir Stuart, kiedy znaleźliśmy się na ganku. – Schowaj się za mną, Dresdenie. I trzymaj się z dala od mojego topora.

Zrobił jeszcze krok i zatrzymał się, a ja stanąłem kawałek za jego plecami, nieco po lewej. Sir Stuart, który w swoim czasie musiał być uważany za olbrzyma, był zaledwie kilka centymetrów niższy ode mnie. Musiałem się wyciągnąć, żeby coś zza niego zobaczyć.

Na ulicy tłoczyły się milczące postacie.

Gapiałem się na nie przez chwilę, próbując zrozumieć, na co patrzę. Na drodze stały dziesiątki, może nawet parę setek upiorów podobnych do tego, którego sir Stuart pozbył się wcześniej. Były obwisłe, jakimś sposobem wydawały się zapadnięte i miękkie, jak nie do końca nadmuchane balony – smutne, przerażające humanoidalne postacie, ich oczy i usta zbyt wielkie, zbyt ciemne i zbyt puste, by były prawdziwe. Jednakże zamiast zbliżyć się do nas, po prostu stały tam w równych szeregach, pochylone nieco do przodu, z ramionami wyciągniętymi trochę do góry, jakby wzdychały do domu, choć ich ręce robiły wrażenie wiotkich i pozbawionych siły, a palce rozplywały się w bezkształtne strzępy.

– Powiedz mi, magu – odezwał się sir Stuart. – Co widzisz?

– Cholernie dużo upiorów – szepnąłem. – Z którymi nie umiem walczyć. – Żaden z nich nie wydawał się tak zabójczo skupiony, jak sir Stuart i jego ekipa, ale było ich naprawdę dużo. – Coś je pobudza.

– Ach. – Obejrzał się przez ramię i spojrzał na mnie zmrużonymi oczyma. – Myślałem, że tacy jak ty widzą wyraźnie.

Zmarszczyłem czoło i znów popatrzyłem na morze upiorów. Wpatrywałem się tak przez dłuższą chwilę, skupiając się, jak się tego nauczyłem podczas niezliczonych godzin ćwiczeń – i nagle je zobaczyłem. Ciemne, ślizgające się kształty, poruszające się na tyłach szeregów upiorów. Wyglądały trochę jak ludzie okryci ciemnymi, obszernymi płaszczami i szatami, ale prześlizgiwały się z bezgłośnym, swobodnym wdziękiem, przywodzącym mi na myśl rekiny, które poczuły krew w wodzie i gromadzą się na ucztę.

– Jest ich cztery... pięć, sześć – powiedziałem. – W tylnych szeregach.

– Dobrze. – Sir Stuart pokiwał głową. – To prawdziwy wróg, chłopcze. Te biedne upiory to ich psy.

Od bardzo dawna nie czułem się tak zagubiony.

– Yyy. Czym one są?

– Lemury. – Wymówił to słowo po łacinie. – Cienie, które zwróciły się przeciwko Opatrzności i oddały się złu i wściekłości. Nie znają litości ani powściągliwości, ani...

– Strachu? – domyśliłem się. – One w każdym przypadku nie znają strachu.

Sir Stuart obejrzał się przez ramię i uderzył drzewcem topora o dłoń, a jego usta wygięły się w ostrym, wilczym uśmiechu.

– Nie, chłopcze. Kiedyś może były go nieświadome. Ale okazało się, że szybko się uczą, kiedy podniosły rękę na ten dom. – Znów odwrócił się twarzą do ulicy i zawołał: – Na pozycje!

Duchy, które przysły za nami, przepłynęły wokół nas, nad nami i – drgnąłem, kiedy to zobaczyłem – pod nami. W ciągu kilku sekund rozproszyły się w szyku obronnym o kształcie połowy kopuły między domem a zgromadzonymi upiorami i lemurami. Później te milczące postacie stanęły spokojnie, niezależnie od tego, czy wspierały stopy na ziemi, w powietrzu, czy też gdzieś tuż pod powierzchnią, i z bronią w ręku stawiały czoło zebranej hordzie.

Napięcie wciąż rosło, a gorączkowe, udęczone jęki upiorów stawały się coraz głośniejsze.

– Yyy. – Moje serce biło coraz szybciej. – Co mam robić?

– Nic. – Sir Stuart skupiał się na tym, co działo się przed nim. – Trzymaj się blisko mnie, ale nie wchodź mi w drogę.

– Ale...

– Widzę, że byłeś wojownikiem, chłopcze. – Głos Stuarta brzmiał surowo. – Ale teraz jesteś dzieckiem. Nie masz ani wiedzy, ani narzędzi niezbędnych do przeżycia.

Odwrócił się i posłał mi mordercze spojrzenie, a niewidzialna siła dosłownie odepchnęła moje stopy kilkanaście centymetrów w głąb ganku. Cholera. Stuart może i nie był magiem, ale ja najwyraźniej musiałem się jeszcze nauczyć, jak po upiornej stronie ulicy potężna siła woli przekładała się na moc.

– Trzymaj się blisko mnie – powtórzył żołnierz. – I zamknij się.

Przełknąłem ślinę, a sir Stuart znów odwrócił się do przodu.

– Nie musisz się zachowywać jak dupek – mruknąłem. Bardzo cicho.

Martwiło mnie, że miał rację. Bez pomocy sir Stuarta już byłbym znowu martwy.

Tak jest, nie przesłyszeliście się – już byłbym znowu martwy.

Pomyślcie tylko. Jak popieprzone musi być życie (po życiu albo i nie), skoro trzeba używać takich wyrażen?



Pozwoliłem sobie na pół sekundy obrzydzenia, że wszechświat znów najwyraźniej zadał sobie wyjątkowo dużo trudu, by zwrócić się przeciwko mnie, ale tak naprawdę w stanie krytycznym znajdowała się moja duma. Byłem przyzwyczajony, że to ja jestem tym gościem, który walczy i chroni. Strach był drewnem na opał, mięsem i ziemniakami, kiedy to ja rozdawałem karty. Ale teraz...

To była groza z wyjątkowo nieznanego rocznika – byłem bezradny.

Bez ostrzeżenia rozległy się świszczące, miazdzące bębni wrzaski i horda upiorów ruszyła na nas gwałtowną falą wśród zduszonych jęków.

– Dawajcie, chłopaki! – ryknął sir Stuart, a jego głos wzniósł się ponad kakofonię krzyków, wyraźny jak trąbka.

Obrońcy zaczęli widmowy ostrzał. Dym ze spalonego prochu ponownie zastąpiła kolorowa mgiełka. W miejsce kul frunęły emanujące ostrym blaskiem sfery. A zamiast hałasu wybuchów materiału miotającego i pocisków przebijających barierę dźwięku rozległo się basowe dudnienie, odbijające się echem długo po tym, jak ucichłby odgłos normalnego strzału.

Przez zgromadzone upiory przeszła fala zniszczenia, zniekształcone światło i dźwięk wyrywały w nich wielkie, poszarpane otwory, wypełniając powietrze wyblakłymi, wypaczonymi obrazami, gdy ich nikłe wspomnienia rozplływały się w pasma chmur pochłaniane przez noc. Padały całymi dziesiątkami – a i tak pozostało ich mnóstwo. Upiory otoczyły Historyczne Stowarzyszenie Obrony Domu Lindquista – i to było nie w porządku.

Oddziały sir Stuarta zareagowały jak żołnierze, którymi kiedyś byli. Pojawiły się miecze i szable, jak również sztylety, kastety i noże Bowie. Upiory napierały na nich z powolnym, pełnym wdzięku, przerażającym impetem i były rozrąbywane, dżgane, uderzane, tłuczone i na inne sposoby niszczone – ale napastników było naprawdę dużo.

Usłyszałem głuchy krzyk, który brzmiał, jakby dochodził z odległości paru przecznic, a kiedy podniosłem wzrok, zobaczyłem sześć upiorów atakujących widmowego piechociarza z pierwszej wojny, chudego chłopaka w obwisłym mundurze. Choć cios bagnetem właściwie przeciął jedną z istot na połowę, pozostała piątka po prostu zaczęła się o niego, z początku czubkiem jednego palca, za którym ślepo podążyły kolejne. Kolejny upiór zginął, kiedy młody żołnierz wyciągnął nóż. Ale wtedy wszystkie te poszarpane palce zaczęły owijać się wokół niego, niewiarygodnie się wydłużając, aż po kilku chwilach wyglądał jak ofiara rozległych popatrzeń owinięta ciężkimi, brudnymi bandażami.

Upiory zbliżały się coraz bardziej, ich obwisłe ciała ścisnęły się, aż właściwe przestały przypominać ludzkie postacie, a wtedy z nagłym wrzaskiem poleciały w cztery różne strony jako bardziej materialne, niebezpieczne z wyglądu kształty, pozostawiając za sobą półprzezroczysty zarys młodego mężczyzny wrzeszczącego w udęce.

Na moich oczach nawet i ten obraz zbladł, po kilku sekundach nie pozostało już nic. Poczuję ścisnienie w żołądku.

– Niech będą przeklęte ich puste oczy – powiedział sir Stuart. – Niech będą przeklęci.

– Na wszystkie dzwony piekieł – wychrypiałem. – Dlaczego... Nie mogłeś ich powstrzymać?

– Lemury – rzucił. – Nie mogę dać im szansy, by mnie wyminęły i dostały się do domu.

Zamrugalem.

– Ale... próg... Nie mogą.

– Zrobiły to pierwszej nocy. Wciąż nie wiem, jakim sposobem. Nie mogę opuścić ganku, bo się przedostaną. A teraz zamilcz. – Poruszył palcami i zacisnął je na drzewcu topora. – Zaczyna się.

Podczas gdy upiory atakowały i owijały obrońców domu, sir Stuart przeszedł na szczyt schodków prowadzących na ganek i zaparł się o ziemię. Na ulicy widmowe sylwetki lemurów znieruchomiały, każdy z nich przykucnął jak drapieżnik gotowy do skoku.

Kiedy się zaczęło, wszystko przebiegło bardzo szybko. Nie tak szybko, jak puma atakująca jelenia ani nawet samochód, nad którym kierowca utracił panowanie. Były szybkie jak pociski. Lemury jeszcze przed ułamkiem sekundy znajdowały się na ulicy, a oto nagle unosiły się w powietrzu przed gankiem, jakby wcale nie musiały przebyć dzielącej ich odległości. Zdażyłem jedynie jęknąć i wzdrygnąć się całym ciałem w czystym odruchu zaskoczenia.

Ale sir Stuart był szybszy.

Pierwszy nacierający lemur nadział się na drzewce topora sir Stuarta, a cios ten sprawił, że przekoziółkował do tyłu. Drugi i trzeci zaatakowały w tej samej chwili, a wtedy topór zakreślił łuk jak kosa, tnąc oba i odrzucając je do tyłu przy akompaniamencie wysokich, przeraźliwych wrzasków. Czwarty lemur uderzył kościstą pięścią w szczękę sir Stuarta, wytrącając go z równowagi i zmuszając do przyklęknięcia na jedno kolano. Ale kiedy lemur próbował pójść za ciosem, Stuart

wyjął zza pasa błyszczący nóż, który zamigotał opalizującym blaskiem, kiedy żołnierz ciał stwora po skosie na wysokości brzucha.

Piąty lemur się zawahał, wyglądał, jakby w połowie podwórka przerwał swoje błyskawiczne natarcie. Stuart ryknął i rzucił nożem. Trafił w cel, a lemur gwałtownie zwinął się w sobie i wył jak pozostałe, do chwili, gdy nóż wypadł z jego widmowego ciała i padł na zaśnieżoną ziemię.

Pięć rannych lemurów uciekło z wrzaskiem przed sir Stuartem. Szósty przyciał się na chodniku znieruchomiały w niezdecydowaniu.

– Tchórz – warknął sir Stuart. – Jeśli nie wiesz, jak skończyć, nie zaczynaj.

Uznałem, że biorąc pod uwagę całą sytuację, Stuart był trochę zbyt surowy wobec stwora. Nie było tchórzostwem powstrzymanie się od ataku na potężnego przeciwnika, który przed chwilą spuścił łomot jego kumplom. Może istota była po prostu bystrzejsza niż pozostałe.

Nie miałem okazji się dowiedzieć. To sir Stuart błyskawicznie przeszedł przez trawnik do ostatniego lemura, tyle tylko że jego natarcie nie zakończyło się przed przeciwnikiem, a dwa metry za nim. Lemur szarpnął się w instynktownej reakcji zaskoczenia, którą ja sam przeżyłem przed chwilą.

Później głowa spadła mu z ramion razem z kapturem, rozmywając się w migoczące węgielki wspomnień. Bezgłowe ciało oszalało, jakimś sposobem wydało z siebie wrzask, wierzgało i kopało, a w końcu upadło na ziemię, z jego obciętej szyi popłynął szarobiały ogień.

Obrońcy domu, którzy nie przerywali walki, wydali triumfalny okrzyk, a upiory, które nagle stały się powolne i apatyczne, ginęły rozszarpane. Sytuacja na polu bitwy zmieniła się diametralnie. Sir Stuart w odpowiedzi uniósł topór nad głowę, niemal od niechcienia podszedł od tyłu do upiora i zdjął mu głowę z karku.

I wtedy na ulicy, jakieś trzy metry za nim, znikąd pojawiła się postać, równie materialna i prawdziwa jak sir Stuart, sylwetka otulona mglistym szarym płaszczem, z oczami pełnymi zielono-białego ognia. Uniosła coś, co wyglądało jak szponiasta ręka, i posłała błyskawicę w plecy sir Stuarta.

Sir Stuart krzyknął z bólu, jego ciało mimowolnie się naprężyło, mięśnie spięły się jak u istoty ludzkiej na krześle elektrycznym. Wyglądało to tak, jakby błyskawica przyczepiła się do jego kręgosłupa, a później wypaliła linię wzdłuż prawej kości biodrowej, spopielaając i wyrzucając kawałki widmowego ciała w powietrze.

– Nie! – krzyknąłem, kiedy upadł.

Pobiegłem w jego stronę.

Żołnierz przetoczył się, kiedy uderzył w ziemię, i podniósł się z tym swoim absurdalnie wielkim starym pistoletem w dłoni. Wycelował go w Szare Widmo, a jego broń znów wypuściła z siebie chmurę eterycznych barw i malutkie, niszczycielskie słońce.

Ale mglista szara postać uniosła dłoń i kula odbiła się od powietrza przed nim, trafiając pechowego, rannego upiora, który próbował się wycofać. Upiór natychmiast rozpląnął się tak jak ten pierwszy – a sir Stuart patrzył z otwartymi ustami na Szare Widmo.

Magia. Szare Widmo używało magii. Biegając do przodu, czułem jego wibrującą energię w powietrzu, wyczuwałem woń w chłodnym wietrze znad jeziora. Nie poruszałem się z nadnaturalną szybkością ducha. Po prostu biegłem po twardej ziemi, przeskoczyłem nad płotem, przebiegłem prosto przez samochód zaparkowany na ulicy (auć, wrrrr!) i posłałem swój najlepszy morderczy prawy krzyżowy w miejsce, które uznałem za brodę Szarego Widma.

Moja pięść trafiła w coś, co wydawało się materialnym ciałem, krzepiąco znajome zderzenie sprawiło, że poczułem falę bólu sięgającą od nadgarstka do łokcia. Szare Widmo się zatoczyło, a ja nie odpuszczałem. Posłałem w okolice jego brzucha parę sierpowych i piekielny hak, a później mocno walnąłem w szyję.

Nie jestem mistrzem sztuk walki. Ale trochę podłapałem w czasie ćwiczeń z Murphy i innymi gliniarzami z WDS w należącej do Dough Joego siłowni Hurricane Gym. W prawdziwej walce nie chodzi wcale o formę i technikę, ale głównie o wycucie czasu i gotowość, by zrobić komuś krzywdę. Jeśli człowiek wie, kiedy mniej więcej zmniejszyć dystans i zadać cios, przeważnie to wystarczy. Ale jeszcze ważniejsze jest właściwe nastawienie. Cała technika świata nie pomoże, jeśli zaczyna się walkę bez gotowości, by spuścić łomot temu drugiemu gościowi.

Szare Widmo zatoczyło się do tyłu, a wtedy podciąłem mu nogę. Upadło. Zacząłem kopać najmocniej, jak umiałem, wrzeszczałem, wbijałem palce u nogi w jego żebra i cofałem, a później przesunąłem się i zacząłem deptać jego głowę ciężkim turystycznym butem. Nie odpuszczałem, nawet na chwilę. Gdyby ten stwór sięgnął znów po magię, poradziłby sobie ze mną równie dobrze, jak z sir Stuartem. Dlatego skupiałem się na próbie zmiażdżenia czaszki wroga i nie przerywałem kopania.

– Pomocy! – warknęło Szare Widmo.

Pojawił się rozbłysk niebieskiego światła i w moją pierś uderzyło coś, co wydawało się kulą do wyburzeń z piankowych materacy. Odrzuciło mnie do tyłu i znów przeleciałem przez samochód (na wszystkie dzwony piekieł, auć!). Wylądowałem na

plecach, widziałem przed sobą wszystkie gwiazdy i nie umiałem sobie przypomnieć, jak oddychać.

Pobliski upiór zwrócił puste spojrzenie w moją stronę, a nagłe przerażenie sprawiło, że poderwałem się na równe nogi. Podnosząc się, zauważyłem, że Szare Widmo też wstaje. Wpatrzyło się we mnie tymi zielono-białymi oczami.

W powietrzu obok ducha unosiła się... czaszka.

Czaszka z zimnymi niebieskimi płomieniami migoczącymi w pustych oczodołach.

– Chyba jaja sobie robisz – szepnąłem. – Bob?

– Ty! – wysyczał duch.

Jego dłonie zmieniły się w szpony i zasyczał z wściekłości – i strachu.

Trzasnął kurek pistoletu sir Stuarta.

Szare Widmo wydało z siebie wrzask frustracji i po prostu rozerwało się na tysiące pasemek mgiełki, zabierając ze sobą latającą czaszkę. Pasma zakłębiły się jak miniaturowa trąba powietrzna, poleciały ulicą i zniknęły, pozostawiając za sobą setkę głosów wykrzykujących setkę przekleństw.

Rozejrzałem się dookoła. Ostatnie upiory ginęły albo uciekły. Obrońcy domu, w większości ranni i krwawiący bladą ektoplazmą i migoczącymi wspomnieniami, wciąż stali na pozycjach. Sir Stuart przyciskał rękę do boku, a drugą unosił pistolet wycelowany w powietrze w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą znajdowało się Szare Widmo.

– Ach. – Kiedy stało się jasne, że walka się skończyła, oklapł. – Cholera jasna. To pozostawi ślad.

Podszedłem do niego.

– Wszystko w porządku, stary?

– Ano, chłopcze. Ano. Coś ty próbował zrobić? Dać się zabić?

Spiorunowałem go wzrokiem.

– Nie ma za co. Cieszę się, że mogłem pomóc.

– Prawie dałeś się zniszczyć. Jeszcze sekunda, a ten stwór rozwalilby cię na kawałki.

– Jeszcze sekunda, a wpakowałbyś mu kulkę w łeb.

Sir Stuart od niechcienia wycelowwał we mnie i pociągnął za spust. Pojawiły się iskry, kiedy kurek uderzył o stal... i nic się nie stało.

– Blefowałeś? – spytałem.

– Ano. To pistolet ładowany od przodu. Trzeba go ponownie naładować, jak porządną broń. – Sięgnął do pozostałości zabitego upiora, a wtedy do jego palców

popłynęły błyski światła i wspomnień. Kiedy odzyskał już wszystko, westchnął i potrząsnął głową. Wyglądał, jakby wróciło mu trochę siły. – Dobrze, chłopcze. Pomóż mi się podnieść.

Zrobiłem to. Brzuch sir Stuarta po prawej stronie był o wiele bardziej przezroczystry niż wcześniej, a mężczyzna poruszał się, jakby czuł tam ból.

– Kiedy wrócą? – spytałem go.

– Jutro w nocy, jak mniemam. I będzie ich więcej. Wczoraj w nocy mieli cztery lemury. Dziś było ich sześć. A ten siódmy... – Pokręcił głową i zaczął ponownie ładować pistolet prochem z rogu, który nosił na pendencie u boku. – Wiedziałem, że coś silniejszego musiało zbierać razem te cienie, ale nie przypuszczałem, że to czarownik. – Skończył ładować broń, schował stempel i powiedział: – Podaj mi topór, chłopcze.

Przyniosłem go i podałem. Wsunął drzewce w pierścień na pasie i pokiwał głową.

– Dziękuję.

Dudnienie sprawiło, że odwróciłem się w stronę domu.

Mężczyzna, krępy, w ciemnej bluzie z kapturem i starych dżinsach, w wielkich łapach trzymał łom. Wepchnął jeden koniec w przestrzeń między drzwiami a futryną i wypraktykowanym, mocnym szarpnięciem wyrwał drzwi z ościeżnicy.

Sir Stuart wystrzelił bez wahania. Podobnie widmowi obrońcy domu. Na mężczyznę spadł huragan widmowej mocy – i przeszedł przez niego. Do diabła, mężczyzna wyglądał, jakby niczego nie zauważył.

– Śmiertelnik – sapnął sir Stuart. Zrobił krok do przodu, jęknął z bólu i złapał się za bok. Zacisnął zęby. – Dresdenie – wydyszał. – Nie powstrzymam śmiertelnika. Nic nie mogę zrobić.

Zakapturzony intruz złapał łom lewą ręką, a prawą wyciągnął zza bluzy krótki rewolwer.

– Idź – polecił Stuart. – Ostrzeż Mortimera. Pomóż mu!

Zamrugalem. Mortimer wyraźnie dał mi do zrozumienia, że nie chce mieć ze mną do czynienia – i jakaś dziecinna część mojej natury chciała rzucić, że odwrócenie się plecami byłoby uczciwe. Ale mądrzejsza, bardziej racjonalna część mnie przypomniwała mojemu wewnętrznemu dziecku, że bez Morta mogę nie nawiązać kontaktu z nikim w mieście. Mogę nie odnaleźć tego, kto mnie zabił. Mogę nie ochronić przyjaciół.

I jeszcze coś. Nie pozwala się, żeby ludzie wyważali drzwi innych ludzi i mordowali ich we własnych domach. Po prostu tak się nie robi.

Poklepałem Stuarda po ramieniu i pobiegłem z powrotem w stronę małego domu i jego małego właściciela.

## Rozdział szósty

Intruz znacznie mnie wyprzedzał, ale miałem nad nim przewagę. Już wcześniej byłem w tym domu. Znałem rozkład pomieszczeń i wiedziałem, gdzie zadekował się Mort.

Och. A do tego mogłem przebiegać przez cholerne ściany.

Oczywiście sędzę, że zabawniej byłoby zostać Colossusem niż Shadowcat. Ale trzeba brać, co dają, a każdy dzień, w którym ma się moce X-Mana, nie może być aż tak zły. Prawda?

Zacisnąłem zęby i przebiłem się przez ścianę do kuchni Morta, po czym pobiegłem w stronę gabinetu, kilkanaście kroków przed bandziorem.

– Mort! – krzyknąłem. – Mort, tym razem sprowadzili ze sobą bandytę! Po twoim domu biega gość z rewolwerem!

– Co? – spytał Mort zza pokrytych duchowym pyłem drzwi. – Gdzie Stuart?

– Do diabła, Mort, jest ranny! – zawołałem.

Na chwilę zapanowało milczenie, po czym Mort odezwał się z wyraźną konsternacją:

– Jak do tego doszło?

Robiłem się niecierpliwy.

– Skup się, Mort! Słyszałeś mnie? Po twoim domu biega cholerny gość z rewolwerem!

W jego głosie po raz pierwszy zabrzmiał prawdziwy niepokój.

– Kto?

Bandyta usłyszał krzyki Morta. Ruszył w stronę drzwi do gabinetu, jak na kogoś tak potężnego poruszał się bardzo zwinnie. Mogłem mu się lepiej przyjrzeć i zauważyłem, że jego ubranie jest obszarpane i brudne, podobnie jak on sam. Śmierdział, na tyle mocno, że zauważyłem to nawet w swoim stanie, a oczy miał szeroko otwarte i szalone, spojrzenie krążyło dookoła jak u ćpuna, który naszprycował się czymś, co go maksymalnie uwrażliwia na otoczenie. Co jednak nie wpływało na jego rękę z bronią. Półautomat, który ścisnął w wielkiej pięści, wydawał się dość stabilny, by wykonać swoje zadanie.



– Mort! – zawołałem. – W tej właśnie chwili zbliża się do drzwi twojego gabinetu! Po prostu weź broń i wyceluj w drzwi, a ja powiem ci, kiedy strzelić!

– Nie mam broni! – krzyknął Mort.

Zamrugalem.

– Że co?

– Jestem ektomantą, nie bohaterem kina akcji! – Usłyszałem, jak przez chwilę kręci się po gabinecie, po czym powiedział: – No tak. Odciepli telefon.

Bandzior zaśmiał się cicho i burkliwie.

– Jesteś poszukiwany, człowieczku. – Jego głos wydawał się zgniły, zakrzepły, jak coś, co od dawna nie było żywe. – Wydano rozkaz. Możesz pójść ze mną i nie będzie bolało. Albo zostaniesz tutaj i będzie.

– Dresdenie! – zawołał Mort. – Co mam robić?

– Teraz to chcesz ze mną rozmawiać!

– To ty znasz się na tym całym cholernym chaosie! – wrzasnął Mort.

– Będę liczył, człowieczku – powiedział bandyta. – Pięć.

– Przetrawanie chaosu zależy od przygotowania! – odkrzyknąłem. – Wiesz, takie drobiazgi jak posiadanie spluwy!

– Z samego rana kupię sobie broń!

– Cztery!

– Mort, na pewno coś możesz zrobić. Na wszystkie dzwony piekieł, za każdym razem, kiedy wpadłem na ducha, próbował mi wyrwać płuca! Mówisz mi, że żaden z twoich nie może nic zrobić?

– Są zdrowe na umyśle! – odkrzyknął Mort. – Dla ducha interakcja ze światem materialnym jest szaleństwem. Zdrowe na umyśle duchy nie zachowują się jak szaleńcy.

– Trzy! – skandował napastnik.

– Odejdź! – krzyknął do niego Mort.

– Musi być coś, co mogę zrobić! – ryknąłem.

– To nie ja ustalam zasady, dobra? Duch może się zmaterializować jedynie wtedy, kiedy jest szalony!

– Dwa! – krzyknął bandyta, a w jego głosie zabrzmiała ekscytacja.

Rzuciłem się przed wariata i wrzasnąłem:

– Uuu!

Zamachałem rękami przed jego twarzą, jakbym próbował go spoliczkować.

Nic się nie stało.

– Pewnie liczyłem na zbyt wiele, co?! – zawołał nieprzekonująco Mort.

– Jeden – wymruczał mężczyzna.

Następnie odchylił się do tyłu i kopnął ciężkim butem w drzwi. Potrzebował trzech kopniaków, żeby futryna popękała, a drzwi poleciały do środka.

Mort czekał po drugiej stronie z kijem golfowym w ręku. Bez żadnych wstępów i z pełną determinacją zamachnął się w stronę bandziora. Mężczyzna uniósł rękę, ale drewniany koniec kija przynajmniej częściowo ominął osłonę i intruz zatoczył się o krok.

– To twoja wina, Dresdenie – warknął Mort i znów zamachnął się kijem.

Trafił napastnika prosto w pierś, a później w ramię. Mężczyzna przyjął kolejny cios na przedramię i zamachnął się na oślepa w stronę Morta. Trafił i Mort poleciał na tyłek.

Bandyta przycisnął rękę do krwawiącej rany na głowie i wrzasnął, jego wycie bólu było całkowicie nieproporcjonalne do obrażeń. Przewrócił oszalałymi oczami i uniósł broń, by wycelować w niskiego mężczyznę.

Poruszyłem się instynktownie, bez sensu rzuciłem się między broń a ektomantę. Potknąłem się o kawałek pomalowanych duchowym pyłem drzwi, poleciałem na Morta i...

...zatonąłem w nim.

Nagle zobaczyłem świat w pełnym technicolorze. Tu było tak ciemno, a bandzior był ogromnym, groźnym cieniem, który stał nade mną. Jego głos był ohydny i tak głośny, że bolały mnie uszy. Smród – niemyte ciało i jeszcze gorsze rzeczy – wywoływał mdłości, wypełnił moje nozdrza jak obrzydliwy piankowy granulat. Widziałem, jak dłoń mężczyzny zaciska się na spuście, i uniosłem rękę...

Moją okrytą czarną tkaniną, raczej krótką rękę.

– *Defendarius!* – warknąłem w udawanej łacinie.

Stare zaklęcie obronne, którego nauczyłem się od swojego pierwszego nauczyciela, Justina DuMorne'a. Poczulem, jak wypełnia mnie magia, wypływa przez ramię, w powietrze, dokładnie w chwili, kiedy rewolwer zaczął strzelać, raz za razem, jakby w głowie napastnika pękł jakiś ogranicznik.

Z migoczącej niebieskiej płaszczyzny, która utworzyła się przed moimi wyciągniętymi palcami, leciały iskry, a kule i fragmenty kul rozpadały się i rykoszetowały po pokoju. Jedna z nich pozostała mniej więcej w jednym kawałku i wbiła się w łydkę mężczyzny. Nagle poleciał na bok, ale wciąż naciskał na spust, aż wystrzelał wszystko.

Poczułem, jak moje usta się poruszają, a głos Morta – głos rezonujący i władczy, jaki rzadko miałem okazję słyszeć, powiedział:

– Złaź ze mnie!

Nawet gdybym został wyrzucony z katapulty, wątpię, bym poruszał się szybciej. Poleciałem do góry – i uderzyłem boleśnie w pomalowany duchowym pyłem sufit gabinetu. Odbiłem się i upadłem na równie twardą podłogę. Przez chwilę leżałem oszołomiony.

Napastnik podniósł się, dysząc ciężko i szybko, a z jego obwisłych ust ciekła ślina. Podniósł kij golfowy, który wypadł z palców Morta, i ruszył w jego stronę.

Mort wpatrzył się w intruza i odezwał się, a jego głos emanował tą samą niewzruszoną mocą.

– Do mnie!

Poczułem nagle przyciąganie, równie subtelne i niezaprzeczalne jak grawitacja, i musiałem się zaprzeć, żeby nie zacząć się ślizgać po podłodze w jego stronę.

Pojawiły się inne duchy, wpadały przez zmiążdżone drzwi jak porwane przez tornado. W Morta wniknęło pół tuzina cieni Indian, a kiedy napastnik zamachnął się kijem golfowym, ektomanta wydał z siebie cichy okrzyk, uchylił się przed ciosem zwinniej, niż miał prawo jakikolwiek mężczyzna w jego wieku i kondycji, złapał bandytę za nadgarstek i przetoczył się do tyłu, ciągnąc go za sobą. Wbił pięty w brzuch intruza i napał, co było klasyczną techniką walki indiańskich plemion, i rzucił mężczyznę o ścianę.

Napastnik podniósł się, gotując się z wściekłości, spojrzenie miał już całkowicie oszalałe, ale Mort zdążył przejść przez pokój i zdjąć ze stojaka na ścianie bardzo stary, podniszczony topór. Dopiero po chwili mój oszołomiony umysł zarejestrował, że broń wyglądała dokładnie tak samo jak ta, którą posługiwał się sir Stuart, jeśli pominąć dzielące je parę setek lat.

– Stuart! – zawołał Mort, a jego głos rezonował w mojej piersi, jakby pochodził z megafonu z podbiciem basów.

Zauważyłem poruszenie, a później przez drzwi wpadł sir Stuart, jakby popychany potężną wichurą, i przez chwilę nakładał się na znacznie drobniejszego Morta.

Napastnik zamachnął się kijem, ale Mort zwinnym ruchem przyjął cios na drzewce topora. Bandzior pochylił się, by dzięki swojej znacznie większej masie i sile po prostu przytłoczyć niższego mężczyznę i popchnąć go na podłogę.

Ale nie udało mu się.

Mort powstrzymał go, jakby miał siłę znacznie większego, znacznie młodszego,

znacznie zdrowszego mężczyzny. A może mężczyzn. Przez pięć czy sześć sekund utrzymywał zaskoczonego intruza w całkowitym bezruchu, a później naparł, przekręcił się z pełną siłą ramion, bioder i nóg, i obuchem topora wyrwał kij z łap napastnika. Mężczyzna próbował uderzyć go pięścią w twarz, ale Mort najpierw zablokował cios płazem żelźca, a później z niemal pogardliwą precyzją uderzył twarz napastnika tępą górną krawędzią topora.

Intruz zatoczył się do tyłu, na co Mort zareagował z odruchami i zdecydowaniem niebezpiecznego, wyszkolonego wojownika. Trafił drzewcem w kolano napastnika, aż rozległ się ostry trzask, a w chwili gdy mężczyzna zaczął się przewracać, uderzył go płazem w szczękę. Cios trafił w cel z głośnym łupnięciem i kolejnym trzaskiem, a bandzior padł jak przysłowiowa kłoda.

Mortimer Lindquist, ektomanta, przykucnął ostrożnie nad powalonym szaleńcem, jego wzrok nie skupiał się na niczym, kiedy poruszał głową w prawo i w lewo, oceniając sytuację.

Później westchnął i wypuścił powietrze. Żelźce opadło i z cichym stuknięciem uderzyło o podłogę. Cienie odchodziły, strzegące go duchy wydobywały się ostrożnie, większość od razu zniknęła. Po kilku sekundach pozostaliśmy już tylko ja i sir Stuart, który sprawiał wrażenie wyczerpanego.

Mort usiadł na podłodze, zwiesił głowę i ciężko dyszał. Na jego łysej głowie wyraźnie rysowały się żyły.

– Na wszystkie dzwony piekieł. – Westchnąłem.

Popatrzył na mnie ze zmęczoną miną i wzruszył ramionami.

– Nie mam spluwy – wysapał. – Nigdy nie wydawała mi się niezbędna.

\* \* \*

– Minęło sporo czasu, od kiedy ostatnio to robiłeś, Mortimerze. – Sir Stuart siedział pod ścianą, farba z duchowym pyłem podtrzymywała jego ciało. – Myślałem, że już zapomniałeś, jak się to robi.

Mort uśmiechnął się słabo do rannego ducha.

– Ja też tak sądziłem.

Zmarszczyłem czoło i pokręciłem głową.

– Czy to... czy to przed chwilą to było opętanie? Kiedy duchy przejęły twoje ciało?

Sir Stuart prychnął.

– Nie, chłopcze. Jeśli już, to coś zupełnie przeciwnego.

– Doceń mnie choć odrobinę, Dresdenie. – Głos Morta brzmiał kwaśno. – Jestem ektomantą. Czasem muszę sobie pożyczyć coś, co duch wie albo umie. Ale to ja panuję nad duchami, nie one nade mną.

– Jak sobie poradziłeś z rewolwerem? – W głosie Stuarta zabrzmiało swego rodzaju zawodowe zainteresowanie.

– Ja... – Mort popatrzył na mnie.

– Magia – wyjaśniłem cicho. W głowie wciąż mi dzwoniło, ale przynajmniej mogłem już składać pełne zdania. – Ja... tak jakby wpadłem na niego i przywołałem tarczę.

Sir Stuart uniósł brwi.

– Hm.

– Musiałem na chwilę pożyczyć twoje umiejętności – powiedział sztywno Mort. – Doceń to.

– Nie ma za co. Daj mi tylko kilka godzin swojego czasu. Będziemy kwita.

Mort wpatrywał się we mnie przez chwilę.

– Jesteś tu od dwudziestu minut, a ja już prawie zginąłem, Dresdenie. Jezu, nie rozumiesz? – Pochylił się. – Nie jestem krzyżowcem. Nie jestem szeryfem Chicago. Nie jestem przeklętym, marzącym o śmierci Donkiszotem. – Potrząsnął głową. – Jestem tchórzem. I dobrze mi z tym. Dobrze mi to w życiu posłużyło.

– Właśnie uratowałem ci życie, stary.

Westchnął.

– Aha. Ale... jak mówiłem. Tchórz. Nie mogę ci pomóc. Znajdź sobie kogoś innego, kto będzie twoim Pansą.

Stałem tak przez chwilę, czując ogromne zmęczenie.

Kiedy podniosłem wzrok, sir Stuart wpatrywał się we mnie z uwagą. Później odchrząknął i odezwał się nieśmiało:

– Daleki jestem od przywoływania przeszłości, ale nie mogłem nie zauważyć, że twoja sytuacja życiowa znacznie się poprawiła od czasu, gdy po raz pierwszy przyszedł do ciebie Dresden.

Łysa głowa Morta zaczęła nabierać czerwonego odcienia.

– Że co?

Sir Stuart rozłożył szeroko ręce, minę miał łagodną.

– Chciałem jedynie powiedzieć, że w tym czasie nabrałeś siły i charakteru. Kiedy pierwszy raz zetknąłeś się z Dresdenem, wyciągałeś pieniądze od ludzi w czasie tych swoich kiepsko udawanych seansów i straciłeś zdolność kontaktu z duchami innymi

niż ja.

Mort spiorunował sir Stuarta wzrokiem.

– Ej, dziadku. Kiedy będę chciał usłyszeć twoje zdanie, to ci powiem.

Sir Stuart uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Oczywiście.

– Pomagam duchom odnaleźć spokój – stwierdził Mort. – Nie robię tego, co rozerwie mnie na kawałki. Jestem zaklinaczem duchów. I tyle.

– Posłuchaj mnie, Mort. Jeśli chcemy wchodzić w szczegóły techniczne, tak naprawdę nie jestem duchem...

Znów przewrócił oczami.

– Boże. Gdybym dostawał ćwierć dolca za każdego ducha, który kiedykolwiek przyszedł do mnie, wyjaśniając mi, że tak naprawdę nie jest duchem. I że jego przypadek jest szczególny...

– No tak. Ale...

Przewrócił oczami.

– Ale jeśli ty nie jesteś tak po prostu duchem, jakim cudem mogłem wykorzystać twoją moc? Jakim sposobem mogłem cię z siebie wypchnąć? He?

Wtedy to do mnie dotarło. Żołądek może i miałem niematerialny, ale i tak czułem w nim ściskanie.

Duchy nie były ludźmi, których przypominały, podobnie jak odcisk stopy pozostawiony na ziemi nie jest istotą, która go stworzyła. Miały podobne cechy, ale w ostatecznym rozliczeniu duch był jedynie pozostałością, przypomnieniem, wrażeniem osoby, która umarła. Mogły mieć podobne osobowości, uczucia, wspomnienia, ale nie były tą samą istotą. Kiedy ktoś umierał i pozostawiał za sobą ducha, było to tak, jakby część jego ginącej energii życiowej została wydzielona, tworząc zupełnie nową istotę – choć całkowicie na obraz umysłowy i często fizyczny swojego twórcy.

To oczywiście znaczyło, że były podatne na wiele słabości śmiertelników. Obsesja. Nienawiść. Szaleństwo. Jeśli to, co Mort powiedział o duchach wchodzących w interakcję ze światem materialnym, było prawdą, najlepszym materiałem na opowieści z dreszczykiem były sytuacje, kiedy jakiś biedny duch się załamał albo został stworzony jako szaleniec. Przeważająca większość duchów była po prostu niematerialna i odrobinę smutna, i nigdy tak naprawdę nie wchodziły w kontakt ze światem materialnym.

Ale ja nie mogłem być jednym z tych okłamujących samych siebie cieni.

Prawda?

Spojrzałem na sir Stuarta.

Wzruszył ramionami.

– Większość cieni nie chce przyznać, że nie są tą istotą, której wspomnienia posiadają – powiedział łagodnie. – I to zakładając, że w ogóle potrafią zaakceptować, że są duchami. Cienie, które oszukują same siebie, są o rząd wielkości częstsze od tych, które tego nie robią.

– Czyli mówisz, że... – Przeczesałem włosy palcami. – Mówisz że jedynie sobie wymyśliłem cały ten świetlny tunel i odesłanie z powrotem z misją? Że zaprzeczam byciu duchem?

Widmowy żołnierz pomachał ręką w wieloznacznym geście i odpowiedział z brytyjskim akcentem, pełnym gładkich samogłosek i wyrazistych spółgłosek.

– Mówię jedynie, że to bardzo moż... Misja.. co za misja? O czym ty mówisz?

Spojrzałem na niego z ukosa, ale patrzył na mnie całkiem obojętnie.

– Domyślam się, że nie widziałeś *Gwiezdnych wojen* – powiedziałem w końcu.

Sir Stuart wzruszył ramionami.

– Uważam ruchome obrazy za stanowczo przesadzone i nachalne. Nie pozwalają widowni na samodzielną refleksję i rozważania.

– Tak właśnie sądziłem. – Westchnąłem. – Brakowało ci mniej więcej dwóch słów, żebym od tej pory mówił ci C3PO.

Zamrugał.

– Jak?

– Boże. Teraz zmieniamy się w skecz Monty Pythona. – Odwróciłem się z powrotem do Morta. – Mort, Jack Murphy spotkał się ze mną po drugiej stronie i odesłał mnie z powrotem, żebym dowiedział się, kto mnie zamordował. Dużo gadał, ale sprowadzało się to do „Guzik ci powiemy, więc po prostu to zrób”.

Mort przez chwilę przyglądał mi się uważnie, wpatrywał się w moją niematerialną postać.

– Myślisz, że mówisz prawdę – stwierdził.

– Nie. – Zirytowałem się. – Mówię prawdę.

– Z pewnością tak sądzisz.

Poczułem, że wypełnia mnie złość.

– Gdyby nie to, że moja pięść przez ciebie przejdzie, przywaliłbym ci w tej chwili w nos.

Mort najeżył się i zacisnął zęby.

– Ach tak? Dawaj, Drażalu. Skopię twój bezcielesny tyłek.

Sir Stuart zakaszlał znacząco, na jego twarzy malowało się zmęczenie.

– Mortimerze, Dresden walczył u naszego boku w obronie tego domu... i popędził do środka, żeby uratować ci życie.

I wtedy właśnie do mnie dotarło. Spojrzałem na sir Stuarta.

– Mógłbyś wtedy wejść do środka. Mógłbyś pomóc Mortimerowi w walce z intruzem. Ale chciałeś sprawdzić, jak się zachowam pod presją. To była próba.

Sir Stuart uśmiechnął się.

– Ano, trochę tak. Nie pozwoliłbym ci oczywiście zrobić krzywdy Mortimerowi i byłem gotów pomóc mu w chwili, kiedy tylko mnie zawołał. Ale nie zaszkodziło dowiedzieć się więcej na twój temat. – Odwrócił się do Mortimera. – Lubię tego chłopaka. I Jack Murphy go przysłał.

Obaj z Mortimerem spiorunowaliśmy sir Stuarta wzrokiem, a później powoli się wycofaliśmy.

– Szef Czarnych Kotów pokolenie temu – mówił dalej Stuart. – Zabił się przy biurku. Czasami nowe cienie pojawiają się, twierdząc, że się z nim zetknęły i że to on sprowadził je z powrotem z życia po życiu. A wiesz, że on nie jest głupcem, który się oszukuje.

Mort nie patrzył sir Stuartowi w oczy. Chrząknął, co nie było do końca potwierdzeniem.

– A może cień Jacka Murphy’ego po prostu cierpi na urojenia większe niż pozostali i ma talent do podsycania urojeń innych nowych cieni.

– Na wszystkie dzwony piekieł, Mort. Za chwilę powiesz mi, że nawet nie spotkałem jego cienia. Że oszukałem samego siebie, żeby oszukać samego siebie, żeby oszukać jego, żeby oszukać mnie, że wszystko to sobie wymyśliłem.

Sir Stuart parsknął.

– Słuszna uwaga.

– To bez znaczenia – stwierdził Mort. – Nie ma sposobu, żeby się tego dowiedzieć.

– Błąd – przerwał mu sir Stuart. – Przywołaj go. To nie powinno być trudne, jeśli jest jedynie oszukującym się cieniem.

Mort nie podniósł wzroku, ale odezwał się bardzo cicho.

– Nie zrobię tego Jackowi. – Popatrzył na nas i wydawało się, że odzyskuje nieco opanowania. – Ale nawet jeśli kapitan Murphy jest prawdziwy, to nie znaczy, że cień Dresdena jest. Albo że zachował zdrowe zmysły.

– Rozważ tę możliwość – powiedział sir Stuart. – W tym tutaj jest coś niezwykłego.



Mort nadstawił metaforycznych uszu.

– Niezwykłego?

– Energia. Witalność. – Sir Stuart wzruszył ramionami. – To może nic nie znaczyć.

Ale jeśli znaczy...

Mort westchnął i spojrzał z ukosa na cień.

– Nie dasz temu spokoju, prawda?

– Nie mam żadnych planów na następne pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt lat – odparł przyjaźnie sir Stuart. – Miałbym coś do roboty. Co jakieś pół godziny.

Mort ścisnął grzbiet nosa i zamknął oczy.

– Boże.

Sir Stuart wyszczerzył zęby.

– Jest jeszcze jeden aspekt, który należy rozważyć.

– Ach tak?

– Dzisiejszy atak był większy. Kosztował nas więcej obrońców. A kryjąca się za nim istota się odsłoniła. – Wskazał na swój wciąż przezroczystry brzuch. – Nie mogę bez końca ich powstrzymywać, Mortimerze. A obecność śmiertelnego pionka świadczy o dwóch rzeczach.

Pokiwałem głową.

– Po pierwsze, Szare Widmo jest na tyle paskudne, że może opętać ludzi.

– Po drugie – dodał sir Stuart – stworowi chodzi o ciebie. Osobiście.

Mort przelknął ślinę.

Wstałem i powlokłem się, żeby spojrzeć na wciąż nieprzytomnego intruza. Mężczyzna jęknął cicho.

– To dobra pora, żeby mieć przyjaciół. – Stuart miał poważną minę. – Dresden jest jednym z powodów, dla których przeżyłeś tę noc. I ma w tym mieście sojuszników, ludzi, którzy mogliby ci pomóc, gdyby mieli odpowiednią motywację.

– Nic ci nie jest. – W głosie Morta brzmiała niepewność. – Przeżyłeś gorsze rzeczy.

Sir Stuart westchnął.

– Być może. Ale wróg nie da mi czasu na odzyskanie sił, zanim znów zaatakuje. Potrzebujesz pomocy Dresdena. On prosi cię o twoją. – Spoważniał. – I ja też.

Intruz znów jęknął i się poruszył.

Czoło Morta zrosił pot. Popatrzył na powalonego mężczyznę, a później, dość pośpiesznie, podniósł się. Pochylił głowę. W końcu odwrócił się do mnie i powiedział:

– W porządku, Dresdenie. Pomogę. A w zamian spodziewam się, że przekonasz swoich sojuszników, żeby się o mnie zatroszczyli.

- Umowa stoi. – Spojrzałem na sir Stuarta. – Dziękuję.
- Godzina – stwierdził Mort. – Masz godzinę.
- W porządku.
- W porządku – powtórzył Mort, wyraźnie mówiąc do siebie. – Przecież w końcu nie mam umówionego spotkania z Radą. To godzina. Jedna krótka godzina. Co się może stać w ciągu godziny?

I w ten właśnie sposób dowiedziałem się, że Mort mówił szczerą prawdę, kiedy twierdził, że nie jest bohaterem.

Bohaterowie wiedzą, że nie należy rzucać wszechświatowi takich wyzwań.

## Rozdział siódmy

Mort jeździł jednym z tych małych samochodów hybrydowych, które, kiedy nie spalały benzyny, napędzał idealizm. Zbudowano go z bibuły i taśmy klejącej, a jego komputer pokładowy wyglądał, jakby mogły na nim działać nowojorska giełda i NORAD, a i tak pozostałoby mu dość mocy, żeby grać w kółko i krzyżyk. Albo Globalną Wojnę Termojądrową.

– Chyba cieszę się, że jestem martwy. – Wsiadłem do samochodu, po prostu przechodząc przez drzwi po stronie pasażera, jakby były otwarte. – Gdybym wciąż oddychał, miałbym wrażenie, że biorę życie w swoje ręce. To coś jest jak jajko. I to nie jedno z tych miłych, bezpiecznych, ugotowanych na twardo. Jest kruche.

– I mówi to gość, który przez ponad dziesięć lat jeździł kuzynem Garbiego rodem z osiedla przyczep kempingowych – odparował Mort.

– Panowie. – Stuart usadowił się dość ostrożnie na malutkim tylnym siedzeniu. – Czy istnieje jakiś powód, z którego musimy być dla siebie przykrzy, czy też obaj czerpicie dziecianną radość z własnej nieznośnej nieuprzejmości?

Po zakończeniu walki sir Stuart znów zaczynał się wyrażać bardziej oficjalnie. Zapamiętałem ten fakt. Żołnierz, skądkolwiek pochodził, nie zaczął życia jako członek warstw uprzywilejowanych. Tradycyjne, oficjalne, archaiczne frazy i sposoby formułowania wypowiedzi były czymś, czego się nauczył – i o czym najwyraźniej zapominał w ogniu walki.

– W porządku, Dresdenie – odezwał się Mort. – Dokąd?

Otworzył drzwi garażu i wyjrzał na śnieg. Padało nawet mocniej niż wcześniej tego wieczoru. Chicago dobrze sobie radzi z odśnieżaniem ulic w zimie, ale, cholera, był już maj.

Głębokie, stare zaspy, które najwyraźniej przetrwały kilka tygodni, świadczyły, że miasto coraz gorzej radziło sobie z nietypową pogodą. Ulice pokrywało kilkanaście centymetrów świeżego puchu. Od wielu godzin obok domu Morta nie przejeżdżał żaden pług. Gdybyśmy trafili na oblodzony kawałek jezdni, ta ciężka, przyjazna naturze hybryda ślizgałaby się na nim jak szczeniak na kafelkach.

Zamyśliwszy się, przywołałem w głowie mapę miasta. Czuję się źle, zmuszając

Morta, by wyjechał w taką pogodę – w końcu on nie był martwy. Poczuliśmy się paskudnie, gdyby coś mu się stało, a byłbym nie w porządku, gdybym poprosił go, żeby zawiózł mnie dalej niż to absolutnie konieczne. Poza tym przy pogarszającej się pogodzie ograniczenie do godziny znacząco zmniejszało wybór.

– Mieszkanie Murphy – powiedziałem cicho.

Podaliśmy mu adres.

Mort chrząknął.

– Była policjantka?

Pokiwałem głową. Murph została wywalona z pracy po tym, jak pomogła mi o jeden raz za dużo. Wiedziała, co robiła, i sama dokonywała wyborów, ale i tak źle się z tym czułem. Śmierć tego nie zmieniła.

– Ostra z niej kobieta. Zatroszczy się o ciebie lepiej niż ktokolwiek w tym mieście.

Mort znów chrząknął i wyjechał na śnieg, jechał powoli i ostrożnie. Pilnował się przy tym, by zachować obojętny wyraz twarzy.

– Mort – odezwałem się. – Czego mi nie mówisz?

– Prowadzę – odparł.

Mruknąłem coś niegrzecznie, po czym obejrzałem się przez ramię na sir Stuarta.

– I jak?

Sir Stuart sięgnął do kieszeni płaszcza i wyciągnął coś, co wyglądało jak fajka z korzenia wrzośca. Wsypał do niej coś z kapciucha, zapalił starą drewnianą zapałkę i zaciągnął się. Dym unosił się, aż dotknął podsufitki, gdzie zakrzepł jako cienka warstwa błyszczącej ektoplazmy – pozostałość czegoś duchowego, kiedy staje się materialne.

– Tak jak on to widzi – odezwał się w końcu, wskazując na Morta – przez ostatnie kilka miesięcy świat poszedł w diabły. Choć muszę przyznać, że dla mnie zbytnio się nie różni. Od kiedy pokazały się te komputery, wszystko oszalało.

Prychnąłem.

– Co się zmieniło?

– Ten nowinkarz mówi, że zabiłeś cały Czerwony Dwór wampirów – rzekł sir Stuart. – Jest w tym ziarno prawdy?

– Porwali moją córkę.

Próbowałem mówić obojętnie, ale słowa zabrzmiały twardo. Nie wiedziałem nawet o istnieniu Maggie, aż Susan Rodriguez pojawiła się znikąd po latach spędzonych poza krajem i zaczęła mnie błagać o pomoc w odzyskaniu naszej córki. Wyruszyłem, by ją odebrać, nie przebiegając w środkach.

Zadrzałem. Zrobiłem... rzeczy, by wyrwać dziecko z potwornych rąk Czerwonego Dworu. Rzeczy, z których nie byłem dumny. Rzeczy, co do których nie spodziewałbym się, że będę zdolny.

Wciąż pamiętałem falę gorącej czerwieni z rozciętego gardła pod moimi palcami i musiałem na chwilę zwiesić głowę, by wspomnienie nie wypełniło moich myśli w całej swej ohydnej chwale. Maggie. Chichén Itzá. Czerwony Król. Susan.

Krew Susan... wszędzie.

Zmusiłem się, by odezwać się do sir Stuarta.

– Nie wiem, co słyszałeś. Ale poszedłem, odebrałem córeczkę i umieściłem ją pod dobrą opieką. Jej matka zginęła z całym mnóstwem wampirów, zanim było po wszystkim.

– Wszystkie? – dopytywał się sir Stuart.

Milczałem przez chwilę, zanim pokiwałem głową.

– Może. Tak. To znaczy raczej nie mogłem przeprowadzić spisu powszechnego. Zakłęcie mogło pominąć kilkoro najmłodszych, to zależy od szczegółów jego przygotowania. Ale każdy z tych sukinsynów wokół mnie zginął. A zakłęcie miało oczyścić świat z tych, w których zostało wycelowane.

Mort wydał z siebie dźwięk, jakby się krztusił.

– Nie mogłeś... to znaczy, czy Biała Rada nie zdenerwowała się z tego powodu? Chodzi mi o zabijanie magią.

Wzruszyłem ramionami.

– Czerwony Król zamierzał rzucić zakłęcie na ośmioletnią dziewczynkę. Jeśli Radzie nie podoba się, w jaki sposób go powstrzymałem, mogą pocałować mnie w niematerialny tyłek. – Zaśmiałem się. – Poza tym zabiłem tą magią wampiry, nie śmiertelników. A zresztą, co mi mogą zrobić? Obciąć głowę? Już jestem martwy.

Dostrzegłem, jak Mort i sir Stuart wymieniają spojrzenia w lusterku wstecznym.

– Dlaczego jesteś na nich tak wściekły, Harry? – spytał mnie Mort.

Popatrzyłem ze zmarszczonym czołem na niego, a później na Stuarta.

– Dlaczego mam wrażenie, że powinienem teraz leżeć na kozetce?

– Cień powstaje, kiedy coś znaczącego nie zostaje ukończone – powiedział sir Stuart. – Częścią tego, co robimy, jest domyślenie się, co sprawia, że tak mocno trzymasz się swojego życia. A to oznacza zadawanie pytań.

– Po co? Żebym mógł wyruszyć w dalszą drogę? Albo coś w tym rodzaju?

– Znane również jako zostawienie mnie w spokoju – mruknął Mort.

– Coś w tym rodzaju – wtrącił cicho sir Stuart, zanim zdążyłem odpowiedzieć

Mortowi. – Po prostu chcemy ci pomóc.

Spojrzałem na sir Stuarta, a później na Morta.

– To właśnie robicie? Zapewniacie duchom spokój?

Mort wzruszył ramionami.

– Gdyby nikt tego nie robił, w tym mieście wkrótce zabrakłoby miejsca na cmentarzach.

Zastanawiałem się nad tym przez chwilę.

– To dlaczego nie zapewniłeś spokoju sir Stuartowi?

Mort nic nie powiedział. Jego milczenie było kamienne i najeżone kolcami.

Sir Stuart pochylił się, położył dłoń na ramieniu Morta, jakby lekko je ścisnął i puścił. Później zwrócił się do mnie:

– Niektórych rzeczy nikt nie złoży do kupy. Ani wszyscy konni, ani wszyscy dworzanie.

– Jesteś tu uwięziony.

– Gdybym był uwięziony, sugerowałoby to, że jestem pierwotnym sir Stuartem. Nie jestem. Jestem tylko jego cieniem. Jak sądzę, można myśleć o tym w ten sposób. Ja jednak wolę traktować to inaczej: postrzegam siebie jako kogoś, kto naprawdę został stworzony z określonym celem dla swej egzystencji. Mam powód być tym, kim jestem, czym jestem i gdzie jestem. Jak wielu tych z ciała i krwi może powiedzieć to o sobie?

Wpatrywałem się z ponurą miną w zaśnieżoną drogę przed nami.

– A jaki jest twój cel? Opiekować się tym nieudacznikiem?

– Ej, ja tu siedzę – poskarżył się Mort.

– Pomagam innym zagubionym duchom. Pomagam im odnaleźć takie czy inne rozwiązanie. Pomagam uczyć je, jak zachować zdrowe zmysły, jeśli ich przeznaczeniem jest stać się maną. A jeśli stają się lemurami, pomagam im odejść w zapomnienie.

Odwrociłem się i spojrzałem na sir Stuarta ze zmarszczonym czołem.

– To... trochę jakby rutynowe.

– Niektóre rzeczy z całą pewnością są – odpowiedział spokojnie.

– Czyli jesteś maną, tak? Jak starorzemski duch przodków?

– Sprawa nie jest tak prosta, Dresdenie. Twoja własna Biała Rada słynie z nadawania nazw. Jak słyszałem, ich korzenie sięgają starożytnego Rzymu.

– Aha – mruknąłem.

Pokiwał głową.

– I podobnie jak Rzymianie uwielbiają nazywać, klasyfikować i streszczać fakty aż do najmniejszego, trwale nieelastycznego, wykutego w kamieniu szczegółu. W rzeczywistości jednak świata duchów nie da się łatwo skatalogować ani zdefiniować. – Wzruszył ramionami. – Mieszkam w Chicago. Bronię domu Mortimera. Jestem kim jestem.

Chrząknąłem. Po kilku chwilach spytałem:

– Uczysz nowe duchy?

– Oczywiście.

– W takim razie czy mogę ci zadać kilka pytań?

– Rzecz jasna.

– I się zaczyna – mruknął Mort.

– W porządku. Teraz jestem duchem i w ogóle. I mogę przejść przez cokolwiek, tak jak przeszedłem przez drzwi tego samochodu, żeby dostać się do środka.

– Tak.

Na wargach sir Stuarta pojawił się lekki uśmiezek.

– Dlaczego więc mój tyłek nie przechodzi przez siedzenie kiedy siadam na...

Brutalnie przerwało mi mrowiące wrażenie przechodzenia przez stałą materię, zaczynające się od mojego tyłka i gwałtownie przesuwające w górę kręgosłupa. Poczulem, że w moje pośladki zaczyna uderzać zimny śnieg, i aż krzyknąłem z zaskoczenia.

Sir Stuart najwyraźniej wiedział, czego się spodziewać. Wyciągnął rękę, złapał mnie za klapy skórzanego płaszcza i bezceremonialnie wciągnął z powrotem do samochodu. Usadził mnie na miejscu obok siebie. Złapałem za klamkę i siedzenie z przodu, żeby odzyskać równowagę, ale moje ręce przeszły przez nie. Poleciałem do przodu, jakbym unosił się w wodzie, i tym razem to moja twarz opadała w stronę oblodzonej ulicy.

Sir Stuart znów mnie podniósł i powiedział z lekką irytacją w głosie:

– Mortimerze.

Mort nie odpowiedział, ale kiedy znów usiadłem, nie wypadłem przez podwozie samochodu. W lusterku wstecznym widziałem jego złośliwy uśmiezek.

– Nie wypadasz przez podwozie samochodu, bo na jakimś głębokim, instynktownym poziomie uważasz to za przyrodzony element istnienia tutaj – stwierdził sir Stuart. – Jesteś całkowicie przekonany, że iluzje w rodzaju ciężenia i twardości są realne.

– Łyzka nie istnieje – powiedziałem.

Sir Stuart patrzył na mnie obojętnie.

Westchnąłem.

– Jeśli tak bardzo wierzę w iluzoryczną rzeczywistość, to jakim cudem przechodzę przez ściany?

– Ponieważ na tym samym poziomie jesteś przekonany, że duchy posiadają tę właśnie umiejętność.

Moje brwi uniosły się tak bardzo, że próbowały się zetknąć.

– Czyli... mówisz, że nie wnikam w ziemię, ponieważ nie uważam, że tak powinno się stać?

– Powinieneś powiedzieć raczej, że zakładasz, iż tak się nie stanie – odparł. – I z tego właśnie powodu, kiedy skupiłeś się na rozważeniu tej koncepcji, rzeczywiście wypadłeś przez podłogę.

Powoli pokręciłem głową.

– Jak mogę nie dopuścić do powtórki?

– Jak na razie chroni cię przed tym Mortimer. Jeśli mogę ci coś doradzić, postaraj się za dużo o tym nie myśleć. – Głos sir Stuarta brzmiał poważnie. – Po prostu zajmuj się swoimi sprawami.

– Nie można nie myśleć o czymś. Szybko, nie myśl o fioletowym słoniu. No dalej, spróbuj.

Sir Stuart roześmiał się głośno, ale zaraz przerwał i złapał się za ranny bok. Wiedziałem, że go bolało, ale wciąż miał na twarzy uśmiech, który pojawił się wraz ze śmiechem.

– Zazwyczaj trwa dłużej, zanim to sobie uświadomią. Rzecz jasna, masz rację. I będą takie chwile, kiedy będziesz czuł, że nie masz najmniejszej kontroli nad tego rodzaju kwestiami.

– Dlaczego? – spytałem z niejaką frustracją.

Ton mojego głosu nie zirytował sir Stuarta.

– To coś, przez co przechodzi każdy nowy cień. Minie.

– Hm. – Zastanawiałem się nad tym przez jakąś minutę. – To i tak o niebo lepsze od trądziku.

Siedzący z przodu Mort prychnął złośliwie.

Na gwiazdy i kamienie, nienawidzę być tym nowym.



## Rozdział ósmy

Dom, który Murphy odziedziczyła po babce, miał co najmniej sto lat. Babcia Murphy słynęła ze swoich róż. Sama Murphy nie miała ręki do roślin. Wynajęła firmę, która zajmowała się dziedzictwem babki. Ogród od frontu pasowałby do cztery razy większego domu, ale zasypany grubą warstwą śniegu wydawał się skurczony i posepny. Nagie, kolczaste gałęzie, przycięte poprzedniej jesieni, sterczały spod warstwy bieli milczące jak szkielety.

Sam dom był niedużym budynkiem w stylu kolonialnym, parterowym, kwadratowym, masywnym i porządnym. Został wybudowany w czasach, kiedy sypialnię rozmiarów trzy na trzy metry uważano za apartament, a dzieci często spały po kilkoro w jednym łóżku. Murphy ze swej strony dołożyła winylowy siding, nowe okna i warstwę nowoczesnego ocieplenia, a domek robił wrażenie, jakby mógł spokojnie przetrwać kolejne sto lat, dziękuję bardzo.

Na ulicy przed domem Murphy parkowała błyszcząca, droga czarna limuzyna, jej opony zasypało kilkanaście centymetrów śniegu. Nawet platforma z parady na Świętego Patryka, łącznie z brykającymi leprechaunami, nie wyglądałaby bardziej nie na miejscu w tej dzielnicy klasy średniej.

Sir Stuart popatrzył na mnie, a później na nasze otoczenie i zmarszczył czoło.

– O co chodzi, Dresdenie?

– Tego samochodu nie powinno tutaj być.

Mort spojrzał na mnie, a ja wskazałem na czarną limuzynę. Wpatrywał się w nią przez chwilę, po czym przyznał:

– Fakt. Trochę dziwny jak na taką okolicę.

– Dlaczego? – spytał sir Stuart. – To przecież automatyczny powóz, czyż nie?

– Drogi. Czegoś takiego nie parkuje się w taką pogodę przy krawężniku. Wystarczy, że obok przejedzie solarko-piaskarka, a uszkodzi lakier. Jedź dalej, Mort. Okrąż kwartał ulic.

– Jasne, jasne. – W głosie Morta brzmiała irytacja. – Nie jestem idiotą.

– Zostań z nim – powiedziałem sir Stuartowi.

Później odetchnąłem głęboko, przypomniałem sobie, że jestem bezcielesnym

duchem, i przebiłem nogami podwozie auta. Wbiłem piętę w zaśnieżoną ulicę, podczas gdy twarda materia pojazdu przeszła przede mną wraz z falą nieprzyjemnego mrowienia. Spodziewałem się, że kiedy samochód całkiem mnie minie, pozostanę z tyłu w pozycji stojącej, ale nie pomyślałem o rzeczach w rodzaju pędu i prędkości. W efekcie przekoziółkowałem i z łoskotem uderzyłem w miękką zaspę obok domu sąsiadującego z należącym do Murphy. Bolało, a kiedy wydostałem się z zasy, szczękałem zębami, czując otaczające mnie zimno.

– N-n-nie, H-h-harry – powiedziałem sobie stanowczo, zaciskając powieki. – T-to jest iluzja. Stworzył ją twój umysł, by pasowała do tego, co znasz. Ale nie uderzyłeś w zaspę. Nie możesz tego zrobić. I nie może pokrywać cię śnieg. Dlatego nie możesz być przemoczony i zmarznięty.

Skupiłem się na słowach, wypełniając je swoją wolą, podobnie jak zrobiłbym to, by zwrócić na siebie uwagę ducha. Otworzyłem oczy.

Śnieg lepiący się do mojego ciała i ubrań zniknął. Stałem obok zasy, suchy i okryty skórzonym płaszczem.

– W porządku. To nawet jest całkiem fajne.

Wcisnąłem rękę do kieszeni, zignorowałem śnieg i ciągly, niezbyt silny północny wiatr i powlokłem się przez różany ogród babci Murphy do drzwi Murphy. Uniosłem dłoń i zapukałem, jak to robiłem wiele razy wcześniej.

Wydarzyło się kilka rzeczy.

Po pierwsze, moja dłoń zatrzymała się nad drzwiami, na tyle blisko, że między moje knykcie a drewno dałoby się wcisnąć jedną albo dwie kartki papieru, ale już z całą pewnością nie trzy. Rozległ się cichy, głuchy odgłos uderzenia, choć nie dotknąłem drewna. Po drugie, zabłysło światło i coś przypominającego prąd przepłynęło w górę mojego ramienia i w dół kręgosłupa, wprowadzając moje ciało w drgawki, które sprawiły, że oszołomiony upadłem na ziemię.

Leżałem przez chwilę na śniegu. Znowu spróbowałem z całym tym „tyżka nie istnieje”, ale najwyraźniej istniała percepcja rzeczywistości i twarda, niezaprzeczalna rzeczywista rzeczywistość. Minęło kilkanaście sekund, zanim wróciłem do siebie i usiadłem, a kolejne kilka, zanim uświadomiłem sobie, że uderzyło mnie coś stworzonego do powstrzymywania duchów.

Dom Murphy otaczały osłony, jego naturalny obronny próg wykorzystano jako fundament dla kolejnych, bardziej agresywnych środków ochrony. A choć byłem jedynie cieniem samego siebie, wciąż pozostałem na tyle magiem, by rozpoznać swoje własne przeklęte osłony – a przynajmniej osłony, które były niemal identyczne

jak moje własne.

Drzwi się otworzyły i stanęła w nich Murphy. Była kobietą zdecydowanie mniej niż przeciętnego wzrostu, ale zbudowaną ze stali. Jasne włosy obcięła na jeża, fryzura ta odsłaniała zarys mięśni i ścięgien jej szyi i zadziorną, upartą linię szczęki. Była policjantka nosiła dżinsy i kraciatą koszulę zarzuconą na niebieską podkoszulkę, a w ręku trzymała sig sauera.

Na jej widok coś wbiło mi się w brzuch i przekręciło.

Zalały mnie wspomnienia, zaczynając od naszego pierwszego spotkania, sprawy zaginięcia przed wielu laty, kiedy wciąż jeszcze byłem praktykantem, a Murphy mundurową z patrolu pieszego. Każda kłótnia, każda przekomarzanka, każda chwila olśnienia i zaufanie, jakie się między nami narodziło, uderzały mnie jak tysiące piłek do baseballa rzucanych przez mistrzowskie drużyny. I ostatnie, najwyraźniejsze wspomnienie, kiedy staliśmy naprzeciwko siebie w ładowni łodzi mojego brata, drżąc na granicy, której nigdy wcześniej nie pozwoliliśmy sobie przekroczyć.

– Karrin – próbowałem powiedzieć. Zabrzmiało to jak szept.

Murphy zmarszczyła czoło i stała nieruchomo w drzwiach, mimo zimnego wiatru i padającego śniegu, rozglądając się po okolicy.

Jej spojrzenie przesunęło się po mnie, obok mnie, przeze mnie, bez chwili wahania. Nie widziała mnie. Nie mogła mnie usłyszeć. Już nie należeliśmy do tego samego świata.

Chwila, kiedy to sobie uświadomiłem, była zadziwiająco bolesna.

Zanim pozbyłem się tej myśli, Murphy zamknęła drzwi, nadal marszcząc czoło. Słyszałem szczęk kilku zamków.

– Spokojnie, chłopcze – powiedział sir Stuart łagodnym, cichym głosem. Pochylił się, by położyć mi dłoń na ramieniu. – Nie śpiesz się ze wstawaniem. To boli. Wiem.

– Jasne – powiedziałem cicho. Zamrugalem, powstrzymując łzy, które nie mogły być prawdziwe. – Dlaczego?

– Już ci mówiłem, chłopcze. Wspomnienia są tu prawdziwe. Widok ludzi, którzy są dla ciebie najważniejsi, będzie wzbudzał wspomnienia o wiele silniejsze niż u zwyczajnego śmiertelnika. Przyzwyczajenie się do tego może trochę potrwać.

Objąłem kolana ramionami i oparłem brodę na rzepce.

– Jak długo?

– Zazwyczaj – powiedział sir Stuart bardzo łagodnie – do czasu, aż ci bliscy sami odejdą.

Zadrzałem.

– Aha. Cóż, nie mam na to czasu.

– Nie masz niczego poza czasem, Dresdenie.

– Ale troje z moich bliskich go nie ma – odezwałem się ostrym tonem. – Stanie im się krzywda, jeśli wszystkiego nie naprawię. Jeśli nie dowiem się, kto mnie zabił. – Zamknąłem oczy i zaczerpnąłem kilka głębokich oddechów. Tak naprawdę nie oddychałem. Nie musiałem oddychać. Kwestia przyzwyczajenia. – Gdzie Mort?

– Czeka za rogiem. Przyjdzie, kiedy damy mu sygnał, że jest czysto.

– Co? Jestem teraz osobistym ochroniarzem tego małego tchórza? – jęknąłem. Podniosłem się i spojrzałem z ukosa na dom Murphy. – Widzisz coś groźnego w okolicy?

– Nie w tej chwili, poza tym rzekomo podejrzanym autopowozem.

– Dom ma osłony. Nie jestem pewien, czy chronią wyłącznie przed niematerialnymi intruzami, czy mogłyby zaatakować również żyjącego intruza. Powiedz mu, żeby nie dotykał domu niczym, co chciałby zachować.

Sir Stuart pokiwał głową i stwierdził:

– Okrążę dom. Wrócę z Mortimerem.

Mruknąłem coś w zamyśleniu i wyciągnąłem rękę, by znów poczuć osłony. Były potężne, ale w jakiś sposób... niedoskonałe. Wszystkie moje osłony tworzyły jedną solidną barierę energii. Te osłony były solidne, ale też fragmentaryczne. Miałem wrażenie, jakbym patrzył na wysoką na cztery metry ścianę z klocków lego. Gdyby ktoś posiadający wystarczającą mistyczną siłę uderzył osłonę we właściwy sposób, rozpadłaby się w najsłabszych punktach.

Oczywiście to stworzyłoby otwór w barierze, ale nie oznaczało jeszcze katastrofy. Gdyby jeden fragment mojej osłony utracił integralność, cała by się zawaliła, a wszystko, co pozostałoby z energii, która ją zniszczyła, przedostałoby się na drugą stronę. Gdyby ktoś zniszczył fragment tych osłon, parę klocków poleciałoby na boki – pewnie pochłaniając energię poprzez podzielenie jej na mnóstwo małych kawałków – ale reszta bariery pozostałaby na miejscu.

A to miało kilka zalet dla kogoś z drugiej ligi mocy. Modułowe osłony były łatwiejsze do naprawienia w porównaniu z klasycznymi integralnymi osłonami, więc nawet gdyby coś się przebiło, osłonę dawało się szybko naprawić. Kto wie, składniki zaklęcia były pewnie o wiele tańsze – i nie trzeba było ściągać ważnego maga z Białej Rady, żeby ją postawił.

Ale miały też wady. Wiele istot mogło się przebić – a jeśli człowiek zginął po tym, jak dostały się do środka, łatwość naprawy nie miała większego znaczenia dla

stygającego trupa.

Mimo wszystko było to o niebo lepsze od niczego. Podstawowy profil był moim wzorem, tyle tylko że inaczej zrealizowanym. Do diabła, kto mógł to zrobić z domem Murphy? I dlaczego?

Odwrociłem się i zszedłem z ganku, żeby zajrzeć przez okno, czułem się przy tym trochę jak podglądacz. Ale nie byłem pewien, co jeszcze miałbym robić, zanim Mort dotrze tutaj, żeby wypowiadać się w moim imieniu.

– Wszystko w porządku? – W głębi domu rozległ się męski głos.

Zamrugalem, zmarszczyłem brwi ze skupieniem i w końcu udało mi się stanąć na rzadkim krzaku pod oknem, dzięki czemu mogłem spojrzeć ponad krzesłem, które wcześniej zasłaniało mi widok.

Na kanapie w salonie Murphy siedział mężczyzna ubrany w czarny garnitur, wyprasowaną białą koszulę i czarny krawat z pojedynczym bordowym paskiem. Miał ciemną karnację – raczej śródziemnomorską niż afrykańską – ale krótkie, starannie przyczesane włosy były utlenione. Jego oczy miały niepokojący odcień, gdzieś między ciemnym miodem a sumakiem jadowitym, ostry nos zaś kojarzył mi się z drapieżnym ptakiem.

– W porządku.

Murphy stała z bronią wciśniętą z przodu za pasek dżinsów. Sig Sauer produkował zgrabny, kompaktowy pistolet kaliber 9 mm, który jednak przy rozmiarach Murphy wydawał się duży, niebezpieczny i niezgrabny. Założyła ręce na piersi i popatrzyła na mężczyznę takim wzrokiem, jakby spotkała go na poboczu, pożerającego na surowo przejechane zwierzaki.

– Mówiłam ci, żebyś nie przyjeżdżał przed czasem, Childs.

– Wieloletnie przyzwyczajenie – odparł Childs. – Szczerze mówiąc, nigdy się nad tym zbytnio nie zastanawiałem.

– Wiesz, jak wygląda sytuacja na zewnątrz. – Murphy wskazała brodą w stronę drzwi wejściowych. – Zaczynaj się nad tym zastanawiać. Wpadniesz do mnie, kiedy będę zdenerwowana, a może zastrzelę cię przez drzwi.

Childs splótł palce na kolanie. Nie wyglądał na wielkiego gościa. Nie był bardzo umięśniony. Kobry też nie są. Pod tą drogą marynarką było mnóstwo miejsca na broń.

– Mój związek z moim pracodawcą jest sprawą względnie świeżą. Ale mam wrażenie, że gdyby doszło do takiej tragedii, poniosłabyś poważne osobiste konsekwencje.

Murphy wzruszyła ramieniem.

– Może. Z drugiej strony może zaczniemy zabijać jego ludzi, aż cena prowadzenia interesów z nami okaże się zbyt wysoka i zerwie z nami kontakt. – Uśmiechnęła się, a uśmiech ten był niemal radośnie lodowaty. – Już nie noszę odznaki, Childs. Ale mam przyjaciół. Szczególnych, szczególnych przyjaciół.

Między nimi panowało napięcie, milcząca obietnica przemocy. Palce Murphy wisały od niechcenia mniej niż pięć centymetrów nad bronią. Childs wciąż trzymał dłonie splecione na kolanie. Nagle uśmiechnął się i przyjął bardziej rozluźnioną pozę na sofie.

– Przez ostatnie sześć miesięcy nieźle się nam układało współistnienie. Nie ma sensu pozwalać, by stargane nerwy doprowadziły do jego końca.

Murphy zmrużyła oczy.

– Najlepszy zabójca Marcone'a...

Childs uniósł rękę.

– Proszę. Załatwiacz.

Murphy mówiła dalej, jakby się nie odezwał.

– ...nie wycofuje się tak szybko, niezależnie od tego, jak bardzo zależy mu na przeżyciu. Dlatego właśnie przyjechałeś wcześniej, mimo mojej prośby. Chcesz czegoś.

– Jak to miło, że w końcu zauważyłaś coś tak oczywistego. Tak. Mój pracodawca wysłał mnie z pytaniem.

Murphy zmarszczyła czoło.

– I nie chciałem, żeby inni usłyszeli, jak je zadajesz.

Childs pokiwał głową.

– Obawiał się, że mogłoby wywołać niezamierzone negatywne konsekwencje.

Murphy wpatrywała się w niego przez chwilę, po czym przewróciła oczami.

– I?

Childs po raz pierwszy pokazał w uśmiechu zęby. Ten widok przywołał mi na myśl trupią czaszkę.

– Pragnie wiedzieć, czy ufasz Obdartej Pani.

Murphy wyprostowała się na to pytanie, wręcz zeszywniała. Odetchnęła głęboko, zanim odpowiedziała.

– Co masz na myśli?

– Wokół niektórych miejsc, które nawiedza, zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Rzeczy, których nikt nie umie do końca wyjaśnić. – Childs wzruszył ramionami,

pozostawiając dłonie na widoku, i wciąż siedział wygodnie na kanapie. – Która część pytania jest dla ciebie zbyt trudna?

Ramię Murphy zadrżało, jakby jej dłoń myślała o wyciągnięciu broni z za pasa. Ale odetchnęła raz jeszcze, zanim się odezwała.

– Co proponuje za odpowiedź?

– Northerly Island. I tak, zanim spytasz, włączając w to plażę.

Na te słowa zamrugalem. Wyspa przy Burnham Park Harbor nie nadawała się najlepiej do prowadzenia działalności przestępczej, gdyż składała się głównie z parków, pól i plaży często odwiedzanej przez rodziny, ale „Dżentelmen” Johnny Marcone, chicagowski król haraczy i jedyny zwyczajny śmiertelnik, który podpisał Przymierze Unseelie, po prostu nie oddawał terytorium. Nie za nic.

Murphy szerzej otworzyła oczy i wyraźnie widziałem, że jej myśli biegną tym samym torem, co moje. Choć, jeśli mam być całkowicie szczery, sędzę, że dotarła do wniosków przede mną.

– Jeśli się na to zgodzę – powiedziała ostrożnym tonem – wszystko będzie musiało do poniedziałku przejść nasze standardowe procedury weryfikacyjne.

Twarz Childsa była maską obojętności.

– Umowa stoi.

Murphy pokiwała głową i przez chwilę wpatrywała się w podłogę, najwyraźniej zbierając myśli. W końcu powiedziała:

– Nie ma prostej odpowiedzi.

– Rzadko są – zauważył Childs.

Kobieta przecesała dłonią obcięte na jeża włosy i wpatrywała się w mężczyznę. Odezwała się po chwili.

– Dopóki pracowałem z Dresdenem, od razu, bez wahania powiedziałabym, że tak.

Childs pokiwał głową.

– A teraz?

– Teraz... Dresden odszedł. A ona wróciła z Chichén Itzá odmieniona. Może to stres pourazowy. Może coś więcej. Zmieniła się.

Childs przechylił głowę.

– Czy jej nie ufasz?

– Mam się przy niej na baczności – stwierdziła Murphy. – Tak brzmi moja odpowiedź.

Tleniony blondyn przez chwilę rozważał jej słowa, po czym pokiwał głową.

– Przekażę to swojemu pracodawcy. Do poniedziałku jego interesy znikną z wyspy.

– Dasz mi na to swoje słowo?

– Już je dałem. – Childs wstał, poruszał się z niezwykłym wdziękiem. Jeśli był śmiertelnikiem, był zabójczo szybki. Albo tańczył w balecie. A nie sądziłem, by w kieszeni miał baletki. – Wychodzę. Poinformuj mnie, jeśli w czasie spotkania pojawi się coś ważnego.

Murphy przytaknęła, wciąż trzymając dłoń nad bronią, i patrzyła, jak Childs kieruje się w stronę drzwi. Mężczyzna otworzył je i zaczął wychodzić.

– Powinieneś wiedzieć – powiedziała Murphy cicho – że moje problemy z zaufaniem nie zmieniają faktu, że ona jest jednym z moich ludzi. Jeśli zacznę choćby podejrzewać, że ekipa zrobiła krzywdę Molly Carpenter, umowa zostanie zerwana i przejdziemy bezpośrednio do strzelaniny w OK Corral. Zaczynając od ciebie.

Childs obrócił się zwinnie na pięcie, uśmiechnął i uniósł pustą rękę, udając, że strzela do Murphy kciukiem i palcem wskazującym. Ona nie rozluźniła się do chwili, gdy samochód wyjechał ze śniegu i oddalił się powoli.

Wtedy zwiesiła głowę, oparła jedną rękę o szybę, a drugą przetarła twarz.

Uniosłem rękę tak jak ona, pilnując, by nie dotknąć osłon wibrujących cicho wokół progu domu. W jednej mojej dłoni zmieściłyby się dwie albo trzy Murphy. Widziałem, jak jej ramiona drżą.

Później potrząsnęła głową i wyprostowała się, zamrugła kilka razy i znów przybrała policyjną maskę obojętności. Odwróciła się do mnie plecami, podeszła do kanapy i zwinęła się, ułożywszy się na boku. Z kolanami podciągniętymi pod brodę wydawała się drobna jak dziecko – jeśli pominąć zmarszczki na zatroskanej twarzy.

Coś się poruszyło i w moim polu widzenia pojawiła się mała szara puma, z naciętym uchem i kikutem ogona, i wskoczyła zwinnie na kanapę obok Murphy. Kobieta przyciągnęła kota do siebie i zaczęła go głaskać.

Poczułem łzy w oczach, kiedy zobaczyłem Mistera. Mój kot. Kiedy para wampirów, Eebowie, spaliła moje stare mieszkanie, wiedziałem, że Mister uciekł, ale nie miałem pojęcia, co się z nim później stało. Zginąłem, zanim zdążyłem go odnaleźć. Przypomniałem sobie, jak spotkałem go jako kociaka, kiedy szukał jedzenia w koszu na śmieci, chudy i prawie zagłodzony na śmierć. Był moim współlokatorem, a być może nawet właścicielem mieszkania, od kiedy przybyłem do Chicago. Dwanaście kilo chodzącej kociej arogancji. Pojawiał się zawsze, kiedy się denerwowałem, dzięki czemu mogłem trochę obniżyć ciśnienie, zajmując się nim. Z pewnością uważał to za oznakę świętej kociej szczodroliwości.



Koty już takie są.

Nie wiem, jak długo tak stałem, patrząc przez okno, ale nagle pojawił się obok mnie sir Stuart.

– Dresdenie – powiedział cicho. – Z południowego wschodu zbliża się kilka stworzeń.

– Wcale się nie starasz, żebyś nie nazwał cię C3PO, sir Stuarcie.

Zamrugał kilka razy, po czym potrząsnął głową i odzyskał rezon.

– Jest ich około pół tuzina, jak również kilka samochodów.

– W porządku. Niech Mort zostanie w samochodzie do czasu, aż ich zidentyfikuję. Ale podejrzewam, że nic mu nie grozi.

– Nie? – spytał cień. – W takim razie znasz ich?

– Nie wiem. Zobaczmy.

## Rozdział dziewiąty

Dziesięć minut później nucilem pod nosem i przyglądałem się zgromadzeniu w salonie Murphy. Sir Stuart stał obok mnie, na jego twarzy malowało się zaciekawienie.

– Z całym szacunkiem, magu, ale cóż to za melodia, którą usiłujesz zaśpiewać?

Zaryczałem fanfarę stanowiącą temat główny, a później odezwałem się głębokim, przesadzonym głosem spikera:

– W wielkiej sali Ligi Sprawiedliwych zgromadzili się czterej najwięksi bohaterowie stworzeni z kosmicznych legend wszechświata!

Sir Stuart zmarszczył czoło.

– Stworzeni z...

– Kosmicznych legend wszechświata – powtórzyłem tym samym głosem.

Sir Stuart zmrużył oczy i odwrócił się do mnie bokiem, ramiona miał napięte.

– To nie ma sensu. Żadnego. Najmniejszego.

– Najwyraźniej miało w sobotnie ranki w latach siedemdziesiątych. – Skinąłem na pomieszczenie za oknem. – A tu mamy do czynienia z czymś podobnym. Choć jak na salę Ligi Sprawiedliwych jest trochę mało miejsca. Pewnie w tamtych czasach nieruchomości nie były tak drogie.

– Goście zgromadzeni wewnątrz. Znasz ich?

– Większość. – Poczułem się zmuszony, by dodać: – A w każdym razie znałem ich przed sześcioma miesiącami.

Wszystko się zmieniło. Jeż Murphy był jedynie początkiem. Zacząłem przedstawiać sir Stuartowi osoby, które znałem.

Will Borden opierał się o ścianę, kawałek za Murphy, muskularne ręce założył na piersi. Był mężczyzną o wzroście niższym od przeciętnego, za to nieprzeciętnie masywnym. I wszystko to były mięśnie. Zwykle widywałem go po pracy, ubranego w stylu swobodnym biznesowym – to znaczy o ile nie przeobraził się w wielkiego, ciemnego wilka. Dziś miał na sobie dresowe spodnie i luźną bluzę, z których mógłby się szybko wydostać, gdyby musiał się przemienić. Will był cichym, godnym zaufania, inteligentnym mężczyzną, przywódcą bandy dzieciaków z koledżu, obecnie

dorosłych, którzy nauczyli się przyjmować kształt wilków. Nazywali się Alfami od tak dawna, że ta nazwa przestała już brzmieć głupio w mojej głowie, kiedy ją słyszałem.

Nie byłem przyzwyczajony, by widzieć Willa odgrywającego mięśniaka, ale najwyraźniej przyjął tę rolę. Na jego twarzy malowało się coś zbliżonego do grymasu niezadowolenia, a ciemne oczy wręcz płonęły stłumioną agresją. Wyglądał na mężczyznę, który nie mógł doczekać się walki i z radością wykorzystałby pierwszą nadarzącą się okazję.

Na kanapie niedaleko Willa siedziała druga Alfa, zwinięta w kłębek z brodą opartą na podciągniętych kolanach. Miała proste włosy w mysim odcieniu, obcięte równo z brodą, i wyglądała, jakby mógł ją przewrócić mocniejszy podmuch wiatru. Patrzyła czujnie przez duże okulary i zasłonę włosów, a ja miałem wrażenie, że obserwowała cały pokój jednocześnie.

Nie widziałem jej od lat, ale była jedną z pierwszych Alf, zdobyła dyplom i zniknęła w świecie śmiertelników. Nazywała się... Margie? Mercy? Marci. Tak. Nazywała się Marci.

Obok Marci siedziała pulchna, wesółka z wyglądu kobieta o blond lokach upiętych byle jak za pomocą pałeczek. Za parę lat mogłaby zostać babcią z serialu. Miała na sobie sukienkę w kwiatowy wzór, a na kolanach trzymała psa wielkości połowy kiełbaski – yorka. Pies był czujny, jego błyszczące, czarne oczy rozglądały się po pokoju, ale skupiały głównie na Marci. Warczał w głębi piersi i wyraźnie był gotów w każdej chwili stanąć w obronie swojej pani.

– Abby – powiedziałem sir Stuartowi. – Nazywa się Abby. Przeżyła wampira z Białego Dworu, który wyruszył na łowy w jej kręgu społecznym. Drugorzędnych praktykujących.

Piesek nagle wyrwał się z ramion Abby i próbował się rzucić na Willa, ale kobieta zareagowała niezwykle szybko i złapała Toto. Tyle tylko że jej ruch nie był niezwykle szybki – po prostu zaczął się pół sekundy przed tym, zanim piesek skoczył. Abby przewidywała przyszłość. Nie sięgała wzrokiem zbyt daleko – jedynie kilka sekund – ale taki talent wystarczył, bym się założył, że w jej kuchni rzadko tłukły się naczynia.

Will podniósł wzrok, kiedy piesek skoczył, i uśmiechnął się. Abby uspokoiła yorka i spojrzała na Willa, po czym podeszła do stołu, by wziąć kubek herbaty, nadal trzymając psa drugą ręką.

Obok Abby siedział umięśniony młody mężczyzna w grubej flanelowej koszuli, dżinsach i roboczych butach. Miał ciemne, rozczochrane włosy i przenikliwe szare oczy, a dołkiem w jego brodzie mógłbym otworzyć butelkę. Minęła chwila, zanim go

rozpoznałem, bo kiedy widziałem go po raz ostatni, był kilka centymetrów niższy i jakieś dwadzieścia kilo lżejszy – Daniel Carpenter, najstarszy z młodszych braci mojej praktykantki. Wyglądał, jakby siedział na rozgrzanym palniku, a nie wygodnej kanapie, jakby mógł w każdej chwili się zerwać i zuchwale zrobić coś nieprzemyślanego. Sądziłem, że Will skupiał większość uwagi na Danielu.

– Rozluźnij się – zaproponowała mu Murphy. – Poczęstuj się ciastem.

Daniel gwałtownie pokręcił głową.

– Nie, dziękuję, pani Murphy. Po prostu nie widzę sensu. Powinienem iść poszukać Molly. Jeśli teraz wyjdę, wrócę w ciągu godziny.

– Jeśli Molly tu nie ma, założymy, że ma dobre powody. – Murphy mówiła spokojnym i absolutnie nieprzejednanym tonem. – W taką noc nie ma sensu biegać po mieście.

– Poza tym – powiedział powoli Will – my odnaleźlibyśmy ją szybciej.

Daniel posłał mu ponure spojrzenie spod ciemnej grzywki, ale szybko odwrócił wzrok. Miałem wrażenie, że już kiedyś nadepnął Willowi na odcisk i nie spodobał mu się wynik. Młodszy mężczyzna nic nie powiedział.

Na krześle obok kanapy siedział starszy mężczyzna, który wykorzystał okazję, żeby pochylić się nad stołem i nalać gorącej herbaty z porcelanowego czajnika do filiżanki stojącej przed młodym Carpenterem. Dorzucił kostkę cukru i uśmiechnął się do Daniela. W jego oczach, niebieskich jak jajo drozda, nie było nic wrogiego, niecierpliwego ani wymagającego – jedynie całkowita pewność, że młodszy mężczyzna przyjmie herbatę i się uspokoi.

Daniel spojrzał na niego z ukosa, po czym spuścił wzrok na biały kwadrat przy kołnierzu mężczyzny i wiszący poniżej krzyż. Odetchnął głęboko, pokiwał głową i zamieszał herbatę. Wziął filiżankę obiema rękami i usadowił się, by zaczekać. Pociągnął łyk, a później wydawało się, że w ogóle zapomniał o herbacie – ale już się nie odzywał.

– A pani, pani Murphy? – spytał ojciec Forthill, podnosząc filiżankę. – Noc jest zimna. Z pewnością filiżanka dobrze pani zrobi.

– Czemu nie? – odpowiedziała.

Forthill napełnił kolejną filiżankę dla Murphy, podał ją jej i poprawił dzianinową kamizelkę, jakby chciał się ogrzać. Odwrócił się, podszedł do okna, za którym stałem z sir Stuartem, i wyciągnął obie ręce.

– Jest pani pewna, że nie ma przeciagu? Mógłbym przysiąc, że go czuję.

Zamrugalem i spojrzałem na sir Stuarta, który wzruszył ramionami.

– Jest jednym z dobrych.

– Dobrych kogo?

– Kapłanów. Księży. Szamanów. Nieważne. – Wydawało się, że stara się zachować obojętną minę. – Jeśli ktoś spędza całe życie na troszczeniu się o dusze innych, zaczyna je naprawdę wyczuwać. – Sir Stuart skinął na ojca Forthilla. – Duchy takie jak my nie są duszami, ale niewiele się różnimy. Wyczuwa nas, nawet jeśli nie jest tego do końca świadom.

Toto wyrwał się z objęć Abby, przebiegł po parkiecie i oparł łapy na ścianie pod oknem. Jazgotał przeraźliwie, patrząc prosto na mnie.

– Psy też – dodał sir Stuart. – Jeden na dziesięć ma talent, dzięki któremu nas wyczuwa. Pewnie dlatego ciągle szczekają.

– A co z kotami?

Mister uciekł z salonu po przybyciu pozostałych i nie było go widać.

– Koty... to oczywiste. – W głosie sir Stuarta brzmiało lekkie rozbawienie. – Na ile umiem to ocenić, wszystkie koty. Ale nie robi na nich zbyt wielkiego wrażenia, że jesteśmy martwi, a nadal obecni. Trudno wywołać ich reakcję.

Ojciec Forthill delikatnie podniósł Toto z podłogi. Piesek kręcił się energicznie, machając ogonem, i głośno oblizał dłonie starego księdza, zanim ten oddał go Abby. Mężczyzna uśmiechnął się i skinął jej głową, dolał sobie herbaty i znów usiadł.

– Na kogo czekają? – spytał sir Stuart. – Na tę Molly?

– Może. – W pokoju było jeszcze jedno krzesło. Najbliżej drzwi i najdalej od wszystkich innych mebli w salonie. Właściwie z każdego innego miejsca siedzącego w salonie można by bez przeszkód strzelić do ostatniego krzesła, gdyby doszło do strzelaniny. Może to był zbieg okoliczności. – Ale nie sądzę.

Rozległ się krótki świergotliwy dźwięk i Murphy podniosła radio mniejsze od talii kart.

– Murphy. Mów.

– Nadciąga Ricemobil – powiedział ktoś cicho. – Futrzane Bufory jest na patrolu.

Will prychnął z rozbawieniem.

Murphy uśmiechnęła się i pokręciła głową, po czym odezwała się do radia.

– Dzięki, Oczy. Zajedź, jak tylko skończy. Czekam na ciebie gorąca herbata.

– Pogoda oszalała, co nie? Tylko w Chicago. Oczy, bez odbioru.

– To wielki błąd – powiedział Daniel, kiedy Murphy odłożyła radio. – Koszmarne hasło wywoławcze. W sytuacji taktycznej może wywołać zamieszanie.

Murphy uniosła brew i odezwała się oschłym tonem:

– Próbuje sobie wyobrazić sytuację, w której ktoś uznałby przez pomyłkę, że ma zachować czujność, i doszłoby do katastrofy.

– Gdyby ktoś w ekipie zonglował fiolkami z zabójczym wirusem – podpowiedział Will. – Albo nitrogliceryną.

Murphy pokiwała głową.

– Zapamiętać: nie korzystać z radia, gdyby pojawiła się konieczność zonglowania nitrowirusami.

– Zapamiętano – mruknął Will.

Daniel zeszywniał.

– Nie umie pan trzymać języka za zębami, panie Borden.

Will nawet się nie poruszył.

– Tu nie chodzi o moje zęby, dzieciaku. Tylko twoją skórę. Jest za cienka.

Daniel zmrużył oczy, ale Forthill położył dłoń na ramieniu krępego młodzieńca. Stary mężczyzna nie powstrzymałby Daniela siłą, ale jego dotyk był jak stalowy łańcuch przymocowany do kotwicy okrętu wojennego. Próba podniesienia się zmieniła się w niezgrabną zmianę pozycji. Daniel założył ręce na piersi i skrzywił się.

– Błada Twarz za pięć, cztery, trzy... – dobiegło z radia Murphy.

Plecy się napięły. Twarze zmieniły się w maski. Kilka dłoni zniknęło z pola widzenia. Czyjaś filiżanka zabrzęczała parę razy o spodeczek, zanim się uspokoiła.

Z miejsca za oknem widziałem frontowe drzwi, które otworzyły się parę sekund po zakończeniu odliczania przez radio, ukazując wampirzycę z Białego Dworu.

Miała może metr pięćdziesiąt pięć wzrostu, dołeczki w policzkach i ciemne kręcone włosy opadające do pasa. Nosila białą bluzkę i długą, obszerną białą spódnicę, a do tego szkarłatne baletki. Pierwsza myśl, która pojawiła się w mojej głowie, brzmiała: „Ojej, jaka ona jest malutka i urocza”, ale natychmiast podążyła za nią świadomość, że ten starannie dobrany strój sprawdziłby się, gdyby otaczała ją rozlana krew. Oczywiście duszy widziałem, jak kobieta podnosi rąbek swojej idealnej spódnicy w taki sposób, by krwi dotykały jedynie szkarłatne pantofelki.

Weszła do środka bez zaproszenia, swobodnym krokiem, i odezwała się z brytyjskim akcentem.

– Dobry wieczór wszystkim. Przepraszam za niewielkie spóźnienie, ale cóż może zrobić dama w taką pogodę? Herbata? Uroczo.

Drobiąc kroczyki, podeszła do stołu i naląła gorącej herbaty do pustej filiżanki. Jednocześnie wpatrywała się w Daniela, pochylając się wystarczająco, by ściągnąć spojrzenie młodego mężczyzny na swój dekolt. On zarumienił się i z surową miną

odwrócił wzrok. Po sekundzie.

Trudno mieć do niego pretensję. Sam kiedyś byłem młody. Cycki są dla nas środkiem wszechświata tak mniej więcej do ukończenia dwudziestego piątego roku życia. W tym samym czasie spadają również stawki ubezpieczenia samochodowego dla młodych mężczyzn. Nie jest to zbieg okoliczności.

Wampirzyca uśmiechnęła się szyderczo, co było zadziwiająco drapieżnym wyrazem na jej wargach w kształcie łuku kupidyna, i prześlizgnęła się z powrotem do krzesła przy drzwiach. Usadowiła się na nim jak Shirley Temple na planie filmowym, pewna, że wszyscy skupiają na niej uwagę.

– Odważna jest – powiedziałem cicho.

– Dlaczego tak mówisz? – spytał sir Stuart.

– Weszła bez zaproszenia.

– Myślałem, że wampiry tego nie potrafią.

– Czerwone nie mogą... to znaczy nie mogły, jeśli nie chciały ryzykować częściowego paraliżu. Wampiry z Czarnego Dworu nie mogą przejść przez próg, kropka. Białe mogą, ale ogranicza to ich umiejętności i znacznie utrudnia wykorzystywanie Głodu w celu zwiększenia siły i szybkości.

Sir Stuart potrząsnął głową.

– Ach tak. Ona jest sukubem.

– Cóż... nie do końca, ale to akademickie rozważania.

Cień pokiwał głową.

– Nie narażę Mortimera na kontakt z tą istotą.

– Niezły pomysł. On ma dostęp do zbyt wielu informacji. Byliby zachwyceni, gdyby udało im się owinąć sobie kogoś takiego wokół palca.

– Witaj, Felicio. – Murphy mówiła chłodno i rzeczowo. – W porządku. Pana Childsa nie będzie dziś wieczorem. Zastępuję go.

Felicia otoczyła filiżankę palcami drobnych dłoni i pociągnęła łyk. Herbata była wrzątkiem, kiedy inni zaczynali ją pić. I robili to ostrożnie. Wampirzyca pociągnęła duży łyk, jakby to była oranżada w temperaturze pokojowej, i przełknęła go z wyraźnym dreszczem przyjemności.

– Jakie to dla ciebie dogodne. Czy ujrzymy jeszcze kiedyś tego szykownego dżentelmena?

– To zależy od Marcone'a – odparła Murphy. – Abby?

Toto wpatrywał się w Felicię, stojąc na sztywnych łapkach na kolanach Abby. Gdyby umiał zawarczeć groźnie, właśnie by to robił. Tymczasem jednak z jego strony

dobiegał jedynie bezustanny pisk.

Abby mocnej złapała Toto i spojrzała na notatnik na kolanach.

– Paranet wciąż ma dostęp do ponad siedemdziesięciu pięciu procent swoich zasobów. Co więcej, w tym tygodniu odzyskaliśmy kontakt z Minnesotą, Massachusetts i Alabamą. – Odchrząknęła i kilka razy zamrugła. – Straciliśmy kontakt z Oregonem.

– Seattle czy Tacoma? – spytała Murphy.

– Tak – odparła cicho Abby. – Przez ostatnie trzy dni nikt z tych miejsc nie odezwał się do nikogo.

Forthill przeżegnał się i powiedział coś pod nosem.

– Amen, ojczy – mruknęła Felicia.

– Ktoś dopadł cały skład. – Głos Daniela brzmiał ostro.

Will chrząknął i pokiwał głową.

– Wiemy kto?

– Yyy. – Abby uśmiechnęła się przepraszająco do Willa. – Nikt się do nas nie odezwał. Czyli nie. Będziemy musieli wysłać kogoś, żeby to zbadał.

– Uch. – Murphy potrząsnęła głową. – Nie. Jeśli dopadli tak wielu ludzi, to znaczy, że działa jedna z większych mocy. Jeśli Fomory przybyły do Oregonu w większej liczbie, wrzucimy naszego zwiadowcę do kłębowiska zmij.

– Jeśli podejmiemy szybkie działania – sprzeciwiła się stanowczo Abby – może uda się nam uratować chociaż część z nich.

Murphy zamyśliła się.

– Prawda. Ale stąd nic nie zrobimy. – Spojrzała na Forthilla.

– Zobaczą, czego uda mi się dowiedzieć naszymi kanałami – obiecał. – Ale... obawiam się, że nie znajdziemy rozwiązania.

Murphy pokiwała głową.

– Podrzucimy tę sprawę Strażnikom.

Daniel prychnął dokładnie w tej samej chwili, co ja.

– Tak, jasne, Biała Rada. Zareagują na to. Bo tak bardzo przejmują się maluczkimi i najbliższą przyszłością. Od razu wezmą się do roboty... za zaledwie rok albo dwa.

Will popatrzył beznamiętnie na Daniela, a mięśnie jego szczęki zadrżały.

Murphy uniosła rękę.

– Zadzwoń do Ramireza i poproszę go, żeby przyspieszył bieg spraw. Poproszę Elaine Mallory, żeby mnie poparła.

Elaine Mallory. Kiedy Murphy wypowiedziała to imię, coś w moim umyśle pękło



i wystrzelił z niego gejzer wspomnień. Elaine była moją pierwszą. Pierwszą przyjaciółką. Pierwszą miłością. Pierwszą kochanką. Pierwszą ofiarą – a w każdym razie tak mi się wydawało przez lata. Jakimś sposobem uciekła przed płomieniami, które pochłonęły mojego dawnego mentora, Justina DuMorne.

Niemal jednocześnie uderzył we mnie jakiś milion wspomnień-wrażeń. Przypominało to próbę oglądania sklepowej ściany pełnej telewizorów, z których każdy był nastawiony na inny kanał, a wszystkie zasuwaly na cały regulator. Promienie słońca na skórze. Gładka krzywizna szczupłej talii i ładnie umięśnionych pleców, kiedy Elaine nurkowała w basenie w blasku księżyca. Oszalamiająco łagodne wrażenie naszego pierwszego pocałunku, powolnego, niepewnego i ostrożnego.

Elaine. Która została przeobrażona w niewolnicę Justina. Która nie była dość silna, by się obronić, kiedy Justin przyszedł po jej umysł. Której nie ochroniłem.

Wraz z tymi wspomnieniami przyszły radość i ból. Były gorączkowo silne i równie dezorientujące i przytłaczające jak narkotyki.

Na wszystkie dzwony piekieł, nienawidzę być nowym.

Po kilku chwilach udało mi się odepchnąć wspomnienia, w sam raz, by usłyszeć wampirzycę. Felicia odchrząknęła i uniosła rękę.

– Tak się składa, że wedle mojej wiedzy mamy w tej okolicy pewne zasoby. Możliwe, że uda im się czegoś dowiedzieć.

– Możliwe również, że są odpowiedzialni za zniknięcia – powiedziała łagodnie Marci.

– Nonsens, dziecko. – Felicia lekko potrząsnęła głową. – Nie musimy łapać naszych ofiar i zaganiać ich w miejsce, gdzie ich duże zagęszczenie ułatwiłoby polowanie. – Posłała Marci słodki uśmiech, łącznie z dołeczkami w policzkach. – Już mamy takie zagrody. Nazywają się miastami.

– Będziemy wdzięczni za wszelkie informacje, których zechce nam udzielić Biały Dwór, Felicio. – Spokojny, profesjonalny, neutralny ton głosu Murphy fachowo złagodził wcześniejsze słowa. – Co z Chicago, Abby?

– W tym tygodniu straciliśmy dwoje. Nathana Simpsona i Sunbeam Monroe.

– Simpsona dopadł ghouł – dodał od razu Will. – Wyrównaliśmy rachunki.

Murphy spojrzała z aprobatą na Willa.

– Czy miałam okazję poznać Sunbeam?

Abby przytaknęła.

– Studentka z San Jose.

Na twarzy Murphy pojawił się grymas.

– Racja. Taka wysoka? Rodzice hipisi.

– To ona. Została odprowadzona na stację kolejki, na końcu trasy też ktoś na nią czekał. Nie dotarła do celu.

Murphy zawarzała w sposób, który z naddatkiem wynagradzał braki Toto w tym zakresie.

– Wiemy coś?

Will spojrzął na Marci. Dziewczyna pokręciła głową.

– Śnieg ukrywa zbyt wiele zapachów. Nie udało mi się znaleźć niczego pewnego. – Spuściła wzrok na kolana i dodała: – Przepraszam.

Murphy zignorowała ostatnie słowo.

– Nie powinna jechać sama. Musimy podkreślić, jak ważne jest znalezienie sobie towarzysza.

– Jak? – spytała Abby. – Chodzi mi o to, że taka informacja jest w każdym okólniku.

Murphy pokiwała głową.

– Will?

Will postukał palcami w biceps i przytaknął.

– Zajmę się tym.

– Dziękuję.

Abby zamrugała kilka razy, aż w końcu się odezwała:

– Karrin... chyba nie chodzi ci...

– Giną ludzie – powiedziała po prostu Murphy. – Dobre nastraszenie może zdziałać cuda i wyleczyć głupotę.

– Albo moglibyśmy spróbować ich chronić – stwierdził Daniel.

Forthill znów uniósł rękę, ale młodszy mężczyzna go zignorował i podniósł się. Mówił głębokim, mocnym barytonem.

– Na całym świecie mroczne istoty zwracają się przeciwko ludziom powiązanym ze światem nadnaturalnym. Zabijają ich albo porywają w mrok. Istoty, których ludzkość nie widziała od dwóch tysiącleci, znów się pojawiają. Walczą ze śmiertelnikami. Walczą między sobą. Cienie aż kłębią się od śmierci i grozy, i nikt z tym nic nie robi!

– Strażnicy przeszli od wojny z wampirami do nowej, przeciwko wrogowi bez twarzy i tożsamości. Biała Rada i tak nie ma dość Strażników, by zajęli się wszystkim, co się dzieje. Jeśli wołanie o pomoc rozlegnie się gdzieś poza większym miastem, nie ma szans, że się pokażą. A co my w tym czasie robimy? – W głosie Daniela brzmiała cicha pogarda. – Mówimy ludziom, że mają podróżować stadami. Sami ich

straszymy, żeby tak robili, jakby na świecie nie było już dość grozy.

Murphy patrzyła na niego spokojnie, a gdy się odezwała, jej głos zabrzmiał twardo.

– Wystarczy.

Daniel ją zignorował, stanął pewniej i wyprostował się.

– Pani wie. Pani wie, co trzeba zrobić, pani Murphy. Ma pani dwie największe bronie przeciwko ciemności, które kiedykolwiek widział świat. Proszę sięgnąć po Miecze.

W pokoju zapanowała śmiertelna cisza i wtedy właśnie sir Stuart spytał mnie swobodnym tonem:

– Które miecze?

– Miecze Krzyża. – Z przyzwyczajenia odpowiedziałem przyciszonym głosem, choć mógłbym zaintonować te słowa niczym w operze, i tak nikt by nie zauważył. – Te z wprawionymi gwoździami z krzyża.

– Excalibur, Durendal i Kusanagi, tak, tak. – W głosie sir Stuarta brzmiała niecierpliwość. – Oczywiście, że znam Miecze Krzyża. A ta blondyneczka ma dwa z nich?

Przez dłuższą chwilę jedynie wpatrywałem się w krępy cień. Natrafiłem kiedyś na pogłoskę, że *Amoracchius* był rzeczywiście tym samym mieczem, który trafił do rąk króla Artura, ale nigdy nie dowiedziałem się niczego na temat pozostałych dwóch – i to mimo że przez lata prowadziłem dość dogłębne badania na ich temat. A cień od niechcienia wyjawiał ich tożsamość, jakby wszyscy to wiedzieli.

Sir Stuart zmarszczył czoło.

– O co chodzi?

– Ja po prostu nie... Czy wiesz, ile badań... – Prychnąłem z irytacją, skrzywiłem się i powiedziałem: – Chodziłem do państwowej szkoły.

W środku Murphy nie przerywała ciszy. Przez jakieś dwie minuty po prostu patrzyła na młodego Carpentera. Później spojrzała dość znacząco na Felicię i znów posłała spojrzenie Danielowi.

Młody mężczyzna spojrzał na Felicię i zamknął oczy, zaczerwienił się jeszcze bardziej, a jego pasja szybko zniknęła. Mruknął coś pod nosem i dość szybko usiadł.

Wampirzyca siedziała na krześle, wpatrywała się w Daniela ponad filizanką i uśmiechała się z udawaną niewinnością.

– Uwielbiam młodych mężczyzn – zamruczała. – Po prostu ich uwielbiam.

– Panie Carpenter – odezwała się Murphy. – Zakładam, że zdradził pan wrogom ludzkości dość tajemnic jak na jeden wieczór?

Daniel nic nie powiedział.

– W takim razie może dołączy pan do Oczu i Futra na zewnątrz.

Podniósł się od razu i zarzucił grubą dżinsową kurtkę z kołnierzem z kozucha. Kurtka była stara i zużyta. Widziałem, jak nosił ją ojciec Daniela, ale na chłopaka była trochę za duża. Bez słowa wyszedł z salonu do kuchni, a później tylnymi drzwiami na zewnątrz.

Kiedy wyszedł, zapanowała ciężka cisza.

– Oba miecze. – Felicia mówiła lekkim tonem, wpatrując się niebieskofioletowymi oczyma w Murphy. – No, no, no. – Pociągnęła łyk herbaty. – Oczywiście będziesz musiała mnie zabić, moja droga. Jeśli ci się uda. – Drobniotka wampirzyca popatrzyła od niechcenia na wszystkich zebranych. – Daję ci szansę jak jeden do czterech.

– Nie mogę pozwolić, by Biały Dwór dowiedział się o Mieczach – zgodziła się Murphy. Trzymała palce blisko pistoletu.

Will patrzył spod ciężkich powiek. Ale w ciągu ostatnich kilku sekund udało mu się przenieść ciężar ciała na stopy. Marci wciąż siedziała skulona na kanapie, ale podciągnięte pod brodę kolana trzymała teraz pod sukienką. W jednej chwili mogłaby ją z siebie zrzucić i zmienić postać.

Felicia siedziała dokładnie tak samo jak przed kilkoma minutami. Sprawiała wrażenie, jakby nie przejmowała się grożącym niebezpieczeństwem. Zapamiętałem, by nigdy nie grać z nią w pokera.

– Moja droga. Jeśli zamierzałaś zatańczyć, powinna już grać muzyka. Może więc powinniśmy porozmawiać. – Uśmiechnęła się, a jej oczy zabłyśły, nagle o kilka odcieni jaśniejsze niż wcześniej. – Tylko my, dziewczyny. Możemy pójść na spacer.

Murphy prychnęła. Wyciągnęła broń zza paska i położyła ją na podłokietniku. Przykryła ją dłonią, nie do końca dotykając spustu.

– Nie jestem idiotką, Felicio. Zostań tam, gdzie siedzisz. Ja też. Cała reszta wychodzi na zewnątrz.

Abby wstała, zanim Murphy skończyła mówić, a wychodząc, mocno przytrzymała Toto.

Will zmarszczył czoło i spojrzał na Murphy.

– Pewna jesteś?

Ojciec Forthill podniósł się i powiedział:

– Tak czy inaczej, tym starym kościom przyda się krótki spacer. Dobranoc, pani Murphy. Williamie?

Will dosłownie zawarczał, taki dźwięk nie powinien wydobywać się z ludzkich ust.

Później jednak skinął Murphy i ruszył w stronę drzwi. Marci poderwała się szybko i wyszła za nim. Za nimi pokuśtykał Forthill. Słyszałem, jak wszyscy wychodzą tylnymi drzwiami, pewnie, żeby zebrać się na wyłożonym kamiennymi płytami tarasie.

– Podoba mi się – powiedziała w ciszy Felicia, uśmiechając się. – Ten uroczy domek jest taki kameralny. Nie sądzisz? – Przechyliła głowę. – Czy Miecze są na miejscu? Myślę, że powinnaś podać cenę.

Felicia uniosła brew, a jeden kącik jej ust wygiął zmysłowy uśmieszek.

– Z... – Murphy odchrząknęła. – Zapomnij o tym. Do tego nie dojdzie.

Wampirzyca wygięła wargi w szyderyczym grymasie.

– Cóż za purytańska etyka pracy. Interesy i przyjemność mogą się łączyć.

– To nie są interesy, pani Raith. To szantaż.

– Kwestia nazewnictwa. – Felicia wzruszyła ramionami. – Całe sedno w tym, Karrin, że nie możesz sobie pozwolić na przesadną wrażliwość.

– Nie?

– Nie. Jesteś inteligentna, utalentowana i masz silną wolę... jesteś całkiem onieśmiałająca. – Uśmiechnęła się. – Jak na śmiertelnika. Ale w ostatecznym rozliczeniu jesteś samotną śmiertelniczką. I już nie działasz pod egidą policji ani miejscowych członków Białej Rady.

Murphy poruszała jedynie ustami.

– To znaczy?

Felicia wzruszyła ramionami i odezwała się rzeczowym, beznamiętnym tonem.

– Miecze są cenne. Można je wymienić na wielkie wpływy. Jeśli Biała Rada dowie się o tym i postanowi zabrać Miecze, zabiorą cię. Spytają cię, gdzie są. Zmuszą cię, byś je oddała.

Murphy być może wzruszyła jednym ramieniem. Później wstała i podeszła do Felicii, trzymając broń luźno w dłoni.

– I... co dalej? Jeśli dam ci, czego chcesz, będziesz siedzieć cicho?

Felicia pokiwała głową i opuściła powieki, patrząc na zbliżającą się Murphy.

– W każdym razie przez kilka dni. A w tym czasie zdążysz przedsięwziąć środki, które uniemożliwią ich zabranie.

– Chcesz na mnie żerować.

Felicia przeciągnęła bardzo różowym językiem po górnej wardze, a jej oczy pobjadły jeszcze bardziej.

– Tak. Bardzo.

Murphy zmarszczyła czoło i pokiwała głową.

Po czym zamachnęła się pistoletem w miażdżącym kości ciosie i wbiła go w szczękę wampirzycy.

– Tak! – wysyczałem, zaciskając pięści.

Wampirzyca wydała z siebie krótkie, oszołomione westchnienie i zakołysała się pod ciosem. Zsunęła się z krzesła na kolana, próbując odsunąć się od Murphy.

Murphy na to nie pozwoliła. Złapała Felicię za włosy, podniosła ją częściowo, a później z wściekłym okrzykiem i spięciem całego ciała uderzyła twarzą wampirzycy w stolik. Głowa Felicii zmiażdżyła czajnik i tacę i uderzyła w dębowy stół z taką siłą, że na całej długości drewnianego blatu pojawiło się pęknięcie.

Murphy uderzyła głową Felicii jeszcze dwa razy, z niemal równą wściekłością. Później odwróciła się i trzymając wampirzycę za włosy, powlokła ją do frontowych drzwi. Tam odepchnęła ją od siebie pogardliwym gestem, stanęła nad nią i wyceLOWAŁA z pistoletu w głowę drobnej kobiety.

– Oto co się stanie – powiedziała Murphy bardzo cichym i twardym głosem. – Odejdiesz stąd żywa. Będziesz trzymać pierdolony język za zębami. I nigdy więcej nie wspomnimy o dzisiejszym wieczorze. Jeśli Biały Dwór choćby mrugnie w stronę Mieczy, odnajdę cię, Felicio. Cokolwiek się ze mną w końcu stanie, zanim mnie dopadną, odnajdę cię.

Felicia patrzyła na nią, kołysząc się i trzęsąc, wyraźnie oszołomiona. Murphy złamała jej nos i wybiła co najmniej dwa zęby. Jeden z policzków Felicii już zaczynał puchnąć. Rozbity czajniczek pozostawił liczne rozcięcia na jej twarzy, a gorący płyn poparzył skórę.

Murphy pochyliła się jeszcze bardziej i przycisnęła lufę pistoletu do czoła Felicii. Później szepnęła bardzo cicho:

– Bang.

Wampirzyca zadrzała.

– Zrób, co uważasz za najlepsze, Felicio – szepnęła Murphy. Wyprostowała się powoli i odezwała wyraźnym, spokojnym głosem, wracając znów na swój fotel. – A teraz wynoś się z mojego domu.

Felicii udało się z trudem podnieść, otworzyć frontowe drzwi i pokuśtykać powoli do czekającej przed domem białej limuzyny. Murphy podeszła do okna i patrzyła, jak Felicia wsiada do auta i odjeżdża.

– Tak – powiedziałem śmiertelnie poważnym głosem. – Ta blondyneczka ma dwa z nich.

– Ojej. – W głosie sir Stuarta brzmiał szacunek. – Rozumiem, dlaczego przyszedłeś do niej po pomoc.

– Cholerna racja – zgodziłem się. – Lepiej idź po Morta, póki Murphy jest w dobrym humorze.

# Rozdział dziesiąty

Spotkałem się z Mortem i sir Stuartem na ganku przed frontowym wejściem. Noc chyba była zimna. Mort stał skulony dla ochrony przed wiatrem, a ręce wcisnął do kieszeni płaszczu. Rozglądał się nerwowo. Drżał.

– Naciśnij guzik dzwonka – powiedziałem. – I co prawda to tylko moje zdanie, ale na twoim miejscu trzymałbym ręce na widoku.

– Dzięki – odparł kwaśno Mort i zadzwonił. – Czy mówiłem już, jak wiele jasności przynosisz do mojego świata, kiedy się pojawiaasz, Dresdenie?

– Normalna sprawa, kiedy jest się stworzonym z kosmicznych legend wszechświata.

– Powinniście wiedzieć – odezwał się sir Stuart – że po prawej i lewej macie wilkołaki.

Spojrzałem. Miał rację. Jeden był wielki i ciemny, drugi mniejszy i w jaśniejszym odcieniu brązu. Siedziały w cieniach, idealnie nieruchome, w takim miejscu, że trzeba było się przyjrzeć, by je dostrzec. Ich nieufne spojrzenia były przenikliwe.

– Will i Marci – wyjaśniłem. – Są w porządku.

– Są brutalnymi samozwańczymi stróżami porządku – odparł Mort przez zaciśnięte zęby.

– Spokojnie, mały skaucie. Nie zrobią ci krzywdy i dobrze o tym wiesz.

Mort spojrzał na mnie zmrużonymi oczami, ale wtedy Murphy otworzyła drzwi.

– Pani Murphy. – Mort skinął jej głową.

– Lindquist, tak? Medium.

– Tak.

– Czego pan chce?

– Za nami – mruknął sir Stuart.

Sprawdziłem. Ulicą w naszą stronę szedł szczupły mężczyzna w ciężkim zimowym ubraniu. Towarzyszył mu trzeci wilk, o futrze z kasztanowym połyskiem.

– Przyszedłem tu, by porozmawiać z panią w imieniu kogoś, kogo pani znała – powiedział Mort do Murphy.

Niebieskie oczy Murphy zmieniły się w odłamki lodu.



– Kogo?

– Harry’ego Dresdena.

Murphy zacisnęła prawą rękę w pięść. Jej knykcie trzaskały cicho.

Mort przełknął ślinę i zrobił pół kroku do tyłu.

– Niech pani posłucha, wcale nie chcę tu być. – Uniósł dłonie. – Ale sama pani go zna. Jego cień jest nie mniej uparty i irytujący niż Dresden za życia.

– Jest pan przeklętym kłamcą – warknęła Murphy. – Jest pan znanym oszustem. I igra pan z ogniem.

Mort wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę. Później skrzywił się i powiedział:

– Pani... pani wierzyła, że on nadal żyje.

– On żyje. – Murphy zacisnęła zęby. – Ciała nie odnaleziono.

Mort spuścił wzrok, zacisnął wargi i przeciągnął dłonią po łysej głowie, ścierając kilka płatków śniegu. Wypuścił powietrze i powiedział:

– Przykro mi. Przykro mi, że to takie trudne.

– To nie jest trudne. Po prostu irytujące. Bo on wciąż żyje.

Mort popatrzył na mnie i rozłożył ręce.

– Wciąż jest na etapie zaprzeczenia. Niewiele mogę tu zrobić. Posłuchaj, często to robiłem. Ona potrzebuje czasu.

– Nie. Musimy zmusić ją, żeby zrozumiała. Dzisiaj.

Mort ścisnął grzbiet nosa kciukiem i palcem wskazującym.

– Przecież ty się nie starzejesz, Dresdenie.

Murphy przeszła Morta spojrzeniem gliniarza. Nie straciło dawnej przenikliwości.

– To nie jest ani wiarygodne, ani zabawne, Lindquist. Powinien pan już sobie pójść.

Lindquist pokiwał głową i uniósł dłonie w uspokajającym geście.

– Wiem. Już idę. Proszę zrozumieć, próbuję tylko pomóc.

– Zaczekaj! – rzuciłem. – Musi być coś, co mógłbyś powiedzieć.

Mort spojrział na mnie, idąc z powrotem w stronę samochodu, i rozłożył ręce w bezradnym geście.

Zazgrzytałem zębami. Stałem kilkadziesiąt centymetrów od Murphy. Jak, do diabła, miałem sprawić, żeby uwierzyła, że to naprawdę ja?

– Prosząc Morta, żeby powiedział o czymś, co tylko ty możesz wiedzieć, idioto – powiedziałem do siebie. – Mort!

Zatrzymał się w połowie podjazdu i odwrócił do mnie.

– Spytaj ją o to. – Podyktowałem mu pytanie.

Mort westchnął. Później odwrócił się do Murphy i powiedział:

– Zanim sobie pójdę... Dresden chce, żebym spytał panią, czy znalazła pani tego w miarę zdrowego faceta.

Murphy się nie poruszyła. Jej twarz pobladła. Po jakiejś minucie wyszeptała:

– Co pan powiedział?

Podpowiedziałem Mortowi.

– Dresden chce, bym powiedział pani, że wtedy nie zamierzał zrobić niczego melodramatycznego. Po prostu tak wyszło.

Wilki i mężczyzna w ciężkim płaszczu podeszli bliżej i słuchali. Murphy kilka razy zacisnęła i rozluźniła pięść. Później spytała:

– Ile wampirów musieliśmy zabić z agentem White, zanim w ubiegłym roku uciekliśmy z budynku FBI?

Znow poczułem gwałtowny przyływ dumy. To była Murph, ciągle myślała. Podałem Mortowi odpowiedź.

– Mówi, że nie wie, kim jest agent White, ale że pani i Tilly zabiliście jednego z nich na klatce schodowej, kiedy opuszczaliście budynek. – Mort przechylił głowę, słuchając mnie, i dodał: – Zastanawia się też, czy nadal uważa pani, że wzięcie do ręki Miecza Wiary byłoby... robotą na pocieszenie.

Z twarzy Murphy odplynęła niemal cała krew. Prawie widziałem, jak jej oczy się zapadają, a rysy szarzeją i obwisają. Oparła się o drzwi domu i otoczyła rękami brzuch, jakby próbowała powstrzymać wypływanie własnych wnętrzności.

– Pani Murphy – odezwał się łagodnie Mort. – Jest mi ogromnie przykro, że przyniosłem te wieści. Ale cień Dresdena mówi, że musi z panią porozmawiać. Że ludziom grozi niebezpieczeństwo.

– Jasne – powiedziała tępo Murphy. – To coś nowego. – Spojrzała na Morta. – Przelej dla mnie krew.

Była to częsta próba u tych, którzy mieli wiedzę o świecie nadnaturalnym, ale brakowało im jego darów. Istnieje wiele nieludzkich istot, które umieją udawać ludzi – ale nieliczne z nich mają naturalnie wyglądającą krew. Próba nie była doskonała, bynajmniej, ale o wiele lepsza niż nic.

Mort spokojnie pokiwał głową i wyjął z kieszeni płaszcza długą szpilkę. Nawet nie mrugnął, słysząc tę prośbę. Najwyraźniej w obecnym klimacie próba była używana o wiele częściej. Zastanawiałem się, czy Murphy za to odpowiadała.

Mort nakłuł czubek lewego kciuka, wokół ranki zebrała się kropla rubinowej krwi.

Pokazał ją Murphy, która pokiwała głową.

– Jest zimno. Lepiej niech pan wejdzie do środka, panie Lindquist.

– Dziękuję. – Mort westchnął ciężko.

Murphy zwróciła się do stojących na zewnątrz.

– Czas na spotkanie, dzieciaki. Chcę sprawdzić tego żartownisia. Will, wyślij kogoś, żeby zaprosił Szmacianą Anię.

– Nie chcę sprawiać kłopotów... – zaczął mówić Mort.

Murphy posłała mu lodowaty uśmiech.

– Zabieraj tylek do środka i siadaj. Powiem ci, kiedy będziesz mógł wyjść. A jeśli jakimś cudem robisz nas w balona, powinieneś wiedzieć, że nie przyjmę tego spokojnie.

Mort przełknął ślinę. Ale wszedł do środka.

\* \* \*

Murphy, Will i ojciec Forthill przez następne pół godziny przepytывali Morta, a zatem mnie, a Abby i Daniel się przyglądali. Każde z nich zadawało mnóstwo pytań, głównie o prywatne rozmowy, które z nimi prowadziłem. Mort musiał przekazywać odpowiedzi.

– Nie, ojczy, po prostu nigdy wcześniej nie słyszałem, żeby ksiądz użył słowa „schrzanić”.

– Will, posłuchaj. Zaproponowałem, że zapłacę za te całe „drzwi są otwarte”.

– Chloromonstrum? Zabiłaś je piłą spalinową, Murph.

I tak dalej, i tak dalej, aż zagotowała się we mnie krew – a może ektoplazma.

– To się robi absurdalne – warknąłem w końcu. – Gracie na czas. Dlaczego?

Mort zamrugnął zaskoczony. Sir Stuart, który opierał się o ścianę w kącie, wybuchnął śmiechem.

Murphy przyjrzała się Mortowi ze zmarszczonym czołem.

– O co chodzi?

– Dresden się niecierpliwi. – Ton głosu Morta sugerował, że to coś ogromnie niestosownego, a być może wręcz nieuprzejmego. – On, ach, podejrzewa, że gracie na czas i chce wiedzieć dlaczego. Przepraszam. Duchy zwykle nie są aż tak...

– ...uparcie nieposłuszne? – odpowiedziała Murphy.

– Natarczywe – dokończył Mort z obojętną miną.

Murphy usiadła wygodniej i wymieniła spojrzenia z ojcem Forthillem.

– Cóż... to brzmi zupełnie jak Dresden, prawda?

– Jestem całkiem pewien, że jedynie Dresden znał kilka z tych szczegółów, o których mimochodem wspomniał – odparł poważnie Forthill. – Istnieją jednak istoty, które mogłyby wiedzieć takie rzeczy, niezależnie od tego, czy były obecne przy tych wydarzeniach. Bardzo, bardzo niebezpieczne istoty.

Murphy popatrzyła na Morta i pokiwała głową.

– Aha. Czyli on albo jest szczerzy i nie myli się w kwestii, że towarzyszy mu cień Dresdena, albo ktoś został zrobiony w balona i wpuściłam do domu coś niesamowitego i niebezpiecznego.

– Zasadniczo tak – zgodził się Forthill ze zmęczonym uśmiechem. – Nie wiem, czy ma to znaczenie, ale nie wyczuwam tu żadnej mrocznej obecności. Jedynie przeciąg.

– To cień Dresdena, ojciec – powiedział z szacunkiem Mort.

Mort, grzeczny katolicki chłopczyk. Kto by zgadł?

– Gdzie jest teraz Dresden?

W pytaniu Murphy nie słyszałem entuzjazmu.

Mort popatrzył na mnie i westchnął.

– On... tak jakby nad panią góruje, trochę po pani lewej, pani Murphy. Założył ręce na piersi, przytupuje jedną nogą i co kilka chwil spogląda na lewy nadgarstek, choć nie nosi zegarka.

– Czy naprawdę musiałeś ze mnie zrobić kogoś tak... tak dziecinnego? – jęknąłem.

Murphy prychnęła.

– To brzmi jak on.

– Ej! – powiedziałem.

Rozległ się znajomy stukot łapek na podłodze i do pokoju wpadł Mister. Przebiegł po drewnianym parkiecie i zderzył się z moimi goleniami.

Mister to kawał kota, jakieś dwanaście kilo żywej wagi. Impet uderzenia sprawił, że aż się zakołysałem, a później szybko pochyliłem, żeby przeciągnąć dłońią po kocim futerku. W dotyku Mister wydawał się taki jak zawsze, a jego dudniące mruczenie było głośne i pełne zadowolenia.

Minęła sekunda, zanim uświadomiłem sobie, że mogłem dotknąć Mistera. Czułem miękkość jego sierści i ciepło ciała.

Co ważniejsze, masywny kot biegnący co sił w łapach po gładkim parkiecie uderzył barkiem w puste powietrze i gwałtownie się zatrzymał.

Wszyscy gapili się na Mistera z otwartymi ustami.

To znaczy, że świadomość istnienia świata nadnaturalnego i przypadkowe

kontakty z nim w mrocznych i niesamowitych okolicznościach to jedno. Ale dziwny charakter nadnaturalnych zjawisk uderza najmocniej w domu, kiedy widzi się je w prostych, codziennych sprawach – drzwi, które są otwarte, choć nie powinny, cień na podłodze pozbawiony źródła, kot mruczący i ocierający się o ulubionego człowieka – którego tam nie ma.

– Och. – W oczach Murphy pojawiły się łzy.

Will gwizdnął cicho.

Ojciec Forthill się przeżegnał, a kąciki jego ust uniosły się w lekkim uśmiechu.

Mort spojrzał na kota i westchnął.

– No jasne. Zawodowy ektomanta słynący w całym kraju jako medium mówi wam, co się dzieje, ale nikt mu nie wierzy. Wystarczy jednak, że do środka wejdzie futrzak z kikutem ogona, a wszyscy od razu się rozczulają jak na telenoweli dokumentalnej.

– Ha – powiedział sir Stuart z lekkim rozbawieniem. – Co ci mówiłem? Koty.

\* \* \*

Murphy odwróciła się do mnie i uniosła głowę. Patrzyła trochę nie w tę stronę, skupiając spojrzenie na boku mojej twarzy. Przesunąłem się, aż stanąłem tam, gdzie wpatrywała się niebieskimi oczyma.

– Harry?

– Jestem tutaj – odpowiedziałem.

– Boże, głupio się czuję – mruknęła Murphy i spojrzała na Morta. – On mnie słyszy, prawda?

– I widzi panią – potwierdził Mort.

Pokiwała głową i znów spojrzała w górę – w odrobinę inne miejsce. Po raz kolejny się poruszyłem.

Wiedziałem. Dla niej to nie miało znaczenia.

Ale dla mnie tak.

– Harry. Dużo rzeczy się wydarzyło od czasu... od czasu naszej ostatniej rozmowy. Wielkie zaklęcie w Chichén Itzá nie zniszczyło jedynie tych członków Czerwonego Dworu, którzy byli na miejscu. Zabiło ich wszystkich. Każdego wampira z Czerwonego Dworu na całym świecie.

– Tak. – Mój głos brzmiał twardo, nawet dla mnie. – O to chodziło.

Murphy wypuściła powietrze.

– Butters mówi, że mogło ominąć parę z nich, ale musieli to być najmłodszy

i najmniej potężni członkowie najmniej potężnych rodów albo też znajdować się w jakimś chronionym miejscu. Ale mówi, że zgodnie z jego znajomością teorii magii to ma sens.

Wzruszyłem ramionami i pokiwałem głową.

– Pewnie tak. Dużo zależy od tego, jak dokładnie został przygotowany rytuał.

Ale Czerwony Dwór nie żył, podobnie jak Czarny Dwór. Życie trwało dalej. Oni byli teraz jedynie przypisami.

– Kiedy Czerwony Dwór upadł – mówiła dalej Murphy – ich terytorium nagle stało się dostępne. Pojawiła się próżnia. Rozumiesz?

O Boże.

Czerwony Dwór próbował zamordować moją córeczkę i wszystkich, którzy pozostali z mojej rodziny, i ich śmierć nie spędzała mi snu z powiek. (Zakładając, że w ogóle uda mi się jeszcze usnąć, co wydawało się poważną kwestią). Ale nie sięgnąłem myślami dalej poza tę jedną chwilę, nie przemyślałem dalekosiężnych konsekwencji zmiecienia z powierzchni ziemi całego Czerwonego Dworu.

Byli jedną z ważniejszych nadnaturalnych nacji na świecie. Kontrolowali Amerykę Południową i większość Środkowej i mieli swoje wpływy na całym świecie. Nieruchomości. Akcje. Korporacje. Rachunki. Niektóre rządy właściwie siedziały im w kieszeni. Należały do nich aktywa wszelkiego rodzaju. Wartość tego, co kontrolował Czerwony Dwór, była właściwie nie do oszacowania.

A ja wyrzuciłem to wszystko w powietrze i ogłosiłem, że znalezione nie kradzione.

– Ups – powiedziałem.

– Sytuacja jest... kiepska – stwierdziła Murphy. – W Chicago nie tak bardzo. Odparliśmy najgorsze ataki, głównie bandy aroganckich dziwadeł zwanych Fomorami. Paranet bardzo nam pomógł. Dosłownie ocalił życie setkom, jeśli nie tysiącom ludzi.

Kątem oka zobaczyłem, jak Abby siada wyprostowana, a jej oczy błyszczą siłą i pewnością siebie, których nie widziałem u niej nigdy wcześniej.

– Ameryka Południowa zdecydowanie oberwała najbardziej – mówiła Murphy. – Ale każda mało znacząca siła i drugorzędna organizacja w świecie nadnaturalnym postrzega to jako szansę na stworzenie imperium. Stare urazy i zawiści zostają odkurzone. Istoty zabijają siebie nawzajem, jak również ludzi, i to na całym świecie. Kiedy jedna z grubych ryb przenosi swoją siedzibę do Ameryki Południowej, stada płotek, które pozostały na miejscu, próbują urosnąć na tyle, by wypełnić przestrzeń. Walki trwają wszędzie. Jak słyszałam, Biała Rada nie ma czasu usiąść na tłustym

tyłku, próbują utrzymać wszystko w jednym kawałku i zminimalizować skutki dla zwykłych ludzi. Ale nie widzieliśmy ich tutaj, pomijając kilka sytuacji, kiedy zajrzał Strażnik Ramirez, szukając Molly.

– Molly. Jak ona się czuje?

Ledwie słyszałem, jak Mort przekazuje moje słowa. Zauważyłem, że całkiem wiarygodnie naśladuje ton mojego głosu. Pewnie rzeczywiście w przeszłości często robił takie rzeczy.

– Dochodzi do siebie po ranach, jakie odniosła w Chichén Itzá – powiedziała Murphy. – Mówi, że były psychiczne, nie tylko fizyczne. A ta rana nogi była naprawdę paskudna. Nie wiem, dlaczego twoje zniknięcie sprawiło, że w oczach Białej Rady jest zbrodniarzem, ale najwyraźniej tak się stało. Ramirez powiedział nam, że Strażnicy chcą wydać na nią wyrok... ale nie wydawało mi się, by urabiał sobie ręce po łokcie, próbując ją odnaleźć. Wiem, jak to wygląda, kiedy gliniarz się nie przykłada.

– Jak ona się czuje? – powtórzyłem. – Murph, to ja. Jak ona sobie radzi?

Murphy spuściła wzrok i przełknęła ślinę.

– Ona... z nią jest coś nie w porządku, Harry.

– Co masz na myśli?

Murphy znów spojrzała na mnie, mięśnie szczęki miała napięte.

– Mówi do siebie. Widzi rzeczy, których nie ma. Boli ją głowa. Bredzi.

– Brzmi zupełnie jak ja – powiedziałem niemal w tej samej chwili, kiedy Will zauważył:

– Brzmi jak Harry.

– To coś innego – Murphy zwróciła się do Willa – i ty dobrze o tym wiesz. Dresden nad tym panował. Wykorzystywał dziwność, żeby uczynić się silniejszym. Czy kiedykolwiek się go bałeś? Tak naprawdę bałeś?

Will zmarszczył czoło i wpatrzył się w dłoń.

– Bywał przerażający. Ale nie. Nigdy nie sądziłem, by mógł zrobić mi krzywdę. Przypadkiem albo nie.

– Jak byś się czuł, gdyby miała przyjść Molly? – spytała Murphy.

– Chciałbym wyjść – odparł szczerze Will. – Z tą dziewczyną jest coś nie w porządku.

– Najwyraźniej – Murphy odwróciła się do mnie – obecność maga w mieście, jakimkolwiek mieście, na całym świecie, jest potężnym czynnikiem odstraszającym. Dziwne istoty boją się Rady. Wiedzą, że Rada może przyjść po nie szybko, zniknąć i z przeważającymi siłami. Większość przerażająco-złych stworów w okolicy,

przynajmniej tych, które mają mózgi, unika terytorium Białej Rady. Tyle tylko że kiedy ty zniknąłeś, a Biała Rada ma ręce pełne roboty... – Murphy pokręciła głową. – Boże. Nawet zwykłe media zaczynają zauważać dziwność w mieście. Tak że tak. Molly nie chce z nikim zostać. Ciągłe się porusza. Ale wbiła sobie do głowy, że Chicago nie potrzebuje prawdziwego maga z Białej Rady, żeby wszystko uspokoić, po prostu źli goście muszą myśleć, że ktoś taki jest. Dlatego zaczęła zostawiać wiadomości za każdym razem, kiedy zajęła się jakimś włóczącym się drapieżnikiem, nazywa samą siebie Obdartą Panią i ogłosiła Chicago terytorium chronionym.

– To szaleństwo – powiedziałem.

– Którego fragmentu „z nią jest nie w porządku” nie zrozumiałeś? – odpowiedziała Murphy ostrym tonem na słowa Morta. Odetchnęła i uspokoiła się. – Najbardziej szalone w tym wszystkim jest to, że to zadziało. Przynajmniej częściowo. Dużo paskudnych istot postanowiło zabawić się gdzie indziej. Najgorzej jest w miasteczkach uniwersyteckich w głębi kraju. Ale... tu też zdarzały się rzeczy. – Zadrzała. – Gwałtowne. Głównie złym gościom. Ale czasami ludziom. Przeważnie z gangów. Wizytówką Obdartej Pani jest kawałek materiału, który odrywa i zostawia na swoich wrogach. A ostatnio znajdujemy mnóstwo kawałków materiału. Dużo z nich na trupach.

Przełknąłem ślinę.

– Myślisz, że to robota Molly?

– Nie wiemy – odparła Murphy swoim profesjonalnie neutralnym tonem. – Molly mówi, że nie atakuje nikogo poza nadnaturalnymi zagrożeniami, a ja nie mam powodu, by jej nie wierzyć. Ale... – Rozłożyła ręce.

– Czyli kiedy mówiłaś o Szmacianej Ani – powiedziałem – chodziło ci o Molly.

– Jest jak ta... poturbowana, zaplamiona, obdarta lalka. Uwierz mi. To pasuje.

– Poturbowana, obdarta, przerażająca lalka – dopowiedział cicho Will.

– A wy... pozwoliliście jej, żeby pozostała w takim stanie? – spytałem ostro.

Murphy zazgrzytała zębami.

– Nie. Rozmawiałam z nią kilka razy. Próbowaliśmy interwencyjnie ściągnąć ją z ulicy.

– Nie powinniśmy – dodał Will.

– Co się stało? – spytał Mort.

Will najwyraźniej założył, że to ja zadałem to pytanie.

– Walała w nas jak w gwoździe wbijane w drewno, to się stało. Światła, dźwięk, obrazy. Jezu, mam w głowie wizję, jak potwory ciągną mnie do Nigdynigdy, której nie



mogę się pozbyć do tej pory. Kiedy mi ją pokazała, mogłem jedynie zwinąć się w kłębek i wrzeszczeć.

Opis Willa sprawił, że zrobiło mi się niedobrze. Co było absurdalne, bo przecież niczego już nie jadłem – ale ta wiadomość nie dotarła do moich wnętrzności. Odwróciłem wzrok i skrzywiłem się, czując w ustach gorzki posmak żółci.

– Wspomnienia to broń – powiedział cicho sir Stuart. – Ostra jak nóż.

Murphy uniosła dłoń, by przerwać Willowi.

– Niezależnie od tego, czy posunęła się zbyt daleko, jest jedynym większym talentem, jaki mamy. Choć Ordo oczywiście bardzo nam pomogło, Abby – dodała, kiwając głową w stronę blondynki.

– Nie ma za co – odparła Abby z niezmaconym spokojem. – Nie wszyscy jesteśmy tacy sami, prawda? – Popatrzyła mniej więcej w moim kierunku. – Stworzyliśmy osłony wokół domu Karrin. Trzy setki ludzi z Paranetu, wszyscy działający razem. – Położyła dłoń na zewnętrznej ścianie, gdzie miarowo brzęczała patchworkowa osłona. – Potrzebowaliśmy niecałego dnia.

– I dwóch setek pizz – mruknęła Murphy. – I listu pochwalnego.

– I było warto. – Abby uniosła brew, wręcz zachęcając Murphy, by się sprzeciwiła.

Była policjantka pokręciła głową, ale widziałem, że powstrzymuje uśmiech.

– Chodzi o to, że czekamy na Molly, by potwierdziła twoją prawdziwość, Harry.

– Yyy – odezwał się Mort. – Czy... czy to bezpieczne, pani Murphy? Jeśli dziewczyna była jego praktykantką, czy jej reakcja na jego cień nie będzie najprawdopodobniej... nieco emocjonalna?

Will prychnął.

– Podobnie jak nitrogliceryna jest nieco wybuchowa. – Odetchnął głęboko. – Karrin, pewna jesteś?

Murphy powoli rozejrzała się po pokoju. Abby wpatrywała się w podłogę, ale jej różowe policzki pobladyły, a uszka Toto oklapły. Will zachował spokojną minę, ale język ciała wskazywał na człowieka, który sądził, że za chwilę może być zmuszony wyskoczyć przez zamknięte okno. Forthill obserwował pokój, emanując spokojną pewnością siebie, ale czoło miał zmarszczone, a wokół ust widniały ślady napięcia.

Pomijając Forthilla, widziałem, jak każde z nich reagowało na bezpośrednie zagrożenie.

Wszyscy bali się Molly.

Murphy stała naprzeciwko nich. Była najdrobniejszą osobą w pomieszczeniu. Twarz miała równie gładką i ekspresyjną jak tafla lodu, a postawę spokojną.

Wyglądała, jakby uważała się za gotową na wszystko.

Ale ja wpakowałem się z Murphy w niejedną bijatykę i poprzez jej zewnętrzną skorupę dostrzegałem strach, który nią kierował. Nie wiedziała, czy jestem prawdziwy. Wedle jej najlepszej wiedzy mogłem być jakimś potworem z koszmarnej strony ulicy, a to było niedopuszczalne. Musiała wiedzieć.

Problem polegał na tym, że niezależnie od tego, jaką odpowiedź by dostała, musiało zboleć. Gdyby Molly ogłosiła, że jestem złym gościem, świadomość, że prawdziwy Harry Dresden wciąż był zaginiony i uznany za martwego, byłaby jak lodowate ostrze w brzuchu po krótkim kontakcie zapewnionym przez Morta. A gdyby dowiedziała się, że to naprawdę mój cień... byłoby jeszcze gorzej.

– Molly nic nie będzie – powiedziała Murphy. – Potrzebujemy jej. Poradzi sobie. – Przeczesła dłonią krótkie włosy. Jej głos przycichł, zabrzmiał w nim ból. – Nie chciałabym urazić pana Lindquista. Nie chciałabym urazić Mistera. Ale ja... musimy wiedzieć.

Paranoja? Najpewniej.

Ale fakt, że ktoś jest paranoikiem, nie znaczy jeszcze, że obok niego nie stoi duch maga ze łzami w oczach.

## Rozdział jedenasty

Niedługo potem coś zaczęło drapać we frontowe drzwi. Will otworzył je i wpuścił do środka szarobrązową wilczycę. Ta potruchtała do kanapy, gdzie leżała złożona sukienka Marci, wzięła ją w zęby i zniknęła w kuchni. Po chwili pojawiła się Marci, poprawiając sukienkę na swoim szczupłym ciele, i stwierdziła:

– Zaraz tu będzie. Już mówiłam Andi i Oczom.

– Dziękuję, Marci. – Murph popatrzyła na wszystkich. – Uspokójcie się. Wyglądacie, jakbyście się spodziewali, że przez drzwi przejdzie Hannibal Lecter.

– Z Hannibalem bym sobie poradził – stwierdził Will. – To coś innego.

Murphy oparła pięć na biodrze.

– Will. Molly jest jedną z nas. I nie pomożesz jej, wyglądając na zaniepokojonego. Jeśli nie możesz się uspokoić, wyjdź. Nie chcę, żebyś ją zdenerwował.

Na twarzy Willa pojawił się grymas. Mężczyzna poszedł do kuchni i już po chwili do pokoju wkroczył duży wilk porośnięty futrem w odcieniu włosów Willa. Poszedł do kąta, obrócił się trzy razy i położył na podłodze. Toto zaszczekał na powitanie, zeskoczył i podbiegł do Willa. Obwąchał go, po czym również obrócił się trzy razy i ułożył obok. Stykali się grzbietami. Wielki wilk odetchnął i wydał z siebie bardzo ludzkie zrezygnowane westchnienie.

– Dziękuję. – Murphy spojrzała na Morta. – W kuchni jest krąg z miedzianego drutu. Jeśli zrobi się gorąco, może pan do niego uciec. Umie pan napełnić krąg mocą?

– Oczywiście. – Oblizął wargi. – Choć nie umiem sobie wyobrazić, że uciekając, zatrzymałbym się w pani kuchni. Nie chciałbym potraktować lekceważąco pani możliwości obrony, ale zatrzymam się, kiedy dotrę do domu, z całym szacunkiem.

– Boże – powiedziała Murphy. – Gdyby tylko więcej ludzi miało tyle zdrowego rozsądku.

Radio Murphy zaczął mówić. Po chwili jego głos zagłuszył biały szum.

To jeszcze zwiększyło napięcie zgromadzonych. Talent magiczny źle wpływa na sprzęt. Im bardziej skomplikowane urządzenie, tym bardziej destrukcyjnie działa obecność maga, a elektronika niemal zawsze przestaje działać jako pierwsza, gdy

w pobliżu znajduje się mag. Nawalające radio ostrzegło nas o zbliżaniu się Molly równie skutecznie, jak wartownik wołający „Stój, kto idzie?”.

– Hm – mruknąłem.

Mort posłał mi spojrzenie.

– O co chodzi?

– Problemy ze sprzętem, jakie wywołuje osoba praktykująca magię, są wprost proporcjonalne do jego lub jej mocy.

– Dobrze o tym wiem – odparł Mort. – Dlatego co jakiś czas muszę kupować nową komórkę. I co z tego?

– To z tego, że Molly pod względem surowej mocy nie była zawodnikiem klasy ciężkiej. Musiała praktycznie czegoś dotykać, żeby na to wpłynąć. – Zmrużyłem oczy.

– Stała się silniejsza. Albo też...

– Ona już jest w pokoju – stwierdził Mort.

Murphy gwałtownie poderwała głowę.

– Co takiego?

Światła w domu zamigotały i zgasły.

Nie trwało to długo, uderzenie serca albo dwa. Jednak kiedy znów się zapaliły, Murphy trzymała pistolet w dłoni, Marci zmieniła się w wilka z sukienką na ramiączkach wiszącą na szyi, a na kanapie między Abby i Mortem, najwyżej piętnaście centymetrów od każdego z nich, siedziała młoda kobieta owinięta w wiele warstw ubrań.

Molly była wysoka i miała figurę dziewczyny z plakatu, długie nogi i krągłości, których nie ukrywały nawet grube ubrania. Śliczna twarz, pozbawiona makijażu, z wyraźnie zarysowanymi kośćmi policzkowymi. Włosy brudne, posklejane i splątane, pofarbowane na fiolet tak ciemny, że niemal nieodróżnialny od czerni. O jej kolana opierała się drewniana laska pomalowana na taki sam ciemny fiolet, a między turystycznymi butami stał wojskowy plecak z licznymi przypinkami i rysunkami wykonanymi markerem. Reakcje Abby i Morta wskazywały, że musiała śmierdzieć, jakby nie kąpała się co najmniej od kilku dni.

Ale najgorsze były jej oczy.

Niebieskie oczy mojej praktykantki były zapadnięte, podkrążone od stresu i zmęczenia, a do tego płonęły dziwnym blaskiem, choć jednocześnie były szkliste jak u kogoś, kto właśnie budził się ze znieczulenia.

– Ciekawe, że to ty mnie zauważyłeś. – Molly zwróciła się do Morta, jakby przez cały czas uprzejmie uczestniczyła w rozmowie.

Ektomanta drgnął, a ja widziałem, że tłumi pragnienie, by zerwać się i pobiec do samochodu.

Molly pokiwała głową i rozejrzała się po pokoju, od osoby do osoby, aż dotarła do Murphy.

– Mam nadzieję, że tym razem planujemy uprzejmą rozmowę, Karrin.

Murphy odłożyła broń i w ramach reprimendy posłała Molly łagodne spojrzenie.

– Ostatnim razem byliśmy uprzejmi. Jesteśmy twoimi przyjaciółmi, Molly, i martwimy się o ciebie.

Moja praktykantka wzruszyła ramionami.

– Nie chcę mieć przy sobie przyjaciół ani nikogo w tym rodzaju. Jeśli zaliczasz się do nich, powinnaś dać mi święty spokój. – Pod koniec zdania jej głos zmienił się w warczenie. Przerwała i odetchnęła głęboko, żeby się uspokoić. – Nie mam cierpliwości ani czasu na sesję terapii grupowej. Czego chcesz?

Murphy robiła wrażenie, jakby przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią. W końcu zdecydowała się na zwięzłość.

– Chcemy, żebyś coś dla nas sprawdziła.

– Czy twoim zdaniem wyglądam jak weryfikator, Karrin?

– Wyglądasz jak bezdomny strach na wróble – odparła Murphy rzeczowym tonem. – I śmierdzisz jak rynsztok.

– Podobno kiedyś byłaś detektywem. – Molly przewróciła oczami. – Patrz wyżej na kwestię tego, że nie chcę mieć w pobliżu nikogo. Nie tak trudno to zrozumieć.

– Panno Carpenter – odezwał się nagle ojciec Forthill z łagodnym naciskiem. – Jest pani gościem w domu tej kobiety. Kobiety, która ryzykowała własne życie, by ocalić innych... w tym panią.

Molly zwróciła lodowate spojrzenie na ojca Forthilla. Później odezwała się cichym, monotonnym głosem:

– Wolałabym, żeby nie zwracano się do mnie, jakbym wciąż była dzieckiem, ojcze.

– Jeśli chce być pani traktowana jak dorosły, powinna się tak pani zachowywać – odparł Forthill – co obejmuje również stosowną uprzejmość wobec rówieśników i szacunek wobec starszych.

Molly jeszcze przez chwilę piorunowała go wzrokiem, po czym znów zwróciła się do Murphy:

– Biorąc pod uwagę całą sytuację, moja obecność tutaj jest głupotą. Jestem zajęta kobietą, pani Murphy, ciągle tylko klienci, klienci, klienci. Dlatego jeśli nie dostanę dobrego powodu, by tu zostać, za pięć sekund wyjdę.

– To Mort Lindquist, ektomanta – odparła natychmiast Murphy. – Mówi, że przybył tu, by rozmawiać z nami w imieniu ducha Harry’ego, który mu towarzyszy.

Molly znieruchomiała. Pod brudem jej twarz pobladła.

– Chciałabym, żebyś zweryfikowała, czy to prawda. – Głos Murphy brzmiał łagodnie. – Muszę wiedzieć, czy on jest naprawdę... czy to naprawdę jego duch.

Molly wpatrywała się w nią przez chwilę, po czym zadrżała i spuściła wzrok na dłonie.

– Yyy.

Murphy nachyliła się w stronę Molly.

– Umiałabyś to stwierdzić. Prawda?

Molly popatrzyła na nią szeroko otwartymi oczami i znów spuściła wzrok. Wymamrotała coś pod nosem, zanim powiedziała:

– Tak. Ale... nie w obecności tak wielu ludzi w pokoju.

– Dlaczego nie?

Głos Molly zmienił się w pełne gorczy warknięcie.

– Chcesz mojej pomocy czy nie?

Murphy na dłuższą chwilę zaplotła ręce na piersi, po czym stwierdziła:

– Czas na kolejny nocny spacer. Panie Lindquist, proszę zostać. Wszyscy inni wychodzą.

Mort bardzo się starał, by nie wyglądać jak człowiek, który pragnął pobiec do drzwi, ale nie do końca mu to wyszło.

– Ja... oczywiście, pani Murphy.

Murphy musiała namówić wilkołaki do wyjścia i pomóc Marci wyplątać się z sukienki. Forthill i Abby popatrzyli po sobie i wyszli bez słowa. Molly przez ten czas siedziała całkowicie nieruchomo i wpatrywała się w splecione dłonie.

– Nie masz najmniejszego pojęcia, prawda? – zwróciła się cicho do Murphy. – Nie masz bladego pojęcia, o co mnie prosisz.

– Gdybym sama mogła to zrobić, zrobiłabym.

Na te słowa Molly poderwała głowę. Jej uśmiech był nieprzyjemny. Wręcz odrażający.

– Łatwe słowa. Łatwe słowa. Pozostawiają ślady śluzu na twoich ustach, kiedy przez nie przechodzą. Ale to wcale nie ułatwia ich przełknięcia.

– Molly... – Murphy westchnęła, usiadła i rozłożyła ręce. – Nie pozwolisz sobie pomóc. Nie chcesz z nami rozmawiać. Ale naprawdę nie ma innej osoby, którą mogłabym o to poprosić.

- Zawsze prosiłaś jego. – W głosie Molly brzmiała złośliwość.
- Ten kociół zaraz wybuchnie – mruknął sir Stuart.
- Zamknij się – powiedziałem cicho.

Odruchowo stanąłem w jej obronie. Ale on miał rację. Patrzyłem na dziewczynę, która chwiała się na skraju urwiska.

Wpatrywałem się w Molly i czułem się absolutnie żałośnie. Była moją praktykantką. Miałem ją nauczyć, jak przetrwać beze mnie. Jasne, nie zamierzałem przyjąć kulki w pierś, ale z drugiej strony, czy ktoś to planuje? A może jej stan był po prostu znamieny dla świata, w którym żyła?

Murphy przez dłuższą chwilę spoglądała na młodszą kobietę, a później pokiwała głową.

– Tak. Wiem dość, żeby rozumieć, kiedy coś wykracza poza moje możliwości. Instynkt podpowiada mi, że Mort nie próbuje mnie oszukać, ale potrzebujemy czegoś więcej niż mojej intuicji. Potrzebuję twojej pomocy. Proszę.

Molly bardzo powoli pokręciła głową i zadrżała. Wytarła twarz brudnymi rękawiczkami, a wtedy na jej policzkach pojawiły się czystsze smugi.

– W porządku. – Podniosła głowę i spojrzała na Morta. – Jeśli to oszustwo, zedrę ci skórę z mózgu.

Ektomanta rozłożył szeroko ręce.

– Posłuchaj. Cień Dresdena sam do mnie przyszedł. Jeśli to nie jest on, to nie moja wina. Działam w dobrej wierze.

– Jesteś karaluchem – powiedziała Molly miłym głosem. – Takim, który ucieka i ukrywa się przed każdym zagrożeniem, ale wciąż żyje, prawda?

– Tak – odparł szczerze Mort.

– Może i ja powinnam być karaluchem. Byłoby łatwiej. – Odetchnęła powoli, głęboko, i spytała: – Gdzie on jest?

Mort pokazał na mnie palcem. Zrobiłem kilka kroków, aż stanąłem w korytarzu prowadzącym do sypialni Murphy. Gestem poprosiłem sir Stuarda, by się cofnął.

– Dlaczego? – spytał.

– Ona zamierza użyć Wejrzenia. Im mniej będzie miała do oglądania, tym lepiej.

Sir Stuart wzruszył ramionami i został przy Morcie. Wpatrywał się w Molly zmrużonymi oczami, a czubki jego palców spoczywały na potężnym pistolecie.

Molly zacisnęła ręce na lasce, podniosła się i wsparła na niej, odciążając nogę, w którą została postrzelona w Chichén Itzá. Wyprostowała plecy i ramiona, odwróciła się w moją stronę, odetchnęła głęboko i otworzyła Wejrzenie.

Nigdy nie widziałem niczego takiego z tej strony. Było tak, jakby pomiędzy jej brwiami, tuż nad nimi, zapłonęło nagle światło, spokojne i niezachwiane. Kiedy z niej wypływało, poczułem je namacalnie na swoim niematerialnym ciele. Oślepiało. Uniosłem na chwilę dłoń, żeby osłonić oczy, po czym podniosłem wzrok i napotkałem spojrzenie Molly.

Rozsunęła wargi. Wpatrywała się we mnie, a w jej oczach pojawiły się łzy. Dwa razy spróbowała się odezwać, zanim spytała:

– Skąd mam wiedzieć, że to ty?

Mogłem jej odpowiedzieć. Nazywa się to Wejrzeniem, ale obejmuje całe spektrum ludzkiej percepcji, z naddatkiem. Spojrzałem jej w oczy i zapanowałem nad mimiką. Następnie odezwałem się, starając się naśladować głos Aleca Guinnessa:

– Musisz udać się do systemu Dagobah. Będziesz uczył się u Yody, Mistrza Jedi, który był i moim nauczycielem.

Molly usiadła nagle, ale nie trafiła na kanapę i wylądowała na podłodze.

– Omójboże – wydyszała. – Omójboże, omójboże, omójboże. Harry.

Ukląknęłam, żeby móc jej spojrzeć prosto w oczy.

– Tak, dzieciaku. To ja.

– Czy ty... ty naprawdę... naprawdę oszczędłeś?

Wzruszyłem ramionami.

– Nie wiem. Pewnie tak. Jestem w tym nowy, a goście w okolicy raczej nie dostaną nagrody za najlepszą ekspozycję.

Pokiwała głową, z jej oczu popłynęły łzy, ale nie odwróciła wzroku.

– Cz-czy przyszedłeś mnie zabrać? – spytała bardzo cichutko.

– Nie – odpowiedziałem cicho. – Molly... nie. Zostałem odesłany.

– D-dlaczego? – wyszeptała.

– Żeby dowiedzieć się, kto mnie zamordował. Ludzie, o których się troszczę, będą w niebezpieczeństwie, jeśli tego nie zrobię.

Molly zaczęła się kołysać.

– Ja... och. Próbowałam... Miasto stało się tak ciemne i wiedziałam, czego byś ode mnie oczekiwał, ale nie jestem tak silna jak ty. Nie umiem po prostu m-miażdżyć rzeczy jak ty...

– Molly – powiedziałem wyraźnie i spokojnie.

Popatrzyła na mnie zaczerwienionymi niebieskimi oczami.

– Wiesz, o kim chcę wiedzieć, prawda? O kim nie chciałbym rozmawiać w obecności wszystkich?



Nie wypowiedziałem imienia córki od powrotu do Chicago. Do diabła, ledwie się odważyłem o nim myśleć. Reszta świata wierzyła, że Maggie zginęła w płomieniach, które pochłonęły Czerwony Dwór. Każdy, kto znał jej tożsamość, mógłby wykorzystać to przeciwko niej. Nie chciałem tego. Nie, skoro nie mogłem jej chronić.

Czułem ściskanie w gardle, pewnie dlatego, że uważałem to za stosowne.

– Wiesz, o kogo pytam?

– Tak. Oczywiście.

– Czy ta osoba jest cała i zdrowa?

– O ile mi wiadomo, tak. – Uśmiech na jej twarzy sprawił, że przez krótką chwilę przypominała dziewczynę, która pamiętałem. – Jest z nią Chewbacca.

Istniał tylko jeden ogromny chodzący dywan, który mogła mieć na myśli – mój pies, Myszek. Bydlak był bystrzejszy od wielu ludzi i najprawdopodobniej był absolutnie najlepszym nadnaturalnym strażnikiem, jakiego mogło mieć dziecko. Do tego był wielki, ciepły i włochaty, i chętnie pełnił rolę koca albo poduszki – albo rozwścieczonego wcielenia nadnaturalnej siły i prędkości, zależnie od potrzeby. Do diabła, Maggie miała dopiero osiem lat. Pewnie przez większość czasu udawał, że jest kucykiem.

Odetchnąłem powoli i poczułem, że kręci mi się w głowie. Wspomnienia Maggie – nie miałem ich wiele – przebijały się przez moją świadomość. Pamiętałem głównie, jak przytulałem ją do siebie w ciszy, kiedy już wszystko się skończyło. Nie jestem pewien, jak długo tam z nią siedziałem. Była małą, rozspaną, ciepłą postacią w moich ramionach, wdzięczną za przytulanie.

– Możemy ją odwiedzić – zaproponowała Molly. – To znaczy... wiem, gdzie ona jest.

Chciałem wykrzyknąć, że się zgadzam, i wykorzystać tę szansę. Ale nie mogłem, więc tego nie zrobiłem.

– Może kiedy już wszystko załatwimy.

– W porządku. – Molly pokiwała głową.

– Lepiej zamknij Wejrzenie – powiedziałem cicho. – Nie ma powodów, żeby tak długo trzymać je otwarte. Może stać się coś złego.

– Ale... nie będę widzieć ciebie. Ani słyszeć. Co... wydaje się dziwne, w końcu nazywają to Wejrzeniem.

– Obejmuje wiele – powiedziałem wyniośle. – Masz dar. Zaufaj instynktowi. Który w tym przypadku powinien ci podpowiedzieć, że tak naprawdę potrzebujesz maści widzenia duchów, którą stworzyliśmy na bazie receptury elfiego wzroku Rashida albo

czegoś w tym rodzaju.

– W porządku. W porządku.

Zmarszczyła czoło i zwiesiła głowę, a ja widziałem, jak jej Wejrzenie się wycofuje, światło na czole kurczy się i w końcu gaśnie.

Murphy siedziała wyprostowana na skraju krzesła, dłonie trzymała na kolanach.

– Panno Carpenter?

Molly odwróciła się do Murphy. Wydawało się, że potrzebowała paru sekund na skupienie wzroku.

– Tak?

– Czy to on?

– Przywitał mnie cytatem z *Imperium kontratakuje*.

Kącik ust Murphy zadrżał.

– On.

Moja praktykantka pokiwała głową, ale nie spojrzała Murphy w oczy.

– Czyli on naprawdę... odszedł. Ta kula go zabiła.

– Odszedł – zgodziła się Molly. – Cień jest... jest Harrym w każdym praktycznym aspekcie. Ma jego wspomnienia, jego osobowość.

– Ale nie jest nim.

Molly pokręciła głową.

– Spytałam go kiedyś o to. O to, co się dzieje z duszą, kiedy duch pozostaje tutaj.

– Co powiedział?

– Że nie ma pojęcia. I wątpi, by ktokolwiek uzyskał jednoznaczną odpowiedź.

– Molly – powiedziała starsza kobieta. – Wiem, że jesteś zmęczona. Ucieszyłabym się, gdybyś pozwoliła, żebym zaproponowała ci coś do ubrania. Posiłek. Prysznic. Porządny sen. Mój dom jest chroniony. Chciałabym móc powiedzieć twoim rodzicom, że przynajmniej tyle dla ciebie zrobiłam, kiedy następnym razem zadzwonią, żeby o ciebie spytać.

Molly przez chwilę rozglądała się po pokoju, przygryzając wargę.

– Tak... to... – Zadrżała. – Ale... lepiej nie.

– Lepiej dla kogo?

– Dla wszystkich. – Molly zebrała się w sobie i wstała, znów podpierając się na lasce. Skrzywiła się. Opieranie się na nodze wyraźnie wciąż sprawiało jej ból. – Mówię szczerze. Gram w sporo gier i nie chcę, żebyś oberwała rykoszetem. – Zawahała się i powiedziała ostrożnie: – Ja... przepraszam za tę uwagę o detektywie, Karrin. Posunęłam się zbyt daleko.

Murphy wzruszyła ramionami.

– Im mniej o tym mówimy, tym lepiej.

Moja praktykanta westchnęła i zaczęła ciasniej otulać się warstwami ubrań.

– Sądzę, że pan Lindquist działa w dobrej wierze. Jutro wrócę z czymś, co powinno ułatwić komunikowanie się z cieniem Harry'ego.

– Dziękuję. Skoro już o tym mowa, może rozsądnie byłoby...

Na dworze rozległ się nagle głośny dźwięk kieszonkowej trąbki.

Mort zeskoczył z kanapy i przykucnął gotów uciekać albo bohatercko rzucić się na podłogę.

– Co to było?

– Kłopoty. – Murphy sięgnęła po broń. – Na zie...

Nie dokończyła zdania, kiedy na zewnątrz rozległa się kanonada, a przez okna i ściany zaczęły przebijać się kule.

# Rozdział dwunasty

Zrobiłem to, co zrobiłaby każda rozsądna osoba w takiej sytuacji. Padłem na ziemię.

– Dresdenie, poważnie? – rzucił sir Stuart.

Pobiegłem w stronę ostrzału, bezpośrednio przez ścianę domu. Widziałem, jak osłony budynku rozjarzają się wokół niego widmowym niebiesko-białym blaskiem, kiedy przez nie przechodził.

– Jasne, idioto – warknąłem do siebie. – I tak jesteś martwy.

Wstałem i pobiegłem za starszym cieniem.

Wszyscy żywi przyciskali się do parkietu, kiedy ja rzuciłem się przez ścianę domu. Nie martwiłem się, że osłony mnie powstrzymają – nikt nigdy nie projektował osłon tak, by złe istoty nie mogły odejść, jedynie, by nie mogły wejść. Poza tym miałem zaproszenie do wejścia, co, formalnie rzecz biorąc, czyniło mnie „swoim” – ale odkryłem, że „swoje” osłony działają na tej samej zasadzie, co ogień od swoich. Wyjście przez osłoniętą ścianę nie tylko nieprzyjemnie mrowiło. Miałem wrażenie, jakbym wskoczył nago do zjeżdżalni w akwaparku, w dodatku wyłożonej wełną stalową.

– Aaaaaa! – wrzasnąłem, wychodząc z osłon na trawnik Murphy.

Wreszcie pojąłem, dlaczego duchy zawsze jęczały i zawodziły, kiedy nagle wyskakiwały ze ściany albo podłogi. Nie ma w tym wielkiej tajemnicy – to cholernie boli.

Zatoczyłem się do przodu i podniosłem wzrok, by przyjrzeć się trwającemu ostrzałowi z przejeżdżającego samochodu. Jechali pikapem. Ktoś w części pasażerskiej wystawił przez okno lufę strzelby, a cztery postacie w ciemnych ubraniach kucą na pace, celując w dom Murphy z czegoś, co wyglądało na karabiny szturmowe i pistolety maszynowe. Nie oszczędzali się, błyski i dudnienie wydawały się zbyt jasne i głośnie, by być prawdziwe, jakby wzmacniane przez ciche, nieruchome powietrze wśród śniegu i blasku latarni.

Ci goście nie byli prawdziwymi zawodowcami. Widziałem prawdziwych zawodowych strzelców w działaniu, a ta banda klaunów nimi nie była. Po prostu kierowali lufy mniej więcej we właściwą stronę i zasypywali cel pociskami. Nie był to

zdyscyplinowany ostrzał prawdziwych zawodowców, ale jeśli wystrzeli się wystarczająco dużo kul, w końcu się w coś trafi.

Przeszywały mnie kule, pół tuzina wybuchów mrowienia, zbyt krótkich, by były czymś więcej niż nieprzyjemnością. Nagle odkryłem, że razem z sir Stuartem biegnę w stronę pikapa, a wypełnia mnie euforia. Bycie kuloodpornym to niezły dopalacz.

– Co robimy?! – krzyknąłem do niego. – To znaczy, co zamierzamy osiągnąć? Nic im nie możemy zrobić. Prawda?

– Patrz i się ucz, chłopcze! – Sir Stuart odsłonił zęby w wilczym uśmiechu. – Na trzy znajdź się na wozie.

– Co!? Yyy, myślę...

– Nie myśl! – krzyknął cień. – Po prostu to zrób! Pozwól, by pokierował tobą instynkt! Znajdź się na wozie! Raz, dwa...

Stopy cienia dwa razy mocno uderzyły w ziemię, jak u skaczącego w dal pod koniec rozbiegu. Odruchowo podążyłem za przykładem sir Stuarta.

Nagle w mojej głowie pojawiło się wspomnienie – boisko z dzieciństwa, na którym trwała szkolna olimpiada, a uczniowie współzawodniczyli ze sobą. Słońce płonęło nam nad głowami, a nad boiskiem unosił się zapach rozgrzanego asfaltu, kojarzący się z ropą. Brałem udział w skoku w dal i nie szło mi najlepiej. Zapomniałem już, dlaczego tak rozpaczliwie pragnąłem zwyciężyć, ale zafiksowałem się na tym tak, jak potrafi dziecko. Pamiętam, że kazałem sobie zwyciężyć, biec szybciej, skoczyć dalej, kiedy pędziłem po torze w stronę wyrysowanej różową kredą linii.

Wtedy po raz pierwszy użyłem magii.

Rzecz jasna, w tamtym czasie nie miałem o tym pojęcia. Ale pamiętałem uczucie absolutnego uniesienia, które mnie przepełniło, wraz z niewidzialną siłą, która popchnęła moje plecy, kiedy skoczyłem, i przez krótką chwilę miałem wrażenie, że spontanicznie nauczyłem się latać jak Superman.

Po chwili dopadła mnie rzeczywistość. Upadłem, machając rękami jak skrzydłami wiatraka. Uderzyłem o asfalt i pozostawiłem na jego powierzchni spore kawałki skóry. Pamiętam, jak bardzo to bolało – i jak bardzo mnie nie obchodziło, bo zwyciężyłem.

Pobiłem rekord szkół średnich stanu Iowa o ponad trzydzieści centymetrów. Ale to nie trwało długo. Zdyskwalifikowali mnie. Dopiero zaczynałem dojrzywać. Najwyraźniej wydarzyło się coś nieregularnego, ktoś się pomylił i z pewnością najlepiej było zignorować nietypowy skok.

Wspomnienie było wyraźne, głupie i trochę smutne – i był to mój pierwszy raz.

Było potężne.

– Trzy! – krzyknął sir Stuart.

Tak też zrobiłem, skupiając wzrok i wolę na oddalającym się pikapie pełnym strzelców.

Poczułem dezorientację i zawroty głowy, które bardzo przypominały mi napój, jaki Bob pomógł mi przygotować, kiedy wdałem się w konflikt z Człowiekiem-Cieniem. Doświadczenie było podobne – wrażenie, jakbym rozpadał się na bazylion kawałków, pędził do przodu z prędkością zbyt wielką, by dało się ją zmierzyć, i nagle znów skupiał.

Poczułem uderzenie zimnego wiatru na twarzy, zatoczyłem się i prawie spadłem z dachu pikapa, który wciąż powoli przyśpieszał na ulicy.

– Cholera jasna! – Na mojej twarzy pojawił się szeroki uśmiech. – To było super. Najpierw Shadowcat, a teraz Nightcrawler.

Odwróciłem się i zobaczyłem, że sir Stuart stoi na pace i patrzy na mnie, unosząc brew z dezaprobatą. Plecy jednego ze strzelców zajmowały tę samą przestrzeń, co prawa noga cienia.

– To nie boli? – Skinąłem na jego nogę.

– Hm? – Sir Stuart spojrzał w dół i zobaczył, o czym mówię. – Pewnie tak. Przestałem to zauważać po siedemdziesięciu czy osiemdziesięciu latach. A teraz, Dresdenie, jeśli nie masz nic przeciwko, czy moglibyśmy przejść dalej?

– Do czego? – spytałem.

– Do nauczenia cię kilku najwyraźniej niezbędnych lekcji i powstrzymania tych piratów. – Ostatnie słowo wypłynęło z zaskakującą ilością jadu.

Zmarszczyłem czoło i spojrzałem na strzelców, którzy właśnie przeładowywali broń, gdyż z czystej, nerwowej ekscytacji wystrzelali całe magazynki. Ładowanie też nie szło im szczególnie dobrze.

– Do diabła, jeden człowiek z pistoletem mógłby ich teraz wszystkich powystrzelać – powiedziałem. – Szkoda, że żaden z nas go nie ma.

– Nie możemy dotknąć ciała. A choć cień może na przykład poruszyć przedmiot, jest to niepraktyczne. Po odpowiednich ćwiczeniach mógłbyś przez parę minut przesuwac centa po blacie stołu.

– Szkoda, że żaden z nas nie ma centa.

Zupełnie mnie zignorował.

– To dlatego, że dysponujemy jedynie minimalną siłą fizyczną. Nie udałoby ci się unieść monety w powietrze, walcząc z siłą ciężenia.

Zmarszczyłem czoło. Jego słowa bardzo przypominały podstawową lekcję, jaką dostawała większość młodych magów. Przez większość czasu, jeśli ktoś chciał coś poruszyć, nie miał zgromadzonej w swoim wnętrzu niezbędnej energii. Co nie znaczyło, że nie dało się tego czegoś poruszyć. Po prostu trzeba było zaczerpnąć energię z innego źródła.

– Ale... możesz pozyskać energię skądinąd?

Potężny mężczyzna wycelował we mnie palec wskazujący, a na jego wargach pojawił się uśmiech.

– Doskonale. Nie możemy wejść w interakcję z czymś poruszonym przez żywą istotę. Nie możemy nawet dotknąć przedmiotu niesionego zbyt blisko żyjącego ciała. Ale...

Spojrzał na mnie, zachęcając mnie, bym dokończył myśl.

Zamrugalem dwa razy, w mojej głowie kłębiły się myśli.

– Maszyny. Możemy pracować z maszynami.

Sir Stuart pokiwał głową.

– Jak długo się poruszają. A przez nie-żyjący, mechaniczny silnik przechodzą ogromne ilości energii i ruchu.

Nie mówiąc nic więcej, zrobił krok do przodu, przez tylną ścianę kabiny, usiadł na miejscu pasażera i pochylił się w lewo. Nie widziałem, co robił, więc opadłem na czworaki, odetchnąłem głęboko i przecisnąłem twarz przez dach kabiny. Mrowiło i bolało, ale właściwie całe życie poświęciłem na naukę znoszenia bólu. Zepchnąłem go w tył głowy, zacisnąłem zęby i patrzyłem.

Sir Stuart wcisnął dłoń w kierownicę auta. Drugą przesunął do przodu, częściowo wniknął przy tym w deskę rozdzielczą, i czekał cierpliwie, wpatrując się w drogę przed nami. Już wkrótce pikap uderzył w spiętrzenie lodu pokrywającego ulicę i zakolysał się, a amortyzatory zapiszczały. Kiedy to się stało, cień opuścił powieki i w szczególny sposób szarpnął ręką.

Z kierownicy wystrzeliła poduszka powietrzna.

Uderzyła w kierowcę, wpychając go w fotel, a mężczyzna spanikował. Kiedy został uderzony, jego ręce odruchowo się napięły i przekręcił kierownicę o kilkanaście stopni w jedną stronę. A później złamał świętą zasadę jazdy po lodzie i mocno nacisnął hamulec.

Lekki skręt i nagłe hamowanie sprawiły, że wóz wpadł w poślizg. Kierowca próbował wyswobodzić twarz z poduszki powietrznej i nie zareagował odpowiednio na poślizg, który zmienił się w obrót.

Sir Stuart przyglądał się temu z zadowoleniem. Popatrzył na mnie i powiedział:

– Naprawdę, niewiele się to różni od płoszenia koni.

Strzelcy na tyłach krzyczeli zdezorientowani, kiedy samochód zrobił trzy powolne obroty, jakimś cudem emanując pozorami wdzięku. Odbili się od zasy po jednej stronie ulicy, a później wjechali na skrzyżowanie, chodnik i w witrynę niewielkiego spożywczaka. Odgłos pękającego szkła i cegieł, zgrzyt metalu miazdzonego w kolejnych strefach zgniotu, jak również trzask śniegu i lodu były oszałamiająco głośne.

W porównaniu z nimi nieustanne brzęczenie sklepowego alarmu brzmiało jak mój stary budzik z Myszką Miki.

Strzelcy stali tam przez chwilę, wyraźnie oszołomieni, ale po chwili zaczęli przeklinać i gramolić się, żeby uciec przed przybyciem gliniarzy.

Sir Stuart zniknął i pojawił się z powrotem po drugiej stronie ulicy. Podjąłem ten sam wysiłek woli jak wtedy, gdy skakałem na pikap, znów sięgając do tamtego wspomnienia. Ponownie rozpadłem się i skupiłem, i pojawiłem się obok sir Stuarta, twarzą do ceglanej ściany.

– Następnym razem obróć się po drodze – poradził mi.

Prychnąłem i popatrzyłem na strzelców.

– A co z nimi?

– Co z nimi?

– Nie możemy... nie wiem, opętać ich i sprawić, żeby zaczęli walić głowami w ścianę?

Sir Stuart roześmiał się chrapliwie.

– Nie możemy wejść, jeśli śmiertelnik tego nie chce. To domena demonów, nie cieni.

Spochmurniałem.

– To co? Stoimy i patrzymy, jak sobie idą?

Wzruszył ramionami.

– Nie zamierzam zostawić Mortimera samego na tak długo. Ty również powinieneś pamiętać, Dresdenie, że zbliża się świt. Zniszczy cię, jeśli nie będziesz znajdował się w azylu w rodzaju domu Mortimera.

Zmarszczyłem czoło i spojrzałem na niebo. Światła miasta zaćmiły wszystkie gwiazdy poza najjaśniejszymi, ale na wschodnim niebie widziałem ślad błękitu, nisko nad horyzontem. Świt był trudny dla duchów, cieni i zaklęć magicznych. Nie dlatego, że jedno jest ze swej natury dobre, a drugie ze swej natury złe, ale dlatego, że świt jest



czasem nowych początków, a światło nowego dnia zwykle zmiata nadnaturalne śmieci z dnia poprzedniego. Aby przetrwać wschód słońca, istoty duchowe muszą przebywać w chronionym miejscu – azylu. Mój zaufany asystent Bob miał azyl – w tym przypadku odpowiednio zaczarowaną czaszkę, stworzoną, by chronić go przed świtem, światłem dnia i zapewnić dom. Zwykły próg by nie wystarczył, choć moje stare mieszkanie pewnie kwalifikowałoby się jako azyl, biorąc pod uwagę, iloma warstwami zaklęć ochronnych go otoczyłem.

Ale tych dwóch rzeczy już nie miałem.

– Wracaj do Morta. Fajnie się było zabawić z tymi tępakami w *Maksymalne przyspieszenie*, ale to nie ochroni ludzi, na których mi zależy. Będę śledził strzelców i zobaczę, czego mi się uda dowiedzieć na ich temat.

Sir Stuart zmarszczył czoło.

– Świt nie jest czymś, z czym można ryzykować, stary. Stanowczo ci to odradzam.

– Przyjąłem do wiadomości, ale jedyną prawdziwą bronią przeciwko nim, jaką mam, jest wiedza. Ktoś musi ją zdobyć, a ja jako jedyny nie jestem podatny na zatrucie ołowiem. To logiczny wybór.

– Zakładając, że zdobędziesz te informacje i przeżyjesz świt, co wtedy zrobisz?

– Przekażę je Murphy, która wykorzysta je, żeby wyrwać złym gościom języki przez pętki.

Sir Stuart zamrugał.

– To... z całą pewnością sugestywna wizja.

– To dar – powiedziałem skromnie.

Pokręcił głową i westchnął.

– Podziwiam twoją odwagę, stary, ale to głupota.

– Aha. Ale muszę być sobą.

Sir Stuart założył ręce za plecami i kilka razy postukał stopą w ziemię. Wreszcie z rezygnacją skinął głową.

– Udanych łowów. Jeśli znów będziesz miał problem z upiorami, zniknij. Nie dogonią cię.

– Dziękuję. – Podałem mu rękę.

Pożegnaliśmy się uściskiem dłoni, on obrócił się na pięcie i zaczął maszerować z powrotem w stronę domu Murphy.

Przez chwilę odprowadzałem go wzrokiem, po czym odwróciłem się i pośpieszyłem za niknącymi w śniegu sylwetkami strzelców, zastanawiając się, ile dokładnie mam czasu, zanim świt mnie unicestwi.

## Rozdział trzynasty

Żli goście zaczęli zasuwać na piechotę, a ja ruszyłem za nimi.

– Tutaj – powiedział jeden z nich.

Był chudy, jak to nastolatek, o skórze dość ciemnej, by mógł uchodzić za rdzennego Amerykanina, choć przeczyły temu rozczochrana ruda czupryna i płaski nos. Jego oczy miały dziwny odcień brązu, tak jasny, że niemal złocisty.

– Co tam, Fitz? – spytał inny.

– Zamknij się. Dawaj spluwę.

Tamten oddał broń, a Fitz natychmiast wyjął magazynek i nabój z komory, po czym wrzucił pistolet w zaspę. Podobnie postąpił ze swoim.

– Co, do kurwy nędzy? – spytał rozbrojonny i lekko uderzył Fitzą w pierś.

W odpowiedzi Fitz walnął go pięścią w twarz, z szybkością i gwałtownością, które zaimponowały nawet mnie – a ja widywałem w akcji naprawdę szybkie istoty. Drugi strzelec wylądował na tyłku na śniegu i siedział tam, przyciskając dłonie do złamanego nosa.

– Nie ma czasu na głupotę – powiedział Fitz. – Dawajcie broń. A może chcecie wyjaśniać jemu, jak próbowaliście wpakować nas wszystkich do pudła?

Pozostali nie wyglądali na szczęśliwych, ale oddali broń. Fitz rozładował wszystkie spluwy i wrzucił je w zaspę. Później zebrani zaczęli pod jego kierownictwem uklepywać śnieg wokół zagłębienia stworzonego przez broń, ukrywając ją.

– Głupota, stary – stwierdził jeden z młodych mężczyzn. – Jeśli jeden z tych wilków złapie nasz ślad, nie będziemy mieli czym się bronić.

– Jeśli jeden z wilków podąży za nami, będziemy mieli na karku Szmacianą Panią i broń na nic się nam nie przyda – warknął Fitz. – Ubijajcie mocniej. Wyglądźcie. – Później odwrócił się do mężczyzny, którego uderzył, i wcisnął mu w rękę trochę świeżego śniegu. – Przyciśnij to do nosa. Powstrzymaj krwawienie. Lepiej, żebyś nie zostawiał śladu krwi.

Siedzący wydawał się przerażony i wypełnił polecenie Fitzą.

– Co robimy? – spytał inny ze strzelców.

Był mniejszy od pozostałych, a w jego tonie nie było wyzwania – po prostu zadał

pytanie.

– Pikap jest kradziony. Nie powiążą go z nami – wyjaśnił Fitz, otrzepując dłonie ze śniegu. – Nawet jeśli jutro skończy się zima, minie wiele dni, zanim to się stopi i znajdą broń. Jeśli będziemy mieli trochę szczęścia, nigdy nie połączą tych dwóch rzeczy.

– To dość dalekosiężne – stwierdził mały. – Ja tak jakby chciałbym przeżyć tę noc.

Fitz prawie się uśmiechnął.

– Chcesz iść ulicami pierdolonego Chicago z bronią szturmową w rękę? W pikapie mogliśmy je ukryć. Tutaj nie.

Mały pokiwał głową.

– Ale nóż mogę zatrzymać, tak?

– Niewidoczny. – Fitz podniósł głowę i nasłuchiwał, marszcząc czoło. Syreny były częstym odgłosem w nocnym Chicago, ale zmieniły się z hałasu w tle w coś głośniejszego, bliższego. – Ruszcie się.

Fitz wcisnął ręce w kieszenie dość cienkiej kurtki i ruszył. Pozostali pośpieszyli, by dotrzymać mu kroku.

Szedłem obok Fitz'a i wpatrywałem się w niego. Młody mężczyzna zrobił na mnie znacznie lepsze wrażenie tym, jak radził sobie z następstwami żalostnego ataku, niż w jego trakcie. Każdy idiota umiał wycelować i nacisnąć spust. Nie każdy potrafił zachować spokój i zdolność do racjonalnego myślenia po wypadku samochodowym, ocenić problemy związane z sytuacją oraz podjąć decyzję – i ją wyegzekwować – w obliczu sprzeciwu. Atak, choć amatorski, nie świadczył o głupocie, a działania Fitz'a w reakcji na kłopot, jaki sprawił mu sir Stuart, były pewnie najlepszymi w tej sytuacji.

W sytuacji stresowej Fitz zachowywał bystrość umysłu, a ja miałem paskudne przeczucie, że należał do ludzi, którzy nie popełniali tego samego błędu dwa razy. Właśnie dał z siebie wszystko, by zabić kilkoro ludzi, którzy byli dla mnie ważni. Mózg plus determinacja równa się zagrożenie. Musiałem dopilnować, by przy pierwszej okazji został zneutralizowany.

Poszedłem za nimi przez zimno, którego już nie czułem, i ćwiczyłem znikanie. Skakałem przed nimi, za nimi, na gzymsy nad nimi – przez cały czas próbując nie zauważyć, że niebo robi się coraz jaśniejsze.

Coś mnie niepokoiło w tym rudym dzieciaku.

Gliniarze w drodze, wyjący sklepowy alarm, jego towarzysze zakrwawieni i oszołomieni... po co poświęcać kilka cennych sekund, by rozładować broń? Zajęło mu to około pół minuty czasu, na którego stracenie z całą pewnością nie mógł sobie

pozwolić. Dlaczego to zrobił?

Spytałem siebie, dlaczego ja mógłbym zrobić coś podobnego. A jedynym, co przyszło mi na myśl, było niedopuszczenie, by znalazca tej broni zrobił sobie krzywdę. Fitz był gotów podziurawić kulami mały chicagowski dom – i być może domy za nimi, biorąc pod uwagę siłę ich broni – ale przejmował się bezpieczeństwem, kiedy pozbywał się broni? Sprzeczność sama w sobie.

Interesujące.

Jeszcze ciekawszy był fakt, że przejmowałem się wystarczająco, by to dostrzec. Generalnie, jeśli ktoś podniósł rękę na moich przyjaciół, radośnie uznawałem go za cel, a następnie czyniłem jego świat hałaśliwym i niebezpiecznym miejscem, aż przestawał być zagrożeniem. I nie spędzało mi to snu z powiek.

Ale teraz nie mogłem się tak po prostu rzucić do walki, do diabła. I, w przeciwieństwie do wcześniejszych sytuacji, ci, którzy zagrażali moim przyjaciołom, nie byli niebezpieczni dla mnie. Fitz i jego ekipa nie stanowili dla mnie zagrożenia, o ile nie planowali tak iść aż do wschodu słońca, a ja – podobnie – nie byłem zagrożeniem dla nich. Normalnie aż bym się gotował w obecności ludzi, którzy próbowali zabić moich przyjaciół. Ale teraz...

Nie byliśmy w najmniejszym stopniu zagrożeniem dla siebie nawzajem. To sprawiało, że trudno mi było utrzymać mój wewnętrzny kociołek oburzenia na największym ogniu.

Fitz prowadził ich zaśnieżonymi ulicami, zatrzymał się tylko raz, żeby sprawdzić nos rannego. Napchanie go śniegiem powstrzymało krwawienie, ale chłopak był zdezorientowany po wypadku i obolały. Inni z ekipy też odnieśli niewielkie obrażenia, więc zatrzymał się przy niedużym sklepiku, z którego wyszedł z butelką wody i dużym opakowaniem środków przeciwbólowych. Wręczył je niskiemu, ciekawskiemu dzieciakowi, kazał mu podać każdemu podwójną dawkę – i nie zatrzymywać się.

Minęła prawie godzina marszu w zimnie, zanim wyszli z Bucktown i skierowali się do South Side. Wielu ludzi uważa South Side za swego rodzaju pustynię gospodarczą skrzyżowaną ze strefą zdemilitaryzowaną w wojnie gangów. Wcale tak nie jest – a przynajmniej nie wszędzie tak jest. Są okolice, przez które lepiej nie chodzić, nosząc określone barwy – albo będąc określonego koloru skóry – ale to raczej wyjątek niż reguła. Reszta South Side jest różnorodna, spora część ma charakter przemysłowy, a Fitz i jego zmaltretowana grupka pieszych skierowali się na skraj strefy przemysłowej do fabryki, która przed laty została zamknięta i opuszczona.

Wielki piętrowy budynek zajmował cały kwartał ulic, parę hektarów przestrzeni. Pługi otoczyły go coraz wyższymi zaspami niczym ścianą fortecy, bez potrzeby tworzenia otworu umożliwiającego dojście do opuszczonej fabryki. Fitz i jego ekipa przeszli przez śnieżną ścianę w miejscu, w którym ktoś najwyraźniej popracował łopata, żeby stworzyć wąskie i dość śliskie schody. Parking budynku pokrywało pół metra śniegu, przez który prowadziła jedna ścieżka. Ruszyli nią gęsiego i dotarli do drzwi, które wyglądały, jakby zostały zamknięte na łańcuch – ale Fitz zagrzechał łańcuchami i uchylił jedno skrzydło na tyle, że jego ekipa chudych dzieciaków zdołała wcisnąć się do środka.

Przeszedłem przez drzwi jak duch i próbowałem na wzór sir Stuarta nie dostrzegać dyskomfortu. I tak bolało – nie tak bardzo, żebym aż zawył czy coś w tym rodzaju, ale dosyć, bym nie mógł tego zignorować. Może trzeba było czasu, by „skóra” pogrubiła. Przynajmniej nie było progu, który by mnie zatrzymał. To miejsce nie zostało zaprojektowane jako czyjś dom, a ci, którzy w nim mieszkali, wyraźnie nie uważali go za coś szczególnego. Działanie progu nigdy nie zostało dokładnie wyjaśnione ani udokumentowane, ale biorąc pod uwagę okoliczności, może powinienem się bardziej zainteresować jak i dlaczego.

– Nie, to nie jest dobry pomysł. Skup się, Dresdenie – mruknąłem. – Masz się zająć sprawami, żebyś nigdy nie musiał poznawać czynników środowiskowych wiążących się z długotrwałym byciem duchem.

Fitz zatrzymał się na chwilę, żeby głośno przeliczyć zebranych, po czym obszarpana gromadka aspirujących gangsterów ruszyła w głąb budynku. Była to budowla przemysłowa, a jej projektanci skupiali się na ekonomii, nie wyglądzie. Okien nie było zbyt wiele i w środku zdecydowanie panował półmrok – choć nadchodził świt, a światła miasta i niebo odbijały się od świeżego śniegu. I do tego było zimno, o czym świadczyły chmurki pary pojawiające się za każdym razem, kiedy któryś z młodych mężczyzn wypuścił powietrze.

Fitz wyjął latarkę i włączył ją. Była czerwona i właściwie nie oświetlała drogi, jedynie podkreślała różnicę między absolutną ciemnością i nie do końca ciemnością. Wystarczyło, by mogli pójść dalej.

– Zastanawiam się – powiedziałem.

W końcu byłem niematerialny. Duchy nie miały całkowicie jednokierunkowego związku z wszechświatem, jak śmiertelnicy i fizyka. Już nie miałem źrenic, które mogłyby się rozszerzać. Do diabła, skoro już o tym mowa, światło najwyraźniej mnie przenikało – inaczej jakim sposobem byłbym niewidzialny dla wszystkich? Co

znaczyło, że niezależnie od pozorów, tak naprawdę nie widziałem świata w tradycyjnym tego słowa znaczeniu. Moja percepcja była czymś innym, czymś więcej niż światłem odbijającym się od wrażliwej chemicznie powierzchni wewnątrz moich oczu.

– Nie ma powodu, bym potrzebował światła, żeby coś zobaczyć? – spytałem samego siebie.

– Nie – odpowiedziałem. – Nie ma.

Na kilka kroków zamknąłem oczy i skupiłem się na prostym wspomnieniu – jako dzieciak w rodzinie zastępczej znalazłem się w ciemnym pokoju, gdy w czasie burzy doszło do awarii zasilania. Miejsce było dla mnie nowe i przez prawie dziesięć minut błąkałem się na ślepo, szukając latarki, zapalek albo zapalniczki, czy jakiegokolwiek innego źródła światła, aż coś znalazłem – śnieżną kulę upamiętniającą olimpiadę w Lake Placid. Niewielki przycisk włączył światelko, które sprawiło, że czerwone, białe i niebieskie śnieżynki unoszące się w płynie nagle zabłysły.

Panika ustąpiła, kiedy pokój stał się miejscem, w którym znów mogłem bezpiecznie się poruszać, mój strach zaczął znikać. Widziałem.

A kiedy otworzyłem widmowe oczy, bez trudu zobaczyłem korytarz, którym szliśmy, tak wyraźnie, jakby dawno martwe jarzeniówki na suficie świeciły pełną mocą.

Zaśmiałem się z zadowoleniem. Teraz widziałem w ciemnościach.

– Zupełnie jak... yyy... nie jestem pewien, który z X-Manów widział w ciemnościach. A może to był Nightcrawler? Nieważne. Kolejna supermoc. Łyżka nie istnieje. Jestem tu całkowicie bezłyżkowy.

Fitz stanął w miejscu, odwrócił się gwałtownie i skierował latarkę w moją stronę. Oczy miał szeroko otwarte i nagle westchnął.

Zatrzymałem się i zamrugalem.

Wszyscy wokół Fitz'a również ucichli i znieruchomieli, reagując na jego wyraźny strach natychmiastowym, instynktownym bezruchem kogoś, kto ma dobry powód bać się drapieżników. Fitz niepewnie wpatrywał się w głąb korytarza, poruszając latarką, jakby dzięki temu mógł sięgnąć wzrokiem parę centymetrów dalej.

– Na wszystkie dzwony piekieł. Hej, chłopaku. Słyszysz mnie?

Zareagował, jego ciało drgnęło, przechylił głowę w jedną stronę, później w drugą, jakby próbował wyśledzić ślad dźwięku.

– Fitz? – szepnął mały dzieciak z nożem.

– Cicho. – Fitz wciąż patrzył.

Uniosłem dłonie do ust i krzyknąłem:

– Hej! Chłopaku! Słyszysz mnie?

Jego twarz już pobladła, ale drugie wezwanie wywołało w nim inną reakcję. Oblizął wargi, obrócił się szybko i stwierdził:

– Wydawało mi się, że coś słyszę, i tyle. To nic takiego. Chodźcie.

Zdziwniej i dziwniej. Wcisnąłem ręce do kieszeni płaszcza i szedłem obok Fitz'a, wpatrując się w niego.

Miał niecały metr osiemdziesiąt wzrostu, ale i tak był wyższy od wszystkich pozostałych. Nie dałbym mu nawet siedemnastu lat, ale oczy miał o wiele starsze. Musiał od dawna radzić sobie sam, skoro w tym wieku tak bardzo panował nad sobą. I musiał wiedzieć choć trochę na temat tego, jak praktykujący magię mogą wykorzystać krew, by zrobić komuś wszelkiego rodzaju krzywdę.

Miał blizny w kącie lewego oka, jak bokser – tyle tylko że bokserzy zbierali je po obu stronach i były rozproszone, rozrzucone. Te znajdowały się na dość niedużej przestrzeni. Ktoś praworęczny uderzał go w to samo miejsce, nieregularnie, ale powtarzalnie. Widziałem szybkość Fitz'a. Nie próbował zejść z drogi.

Na wszystkie dzwony piekiel. Zaatakował nas Oliver Twist.

Minęło jakieś pięć minut, zanim Fitz i jego gang dotarli do miejsca, które kiedyś było halą produkcyjną, wysoką na jakieś dziesięć metrów. W suficie znajdowały się świetliki – a raczej przezroczyste tafle – a całość wyglądała jak coś z filmu o końcu świata.

Wszędzie leżał porzucony sprzęt. Linia montażowa stała nieruchomo. Wszystko pokrywały zakurzone pajęczyny. Puste stojaki i półki nie wskazywały, co produkowano w tym miejscu, ale wokół otwartej przestrzeni na środku hali ustawiono kilka stalowych beczek. Wypełniały je palne odpadki, głównie drzwi, listwy i półki znalezione w innych częściach budynku. Wokół źródeł ognia leżały rozrzucone stare śpiwory oraz worki na śmieci, które pewnie zawierały mizerny dobytek.

Na jednej z beczek leżała metalowa krata – prowizoryczny grill. A nad nim kucał mężczyzna. Był chudy jak szkielet i miał na sobie jedynie parę dopasowanych dzinsów. Skórę miał ziemistą i bladą. Jego gładką czaszkę pokrywały prymitywne z wyglądu tatuaże – symbole ochrony i osłony z różnych tradycji magii – które całkowicie otaczały głowę. Powinien się ogolić. Jego broda wyrastała w nierównych kępach, brązowych, czarnych i siwych.

Na grillu stało kilka puszek fasolki i chilli, pewnie przygotowywanych dla gangu Fitz'a, który wydawał się wręcz boleśnie zainteresowany. Łysy mężczyzna nie dał po

sobie znać, że dostrzegł przybycie Fitz, aż minęło pełne pięć minut, w czasie których grupka stała w milczeniu. Wtedy spytał:

– Zrobione?

– Nie – odparł Fitz.

– A gdzie spluwy?

– Musieliśmy je wyrzucić.

Ramiona łysego napięły się, cały nagle zeszywniał.

– Przepraszam?

Fitz uniósł rękę i koniuszkami palców dotknął lewego oka, gestem, który uderzył mnie jako nieświadomy, odruchowy. Szybko znów ją opuścił.

– Był wypadek. Policja już jechała. Musieliśmy iść pieszo i nie mogliśmy nieść broni.

Łysy mężczyzna wstał i odwrócił się do Fitz. Oczy miał ciemne, głęboko osadzone i płonące.

– Straciłeś. Spluwy. Spluwy, za które tyle zapłaciłem.

– Spluwy już były stracone. – Fitz wbijał wzrok w ziemię. – Nie miało sensu, żebyśmy i my poszli do pudła.

Oczy łysego zapłonęły i z jego piersi wyrwał się krzyk. W powietrzu rozległ się przerażający, szumiący, dudniący basowo dźwięk, a niewidzialna siła uderzyła Fitz w pierś, odrzucając go trzy metry do tyłu, zanim uderzył o ziemię i przekoziółkował kolejne trzy.

– Sensu?! – krzyknął łysy. – Sensu? Ty mi mówisz o sensie! Wiesz, jakie mogą być konsekwencje twojej głupoty? Wiesz, jak wiele grupek, dokładnie takich jak ta, zostało zlikwidowanych przez Fomory? Przez Szmacianą Panią? Idiota!

Fitz leżał na podłodze zwinięty w kłębek i nawet nie próbował unieść głowy. Trzymał ją nisko, z nadzieją, że nie sprowokuje Łysola jeszcze bardziej, a na jego twarzy malowała się pełna rezygnacji świadomość, że wkrótce pewnie czeka go jeszcze więcej bólu – a on nic nie mógł na to poradzić.

– To było proste! – mówił dalej Łysol, krocząc w stronę młodego mężczyzny. – Dałem wam zadanie, które mężczyźni z żyłami i nosami pełnymi prochów wypełniają rutynowo. A ono okazało się zbyt wielkim wyzwaniem? Czy to właśnie chcesz mi powiedzieć?

Głos Fitz brzmiał zbyt spokojnie, by mówił szczerze. Przyzwyczaił się do ukrywania strachu, wrażliwości.

– Przepraszam. Szmaciana Pani tam była. Nie mogliśmy podejść bliżej. Zabrałaby



nas. Musieliśmy ich zaatakować i uciec.

Wściekłość Łysola zniknęła nagle. Patrzył z góry na młodego mężczyznę z twarzą pozbawioną wyrazu i odezwał się łagodnym tonem.

– Jeśli istnieje jakiś powód, który twoim zdaniem uzasadnia, dlaczego powinieneś móc dalej oddychać, powinieneś się nim teraz podzielić z resztą klasy, Fitz.

Fitz miał niezłą pokerową twarz, ale to była dla niego długa noc. Zaczął oddychać chrapliwie.

– Sam pan mówił, żeby ich nie zabijać. Mieliśmy się upewnić, że nikt nie będzie nami pomiatał. Że my na to odpowiemy. Pokazaliśmy im to. Wypełniliśmy misję.

Łysol patrzył na niego bez ruchu.

Widziałem kroplę potu na jego czole.

– To nie... to nie... Proszę posłuchać, mogę odzyskać broń. Naprawdę. Zapamiętałem, gdzie ją zakopaliśmy. Mogę po nią pójść.

Łysol spiorunował chłopaka wzrokiem i kopnął go w brzuch. Cios był niespodziewany i wymierzony jakby od niechcenia. Mężczyzna najwyraźniej doszedł do jakiegoś wniosku i odwrócił się do grilla.

– Jedzenie jest gorące, chłopaki. Zjedzcie je.

Banda podeszła niepewnie. Po chwili Fitz zaczął się podnosić, starając się nie wydawać dźwięku.

Rozległ się nagły szum poruszonego powietrza. Sylwetka Łysola rozmyła się i przeniosła od grilla z powrotem do Fitz'a, odpychając po drodze jednego z młodych strzelców. Łysol nagle uderzył Fitz'a w głowę, jego pięść poruszała się zbyt szybko, by dostrzec ruch.

Cios posłał chłopaka na ziemię. Byłem na tyle blisko, by dostrzec, jak blizny wokół jego oczu rozchodzą się, a po policzku młodego zaczyna płynąć krew.

– Nie ty, Fitz. – Głos Łysola znów brzmiał łagodnie. – Nie daję jedzenia trupom. Zjesz, kiedy naprawisz błąd.

Fitz pokiwał głową, nie podnosząc wzroku, dłoń przyciskał do skroni.

– Dobrze, proszę pana.

– Dobry chłopak.

Łysol zmarszczył nos, jakby powietrze trochę śmierdziało, i splunął, głównie na Fitz'a. Później odwrócił się, by odejść.

Dzieciak posłał Łysolowi mordercze spojrzenie.

Nie chcę przez to powiedzieć, że Fitz wyglądał na wściekłego. Ostatnio często się słyszy „gdyby wzrok mógł zabijać”, ale tak naprawdę nie ma wielu ludzi, którzy

rzeczywiście wiedzą, jak to wygląda. Zabijanie – czy też, bardziej precyzyjnie, podjęcie decyzji, by zabić – nie jest czymś, w czym ostatnio jesteśmy dobrzy. Kończenie życia innych żyjących istot było kiedyś nieodłącznym elementem codzienności. Przeciętna gospodyni na wsi ukręcała łeb kurczakowi przed ugotowaniem obiadu. Podobnie ryby, które łowiono, oczyszczano i przygotowywano do zjedzenia. Świniobicie odbywało się regularnie i było elementem cyklu roku. Większość ludzi na świecie – rolników – każdy dzień przeżywała ze świadomością, że otaczają ich istoty, których życie prędzej czy później będą musieli zakończyć.

Zabijanie jest nieporządne. Często bywa nieładne. A jeśli coś pójdzie nie tak, może być też paskudne, kiedy trzeba patrzeć na inną istotę w agonii, co oznacza, że z aktem tym wiąże się pewne napięcie. Nie jest łatwo – a mówimy jedynie o żywym inwentarzu.

Zabicie innej istoty ludzkiej zwiększa niepokój, brzydotę i napięcie o kilka rzędów wielkości. Takiej decyzji nie podejmuje się od niechcienia. Jest w tym wyrachowanie, rozważenie możliwych rezultatów. Każdy może zabić w szale strachu lub nienawiści – wtedy nie dokonuje wyboru, by zabić w taki sposób. Pozwala jedynie, by emocje pokierowały czynami.

Patrzyłem na oczy Fitz'a, kiedy rachował, rozważał i dokonał wyboru. Jego twarz pobladła, zacisnął zęby, ale miał oczy spokojne.

Nie wiem dokładnie, co mną pokierowało, ale pochyliłem się nad nim i warknąłem:

– Nie!

Chłopak zaczął przenosić ciężar ciała, żeby się podnieść na nogi. Znieruchomiał w trakcie wstawania.

– On się tego spodziewa, Fitz – powiedziałem surowym, pełnym nacisku tonem. – Splunął na ciebie, żeby cię do tego skłonić. Jest gotowy. Zabije cię, zanim skończysz wstawać.

Fitz rozejrzał się dookoła, ale jego wzrok przeszedł przeze mnie. Czyli jednak mnie nie widział. Hm.

– Byłem tam, gdzie ty teraz, chłopaku. Znam gości takich jak ten łysy nieudacznik. Nie bądź frajerem. Nie daj mu tego, czego chce.

Fitz na chwilę zacisnął powieki. Później powoli wypuścił powietrze, a jego ciało się rozluźniło.

– Mądrze – stwierdził Łysol. – Spełnij swoją obietnicę, a może wciąż będziemy współpracować, Fitz.

Chłopak przełknął ślinę i skrzywił się, jakby poczuł coś gorzkiego.

– Dobrze, proszę pana. Pójdę rozejrzeć się po okolicy.

– Doskonały pomysł. Wolałbym przez jakiś czas cię nie widzieć.

Następnie Łysol odszedł od Fitz, pochylił się, żeby dotknąć ramienia jednego z młodych mężczyzn, i powiedział coś cicho.

Fitz podniósł się, szybko i cicho, opuścił halę produkcyjną i wyszedł na korytarz. Tam objął się mocno ramionami, zadrżał i pośpiesznie ruszył korytarzem

– Nie zwariowałem – powiedział. – Nie zwariowałem. Nie zwariowałem.

– No... trochę tak – odparłem, dotrzymując mu kroku. – Czemu pracujesz dla takiego dupka?

– Nie jesteś prawdziwy.

– I co jeszcze? Po prostu nie mam pojęcia, dlaczego właśnie ty mnie słyszysz.

– Nie zwariowałem. – Fitz przycisnął dłoń do uszu.

– Jestem całkiem pewien, że to nic nie da – zauważyłem. – Bo postrzega mnie twój umysł. Tyle tylko że dla ciebie przypadkiem jest to jak, no... jeden z tych MV4, nie zaś jak film.

– MP3 – poprawił mnie odruchowo Fitz. Następnie oderwał dłoń od uszu i rozejrzał się dookoła z szeroko otwartymi oczami. – Yyy... czy ty... jesteś tutaj?

– Owszem – potwierdziłem. – Choć każda szanująca się halucynacja by ci to powiedziała.

Fitz zamrugał.

– No. Nie chcę cię wkurzyć ani nic w tym rodzaju, ale... czym jesteś?

– Jestem gościem, który nie lubi, kiedy ktoś strzela do jego przyjaciół, Fitz.

Chłopak zwolnił. Bardziej odruchowo niż świadomie ustawił się plecami do ściany. Przez długą chwilę stał całkowicie nieruchomo.

– Jesteś... no... duchem? – powiedział w końcu.

– Formalnie rzecz biorąc.

Przełknął ślinę.

– Pracujesz dla Szmacianej Pani.

Na wszystkie dzwony piekieł. Chłopak potwornie bał się Molly. A ja znałem mnóstwo dzieciaków takich jak Fitz, kiedy dorastałem w systemie pomocy społecznej. Spotykałem ich w rodzinach zastępczych, sierocińcach, szkołach i na letnich obozach. Twarde dzieciaki, odporne, ludzie, którzy wiedzieli, że nikt się o nich nie troszczy poza nimi samymi. Nie każdy w systemie miał takie same doświadczenia, ale niektóre jego elementy były wręcz darwinowskie. Tworzył trudne przypadki. Fitz był jednym z nich.

Tacy ludzie nie są głupi, ale też nie jest łatwo ich przestraszyć.

A Fitz przerażała Molly.

Poczułem nieprzyjemnie ściskanie w żołądku.

– Nie – powiedziałem mu. – Nie pracuję dla niej. Nikomu nie służę.

Zmarszczył czoło.

– W takim razie... pracujesz dla tej su... pani... byłej gliny?

– Dzieciaku, nie masz pojęcia, z kim zadarłeś. Wycelowaleś w niewłaściwych ludzi.

Wiem teraz, gdzie mieszkasz. Oni również.

Poblądł.

– Nie. Posłuchaj... nie wiesz, jak tu jest. Zero i pozostali, oni nic nie mogą na to poradzić. On nie pozwala im robić niczego oprócz tego, czego sam chce.

– Mówisz o Łysolu?

Fitz wydał z siebie krótki, na wpół histeryczny śmiech.

– Mówi, że nazywa się Aristedes. Ma moc.

– Moc, by pomiatać gromadką dzieciaków?

– Nic nie wiesz. – Fitz mówił cicho. – On każe ci coś zrobić, a ty... ty to robisz. Nie przychodzi ci nawet na myśl, żeby zrobić coś innego. I... i porusza się tak szybko. Ja nie... myślę, że on może nawet nie być człowiekiem.

– Jest człowiekiem. Jest po prostu kolejnym dupkiem.

Na twarzy Fitz'a pojawił się przebłysk zmęczonego rozbawienia.

– Jeśli to prawda, jak on to robi?

– Jest czarownikiem. Talent średniej klasy, otoczył się kultem, bo dzięki temu czuje się ważniejszy. Posługuje się jakimś rodzajem kinetomancji, którego nie znam, żeby poruszać się tak szybko. I jakimś naprawdę mało znaczącym rodzajem psychomagii, skoro musi wysyłać dzieciaki, żeby wykonywały za niego brudną robotę.

– Mówisz o nim tak, jakby był jakimś drugorzędym przestępcą... złodziejem samochodowym albo coś w tym rodzaju.

– W szerszej perspektywie tak jest. To drobny łotrzyk. Fagin.

Fitz zmarszczył czoło.

– Z... z tej książki Dickensa? *Olivera Twista*?

Uniosłem brwi. Dzieciak czytał. W systemie rzadko zdarzali się czytelnicy. Ci, którzy czytali, w większości skupiali się, wiadomo, na książeczkach dla dzieci. Niewielu z nich docierało do Dickensa, chyba że mieli pecha na angielskim w szkole średniej. Mogłem się założyć, że Fitz dotarł co najwyżej do pierwszej klasy szkoły średniej, jeśli w ogóle.

Oto był ktoś, kto myślał samodzielnie i miał przynajmniej odrobinę talentu magicznego. Co pewnie wyjaśniało, dlaczego kierował pozostałymi chłopakami. Poza widocznym zdrowym rozsądkiem – pomijając wybór towarzystwa – dzieciak miał wrodzony talent magiczny. Fitz pewnie powoli uczył się otrząsać z magii, którą stosował wobec niego Łysol – Aristedes. Zły gość miał podejście przywódcy kultu. Każdy, kto nie był wobec niego niewolniczo posłuszny, zostawał wykorzystywany jako pomocnik, do chwili, kiedy można było się go pozbyć z korzyścią dla siebie – a przynajmniej po cichu.

Nie podobały mi się szanse Fitz'a.

– Coś w tym rodzaju – powiedziałem.

Fitz oparł się o ścianę i przymknął oczy.

– Nie chciałem zrobić nikomu krzywdy. Nawet nie znam tych ludzi. Ale on wydał polecenie. A oni zamierzali to zrobić. A ja nie mogłem pozwolić, żeby po prostu... po prostu zmienili się w morderców. Są jedynie... Są...

– Są twoi – dokończyłem cicho. – Opiekujesz się nimi.

– Ktoś musi. Na ulicach nigdy nie było łatwo. Ale jakieś sześć miesięcy temu... zrobiło się ciężko. Naprawdę ciężko. Zaczęły wychodzić stwory. Czasem widuje się je nocami... Kształty. Cienie. – Zaczął drzeć, a jego głos zmienił się w szept. – Zabierały ludzi. Ludzie, których nikt nie chronił, po prostu znikali. I...

– Łysol – powiedziałem cicho.

– Zabił jedno z nich – szepnął Fitz. – Tuż przed moim nosem. Widziałem to. Wyglądało jak człowiek, ale kiedy z tym skończył... po prostu się stopiło, stary. – Potrząsnął głową. – Może zwariowałem. Boże, to by była ulga.

– Nie zwariowałeś. Ale jesteś w kiepskim położeniu.

Blask w oczach chłopaka zgasł.

– Coś nowego?

– Ech – mruknąłem. – Jakbym nie miał dość do roboty.

– Co?

– Nic. Posłuchaj. Wróc po spluwy dziś w nocy o jedenastej. Spotkam się z tobą.

Jego puste oczy nie zamigotały.

– Dlaczego?

– Bo zamierzam ci pomóc.

– Zwariowana, wyobrażona, niewidzialna głosowa halucynacja. On zamierza mi pomóc. Tak, ześwirowałem.

Nagle rozległ się metaliczny, warkotliwy brzęk, jaki można usłyszeć w szkole

średniej albo na uniwersytecie. Odbijał się echem w całym budynku.

– Czas na lekcje? – spytałem.

– Nie. Aristedes kazał nam ustawić timer. Mówi, że potrzebuje ostrzeżenia do swojej pracy. Uruchamia się jakieś pięć minut przed świtem.

Poczułem, że sztywnieję.

– Pięć minut?

Fitz wzruszył ramionami.

– Albo siedem. Albo dwie. Jakoś tak.

– Wszystkie dzwony piekiel – powiedziałem, zmieniając to w przekleństwo. – Stu miał rację. Rzeczywiście traci się poczucie czasu. Bądź przy spluwach o jedenastej, Fitz.

Chrząknął i powiedział zmęczonym, monotonnym głosem.

– Jasne, Harvey. Co tylko chcesz.

Stare książki i stare filmy. Musiałem pomóc dzieciakowi.

Odwrociłem się od niego i przebiłem przez kilka ścian, na zewnątrz budynku, zaciskając zęby, by nie warczeć. Na wschodnim horyzoncie nad jeziorem Michigan czerwień szybko jaśniała do pomarańcza. Kiedy pojawi się tam żółty, będę historią.

Pięć minut. Albo siedem. Albo dwie. Tyle miałem na znalezienie bezpiecznego miejsca. Skonsultowałem się z umysłową mapą Chicago, szukając najbliższego możliwego schronienia. Znalazłem tylko jedno miejsce, do którego mógłbym dotrzeć w ciągu paru minut, naśladując Nightcrawlera i w ogóle.

Może udałoby mi się tam dotrzeć. I może ochroniłoby mnie przed wschodem słońca.

Zacisnąłem zęby, sięgnąłem po obrazy w głowie i metaforycznie mówiąc, pobiegłem ze wszystkich sił.

Musiałem mieć nadzieję, że nie było już za późno.

## Rozdział czternasty

Jeśli chodzi o kwestie związane z magią, wielu ludzi nie pojmuje, że jej zasady nie zostały spisane na kamiennych tablicach – są płynne, zmieniają się w zależności od czasu, pory roku, lokalizacji i zamiarów praktykującego. Magia nie jest żywa jak cielesna, świadoma istota, ale posiada swego rodzaju animę. Wzrasta, pęcznieje, słabnie i ulega przemianie.

Niektóre aspekty magii są względnie stabilne, na przykład to, że osoba o silnym talencie magicznym źle działa na technikę – ale nawet ta względna stała zmieniała się powoli przez stulecia. Trzysta lat temu talenty magiczne psuły inne rzeczy – na przykład sprawiały, że płomień świec przybierały dziwne kolory, a mleko natychmiast kwaśniało (co musiało być piekielnym utrudnieniem dla każdego maga, który chciał coś upiec). Parę stuleci wcześniej wystawienie na magię często wpływało na skórę, doprowadzając do powstawania sławnych przebarwień znanych jako diabelskie znamię.

Za kolejne setki lat, kto wie? Może dzięki jej efektom ubocznym praktykujący będą naprawdę dobrze wyglądać i mieć powodzenie u płci przeciwnej – ale nie zamierzam dać za to głowy.

To znaczy... no wiecie.

Nie zamierzałbym jej dać. Gdybym jeszcze mógł.

Tak czy inaczej, chodzi o to, że każdy sądzi, że wschód słońca oznacza wypędzenie zła. Światło wyłaniające się z ciemności, co nie?

No tak. Czasami. Ale przeważnie to jedynie wschód słońca. Część każdego dnia, wynikająca z ruchów wirujących obiektów w próżni. Jasne, czarna magia przeważnie nie wiąże się ze słońcem wznoszącym się nad horyzont – właściwie nigdy o czymś takim nie słyszałem. Ale nie jest ono oczyszczającą mocą Dobra i Prawości.

Ogólnie rzecz biorąc, jest przy tym wszystkim piekielnie dobrą mocą oczyszczającą. I na tym polegał mój problem.

Duch nie powinien włóczyć się po świecie śmiertelnych, o ile nie ma ciała, które mógłby zamieszkiwać. Powinien przebywać w pociągu kolejki Carmichaela, w raju, piekle, Walhalli albo czymś w tym stylu. Duchy tworzy energia – 99,9 procent czystej,

smakowitej, odżywczej magii. Nie dajcie się nabrać na zamienniki.

Duchy i wschód słońca pasują do siebie jak zarazki i wybielacz. Odnawiająca moc przepływająca przez świat wraz z nadejściem nowego dnia zalewa planetę jak bezgłośnie, niewidzialne tsunami, prąd odpływowy magii, który w nieunikniony sposób zaciera nawet najpotężniejsze zaklęcia śmiertelnych, skracając ich przydatność do spożycia, o ile nie zostaną wzmocnione.

Wędrujący duch, pochwycony przez wschód słońca, zostałby roztopiony. Nie chodzi o to, by stanąć w zacienionym miejscu, podobnie jak stanie we własnej kuchni nie uchroniłoby nikogo przed nadciągającym tsunami. Trzeba znaleźć się w miejscu, które jest naprawdę bezpieczne, w jakiś sposób osłonięte, chronione albo z innego powodu wznosi się ponad odnawiającym prądem odpływowym wschodu słońca.

W końcu byłem duchem. Dlatego pobiegłem do jedyne miejsce, które moim zdaniem mogło mnie ochronić i do którego mogłem dotrzeć w najkrótszym czasie.

Pobiegłem do swojego grobu.

Mam grób, z płytą już na miejscu, cholerstwo jest wykopane i puste, gotowe mnie przyjąć. Dostałem go w prezencie od wroga, który z perspektywy czasu nie wydawał mi się już tak przerażający jak wtedy. Zrobiła wielki gest na oczach tej cieszącej się gorszą sławą części nadnaturalnego światka, zagroziła mi śmiercią, a jednocześnie zademonstrowała swoje możliwości, załatwiając mi grób w ekskluzywnym parku sztywnych. Do tego przekonała jego zarządców, że powinni postąpić wbrew rozporządzeniom władz miejskich i pozostawić ziejącą dziurę w ziemi u stóp nagrobka. Nie wiem, w jaki sposób ich przekupiła albo czym zagroziła, ale grób czekał tak od lat na słynnym chicagowskim cmentarzu Graceland.

I może w końcu okaże się użyteczny jako coś innego niż tylko stosowne tło do ponurego rozpamiętywania.

Zrobiłem sztuczkę sir Stuarta ze znikaniem i zorientowałem się, że za jednym zamachem nie mogę skoczyć dalej niż jakieś trzysta metrów. Mimo to szło mi znacznie szybciej, niż gdybym biegł, i nie męczyłem się tak bardzo, jak się spodziewałem. W końcu stało się ćwiczeniem jak zwykły bieg – powtarzanie raz za razem tego samego procesu, by dotrzeć z punktu A do punktu B.

Przeskoczyłem przez frontową bramę Graceland i zrobiłem jeszcze kilka skoków, próbując odnaleźć właściwie miejsce przy tym wielkim mauzoleum w stylu greckiej świątyni – i rzuciłem się piłkarskim wślizgiem w stronę ziejącego otworu w ziemi. Moje bezcielesne ciało prześlizgnęło się gładko po białym śniegu sięgającym aż do krawędzi grobu, a ja wpadłem do chłodnego, zacienionego rowu, który dla mnie



przygotowano.

Kilka uderzeń serca później promienie słońca zalały świat nade mną. Usłyszałem to i poczułem tak samo, jak kiedyś poczułem przez podeszwy butów niewielkie trzęsienie ziemi w stanie Waszyngton. Rozległ się ostry, wyraźny, srebrzysty dźwięk, który przez chwilę unosił się w powietrzu jak echo potężnego dzwonu. Zamknąłem oczy i przycisnąłem się do ściany grobu, który uważałem za najlepszą szansę na uniknięcie unicestwienia.

Czekałem kilkanaście sekund.

Nic się nie stało.

W moim grobie panowały półmrok, chłód i cisza. To było... naprawdę odprężające. To znaczy w telewizji i kinie pokazują tych ludzi leżących w grobie i zawsze jest to koszmarnie, przerażające doświadczenie. Już wcześniej odwiedzałem swój grób i za każdym razem czułem niepokój. Pewnie mam to już za sobą.

Śmierć jest przerażająca jedynie po tej stronie.

Usiadłem oparty plecami o ścianę swojego grobu, wyciągnąłem przed siebie nogi, odchyliłem głowę do tyłu i zamknąłem oczy. Panowała cisza, jeśli pominąć lekki szum cementarnych drzew i stłumioną melodię tła żyjącego, oddychającego miasta. Samochody. Klaksony. Odległa muzyka. Syreny. Pociągi. Budowy. Kilka ptaków, które uważało Graceland za swój dom.

Nie pamiętałem, kiedy ostatnio czułem się tak...

Spokojny. Zadowolony.

I wolny. Mogłem nic nie robić. Mogłem odpocząć. Mogłem odwrócić się plecami od straszliwych, mrocznych rzeczy w moich wspomnieniach, na chwilę zrzucić z siebie brzemiona.

Na jakiś czas zamknąłem oczy i pozwoliłem, by wypełniły mnie zadowolenie i cisza.

\* \* \*

– Jesteś nowy – usłyszałem cichy, spokojny głos.

Otworzyłem oczy, nieco zirytowany, że już po kilku chwilach przerwano mi odpoczynek – po czym podniosłem wzrok na niebo, na którym pozostały jedynie ślady błękitu. Nadchodził fioletowy zmierzch, a po nim noc.

Zaskoczony usiadłem bardziej prosto, odsuwając się od ściany grobu. Co, do diabła? Odpoczywałem przez minutę albo dwie. Prawda? Kilka razy zamrugalem,

patrząc w niebo, i podniosłem się powoli. Czułem się ociężały i wstawanie okazało się trudniejsze, niż powinno, jakbym miał na sobie ciężkie mokre koce albo jeden z tych ołowianych fartuchów do robienia zdjęć rentgenowskich.

– Zawsze lubię patrzeć na narodziny nowych istot. – To był głos dziecka. – Można zgadywać, czym się staną, a później patrzeć i sprawdzać, czy do tego doszło.

Mój grób miał około metra osiemdziesięciu głębokości. Ja mam sporo ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Kiedy wstałem, moje oczy znajdowały się kilka centymetrów nad grubą na jakieś piętnaście centymetrów warstwą śniegu, która przykrywała ziemię w tym miejscu. Nie miałem więc problemu z dostrzeżeniem dziewczynki.

Miała może sześć lat i wydawała się mała, nawet jak na swój wiek. Nosila dziewiętnastowieczny strój, niemal absurdalnie falbaniastą, strojną sukienkę, którą dziecko pewnie poplamiloby błotem albo jedzeniem przed upływem godziny. Jej buciki wyglądały na ręcznie szyte i zdobiły je klamerki. Na ramieniu dziewczynka niosła malutki koronkowy parasol przeciwsłoneczny, który pasował do jej sukienki. Była śliczna – jak większość dzieci – miała jasne włosy i błyszczące zielone oczy.

– Cześć – powiedziałem.

– Cześć – odpowiedziała i dygnęła jak mała Shirley Temple. – Miło mi pana poznać, świętej pamięci panie Harry Dresdenie.

Postanowiłem zachować ostrożność. Jak duże było prawdopodobieństwo, że rzeczywiście była małą dziewczynką, na którą wyglądała?

– Skąd wiesz, jak się nazywam?

Złożyła parasol i postukała nim w nagrobek. Wykonano go z białego marmuru, na którym znajdował się napis ze złota albo czegoś podobnego. Wciąż błyszczał, mimo dziesięciu lat wystawienia na działanie żywiołów. Pod prostym opisem: TU SPOCZYWA HARRY DRESDEN znajdował się pentagram, a poniżej dalszy ciąg napisu: ZGINAŁ, ROBIĄC TO, CO SŁUSZNE.

Przez chwilę czułem dziwny, słodki posmak w ustach, a moje nozdrza wypełniła woń sosnowych igieł i świeżej roślinności. Przeszedł mi dreszcz po kręgosłupie i zadrzałem. Później smak i zapach zniknęły.

– Czy pan mnie zna? – zapytała dziewczynka. – Jestem sławna.

Przez chwilę patrzyłem na nią zmrużonymi oczyma, po czym wysiłkiem woli zniknąłem z dna grobu i pojawiłem się obok dziecka. Znów stałem zwrócony twarzą w niewłaściwą stronę. Z westchnieniem odwróciłem się do niej, a później rozejrzałem dookoła. W Graceland znajduje się rzeźba dziewczynki, dziecka zwanego Inez. Stoi tak od prawie dwóch setek lat, a co kilka lat zaczynają krążyć historie o zniknięciu

rzeźby – i odwiedzających cmentarz, którzy spotkali małą dziewczynkę w sukience z epoki.

Rzeźba zniknęła z gabloty.

– Jesteś Inez – stwierdziłem. – Słynny duch Graceland.

Dziewczynka zaśmiała się i zaklaskała w dłonie.

– Tak mnie nazywano.

– Słyszałem, że parę lat temu podważyli twoją historię. Że rzeźba była jedynie reklamą jakiegoś rzeźbiarza albo coś w tym rodzaju.

Znów otworzyła parasol przeciwsłoneczny, oparła go o ramię i zakręciła od niechcenia.

– Boże drogi. Ludzie nie mają pewności co do rzeczy, które wydarzyły się setki lat przed ich narodzinami. Kto by pomyślał. – Obrzuciła mnie uważnym spojrzeniem. – Ma pan ładny płaszcz.

– Dziękuję. Masz ładny parasol.

Rozpromieniła się.

– Jest pan taki uprzejmy. Czasami wydaje mi się, że już nigdy nie spotkam nikogo, kto będzie stosownie grzeczny. – Przyjrzała mi się uważnie i powiedziała: – Sądzę... że będzie pan... – zacisnęła wargi, zmrużyła oczy i powoli pokiwała głową – ...potworem.

Zmarszczyłem czoło.

– Co takiego?

– Wszystkie nowo narodzone istoty czymś się stają – stwierdziła Inez.

– Nie jestem nowo narodzony.

– Ależ tak. – Skinęła na mój grób. – Wkroczył pan do nowego świata. Pańskie dawne życie się skończyło. Nie może już pan być jego częścią. Rozciąga się przed panem szeroki wszechświat. – Rozejrzała się po cmentarzu. – Widziałam bardzo, ale to bardzo wielu nowo narodzonych, panie Dresdenie. I widzę, czym się staną. Pan, młody cieniu, jest po prostu potworem.

– Wcale nie.

– Być może nie w tej chwili. Ale... w miarę upływu czasu, kiedy ci, na których panu zależy, zestarzeją się i przejdą dalej, a pan będzie stał i bezradnie przyglądał się rozwojowi wydarzeń... stanie się pan. Cierpliwości.

– Mylisz się.

Dołeczki w jej policzkach się pogłębiły.

– Dlaczego się pan tak denerwuje, młody cieniu? Naprawdę nie widzę niczego

złego w byciu potworem.

– A ja tak. Tę część z potworem?

– Och. – Dziewczynka potrząsnęła głową. – Niech pan nie będzie taki prostoduszny. Ludzie uwielbiają potwory. Wypełniają nimi swoje pieśni i opowieści. Definiują siebie samych w odniesieniu do nich. Czy pan wie, czym jest potwór, młody cieniu? Mocą. Mocą i wyborem. Potwory dokonują wyborów. Potwory kształtują świat. Potwory zmuszają nas, żebyśmy stali się silniejsi, bystrzejsi, lepsi. Odsiewają słabych od silnych i zapewniają kuźnię, w której hartują się dusze. Choć przeklinamy potwory, podziwiamy je. Staramy się nimi stać, na pewien sposób. – Jej spojrzenie się zamgliło. – Istnieją o wiele gorsze rzeczy niż bycie potworem.

– Potwory robią krzywdę ludziom. Ja nie.

Inez wybuchnęła dziewczęcym chichotem. Obróciła się, cały czas kręcąc parasolem, i powiedziała śpiewnym głosem:

– Harry Dresden, na drzewie powieszony. I przeznaczeniem swoim prze-straszony. – Znów obrzuciła mnie spojrzeniem i stanowczo pokiwała głową. – Potwór. Napiszą o panu książki.

Otworzyłem usta, ale nie wydobyły się z nich żadne słowa. Nie wiedziałem, co powiedzieć.

– Ten świat jest taki malutki – mówiła dalej. – Taki nudny. Taki posępny. – Posłała mi ciepły uśmiech. – Nie jest pan tu przykuty kajdanami, panie Dresden. Po co pozostawać?

Zadrżałem. Poczułem zimno w żołądku, które zaczęło rozplýwać się po moim ciele. Nic nie powiedziałem.

– Ach – wymruczała Inez z wyraźnym zadowoleniem. Przeniosła wzrok na mój nagrobek i przechyliła głowę. – Tak się stało?

Potrząsnąłem głową.

– Co się stało?

– Czy zginął pan, robiąc to, co słuszne?

Zastanawiałem się nad tym przez chwilę. I jeszcze jedną. W końcu powiedziałem cicho:

– Ja... nie.

Przechyliła głowę w drugą stronę.

– Ach tak?

– Oni mieli... małą dziewczynkę – powiedziałem cicho. Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że wypowiadałem te słowa na głos, a nie tylko słyszałem je

w głowie. – Zamierzali zrobić jej krzywdę. A ja nie cofnąłem się przed niczym. Żeby ją odzyskać. Ja...

Nagle zrobiło mi się niedobrze. W moim umyśle znów pojawił się obraz śmierci Susan, kiedy jej ciało walczyło, by przeobrazić się w potworną postać, więząc ją na zawsze w jej własnej żądzы krwi. Czułem jej rozpaloną skórę pod wargami, kiedy całowałem ją w czoło. I czułem jej rozlewającą się krew, gdy poderznąłem jej gardło, uruchamiając zakłęcie, które unicestwiło każdego sukinsyna z Czerwonego Dworu przebywającego na powierzchni tej samej planety co moja córeczka.

To był jedyny sposób. Nie miałem wyboru.

Czyżby?

Może nie w tamtej chwili. Ale do tego wydarzenia doprowadziły wybory, których dokonywałem wcześniej. Mogłem postąpić inaczej. Być może wszystko wyglądałoby inaczej. Być może ocaliłbym życie Susan.

Zadrzałem, kiedy uderzyło mnie inne wspomnienie. Całkowite, pozbawione życia odrętwienie w nogach. Ból ciała. Bezradna furia, którą poczułem, kiedy uświadomiłem sobie, że upadek z drabiny złamał mi kręgosłup – że byłem sparaliżowany i nic nie mogłem zrobić dla córki. Pamiętałem, jak uświadomiłem sobie, że będę musiał zrobić coś, co aż do tej pory nie przyszłoby mi na myśl.

– Przekroczyłem granicę – powiedziałem cicho. – Granice, w liczbie mnogiej. Zrobiłem rzeczy, których robić nie powinienem. To było niewłaściwe. A ja o tym wiedziałem. Ale... chciałem pomóc dziewczynce. I...

– Zgrzeszyłem? – podpowiedziała. Jej wielkie oczy były dziwnie spokojne. – Wybrałem ścieżkę lewej ręki? Utraciłem stan łaski? Popchnąłem świat w objęcia szaleństwa?

– Cokolwiek.

– I myśli pan, że nie jest pan potworem.

Spokojnie złożyła znów parasol i przeciągnęła jego czubkiem po śniegu, nucąc coś cicho.

To wrażenie zimna i mdłości wzmogło się i zaczęło rozrastać jeszcze bardziej. Zadrzałem. Dobry Boże, ona miała rację. Miała całkowitą rację. Nie chciałem, by cokolwiek z tego kogokolwiek skrzywdziło, ale czy to miało znaczenie? Podjąłem decyzję, by zrobić coś, co było niewłaściwe, i ja o tym wiedziałem. Przehandlowałem swoje życie królowej Mab, obiecałem jej swoją służbę i lojalność, choć wiedziałem, że mrok i rola Rycerza Zimy mnie pochłoną, że moje talenty i moce mogą zostać wykorzystane w niegodziwej służbie Królowej Powietrza i Ciemności.

Chodziło o życie mojej córeczki, kiedy dokonałem tego wyboru, kiedy zdobyłem moc nie do pojęcia dla większości śmiertelników.

Pomyślałem o desperacji w oczach Fitz'a i jego gangu. Pomyślałem o małostkowej złośliwości Łysola i jemu podobnych. Albo o przemocy na ulicach.

Jak wiele córek innych mężczyzn zginęło z powodu mojego wyboru?

Ta myśl, ta prawda uderzyła mnie jak lawina, nagły przebłysk jasności umysłu i zrozumienia, który wymazał każdą inną myśl, gorączkowe i nieostre wcześniejsze działania.

Czy mi się to podobało, czy nie, przyjąłem ciemność. Fakt, że umarłem, zanim mógłbym zostać wykorzystany do niszczycielskich celów, nic nie znaczył. Podniosłem czerwony miecz świetlny. Dołączyłem do Bractwa Złych Mutantów.

Stałem się tym, przeciwko czemu zawsze walczyłem.

Nie dało się temu zaprzeczyć. Nie miałem szansy naprawienia błędu. Nagle rozpaczliwie zapragnąłem po prostu rzucić się z powrotem do grobu, poszukać ciszy i spokoju, które wcześniej w nim znalazłem. Do diabła, ależ chciałem odpocząć.

Założyłem ręce na piersi i wpatrzyłem się w Inez. Mój głos brzmiał chrapliwie i szorstko.

– Nie jesteś duchem małej dziewczynki.

Jej twarzyczkę rozpromienił kolejny uśmiech.

– Jeśli nie jestem duchem, dlaczego wyglądasz na tak nawiedzonego?

I zniknęła. Żadnego dźwięku, żadnego błysku, niczego. Po prostu zniknęła.

Gdybym żył, ból głowy, którego nadejście właśnie odczuwałem, byłby typowy dla tej sytuacji. Tajemnicze istoty nadnaturalne są nieodłącznym elementem mojej pracy.

Ale naprawdę nienawidzę, kiedy mają ostatnie słowo.

– Nieznośna jednostka – wymruczał głęboki, powolny bas za moimi plecami. – Jej dusza składa się z pokrzywionych linii.

Zesztywniałem. Nie wyczułem żadnej obecności tak, jak w przypadku Inez, a doskonale wiedziałem, co mogło się wydarzyć, jeśli pozwoliło się, by ktoś podkradł się do człowieka od tyłu. Choć zasada numer jeden kontaktów z istotami nadnaturalnymi – nigdy nie okazywać strachu – jest prosta, to z całą pewnością nie jest łatwa. Wiem, jakie można tam spotkać istoty.

Odwróciłem się, bardzo spokojnie i powoli, powtarzając sobie, że nie mam serca, które mogłoby gorączkowo walić w piersiach, i że tak naprawdę nie mam potu na dłoniach. Nie musiałem trząść się ze strachu tak samo, jak nie musiałem trząść się z zimna.

Moja jaźń najwyraźniej uznawała swoje własne zapewnienia za niegodne zaufania. Głupia jaźń.

W powietrzu za mną na wysokości około metra unosiła się wysoka i groźna postać. Spowijał ją obszerny płaszcz w odcieniu śniedzi, z kapturem, który rzucał czarny cień. W czerni można było dostrzec niewyraźną sugestię twarzy. Przypominało to stare wizje Cienia, który wpływa na umysły ludzi. Płaszcz falował i wydymał się powoli na wietrze z przybliżoną lepkością lampy lawowej.

– No – powiedziałem. – Cześć.

Postać opadała w dół, aż jej stopy spoczęły na śniegu.

– Czy tak jest lepiej?

– Trochę brak ci polotu. No tak. W porządku. – Przyjrzałem się postaci. – Jesteś...  
Wieczną Ciszą. Pomnikiem z grobowca Dextera Gravesa.

Wieczna Cisza stał w milczeniu.

– Uznam to za odpowiedź twierdzącą. Przypuszczam, że w rzeczywistości nie jesteś miejscową rzeźbą. Prawda?

– Twoje założenie jest poprawne – odparł Wieczna Cisza.

Pokiwałem głową.

– Czego chcesz?

Powoli podpłynął bliżej. Zabrzmiał ten głęboki głos – w porównaniu z tym gościem James Earl Jones brzmiał jak Myszka Mickey.

– Musisz zrozumieć swoją ścieżkę.

– Moją ścieżkę.

– Tę przed tobą. Tę za tobą.

Westchnąłem.

– To jest mniej niż pomocne.

– To jest bardziej niż konieczne. Jest niezbędne do przetrwania.

– Przetrwania? – Nic nie mogłem na to poradzić. Zachichotałem. Kiedy człowiek spotka zbyt wielu pozujących na Mrocznego Żniwiarza, wpada wręcz w rutynę. – Już jestem martwy.

Nic nie powiedział.

– W porządku – odezwałem się po jakiejś minucie. – Przetrwania. Czyjego?

Nie odpowiadał przez długą chwilę, a ja potrząsnąłem głową. Zaczynałem myśleć, że mógłbym pewnie spędzić całą noc, rozmawiając z każdym szalonym duchem w tym przeklętym miejscu i nie usłyszeć niczego sensownego. A nie miałem całej nocy do zmarnowania.

Zacząłem skupiać umysł na kolejnej serii skoków Nightcrawlera, kiedy ten głęboki głos się odezwał – a tym razem nie było to coś, co usłyszałem. Odbijał się echem w mojej głowie, myślach, wybuch czystego znaczenia, który wbił się w moją głowę, jakby wyryto go na pocisku raketowym:

– WSZYSCY.

Zatoczyłem się i złapałem rękami za głowę.

– Uch! – wykrztusiłem. – Na wszystkie dzwony piekieł! Czy to zbyt wiele prosić cię o ściszenie?

– NIEZAMIERZONE. ŚMIERTELNA KRUCHOŚĆ. NIEWYSTARCZAJĄCE ZROZUMIENIE WOKALIZACJI. WYCZERPANE WCZEŚNIEJ PRZYGOTOWANE SŁOWNICTWO.

Ten pełnowymiarowy atak na moje myśli sprawił, że się zdematerializowałem. Moje przekłete duchowe ciało rozpadło się na ogromną, puszystą chmurę mgielki o kolorze Dresdena. I bolało. To jedyne słowo, które przychodzi mi na myśl w tej sytuacji. Nie przypominało żadnego bólu, jaki czułem wcześniej, a ja jestem koneserem, jeśli chodzi o cierpienie. To nie był ból cielesny, jaki znałem. Bardziej przypominał... przypominał wrażenie, kiedy zobaczy się lub usłyszy obraz albo pomysł, wprawiające w tak ogromne osłupienie, że człowiek może jedynie powiedzieć: „To jest tak bardzo nie w porządku”.

To. Razy milion. I nie tylko w mojej głowie, ale i całym ciele.

Minęła minuta, zanim to wrażenie zniknęło, i dopiero wtedy poczułem, że znów się składałam w jedno.

– Nie wyjaśniaj! – powiedziałem prawie rozpaczliwie, kiedy podniosłem wzrok i zobaczyłem Wieczną Ciszę unoszącego się odrobinę bliżej mnie. – Nie! To bolało!

Czekał.

– Musimy uprościć sprawę – wykrztusiłem, myśląc na głos. – Albo mnie zabijesz. Znowu. – Przycisnąłem dłoń do czoła. – Będę ci zadawał pytania na tak lub nie. Jeśli odpowiedź brzmi „tak”, zachowaj ciszę. Jeśli „nie”, wskaż, że jest inaczej. Zgoda?

Nic. Wiecznej Ciszy mogłoby tu właściwie nie być, tyle tylko że jego płaszcz wciąż kłębił się i wydymał na wzór lampy lawowej.

– Czy twój płaszcz jest czerwony?

Kaptur płaszcza zadrżał w prawo i w lewo.

– Fantastycznie – mruknąłem. – Komunikacja. – Przetarłem twarz dłońmi. – W porządku. Kiedy mówisz o wszystkich, mówisz, no, o wszystkich, których znam?

Drgnięcie.



– Coś więcej?

Cisza.

– Yyy. Całe miasto?

Drgnięcie.

– Co takiego... więcej?

Cisza.

– Czyli... masz na myśli... no... wszystkich wszystkich. Wszystkich. Całą planetę.

Cisza.

– I moje zrozumienie mojej przeklętej ścieżki uratuje ich?

Cisza. Drgnięcie.

– Cudownie – mruknąłem. – Za chwilę będziesz chciał, żebym wziął kamyk z twojej dłoni.

Drgnięcie.

– Nie mówiłem dosłownie... Dobra, w porządku, w ten sposób nie porozumiemy się zbyt dobrze.

Cisza. Jakimś sposobem... empatyczna.

Zastanowiłem się nad tym przez chwilę, po czym powiedziałem:

– Chwileczkę. To jest powiązane, prawda? Z zadaniem, z którym wysłał mnie kapitan Murphy.

Cisza.

– Odnaleźć tego, kto mnie zabił? – spytałem go. – Nie rozumiem. Jak znalezienie mojego zabójcy ocali świat?

Głęboki głos powtórzył wcześniejsze frazy.

– Musisz zrozumieć swoją ścieżkę. Tę przed tobą. Tę za tobą. To jest bardziej niż konieczne. Jest niezbędne do przetrwania.

– Jest w tym trochę ironii, że Wieczna Cisza ma zapętlony dźwięk. – Westchnąłem.

W powietrzu rozległ się jęk upióra, a ja stężałem i rozejrzałem się dookoła.

Jedna z tych sylwetek przypominających obszarpanego stracha na wróble podnosiła się z grobu, jak coś wydobywanego z głębokiego błota. Istota jęknęła z bezmyślnego głodu, a jej oczy były puste.

Później rozległ się kolejny jęk. I jeszcze jeden. I jeszcze jeden.

Z otaczających mnie grobów wychodziły upiory.

Zacząłem oddychać szybciej, choć nie musiałem.

– Jasne, Harry, doskonały pomysł na bezpieczną kryjówkę. To przeklęty cmentarz. Gdzie jeszcze mogą przebywać duchy?

Wieczna Cisza jedynie patrzył na mnie. Jego milczenie wydawało się rozbawione.

– Muszę iść – powiedziałem. – Czy to wszystko, co dla mnie miałeś? Zrozumieć swoją ścieżkę?

Cisza. W pożegnalnym geście uniósł rękę okrytą zieloną tkaniną.

Pierwszy upiór zakończył coś, co wyglądało na conocną rutynę wydobywania się z ziemi i jęczenia. Jego puste oczy zwróciły się ku mnie i istota zaczęła dryfować w moją stronę, jej niematerialne palce stóp przenikały przez śnieg.

– Pieprzyć to – powiedziałem i zniknąłem.

Raz, dwa, trzy skoki i znalazłem się przy najbliższym ceglany murze cmentarza. Zacisnąłem zęby i rzuciłem się przez niego.

I uderzyłem twarzą w zimny kamień.

Mój nos przeszył ból i zawarczałem, uświadamiając sobie własną głupotę. Do diabła, Harry. Ściany buduje się, żeby utrzymać istoty na zewnątrz – ale mury wokół cmentarza wznosi się, by utrzymać je wewnątrz. Wiedziałem o tym, odkąd byłem cholernym dzieckiem.

Obejrzałem się za siebie. Upiory dryfowały za mną powolną, pełną wdzięku hordą, po drodze zwiększając swoją liczebność. Nie były szybkie, ale były ich całe dziesiątki. Znów przypomniały mi się filmy dokumentalne o ogromnych stadach meduz.

Zacisnąłem zęby i myślałem szybko. Kiedy buduje się mury, mają one służyć jako fizyczna bariera. Cel ten, który nadają im dziesiątki budowniczych, sprawia, że nabierają podobnej materialności również w świecie duchowym. Dlatego powstrzymują większość duchów na cmentarzu – i pewnie wiąże się to również ze sposobem, w jaki wokół domu tworzy się próg.

Jednakże tam, gdzie ludzkie zamierzenia stworzyły barierę, te same zamierzenia stworzyły również punkt dostępu.

Odwróciłem się i zacząłem znikać w linii prostej, kierując się w stronę bramy parku sztywnych.

Nie wiem, co bym zrobił, gdyby była zamknięta. Zamknięte bramy i zatrzaśnięte drzwi również niosą ze sobą ciężar celowości, podobnie jak mury. Ale otwarte wrota to zupełnie inna kwestia, a bramy Graceland były szeroko otwarte. Kiedy przez nie przeszedłem, odwróciłem się i spojrzałem na skromnych rozmiarów armię upiorów kierującą się w stronę otworu.

Nagle mnie oświeciło.

Bramy cmentarza pozostały niezamknięte.

A ostatnio nocne ulice Chicago nawiedzały hordy upiorów.

– Aha, Mort – powiedziałem. – Teraz wiemy, skąd się biorą.

Ktoś, ktoś żywy, otwierał nocami te bramy. To znaczyło, że mieliśmy punkt wyjścia, ślad, którym mogliśmy podążać, by dowiedzieć się, kto wywoływał poruszenie wśród miejskich duchów, by wykorzystać je przeciwko Mortowi – i dlaczego.

Miałem informację. Miałem coś, co mogłem dać Mortowi w zamian za bieżącą pomoc.

Nagle znów poczułem się jak detektyw.

– A niech mnie. – Uśmiechnąłem się szeroko. – Gra się zaczęła, do cholery!

# Rozdział piętnasty

Podkręciłem wspomnienie i zacząłem skakać. W ten sposób można było szybko przemierzyć miasto – przenikanie przez budynki oraz ignorowanie świateł ulicznych i ulic jednokierunkowych dużo dawało. Dotarcie do domu Mortimera nie trwało długo.

Budynek płonął.

Wokół stały wozy strażackie z migającymi kogutami. Strażacy poruszali się szybko, profesjonalnie, ale choć cały dom płonął, jak na razie działał tylko jeden wąż. Na moich oczach strażacy uruchomili dwa kolejne, wiedziałem jednak, że to przegrana sprawa. Dom Morta płonął jeszcze szybciej i jaśniej niż mój. Choć może to ciemności sprawiały, że tak mi się wydawało.

Kiedy strażacy powstrzymywali ogień przed przeskoczeniem na pobliskie budynki – co nie było wielkim wyzwaniem, jeśli wziąć pod uwagę leżący na ziemi śnieg – pojawiło się kilku gliniarzy. Niebieskie światła radiowozów dołączyły do czerwonych i żółtych straży pożarnej. Wokół stali ludzie i przyglądali się pożarowi – doświadczenie podpowiadało mi, że często się tak działo.

Oczywiście... zwykle nie robili tego na takim zimnie. Ani przy piętnastu centymetrach śniegu. Oraz zazwyczaj rozchodzili się, kiedy ogień zaczynał przygasać. I rozmawiali. I mrugali. Jak również ich ubrania zwykle pochodziły z obecnego stulecia.

Tłum przyglądających się mieszkańców Chicago składał się z duchów.

Kroczyłem między nimi, patrząc im w twarze. Przypominali każdą inną grupę ludzi, jeśli pominąć stroje z epoki. Rozpoznałem paru z drużyny obronnej sir Stuarta – ale jedynie kilku i były to względnie świeże cienie. Resztę stanowili... ludzie. Mężczyźni, kobiety i dzieci.

Jako jedyny zwrócił na mnie uwagę chłopiec w wieku około dziesięciu lat. Towarzyszyła mu dziewczynka, która musiała umrzeć jako siedmiolatka. Trzymali się za ręce. On spojrzał na mnie, kiedy go mijałem, a ja zatrzymałem się i popatrzyłem na niego z góry.

– Dokąd teraz pójdziemy? – spytał. – Nie wiem, dokąd teraz iść.

– Yyy. Ja też nie wiem. Widziałeś może, co tu się stało?

– Wróciło dziś wieczorem. Później przyszli mężczyźni z ogniem. Spalili dom. Zabrali małego pana.

Zesztywniałem.

– Szare Widmo zabrało Morta?

– Nie, mężczyźni go zabrali.

Dziewczynka odezwała się cichym głosem:

– Kiedyś bawiliśmy się z innymi dziećmi nad rzeką. Ale on sprowadził nas tutaj. Zawsze był dla nas dobry.

Wyraz jej twarzy przez cały czas się nie zmienił. Był obojętny, pusty.

Chłopiec westchnął, dotknął ramienia dziewczynki i odwrócił się, by wpatrzeć się w dogasające płomienie. Przyglądałem się im przez chwilę i uświadomiłem sobie, że stają się coraz bardziej przezroczyści. Sprawdziłem inne cienie. Ich też to dotyczyło, w mniejszym lub większym stopniu.

– Ej – powiedziałem do chłopca. – Znasz sir Stuarta?

– Wielki mężczyzna. Żołnierz. – Chłopiec pokiwał głową. – Jest w ogrodzie. Za domem.

– Dziękuję.

Poszedłem to sprawdzić, przeniosłem się przed dom Morta, a później znów skoczyłem, do ogrodu.

Tylne podwórko Morta wyglądało dokładnie tak samo jak frontowe – zaprojektowane, starannie utrzymane, ozdobione z japońskim wyczuciem, oszczędnie i elegancko. Znajdowało się tam coś, co wyglądało na sadzawkę dla złotych rybek, obecnie wypełnione śniegiem. Widziałem drzewa i kolejne bonsai, delikatne i jakimś sposobem kruche. Ogień był dość gorący, by stopić śnieg z ich gałązek.

Pozostałości sir Stuarta leżały w kręgu na śniegu.

Wykorzystali ogień.

W śniegu na tyłach ogrodu wytopił się idealny okrąg. Wyglądało na to, że użyli benzyny – śnieg stopił się aż do osmalonej trawy. Płonący alkohol ma temperaturę około trzech razy wyższą od benzyny i spala się szybciej, przez co topi śnieg na tyle szybko, że woda gasi ogień. Ktoś wykorzystał ogień jako część kręgu pułapki – standard w postępowaniu z duchami i innymi nadnaturalnymi istotami. Po uwięzieniu w okręgu duch był właściwie bezradny – niezdolny odejść i niezdolny do używania mocy przez barierę.

Paskudną częścią pułapki był płomień. Ogień jest prawdziwy, nawet dla duchów, i wywołuje ból u istot niematerialnych równie szybko, jak u tych z krwi i kości. To jeden z ważniejszych powodów, dla których w swojej śmiertelnej karierze zawsze korzystałem z ognia. Ogień pali, kropka. Nawet właściwie niezniszczalne istoty nie lubią kontaktów z płomieniami.

Z sir Stuarta pozostała może połowa. Na swoim miejscu znajdowała się większość górnej połowy jego ciała i część prawej ręki. Nogi właściwie zniknęły. Nie było krwi. To, co z niego pozostało, wyglądało jak zwój papierów wydobyty z ognia. Poczerniałe krawędzie kruszyły się powoli.

Najbardziej przeraziła mnie świadomość, że on wciąż był żywy – a w każdym razie nie utracił tego, co wśród duchów uchodziło za życie. Inaczej po prostu by zniknął.

Czy czuł ból? Wiedziałem, że ja bym czuł, gdybym był w jego stanie. Jasne, może i wiedziałem, że łyżka nie istnieje, ale gdyby przyszło co do czego, nie byłem pewien, czy potrafiłbym zaprzeczyć tak bardzo oczywistej rzeczywistości. Albo może nie chodziło tu o wspomnienie bólu. Może dziwny rodzaj cierpienia, który pokazał mi Wieczna Cisza, miał jakiś duchowy odpowiednik. A może ogień po prostu był ogniem i sir Stuart cierpiał bardzo prawdziwą, bardzo znajomą udrękę.

Zadrzałem. Niewiele jednak mogłem na to poradzić. Krąg, który go uwięził, utrzymałby mnie na zewnątrz równie łatwo, jak jego w środku. Teoretycznie mógłbym go przerwać, ale tylko gdybym mógł fizycznie przenieść coś, co naruszyłoby jego ciągłość. Rozejrzałem się szybko dookoła i zauważyłem wystającą ze śniegu gałązkę. Musiałbym ją jedynie przesunąć o niecały metr.

Przypominało to próbę jedzenia bulionu widelcem. Po prostu nie mogłem złapać patyka. Moja ręka za każdym razem przez niego przechodziła, niezależnie od tego, co próbowałem zrobić. Nie udało mi się nawet zmusić go do drgnięcia. Nie byłem dość duchem, by pomóc sir Stuartowi. A w każdym razie nie w taki sposób.

– Sir Stuarcie? – spytałem cicho.

Widziałem tylko jedno z jego oczu. Powieka uniosła się odrobinę.

– Hm?

Kucnąłem obok kręgu.

– To ja, Harry Dresden.

– Dresden – powtórzył niewyraźnie i kącik jego ust uniosł się w słabym uśmiechu.

– Przepraszam, że nie wstaję. Coś mi chyba zaszkodziło.

– Oczywiście. Co się stało?

– Byłem głupcem. Napastnik przybywał każdej nocy o tej samej porze. Popełniłem

błąd, zakładając, że tak musi być, bo napastnik potrzebował tyle czasu na zebranie sił.

– Szare Widmo.

Sir Stuart chrząknął.

– Przybyło o zmroku, wcześniej, niż ja bym się odważył wyjść na zewnątrz. Tym razem bez tłuszczu duchów. Przybyło z półtuzinem śmiertelników, którzy podpalili dom. Wydostałem Mortimera na czas, ale oni zastawili na mnie pułapkę na podwórku. – Jedną ręką wskazał na krąg, wewnątrz którego leżał. – Został zabrany na rozkaz Szarego Widma.

Zmarszczyłem czoło.

– Ci śmiertelnicy. Słyszeli Szare Widmo?

– Ano.

– Na gwiazdy i kamienie – warknąłem. – Mnie udało się zmusić dwóch ludzi w Chicago, by mnie usłyszeli. Ten klaun ma pół tuzina? Jak?

Sir Stuart lekko pokręcił głową.

– Żeby to ja wiedział.

– Znajdziemy Morta. Najpierw wymyślę, jak cię stąd wydostać, a później go znajdziemy.

Sir Stuart do końca uniósł powieki i po raz pierwszy skupił na mnie spojrzenie.

– Nie – powiedział łagodnie. – Nie zrobię tego.

– Daj spokój. Nie mów tak. Połatamy cię.

Sir Stuart zaśmiał się cicho.

– Nie, magu. Zbyt wiele ze mnie zostało utracone. Utrzymałem się w jednym kawałku przez tyle czasu jedynie po to, by z tobą porozmawiać.

– A co się stało z tym, że nasz świat zmienia się w zależności od naszych oczekiwań? Czy to nie pozostaje prawdą?

– Do pewnego stopnia – powiedział sir Stuart przyjaźnie, ale słabo. – Już wcześniej byłem ranny. Niewielkie obrażenia dają się bez trudu naprawić. – Wskazał na swoje zniszczone ciało. – Ale to? Gdybym się naprawił, byłbym jak pozostali.

– Pozostali?

– Wojownicy, którzy bronili domu Mortimera. W miarę upływu czasu blakli. Po trochu zapominali o swoim śmiertelnym życiu.

Wróciłem myślami do żołnierzy, których widziałem walczących z wrogimi cieniami i upiorami – milczący, surowi, wyraźnie oderwani od otaczającego ich świata. Walczyli lojalnie i sprawnie. Ale mógłbym się założyć, że nie pamiętali, dlaczego to robili ani z kim walczyli.

Wyobraziłem sobie sir Stuarta podobnego do pozostałych – przezroczysty zarys, pusty wzrok skupiony na czymś zupełnie innym. Zawsze wierny. Zawsze milczący.

Zadrzałem.

Ze mną też tak się mogło stać.

– Posłuchaj mnie, chłopcze. Nie ufaliśmy ci. Zakładaliśmy, że byłeś zamieszany w to, czego chciało Szare Widmo.

– Ta, jasne.

– Nie wiesz tego – powiedział sir Stuart głosem bez wyrazu. – Nie mogliśmy mieć pewności, czy ten stwór nie kieruje tobą bez twojej wiedzy. A skoro już o tym mowa, nie robisz wrażenia normalnego ducha. Mógł cię stworzyć od zera ze świata duchowego.

Skrzywiłem się i zacząłem zaprzeczać – ale brakowało mi argumentów. Stawałem w obliczu rzeczy dziwnych i niezwykłych, i zbyt wiele razy wyciągałem błędne wnioski. Kiedy ludzie są przerażeni, nie myślą jasno i logicznie. Mort był przerażony.

– Nadal tak myślisz?

– Gdyby tak było, nie miałbyś powodu się tu teraz pojawić. Najgorsze już się wydarzyło. Gdybyś był wtyką, nie przyszedłbyś. Choć pewnie wciąż możesz być frajerem.

– Dzięki – rzuciłem oschłym tonem.

Złagodził swoje słowa kolejnym uśmiechem.

– Ale frajer czy nie, wciąż możesz pomóc Mortimerowi. I jest niezmiernie ważne, byś to zrobił. Bez jego wpływu to miasto znajdzie się w straszliwym niebezpieczeństwie.

– Wiesz, mówiąc mi to, wcale nie zwiększasz napięcia. Już tak jakby gramy o najwyższą stawkę.

– Nie wiem, co masz na myśli. Ale powiem ci jedno: te cienie stojące wokół domu są jak jeden mąż mordercami.

Zamrugalem i spojrzałem na dymiący dom i otaczający go ogromny krąg duchów.

– Jak jeden mąż – powtórzył sir Stuart. – Mortimer dał im coś, czego potrzebowali, by zawrócić ze ścieżki szaleństwa: dom. Jeśli nie przywrócisz mu wolności, by mógł się zatroszczyć o te biedne dusze, znów zaczną zabijać. To jasne jak słońce, nie będą w stanie się powstrzymać. – Westchnął ze znużeniem i zamknął oczy. – Oszalałe cienie gromadzące się przez pięćdziesiąt lat wypuszczone jednocześnie na miasto. Żerujące na śmiertelnikach. Poleje się krew, całymi wiadrami.

Gapiałem się na niego przez chwilę.



- Jak mam tego dokonać?
- Nie mam bladego pojęcia.

Sir Stuart sięgnął do pasa i wyciągnął ten ogromny pistolet. Skrzywił się i wahał przez chwilę. Później rzucił go słabym ruchem w moją stronę. Broń przekoziółkowała przez krąg, wyzwalając błysk energii, i wylądowała na śniegu, nie zanurzając się w nim – widmo broni.

Gapiałem się przez chwilę. Duch nie mógł sięgnąć swoją mocą przez krąg – a ja byłem pewien, że moc była dokładnie tym, co symbolizował pistolet. Czyli jeśli broń przebiła się przez barierę kręgu, to oznaczało, że ta moc nie należała już do sir Stuarta. To, co właśnie zrobił, w wielu aspektach było aktem brutalnego samookaleczenia – jak odrąbanie sobie ręki.

Słabym gestem wskazał na pistolet i powiedział:

- Weź go.

Podniosłem go ostrożnie. Był cholernie ciężki.

- Co mam z nim zrobić?

– Pomóż Mortimerowi. – Jego cień zaczął migotać i blaknąć na krawędziach. – Przepraszam. Że nie mogłem zrobić więcej. Nie mogłem więcej cię nauczyć. – Znów otworzył oczy i pochylił się do mnie, na jego twarzy malowało się napięcie. – Wspomnienia, Dresdenie. Są mocą. Są bronią. Stwórz ze swoich wspomnień broń przeciwko nim. – Jego głos stracił siłę, a powieki opadły. – Trzy stulecia pełnienia straży... a ja zawiodłem pokładane we mnie zaufanie. Wypełnij moją obietnicę. Proszę. Pomóż Mortimerowi.

- Tak – powiedziałem cicho. – Zrobię to.

Znów pojawił się ten słaby uśmiech, sir Stuart skinął głową. Później wypuścił powietrze w długim westchnieniu. Wyblakł jeszcze bardziej, a na moich oczach jego kończyny po prostu odrosły, pojawiły się znowu, kiedy jego zarys stał się bardziej przezroczysty. Uszkodzenia się cofnęły.

Chwilę później sir Stuart usiadł. Rozejrzał się dookoła, jego spojrzenie przeszło przeze mnie. Zatrzymał się i wpatrzył w zniszczony dom, marszcząc czoło w zdziwionym skupieniu – wyraz ten malował się na twarzach większości obecnych cieni.

W pustych oczach cienia nie widziałem sir Stuarta.

Pochyliłem głowę, zacisnąłem zęby i zakląłem. Lubilem tego gościa. Podobnie jak lubilem Morta, nawet jeśli czasem mu ubliżałem. Byłem wściekły z powodu tego, co się z nim stało. I byłem wściekły z powodu sytuacji, w jakiej mnie postawił. Teraz to ja

byłem odpowiedzialny za odnalezienie Morta i udzielenie mu pomocy, choć bez niego z trudem mogłem się z kimkolwiek porozumieć. A tymczasem zły gość, kimkolwiek był, najwyraźniej w każdej chwili mógł pogadać ze swoimi przydupasami.

Nie mogłem niczego dotknąć. Nie mogłem niczego zrobić. Moja magia odeszła. A teraz nie tylko musiałem odnaleźć tego, kto mnie zabił, ale i uratować Morta Lindquista.

Cudownie. Może powinienem zrobić z tego swoje nowe motto: „Harry Dresden – w ciągu pierwszych dwudziestu czterech godzin bycia martwym biorę na siebie odpowiedzialność za więcej niemożliwych sytuacji niż większość ludzi przez cały dzień”.

Ciągle padał śnieg. W końcu miał przerwać krąg, który uwięził pozostałości sir Stuarta. Choć nie wiedziałem, dokąd mógłby się udać, by schronić się przed wschodem słońca. Może po prostu wiedział, tak samo jak ja – jakiś pośmiertny instynkt przetrwania. A może nie.

Tak czy inaczej, ja nie mogłem na to zbyt wiele poradzić, co wzbudzało we mnie gorącą nienawiść. Sir Stuart i inne duchy potrzebowali Morta Lindquista. Przed śmiercią może i byłem Harrym Dresdenem, magiem. Teraz byłem Harrym Dresdenem, niewidzialnym chłopcem na posyłki, namawiaczem i wyłudzaczem.

Rozpaczliwie pragnąłem rozwalić coś na małe kawałeczki – a później te kawałeczki zdeintegrować.

Biorąc to wszystko pod uwagę, z całą pewnością nie było to najlepsze nastawienie, by rozwiązać konflikt w sposób racjonalny i dyplomatyczny.

– Ach – powiedział za mną szepcący, oleisty głos. – Miała rację. Wysoki wraca.

– Popatrzcie na niego – odezwał się inny głos, wyższy i nieludzki. – Ale byłaby z niego uczta.

– Nasze rozkazy są...

– Rozkazy – przerwał trzeci głos, pełen szyderstwa. – Jej tu nie ma. Podzielimy się nim, my troje, i nikt się nie dowie.

– Zgoda – powiedział drugi głos z zapalem.

Po dłuższej chwili zabrzmiał pierwszy głos:

– Zgoda.

Odwróciłem się i zobaczyłem trzy z postaci w ciemnych szatach, które widziałem poprzedniej nocy w czasie ataku na Casa Lindquist. Lemury. Ich szaty poruszały się z powolną, wodną płynnością, jakby pod wpływem niewidzialnego wiatru. Z tak

niewielkiej odległości widziałem niewyraźne zarysy bladych twarzy pod kapturami i blask błyszczących, głodnych oczu.

– Brać go! – powiedział pierwszy lemur.

I trzy z najbardziej wygłodniałych starych duchów Chicago rzuciły się w stronę nowego.

# Rozdział szesnasty

Lemury zaatakowały, a ja zniknąłem, prosto w górę.

Stałem w powietrzu trzydzieści metrów nad nimi, wściekły, i zawołałem.

– Wy, tępaki, wybraliście sobie naprawdę kiepski moment na zadzieranie ze mną!

Zakapturzone postacie wyruszyły w górę, ale ja byłem rozmytym kształtem na tle pociemniałego nieba wśród padającego śniegu, a ich sylwetki wyraźnie rysowały się na tle pola bieli.

Zamierzyłem się do ciosu, znów zniknąłem i pojawiłem tuż za lemurem numer jeden. Wbiłem pięść w podstawę jego szyi i krzyknąłem:

– Bum!

Cios kantem dłoni w kark nie jest szczególnie honorowy, ale to piekielnie dobry sposób, żeby rzucić przeciwnika na ziemię. Jakiegokolwiek zasady rządziły światem duchów, musiał istnieć jakiś odpowiednik ludzkiego systemu nerwowego. Lemur wydał z siebie zduszone sapnięcie i padł na ziemię, zaś nagły atak sprawił, że dwaj pozostali wpadli w panikę i zniknęli. Parę razy kopnąłem leżącego gościa w głowę i szyję, by pomóc mu osiągnąć odpowiednik wstrząsu mózgu, wrzeszcząc przy tym z czystą i nieskładną wściekłością.

Z niewielkim wyprzedzeniem dostałem ostrzeżenie, chłodne tchnienie na karku, falę eterycznego nacisku na plecach. Zniknąłem i cofnąłem się o półtora metra – tym razem celowo odwrócony w tę samą stronę co wcześniej.

Pojawiłem się w chwili, gdy jeden z pozostałych lemurów zamachnął się przekłętą siekierą w stronę miejsca, które właśnie opuściła moja czaszka. Stracił równowagę i zatoczył się, a ja skopałem mu tyłek – dosłownie. Odchyliłem górną połowę ciała nieco do tyłu i udałem, że piętą miażdżę aluminiową puszkę. To był potężny kopniak, szczególnie kiedy włożyłem w niego całą swoją masę, a lemur poleciał do przodu i wylądował w śniegu.

– Kto tu rządzi?! – wrzasnąłem w stronę leżących lemurów. Strach, wściekłość i ekscytacja sprawiły, że mój głos zabrzmiał o oktawę wyżej niż zwykle. – Kto tu rządzi?!

Z twarzy drugiego spadł kaptur. Niczym się niewyróżniający mężczyzna

w średnim wieku gapił się na mnie z całkowitym niezrozumieniem – co miało sens. Któż wiedział, ile dziesięcioleci popkultury przegapili. Lemury pewnie nawet nie wiedziały, kim jest Will Smith.

– Nikt mnie nie docenia – mruknąłem.

Najwyraźniej mam też problem z prostymi działaniami matematycznymi – kiedy ja robiłem z siebie Willa Smitha, lemur numer trzy wyłonił się znikąd i uderzył mnie w bok szyi kijem baseballowym.

Ból był niewiarygodny – był czymś więcej niż jedynie reakcją na obrażenia fizyczne, jakich mógłbym się spodziewać po takim ciosie. Towarzyszyły mu olimpijskich rozmiarów mdłości połączone z huraganem dezorientacji piątego stopnia. Przez głowę przeszła mi myśl, że ego da się całkiem dosłownie urazić. Minęła kolejna sekunda albo dwie, zanim zorientowałem się, że się unoszę, dryfuję w bok i nieco w górę, pod kątem około czterdziestu pięciu stopni w stosunku do ziemi. W głowie mi szumiało. W mroku nocy rozległ się dziwaczny okrzyk triumfu i głodu.

I wtedy lemury rzuciły się na mnie.

Czułem, jak chwytają mnie boleśnie zimne palce, zaciskające się jak stalowe szpony. Lodowate, żelazne dłonie ułożyły mnie poziomo. Wciąż byłem zdezorientowany – z trudem odwróciłem głowę i spojrzałem na zbliżającego się trzeciego lemura.

Jej kaptur opadł. Była młodą kobietą o niczym się niewyróżniającym wyglądzie, ani piękną, ani nieładną. Jej oczy jednak były ciemne i zapadnięte, a za nimi kryła się ohydna pustka. Przez dłuższą chwilę wpatrywała się we mnie uważnie, a jej ciało drżało w mrocznym uniesieniu.

Później zasyczała powoli, zatopiła palce w moim lewym bicepsie i oderwała garść ciała.

Popłynęła ektoplazmatyczna krew. Moja krew. Uniosła się w powietrzu leniwymi kroplami, które – kiedy znalazły się kilkadziesiąt centymetrów ode mnie – spadały na śnieg jak krople deszczu.

Bolało. Krzyknąłem.

Wszystkie trzy lemury wrzeszczały ze mną, jakby moje krzyki wywołały ich reakcję. Lemurka uniosła triumfalnie kawałek ciała, po czym przysunęła go do otwartych ust i nacisnęła. Krew popłynęła na jej wargi i język, a ona wydała z siebie sapnięcie czystej ekstazy, po czym wepchnęła surowe ciało do ust, jakby nie jadła od tygodni.

Wywróciła oczami. Zadrzała.

– Och – westchnęła. – Ból. Czuł tak wiele bólu. I wściekłości. I radości. Och, ten naprawdę żył.

– Chodź – powiedział drugi lemur. – Złap go za nogi. Moja kolej.

Kobieta odsłoniła zakrwawione zęby i oderwała kolejny, mniejszy kawałek z mojego ramienia. Pożarła go, a później pochyliła się nad moimi nogami, unieruchamiając je. Drugi lemur patrzył na mnie jak człowiek oceniający wołową tuszę. Później oderwał kawałek ciała z mojego prawego uda.

Trwało to kilkanaście minut, każde z trójki na zmianę odrywało mięso z mojego ciała.

Nie będę zanudzał was szczegółami. Wolę o tym nie myśleć. Byli silniejsi ode mnie, lepsi ode mnie, bardziej doświadczeni ode mnie, jeśli chodziło o konflikt duchowy.

Dopadli mnie. Potwory mnie dopadły. I to bolało.

Aż na śniegu zachrzęścili kroki.

Lemury nawet nie zwróciły na to uwagi. Ja za bardzo cierpiałem, żeby się tym przejąć, ale nie byłem też szczególnie zajęty. Podniosłem wzrok i zobaczyłem samotną postać brnącą w moją stronę przez gęsty śnieg. Mężczyzna nie był zbyt wysoki, miał na sobie białą parkę i białe narciarskie spodnie, a jego twarz zasłaniała jedna z tych masek, które upodabniają człowieka do wojownika ninja, również biała. W prawej ręce niósł wielki, staromodny przenośny reflektor, taki z plastikowym uchwytem u góry. Bliźniacze żarówki rzucały na śnieg jaskrawy pomarańczowy blask.

Prychnąłem w duchu. Był człowiekiem. Z każdym krokiem zapadał się w śnieg. Nie byłby zdolny zobaczyć, co się działo tuż pod jego nosem. Nic dziwnego, że lemury nie zwracały na niego uwagi.

Ale trzy metry ode mnie mężczyzna nagle zatrzymał się gwałtownie i wyrzucił z siebie:

– O cholera!

Wyciągnął rękę i zerwał maskę, odsłaniając szczupłą, kościstą twarz mężczyzny około czterdziestki. Włosy miał ciemne, kręcone i zmierzwione, na jego orlim nosie spoczywały przekrzywione okulary, a w szeroko otwartych ciemnych oczach malował się szok.

– Harry!

Zagapiłem się na niego i powiedziałem, krwawiąc z ust:

– Butters?

– Powstrzymaj ich – syknął Butters. – Uratuj go! Uwalniam cię od tego zadania.

– Się robi, sahibie! – wykrzyknął inny głos.

Z dwóch źródeł światła w reflektorze wylała się chmura iskier, całe miliony, i skupiła się, przybierając postać mężczyzny. Istota wydała z siebie ryk jak lew i błyskawicznie rzuciła się na lemury.

Dwa z nich były dość bystre, by się zorientować, że nadchodzi coś niebezpiecznego, i natychmiast zniknęły. Trzeci, młoda kobieta, właśnie przeżuwał kolejny kęs – kiedy podniosła wzrok, było już za późno.

Świetlista postać uderzyła lemura i po prostu go zdeintegrowała. Na moich oczach skóra, ubranie i ciało odrywały się od złego ducha tak szybko i brutalnie, jakby potraktowano go piaszczarką. Uderzenie serca później pozostała jedynie łagodnie unosząca się chmura iskier, wewnątrz której widziałem zarys nieco większych pryzmatycznych klejnotów.

Świetlista istota podniosła wzrok i błyskawicznie rozdzieliła się na dwie części, a każda z nich stała się kometą, która wzniosła się w nocne niebo. Niemal natychmiast doszło do wybuchu – kawałki drugiego lemura zaczęły opadać leniwie z góry, a wraz z nimi kolejne wielobarwne klejnoty.

Na nocnym niebie rozległo się przerażające wycie. Usłyszałem łopot ciężkich szat falujących w rytm pośpiesznych ruchów. Druga świetlista kometa przelatywała to w jedną, to w drugą stronę, najwyraźniej trwała tam powietrzna walka, po czym lemur i kometa opadli gwałtownie w dół. Uderzyli w ziemię z grzmotem, który wstrząsnął gruntem, jednocześnie nie poruszając śniegu.

Pomarańczowe światełka znów zebrały się w ludzką postać, która tym razem dosiadała rozciągniętego na ziemi lemura. Świetlista istota zasypywała ciosami głowę lemura, raz za razem, uderzając z szybkością i siłą tłoków silnika. W ciągu dziesięciu, może dwunastu sekund głowa lemura zmieniła się w pryzmę ektoplazmatycznej mazi, a z jego zniszczonego ciała zaczęły się wznosić iskry światła – jego wspomnienia – i te same dziwne małe klejnoty.

Świetlista postać podniosła się znad powalonego lemura i rozejrzała się po okolicy, jej pozbawiona rysów twarz obracała się powoli i czujnie.

– Co, do diabła! – Butters miał szeroko otwarte oczy. – To znaczy, co to, do diabła, było, stary?

– Spokojnie, sahibie – zabrzmiał głos młodego mężczyzny. Wydobywał się z ognistej postaci, która pokiwała głową i zrobiła charakterystyczny gest otrzeptania z satysfakcją dłoni. – Wyniosłem tylko śmieci. Tego rodzaju szumowiny są wszędzie

w tych starych ludzkich miastach. Można powiedzieć, że to część kondycji postludzkiej.

Ja jedynie patrzyłem. Nie miałem ochoty robić niczego innego.

– Jasne, jasne – powiedział Butters. – Ale czy on jest teraz bezpieczny?

– Jak na razie i na ile umiem to ocenić.

Butters kucnął w śniegu i popatrzył na mnie z góry. Drobny facet był jednym z nielicznych chicagowskich patologów, ekspertem medycyny sądowej, który analizował trupy i dowiadywał się wielu różnych szczegółów na ich temat. Przed kilku laty badał trupy wampirów, które zginęły w wywołanym przez kogoś wielkim pożarze. Stwierdził, że z całą pewnością nie byli ludźmi. W efekcie trafił na pół roku do psychiatryka. Od tej pory był bardzo ostrożny w życiu zawodowym – a w każdym razie tak było, kiedy jeszcze żyłem.

– Czy to naprawdę on? – spytał Butters.

Świetlista istota przyjrzała mi się niewidocznymi oczyma.

– Nie dostrzegam niczego, co wskazywałoby, że jest inaczej – powiedział ostrożnie.

– Przez co wcale nie mówię, że jest duchem Harry’ego. Ma w sobie... więcej czegoś niż inne duchy, które napotkałem.

Butters zmarszczył czoło.

– Więcej czego?

– Czegoś. To znaczy, że nie jestem pewien czego. Czegoś, w czym nie jestem ekspertem, to jasne.

– Ten, no, duch. Jest ranny?

– Całkiem poważnie. Ale łatwo to naprawić, jeśli tego sobie życzysz.

Butters zamrugnął w jego stronę.

– Co? Tak, tak, oczywiście, że sobie tego życzę.

– Dobrze, sahibie.

Istota wzniosła się w powietrze i krążyła, aż wydo była z nienależnych szczątków lemurów wszystkie unoszące się migotliwe klejnoty. Zebrała je w jedną masę i uklękła obok mojej nogi.

– Bob – powiedziałem cicho.

Bob Czaszka, niegdyś mój osobisty asystent i powiernik, zawahał się, kiedy zwróciłem się do niego po imieniu. Ponownie poczułem jego intensywne spojrzenie, ale jeśli coś zobaczył, nie było tego widać na jego pozbawionej rysów twarzy.

– Harry. Otwórz się. Musisz przywrócić te wspomnienia do swojej esencji.

– Przywrócić co?



– Zjedz je – polecił stanowczo Bob. – Otwórz usta.

Byłem zmęczony i zdezorientowany, a wypełnianie jego poleceń było prostsze. Zamknąłem oczy, kiedy wrzucił masę klejnotów do moich ust. Nie poczułem jednak twardości kamieni, tylko świeżą, chłodną wodę wpływającą w moje usta, omywającą mój wysuszony język i gardło, kiedy skwapliwie ją połykałem.

Ból natychmiast zniknął. Dezorientacja zaczęła ustępować. Po chwili podążyły za nimi mętlik w głowie i zmęczenie. Zaczerpnąłem tchu i usiadłem, a czułem się przy tym mniej więcej tak samo zdrowy na umyśle i w jednym kawałku, jak w chwili gdy obudziłem się tego wieczoru.

Bob podał mi rękę, a ja ją przyjąłem. Pociągnął mnie do góry, jakbym nic nie ważył.

– No – powiedział. – Przynajmniej nie robisz wrażenia kiepskiej kopii. Trochę się bałem, że będziesz jakimś obłąkanym niedoszłym Rycerzem Zimy z opaską na oku i kozią bródką albo coś w tym rodzaju.

– Yyy. Dziękuję?

– *De nada* – odparł Bob.

– Bob – odezwał się Butters stanowczym głosem. – Wypełniłeś swoje zadanie.

Bob Czaszka westchnął, odwrócił się i złożył Buttersowi skomplikowany ukłon, po czym znów rozpadł się na chmurę pomarańczowych iskier i poleciał z powrotem do reflektora. Wtedy zorientowałem się, że obudowa nie zawierała żarówek, baterii i innych tego rodzaju elementów – jedynie czaszkę Boba, artefakt z ludzkiej kości, dzieło dawno nieżyjącego czarodzieja, który stworzył ją jako schronienie dla esencji duchowej istoty.

– Ej, Bob – powiedziałem. – Mógłbyś przekazywać mój głos Buttersowi?

– Nie muszę, były szefie – odparł radośnie Bob. – Dzięki temu, że Butters ma o wiele większy talent do teorii magii niż ty.

Zmarszczyłem czoło.

– Że co?

– Och, nie ma ani odrobiny talentu magicznego – zapewnił mnie Bob. – Ale za to ma mózg, który, bądźmy szczerzy, nie zawsze był najbardziej istotną cechą twojej osoby.

– Bob. – W głosie Buttersa wyraźnie brzmiało upomnienie. Później sięgnął do kieszeni parki i wyjął małe stare radio. – Widzisz to? Poleciłem Bobowi, żeby przejrzał twoje notatki ze sprawy Koszmaru. Bob powiedział, że stworzyłeś radio, przez które mógł się komunikować. I tak...

Powstrzymałem się od uderzenia dłonią w głowę, ale z trudem.

– A przerobienie go na elektroniczną nianię nie było wielkim problemem. Potrzebowałeś tylko starego radia kryształkowego.

Butters słuchał, spoglądając w stronę radia. Pokiwał głową.

– Dziś rano wyjaśniłem Molly tę koncepcję, a ona złożyła całość w ciągu godziny. – Pomachał reflektorem zawierającym czaszkę Boba. – Widzę strachy w świetle duchowej postaci. Dlatego widzę cię i słyszę. Cześć!

Wpatrywałem się w chudego mężczyznę i nie wiedziałem, czy chcę się roześmiać, czy gwałtownie rozplakać.

– Butters... ty... ty sam to wszystko wymyśliłeś?

– No... nie. Miałem nauczyciela. – Znacząco zakolysał reflektorem.

– Auć. Zaraz się przez ciebie zrzygam – ostrzegł go Bob. – A nie spodoba ci się, kiedy się zrzygam.

– Cicho, Bob – powiedzieliśmy z Buttersem, tym samym tonem i w dokładnie tym samym momencie.

Odwróciliśmy się do siebie i przez chwilę na siebie patrzyliśmy. Butters być może w zaborczym geście bardziej przycisnął do siebie czaszkę.

– Nie powinieneś się tu kręcić, w okolicy jest zbyt wiele oficjalnych typów – powiedziałem.

– Właśnie o tym pomyślałem. Pójdiesz ze mną?

– Jasne. Yyy, dokąd?

– Do siedziby głównej – wyjaśnił Butters.

W drugiej kieszeni Buttersa rozległy się syk i pisk, dochodzące – jak się okazało – z krótkofalówki o długim zasięgu. Podniósł ją, spojrział na coś na niewielkim wyświetlaczu i powiedział:

– Tu Oczy.

– W jego dawnym mieszkaniu nic nie ma. – Zmęczony głos Murphy. – A co u ciebie, Oczy?

– Stoi obok i rozmawia ze mną – powiedział Butters, nie bez śladu dumy.

Pasowało mu to.

– Doskonała robota, Oczy. – W głosie Murphy zabrzmiało szczere zadowolenie. – Wysyłam wam parę cieni. Od razu go przyprowadź.

– Zrozumiałem. Bez odbioru. – Rozpromieniony Butters odłożył krótkofalówkę.

– Oczy? – spytałem go.

– To wszystko przez Daniela. Ciągłe wystawiali mnie na czaty, a on chciał wiedzieć, czemu gość z dwiema parami oczu stoi na czatach. I tak to zostało, jako

moje hasło wywoławcze.

– Tyle tylko że my mamy trzy pary oczu – wtrącił Bob Czaszka. – Próbowałem go namówić, żeby kupił mi okulary, a wtedy mielibyśmy cztery. Jak pająki.

Pokiwałem głową. Nagle wszystko stało się jasne.

– Nadal pracujesz w kostnicy.

Butters się uśmiechnął.

– Wielu ludzi słucha naszych transmisji. Murphy nie pozwoliłaby mi użyć mojego nazwiska.

– Murphy jest bystra.

– Niezwykłe – zgodził się Butters, kiwając głową.

– Dała ci Boba?

– Owszem. Skoro byłeś martwy i w ogóle. Wołała, żeby to się nie rozeszło.

– To mnie nie denerwuje – powiedziałem, choć trochę tak było. – Powierzyłem jej te rzeczy, żeby kierowała się swoim osądem sytuacji.

– O, właśnie, doskonała okazja do zmiany tematu. Skoro mowa o osądzie, lepiej chodź ze mną.

– Pewnie. – Dotrzymałem mu kroku. – Dokąd się udajemy?

– Do Batjaskinii. Siedziby głównej.

– Siedziby głównej czego?

Zamrugnął.

– Sojuszu, rzecz jasna. Sojuszu Chicagowskiego.

Uniosłem brwi.

– Jakiego Sojuszu Chicagowskiego?

– Tego, który on zorganizował, by chronić miasto przed Fomorami – odparł Butters.

– On? Fomory? Jaki on? Który on?

– Przykro mi, Harry. – Butters zagryzł wargę i spuścił wzrok. – Myślałem, że wiedziałeś... Marcone. Baron John Marcone.

## Rozdział siedemnasty

Znalazłem pistolet Stu na ziemi, w miejscu, w którym upuściłem go w czasie szarpaniny. Później poszedłem za Buttersem do jego samochodu – starego plymoutha road runnera. Właściwie wyglądał nawet gorzej niż mój stary volkswagen beetle, kiedy widziałem go po raz ostatni. Stałową karoserię pokrywały wgniecenia i zadrapania, niektóre z nich podejrzanie przypominały rysy, jakie mogłaby zostawić łapa z dwoma pazurami – ale silnik warczał imponującą, spokojną mocą. Na tablicy rejestracyjnej znajdował się napis MEEPMEEP.

– Można by powiedzieć, że stary oddałem w rozliczeniu – powiedział mi Butters, kiedy wsiadłem, przechodząc przez drzwi.

Ani jednym dźwiękiem nie zdradziłem, jak bardzo to było dla mnie nieprzyjemne. Nie przed Buttersem. Chciałem przy nim robić wrażenie upiornie opanowanego.

– Wymieniając go na innego staruszka – zauważyłem.

Mój głos wydobywał się z radia, które Butters umieścił w uchwycie przymocowanym do osłony przeciwsłonecznej.

– Wolę stal od włókna szklanego. Fomory i elfy są najwyraźniej spokrewnione. Żadne z nich nie lubi dotyku metalu, który zawiera żelazo.

Czaszka Boba spoczęła w specjalnym pojemniku, który został zamontowany na desce rozdzielczej road runnera – drewnianej ramie umieszczonej na podstawce, co sprawiało, że czaszka kołysała się jak figurka bobblehead.

– Często się krzyżowali – stwierdził Bob. – W dawnych, naprawdę dawnych czasach. Przed Wojnami Sidhe.

Uniosłem brwi.

– Niewiele o tym słyszałem.

– Całkowite wariactwo. – W głosie Boba brzmiał ogromny entuzjazm. – Jeszcze przed moimi czasami, ale słyszałem opowieści. Daoine Sidhe, Tuatha, Fomory. Tylwyth Tegh, Shenowie. Epickie sojusze, epickie zdrady, epickie bitwy, epickie wesela, epicki seks...

– Epicki seks? – wykrztusiłem. – Zgodnie z jakimi standardami można właściwie ocenić, że seks jest epicki?

– I całe mnóstwo śmiertelnych głupców takich jak ty w roli pionków. – Bob westchnął radośnie, ignorując moje pytanie. – Nie da się tego opisać. To było jakby *Władca pierścieni* i *Wszystkie moje dzieci* mieli dziecko z zapaśnikiem Macho Manem Randym Savagem i maszyną do gry Walnij Kreta.

Butters aż zacharczał, kiedy to sobie wyobraził.

Ale... bądźmy szczerzy. Na wszystkie dzwony piekiel, kto by tego nie zrobił?

– Tak czy inaczej – wykrztusił z trudem po chwili – Fomorzy mają w sobie sporo krwi faerie. Lubię, kiedy otacza mnie stal z Detroit, gdy prowadzę.

– Murphy wczoraj wieczorem wspomniała coś o Fomorach – stwierdziłem. – Zakładam, że wprowadziły się do naszego miasta.

Zastanawiał się przez chwilę.

– Jak cholera. Byłem ostatnio zajęty. – Odetchnął powoli. – Posłuchaj, stary. Czy to naprawdę ty?

– To, co ze mnie pozostało – odparłem zmęczonym głosem. – Tak.

Pokiwał głową.

– Yyy. Jest problem z Molly.

– Widziałem.

– Nic nie widziałeś. Owszem, Murphy ponoć powiedziała ci wczoraj, że Molly brakuje paru klepek, ale chodzi o coś więcej.

– Na przykład?

– Siedemnaścioro zamordowanych w ciągu ostatnich trzech miesięcy – odparł spokojnym tonem.

Przez kilka przecznic nic nie mówiłem. Wreszcie spytałem:

– Kto?

– Szumowiny – przyznał szczerze. – Głównie. Gliniarz, który być może gwałcił prostytutkę. Drobni przestępcy. Bandyti. Ona nawet nie próbuje się ukrywać. Całkiem poszła w Mrocznego Rycerza. Świadkowie na prawo i lewo donoszą o wysokiej kobiecie ubranej w kilka warstw starych, obszarpanych ubrań. Gazetom jakieś dwa tygodnie zajęło nazwanie jej Szmacianą Panią. Ludzie używają różnych wersji, żeby się zabawić, pokazać jej, że się jej nie boją, ale...

– W tym mieście ginie wielu ludzi. Co nie znaczy, że to robota Molly.

– Harry... – Butters zatrzymał się na światłach i spojrzał prosto na mnie. – Zbadałem dwanaście z ofiar. Każda została zabita w inny sposób, ale w usta każdej z nich wciśnięto oderwany kawałek materiału.

– I co z tego? – spytałem ostro.

– Sprawdziłem tkaninę. Taka sama jak to, co pozostało z ubrań, które miałeś na sobie w Chichén Itzá. Trafiły do magazynu jako dowody, kiedy prowadzono śledztwo na miejscu, gdzie... gdzie zostałeś zamordowany. Tyle tylko że ktoś się tam dostał, niezauważony ani przez ludzi, ani przez kamery, i je zabrał.

Mocno uderzyło mnie wspomnienie. Milczące kamienne zigguraty w mroku nocy. Syczenie i szmer nieludzkich głosów. Zatęchły, gadzi smród wampirów. Moja elfia matka chrestna (tak, mówię poważnie, mam taką, jest cholernie przerażająca) przeobraziła moje ubranie w pancerz, który tamtej nocy pewnie kilka razy ocalił mi życie, a ja nawet tego nie zauważyłem. Kiedy zmieniło się z powrotem w mój płaszcz, koszulę i dżinsy, pozostały z nich jedynie strzępy.

Prawie tak jak ze mnie.

Ktoś, kto miał spory problem z moją śmiercią, zabijał ludzi w moim mieście.

Czy to mogła być moja praktykantka?

Czuła coś do mnie, zdaniem właściwie każdej kobiety, którą znałem. Ja nie czułem nic do niej. Tak, była olśniewająca, inteligentna, bystra, odważna, życzliwa i kompetentna. Ale znałem ją w czasach, kiedy jej stanik był czystą formalnością, kiedy zacząłem współpracować z jej ojcem, jednym z nielicznych ludzi na świecie, których darzę szczerym szacunkiem.

W Molly była ciemność. Spojrzałem w jej duszę. Widziałem ją w więcej niż jednej z jej możliwych przyszłości. Czułem ją w czarnej magii, którą wpłynęła – z najlepszymi intencjami – na kruche śmiertelne umysły.

Ale choć w Chichén Itzá walczyła zaciekle u boku nas wszystkich... nie była zabójczynią. Nie Molly.

Naprawdę?

Właściwe wydarzenia, właściwe stawki mogą doprowadzić ludzi do skrajności. Ja oddałem przyszłość i duszę, kiedy musiałem to zrobić, żeby ocalić córkę.

A byłem nauczycielem Molly. Jej mentorem. Jej wzorcem.

Czy pozwoliła, żeby utrata mnie doprowadziła ją do skrajności, podobnie jak potencjalna utrata córki doprowadziła mnie? Czy odwróciła się od wszystkiego, czego próbowałem ją nauczyć, i pozwoliła sobie na brutalne używanie mocy?

A dlaczego nie miałyby tego zrobić, tępaku? Usłyszałem swój głos w ciemności własnych myśli. Pokazałeś jej, jak to działa. Zawsze była pilną uczennicą.

Co gorsza, Molly była wrażliwa, jej nadnaturalne zmysły były tak wyczulone, że fala potężnej magii albo uczucia towarzyszące sytuacjom, w których stawką było życie, wywoływały w niej psychiczny i fizyczny ból. Nawet o tym nie pomyślałem, kiedy

zaciągnąłem ją do Chichén Itzá i wpakowałem w największą, najbardziej brutalną i zabójczą awanturę, w jakiej brałem udział przez całe życie.

Czy ból uczestnictwa w bitwie zmienił coś w mojej praktykantce? Czy pozostawił trwałe ślady na umyśle, podobnie jak postrzał musiał pozostawić trwałą bliznę? Do diabła, nie trzeba było żadnych nadnaturalnych elementów, by wojna – a tym właśnie było Chichén Itzá, nie oszukujmy się – pomieszała w głowach młodym żołnierzom, którzy walczyli o przetrwanie. Dodajmy do tego jeszcze mistyczne zagrożenie i to, że dotarłem aż tak daleko, zachowując względnie zdrowe zmysły, zaczyna się wydawać niejakim cudem.

Nie chciałem się do tego przyznawać ani o tym myśleć, ale nie mogłem zaprzeczać możliwości, że moja praktykantka nie miała aż tyle szczęścia.

– Hej – odezwał się cicho Butters. – Harry? Wszystko w porządku?

– To... dość subiektywne w obecnej sytuacji.

Pokiwał głową.

– Nikt nie chciał być tym, kto zapozna cię ze wszystkimi szczegółami. Ale Murphy ma sporą pewność. Mówi, że gdyby wciąż pracowała jako gliniarz, byłaby przekonana i węszyłaby ze wszystkich sił, by znaleźć dość dowodów, które pozwoliłyby jej zamknąć sprawcę.

– Tak. Rozumiem, o co jej chodzi. – Przełknąłem ślinę. – Dlaczego tego nie zrobiła?

– Potrzebujemy Molly. To ona była różnicą między i żyli długo i szczęśliwie a wszyscy giną w czasie dwóch ataków na Fomory.

Przetarłem oczy.

– W porządku. To... coś, co zaczynam rozważać. Ale nie mówię, że w to wierzę. Najpierw muszę z nią porozmawiać. Zobaczyć na własne oczy jej reakcję.

– Jasne – powiedział łagodnie Butters.

Spojrzałem na niego z ukosa.

– Murphy pewnie by nie chciała, żebyś mi to mówił.

Wzruszył ramionami.

– Murphy czasami też nie jest do końca sobą. To, co robiła... Odcisnęło się na niej. Zachowuje się z coraz większą rezerwą.

– Mogę to sobie wyobrazić.

Butters pokiwał głową.

– Ale... ja zawsze ufałem swojemu instynktowi. I myślę, że powinienes o tym wiedzieć.

– Dzięki. Mamy też inne problemy.

Na zmęczonej, zmartwionej twarzy mężczyzny nagle pojawił się uśmiech.

– Oczywiście, że tak. Harry Dresden jest w mieście. Co to?

Wyjąłem z obszernej kieszeni płaszcza pistolet sir Stuarta.

– Armata. Ktoś mi ją dał.

– Hm. – Jego głos zaczął brzmieć bardziej swobodnie. – Czy coś takiego mogłoby mi zrobić krzywdę?

Uśmiechnąłem się i pokręciłem głową.

– Nie. Tylko między duchami. Zakładając, że w ogóle uda mi się ją zmusić do działania.

Śnieg przestał padać i Butters wyłączył wycieraczki.

– Jakie to jest?

– Jakie co jest?

– Bycie... no wiesz.

– Martwym?

Wzruszył ramieniem, zdradzając dyskomfort.

– Duchem.

Przez chwilę zastanawiałem się nad odpowiedzią.

– Wszystko w moim ciele, co kiedyś przez cały czas bolało, przestało. Nie czuję się głodny ani spragniony. Poza tym przypomina to bycie żywym, ale... moja magia zniknęła. I, no wiesz, prawie nikt mnie nie widzi ani nie słyszy.

– Czyli... czyli świat jest taki sam?

Zadrżałem.

– Nie, jest wypełniony aż po brzegi wszelkiego rodzaju dziwnymi rzeczami. Nie uwierzyłbyś, ile duchów kręci się po okolicy.

Odwróciłem głowę, by spojrzeć na dwa upiory prześlizgujące się po chodniku, które samochód właśnie mijał. Zmarszczyłem czoło.

– W tym jeden twój, Bob.

Bob Czaszka parsknął.

– Nie jestem śmiertelny. Nie mam duszy. Jedynym, co mnie czeka, kiedy przestanę istnieć, jest entropia. Nie mogę pozostawić ducha.

– W takim razie jak to możliwe, że widziałem unoszącą się w powietrzu czaszkę, z niebieskimi światełkami zamiast oczu, która poprzedniej nocy pomagała w ataku na dom Morta Lindquista?

Czaszka przez jakiś czas po prostu się gapiła. Później Bob zasugerował nieprzekonująco:



– Byłeś na hajcu?

Parsknąłem.

– W okolicy raczej nie ma zbyt wielu takich rzeczy. Co wiesz?

– Muszę się zastanowić – powiedział szybko Bob i jego pomarańczowe światła zgasły.

Wraz z Buttersem gapiliśmy się na czaszkę.

– Hm – mruknął Butters. – Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby ktoś tak skutecznie go uciszył.

Chrząknąłem i dodałem cicho:

– To mnie piekielnie przeraziło. Myślałem, że coś mu się stało.

– Nic mu nie jest. Najlepszy współlokator, jakiego w życiu miałem.

– Cieszę się, że się nim opiekujesz. Nie radzi sobie dobrze, kiedy jest sam.

– To nie jest wielki problem, prawda?

– Co nie jest wielkim problemem?

– Jeśli w okolicy krąży Zły Bob. To znaczy... on pewnie jest takim samym nerdem jak ten tutaj, prawda? Tylko w czarnym kapeluszu?

Pomarańczowe światełka znów zapłonęły.

– Hej! – powiedział Bob.

– Butters... Bob jest bardzo silny – powiedziałem cicho. – Wiedza to moc, stary. Bob ma jej mnóstwo. Kiedy parę lat temu przypadkiem przełączyłem go w tryb czarnego kapelusza, prawie mnie zabił przed upływem sześćdziesięciu sekund.

Butters zamrugał kilka razy. Przez kilka sekund próbował się odezwać, przełknął ślinę, a później powiedział cichutko:

– Och.

Spojrzał z ukosa na Boba.

– Nie lubię robić z tego wielkiej afery, sahibie – powiedział swobodnie Bob. – Robienie takich rzeczy i tak mnie nie kręci.

Pokiwałem głową.

– Został stworzony jako asystent i doradca. Traktowanie go jak cokolwiek innego byłoby nieprofesjonalne.

– Czego sahib nie robi – zauważył Bob. – Dzięki całkowitej ignorancji, ale tak właśnie jest.

– Och – powtórzył Butters, po czym spytał: – Jak mam się... upewnić, że nie przełączę go w tryb czarnego kapelusza?

– Nie możesz tego zrobić – odparł Bob. – Harry polecił mi zapomnieć o tej części

mnie i nigdy więcej jej nie wydobywać. Dlatego ją odciąłem.

Tym razem to ja zamrugalem.

– Co zrobiłeś?

– Hej, kazales mi nigdy więcej jej nie wydobywać. Powiedziales „nigdy”. Póki bylem z toba, nie bylby to problem... ale kolejny gość mógłby mi rozkazac, bym to zrobil, i tak by sie stalo. Dlatego dopilnowalem, by cos takiego nie moglo sie juz więcej powtorzyc. Nic wielkiego, Dresdenie. Aj waj, ty sie czasem zachowujesz jak mala dziewczynka.

Zamrugalem.

– Aj waj?

– Matka dzwoni do mnie dwa razy w tygodniu – wyjasnil Butters. – On sie przysluchuje.

– Wiesz, ona ma racje, sahibie – powiedzial Bob pogodnie. – Gdybys tylko zrobil cos z włosami i zaczal nosic ladniejsze ubrania, znalazlbyś kobiete. W koncu jesteś lekarzem. A jaka kobieta nie chce poslubic lekarza?

– Czy on wlasnie zaczal mowic ze sladem zydowskiego akcentu? – spytalem Buttersa.

– Mam to dwa razy w tygodniu, Bob – warknal Butters. – Od ciebie juz nie potrzebuje.

– Od kogos musisz – powiedzial Bob. – Popatrz tylko na swoje włosy.

Butters zazgrzytal zebami.

– Tak czy inaczej, Harry... – zaczal mowic Bob.

– Wiem. Istota, ktora zobaczylem z Szarym Widmem, musiala byc czescia, ktora odciales.

– Racja. Trafileś w sedno.

– Można by powiedziec, ze to twój potomek.

Czaszka zadrzala, co sprawilo, ze zakolysala sie jeszcze bardziej.

– Jeśli ktoś podchodzilby do tego z obłakanczo ograniczonego ludzkiego punktu widzenia, pewnie tak.

– Czyli to czesc ciebie, ale nie caly ty. Jest mniej potezna.

Bob zmruzył swiatełka w zamyśleniu.

– Może, ale... calosc kazdej istoty nie zawsze jest suma jej czesci. Na przyklad ty. Nie masz zbyt wielkiej mocy w aspekcie mózgownicy, a jednak docierasz do sedna spraw szybciej niz wiekszosc.

Poslalem czaszce beznamiętne spojrzenie.

– Jest silniejszy od ciebie czy nie?

– Nie wiem. Nie wiem, co on wie. Nie wiem, co może zrobić. O to właśnie chodziło w odcięciu go. W jego miejscu jest wielka dziura.

Chrząknąłem.

– Jak wielka?

Bob przewrócił oczami.

– Wolisz archaiczne jednostki miar czy system metryczny?

– Podaj ocenę z grubsza.

– Hm. Jakieś sto lat wiedzy. Może.

– A niech to diabli.

Wiedziałem, że Bob należał kiedyś do nekromanty imieniem Kemmler. Kemmler prowadził otwartą wojnę przeciwko Białej Radzie. Dwa razy. W ciągu obu wojen zabili go siedem razy, ale dopiero za siódmym się przyjęło. Ogólnie pamiętany jako najpotężniejszy mag renegat drugiego tysiąclecia w którymś momencie nabył czaszkę zamieszkaną przez ducha intelektu, który służył mu jako asystent.

W końcu, kiedy Kemmler został ostatecznie pokonany, czaszka została wykradziona przez Strażnika imieniem Justin DuMorne – tego samego Justina, który mnie adoptował i szkolił, bym wyrósł na potwora, i który w końcu uznał, że nie byłem dość uległy, i spróbował mnie zabić. Nie poszło tak, jak to zaplanował. Zamiast tego to ja jego zabiłem i spaliłem dom nad jego dymiącym trupem. I zabrałem tę samą czaszkę, ukryłem ją przed Strażnikami i całą resztą towarzystwa, i nazwałem Bob.

– Źle jest? – spytał Butters.

– Przez jakiś czas czaszka należała do złego gościa. Poważna czarna magia. Dlatego wspomnienia, które utracił Bob, to pewnie wszystko, czego się nauczył, kiedy służył jako asystent faceta, który z niemal całkowitą pewnością był najsilniejszym magiem na tej planecie... dość potężnym, by przez dziesięciolecia otwarcie przeciwstawiać się Białej Radzie.

– To znaczy... dużo się tam nauczył – stwierdził Butters.

– Pewnie tak – potwierdził radośnie Bob. – Ale najprawdopodobniej jest to ograniczone do niszczycielskich, trujących, niebezpiecznych rzeczy. Nic ważnego.

– To nie jest ważne? – pisał Butters.

– Niszczenie rzeczy jest łatwe. Do diabła, tak naprawdę, żeby coś zniszczyć, wystarczy poczekać. Z kolei tworzenie, o, to jest trudne.

– Bob, byłbyś gotów stawić czoło Złemu Bobowi?

Bob rzucił mi niepewne spojrzenie.

– Ja... wolałbym nie. Naprawdę, naprawdę wolałbym nie. Nie masz pojęcia. Tamten ja był szalony. I napakowany. Ćwiczył.

Westchnąłem.

– W takim razie to kolejny powód do zmartwień. A tymczasem ja wciąż nie wiem, kto mnie zabił.

Butters zatrzymał road runnera i zaciągnął hamulec.

– Ty nie. Ale my tak. Jesteśmy na miejscu. Chodź.

# Rozdział osiemnasty

Zacisnąłem zęby i wysiadłem z samochodu Buttersa, po czym rozejrzałem się po okolicy. Wokół leżała gruba warstwa śniegu, a zasy po obu stronach ulicy przypominały olbrzymie wersje śniegowych umocnień, które co roku pojawiały się na podwórku Carpenterów. Zmieniały zarys wszystkiego – ale coś wciąż wyglądało znajomo.

Zatrzymałem się i poświęciłem co najmniej pół minuty, żeby powoli obrócić się dookoła. Wówczas zauważyłem dwie oddalające się sylwetki, poruszające się swobodnie po śniegu – wilki. Uwaga Murphy, że przyśle nam cienie jako eskortę, w tym kontekście nabrała więcej sensu. Patrzyłem, jak jeden z wilków znika w ciemności między parą na wpół znajomych świerków, i dopiero wtedy rozpoznałem, gdzie się znaleźliśmy. Do tej pory Butters zdążył już wyjąć Boba z uchwytu w samochodzie i znów niósł go w obudowie z przenośnego reflektora. Świecił przez chwilę dookoła, aż mnie zauważył.

– Harry? – spytał.

– To mój dom – odpowiedziałem po chwili. – To znaczy... miejsce, gdzie kiedyś był mój dom.

Dużo się zmieniło.

Na miejscu starego pensjonatu – mojego domu – wzniesiono nowy budynek. Miał trzy piętra wysokości i dziwnie przypominał kostkę. Ściany wychodziły jeszcze dalej na trawnik niż te starego pensjonatu, pozostawiając podwórko niewiele szersze niż odległość, jaką mogłem pokonać jednym krokiem.

Podszedłem na tyle blisko, by dotknąć ściany, i wcisnąłem dłoń do środka. Bolało, ale uczucie nie zmieniało siły w miarę, jak sięgałem coraz głębiej. To nie była fasada. Budowlę wzniesiono z kamienia. Nie żartuję. Cholernego kamienia. Może bazaltu? Nie jestem kamieniarzem. Był ciemnoszary, przecinany zielonymi i srebrnymi żyłkami, widocznymi jedynie z bliska.

Okna były wąskie – najwyżej dwadzieścia centymetrów szerokości – i głębokie. Z zewnątrz chroniły je kraty, podobnie od wewnątrz, a dzieliło je co najmniej trzydzieści centymetrów. Na skraju dachu w regularnych odległościach wznosiły się

bloki – porządne, uczciwe blanki. Jakby tego było mało, na rogach i w połowie każdej ściany siedziały gargulce, poczynając od pierwszego piętra, a każda kolejna z trzech rzeźb była coraz brzydsza.

Ktoś zmienił ruiny mojego domu w przeklętą fortecę.

Nad czymś, co musiało być głównym wejściem, wisiała tabliczka głosząca po prostu: TOWARZYSTWO LEPSZEJ PRZYSZŁOŚCI.

Butters podążył za moim spojrzeniem w stronę tabliczki.

– Ach. Tak. Nadaliśmy mu taką nazwę, bo gdybyśmy nic nie zrobili, to miasto nie miałooby przyszłości.

– Na wszystkie dzwony piekieł.

Policzyłem w głowie. By wybudować coś takiego na ruinach pensjonatu, prace musiały się zacząć właściwie w dniu mojej śmierci. Prawdziwy kamień jest drogim materiałem budowlanym, ponieważ jest kłopotliwy i czasochłonny w obróbce. Ta budowla miała wielkość małego zamku. Jej wzniesienie powinno zająć całe miesiące. Powstała w ciągu pół roku. Pewnie znacznie szybciej, biorąc pod uwagę pogodę.

– To cholera kosztowało majątek.

– E tam. – Butters podszedł do drzwi. – Jeśli trochę pokręcisz się po okolicy, zaczniesz je traktować jako coś oczywistego, podobnie jak wszyscy pozostali.

Wystukał ciąg cyfr na klawiaturze obok drzwi. Klawisze wydawały mechaniczny odgłos kojarzący mi się z maszyną do pisania. Butters schował ręce do kieszeni i czekał.

Po chwili z trzeszczącego głośnika dobiegł basowy głos, mówiący z silnym akcentem.

– Kto tam?

– Butters. Z cieniem Dresdena. Cześć, Sven.

W głośniku rozległo się dudnienie.

– Waldo – powiedział, wymawiając je z wyraźnym „w” na początku. – Noc jest niebezpieczna. Pewnego dnia wpadniesz na lisa, a on cię pożre.

Z głośnika dobiegł głośny śmiech – najwyraźniej strażnikowi towarzyszyli inni.

Butters się nie roześmiał, ale na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

– Utknę mu w gardle, aż zawleczesz do niego swój tyłek morsa i mnie uratujesz, Sven.

Z głośnika dobiegł głośniejszy śmiech, a ktoś prawie się nim dławiający powiedział coś w języku, który z całą pewnością pochodził z północnej Europy. Rozległ się trzask i Butters otworzył drzwi. Ruszyłem za nim – i w ostatniej chwili przypomniałem

sobie, by najpierw wyciągnąć rękę i sprawdzić otwór drzwiowy. Moja dłoń przeszła swobodnie pierwsze trzydzieści centymetrów, ale w miejscu, w którym wejście przechodziło w hol, natrafiła na coś twardego jak ściana z cegieł.

– Yyy, Butters – powiedziałem.

Uderzył się dłonią w czoło.

– Jasne, przepraszam. Proszę, wejdź do środka.

Niewidzialny mur zniknął, a ja pokręciłem głową.

– Ma próg. Mieszkają tu ludzie?

– Cała gromada – potwierdził Butters i weszliśmy do środka. – Wielu z Paranetu zatrzymuje się tu na chwilę, jeśli nie mają bezpiecznego schronienia. Goście, którzy przejeżdżają przez miasto. Venatori, kiedy się z nami spotykają. Takie tam.

Poczułem budzący się we mnie gniew, irracjonalny, ale przez to wcale nie mniej prawdziwy.

– Mój dom... jest nadnaturalnym przytułkiem?

– I zbrojownią! I więzieniem! – wykrzyknął entuzjastycznie Bob.

Duchy potrafią zagotować się z oburzenia.

– Więzieniem?

– I przedszkolem! – mówił dalej Bob.

Zatrzymałem się gwałtownie i zamachałem rękami.

– Przedszkolem? Przedszkolem?!

– Ludzie mają dzieci, stary. I mają pracę – powiedział łagodnie Butters. – Fomory nie mają nic przeciwko wykorzystaniu dzieci, by dostać to, czego pragną. Zagrożone dzieci przychodzą tu w dni robocze. Zamknij się, Bob. A ty, Harry, spuść z tonu. To miejsce jest potrzebne.

Przeniosłem spojrzenie na Buttersa i wpatrywałem się w niego przez minutę. Drobnego gościa przeszedł daleką drogę od nieco nieśmiałego, niepewnego siebie mężczyzny, którego poznałem przed laty. Tamten Butters nigdy by mi nie powiedział czegoś takiego.

A może to był ten sam gość? Butters dawał z siebie wszystko w imię prawdy, nawet jeśli zapłacił za to utratą pracy i pobytem w psychiatryku. Miał swoje zasady.

I pewnie miał rację. To już nie był mój dom.

Przeszliśmy przez kontrolę bezpieczeństwa i minęliśmy strażnicę. Stacjonowało tam czterech największych i najtwardszych gości, jakich widziałem w życiu. Nosili skórzane kurtki motocyklowe – i miecze. Pod ich skórą wyraźnie rysowały się mięśnie, brody się jeżyły, a spojrzenia jednolicie białych oczu odprowadzały nas ze

spokojną uwagą.

– Einherjaren – powiedział cicho Butters. – Żołnierze Walhalli, jeśli mówią prawdę.

– Mówią – odparłem równie cicho. – Skąd ich mamy?

– Marcone. Nie są tani.

– Znowu on.

Butters wzruszył ramionami.

– Ja też nie lubię faceta, Harry. Ale jest dość bystry, żeby uświadomić sobie, że jeśli Fomory zapanują nad ulicami, w swoim czasie pozbędą się i jego.

– To zbyt proste. Zbyt łatwe. W coś z wami gra.

Przeszliśmy przez kolejne drzwi i wspięliśmy po schodach na pierwsze piętro.

Zajmowała je jedna ogromna sala niemal pozbawiona ścian działowych. Była tam niewielka siłownia, łącznie z natryskami i ringiem. Na ringu stała Murphy w swoim codziennym stroju, a naprzeciwko niej mężczyzna, który z pewnością odziedziczył część DNA po nosorożcu – i to przed niezbyt wieloma pokoleniami. Był potężny i muskularny, ciemne włosy i brodę splótł w długie warkocze. Miał na sobie jedynie parę starych dżinsów, a górną połowę jego ciała również porastały ciemne włosy.

(Nie jak u wilkołaka czy cyrkowego dziwołaga. Po prostu górny kraniec krzywej dzwonowej owłosienia. Prawdziwa kula futra).

Butters stanął w miejscu i czekał.

Murphy przez kilka chwil wpatrywała się spokojnie w potężnego mężczyznę, ciało miała rozluźnione, ale spojrzenie czujne. On odpowiadał podobnym beznamietnym spojrzeniem. I nagle oboje się poruszyli.

Nie umiałem ocenić, kto był pierwszy, ale pięść Murphy skierowała się w stronę krocza potężnego gościa. Przekreślił biodro, odbijając cios, a kiedy odzyskał równowagę, kopnął Murphy z półobrotu, trafiając ją w brodę. Poleciała do tyłu i upadła na ziemię.

Kula Futra nie zawahał się nawet na sekundę. Mężczyzna ruszył w jej stronę, szybko jak na kogoś tak masywnego, i opuścił stopę na jej głowę.

Murphy przetoczyła się i uniknęła ciosu, ale on się nie zatrzymywał i musiała przetaczać się dalej, by utrzymać się z dala od jego potężnych nóg. Uderzyła w skraj ringu, odbiła się i skierowała w stronę mężczyzny.

Uchyliła się przed kolejnym ciosem, złapała jego kolano obiema nogami, przekreśliła całe ciało i obaliła mężczyznę na ziemię. Kula Futra padł jak drzewo, wielkie i powolne. Liny ringu zadrżały, kiedy na nich wylądował.

Murphy podniosła się na czworaki, odsunęła trochę na bok i machnęła stopą



w stronę głowy Kuli Futra. Mężczyzna uchylił się, ale jej kopnięcie zmieniło kierunek, noga uniosła się i opadła gwałtownie, a pięta uderzyła jak topór w dłoń, na której Kula Futra podpierał swój ciężar. Rozległ się trzask pękających kości.

Kula Futra zawył, podniósł się z trudem i zaczął gorączkowo zadawać ciosy. Murphy uchylała się i unikała jednego po drugim, a w pewnej chwili odwróciła się gwałtownie i wbiła piętę w spłot słoneczny Kuli Futra.

Uderzenie sprawiło, że mężczyzna zatoczył się o krok do tyłu, ale Murphy poszła za ciosem zbyt blisko, zbyt lekkomyślnie. Kula Futra niemal od razu odzyskał równowagę, sparował cios i złapał kobietę za ramię. Odwrócił się i rzucił nią, jedną ręką, ponad najwyższą liną ringu. Murphy uderzyła o pobliską ścianę, krzyknęła i osunęła się na podłogę.

– On jest martwy – warknąłem, zaciskając pięści.

Zrobiłem trzy albo cztery kroki, zanim zorientowałem się, że nie uda mi się uderzyć gościa. Ani go wysadzić. Ani wysłać na wakacje do innej rzeczywistości.

Do diabła, nie mogłem nawet się do niego podkraść i krzyknąć „Łuu!”.

– Harry, zaczekaj – syknął Butters. – Nic się nie stało.

Murphy powoli podniosła się z podłogi. Kiedy to zrobiła, olbrzym Kula Futra podszedł do skraju ringu, podtrzymując prawą dłoń lewą. Murphy otrzepała ubranie i odwróciła się w jego stronę. Jej niebieskie oczy były spokojne i chłodne, na wargach malował się uśmiech. Zęby miała białe, a na dolnej wardze, pękniętej od ciosu, kołysała się kropla czerwonej krwi. Murphy otarła ją rękawem, nie odrywając spojrzenia od Kuli Futra.

– Trzy? – spytała.

– Złamałaś wszystkie cztery. – Lekko poruszył dłonią, by to zademonstrować. – Wyeliminowałaś tę rękę, którą lepiej posługuję się mieczem. Dobrze. Gdybyś nie próbowała mnie od razu dobić, może wygrałabyś w tej rundzie.

Murphy prychnęła.

– Pięś zepsuty miód, Skaldi Skjeldsonie.

Te słowa sprawiły, że Kula Futra się uśmiechnął.

– Jutro miecze?

Murphy pokiwała głową. Patrzyli na siebie przez moment, jakby oboje spodziewali się, że to drugie ruszy do ataku w chwili, kiedy odwrócą się do siebie plecami. Później, bez żadnego widocznego znaku, znów jednocześnie pokiwali głowami, odwrócili się i rozluźnili.

– Butters – zadudnił Skaldi Kula Futra. Jeśli rzeczywiście połamał palce, nie

wyglądał, jakby mu to przeszkadzało. – A kiedy ty zamierzasz wejść na ring i zacząć się szkolić jak prawdziwy mężczyzna?

– Jakies pięć minut po tym, jak dostanę działający miecz świetlny – odparł swobodnie Butters, co wyraźnie rozbawiło Kulę Futra. Patolog odwrócił się do Murphy: – Możemy porozmawiać w sali konferencyjnej?

– Pewnie.

Przeszła obok ringu i zrobiła zółwika ze Skaldim (ale lewą pięścią). Później wyprowadziła mnie i Buttersa z siłowni i poprowadziła kolejnym korytarzem do długiej, wąskiej sali konferencyjnej. Zamknęła za nami drzwi, a Butters postawił na stole reflektor z Bobem. Światła jego oczu znów zapłonęły i widziałem wyraźną reakcję Murphy, kiedy to światło ukazało moją obecność.

Patrząc na mnie, zeszywniała lekko, a w jej oczach pojawiły się nagle zmęczenie i ból. Odetchnęła głęboko przez nos i na chwilę zamknęła oczy. Później ostrożnie zdjęła kurtkę i powiedziała:

– Cześć, Harry.

Butters postawił radio na stole, a ja odpowiedziałem:

– Cześć, Murph.

Pod kurtką miała cienkie, lekkie ochraniacze – widziałem je raz u kaskaderów, kiedy zajmowałem się zleceniem, które przyjąłem niedługo po rozpoczęciu działalności. Czyli jej trening pełnokontaktowy nie był aż tak brutalny, jak się wydawało. Z pewnością była posiniaczona, ale uderzenie o ścianę nie mogło raczej złamać jej kręgosłupa. Czaszkę być może, ale nie kręgosłup.

– Nic ci nie jest?

Poruszyła ramieniem, a na jej twarzy malował się dyskomfort.

– Nic nie będzie.

– Taki wielki gość rzuca się na ciebie bez trzymanki – warknąłem. – Ktoś powinien dać mu w mordę.

Jej oczy migotały, kiedy patrzyła na mnie ostro.

– Dresdenie... a kiedy tak naprawdę będę miała okazję walczyć z kimś moich rozmiarów i równie silnym?

– No tak.

– Jeśli człowiek chce uprawiać zapasy z wrogimi łosicami...

– Klepami – poprawił z roztargnieniem Butters. – Samica to klepa.

– Gorylicami – mówiła dalej Murphy, właściwie nie wybita z rytmu – to najlepszym sposobem szkolenia są zapasy z odrobinę mniej wrogimi gorylicami. Skaldi waży

dziewięćdziesiąt kilo więcej ode mnie, ma ponad pół metra wzrostu więcej i prawie dwa milenium...

– Milenia – wtrącił Butters. – Milenium to liczba pojedyncza.

Murphy prychnęła przez nos.

– Milenia doświadczenia w łamaniu kręgosłupów irytującym doktorkom z irytującymi fetyszami poprawności językowej.

Butters wyszczerzył zęby.

– Nie pokonam go, Harry. Nigdy. Nie o to chodzi. – Odwróciła wzrok i zaczęła mówić ciszej. – Chodzi o to, że świat nie robi się lepszy. A dziewczyna musi umieć zadbać o siebie.

Wyraz jej twarzy? Bolał. Słowa, które mu towarzyszyły, były jak nóż obierający kolejne warstwy skóry. Nic nie powiedziałem. Nie pokazałem tego po sobie. Murphy byłaby obrażona, gdybym zasugerował, że potrzebowała mojej ochrony, a gdyby uznała, że czułem się winny, nie mogąc jej chronić i jej pomagać, po prostu by się wściekła.

Nie zrozumcie mnie źle. Nie uważałem Murphy za księżniczkę na szczycie wieży. Ale w ostatecznym rozliczeniu była tylko jednym człowiekiem, rzucającym wyzwanie mocom, które potraktowałyby ją z taką samą obojętnością, jak fala tsunami, wybuch wulkanu albo trzęsienie ziemi. Życie jest cenne, kruche i krótkie – a życie Murphy było jednym z moich ulubionych.

– Dobra, Harry – powiedziała Murphy. – Od czego zaczynamy?

Czułem się niezręcznie, stojąc, gdy ona i Butters siedzieli przy stole, ale przecież nie mogłem przyciągnąć sobie krzesła.

– No tak. Może zaczniemy od tego, co wiesz o tym... jak zostałem zastrzelony.

Pokiwała głową i zrobiła minę gliniarza – wyraz jej twarzy był profesjonalnie spokojny, obojętny, analityczny.

– Oficjalnie mówiąc, nie mamy wiele. Przyszłam po ciebie i znalazłam krew oraz ślad po jednym pocisku. Zbyt mało, by stwierdzić, że doszło do morderstwa. Ponieważ... ponieważ znajdowałeś się na łodzi, która się poruszała, nie dało się ocenić, skąd dokładnie wystrzelono pocisk. Pewnie z pobliskiego dachu. Ponieważ kula najwyraźniej zaczęła koziołkować, przechodząc przez twoje ciało, pozostawiła asymetryczne otwory w ścianach łodzi. Ale technicy kryminaliści sądzą, że to było coś pomiędzy nabojem kaliber .223 do karabinka automatycznego a .338 magnum, przy czym bardziej prawdopodobne jest to drugie.

– Karabiny nigdy mnie nie kręciły. Co to znaczy?

– Snajperka albo broń myśliwska – wyjaśnił Butters. – Niekoniecznie wojskowa. Jest mnóstwo modeli cywilnych, które wykorzystują takie naboje.

– Pocisku nie znaleźliśmy. – Murphy odetchnęła głęboko. – Ani ciała.

Zauważyłem, że Murph i Butters wpatrują się we mnie uważnie.

– Yyy. Ja... tak jakby przeszedłem przez ten cały tunel światła... co skądinąd jest stekiem bzdur. – Powstrzymałem się przed wspomnieniem o ojcu Murphy. – Zostałem, no, odesłany, żeby rozwiązać zagadkę morderstwa. Co... tak jakby sugeruje śmierć. I powiedzieli, że moje ciało jest niedostępne, więc...

Murphy spuściła wzrok i pokiwała głową.

– Hm. – Butters zmarszczył czoło. – Dlaczego cię odesłali?

Wzruszyłem ramionami.

– Powiedzieli, że to, co jest później, nie jest dla tych, którzy psioczą albo oglądają się za siebie.

Murphy prychnęła.

– Brzmi jak coś, co mógłby powiedzieć mój ojciec.

– Aha – mruknąłem. – Hm.

Butters uniósł brew. Spojrzenie jego ciemnych oczu przenosiło się między mną a Murphy, a na twarzy malowało się zamyślenie.

– Tak czy inaczej, to wiesz oficjalnie, tak? Czyli... co jeszcze wiesz?

– Wiem, że to nie był Marcone – stwierdziła Murphy. – Wszyscy jego załatwiacze mają potwierdzone alibi. Podobnie jak on sam, Gard i Hendricks. Wiem, z którego budynku prawdopodobnie strzelano, i nie było to proste.

– Ponad czterysta metrów – dodał Butters. – Co znaczy, że był to najprawdopodobniej zawodowy strzelec.

– Istnieją amatorzy, którzy strzelają równie dobrze – sprzeciwiła się Murphy.

– Ale z zasady nie robią tego z budynku i do innych Amerykanów – odparł Butters.

– Posłuchaj, jeśli założymy, że to amator, mógłby to być ktokolwiek. Ale jeśli założymy, że zrobił to zawodowiec, co i tak jest bardziej prawdopodobne, daje nam to wskazówkę co do jego tożsamości, a to może nas doprowadzić do osoby, dla której ten ktoś pracuje.

– Nawet jeśli tak założymy, nie mam już dostępu do tylu informacji, co kiedyś. Musielibyśmy przejrzeć nagrania wideo TSA, telewizji przemysłowej... mnóstwa rzeczy, których nie mogę już zdobyć.

– Twój szwagier mógłby – zaproponowałem. – Dick mógłby.

– Richard – poprawiła mnie. – Nie znosi tego przezwiska.

– Jaki Dick? – Butters popatrywał na nas.

– Jej szwagier – wyjaśniłem w tej samej chwili, w której ona powiedziała:

– Mój były mąż.

Butters uniósł brew jeszcze wyżej i pokręcił głową.

– Stary. Katolicy.

Murphy przeszła go spojrzeniem.

– Richard postępuje zgodnie z zasadami. Nie pomoże cywilowi.

– Daj spokój, Murph. Byliście małżeństwem. Musisz mieć na niego jakiegoś haka.

Pokręciła głową.

– Bycie dupkiem nie jest przestępstwem, Harry. Gdyby było, dostałby dożywocie.

Butters potrząsnął głową.

– Moglibyśmy poprosić...

– Nie – odezwałem się dokładnie w tej samej chwili, co Murphy, i dalej mówiliśmy jedno przez drugie.

– Dzień, kiedy poproszę tego sukinsyna o pomoc, będzie dniem, kiedy...

– ...jak słyszałeś ode mnie, wiele razy, może i jest rozsądny, ale to nie znaczy, że jest...

– ...mordercą, handlarzem narkotyków i alfonsem, a to, że skorumpowane władze Chicago nie mogą go zamknąć, nie znaczy...

– ...że jesteś mądrzejszy – dokończyła Murphy.

Butters uniósł dłonie.

– Dobrze, już dobrze. Zrozumiałem przy „nie”. Nie pójdziemy po pomoc do Marcone’a. – Przerwał i rozejrzał się po sali, jakby zobaczył ją po raz pierwszy. – Ponieważ to byłoby... bez precedensu.

– Wally. – Murphy uniosła groźnie brew.

Znów podniósł rękę.

– Poddaję się. Nie rozumiem twojego rozumowania, ale w porządku.

– Myślisz, że Marcone za tym stoi, Harry? – spytała Murphy.

Wzruszyłem ramionami.

– Kiedy widziałem go po raz ostatni, powiedział, że nie musi mnie zabijać. Że dam się zabić bez żadnej pomocy z jego strony.

Murphy zrobiła ponurą minę. Zaboląła ją od tego wargą i skrzywiła się, unosząc dłoń. Grymas najwyraźniej pogorszył sytuację, bo pojawiła się świeża krew.

– A niech to. Dobrze. Można to zinterpretować na parę różnych sposobów, prawda?

– Na przykład?

Murphy popatrzyła na mnie.

– Na przykład może Marcone wiedział, że coś już się dzieje, i dlatego powiedział, że nie musi cię zabijać. Nie on to zrobił, ale wciąż było to coś, o czym wiedział.

Chrząknąłem. Marcone traktował Chicago jak własny prywatny klub. Miał całe legiony pracowników, sojuszników i przydupasów. Jego wiedza na temat tego, co działo się w mieście, nie była nadnaturalna, ale dużo lepsza. Był rozsądny, inteligentny i lepiej przygotowany na sytuacje kryzysowe niż ktokolwiek, kogo znałem. Gdyby skauci mieli swój odpowiednik wśród Sithów, byłby nim Marcone.

Jeśli czyjś specjalista od mokrej roboty przybył do miasta, Marcone najpewniej się o tym dowiedział. Niewiele uchodziło uwagi jego samego i jego podziemnej sieci.

– A niech to diabli. – Murphy najwyraźniej doszła do tych samych wniosków, co ja. – Teraz muszę porozmawiać z tą szumowiną. – Wyciągnęła notatnik i coś w nim naskrobała. – Butters, powiedziałeś, że dom Lindquista spłonął?

– Całkowicie.

Pokiwałem głową.

– Według duchów kręcących się wokół pojawiło się Szare Widmo... nie opowiadałem wam o Szarym Widmie, prawda?

– Pan Lindquist przedstawił nam sytuację po strzelaninie.

– A, racja. W każdym razie pokazało się z kilkoma śmiertelnikami i go porwali. Musimy go odzyskać.

Murphy pokiwała głową, nie przerywając pisania.

– Co się stanie, jeśli tego nie zrobimy?

– Banda duchów w typie seryjnego zabójcy zacznie krążyć po Chicago, szukając rozrywki. Takie duchy umieją się objawić... uczynić się prawie materialnymi, Murph. Jak Koszmar. Ludziom stanie się krzywda. Wielu ludziom.

Murphy zacisnęła wargi w wąską kreskę. Zrobiła notatkę.

– Za chwilę zajmiemy się selekcją. Coś jeszcze?

– Znalazłem gang, który wczoraj w nocy napadł na twój dom.

Grafit ołówka Murphy, przyciśnięty do notesu, pękł z trzaskiem. Podniosła na mnie wzrok, a jej spojrzenie było zimne, lodowate. Odezwała się bardzo cicho.

– Ach tak?

– Aha. – Wahalem się przez chwilę, rozważając, co powiedzieć. Złość Murphy nie była mocą, którą należało przywoływać lekkomyślnie. – Wątpię, byś musiała się nimi jeszcze martwić.

– Dlaczego? – spytała głosem gliniarza. – Zabiłeś ich?

W tym pytaniu było odrobinę zbyt wiele napięcia. A niech mnie. Murphy była wyraźnie gotowa zaatakować tych gości, w chwili gdy usłyszy, gdzie są.

Spojrzałem na Buttersa, który wyglądał jak ktoś siedzący obok bomby z odbezpieczonym zapalnikiem.

– Nie. – Starannie doбираłem słowa. Jeśli Murphy rzeczywiście miała tak krótki lont, jak się wydawało, nie chciałem, by rzuciła się do ataku na Fitz'a i jego biedną ekipę zgodnie z najlepszą wikińską tradycją. – Ale nie mają już środków, które mieli wcześniej. Nie spodziewam się, by w najbliższym czasie zrobili komuś krzywdę.

– To twoja opinia profesjonalisty?

– Tak.

Wpatrywała się we mnie przez minutę, po czym powiedziała:

– Ostatniej nocy Abby stała na ganku, kiedy tamci się pojawili. Dostała kulkę w brzuch. Nie dość szybko rzuciła się na ziemię. Nie wiadomo, czy to przeżyje.

Pomyślałem o pulchnej, wesołej kobiecie i przełknąłem ślinę.

– Ja... nie wiedziałem, Murph. Bardzo mi przykro.

Mówiła dalej, jakbym w ogóle się nie odezwał.

– W domku za moim mieszkał emeryt. Każdego lata dawał mi pomidory, które uprawiał w ogródku. Nie miał tyle szczęścia, co Abby. Kula trafiła go w szyję, kiedy spał w swoim łóżku. Zdążył jeszcze się obudzić, przerażony, i zrzucić słuchawkę z widełek telefonu, po czym wykrwawił się na śmierć.

Na wszystkie dzwony piekieł. Sprawa wyglądała teraz zupełnie inaczej. Chciałem wykorzystać wobec Murphy argumentację, że przecież nikomu nic złego się nie stało. Ale jeśli połała się krew i ktoś zginął... Cóż. Znałem Murphy. Nawet jeśli nie była już gliną, nie zamierzała się wycofać.

– Gdzie oni są? – spytała.

– To nie czas na wyważanie drzwi kopniakiem. Proszę, wysłuchaj mnie.

Zacisnęła dłoń w pięść, ale zapanowała nad swoją złością, odetchnęła głęboko i pokiwała głową.

– Mów.

Opowiedziałem jej o Fitz'u i jego gangu. Jak również o Aristedesie.

– Harry, zauważyłam, że nie powiedziałeś mi, gdzie oni są.

– Aha. Ja, no, tak jakby obiecałem dzieciakowi, że mu pomogę. Że ty mu pomożesz. Murphy zmrużyła oczy.

– Coś ty zrobił?

– To dzieciaki, Murph. Ta sytuacja ich przerasta. Potrzebują pomocy.  
– Zabili co najmniej jedną osobę. Może więcej. W tym mieście wciąż obowiązuje prawo, Dresdenie.

– Poślesz tam gliny, a zrobi się paskudnie. Nie jestem pewien, ile mocy ma ich szef, ale nawet jeśli nie ma spluwy, będzie koszmarem dla policji, nawet dla WDS.

Murphy zmarszczyła czoło.

– Jak bardzo jesteś tego pewien?

– Goście tacy jak on rutynowo wykorzystują strach i przemoc jako narzędzia. Nie będzie miał oporów przed zrobieniem krzywdy gliniarzowi.

Murphy pokiwała głową.

– W takim razie sama się nim zajmę.

– Murph, wiem, że sobie radzisz, ale...

– Dresdenie, od kiedy zostałeś... od czasu strzelaniny zajęłam się dwoma mężczyznami, którzy byli na tyle dobrzy, że zdaniem Carlosa niemal dorównywali pełnym, uznanym przez Radę czarnoksiężnikom. Poradziłam sobie również z kilkoma pomniejszych talentami. Fomory wykorzystują ich jako oficerów i dowódców. Wiem, co robię.

– Zabiłaś ich – powiedziałem cicho. – To miałaś na myśli, prawda?

Odwróciła wzrok. Odpowiedziała dopiero po chwili.

– Z kimś tak potężnym... tak naprawdę nie ma wyboru. Jeśli spróbuje się wziąć ich żywcem, będą mieli mnóstwo czasu, żeby cię zabić.

Skrzywiłem się współczująco. Może już nie była gliną, ale po tej stronie stała – po stronie prawa. Wierzyła w nie, szczerze wierzyła, że prawo miało służyć mieszkańcom Chicago i ich chronić. Kiedy była gliną, jej zadaniem zawsze było dopilnowanie, by prawo służyło temu celowi, w każdy możliwy sposób.

Uwielbiała służyć swojemu miastu w imieniu prawa, a to oznaczało, że sędziowie i przysięgli wykonywali swoją pracę, zanim do gry wchodził kat. Jeśli Murphy porzuciła to przekonanie, niezależnie od tego, jak praktyczne i konieczne to było, niezależnie od tego, ilu ludzi uratowała życie...

Butters powiedział, że była pod presją. Poznałem teraz naturę tej presji – poczucie winy. Bez ustanku szarpało jej wewnętrżność, jej sumienie, ocierając je do żywego.

– Wszyscy byli zabójcami – powiedziała, choć wątpiłem, by mówiła do mnie. – Zabójcami i porywaczami. A prawo nie mogło ich powstrzymać. Ktoś musiał coś zrobić.

– Jasne – mruknąłem. – Ktoś zawsze to robi.



– Rzecz w tym, że z takim problemem można sobie poradzić, atakując go absolutnie wszystkim, co ma się pod ręką, i to natychmiast. Zanim te rzucające zaklęcia prymitywy znajdą czas, by się okopać, nagiąć umysły ludzi do pomocy albo zaczną atakować ciebie lub twoich bliskich. – Popatrzyła na mnie. – Potrzebuję adresu.

– Wcale nie. Przeprowadzę dzieciaki do ciebie. Kiedy wydostaniesz ich od Aristedesa, będzie sam i odsłonięty. Wtedy będziesz mogła pomóc Fitzowi i kumplom.

– Fitz i kumple – powiedziała beznamiętnie – są mordercami.

– Ale...

– Nie, Harry. Nie sprzedawaj mi tej gadki, że wcale nie chcieli. Otworzyli ogień ze śmiertelnej broni na terenie osiedla mieszkaniowego. W oczach prawa i każdego obdarzonego choć odrobiną zdrowego rozsądku „to był wypadek” nie brzmi przekonująco. Wiedzieli, co się mogło zdarzyć. Ich zamiary są bez znaczenia.

– Wiem. Ale to nie są złe dzieciaki. Są tylko przerażeni. To sprawiło, że dokonali złego wyboru.

– Właśnie opisałeś większość gangów w tym mieście, Harry. Nie trafiają do gangów, bo są złymi dzieciakami. Robią to, bo są przerażeni. Chcą czuć, że mają gdzieś swoje miejsce. Bezpieczne. – Pokręciła głową. – Nieważne, czy zaczęli jako dobre dzieciaki. Życie ich zmienia. Sprawia, że stają się kimś innym.

– Co chcesz zrobić?

– Posłać oddział do ich kryjówki. Zająć się czarownikiem. Dołożymy wszelkich starań, żeby nie zrobić krzywdy innym.

– Otworzycie ogień ze śmiertelnej broni w ich domu. Może nie chcesz zrobić krzywdy dzieciakom, ale wiesz, co może się stać. Jeśli skończysz z ich trupami na podłodze, twoje zamiary będą bez znaczenia. Czy to właśnie chcesz mi powiedzieć?

W jej oczach zapłonęła złość.

– Nie było cię tu przez ostatnie sześć miesięcy. Nie wiesz, jak było. Ty... – Zaciśnęła wargi.

Później wpatrywała się we mnie, wyraźnie czekając.

Odpowiedziałem, bardzo cicho:

– Nie.

Kilka razy pokręciła głową, w końcu stwierdziła:

– Prawdziwy Dresden by się nie zawahał.

– Prawdziwy Dresden nie miałby okazji ich poznać. Porozmawiać z nimi. Od razu

wziąłby się do bitki.

Gwałtownym ruchem zatrzęsnęła notes i wstała:

– W takim razie zajęliśmy się już wszystkim, co należało zrobić. Nie ma już nic więcej do omówienia.

Murphy wstała i bez słowa opuściła salę, jej kroki były spokojne i zdecydowane.

Butters wstał, wziął Boba i małe radjko.

– Ja... zwykle podążam za nią, kiedy coś przygotowuje. Zajmuję się szczegółami.

Przepraszam.

– Jasne – powiedziałem cicho. – Dzięki za pomoc.

– Do usług.

– Tobie też, Bob.

– *De nada* – odparła czaszka.

Butters wyszedł pośpiesznie.

Zostałem sam w sali konferencyjnej.

## Rozdział dziewiętnasty

Stałem tam przez kilkanaście minut i nic nie robiłem. Nawet nie oddychałem.

Robienie niczego jest trudne. Kiedy przestaje się być zajęтым, umysł zaczyna przetrawiać różne rzeczy. Pojawiają się mroczne, ponure myśli. Człowiek zaczyna się zastanawiać nad sensem swojego życia. Jeśli jest duchem, zaczyna się zastanawiać nad sensem swojej śmierci.

Sumienie Murphy powoli pożerało ją od środka. Znałem ją od lat. Wiedziałem, jak myślała. Wiedziałem, co się dla niej liczyło. Wiedziałem, jak wyglądała, kiedy cierpiała. Nie miałem wątpliwości, że w tym wypadku podjąłem właściwą decyzję.

Ale wiedziałem również, że jest kobietą, która nie zabiłaby innego człowieka, nawet gdyby był absolutnym świrem, o ile nie byłoby to absolutnie konieczne. Żadne zabijanie nie jest łatwe dla kogoś obdarzonego sumieniem – ale Murphy od dawna stawiała czoło temu demonowi. Oczywiście moja śmierć ją zraniła (i uwierzcie mi, byłem wściekle sfrustrowany, że nie mogłem nic zrobić, by to zmienić). Ale dlaczego wyrzuty sumienia zaczęły ją gryźć właśnie teraz? Dlaczego w chwili, kiedy poprosiłem ją o wyciągnięcie informacji z byłego męża, nagle dopadł ją ostry przypadek damy w tarapatach? Tej kobiety nie powstrzymał nawet ceglany mur, jeśli chciała gdzieś wejść.

Zauważyłem coś jeszcze, kiedy rozmawialiśmy o strzale, który mnie zabił, lokalizacji strzelca i zbieraniu dodatkowych informacji na temat potencjalnych zabójców. Murphy nie powiedziała wiele – ale to, czego nie powiedziała, mówiło dużo więcej.

Ani razu nie wspomniała o Kincaidzie.

Kincaid był częściowo nieludzkim najemnikiem, który pracował dla najbardziej przerażającej małej dziewczynki na całym bożym świecie. Żył od setek lat, a w walce był fenomenalny. Jakimś sposobem przemógł negatywne aspekty ludzkiego systemu nerwowego, przynajmniej jeśli chodziło o strzelanie z broni w sytuacjach stresowych. Nigdy nie widziałem, by spudłował. Nigdy.

I to on mi powiedział, że gdyby chciał mnie zabić, zrobiłby to z odległości co najmniej pół kilometra, pociskiem karabinowym dużego kalibru.

Murphy wiedziała równie dobrze, jak ja, że opinia zabójcy z doświadczeniem sięgającym wielu stuleci byłaby nieoceniona w śledztwie. Z początku tego nie zasugerowałem, bo Murph przez jakiś czas w pewnym sensie chodziła z tym gościem i wydawało się, że ma do niego słabość. Dlatego uznałem za bardziej stosowne, by to ona podniosła ten temat.

Ale nie zrobiła tego.

Ani słowem o nim nie wspomniała.

Prowadziła spotkanie zbyt pośpiesznie i była gotowa pokłócić się ze mną o cokolwiek.

Cała kłótnia o Fitz'a i jego ekipę była zasłoną dymną...

Pytanie brzmiało jedynie: z czyjego powodu ją postawiła? Mojego, by być może szalony duch nie wyruszył w poszukiwaniu zemsty? A może dla siebie samej, bo nie mogła pogodzić swojej wizji Kincaida z tą bezimienną osobą, która mnie zabiła?

To wydawało się właściwe. Że w głębi serca to wiedziała i nieświadomie gorączkowo usiłowała odszukać w głowie mniej bolesną prawdę.

Moje rozumowanie opierało się na znajomości ludzkiej natury i osobowości Murphy oraz mojej intuicji – a ja przez całe życie ufałem instynktowi.

Sądziłem, że się nie myli.

W myślach przejrzałem możliwości. Wyobraziłem sobie Murphy w dniach po mojej śmierci, zrozpaczoną i w duszy rozpadającą się na małe kawałeczki. Nie mieliśmy szans się dowiedzieć, czy wyszłoby nam razem. Zabrakło nam paru chwil. Wiedziałem, że kiedy upłynęło dość czasu, by jej wściekłość przygasła, na jej miejscu zaczął zbierać się smutek. Wyobrażałem ją sobie w kolejnym miesiącu, już nie glinę, i cały jej świat w ruinach.

Wieści o mojej śmierci z pewnością szybko się rozeszły – nie tylko wśród magów z Białej Rady, ale też pozostałego Dworu wampirów, Paranetu i reszty nadnaturalnego świata.

Kincaid pewnie dowiedział się o tym w ciągu paru dni. Kiedy ktoś złożył raport na mój temat, Archiwum, nadnaturalna kronika całej zapisanej wiedzy zamieszkująca dziecko imieniem Ivy, już wiedziało. A ja byłem najpewniej jednym z nielicznych ludzi na świecie, których uważała za przyjaciół. Miała ile? Dwanaście lat? Trzydzieści?

Wieści o mojej śmierci musiały wstrząsnąć Ivy.

Kincaid, jak sądziłem, poszedł do Murphy, żeby w miarę swoich możliwości dać jej pocieszenie. Nie z gatunku „kubek gorącej czekolady i puchaty szlafrok”. Jeśli już, to przyniósł parę butelek whiskey i płyty z seksowną muzyką.

Zwłaszcza jeśli był już w mieście, szepnęła wredna, paskudna część mojego umysłu.

Wyobraziłem sobie Murphy szukającą schronienia, gdzie się dało, i żegnającą go, kiedy odchodził – a później, w ciągu kolejnych kilku tygodni powoli zbierającą fakty i dochodzącą do wniosku, przez ten cały czas powtarzając sobie, że najpewniej się myliła. Że sytuacja nie mogła wyglądać tak, jak jej się wydawało.

Frustracja. Ból. Zaprzeczenie. Tak, to wystarczyło, by wzbudzić wściekłość. Wściekłość, którą nosiła w sobie jak powoli rosnący guz, stający się coraz większym ciężarem. Coś takiego mogło popchnąć kogoś do zabicia drugiej osoby, nawet jeśli być może nie było to konieczne.

Ta śmierć wzbudzała jeszcze większe poczucie winy, większą frustrację, co podsycalo wściekłość, co prowadziło do większej przemocy, co zwiększało poczucie winy – dosłownie błędne koło.

Murphy nie chciała zdobyć nagrań z kamer na lotnisku i dworcach kolejowych, bo nie chciała się dowiedzieć, że mężczyzna, z którym sypiała, zabił jednego z jej przyjaciół. Kiedy taka możliwość się pojawiła, zareagowała złością i odepchnęła od siebie źródło oświecenia, które mogło odsłonić coś, czego nie chciała zobaczyć.

Pewnie nie była nawet świadoma sprzecznych potrzeb w swojej głowie.

Kiedy czuje się głęboki żal, fruwać w niej różne irracjonalne rzeczy.

Praca detektywa nie zawsze opiera się na logice – nie, kiedy chodzi o ludzi. Ludzie często robią najbardziej absurdalnie nielogiczne rzeczy z najbardziej niezrozumiałych powodów. Nie mogłem wskazać na Kincaida na podstawie logiki. Ale teoria pasowała do mnóstwa złożonych razem elementów. Jeśli była poprawna, wiele wyjaśniała.

To była jedynie teoria. Ale wystarczyła, bym zapragnął poszukać więcej dowodów w miejscach, do których normalnie nawet bym nie zajrzał.

Ale jak? Jak miałem zacząć sprawdzać Jareda Kincaida, Ogara Piekieł, najlepszą namiastkę ojca, jaką miała Ivy – i to bez pomocy Murphy? Skoro już o tym mowa, musiałem znaleźć jakiś sposób, by zrobić to bez jej wiedzy, a to wydawało się bardziej niż nieuczciwym posunięciem ze strony przyjaciela. Uch. Może lepiej skupić się najpierw na bieżących problemach.

Musiałem odnaleźć Morta, którego los najwyraźniej był nisko na liście priorytetów Murphy.

Musiałem pomóc Fitzowi i reszcie jego nieogarniętych nastoletnich kumpli.

A do tego potrzebowałem pomocy kogoś, komu mogłem zaufać.

Odetchnąłem głęboko i pokiwałem głową.

Później szedłem, aż przekroczyłem zewnętrzną ścianę Lepszej Przyszłości i wyruszyłem na poszukiwania swojej praktykantki, nim noc stanie się jeszcze ciemniejsza.

# Rozdział dwudziesty

Zawsze uważałem się za samotnika.

To znaczy nie samotnika w stylu „o, biedny ja”, byronowskim, „nie powinienem iść sam pływać”. Mówię o osobie, która nie czuje się zbyt nieszczęśliwa, jeśli ma w perspektywie samotne spędzenie weekendu, siedzenie na kanapie i czytanie dobrych książek. Nie chodzi o to, że nienawidziłem ludzi albo coś w tym rodzaju. Lubiłem rozrywki i towarzystwo przyjaciół. Ale byli przystawką. Zawsze sądziłem, że bez nich byłbym równie szczęśliwy.

Szedłem ulicami miasta liczącego trzy miliony mieszkańców i po raz pierwszy nic mnie nie łączyło z żadnym z nich. Nie mogłem z nimi porozmawiać. Nie mogłem ich dotknąć. Nie mogłem pokłócić się o miejsce parkingowe ani pokazać środkowego palca nieostrożnemu kierowcy, który wjechał na czerwonym na pasy, kiedy ja przez nie przechodziłem. Nie mogłem niczego kupić w jednym z tych sklepów ani prowadzić pogaduszek z kasjerką w trakcie płacenia. Nie mogłem podnieść gazety. Nie mogłem polecić dobrej książki komuś rozglądającemu się po regałach.

Trzy miliony dusz zajmowały się wokół mnie swoim życiem, a ja byłem sam.

Teraz zrozumiałem kapitana Murphy'ego w cieniu Chicago. Prawdziwe miasto już zaczynało robić wrażenie cienia. Czy jeśli minie dość czasu, ja również będę tak postrzegać realne miasto? Ciemne? Puste? Pozbawione celu i w niejasny sposób groźne? Spędziłem w nim zaledwie jeden dzień.

Jaki bym się stał, gdybym spędził tutaj rok? Dziesięć lat? Sto lat?

Zaczynałem rozumieć, dlaczego tak wielu duchom najwyraźniej brakowało piątej klepki.

Nie mogłem również nie zacząć się zastanawiać, czy sir Stuart i Mort przypadkiem nie mieli racji. A jeśli naprawdę byłem oszalałym duchem, za którego mnie uważali? Nie prawdziwym Harrym Dresdenem, jedynie jego pośmiertnym obrazem, robiącym to, co ten szaleniec zawsze robił – wyruszającym, by pomóc przyjaciołom i dopaść złego gościa.

Nie czułem się jak oszalały duch, ale z drugiej strony przecież tak bym się nie czuł, prawda? Wariaci rzadko wiedzą, że są wariatami. Jak przypuszczam, to reszta świata

wydaje im się obłąkana. Bóg mi świadkiem, mnie się zawsze wydawała całkiem obłąkana. Czy istniał jakiś sposób, bym mógł się upewnić, że nie jestem tym, za kogo uważali mnie sir Stuart i Mort?

Co ważniejsze, Mort był cholernym ekspertem od duchów. Jasne, ja mam sporą orientację, ale Mort był specjalistą. Zwykle w czysto formalnych kwestiach dotyczących duchów i cieni przywiązywałam dużą wagę do jego opinii, pewnie nieco większą niż do własnej. Mort nigdy nie był wzorcem odwagi i siły, ale był bystry i najwyraźniej dość twardy, żeby przetrwać długą karierę, która okazała się o wiele bardziej niebezpieczna, niż mi się wydawało.

Do diabła. Na ile umiałem to ocenić, podczas gdy ja chroniłem Chicago przed rzeczami, o których istnieniu nikt nie wiedział, Mort być może chronił mnie przed rzeczami, o których istnieniu nie wiedziałem ja. Cóż za ironia losu.

Zatrzymałem się gwałtownie i potrząsnąłem głową, jakbym musiał się pozbyć wody z oczu.

– Dreszenie, twój osobisty kryzys egzystencjalny może poczekać. Żli goście nie próżnują. Weź się w garść.

Dobra rada.

Pytanie brzmiało tylko: w jaki sposób?

W normalnej sytuacji po prostu wyszedłbym Molly za pomocą całkiem prostej taumaturgii, którą posługiwałem się tysiące razy. Po jej nieplanowanych wakacjach w Arctis Tor w Krainie Elfów zawsze pilnowałem, by mieć pod ręką względnie świeży kosmyk jej włosów. A ostatnio odkryłem, że mogę wykorzystać wszystkie wzorce energii, których użyła do stworzenia swoich pierwszych magicznych narzędzi – podobnie jak jej włosy, były czymś wyjątkowym i charakterystycznym tylko dla niej. Sygnatura. Mogłem mieć pewność, że odnajdę ją, kiedy tego potrzebowałem. Do diabła, jeśli o to chodzi, spędzałem z nią tyle czasu, że stała się dla mnie prawie rodziną. Kiedy była w pobliżu, zwykle wystarczała mi intuicja, jeśli tylko nie próbowała aktywnie się ukrywać.

To wszystko, rzecz jasna, działało się, kiedy miałem magię. A teraz już nie.

Co, kiedy się nad tym zastanowiłem, pewnie było kolejnym dowodem potwierdzającym teorię Stuarta i Morta, a zaprzeczającym mojej. Nie można zabrać komuś magii. To część tego, kim jest. Można ją porzucić, jeśli ktoś bardzo się postara, ale nie można jej z nikogo wydobyć. Jeśli mój duch naprawdę byłby mną, miałby moc, podobnie jak duch tego sukinsyna Leonida Kravosa.

Prawda?



Albo... może jednak nie. Może poczyniłem kolejne założenia i ich nie kwestionowałem. Już założyłem, że materia była stała, choć nie była; że mogłem zmarznąć, choć nie mogłem; i że wciąż działała na mnie siła ciężenia, choć nie działała.

Może poczyniłem te same założenia na temat magii. W końcu podczas pierwszego ataku na dom Morta rzuciłem całkiem solidne zaklęcie tarczy, kiedy dzieliłem przestrzeń z ektomantą. To wyraźnie świadczyło, że mój talent wciąż był na miejscu, wciąż był prawdziwy.

Musiałem jedynie wymyślić, jak do niego dotrzeć.

„Wspomnienia to moc”.

Sięgnąłem do kieszeni płaszcza i wyciągnąłem potężny pistolet, który dał mi sir Stuart. Nie znam się na broni czarnoprochowej, ale upewniłem się, że panewka jest czysta, zanim odwróciłem go lufą do dołu i potrząsnąłem. Musiałem kilka razy uderzyć pistolet ręką, żeby na moją dłoń wypadły kula, przybitka i proch.

Kula, pocisk, błyszczała, jakby dopiero co została odlana. Kiedy przyjrzałem się uważniej, delikatne zawijasy na powierzchni metalu przeobraziły się w sielankową scenę – dom w stylu kolonialnym pośrodku zielonej dolinki, otoczony jabłoniami, zadbane pola i pastwisko z białymi owcami. Samo patrzenie sprawiło, że scena ożyła. Wiatr poruszał zbożem. Jabłka wyróżniały się jako jasnozielone plamki na tle ciemniejszych liści. Jagnięta dokazywały między dorosłymi członkami stada, bawiły się dla samej zabawy. Drzwi otworzyły się i z domu wyszła wysoka, wyprostowana kobieta o włosach ciemniejszych niż krucze skrzydła, prowadząc za sobą stadko dzieci i wyraźnie wydając im spokojnie polecenia.

Na ten widok zalała mnie fala uczuć. Gorąca i zazdrosna duma z posiadania – nie duma, że należał do mnie tak piękny dom, ale że dom był tak piękny, bo należał do mnie, bo ja go takim uczyniłem. Łączył się z tym głęboki jak ocean przyływ miłości do kobiety i jej dzieci, czyste szczęście na ich widok – i ciężka, przyjemna fala pożądania do kobiety, której od zbyt dawna nie przytulałem...

Nagle poczułem, że wtargnąłem do czegoś osobistego i intymnego. Zamknąłem oczy i odwróciłem wzrok od sceny.

Wspomnienia, uświadomiłem sobie. To wszystko pochodziło ze śmiertelnych wspomnień sir Stuarta. Tym wspomnieniem uderzył w tamtego upiora, kiedy spotkałem go po raz pierwszy. Nie wykorzystywał jako broni wspomnień przemocy, ale tożsamości, powodów, dla których gotów był walczyć.

Dlatego właśnie jako duch wciąż używał tego topora, tego pistoletu. Mógł

skopiować o wiele nowocześniejsze bronie, ale w swoich wspomnieniach używał tych broni, były więc źródłem jego mocy, ucieleśnieniem jego woli, by zmieniać to, co go otaczało.

Były tożsamością sir Stuarta. Były również jego magią.

Wspomnienia równały się mocy.

Przez chwilę sądziłem, że to nie mogło być tak proste. Ale wiele z magii jest tak naprawdę obrzydliwie proste – czego nie należy mylić z łatwym.

Istniał tylko jeden sposób, by się dowiedzieć.

Moim pierwszym zaklęciem było to, które rzuciłem w czasie tamtych zapomnianych klasowych zawodów – ale to była spontaniczna, przypadkowa magia, ledwie godna tej nazwy. Pierwszym zamierzonym zaklęciem, które świadomie opracowałem, w pełni zaplanowałem, w pełni zwizualizowałem, w pełni zrealizowałem, było przywołanie ognia.

Justin DuMorne pokazał mi, jak to działa.

Sięgnąłem do tego wspomnienia.

\* \* \*

– Nie rozumiem – jęknąłem, rozmasowując bolące skronie. – Nie zadziałało pierwsze pięćdziesiąt razy. Teraz też nie zadziała.

– Czterdzieści sześć razy – poprawił mnie Justin, bardzo precyzyjnie, jak zawsze.

Mówił z akcentem, ale nie umiałem powiedzieć, jakim. Nigdy nie słyszałem takiego w telewizji. Nie żeby Justin miał telewizor. W piątkowe wieczory musiałem się wymykać do sklepu RTV w centrum handlowym, bo inaczej ryzykowałem, że w ogóle przegapię *Nieustraszonego*.

– Harry – powiedział Justin.

– W porządku. – Westchnąłem. – Głowa mnie boli.

– To naturalne. Wypalasz nowe połączenia w umyśle. Jeszcze raz, proszę.

– Nie mógłbym wypalać połączeń gdzie indziej?

Justin podniósł na mnie wzrok ze swojego miejsca przy biurku. Byliśmy w jego gabinecie, jak nazywał sypialnię dla gości w małym domku jakieś trzydzieści kilometrów od Des Moines. Jak prawie każdego dnia włożył czarne spodnie i ciemnoszarą koszulę. Brodę miał krótką, starannie przyciętą. Jego palce były bardzo długie i smukłe, ale umiał zacisnąć dłonie w pięści twarde jak skała. Był wyższy ode mnie, jak większość dorosłych, a kiedy się wściekał, nie wyzywał mnie jak większość

rodziców zastępczych, do których trafiałem.

Jeśli rozzłościłem Justina, po prostu przechodził od „proszę” do używania pięści. Nigdy nie zamachnął się na mnie z wrzaskiem ani mną nie potrząsał, jak to czynili inni opiekunowie. Kiedy mnie uderzał, robił to szybko i precyzyjnie, a później było po wszystkim. Tak jak to robił Bruce Lee. Tyle tylko że Justin nigdy nie wydawał śmiesznych odgłosów.

Pochyliłem głowę, odrywając od niego spojrzenie, i wpatrzyłem się w pusty kominek. Siedziałem przed nim ze skrzyżowanymi nogami. Na palenisku leżały kłody i podpałka. Czułem słaby zapach dymu, a kawałek zwiniętej gazety poczerniał w jednym rogu, ale poza tym nie było śladu ognia.

Kątem oka zobaczyłem, jak Justin wraca do książki.

– Jeszcze raz, jeśli można.

Westchnąłem. Później zamknąłem oczy i znów zacząłem się skupiać. Zaczyna się od uspokojenia oddechu. Kiedy jest się już rozluźnionym i gotowym, zbiera się energię. Justin powiedział mi, że mam ją sobie wyobrażać jako kulę światła w piersi, która powoli stawała się coraz jaśniejsza, ale to był stek bzdur. Kiedy Silver Surfer to robił, energia zbierała się wokół jego dłoni i w oczach. Green Lantern gromadził ją wokół pierścienia. Iron Fist miał świecące pięści, co było naprawdę fajowe. Iron Man miał tę świecącą rzecz w piersi, ale był, no, jedyny, i tak naprawdę nie miał żadnych supermocy.

Wyobraziłem sobie, że zbieram energię wokół prawej dłoni. No tak.

Wyobraziłem sobie, że staje się coraz jaśniejsza i jaśniejsza, otacza ją czerwona aura jak dłoń Iron Fista. Czułem, jak moc wywołuje mrowienie w moich ramionach, aż włoski stanęły mi dęba. A kiedy byłem gotów, pochyliłem się, wypuściłem energię i powiedziałem wyraźnie:

– *Sedjet.*

Mówiąc, nacisnąłem przycisk zapalniczki „Bic”, którą ukryłem w prawej dłoni. Płomyk natychmiast podpałił gazetę.

Stojący tuż obok mnie Justin powiedział:

– Zgaś go.

Zadrżałem i z czystego zaskoczenia upuściłem zapalniczkę. Moje serce zaczęło bić gazylion razy na minutę.

Zacisnął palce w pięść.

– Nie lubię się powtarzać.

Przełknąłem ślinę i sięgnąłem do kominka, by wyciągnąć płonąca gazetę spod

drewna. Trochę mnie poparzyła, ale nie tak bardzo, bym krzyknął. Zgasilem ogień rękami, a moje policzki się zaczerwieniły.

– Daj mi zapalniczkę. – Głos Justina brzmiał spokojnie.

Przygryzłem wargę i zrobiłem to.

Wziął zapalniczkę i kilka razy podrzucił ją na dłoni. Na jego wargach malował się lekki uśmieszek.

– Harry, wierzę, że taka pomysłowość przyniesie ci wiele korzyści, kiedy będziesz dorosły. – Uśmiech zniknął. – Ale nie jesteś dorosły, chłopcze. Jesteś uczniem. Tego rodzaju przebiegłe zachowanie ci nie pomoże. Ani trochę.

Zacisnął pięść i wysyczał:

– *Sedjet.*

Jego dłoń otoczyła kula szkarłatno-niebieskiego ognia – w porównaniu z nią moce Iron Fista wydawały się trochę pastelowe. Patrzyłem i przełknąłem ślinę. Moje serce zabiło jeszcze szybciej.

Justin kilka razy obrócił dłoń, przyglądając się jej i upewniając, że widzę całą jego pięść i ramię – że mogę być pewien, iż nie jest to sztuczka. Ogień otaczał ją w całości.

A ona nie płonęła.

Justin podstawił mi pięść pod nos, aż gorąco stało się nieprzyjemne, ale sam ani drgnął, jego ciało zaś pozostało nietknięte.

– Jeśli wybierzesz to, pewnego dnia możesz dokonać czegoś takiego – powiedział spokojnie. – Panowanie nad żywiołami. I, co ważniejsze, panowanie nad sobą.

– Yyy. Co takiego?

– Ludzie są ze swej natury słabi, chłopcze. – Wciąż mówił tym samym opanowanym głosem. – Ta słabość wyraża się na wiele różnych sposobów. Na przykład teraz pragniesz skończyć ćwiczenia i wyjść na dwór. Choć wiesz, że to, czego się tu uczysz, jest absolutnie kluczowe, to twoim pierwszym impulsem jest bawić się, a dopiero później uczyć.

Nagle otworzył dłoń i upuścił mi zapalniczkę na kolana.

Wzdrygnąłem się, kiedy uderzyła w moją nogę, i jęknąłem cicho. Ale czerwona plastikowa zapalniczka leżała spokojnie na podłodze, bez śladów działania wysokiej temperatury. Dotknąłem jej niepewnie czubkiem palca, ale była chłodna.

– W tej chwili dokonujesz wyboru. Może się nie wydawać wielkim i przerażającym wyborem, ale w perspektywie czasu może się takim stać. Wybierasz, czy będziesz panem swojego losu, z mocą tworzenia w świecie wszystkiego, co zechcesz, czy też po prostu trzaśniesz zapalniczką i jakoś będziesz sobie radził. Nijaki. Zadowolony

z siebie. – Wygiął wargi, a w jego głosie zabrzmiała gorycz. – Mierny. Miernota to straszliwy los, Harry.

Moja dłoń unosiła się nad zapalniczką, ale nie podniosłem jej. Rozmyślałem nad jego słowami. Później powiedziałem:

– Chodzi ci o to, że jeśli nie uda mi się tego zrobić... odeślesz mnie.

– Nie chodzi o powodzenie czy niepowodzenie zaklęcia. Liczy się powodzenie lub niepowodzenie twojej woli. Woli, by przewycięzać ludzkie słabości. Woli do pracy. Do nauki. Nie będę tu trzymał obiboków, chłopcze. – Usiadł na podłodze obok mnie i skinął w stronę kominka. – Jeszcze raz, jeśli można.

Wpatrywałem się w niego przez chwilę, a później opuściłem wzrok na swoją dłoń i porzuconą zapalniczkę.

Nikt mi nigdy wcześniej nie powiedział, że jestem wyjątkowy. Ale Justin to zrobił. Nikt nigdy nie poświęcał tyle czasu, by cokolwiek ze mną robić. Nigdy. Justin tak.

Pomyślałem o powrocie do państwowego systemu – domy, schroniska, sierocińce. I nagle szczerze zapragnąłem odnieść sukces. Chciałem tego bardziej niż zjeść kolację, nawet bardziej niż obejrzeć *Nieustraszonego*. Chciałem, by Justin był ze mnie dumny.

Pozostawiłem zapalniczkę tam, gdzie leżała, i skupiłem się na oddychaniu.

Znów zbudowałem zaklęcie, powoli, bardzo powoli, skupiając się na nim bardziej niż na czymkolwiek w całym życiu. A miałem prawie trzynaście lat, więc to coś znaczyło.

Energia wzrastała, aż poczułem się tak, jakby ktoś podpalił kosz na śmieci w moim brzuchu, a wtedy wypuściłem ją na zewnątrz, przez pustą, wyciągniętą prawą rękę, ale zamiast użyć egipskiej frazy, powiedziałem:

– *Flickum bicus!*

A wtedy na pozostałej pod drewnem podpałce pojawiły się jasne płomyki. Chyba nigdy wcześniej nie widziałem niczego tak pięknego.

Skłęśłem i prawie się przewróciłem, choć i tak siedziałem już na podłodze. Ciało nagle rozboleło mnie z głodu i wyczerpania, jak wtedy, kiedy zabrali wszystkie sieroty do parku wodnego. Najbardziej na świecie chciałem zjeść wiadro makaronu z serem i pójść spać.

Silna dłoń o długich palcach złapała mnie za ramię i pomogła mi odzyskać równowagę. Podniosłem wzrok i zobaczyłem, że Justin mi się przygląda, a w jego ciemnych oczach migotało ciepło, które nie było do końca odbiciem niewielkiego, ale coraz silniejszego płomienia na kominku.

– *Flickum bicus?* – spytał.

Pokiwałem głową i poczułem, że znów się rumienię.

– No wiesz. Bo... miernota.

Odchylił głowę do tyłu i zaśmiał się na całe gardło. Jedną dłonią rozczochrał mi włosy i powiedział:

– Dobra robota, Harry. Dobra robota.

Przepełniła mnie ogromna duma i miałem wrażenie, że zaraz odbiję się od sufitu.

Justin uniósł palec, podszedł do biurka i wrócił z paczuszką zawiniętą w szary papier. Podał mi ją.

– Co to? – spytałem.

– Dla ciebie. W końcu wykonałeś zadanie.

Zamrugalem i rozerwałem papier. Wewnątrz była rękawica baseballowa firmy Wilson.

Gapilem się na nią przez kilkanaście sekund. Nigdy wcześniej nie dostałem od nikogo prezentu – takiego przeznaczonego dla mnie, nie przypadkowej paczki świątecznej z organizacji charytatywnej, podpisanej DLA: CHŁOPIEC. A to była świetna rękawica. George Brett miał taką samą. Kiedy byłem mały, dwa razy byłem na meczu Kansas City Royals, byli fantastyczni. Brett też.

– Dziękuję – powiedziałem cicho.

No nie. Teraz miałem się rozplakać? Czasami myślałem, że jestem trochę głupi.

Justin wyjął piłkę do baseballa, nowiutką i wciąż białą, i uniósł ją z uśmiechem.

– Jeśli masz siłę, możemy teraz wyjść na dwór.

Czułem się naprawdę zmęczony i głodny, ale miałem nowiutką rękawicę! Wpychałem w nią rękę, aż w końcu zorientowałem się, dokąd mają trafić wszystkie palce.

– Tak. – Podniosłem się. – Chodźmy.

Justin parę razy podrzucił piłkę i uśmiechnął się do mnie szeroko.

– Dobrze. Kiedy już będzie po wszystkim, sądzę, że uznasz baseball za satysfakcjonujące doświadczenie.

Wyszedłem za nim na dwór. Nieważne, że byłem zmęczony. Właściwie frunałem.

\* \* \*

Otworzyłem oczy. Stałem na przypadkowym chicagowskim chodniku, niematerialny i niewidzialny. Uniosłem prawą dłoń grzbietem do dołu i skupiłem się na tym

niespodziewanym płomyku światła i nadziei, skryształizowanym przez wspomnienie tej chwili triumfu i radości.

– *Flickum bicus* – szepnąłem.

Ogień był tak piękny, jak pamiętałem.

## Rozdział dwudziesty pierwszy

Minęło parę godzin, nim wymyśliłem, jak zmusić moje wierne zakłęcie śledzące do działania. Bez trudu znalazłem kilka wspomnień, które mogłem wykorzystać, by zapewnić moc niezbędną do rzucenia zakłęcia – problemem okazało się wymyślenie, jak stworzyć więź z Molly. Zwykle użyłbym jednej ze starych dobrych metod taumaturgii – kosmyk włosów, kropla świeżej krwi, obcięty paznokieć itp. To jednak oczywiście nie mogło się udać. Nawet gdybym je miał, nie mógłbym ich dotknąć.

Dlatego, zamiast wysledzić Molly za pomocą więzi fizycznej, próbowałem wykorzystać jej wspomnienia. Zadziałało – tak jakby. Pierwsze zakłęcie śledzące zaprowadziło mnie do hotelu, w którym niegdyś odbywał się konwent pod nazwą SplatterCon! Był teraz zamknięty i opuszczony. Pewnie te wszystkie śmierci podczas SplatterConu! musiały sporo kosztować, kiedy po ataku fobofagów posypały się pozwy. Szybko rozejrzałem się po budynku i nawet prawie się nie wzdrygnąłem, kiedy przebijałem się przez kolejne ściany. Pomijając kilku bezdomnych, którzy włamali się do budynku i zamieszkali w nim, niczego nie znalazłem.

Rozważyłem swoje dzieło. Wspomnienie, które wykorzystałem, z jakiegoś powodu mocno utkwilo mi w głowie, a przedstawiało Molly w tym właśnie budynku. To musiało wpłynąć na zakłęcie. Poprowadziło mnie do tego miejsca, bo było ono częścią wspomnienia, które wykorzystałem, żeby stworzyć więź. Spróbowałem ponownie, tym razem omijając tło i wyobrażając sobie jedynie Molly na pustym czarnym polu. Druga próba zaprowadziła mnie na komisariat, gdzie kiedyś wpłaciłem kaucję za chłopaka Molly. Doszedłem do wniosku, że z jakiegoś powodu zepsułem zakłęcie, ale i tak na wszelki wypadek rozejrzałem się szybko. Ani śladu Molly.

– Dobra, bystrzaku – powiedziałem do siebie. – A jeśli obraz ze wspomnienia, które wykorzystujesz, jest za stary? Śledzisz jej tożsamość ze wspomnienia do miejsca ze wspomnienia. Co znaczy, że musisz myśleć o niej takiej, jaką jest teraz, by odkryć, gdzie znajduje się w tej chwili. Prawda?

– Teoretycznie – powiedziałem do siebie.

– Jasne. Sprawdźmy więc teorię.

Oczywiście. Choć dyskusja z samym sobą właściwie nigdy nie jest dobrym



sposobem, by usłyszeć odmienne zdanie.

– W rzeczy samej, mówienie do samego siebie bywa uznawane za oznakę nieuchronnego szaleństwa – zauważyłem na głos.

Co nie wydawało się zachęcające.

Odepchnąłem od siebie tę niepokojącą myśl i znów zająłem się zaklęciem śledzącym. Tym razem, zamiast korzystać z jednego z wcześniejszych wspomnień Molly, sięgnąłem po najnowsze. Wyobraziłem ją sobie w zniszczonych łąkach, w których przyszła do Murphy.

Przekształcenie wspomnienia w obraz, który podtrzymałby energię niezbędną do rzucenia czaru, nie jest tak proste jak zamknięcie oczu i sen na jawie. Trzeba przywołać je ze wszystkimi, wręcz niemożliwymi szczegółami, aż stanie się równie realne jak rzeczywisty przedmiot. Wymaga to dużo praktyki i energii – dlatego, kiedy ludzie zabierają się do uprawiania magii, korzystają z rekwizytów. Rekwizyt może zostać wykorzystany jako kotwica, oszczędzając czarującemu wysiłku stworzenia nie jednego, lecz licznych konstruktów mentalnych i podtrzymywania ich w stanie doskonałego skupienia i koncentracji.

Ja najpierw nauczyłem się, jak posługiwać się magią w ten najtrudniejszy sposób – mając wszystko w głowie. Dopiero kiedy udowodniłem, że radzę sobie bez pomocy rekwizytów, Justin powiedział mi, że w ogóle można z nich korzystać. Przez lata może raz na kwartał ćwiczyłem rzucanie całkiem skomplikowanych zaklęć taumaturgicznych bez rekwizytów, żeby moja koncentracja i wyobraźnia się nie rozleniwiły. I cholernie dobrze, że tak robiłem. Jako duch pracowałem z magią bez żadnych pomocy.

Sięgnąłem do pamięci, żeby stworzyć konstrukt, który miał zastępować Molly w zaklęciu śledzącym. W tamtej chwili miałem dużo do przetrawienia i tak naprawdę nie zauważyłem, w jakim stanie była Molly. Widziałem, że żyje w dużym napięciu, ale kiedy uważnie przyjrzałem się wspomnieniu, nieco mną wstrząsnęło, na jak bardzo chudą i zmęczoną wyglądała. Molly zawsze była jedną z tych młodych osób, które wręcz emanują dobrym zdrowiem. Po sześciu miesiącach samodzielności przypominała uciekinierkę z gułagu: wymizerowana, twarda i pognębiona, a może nawet złamana.

Dodałem więcej do tego obrazu. Wyobraziłem sobie jej radosną życzliwość i odrazę do siebie, jaką wciąż czasami czuła z powodu bólu, który sprawiła swoim przyjaciółom w czasach, zanim zgodziłem się zostać jej nauczycielem. Myślałem o jej skupionym, uporządkowanym podejściu do nauki, jakże różnym od mojego, jej

pracowitości i pojawiającej się od czasu do czasu arogancji, cechującej właściwie każdego młodego maga, zanim odbije się od wystarczająco wielu ścian, by zrozumieć, że jest inaczej. Pomyślałem o najpotężniejszej sile w jej życiu, głębokiej i trwałej miłości do rodziny, i dodałem rozpacz, jaką musiała czuć, kiedy została od niej oddzielona. Gorliwa, piękna, niebezpieczna Molly.

Utrzymałem ten obraz praktykantki w swoim umyśle, zebrałem wolę i sięgnąłem do wspomnienia jednego z bardziej pamiętnych zaklęć śledzących, a wszystko to jednocześnie. Ustabilizowałem wzór zmodyfikowanej wersji zaklęcia, które musiałem sklecić, szedłem, żułem gumę i z cicho wyszeptanym słowem wypuściłem czar.

Moc przepłynęła przeze mnie, a precyzyjna, potężna siła zakręciła mną w piruecie. Wyciągnąłem lewą rękę z wyprostowanym palcem wskazującym i czułem mocne szarpnięcie za każdym razem, kiedy mijalem wschód. Po kilku sekundach przestałem się obracać, przekręciłem się nieco poza ten punkt, a później odrobinę cofnąłem. Mój palec wskazujący był wycelowany w sam środek miasta.

– Crombie, możesz mi pozazdrościć.

Podążyłem za zaklęciem do Molly.

\* \* \*

Znów wziąłem się do znikania i za każdym razem przeskakiwałem po kilkaset metrów. Zatrzymałem się dwa razy, żeby sprawdzić zaklęcie i poprawić kurs, choć za trzecim razem zaczynałem się czuć jak ludzka chorągiewka na wietrze. W miarę jak się zbliżałem, musiałem zatrzymywać się częściej, żeby się upewnić, że wciąż kieruję się we właściwą stronę, a szlak zaprowadził mnie do potężnych wież Loop, gdzie budynki wznosiły się tak wysoko, że tworzyły coś, co przypominało strome ściany głębokiego wąwozu, stworzony przez ludzi kanion ze szkła, stali i kamienia.

Nie zaskoczyło mnie zbytnio, kiedy zaklęcie poprowadziło mnie na niższe ulice. Niektóre ulice w centrum mają dwa albo nawet trzy poziomy. Jeden znajduje się na powierzchni, a pozostałe są wciśnięte pod nią. Wiele budynków ma wejścia na górze i na dole, nie wspominając o parkingach, co podwaja liczbę możliwych punktów dostępu.

Było też mnóstwo pustych przestrzeni, niby-uliczek, pasaży i korytarzy technicznych. Tu i ówdzie opuszczone pomieszczenia w piwnicach i podziemiach budynków na górze czekały w milczącej ciemności na przekształcenie w coś innego.

Tam na dole tunele dojazdowe czasem się łączyły i istniało kilkanaście wejść do szalonego, zabójczego labiryntu pod miastem zwanego Miastem na Dole.

Chicagowscy gliniarze regularnie patrolowali niższe ulice. Z Miasta na Dole wyślizgiwały się istoty, by polować w ciemności. Samochody pędziły ulicami, które od chodników dzielił czasem jedynie pas wyblakłej farby.

Ogólnie rzecz biorąc, nie jest to miejsce, po którym zdrowa na umyśle osoba miałaby ochotę spacerować bez celu.

Odnalazłem Molly w jednej z wąskich uliczek. Śnieg wpadł przez kratkę pięć metrów nad nią i pokrywał ziemię. Molly miała na sobie te same łachmany, w których widziałem ją poprzedniej nocy, ręce zaciskała na brzuchu i drżała z zimna. Na policzku miała świeży, ciemniejący siniec. Oddychała ciężko.

– Jeszcze raz. – Z głębi uliczki dobiegł spokojny, chłodny kobiecy głos.

– Jestem z-zmęczona. Nie j-jadłam od półtora dnia.

– Biedactwo. Jestem pewna, że Śmierć zrozumie i zgodzi się wrócić kiedy indziej.

Rozległ się ostry syk i Molly gwałtownym ruchem uniosła lewą rękę z rozcapierzonymi palcami. Wyrzuciła z siebie parę słów i migoczące iskierki obronnej energii wypłynęły z koniuszków jej palców, tworząc płaszczyznę.

Molly po prostu nie miała talentu do magii obronnej – ale to była najlepsza tarcza, jaką widziałem w wykonaniu tej nowicjuszki.

W tarczę uderzyła pędząca biała kula. Powinna się odbić, lecz przeleciała przez tarczę, ledwie zmieniając kurs. Kula uderzyła Molly w lewe ramię i wybuchła migoczącymi jak diamenty odłamkami lodu. Dziewczyna sapnęła z bólu i się zatoczyła.

– Skup się. – Usłyszałem spokojny kobiecy głos. – Wykorzystaj ból. Swoją wolą spraw, by tarcza była prawdziwa. Wiedz, że ona cię ochroni. Jeszcze raz.

Molly uniosła głowę, zęby miała zaciśnięte. Ale zamiast się odezwać, znów uniosła lewą rękę, a wtedy w jej stronę poleciała kolejna kula lodu. Ta uderzyła w tarczę i przebiła ją – ale zmieniła kurs o wiele bardziej niż poprzednia. Przeleciała obok Molly, ledwie muskając jej ramię.

Dziewczyna sapnęła i osunęła się na jedno kolano, dysząc ciężko. Magia wyczerpuje każdego, kto z niej korzysta – a jeśli używa się magii, w której nie jest się zbyt dobrym, człowiek męczy się jeszcze szybciej.

Zadrzałem, widząc Molly w takim stanie. Wiedziałem, jak się czuła. Kiedy Justin zaczął mnie uczyć, jak tworzyć tarcze ochronne, rzucał we mnie piłeczkami do baseballa z maksymalną szybkością. Kiedy mi się nie powiodło, trafiała mnie piłka

poruszająca się z prędkością stu trzydziestu kilometrów na godzinę. Justin mówił, że ból jest doskonałą motywacją i że aktywność była dobrym szkoleniem.

Kiedy ja uczyłem Molly, jak tworzyć tarcze, nie używałem niczego bardziej bolesnego od miękkich śnieżek i zepsutych owoców.

– Na razie wystarczy – powiedziała kobieta. – Jutro przejdziemy do noży.

Molly zadrżała i spuściła wzrok. Mówiąca wyszła spokojnie z głębi uliczki i stanęła nad dziewczyną.

To była moja elfia matka chrzestna, Leanansidhe.

Lea była piękna urodą wykraczającą poza ludzką, jednak było to surowe, głodne, niebezpieczne piękno, które zawsze kojarzyło mi się z polującym kotem. Była wysoka i blada, a jej włosy miały barwę jesiennych liści o zachodzie słońca. Uszy miała odrobinę spiczaste, choć nie jestem pewien, czy nie ukształtowała ich, żeby pasować do ludzkich oczekiwań. Nosila długą suknię z zielonego jedwabiu, całkowicie nienadającą się do ochrony śmiertelnika przed warunkami zewnętrznymi, ale ponieważ była jedną z najpotężniejszych Sidhe z Zimowego Dworu, wątpiłem, by zauważała chłód.

Wyciągnęła rękę i czubkami palców dotknęła włosów Molly.

– Dlaczego? – Głos Molly był niewiele głośniejszy od szeptu. – Dlaczego mi to robisz?

– Zobowiązania, dziecko. Przysługi i lojalność.

– Byłaś winna Harry'emu, by zrobić to mnie?

– Nie, dziecko, nie ja. Ale moja królowa jest zobowiązana wobec niego przez starożytne prawo i zwyczaje. Wysłała mnie, bym kontynuowała twoje szkolenie w Sztuce... a ból jest doskonałym narzędziem nauczania.

– Harry w to nie wierzył. – Głos Molly prawie się załamał. – Nigdy mnie nie zranił.

Leanansidhe pochyliła się, złapała Molly za brodę i podniosła twarz mojej praktykantki, by zmusić ją do spojrzenia w swoje nieludzkie oczy.

– W takim razie wyrządził ci ogromną krzywdę, dziecko. – Lea starannie wymawiała każde słowo. – Odebrał ci dziedzictwo, dla którego zdobyć żył... i cierpiał. Nie uczę cię, jak wiązać liny albo piec ciasta. Przygotowuję cię, byś mogła wziąć udział w walce i przeżyć.

– Brałam udział w walce.

– W czasie której zostałaś postrzelona, i to w dodatku przez zwykłego śmiertelnego żołnierza. – W głosie Lei brzmiała pogarda. – Prawie umarłaś, co byłoby wielce zawstydzające dla twojego mentora, a zatem i dla mojej królowej.

– A jakie to ma znaczenie dla Mab? – W głosie Molly brzmiała gorycz. – On jest martwy.

Lea westchnęła.

– Śmiertelnicy miewają taką obsesję na temat szczegółów bez znaczenia. To się robi męczące.

– Nie rozumiem.

– Twój mentor złożył przysięgę lojalności mojej królowej. Takich przysięg nie składa się lekkomyślnie... i nakładają one wzajemne zobowiązania na obie strony. Drobnymi szczegółami nie zwalniają żadnej ze stron z odpowiedzialności.

– Jego śmierć jest drobnym szczegółem?

– W tego typu sprawach oczywiście, że tak. Wszyscy jesteście śmiertelnikami. Nawet długość życia maga jest czymś krótkim i przemijającym dla nieśmiertelnego. Podobnie wyciągnięcie przez nią ręki, by pomóc tym, których jej wasal znał za życia, jest drobnym szczegółem. Jeśli przeżyjesz kolejne trzy stulecia, dla Królowej Powietrza i Ciemności to niewiele więcej niż dłuższa pora roku.

Molly zamknęła oczy.

– Skłonił ją, by obiecała, że się mną zajmie?

Lea zamrugnęła uprzejmie skonsternowana.

– Nie, oczywiście, że nie, dziecko. Złożył przysięgę lojalności. Ona jest jedną z Sidhe. Przysięga wiąże ją równie mocno, jak jego. Podobnie kiedy ja nie byłam w stanie... – Lea zadrżała – świadczyć usług młodemu Dresdenowi, Mab przejęła tę odpowiedzialność do czasu, gdy mogłam powrócić. To samo robi teraz dla ciebie, poprzez mnie.

Molly przetarła oczy dłonią. Potrząsnęła głową i podniosła się powoli.

– Czy on wiedział? Chodzi mi o to... czy wiedział, że Mab to zrobi?

– Powinienem – powiedziałem cicho. – Gdybym się nad tym zastanowił przez całe dwie minuty. Powinienem wiedzieć. – Ale żadna z nich mnie nie usłyszała.

– Dobrze znałam chłopaka – powiedziała Lea. – Lepiej, niż sobie uświadamiał. Przez wiele nocy strzegłam go i chroniłam, a on o tym nie wiedział. Ale nie byłam wtajemniczona w jego umysł i serce.

Molly powoli pokiwała głową. Przez dłuższą chwilę wpatrywała się w Leę. Moja matka chrzestna po prostu patrzyła na nią i czekała. W końcu Molly powiedziała:

– Jego cień jest w mieście, szukając osoby, która go zabiła.

Blade rudozłote brwi Leanansidhe uniosły się gwałtownie. Była to jedna z najbardziej dramatycznych reakcji, jakie kiedykolwiek u niej widziałem.

– To... wydaje się mało prawdopodobne.

Molly wzruszyła ramionami.

– Użyłam Wejrzenia. To jego duch, z całą pewnością. Konstruktor nie ukryłby się przede mną.

– Sześć miesięcy po śmierci? – mruknęła Leanansidhe. – Rzadko się zdarza, by cień powstał po porze roku, w czasie której został stworzony... a on został zabity ostatniej jesieni... – Zmrużyła oczy. – Interesujące. – Przechyliła głowę i wpatrzyła się w Molly.

– W jakim stanie jesteś?

Molly zamrugła tępo, po czym stwierdziła:

– Potrzebuję zwinąć się w kłębek i przespać tydzień. Umieram z głodu. Jest mi zimno. Chyba się przeziębiłam. Wszystko mnie boli. Chciałabym... – Przerwała i spojrzała z ukosa na Leę. – Dlaczego pytasz?

Sidhe jedynie uśmiechnęła się w odpowiedzi.

Rozległy się kroki, ciężkie i szybkie, i na drugim końcu uliczki pojawił się spory tłumek. Wszyscy wyglądali na twardzieli i nieśli wszelkiego rodzaju sploty, pałki i topory. Wszyscy ubierali się na czarno, do tego stopnia, że wyglądali, jakby robili zakupy w jednym sklepie. I jakby tego było mało, nosili golfy – co do jednego. Dziwne.

Molly syknęła.

– Słudzy. Jak mnie tu znaleźli?

– Powiedziałam im, gdzie szukać – odparła spokojnie Lea.

Molly odwróciła się gwałtownie w jej stronę.

– Że co?

– Nie podzieliłam się miejscem twojego pobytu z samymi Fomorami, dziecko. Jedynie z paroma z ich psów strażniczych. Myślą, że jeśli cię złapią i doprowadzą do Fomorów, to zyskają wielkie uznanie... a nie dałam im dość czasu, by skontaktowali się ze swoimi panami i dostali polecenia. – Uśmiechnęła się, ukazując spiczaste kły. – Inicjatywa u podwładnego bywa kłopotliwa.

Molly mruknęła z obrzydzeniem.

– Nie wierzę w to.

Dwudziestu uzbrojonych zbirów kroczyło przed siebie, emanując spokojem typowym dla zawodowców, którzy się nie śpieszą i zachowują odpowiednie odległości. Wszyscy piorunowali Molly wzrokiem.

Lea uśmiechnęła się złośliwie, już znikając z oczu.

– To dobre szkolenie, dziecko. – Zniknęła w stylu Kota z Cheshire, tyle tylko że pozostawiła swój głos, nie uśmiech. – Zobaczmy, czego się nauczyłaś.

## Rozdział dwudziesty drugi

– Czego się nauczyłam – mruknęła pod nosem Molly. – Przysięgam, któregoś dnia pokażę ci, czego się nauczyłam, ty chuda zdziro.

Później skupiła się na wrogach, odetchnęła, jak ją zawsze uczyłem, by robiła w chwili napięcia, i uspokoiła się. Zaczęła się wycofywać, powoli, spokojnie, krok po kroku. To było sprytne. Gdyby odwróciła się i zerwała do biegu, natychmiast ruszyłaby za nią pogoń. Tymczasem goście w golfach zachowywali profesjonalny spokój i poruszali się miarowo niczym masywny blok mięśni i broni. Wszyscy byli gotowi zabić samotną, wyczerpaną młodą kobietę.

Szumowiny. Nie ma mowy, żeby coś takiego przydarzyło się mojej uczennicy.

Nie próbowałem jeszcze prawdziwej magii ewokacyjnej, szybkiego i brutalnego aspektu gwałtownego czarowania, ale wydawało mi się, że rozumiem podstawową koncepcję. Dlatego dostroiłem się do wspomnienia szczególnie potężnej ewokacji, kiedy pchnąłem szalejącego loup-garou przez jedną ceglana ścianę domu oraz cały budynek po drugiej stronie ulicy. Opuściłem wszystkie szczegóły poza samym wybuchem energii, zniknąłem, pojawiłem się ponownie przed nadchodzącymi sługami i warknąłem:

– *Fuego!*

Strumień ognia i surowa siła kinetyczna wystrzeliły z mojej wyciągniętej prawej dłoni, uderzyły w pierwszy szereg wrogów jak płonąca lokomotywa...

...i omyły ich, bez najmniejszych skutków. Nawet nie poruszyłem ich ubrań.

– A niech to! – krzyknąłem. – To niesprawiedliwe!

Wciąż nie mogłem działać, nie mogłem dotknąć, nie mogłem pomóc.

Molly samotnie stawiała czoło mężczyznom.

Nie przerywała marszu, aż wyłoniła się z uliczki na niewielkim parkingu ogrodzonym betonowymi ścianami, ale pozbawionym dachu. Stała na nim tylko garstka samochodów i zalegało kilka zasp. Na dwóch ścianach parkingu znajdowały się drzwi z zamkami na kartę magnetyczną – najwyraźniej był to parking dla pracowników albo kierownictwa. Czwartą otwór prowadził na niższą uliczkę, którą wypełniał słaby blask żółtawych świateł.

Molly przeszła na środek parkingu i pokiwała głową.

– Co, chłopaki – powiedziała – pewnie nie ma szans, żebyśmy omówili to nad kubkiem kawy u Denny’ego? Umieram z głodu.

Jeden z golfów, najpewniej ich przywódca, powiedział:

– Poddaj się woli panów. Twoje cierpienia zostaną znacznie skrócone.

– Jasne. – Molly poruszyła głową, jakby chciała rozluźnić mięśnie karku, i skinęła na mówiącego. – Jesteś tym, kogo potrzebuję.

Golf przechylił głowę i zmarszczył czoło.

Molly posłała mu buziaka.

Podmuch wiatru, pędzący dolną ulicą, szarpnął jej łachmanami i uniósł długie połę płaszcza jak sztandar po jej bokach – i wtedy wybuchła.

Stało się to tak szybko, że ledwie rozumiałem, co się dzieje, nie wspominając już o przewidzeniu, co się wydarzy. W miejscu, w którym stała moja uczennica, nagle pojawiło się sześć identycznych chudych, złachmanionych postaci biegających we wszystkie strony.

Jedna Molly poleciała na bok, wyciągnęła przed siebie obie ręce i zaczęła strzelać z pary coltów 1911, ich odgłos był charakterystyczny jak znajoma muzyka. Inna zrobiła gwiazdę i zniknęła z oczu za zaparkowanym samochodem. Dwie kolejne, jak zwierciadlane odbicia, pobiegły do obojga drzwi, przesunęły karty w szczelinie i wpadły do budynków. Piąta Molly skoczyła za zaspę, wyłoniła się ze strzelbą i zaczęła strzelać do golfów. Szósta podbiegła do motocykla, podniosła go, jakby był plastikową zabawką, i rzuciła nim w stronę napastników.

Szczęka mi opadła. Jasne, wiedziałem, że dzieciak dobrze sobie radzi z iluzjami, ale... na wszystkie dzwony piekieł. Ja może poradziłbym sobie z jedną z iluzji, które właśnie stworzyła Molly. Raz kierowałem dwiema, ale stawka była bardzo wysoka. Ona właśnie rzuciła sześć. Jednocześnie. Natychmiastowo.

Wpadłem w osłupienie.

Golfy wyraźnie nie wiedziały, jak zareagować. Ci uzbrojeni w broń palną odpowiedzieli ogniem, a wszyscy rozproszyli się w poszukiwaniu osłony. Motocykl przeokoziłkował obok grupy i nie uderzył nikogo, ale huk, jaki rozległ się, kiedy spadł na ziemię, był tak przekonujący, że zwątpiłem w swoje zmysły. Spluwy wystrzeliły kilka razy, a wszystkie iluzoryczne Molly schowały się za zaspami i samochodami.

Zazgrzytałem zębami.

– Nie jesteś jednym z wieśniaków, Dresdenie. Masz wejściówkę za kulisy.

Pochyliłem głowę, na chwilę dotknąłem palcami czoła i otworzyłem własne



Wejrzenie.

Scena gwałtownie zmieniła kolorystykę, z nudnego zimowego monochromu do abstrakcji w rozmazanych, przeplatających się akwarelach. Za zabarwienie odpowiadały ślady magii w powietrzu – Molly uwolniła piekielnie dużo energii w bardzo krótkim czasie i zrobiła to w chwili, gdy była właściwie wyczerpana. Przeżyłem to wystarczająco wiele razy, żeby rozpoznać ten wygląd.

Teraz postrzegałem iluzje jako to, czym naprawdę były – i z tego właśnie powodu Biała Rada nie przykładła dużej wagi do magii iluzyjnej – łatwo mógł ją zneutralizować każdy, kto posiadał Wejrzenie, co oznaczało „każdy z Rady”.

Jednakże przeciwko tej bandzie hipsterów, emo, żalosnych pacholków? Zadziało doskonale.

Molly, ukryta za niemal idealną zasłoną, stała właściwie w tym samym miejscu, co na początku bijatyki. Nie poruszyła nawet jednym mięśniem. Ręce wyciągnęła wzdłuż boków, jej palce drżały, wpatrywała się w dal, a twarz miała nieruchomą i pozbawioną wyrazu. Kierowała teatrzykiem lalek, iluzje były jej marionetkami tańczącymi na sznurkach myśli i woli.

Iluzje Molly były bardzo delikatnie przezroczyste i ziarniste, jak filmy, które pamiętałem z dzieciństwa. Motocykl nie ruszył się z miejsca, w którym stał, okrywała go zasłona o krótkim działaniu.

Golfów nie mogło jednak powstrzymać pół tuzina młodych kobiet, nawet jeśli właśnie pojawiły się znikąd, były uzbrojone i obdarzone nadludzką siłą. Przywódca rzucił kilka rozkazów i mężczyźni zaczęli przeskakiwać piątkami nad zaparkowanymi samochodami, poruszając się ze swobodnym wdziękiem, rzadko widywanym poza olimpiadą i filmami kung-fu. Nacierali w przerażającym skupieniu, jakie widuje się tylko u weteranów. Ci mężczyźni wiedzieli, jak przeżyć w bitwie – zabij, nim sam zostaniesz zabity.

Gdyby choć jeden z nich zbliżył się do Molly, byłoby po wszystkim.

Zastanawiałem się, jakie to byłoby uczucie patrzeć za pomocą Wejrzenia na śmierć swojej praktykantki, i niemal zacząłem bełkotać. Gdyby tak się stało, gdybym zobaczył tę groźbę oczami, które nie pozwoliłyby mi nigdy o tym zapomnieć ani się do tego zdystansować, nic by już ze mnie nie pozostało. Oprócz poczucia winy. I wściekłości.

Zamknąłem Wejrzenie.

– Musi być trudno – odezwała się moja matka chrzestna, stając nagle obok mnie – patrzeć na coś takiego i nie móc wpłynąć na wynik.

– Uch! – powiedziałem, albo coś podobnego, i z czystego zdenerwowania odskoczyłem kilkanaście centymetrów w bok. – Na gwiazdy i kamienie, Lea – wykrztusiłem przez zaciśnięte zęby chwilę później. – Widzisz mnie?

– Ależ oczywiście, panie Rycerzu. – Jej zielone oczy migotały. – Mój obowiązek, by nadzorować wzrost i rozwój duchowy mojego syna chrzestnego, przestałby mieć znaczenie, gdybym nie mogła postrzegać duchów takich jak ty i z nimi rozmawiać.

– Wiedziałaś, że tam byłem, chwilę temu. Prawda?

Jej śmiech był radosny i niegodziwy.

– Twoje pojmowanie rzeczy oczywistych pozostaje znaczące, choć ty sam niekoniecznie.

Nagle pojawiła się zasłona zielono-niebieskiego ognia, wysoka na jakieś dwa metry, i zaczęła przesuwać się szybko przez całą szerokość parkingu, między różnymi Molly a golfami. Płomienie wydawały niesamowite wrzaski, a w ich wnętrzu tańczyły twarze ohydnych istot.

Zamrugalem. Cholera jasna.

Tego dzieciaka nie uczyłem.

– Ech. – Lea przyglądała się scenie. – Ma zdolny umysł, ale wypełniają ją pasje młodości. Pędzi w stronę finału, nie budując w najmniejszym stopniu napięcia koniecznego, by coś tak... ostentacyjnego... zadziało.

Nie byłem pewien, o czym mówi moja matka chrzestna, ale nie miałem czasu na próby wyciągnięcia z niej wyjaśnienia...

Ale przecież miałem. Bo co innego mógłbym zrobić?

– Co masz na myśli? – odparłem uprzejmym tonem. Prawie udało mi się nie zazgrzytać zębami.

– Taki... – wyduła wargi z niesmakiem – ...ostentacyjny i prymitywny pokaz jak ta ściana ognia nadaje się jedynie do straszenia dzieci albo umieszczenia w czymś wyprodukowanym przez Hollywood. Może wywołać krótkotrwałą panikę, jeśli zostanie odpowiednio przygotowany i zastosowany we właściwym czasie, ale poza tym jest bezużyteczny. I, oczywiście, w bardzo złym guście. – Z dezaprobatą pokręciła głową. – Prawdziwa groza jest o wiele bardziej subtelna.

Posłałem matce chrzestnej ostre spojrzenie.

– Co takiego?

– Zasłony są mało przydatne, jeśli na ziemi leży śnieg – wyjaśniła. – No wiesz, odciski stóp. Dość trudno ukryć tak wiele pojedynczych zmian w otoczeniu. Dlatego musi zacząć pracować w innym medium, by przetrwać.

– Przerwij to. Sprawisz, że ona zginie.

– Och, dziecko. – Leanansidhe uśmiechnęła się. – Robiłam to od bardzo dawna. Wszelkie nauczanie wiąże się z elementem ryzyka.

– Aha. I popatrz tylko, co się stało z twoim ostatnim uczniem.

Jej oczy zabłyśły.

– Tak. W ciągu zaledwie dwudziestu lat wyrósł z przerażonego dziecka na broń, która niemal całkowicie zniszczyła światową potęgę. Czerwony Dwór leży w gruzach za sprawą mojego ucznia. I to moja ręka go ukształtowała, przynajmniej w części.

Mocniej zacisnąłem zęby.

– I chcesz zrobić to samo z Molly.

– Potencjalnie. Ma talent do wersimilomancji...

– Wersa czego?

– Iluzji, dziecko – wyjaśniła Lea. – Ma talent, ale tracę nadzieję, czy kiedykolwiek naprawdę zrozumie, na czym polega wzbudzanie przerażenia.

– Tego się od ciebie uczy? Strachu?

– Zasadniczo.

– Nie uczysz jej, matko chrzestna. Nauczyciele tego nie robią.

– Czymże jest nauczanie, jeśli nie sztuką zasiewania i pielęgnowania mocy? Śmiertelnicy paplają o samotnych impulsach przyjemności i darze wiedzy i myślą, że nauczanie jest zawodem takim jak kowalstwo, uzdrawianie albo opowiadanie kłamstw w telewizji. Tak nie jest. To zasiewanie mocy w nowym pokoleniu, nie mniej. W jej przypadku, podobnie jak u ciebie, lekcje wymagają realnego ryzyka, by zdobyć prawdziwą nagrodę.

– Nie pozwolę, byś zmieniła ją w broń, matko chrzestna.

Lea uniosła rudozłotą brew i znów pokazała zęby.

– Powinieneś o tym pomyśleć, zanim umarłeś, dziecko. Co dokładnie zamierzasz zrobić, żeby mnie powstrzymać?

Zacisnąłem dłonie w bezsilne pięści.

Ściana ognia na chwilę zaskoczyła golfy, ale ich nie powstrzymała. Nie była dość wysoka. Widziałem, jak trzej z nich poruszają się razem. Dwaj połączyli dłonie, a trzeci cofnął się, po czym pobiegł w stronę pozostałej dwójki. Biegący umieścił stopę na złączonych dłoniach towarzyszy. Wtedy dwaj mężczyźni podnieśli się, a biegacz skoczył. Wyrzucili go dobre sześć metrów w górę, ponad ścianą płomienia.

Biegacz zrobił w locie eleganckie salto i wylądował przykucnięty, w jednej ręce trzymał maczetę, a w drugiej pistolet. Spokojnie wpakował dwie kulki w Molly

uzbrojoną w strzelbę, a kolejne dwie w tę uzbrojoną w pistolet. Zanim wybrzmiał ostatni strzał, drugi golf przeskoczył nad ścianą i wylądował obok pierwszego – przywódca, jak zauważyłem. Nie miał przy sobie żadnej widocznej broni, choć u pasa miał muszle, zawieszono w sposób sugerujący, że są niebezpiecznym wyposażeniem. Pozostał przykucnięty i rozglądał się uważnie dookoła, a partner go osłaniał.

Molly ze Strzelbą osunęła się powoli na ziemię, wciąż szukając w kieszeni kolejnych naboju; szkarłatna krew zalała świeży śnieg. Głowa Molly Dwie Spluwy poleciała do tyłu, gdy w jej czole pojawił się ciemny otwór, a ciało padło na śnieg jak szmaciana lalka. Molly Rzucająca Motocyklem wrzasnęła i złapała broń zabitej siostry.

Golf czujka uniósł broń, ale Kapitan Golf machnął przecząco dłonią i mężczyzna znów opuścił pistolet. Obaj nic nie robili, kiedy uzbrojona Molly wycelowała i zaczęła strzelać. Znad ziemi podniosły się chmurki śniegu, ale żaden z napastników nie został ranny.

Kapitan Golf pokiwał głową i uśmiechnął się.

Cholera. Domyślił się. Skoordynowane oddziały złych gości to jedno. Skoordynowane oddziały złych gości prowadzone przez kogoś, kto pozostawał spostrzegawczy i opanowany nawet w chaosie walki, były czymś znacznie gorszym.

– Ach, niedowierzenie – mruknęła Lea. – Kiedy cel zaczyna podejrzewać, że chodzi o iluzję, podtrzymywanie jej nie ma sensu.

– Powstrzymaj ich – powiedziałem do Lei. – Matko chrzestna, proszę. Powstrzymaj to.

Odwróciła się i zamrugła.

– A dlaczego miałabym to zrobić?

Kapitan Golf rozejrzał się po ziemi, a ja patrzyłem, jak śledzi wzrokiem ślady stóp pozostawione przez Molly, kiedy wycofywała się na środek parkingu, na samym początku walki. Rozejrzał się, a ja niemal widziałem jego myśli. Splątane ślady biegnące do tyłu nagle kończyły się dwoma wyraźnymi odciskami butów. Jedyna widoczna Molly okazała się iluzją – wobec tego prawdziwa Molly musi być w pobliżu, podtrzymując wciąż aktywne iluzje wokół niego. Gdzie mogła stać?

Ten ostatni zestaw odcisków butów wydawał się logicznym miejscem.

Kapitan Golf wyjął z pasa jedną z muszli, szepnął coś do niej i wprawnie rzucił. Poszybowała przez powietrze i wylądowała zaledwie kilkanaście centymetrów od stóp mojej niewidzialnej praktykantki.

– Och. – Lea wyduła wargi. – Szkoda. Miała tak wielki potencjał.

Posłałem matce chrzestnej najbardziej rozwścieczone spojrzenie i pobiegłem do przodu.

Muszla zaczęła emanować światłem barwy moczu.

Zadziałało z Mortem. Może znów się uda.

Rzuciłem się na Molly, skupiając się na tym, by ją chronić, i odkryłem, że w nią wpływam, łączę się i mieszam od podeszew stóp po czubek głowy. (Co nie miało większego sensu, przecież byłem od niej o wiele wyższy – kolejny przykład, że fizyka niekoniecznie odnosi się do duchów).

Nagle poczułem się całkowicie wyczerpany, przerażony, a jednocześnie przepelniony euforycznym uniesieniem. Czułem różne iluzje tańczące na niciach mojej woli, żądające całkowitego skupienia. Nogi i stopy mnie bolały. Żebra mnie bolały. Twarz i bark bolały mnie jeszcze bardziej.

I nagle poczułem, że się krztuszę i zastanawiam, co się ze mną, do diabła, dzieje.

To ja, dzieciaku, pomyślałem najgłośniej, jak umiałem. Nie walcz ze mną.

Nie wiedziałem, jak działała muszla, ale nie miałem czasu na detale. Wyciągnąłem lewą rękę wraz z wolą i szepnąłem:

– *Defendarius*.

Wokół Molly i mnie pojawiła się nagle migocząca sfera niebieskiej energii.

Muszla zapłonęła jaśniej i wybuchnęła kulą czystego białego ognia, gorącego i morderczego jak mikroskopijna główka nuklearna. Uderzyła w niebieską sferę jak kij w piłeczkę do baseballa. Sfera poleciała, zabierając nas ze sobą. Zaparłem się ramionami i nogami o jej boki, starając się ją utrzymać. Bez bransolety z tarcz nie wiedziałem, jak długo wytrzymam.

Sfera uderzyła w samochód, odbiła się od niego i poleciała w stronę ściany budynku. Przekoziółkowaliśmy, ale dzięki zaparciu się rękami i nogami nie uderzyliśmy głowami o wnętrze sfery. Kołysząc się, potoczyliśmy się w róg parkingu, a kiedy się rozejrzałem, uświadomiłem sobie z żalem, że iluzje Molly zniknęły. Moja wina. Siła tarczy odcięła ją od nich i uniemożliwiła jej ich podtrzymywanie.

Kiedy podniosłem wzrok, zobaczyłem golfy zbliżające się całą gromadą. Rozproszywszy sferę, wylądowałem przykucnięty. Zebrałem więcej woli i przesunąłem ręką od lewej do prawej, jednocześnie szepcząc, a wtedy między mną a nadchodzącymi złymi gośćmi pojawiła się kolejna zasłona ognia.

Jeden z nich prychnął pogardliwie w stronę ściany płomieni i spokojnie w nią wszedł.

Jak już mówiłem, nie jestem zbyt dobry, jeśli chodzi o iluzje.

Z ogniem jednak radzę sobie całkiem nieźle.

Golf nie krzyknął. Nie miał czasu. Jeśli ogień jest dość gorący, człowiek nie czuje ciepła. Nerwy się smażą i czuje się jedynie brak sygnału – zimno.

Zginał w ogniu, ale zmarznięty. W popiołach, które wyleciały z ognia, nie dałoby się łatwo zidentyfikować człowieka.

To przyciągnęło ich uwagę.

Stałem tam, podtrzymując ogień przeciwko pozostałym golfom, płomień zmieniły w parę cienką warstwę śniegu na asfalcie, a później sprawiły, że zaczął się gotować, zmieniając go w moją osobistą fosę z rozpaloną smołą. Podtrzymywanie ognia było ciężką pracą, ale tego nigdy się nie bałem.

Harry, potrzebuję trochę przestrzeni, dobiegła mnie myśl Molly, ledwie słyszalna nad skupieniem niezbędnym do podtrzymywania płomieni.

Zacisnąłem zęby. Przypominało to próbę utrzymania niewiarygodnie ciężkich drzwi w pozycji otwartej, gdy wokół mnie tłoczyło się kilkoro przyjaciół. Odniosłem dziwne wrażenie i poczułem zwiększone znużenie, ale je zablokowałem. Musiałem się skupić, by utrzymać golfy z dala od Molly.

Źli goście znów mi zaimponowali. Wiedzieli, że wielki wysiłek magiczny da się podtrzymywać jedynie przez ograniczony czas. Nie ryzykowali, że stracą w ogniu kolejnych ludzi. Rozegrali to inteligentnie.

Czekali.

Ogień płonął przez kolejną minutę, później dwie, a kiedy moje panowanie nad nim zaczynało słabnąć, coś przyciągnęło moją uwagę.

Migoczące niebieskie światła na niższej ulicy.

Radiowóz chicagowskiej policji zatrzymał się przy wjeździe na parking. Wysiadło z niego dwóch gliniarzy, których widziałem już wcześniej, weszli szybkim krokiem na parking, unosząc latarki. W ciągu około pół sekundy zorientowali się, że dzieje się coś dziwnego, a wtedy oprócz latarek unieśli broń.

Zanim golfy zdążyły odwrócić się do policjantów, ci wycofali się do radiowozu, który nie był bezpośrednio widoczny z parkingu. Wyraźnie słyszałem, jak jeden z nich wzywa wsparcie, antyterrorystów i straż pożarną, a w jego napiętym głosie brzmiał strach.

Poczułem, że śmieję się z wyczerpania i rozbawienia. Wyszczерzyłem się do Kapitana Golfa.

– *Bad boys, bad boys* – zaśpiewałem fałszywie. – *Whatcha gonna do?*

To sprawiło, że Molly zaśmiała się z głębi brzucha, a śmiech ten odepchnął moją

świadomość na bok i wylał się przez nasze usta.

Kapitan Golf przez chwilę patrzył na mnie z twarzą bez wyrazu. Spojrzał na ogień, fosę, a później na policję. Następnie skrzywił się i zrobił krótki gest. Golfy zaczęły poruszać się jak jeden mąż, wycofując się pośpiesznie w stronę, z której przyszły.

Kiedy upewniłem się, że wrogowie zniknęli, odesłałem ścianę i osunąłem się na ziemię. Siedziałem tak przez chwilę oszołomiony niewygodą i zmęczeniem, do których braku najwyraźniej szybko się przyzwyczaiłem. Zapach rozgrzanego asfaltu, dziwnie letnia woń, mieszał się z odorem zwęglonego golfa.

Zadrżałem. Następnie wysiliłem się i wycofałem z przestrzeni zajmowanej przez Molly. Zmęczenie i ból znów zniknęły. Podobnie jak mocne zapachy.

Nowicjuszką podniosła wzrok i rozejrzała się wokół, wyczuwając zmiany. Później powiedziała:

– Zaczekaj, Harry. – Zaczęła grzebać w kieszeniach, aż wyjęła niewielki srebrny kamerton, uderzyła nim o ziemię i stwierdziła: – Mogę cię słyszeć za pomocą tego.

– Naprawdę?

– Jasne, żaden problem. – W jej głosie brzmiało zmęczenie. – I widzieć też, jeśli ustawię go właściwie. A nosi się go łatwiej niż słoik zaczarowanej wazeliny.

– Musimy się stąd zabrać – stwierdziłem. – Zanim pojawią się gliny. Spróbują cię zamknąć na bardzo długo.

Molly potrząsnęła głową.

– Wiem, że jesteś zmęczona. Ale musimy się ruszyć.

– Nie. Żadnych glin.

Uniosłem brew.

– Co takiego?

– Nie było żadnych glin – powiedziała Molly.

Zamrugąłem i spojrzałem na pusty wjazd na parking, po czym na mojej twarzy pojawił się uśmiech.

– Byli kolejną iluzją. A ty sprzedałaś ją golfom, bo myślały, że już wydałaś całą kasę na błyskotki.

– Doskonale – zamruczała Lea, która znów pojawiła się u mojego boku.

Wzdrygnąłem się. Po raz kolejny. Rany, jak ja nie znoszę tych nagłych zjawień.

– Niekonwencjonalna, ale skuteczna improwizacja, panno Carpenter – mówiła dalej. – Dodanie złożoności na metapoziomie oszustwa było natchnione, szczególnie przeciwko tak dobrze poinformowanym przeciwnikom.

– Oho, jestem gwiazdą rocka – powiedziała wolno Molly. – Lekcja skończona?

Leanansidhe spojrzała na mnie, a później znów na Molly. Wciąż się uśmiechała.  
– W rzeczy samej. Obie z nich.



## Rozdział dwudziesty trzeci

Co wyraźnie pokazuje, że nigdy nie jest się zbyt starym, zbyt zblazowanym, zbyt mądrym – albo zbyt martwym – by nie dać się nabrać jednej z fae.

– Wrobiłaś ją – warknąłem – z mojego powodu? Jako lekcję dla mnie?

– Dziecko – powiedziała Lea – oczywiście, że nie. Przeplatało się to z jej własną lekcją.

Molly uśmiechnęła się leciutko.

– Ach tak. Czuję się bardzo wzbogacona przez doświadczenie niemal bycia spopieloną.

– Zobaczyłaś, że twoje przetrwanie zależy od pomocy kogoś innego – odparła moja matka chrzestna ostrym tonem. – Bez pomocy ducha mojego syna chrzestnego umarłabyś.

– Bardzo wielu ludzi może powiedzieć coś takiego – zauważyła Molly. – Bycie jednym z nich nie jest powodem do wstydu.

Lea przeniosła wzrok z Molly na mnie.

– Dzieci. Takie uczuciowe... i tak rzadko wdzięczne. Pozostawię was, byście rozważyli wartość tego, co tego wieczoru pokazałam wam obojgu.

– Chwileczkę – powiedziałem. – Jeszcze nie idziesz.

Lea spoglądała na mnie beznamiętnie.

– Ach tak?

– Owszem. Najpierw dasz Molly pieniądze.

– Dlaczego miałabym to zrobić?

– Ponieważ jest głodna, zmęczona, przeżyła twoją lekcję i musi coś zjeść.

Lea wzruszyła jednym ramieniem.

– A co to ma dla mnie za znaczenie?

Nachmurzyłem się.

– Jeśli jesteś jej mentorką, wsparcie w zaspokajaniu jej fizycznych potrzeb podczas nauki jest domyślnym elementem tego, co was łączy. A skoro i tak mnie zastępujesz, a ja w tym momencie postanowiłbym ją nakarmić, jeśli tego nie zrobisz, nie wypełnisz swoich obowiązków.

Leanansidhe przewróciła oczami i mruknęła z rozbawieniem:

– Oto nadeszła chwila, kiedy postanowiłeś zwracać uwagę na zasady właściwego postępowania, dziecko?

– Najwyraźniej. Przestań być skąpa. Dawaj kasę.

Zmrużyła zielone oczy.

– Nie podoba mi się twój ton, dziecko.

– Przestałaś już budzić we mnie grozę. – Ku mojemu własnemu zaskoczeniu słowa te zabrzmiały spokojnie i rozsądnie, a nie wyzywająco. – To ty masz zobowiązania. Nie żądam rzeczy niemożliwych. Płać.

Leanansidhe odwróciła się całkiem w moją stronę, jej kocie oczy prawie świeciły złością lub zadowoleniem. A może jednym i drugim.

\* \* \*

Molly zamówiła kanapki z szynką i jajecznicą. I gorącą czekoladę.

Siedziałem naprzeciwko niej przy stole w Denny's, opierałem łokieć na blacie, a brodę na dłoni. Stół podtrzymywał moją rękę, bo uznałem, że tak powinno być. Jej kamerton stał pionowo na blacie, brzęcząc cicho, bezpośrednio między nami. Powiedziała, że będzie mnie widzieć, jeśli nie przesunę się za bardzo w prawo lub w lewo.

Molly rzuciła się na jedzenie.

– Czy to nie ty zawsze próbowałaś zmusić mnie, żebym lepiej się odżywił? – zapytałem.

– Daj se siana – mruknęła z pełnymi ustami. – Tam na zewnątrz trwa cholerna epoka lodowcowa. Muszę jeść tłuszcze, białka i węglowodany po to, żeby podtrzymać ogień w palenisku i temperaturę ciała.

– Wiesz, co by ją jeszcze podtrzymało? Przebywanie wewnątrz budynku.

Prychnęła i przez kilka minut mnie ignorowała, zaspokajając wilczy głód. Patrzyłem na nią, co było dziwnie satysfakcjonujące. Przez jakiś czas opiekowałem się nowicjuską. Czułem się dobrze, widząc, jak zaspokaja głód dzięki czemuś, co zrobiłem. Pewnie duchy muszą czerpać przyjemność z drobnych zwycięstw – jak wszyscy inni.

Zaczekałem do chwili, gdy zaczęła dojadać resztki, i wtedy spytałem:

– Powiedz mi, o co chodzi z tym udawaniem Ofelii przed Murphy i resztą towarzystwa?

Zamarła na chwilę, po czym wróciła do przesuwania resztek jedzenia po talerzu, ale z nieco mniejszym entuzjazmem.

– To nie... – Powoli wypuściła powietrze i rozejrzała się niespokojnie po pomieszczeniu. – Powodów jest kilka.

– Słucham.

– Cóż. Kto mówi, że udaję? – Nabiła kilka kawałków podsmażanych ziemniaków na widelec i wrzuciła je do ust. – Popatrz na mnie. Siedzę tu i rozmawiam ze swoim nieżyjącym mentorem. A pół restauracji się tym niepokoi.

Rozejrzałem się wokół. Rzeczywiście, ludzie spoglądali na nią ukradkiem.

– Jasne, ale tu jest prawie pusto.

Zaśmiała się szorstko.

– Od razu poczułam się lepiej. – Uniosła kubek gorącej czekolady do ust i trzymała go tam, a smużki pary zawijały się wokół jej oczu. – No tak. W końcu znalazłeś się we mnie. Chyba powinnam zaproponować ci papierosa.

Zakrztusiłem się i musiałem odchrząknąć.

– Yyy. To nie tak.

– Oczywiście, że nie. – W jej głosie brzmiało napięcie. – Nigdy tak nie było. Nie dla ciebie.

Rozmasowałem kark.

– Molly. Kiedy cię poznałem...

– Byłam dzieckiem, które nie potrzebowało stanika.

– Chodzi też o twojego ojca. Michael...

– Jest jak wuj, którego nigdy nie miałeś. – Jej głos wciąż był spokojny, rzeczowy. – Zawsze pragnąłeś jego aprobaty. Bo on jest dobrym człowiekiem, a jeśli cię docenia, nie możesz być całkowicie do niczego.

Skrzywiłem się.

– Nigdy tak nie powiedziałem.

Patrzyła na mnie przez parę chwil.

– Co nie znaczy, że to nieprawda. Domyśliłam się tego, kiedy miałam siedemnaście lat. Bałeś się, że jeśli mnie dotkniesz, stracisz jego szacunek. Że staniesz się potworem.

– Bałem się, że stracę szacunek do samego siebie. I nie potworem, Molly. Jedynie dupkiem.

– Kiedy byłam dzieckiem – wciąż mówiła bardzo cicho – miałbyś rację. Jestem już dobrze po dwudziestce, Harry. Nie jestem dzieckiem.

– Nie przypominaj mi... – Przerwałem. – Zamierzałem zażartować sobie ze starości. – Spuściłem wzrok na swoją niematerialną osobę. – Ale biorąc pod uwagę całą sytuację...

Prychnęła na tyle głośno, że rozproszyła parę. Pociągnęła długi łyk gorącej czekolady.

– Nieco niestosowne. Nawet gdybyś wciąż żył.

– Ale zabawniejsze.

– To nie ty będziesz patrzył, jak cała twoja rodzina starzeje się i umiera, Harry. – Powiedziała to bez złośliwości. – Nie tylko moi rodzice. Moi bracia i siostry. Wszyscy. Ja będę powoli zyskiwała szacunek innych magów w czasie, kiedy Hope i mały Harry będą umierać ze starości.

– Może będziesz miała szczęście i ktoś cię wcześniej zabije.

Wzruszyła ramionami.

– Lea bardzo się stara. Co będzie, to będzie. Jeśli tylko moja śmierć będzie miała powód, nie mam nic przeciwko.

Jej głos brzmiał tak beznamiętnie, że aż zadrżałem.

– Z wyjątkiem bycia martwą?

– Wszyscy umierają, Harry. Nie ma co skomleć z tego powodu.

Odczekałem kilka chwil i powiedziałem:

– W tym momencie powinnaś stwierdzić, że naprawdę liczy się tylko to, co człowiek robi z własnym życiem.

Odrzuciła głowę do tyłu i zaśmiała się na całe gardło. Jej śmiech brzmiał ciepło i naturalnie. Jednak oczy były odrobinę zbyt szeroko otwarte, a uśmiech miała zbyt napięty.

– Właśnie tak. – Potrząsnęła głową i spojrzała na mnie uważnie. – Czy zawsze tak się czujesz? Kiedy w ten sposób wypuszczasz płomień?

Zamrugalem i spróbowałem przestawić się na inne tory. Nie zrobiłem tego tak gładko jak ona. Ktoś niezyczliwy lub obiektywny mógłby stwierdzić, że to dlatego, że Molly wypadła z torów.

– Yyy. A w czasie walki z tymi Fomorami?

– Nie byli Fomorami – poprawiła mnie Molly. – Byli ludźmi odmienionymi przez Fomory. Nazywamy ich...

– Golfami.

Uniosła brew.

– Ty i Murphy. Nie, nazywają ich sługami. Fomory przy nich majstrują. Montują

różne rzeczy. Skrzela, dodatkowe mięśnie, organy zapewniające echolokację, noktowizję...

Zagwizdałem.

– Same zabawne rzeczy.

Pokiwała głową.

– Te dziwne kawałki tak jakby zmieniają się w galaretkę, kiedy oni umierają. Policja nazywa ich przejściowymi.

Pokiwałem głową i próbowałem mówić swobodnie.

– Dużo ich tu umiera?

– To Chicago. Tu zawsze ktoś umiera. I powinieneś zobaczyć, co te... te zwierzęta robią, Harry. Wyrrywają ludzi z łóżek. Porywają dzieci czekające na szkolny autobus. Dla zabawy torturują ludzi aż do śmierci.

Kiedy mówiła, spokój w jej głosie zaczął pękać. Nie było to nic dramatycznego. Jedynie załamanie głosu, oddech między zdaniami, który był trochę zbyt chrapliwy.

– Nie możesz po prostu stać i nic nie robić. – Pokiwałem głową.

– Nie. Jeśli próbuję, przychodzą we śnie i wrzeszczą. Dlatego...

– Dlatego?

Molly milczała. Nie naciskałem. Minęło pięć minut, nim zamknęła oczy i szepnęła:

– Jest łatwo. Nie powinno być tak łatwo.

Formalnie rzecz biorąc, nie miałem serca. Nie mogło się ścisnąć. Nie mogło się złamać.

Ale i tak to się stało.

– Pierwszy płacił gliniarzowi. Złotymi monetami. Stał tam z małą dziewczynką w torbie na siłownię i płacił gliniarzowi, żeby ten odwrócił wzrok. – Przełknęła ślinę. – Boże, gdybym tylko była taka jak ty. Miała tyle mocy, żeby aż się ze mnie wylewała. Jak woda z hydrantu. Ale ja mam tylko pistolet na wodę. I to nie wyrzutnię wodną, a mały pistolecik. – Otworzyła oczy i spojrzała na mnie. – Ale to wystarczyło. Oni nawet nie wiedzieli o mojej obecności.

– Molly – odezwałem się łagodnie – co zrobiłaś?

– Iluzja. Prosta. Sprawiałam, że worek złota wyglądał jak spluwa. Gliniarz sięgnął po broń i zastrzelił go. Ale sługa pożył na tyle długo, by złamać kark gliniarzowi. – Uniosła dwa palce. – Dwa w cenie jednego. Za jedną malutką iluzję.

Przełknąłem ślinę.

Jej głos powoli nabierał siły.

– Byli inni. Boże, to takie proste. Potrzeba jedynie okazji i odpowiedniego

kuksańca w odpowiedniej chwili. Zielone światło zamiast czerwonego. Nóż w czyjejś dłoni. Albo obrączka na palcu. Dodać plamkę krwi na czyimś kołnierzyku. Są zwierzętami. Rzucają się na siebie nawzajem jak zwierzęta.

– Molly – powiedziałem łagodnie.

– Zaczęłam zostawiać na nich kawałki szmat. Z początku bolało. Bycie blisko tego rodzaju... doświadczenia. Wciąż boli. Ale muszę to robić. Ty nie wiesz, Harry. Co robiłeś dla tego miasta.

– Co masz na myśli?

– Nie wiesz, jak wiele istot po prostu tu nie przychodziło, bo się bały.

– Czego się bały?

Popatrzyła na mnie, jakby pękało jej serce.

– Ciebie, Harry. Mogłeś znaleźć cokolwiek w tym mieście, ale nie dostrzegałeś, jak długi cień rzucasz. – W oczach miała łzy, otarła je pełnym złości gestem. – Za każdym razem, kiedy rzuciłeś komuś wyzwanie, za każdym razem, kiedy pokonałeś istoty, z którymi nie miałeś prawa wygrać, twoja reputacja rosła. A oni bali się tej reputacji. Były inne miasta, w których mogli żerować... miasta, których nie bronił szalony mag Dresden. Bali się ciebie.

W końcu zrozumiałem.

– Szmacciana Pani.

– Czasami to ja. Czasami Lea. Kiedy nadchodzi jej kolej, jest jak dzieciak wypuszczony na plac zabaw. Buduję nową reputację. Tworzę coś innego, czego będą się bać. Nie mogę zrobić tego, co ty zrobiłeś, Harry. – W jej oczach, czerwonych i niebieskich, błyszczało coś niebezpiecznego, zabójczego. Uderzyła dłonią w stół i pochyliła się w moją stronę. – Ale to mogę zrobić. Mogę ich zabijać. Mogę sprawić, żeby skurwiele się bali.

Wpatrywała się we mnie, dysząc ciężko. Dopiero po kilku sekundach rozejrzała się powoli po sali.

Wszyscy wpatrywali się w Molly. Kelnerka stała z szeroko otwartymi oczyma i telefonem przy uchu.

Molly spoglądała na nich przez chwilę, po czym powiedziała:

– Boże, wy to macie dobrze. Nie wiecie. Nie rozpoznalibyście jednego z nich, nawet gdyby do was podszedł i wyrwał wam myśli z głowy.

Podniosła się, złapała kamerton i zostawiła na stole plik zwiniętych banknotów. Wskazała palcem na kelnerkę.

– Odłóż telefon. Albo nie dostaniesz napiwku.

Aparat wysunął się z palców kobiety i uderzył z brzękiem o podłogę.

– Widzisz? – Spojrzała mniej więcej w moją stronę. – To robię. Do tego się nadaję.

Siedziałem tam oszołomiony i załamany, niezdolny wymyślić niczego, co mógłbym powiedzieć albo zrobić, by pomóc Molly.

Patrzyłem, jak moja szalona praktykantka wychodzi z cichej restauracji na mroźną noc.

## Rozdział dwudziesty czwarty

Szedłem ciemnymi ulicami i myślałem. A przynajmniej usiłowałem myśleć.

Kiedy żyłem, wybierałem się na spacer, kiedy musiałem się przez coś przegryźć. Zmuszenie ciała do wysiłku i aktywności sprawiało, że czysto fizyczne aspekty umysłowego problemu przestawały rozpraszać. Już nie miałem ciała, ale nie wiedziałem, jak inaczej poradzić sobie z tyloma tak przytłaczającymi problemami.

Dlatego szedłem, milczący i niewidzialny, z opuszczoną głową, i gorączkowo myślałem.

Jeden fakt rzucał mi się w oczy, płonąc w moim umyśle jaskrawą realnością, podświetlony wszystkimi żywotami, które stały w ogniu wokół mnie:

W ostatecznym rozliczeniu, kiedy liczyło się to najbardziej, dałem ciała.

Dorastałem jako sierota, mając jedynie kilka niewyraźnych wspomnień ojca przed śmiercią. Swojego dzieciństwa nie życzyłbym nikomu. Wpadłem na wielu złych ludzi. Justin był najgorszy – prawdziwy potwór.

Kiedy miałem szesnaście, może siedemnaście lat, wciąż udręczony jego zdradą i pewien, że nigdy nie będę miał niczego przypominającego dom, przyjaciół albo rodzinę, złożyłem sobie obietnicę: nigdy nie pozwolę, by moje dziecko dorastało tak jak ja – przierzucane z domu do domu, łatwa ofiara bez obrońcy, pozbawione stabilności, pozbawione pewności. Nigdy.

Kiedy Susan poprosiła mnie o pomoc w odzyskaniu Maggie, bez zastanowienia dałem z siebie wszystko. Dziecko było moją córką. Nieważne, że nie wiedziałem o jej istnieniu i nigdy nie widziałem jej na oczy. Istniało dziecko z mojej krwi, które potrzebowało mojej pomocy i ochrony. Byłem jej ojcem. Gdyby okazało się to konieczne, umarłbym, by ją ochronić.

I kropka.

Mogłem mieć ważne powody. Mogłem mieć najlepsze zamiary.

Ale zamiary nie wystarczą, niezależnie od tego, jak są dobre. Zamiary mogą doprowadzić do miejsca, w którym można dokonać wyboru.

I liczy się ten wybór.

Aby odzyskać córkę, przekroczyłem granicę. Nie tylko ją przekroczyłem,



z rozbiegu przeskoczyłem na drugą stronę. Zawarłem układ z Królową Powietrza i Ciemności, oddając Mab wolną wolę, własną osobę, w zamian za dość mocy, by rzucić wyzwanie Czerwonemu Królowi i jego potwornemu Dworowi. To była głupota.

Wtedy miałem usprawiedliwienia. Zostałem przyparty do muru. Właściwie zostałem przyparty do muru ze złamanym kręgosłupem. Wszelka pomoc, jaką zdołałem wezwać, wszyscy sojusznicy, wszystkie sztuczki i techniki do mojej dyspozycji nie wystarczyły. Mój dom został zniszczony. Podobnie samochód. Nie mogłem nawet wstać i iść, nie mówiąc już o walce. A siły zebrane przeciwko mnie były wielkie – tak wielkie, że nawet Biała Rada magów bała się stawić im czoło.

W tej ponurej godzinie dokonałem wyboru, by sprzedać duszę. A później poprowadziłem najbliższych przyjaciół i sojuszników na wyprawę, która była właściwie misją samobójczą. Wiedziałem, że taka bitwa odcisnie się na psychice i zmysłach Molly i że nawet gdyby udało jej się przeżyć, mogła zmienić się na zawsze. Zaryzykowałem dwa niezastąpione Miecze Krzyża w moim posiadaniu, posyłając je do walki, choć wiedziałem, że gdybyśmy przegrali, jedne z najpotężniejszych broni dobra na tym świecie zostałyby zdobyte i utracone.

A kiedy zobaczyłem, że ofiarny rytuał krwi, za pomocą którego Czerwony Król zamierzał mnie zniszczyć, można zwrócić przeciwko Czerwonemu Dworowi, użyłem go bez wahania.

Zamordowałem Susan Rodriguez na kamiennym ołtarzu w Chichén Itzá i zmiotłem Czerwony Dwór z powierzchni ziemi. Uratowałem swoją córeczkę.

Stworzyłem doskonałą okazję, by w świecie nadnaturalnym zapanował chaos. Nagłe zniknięcie Czerwonego Dworu usunęło ze świata tysiące potworów, ale to znaczyło jedynie, że dziesiątki tysięcy innych potworów mogły nagle swobodnie powstać i rozwijać się w próżni, którą stworzyłem. Zadrzałem na myśl, jak wiele córeczek innych mężczyzn zostało w efekcie skrzywdzonych i zabitych.

I, niech Bóg się nade mną zlituje... znów bym to zrobił. Nie było to właściwe. Ani szlachetne. Ani dobre. Spędziłem niecałe trzy godziny w towarzystwie córki – i jeśli miało to oznaczać zapewnienie jej bezpieczeństwa, znów bym to zrobił.

Może Biała Rada potrzebowała Ósmego Prawa Magii: prawa niezamierzonych konsekwencji.

Jak porównać jedno życie z innym? Czy tysiące śmierci może ważyć tyle samo, co jedno życie? Nawet jeśli Mab nie miała czasu, by w pełni mnie opanować, jak mogłem być pewien, że sam akt podjęcia decyzji, by przekroczyć tę granicę, nie zmienił mnie w coś potwornego?

Odkryłem, że zatrzymałem się na moście Michigan Avenue nad rzeką Chicago. Sterty śniegu wypełniały noc światłem. Jedynie woda pode mną była ciemna, czarny i szepcący cień, Lete i Styks w jednym.

Podniosłem wzrok na pobliskie wieżowce. NBC. Ten Trumpa. Sheraton. Wznosiły się w noc, wysokie, proste i czyste. W ich oknach migotały złociste światła.

Odwróciłem się i spojrzałem na południe na Loop, na zarys budynków, który tak dobrze znałem. Na Michigan Avenue panował rzadko spotykany spokój. Latarnie. Światła uliczne. Garstka świeżych płatków śniegu, dosyć, by wszystko było ładne i białe, a nie błotniste i brązowe.

Boże, moje miasto jest piękne.

Chicago. Jest szalone i brutalne, i zepsute, i pełne życia, i artystyczne, i szlachetne, i okrutne, i cudowne. Jest pełne chciwości i nadziei, i nienawiści, i pożądania, i ekscytacji, i bólu, i szczęścia. Powietrze śpiewa krzykami i śmiechem, syrenami ulicznymi, wściekłymi okrzykami, strzałami, muzyką. To niemożliwe miasto, w stanie wojny samo ze sobą, wszystkie koszmarnie i cudowne rzeczy łączą się razem, tworząc coś przerażającego i pięknego. I całkowicie wyjątkowego.

Spędziłem tu dorosłe życie, walcząc, krwawiąc, by ochronić jego mieszkańców przed zagrożeniami, które uważali za czysty wymysł.

A z powodu tego, co zrobiłem, granic, które przekroczyłem, miasto oszalało. Fomory i ich golfy. Dziwaczne zamieszki duchów. Skulone grupki przerażonych gości z nadnaturalnej wspólnoty.

Nie chciałem, żeby do tego doszło, ale to nie miało znaczenia. To ja byłem facetem, który dokonał wyboru.

Wszystko było moją winą.

Wpatrywałem się w cichą czerń rzeki. Uświadomiłem sobie, że mogłbym tam zejść. Płynąca woda zakłóciłaby nadnaturalną energię, rozproszyła ją, zniszczyła jej wzorzec.

A ja byłem stworzony z energii.

Czarna, szepcąca rzeka mogła sprawić, by wszystko zniknęło.

Styks. Lete. Nicość.

Moja praktykantka była zgorzkniała, załamana. Moi przyjaciele walczyli w wojnie, która niszczyła ich dusze. Jeden gość, który z pewnością mógł mi pomóc, został porwany, a ja niewiele mogłem na to poradzić. Na wszystkie dzwony piekiel, miałem wielkie szczęście, że znalazłem kogoś, kto mógł mnie usłyszeć.

Co mogłem zrobić?

Co się robi, żeby wynagrodzić to, że zawiodło się wszystkich w swoim życiu? Jak to naprawić? Jak przeprosić za ohydne rzeczy, których nigdy się nie chciało?

Nie pamiętam, kiedy osunąłem się na kolana. Wspomnienia, pobudzone przez rozmyślania, zalały mnie, niemal równie wyraźne i realne jak życie. Te wspomnienia obudziły kolejne i pociągnęły je za sobą, jak kamyki powodujące lawinę. Moje życie w Chicago przetoczyło się nade mną, zmiażdżyło mnie, cały czarny ból i jaskrawa radość sprawiły, że zgiąłem się wpół, i wycisnęły mi łzy z oczu.

Później było cicho.

Było trudno. Ogromna, powolna inercja stawiała opór moim pragnieniom. Ale znów się podniosłem.

Odwróciłem się plecami do rzeki.

To miasto było czymś więcej niż betonem i stalą. Więcej niż hotelami, firmami i barami. Więcej niż pubami, bibliotekami i koncertami. Więcej niż samochodem i mieszkaniem w suterenie.

Było domem. Moim domem.

Słodki dom Chicago.

Ludzie tu byli moją rodziną. Zagrażało im niebezpieczeństwo, a ja byłem jedną z jego przyczyn. Przez to sprawa była jasna.

Nieważne, że nie żyłem. Nieważne, że byłem dosłownie cieniem samego siebie. Nieważne, że mój morderca wciąż gdzieś się kręcił, pomimo niejasnych proroctw kapitana Murphy'ego.

Moje zadanie się nie zmieniło – kiedy demony, groza i istoty nocy zerują na tym mieście, ja jestem gościem, który zaczyna coś z tym robić.

– Czas zacząć coś robić – szepnąłem.

Zacisnąłem dłonie w pięści, wyprostowałem się i zniknąłem.

## Rozdział dwudziesty piąty

Na spotkanie z Fitzem spóźniłem się dziesięć minut, ale on wciąż tam był, ciał się przy pobliskiej witrynie i wyglądał mniej więcej tak samo niewinnie jak jedyne dziecko przy świeżej płamie soku. Na ramieniu niósł wielką, prawie pustą sportową torbę. Na miłość boską. Dzieciak mógł równie dobrze naciągnąć na twarz pończochę i czarną maskę, a na torbie mieć wielki symbol dolara.

Pojawiłem się obok niego i powiedziałem:

– Wyglądasz na rozluźnionego i spokojnego. Założę się, że jeśli napatoczą się jakieś gliny, poproszą cię o rady, jak zachować panowanie nad sobą.

Fitz drgnął, wyraźnie próbował zapanować nad impulsem ucieczki. Później splunął na zamarzniętą ziemię.

– Spóźniłeś się, Harvey.

– Zapomniałem nakręcić zegarek.

– A ja już myślałem, że mój mózg jednak wykonał nieprawidłową operację. – Fitz rozejrzał się po ulicy i potrząsnął głową. – Ale nic nigdy nie jest takie proste.

– Życie bywa do dupy.

– Innymi słowy, jesteś prawdziwy.

– Jestem prawdziwy.

Fitz pokiwał głową.

– Powiedziałeś, że pomożesz. Mówiłeś poważnie?

– Tak.

Podmuch wiatru przesunął jego rude loki na jedną stronę. Pasowało to do jego krzywego uśmiechu.

– W porządku. Pomóż.

– Jasne. Skręć w lewo i idź.

Fitz oparł pięść na biodrze.

– Miałeś mi pomóc ze spluwami.

– Wcale tak nie powiedziałem. Potrzebujesz pomocy, chłopaku, nie narzędzi. Spluwy nic ci nie dadzą. – Zaczekałem, aż zacznie mówić, i dopiero wtedy mu przerwałem. – Poza tym, jeśli nie będziesz grzeczny, dopilnowałem, żeby Murphy

dowiedziała się, gdzie sypiasz ze swoją radosną gromadką cwaniaczków.

– Och – warknął. – Ty... ty sukinsynu.

– Przepraszam?

– Pierdol się.

– Potrzebujesz pomocy. Mogę ci ją zapewnić. Ale w życiu nie ma nic za darmo – powiedział spokojnym, bezdusznym tonem. – Dobrze o tym wiesz.

– Możesz pocałować mnie w dupę. – Odwrócił się.

– Proszę bardzo, idź sobie. Ale odrzucasz jedyną szansę, by wydobyć swoją ekipę spod władzy Łysola.

Zatrzymał się w pół kroku.

– Jeśli teraz zwiejesz, co zrobisz... wrócisz do Łysola? Zabije cię za to, że nie odzyskałeś spluw. A później ekipa Murphy i Szmaciana Pani rozwałą cały budynek. Łysol pewnie wystawi twoich kumpli do wiatru, a później zrobi to samo innej bandzie dzieciaków.

Fitz odwrócił głowę mniej więcej w moją stronę i piorunował mnie wzrokiem. Ale słuchał.

– Pomyśl, chłopaku. To nie musi być koniec świata. Jeśli będziesz ze mną współpracował, będzie miódzio.

Oczywiście, że kłamałem. Ostatnim, czego chciałem, było podsunięcie Murphy, w jej obecnym stanie psychicznym, dogodnego celu. I naprawdę zamierzałem pomóc dzieciakowi – ale doskonale znałem jego nastawienie. Nie uwierzyłby w rycerza na białym koniu. W jego świecie nikt nikomu niczego nie dawał – może poza bólem. W najlepszym wypadku można było liczyć na wymianę, coś za coś, i nawet wtedy zwykle zostawało się okantowanym. Potrzebowałem jego współpracy. Zaproponowanie mu znajomego problemu do rozwiązania było najlepszym sposobem, by to osiągnąć.

– Nie jestem potworem, Fitz. I jeśli mam być szczery, nie obchodźcie mnie ty i twoje zbiry ani co się z wami stanie. Ale sądzę, że możesz mi pomóc... i jestem gotów pomóc ci w zamian.

Chłopak skrzywił się i zwiesił głowę.

– Nie mam zbyt wielkiego wyboru, co?

– Wszyscy mamy wybór – odparłem spokojnie. – Twój jest w tej chwili dość ograniczony. Pójdiesz mi na rękę?

– W porządku. – Fitz splunął. – W porządku. Dobra.

– Świetnie. Skręć w lewo i idź. Mamy kawałek do przejścia.

Fitz spojrział ponuro, wcisnął ręce do kieszeni i ruszył.  
– Do diabła, nie wiem nawet, kim jesteś.  
– Nazywam się Harry Dresden.  
Chłopak aż się potknął.  
– Cholera jasna. Ten... ten Harry Dresden? Zawodowy mag?  
– Jedyne w swoim rodzaju.  
Znów przyśpieszył kroku i potrząsnął głową.  
– Słyszałem, że nie żyjesz.  
– No tak, ale za bardzo się tym nie przejąłem.  
– Mówią, że jesteś szaleńcem.  
– Ach tak?  
Fitz pokiwał głową.  
– Mówią też... – Zmarszczył czoło. Widziałem obracające się trybiki. – Mówią, że pomagasz ludziom.  
– I co z tego?  
– Co jest prawdą?  
– Masz część wskazówek, Fitz. Wiesz, że gadanie nic nie kosztuje. Istnieje tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć.  
Chłopak przechylił głowę, a po chwili nią pokiwał.  
– Aha. No tak. Dokąd idziemy?  
– Odwiedzić starego przyjaciela.

\* \* \*

Ruszyliśmy ulicą w stronę północnego krańca South Side. „Zaniedbana” nie było dobrym określeniem tej okolicy, bo „zaniedbana” sugeruje, że ktoś kiedyś w końcu znów o nią zadba i odnowi. Część Chicago jest niesamowicie ładna, a część wygląda postapokaliptycznie. Jeśli chodzi o ten kwartał, apokalipsa przyszła, chrząknęła i mruknęła „Ech”. W całej okolicy nie było szyb w oknach, jedynie deski, przeważnie chronione żelaznymi kratami, i ziejące otwory.

Przed wejściami do budynków wznosiły się ogrodzenia, dosłownie zwieńczone drutem ostrzowym. Potrzeba by palnika acetylenowego, żeby się przez nie przedostać. Co najmniej jeden z płotów w moim polu widzenia rzeczywiście został przecięty palnikiem acetylenowym. Metalowe klatki otaczały również latarnie uliczne – które i tak nie świeciły. Trudno stworzyć tanią metalową klatkę, która

powstrzymałaby ostrzał z pistoletu.

Każdą płaską powierzchnię pokrywało graffiti, które powinienem pewnie nazywać „sztuką uliczną”. Tyle tylko że w sztuce chodzi o tworzenie piękna. Te malunki były oznaczeniem terytorium, wizualnym odpowiednikiem obsikania drzewa. Zdarzyło mi się widywać wspaniałą „nielegalną” sztukę, ale z całą pewnością nie tutaj. Cały kwartał wypełniało dudnienie przesadnie mocnego głośnika, na tyle głośne, że świeży śnieg drżał i ubijał się nieco ciaśniej.

W okolicy nie było widać nikogo. Nikogo. Jasne, robiło się późno, ale w Chicago to i tak nietypowe.

Patrzyłem, jak Fitz rozgląda się po okolicy i dochodzi do tego samego wniosku, co ja za pierwszym razem, kiedy tu trafiłem – wyraźna nędza, solidne zabezpieczenia, morderczo głośna muzyka, której nikt nie próbował uciszyć.

– To terytorium gangu. – Zatrzymał się gwałtownie. – Jestem sam, nieuzbrojony i nie zamierzam tam wejść.

– Vice Lords. A przynajmniej tak było przed paru laty. To gang o długiej historii, więc zakładam, że wciąż tu są.

– I tak nie zamierzam tam wejść.

– Daj spokój, Fitz. Nie są tacy źli. Jak na gang. Prawie zawsze mają dobry powód, żeby zabić ludzi, których zabijają. I utrzymują spokój na tej ulicy, jeśli nie opóźniasz się zbyt z płatnościami.

– Jasne. Brzmi świetnie.

Wzruszyłem ramionami, choć on tego nie widział.

– W tej okolicy policja reaguje z taką szybkością, że docierają długo po zakończeniu całej sytuacji. Tutejsi mieszkańcy, jeśli wpadną w tarapaty, prędzej dostaną pomoc od członka gangu niż od gliny.

– Jesteś ich fanem?

– Nie. Nie powinno tak być. Gangi to niebezpieczni przestępcy. Rządzą siłą i strachem. Ale przynajmniej nie udają, że są kimś innym.

Fitz skrzywił się i przez chwilę wpatrywał się w puste dłonie.

– Pewnie w mojej sytuacji nie powinienem rzucać kamieniem.

– I tak niczego byś nie stłukł. Nie przydasz mi się martwy. Nie wchodzimy w głąb kwartału. Pierwszy budynek po prawej. Jeśli nie zapuścisz się głębiej, nie przekroczysz granicy.

Fitz zmarszczył czoło.

– Ten z metalowymi roletami?

– Jasne. Pamiętasz, co kazałem ci powiedzieć?

– Tak, tak, pamiętam scenariusz. – Na twarzy Fitz’a malował się grymas. – Możemy mieć to z głowy?

– To nie ja mogę zapukać do drzwi.

Skrzywił się jeszcze bardziej i ruszył.

Budynek, do którego podszedł, był częścią większej budowli, w której niegdyś mieściły się cztery niewielkie firmy – przychodnia, kancelaria adwokacka i niewielki spożywczy. Były teraz wybebeszone i puste. Pozostała tylko czwarta. Na metalowej roletce zasłaniającej wejście znajdowała się jedyna rzecz, która przypominała dzieło sztuki – niemal naturalnej wielkości portret dość przysadzistego anioła. Skraj jego szaty był brudny i obszarpany, a rozczochrane włosy nie ukrywały zaczątków łysiny. W jednej ręce trzymał pączka, a w drugiej obrzyn wycelowany prosto w patrzącego.

– Ha – powiedziałem. – To coś nowego.

Fitz uważnie patrzył na malunek.

– Co to za miejsce?

– Agencja detektywistyczna Ragged Angel.

– Wygląda na zamkniętą.

– Nicka nie stać na mieszkanie. Śpi tutaj. Czasem pije. Może będziesz musiał trochę pohłasować.

Fitz rozejrzał się po okolicy, a później spojrzął na drzwi.

– Aha. Świetnie.

Postukał w metalową roletę. Nic się nie stało. Powtórzył, tym razem postukał trochę głośniej i dłużej. Nadal nic.

– Tik-tak.

Posłał w moją stronę wściekle spojrzenie, a później zaczął walić w roletę głośno i regularnie.

Jakieś pięć minut później rozległ się trzask głośnika, na tyle małego, że mógł być ukryty właściwie na widoku.

– Co? – spytał ktoś zrzędlwym, chrapliwym od whiskey głosem.

– Yyy. Pan Nick Christian?

– A kto pyta?

– Nazywam się Fitz. – Dzieciak mówił głosem nieco wyższym niż zwykle, przez co brzmiał znacznie młodziej. – Harry Dresden powiedział, że jeśli będę miał kłopoty, mogę przyjść do pana.

Na dłuższą chwilę zapanowała cisza, po czym Nick powiedział ponuro:



- Dresden przeszedł do historii.
- Dlatego tu jestem. Nie mam dokąd pójść.

Nick wydawał się zirytowany.

- Do diabła. Kazał ci tak powiedzieć, prawda?

Fitz wydawał się nieco skonsternowany.

- Właściwie to tak.
- Robię się na to za stary – warknął Nick.

Później rozległo się kilka głośnych trzasków i krótki, głośny zgrzyt metalu. Roleta zaczęła się podnosić.

Nick Christian nie zmienił się bardzo od czasu, kiedy widziałem go po raz ostatni. Był niski, w kiepskiej kondycji, dobrze po pięćdziesiątce i miał wnikliwe, uważne ciemne oczy, które widziały wszystko. Jego łysina się powiększyła. Podobnie jak brzuch. Miał na sobie białą koszulkę bez rękawów i bokserki, a w prawej ręce trzymał stary kij baseballowy. Zadrzał i spiorunował Fitz'a wzrokiem.

- Dobra, chłopcze. Nie stój na zimnie. I trzymaj ręce na widoku albo rozwalę ci łeb.

Fitz uniósł dłonie i wszedł do środka. Podążyłem za nim. W drzwiach był próg, ale cholernie słaby, bardziej przypominał folię spożywczą niż ścianę. Pewnie odpowiadało za to łączenie interesów i domu w jednym miejscu. Przebiłem się i ruszyłem za Fitzem.

- Dobra – polecił Nick. – Opuść roletę i zamknij drzwi. Przekręć wszystkie zamki.

Chłopak przez chwilę spoglądał z ukosa na Nick'a. Cwanemu i cynicznemu dzieciakowi nie podobała się wizja zamknięcia w dziwnym budynku z dziwnym starszym mężczyzną.

- W porządku, Fitz – uspokoilem go. – Wykopie cię za drzwi, jeśli będziesz sprawiał problemy, ale cię nie skrzywdzi.

Fitz znów posłał wściekle spojrzenie mniej więcej w moją stronę, ale odwrócił się i wypełnił polecenia Nick'a.

Staliśmy w jego biurze. Wyglądało... Do diabła, wyglądało niemal dokładnie tak jak moje, choć nigdy wcześniej ich nie porównywałem. Stare szafki na akta, ekspres do kawy, biurko i parę krzeseł, które odsunięto pod ścianę, żeby zrobić miejsce na proste łóżko polowe z aluminiową ramą. Nick miał również komputer i telewizor, których brakowało w moim biurze. Nie był magiem – jedynie starym detektywem o żelaznych zasadach i samozwańczej misji pomagania ludziom w odnajdywaniu zaginionych dzieci.

Na ścianie wisiało siedem zdjęć, każde w formacie dwadzieścia na dwadzieścia

pięć centymetrów, przedstawiających dzieci w wieku od sześciu do trzynastu lat. Pierwsze parę było wyblakłych, a ubrania i fryzury już dawno wyszły z mody.

Nick przeszedł za biurko, usiadł, wyjął z najwyższej szuflady butelkę wódki i pociągnął łyk. Zakręcił ją, odłożył i spojrzał z rezerwą na Fitz.

– Nie zajmuję się sprawami z działki Dresdena. Znam swoje ograniczenia.

– Magia – powiedział Fitz.

Nick zadrżał i spojrzał na górną szufladę.

– Tak. Właśnie to. I jeśli przyszedłeś w tej sprawie, masz pecha.

– Nie. Chodzi o gangi. Dresden mówił, że pan je zna.

Nick wzruszył jednym ramieniem.

– Niektóre.

– Człowiek, którego znam, został porwany. Mam opis gościa, który naszym zdaniem to zrobił. – Fitz wyrzucił z siebie wszystko, co pamiętałem o zbirze, który włamał się do domu Morta.

Nick słuchał bez słowa, po czym skinął głową.

– Kim jest dla ciebie ten człowiek?

– Nie mam pojęcia. To pan jest ekspertem.

– Nie porywacz. – Nick westchnął. – Ofiara.

Fitz prawie się nie zawahał.

– Mój wujek.

Nick rozważył te słowa. W końcu powiedział:

– Jestem za stary, żeby wstawać w środku nocy i dawać się oszukać. Wynoś się.

– Niech pan zaczeka. – Fitz wyciągnął rękę. – Proszę zaczekać.

Nick znów otworzył najwyższą szufladę, ale tym razem wyciągnął starego colta 1911. Nie wycelował w Fitz.

– Niezła próba, dzieciaku. Ale żyję w tym mieście już od jakiegoś czasu. Podejź do drzwi i wypuść się na zewnątrz.

– A niech to diabli – mruknąłem. – Fitz, posłuchaj mnie. Powiedz mu to, słowo w słowo.

Fitz posłuchał, pokiwał głową i powiedział:

– Mam powody, żeby nie mówić panu wszystkiego, panie Christian. Dresden powiedział, że się dogadaliście. Że nie chciał pan mieć nic wspólnego z jego stroną ulicy.

– Bo tak jest. Wynoś się.

Podpowiedziałem Fitzowi kolejne zdanie.

– Powiedział również, że był mu pan winien przysługę.

Nick zmrużył oczy.

– Jaką przysługę?

Fitz posłuchał mnie i powiedział:

– Wszystkie pieniądze i całą sławę, jakie przyniosła panu sprawa Astorów.

Nick uniósł brew.

– Wszystkie... – Odwrócił wzrok i pokręcił głową. Nie mógł jednak powstrzymać uśmiechu i w końcu parsknął. Kiedy wreszcie się odezwał, w jego głosie brzmiał śmiech. – To brzmi jak Harry.

Sprawa Astorów dotyczyła zaginięcia małej dziewczynki. Jej rodziców bardziej interesowała sława związana z porwaną córką niż ona sama, więc kiedy dziewczynka pewnego dnia uciekła, wynajęli Nicka Christiana, specjalistę od odnajdywania dzieci, i jego praktykanta, Harry'ego Dresdena, by ją odnaleźli. Tak się stało. Wcale nie została porwana, ale Astorowie zgłosili porwanie na policję, więc pod nieobecność prawdziwego sprawcy wskazali na Nicka i mnie. Oddanie jej pod opiekę rodziców, a jednocześnie uniknięcie więzienia nie było proste. Później podali nas do sądu. Sędzia odrzucił pozew. Ale, tak czy inaczej, odnalezienie dziewczynki kosztowało jakieś dwa tysiące dolarów.

Nick nie chciał brać tej sprawy. Przekonałem go. Chciał dać sobie spokój w chwili, kiedy potwierdziłem, że dziewczynka nie jest przetrzymywana wbrew własnej woli. Przekonałem go, żebyśmy doprowadzili sprawę do końca i upewnili się, że będzie bezpieczna. Kiedy zakończyłem praktykę, prezentem Nicka na zakończenie było darowanie mi tych dwóch patyków, które byłem mu winien.

– Byłeś z nim blisko? – spytał Nick.

– W pewnym sensie mi doradzał. Czasem mam wręcz wrażenie, że nadal stoi tuż obok.

Nick chrząknął.

– Praktykant detektyw czy innego rodzaju?

Fitz zrobił poważną minę.

– Nie wolno mi tego powiedzieć.

– Hm. – Nick pokiwał głową. – Słyszałem, że miał praktykanta. Utrzymujesz te informacje w tajemnicy, żebym nie był zamieszany w całą sytuację.

– Tak.

– I potrzebujesz jedynie informacji? Nie chcesz, żebym pracował w terenie?

– Zgadza się.

– Ach. – Nick podrapał się za uchem. – No tak, jasne. Co jeszcze możesz mi powiedzieć o tym gościu?

Podpowiedziałem Fitzowi.

– Był świrem.

Nick prychnął.

– Cholernie wielu członków gangu to świry, chłopcze. Albo prawie.

– To nie był świr z gatunku „kasa, prochy, seks i przemoc”. Raczej z gatunku „dziwna sekta”.

– Hm. – Nick zmarszczył czoło. – Jest taki jeden, w którym wszyscy przez cały czas noszą bluzy z kapturami. Pojawili się jakieś trzy, może cztery lata temu. Nie nadali sobie żadnej nazwy, ale gangi nazywają ich Wielkimi Kapturami. Niewiele o nich wiadomo.

– Świetnie – powiedziałem do Fitz. – Brzmi jak te dupki, których szukamy. Spytaj go, gdzie mają bazę.

– Tunel pod autostradą Eisenhowera, na południowym krańcu Meatpacking District. Inne gangi uważają ich za szaleńców, że wybrali miejsce, w którym gliny poruszają się tak swobodnie, ale Wielkie Kaptury nie zwracają uwagi policji. – Zmrużył oczy. – Chyba nawet nie ogłosiły, że to ich terytorium. Tyle wiem.

– Ponieważ nie są tak naprawdę gangiem – stwierdziłem. – Doskonale, Fitz. Ruszajmy.

– Dziękuję panu – powiedział Fitz do Nicka.

– Podziękuj Dresdenowi. Nikomu innemu nie powiedziałbym tak wiele.

– Zrobię to. – Fitz przez chwilę wpatrywał się uważnie w Nicka. – Co pan tu robi?

– Jako prywatny detektyw? Dla utrzymania przyjmuję różne paskudne zlecenia, rozwody i takie tam. Ale przede wszystkim szukam zaginionych dzieci.

– Od dawna pan to robi?

– Trzydzieści lat.

– I odnalazł pan jakieś?

– Mnóstwo.

– A w jednym kawałku?

Nick przez dłuższą chwilę wpatrywał się w Fitz. Później wskazał palcem za siebie, na rząd portretów na ścianie.

– Siedmioro? – spytał Fitz.

– Siedmioro.

– W ciągu trzydziestu lat? Tak pan żyje i... siedmioro? I tyle? To wszystko?

Nick odchylił się do tyłu i posłał chłopakowi lekki uśmiech.

– Wystarczy.

\* \* \*

Kiedy wyszliśmy, Fitz powiedział do mnie:

– To wariat.

– Aha. I pomaga ludziom.

Fitz zmarszczył czoło i pośpiesznie opuścił terytorium Vice Lords. Milczał przez kilka kwartałów, najwyraźniej wystarczało mu, że idzie obok mnie i myśli. W końcu podniósł wzrok i spytał:

– Nadal tam jesteś?

– Tak.

– W porządku. Pomogłem ci. Teraz płać.

– Jasne. Na następnym skrzyżowaniu skręć w prawo.

– Po co?

– Żebym mógł przedstawić cię komuś, kto ci pomoże.

Fitz mruknął coś niegrzecznie pod nosem.

– Naprawdę uwielbiasz nie mówić nic ludziom, co?

– Nie tyle to uwielbiam, ile jestem w tym po prostu niezły.

Chłopak prychnął.

– Czy ten gość też pije?

– Nie. Trzeźwy jak ksiądz.

– Doskonale. – Fitz westchnął i powlókł się dalej.

## Rozdział dwudziesty szósty

– Chyba jaja sobie robisz – powiedział Fitz.

Staliśmy pod Świątą Marią od Aniołów. Nazwanie tego budynku kościołem byłoby jak nazwanie jeziora Michigan sadzawką do pluskania. Jest wielki, zajmuje dosłownie cały kwartał i uważa się go za architektoniczny symbol Chicago. Wspaniała budowla, prawdziwe dzieło sztuki neogotyckiej, na zewnątrz i w środku, często służyła jako schronienie dla ludzi w podobnych tarapatach co Fitz.

Dzieciak był w kiepskim stanie. Tego wieczoru sporo przeszliśmy i choć wydawało się, że być może nadchodzi odwilż, to wciąż panował mróz, a nieco mniej lodowaty wiatr nadal przebijał się przez niedobre ciuchy Fitz'a i jego starą kurtkę. Te chude, patykowate dzieciaki mają najgorzej, kiedy nadchodzi zima. Szybko tracą ciepło. Nadrabiał wysiłkiem, ale zaczynał się męczyć, a ja przypomniałem sobie, że najprawdopodobniej nic nie jadł od czasu, kiedy widziałem go przed świtem poprzedniego dnia.

Obejmował się ramionami, drżał i próbował udawać, że nic się nie dzieje. Zęby mu szczykały.

– Znam tu jednego gościa. Podejź do tylnego wejścia i pukaj, aż ktoś otworzy. Poproś o spotkanie z ojcem Forthillem.

Fitz miał sceptyczną minę.

– Co on dla mnie zrobi?

– Na początek da ci koc i coś ciepłego do zjedzenia. Posłuchaj, jestem śmiertelnie poważny. Forthill to porządny gość. Robi właśnie takie rzeczy.

– To mi nie pomoże odzyskać spluw. Nie mogę wrócić bez nich. Jeśli nie wrócę, nie wydobanę ekipy.

– Wejź do środka. Porozmawiaj z Forthillem. Zjedz coś. Jeśli uznasz, że chcesz wrócić i samodzielnie wydobyć broń z zasy, do wschodu słońca będziesz miał mnóstwo czasu.

Fitz zacisnął zęby.

– Twój wybór, stary. Ale chodzenie na głodniaka w takie zimno nikomu nie służy. Mieliście... Ile? Siedem spluw? W większości pistolety maszynowe? Co daje w sumie

jakieś dwadzieścia kilo. Dwadzieścia pięć, jeśli zabierzesz też wszystkie magazynki i amunicję. Myślisz, że uda ci się rozkopać na wpół zamarznąłą zaspę, wydostać całą tę broń, zapakować ją i iść prawie godzinę w największy mróz? Na pusty żołądek? Licząc na to, że nie zauważy cię żaden glina i nie zacznie się zastanawiać, co gość w twoim wieku robi o tak późnej porze na ciemnej ulicy, dźwigając naprawdę ciężką torbę?

Fitz chrząknął.

– Przynajmniej zjedz cholerną kanapkę.

W żołądku chłopaka rozległo się głośnie burczenie i Fitz westchnął.

– Dobra. W porządku.

\* \* \*

Minęło pięć minut, zanim ktokolwiek podszedł do drzwi, a kiedy w końcu się otworzyły, stał w nich surowy mężczyzna ze skwaszoną miną, ubrany w ciężki brązowy szlafrok nieco kojarzący się z mnisim habitem. Ojciec Paolo, który traktował siebie z wielką powagą.

Fitz powiedział mu, że musi zobaczyć się z ojcem Forthillem, że to sprawa życia i śmierci. Dopiero po kilku minutach podkreślania znaczenia pierwszego stwierdzenia ojciec Paolo westchnął i zaprosił Fitz'a do środka.

– Zostań tutaj. – Paolo surowo pogroził Fitzowi palcem.

Fitz wskazał na ziemię, a później pokiwał głową.

– Jasne.

Następnie, kiedy ksiądz zaczął się odwracać, ostentacyjnie zrobił malutki kroczek w bok, wywołując niezadowolony grymas godny co najmniej kardynała.

Prawdopodobnie nie powinienem podważać autorytetu ojca Paolo chichotem, ale przecież to była czysta komedia.

Po chwili w korytarzu pojawił się Forthill, we flanelowej piżamie i grubym czarnym frotowym szlafroku. Na stopach miał grube, puchate kapcie, a resztki jego włosów sterczały we wszystkie strony. Bez okularów jego niebieskie oczy były nieco zmrużone i załamane. Przez chwilę patrzył na Fitz'a, mrugając, po czym spytał:

– Czy mogę ci pomóc, synu?

– Harry Dresden powiedział, że tak.

Forthill uniósł brwi.

– Ach. Powinieneś chyba pójść za mną.

Fitz rozejrzał się i przytaknął.

– Tak myślę.

Forthill przywołał go gestem i poprowadził korytarzem w stronę schludnego, skromnego pokoiku, w którym spał i mieszkał. Całość miała może trzy metry na trzy i zawierała łóżko, biurko, krzesło i parę lamp. Forthill wprowadził Fitza do środka i zamknął za nim drzwi.

– Usiądź, synu.

Chłopak rozglądał się przez chwilę, po czym usiadł na krześle. Forthill pokiwał głową i zajął miejsce na skraju łóżka.

– Zaczniemy od początku. – Oczy księdza błyszczały. – Czy mam zapewnić ci dobre wprowadzenie, żebyś mógł rzucić zwięzłym komentarzem na temat katolickich księży i wykorzystywania młodych mężczyzn, czy wolałbyś sam znaleźć odpowiedni moment w rozmowie?

Fitz zamrugał kilka razy.

– Że co?

– Takie uwagi są najwyraźniej bardzo popularne. Nie chciałbym ci odmówić tej rozrywki.

– Yyy, no. Nie, w porządku, ojcze.

Forthill poważnie pokiwał głową.

– Jak sobie życzysz. Porozmawiamy teraz o twoich problemach?

– Jasne.

– W takim razie może powinieneś zacząć od powiedzenia mi, kiedy Dresden poradził ci, żebyś zwrócił się do mnie po pomoc.

– Yyy.... – Fitz rozejrzał się, jakby próbował mnie znaleźć.

– Powiedz mu prawdę. Tak będzie najlepiej.

Fitz odetchnął głęboko.

– Jakies trzydzieści minut temu, ojcze.

Brwi Forthilla spróbowały zamienić się w tupecik.

– Ach tak?

– Tak. – Fitz rozglądał się niespokojnie. – Ja, no, słyszę martwych ludzi.

– To musi robić niepokojące wrażenie.

– Nie zwariowałem – wtrącił szybko Fitz.

– Wcale tak nie uważam, synu.

Chłopak posłał Forthillowi podejrzliwe spojrzenie.

– Wierzy mi ksiądz?



Starzec uśmiechnął się psotnie.

– Dobrze znam nadnaturalne aspekty naszego miasta... i wiem, że przez ostatnie sześć miesięcy ulice były szczególnie niebezpieczne.

– To... mało powiedziane, ojcze.

Forthill pokiwał głową.

– Jestem pewien, że twoje doświadczenia nie były łatwe. Nie zamierzam dodawać jeszcze ciężaru swojego braku wiary.

Fitz przygryzł dolną wargę.

– Jasne.

– Jestem również świadom – mówił dalej Forthill – że cień Dresdena najwyraźniej macza palce w różnych sprawach. Zakładam, że to z nim rozmawiałeś.

– Tak.

Ksiądz pokiwał głową i rozejrzał się dookoła.

– On... jest tu z tobą, prawda?

– A niech mnie – mruknąłem. – Punkt dla Forthilla.

– Aha. – Fitz westchnął. – On... nie chce się zamknąć.

Forthill zaśmiał się cicho.

– Jest... był... bardzo zdeterminowanym młodym człowiekiem.

– To się nie zmieniło.

– Rozumiem. Synu, z całą pewnością rozumiesz, że to niebezpieczne czasy. Obawiam się, że muszę poprosić cię o jakieś potwierdzenie, że ta istota jest tym, za kogo się podaje.

Fitz spojrział tępo na księdza, a później rozejrzał się po pokoju.

– Słyszałeś to?

– Tak.

Podszedłem do przeciwległej ściany pokoju i precyzyjnie przycisnąłem przez nią głowę. Po drugiej stronie była ciemna przestrzeń, ukryty magazyn wystarczająco duży, by pomieścić parę niewielkich szafek na akta. O istnieniu tego pomieszczenia wiedział jedynie Forthill – do czasu, aż pewnego razu przyjąłem zlecenie od archaniola. Wtedy zobaczyłem razem z Michaeliem Carpenterem, jak ksiądz otwiera tę kryjówkę.

– Podejdź tutaj – powiedziałem. – Postukaj w ścianę, dokładnie tutaj. Forthill będzie wiedział, co to znaczy.

– Yyy, stary. Nie widzę, gdzie jesteś.

Westchnąłem.

– Słyszysz mój głos?

– Jasne, ale jest... no, bezcielesny. Trudno ocenić, skąd dochodzi.

To było rozsądne. Nie słyszał mojego głosu w fizycznym sensie. Jego dar wyczuwania duchów po prostu wyrażał się jako coś, co jego umysł mógł zinterpretować – w tym przypadku bodźce słuchowe.

– W porządku. Podejdź do tylnej ściany pokoju, tej, którą miałeś przed sobą, kiedy wszedłeś przez drzwi.

Fitz zwrócił się do Forthilla:

– On próbuje mi powiedzieć, jak mam udowodnić, że nie robi nas w balona.

Następnie wstał i przeszedł przez pokój.

– Dobra. Połóż dłoń na ścianie – poleciałem. – Teraz przesunij się w prawo. Jeszcze trochę. Jeszcze trochę. Za daleko. W porządku, teraz jakieś dwadzieścia centymetrów w dół i postukaj knykciami.

Fitz zrobił to wszystko i w końcu postukał w ścianę. Później odwrócił się do Forthilla.

– Coś to dla ojca znaczy?

Stary ksiądz zacisnął wargi i pokiwał głową.

– W rzeczy samej.

– Ech. – Fitz pokręcił głową. – Staruszkowie.

Forthill uśmiechnął się na te słowa.

– Cóż, mój synu. Jesteś tak zmarznięty i głodny, jak mi się wydaje?

Fitz próbował zachowywać się nonszalancko.

– Pewnie mógłbym coś przetrącić.

– Kiedy ostatnio miałeś okazję wziąć prysznic?

Chłopak przewrócił oczami.

– A to już jest jednoznaczne.

Ksiądz roześmiał się i powiedział.

– Dresdenie, na pewno się śpieszysz i masz jakiś niezwykle ważny termin, ale nie będę rozmawiał z tobą o interesach, dopóki nie zatroszczę się o tego młodzieńca. – Odwrócił się do Fitz. – Te drzwi prowadzą do mojej łazienki. Jest tam prysznic. Pod umywalką znajdziesz kartonowe pudło, a w nim kilka sztuk odzieży. Trzymam je pod ręką na wypadek takich właśnie sytuacji. Weź, co ci będzie pasować.

Fitz jedynie gapił się i marszczył czoło.

– Yyy. Dobra.

– Umyj się – polecił Forthill stanowczo. – Ja w tym czasie pójdę po coś do jedzenia. Wolisz herbatę czy kakao?

– Yyy. Chyba kakao.

– Doskonały gust. Za pozwoleniem.

Cicho opuścił pokój.

Fitz natychmiast zaczął rozglądać się po pokoju.

– Wątpię, żeby tu było co ukraść. Forthill raczej nie jest materialistą.

– Żartujesz? Rozejrzyj się tylko. Poduszki, koce. – Zajrzał pod łóżko. – Trzy pary butów. To o wiele więcej, niż ma moja ekipa. Zero chodzi w czterech parach skarpet i starych kapciach.

– Facet proponuje ci ubranie i jedzenie. Chyba nie zamierzasz ukraść jego rzeczy, prawda?

Chłopak wzruszył ramionami.

– Człowiek robi, co musi, żeby przeżyć. Każdy tak robi. To nic osobistego. – Popatrzył na szafę Forthilla, w której znajdowało się może sześć kompletów ubrań, i potrząsnął głową. – Ech. Zauważy, jeśli spróbuję zabrać coś z jego rzeczy. – Spojrzał w stronę łazienki.

– Idź. Możesz zamknąć za sobą drzwi. Mówię ci, Forthill jest jednym z dobrych gości.

– To iluzja. Nie ma dobrych gości. Ani złych gości. Są tylko goście.

– Mylisz się.

– Już to słyszałem. Ludzie, którzy chcą cię wykorzystać, zawsze mówią, że są tymi dobrymi gośćmi. Jesteś jednym z nich, prawda?

– Ha. Nie. Jestem aroganckim dupkiem. Ale umiem rozpoznać dobrych gości, a Forthill jest jednym z nich.

– Nieważne. Nie kąpałem się od dwóch tygodni. Jeśli powiem ci, żebyś spadał, zrobisz to? A może będę musiał słuchać twojego trajkotania?

– Przykro mi, Fitz. Nie jesteś w moim typie.

Chłopak prychnął, poszedł do łazienki i zamknął za sobą drzwi. Po chwili usłyszałem szum wody.

Przez chwilę stałem w pustym pokoju księdza i rozglądałem się. Wszystko było proste, skromne, praktyczne i tanie. Kołdra przykrywająca łóżko wyglądała, jakby mogła ją uszyć matka Forthilla, kiedy chłopak szedł do seminarium. Obok łóżka leżała Biblia Króla Jakuba. Ona również robiła wrażenie zużytej i starej.

Pokręciłem głową. Oczywiście mojego życia nie pokazywali w serialu MTV przedstawiającym zbytki sławnych i bogatych, ale nawet ja miałem więcej od Forthilla. Jak człowiek mógł iść przez życie, mając tak niewiele? Nic stałego, nic

wybudowanego, co mógłby pozostawić po sobie. Nic, co świadczyłoby o jego istnieniu.

Pewnie człowiek, który nie skupia się na własnym istnieniu. Człowiek, który bardziej troszczy się o innych niż o samego siebie – aż do poświęcenia całego życia, równie krótkiego i cennego, jak życie wszystkich innych, w służbie wiary i ludzkości. Nie było w tym żadnej chwały, żadnej sławy.

Forthill i jemu podobni żyli w swoich wspólnotach i nie mogli uniknąć przypomnienia, co dokładnie ich omijało. Nigdy jednak nie zwracał na siebie uwagi, nie szukał współczucia ani litości. Jak ciężko musiało mu być, kiedy odwiedzał wielką, kochającą rodzinę Carpenterów, cały czas ze świadomością, że on też mógłby mieć własną rodzinę? Czy poświęcał czas na rozmyślania, jaka byłaby jego żona? Jego dzieci? Nigdy się tego nie dowie.

Pewnie dlatego nazywają to poświęceniem.

\* \* \*

Forthilla znalazłem w kościelnej kuchni, gdzie przygotowywał posiłek z resztek. Kiedy to ja schroniłem się w świątyni, dostałem kanapki. Fitz zasługiwał na solidniejszy posiłek. Ciepła zupa, dwie kanapki – jedna z tuńczykiem, a druga z indykiem – pieczony ziemniak, gotowana kukurydza i mała porcja sałatki.

Kilka sekund po tym, jak wszedłem do kuchni, Forthill przerwał, uśmiechnął się do pomieszczenia i powiedział:

– Witaj, Harry. Oczywiście, zakładając, że to ty.

– To ja, ojciec.

Rzecz jasna, nie mógł mnie usłyszeć, o czym dobrze wiedziałem, ale... czułem, że byłoby to niegrzeczne, gdybym nie odpowiedział.

– Dziś wieczorem przeprowadziłem trudną rozmowę z Karrin. Powiedziała mi, że odnalazła osoby, które wczoraj wieczorem ostrzelały jej dom. I że chcesz, żebyśmy im pomogli.

– Wiem. – Westchnąłem. – To brzmi jak szaleństwo, ale...

– Myślę, że dla Karrin musiałeś brzmieć jak szaleniec – mówił dalej. – Ale ja uważam twoją reakcję za niezwykłą ze względu na współczucie. Mogę jedynie się domyślać, że chłopak jest jednym z członków tego gangu.

Dokończył przygotowywanie jedzenia i odwrócił się mniej więcej w moją stronę.

– Nie martw się. Nie zamierzam wtajemniczać pani Murphy w sytuację,

przynajmniej na razie. Od czasu twojej śmierci jej osąd jest zaćmiony; im dłużej trwa walka, tym bardziej.

Poczułem, że nieco się rozluźniam.

– Miałem na to nadzieję.

– Na razie zapewnię chłopcu schronienie. Porozmawiam z nim. Z pewnością opowie mi ze szczegółami, jak wygląda jego sytuacja. Później będę musiał postąpić w zgodzie ze swoim sumieniem.

– Nikogo nie można prosić o więcej, ojczy. Dziękuję.

Podniósł prostą drewnianą tacę zastawioną posiłkiem Fitz'a i stał tam przez chwilę.

– Szkoda, że nie możemy porozmawiać. Chętnie usłyszałbym o twoich doświadczeniach. Sądzę, że byłoby to fascynujące, kronika jednej z najbardziej tajemniczych funkcji Stworzenia... samej Śmierci.

– E tam. Tajemnica nie znika nawet po przejściu na drugą stronę. Jest tylko jeszcze więcej biurokracji.

– To również interesujące, że przebywasz na poświęconej ziemi – zauważył Forthill. – Jeśli dobrze pamiętam, ostatni duch, który próbował wejść do tego kościoła, nie mógł nawet dotknąć budynku, nie wspominając o swobodnym poruszaniu się w jego wnętrzu. Co to znaczy? – Pokręcił głową z konsternacją. – Pewnie to ciebie powinienem spytać, co?

Skinął głową w uprzejmym, choć nieco źle wycelowanym pożegnaniu i wyszedł.

Pytanie było doskonałe, ta cała sprawa z duchami i poświęconą ziemią. Kiedy Leonid Kravos, znany również jako Koszmar, przybył, by zabić jednego z moich klientów, którego ukryłem w kościele, nie udało mu się nawet wejść do środka. Z czystej frustracji zniszczył ogród, którego urządzenie kosztowało dobre kilkanaście tysięcy dolarów.

Koszmar był potężniejszym cieniem niż ja w tej chwili. Dlaczego więc ja czułem się tu jak u siebie w domu, podczas gdy on został powstrzymany jak zły wilk przez domek trzeciej małej świnki?

– Do zapamiętania. Zająć się mistyczną anomalią później. Teraz pomóc przyjacielom.

Czasami udzielam sobie doskonałych rad. Z rzadka nawet ich słucham.

Nadszedł czas, by odwiedzić Szare Widmo i Wielkie Kaptury.

## Rozdział dwudziesty siódmy

Kierowałem się w stronę kryjóWKi Wielkich Kapturów, pamiętając o kilku ważnych faktach.

Fakt pierwszy: Same Wielkie Kaptury nie mogły zrobić mi krzywdy.

Fakt drugi: Guzik mogłem zrobić Wielkim Kapturom.

Fakt trzeci: Wielkimi Kapturami najwyraźniej kierowało to Szare Widmo, które podczas ataku na dom Morta rzucało piorunami. To znaczyło, że Szare Widmo było cieniem kogoś z talentem na poziomie co najmniej czarownika. Choć byłem pewien, że obroniłbym się przed takim atakiem, gdybym był na niego gotów, gdybym został zaskoczony, mógłbym w mgnieniu oka skończyć jak sir Stuart.

Fakt czwarty: Szaremu Widmu towarzyszyła banda lemurów. Choć moje widmowe ewokacje nie wpływały na żyjących, z całą pewnością zadziałyby na lemury i im podobne istoty. Bez trudu poradziłbym sobie z nimi jeden na jednego, ale wydawało się bardziej prawdopodobne, że zaatakują mnie falami albo spróbują mnie zmęczyć, najpierw rzucając na mnie hordę upiorów.

Fakt piąty: Jeśli Szare Widmo wydawało rozkazy śmiertelnym kultystom, mogli podjąć własne środki dla ochrony przed duchami. Mogły tam być kręgi pułapki. Osłony albo inne magiczne bariery. Niebezpieczne substancje w rodzaju duchowego pyłu. Gdybym wszedł do środka cały radosny i wesolutki, mógłbym wpakować się w poważne tarapaty.

Fakt szósty: We wszechświecie istniały wszelkiego rodzaju duchowe istoty, a duchy były jedynie niewielkim ich wycinkiem. Musiałem być gotów na wszystko. Mogła się napatoczyć inna istota przyciągnięta przez konflikt. Do diabła, o ile wiedziałem, jedna z nich mogła już maczać w tym palce.

– Żadnych wąskich horyzontów, Dresdenie – poleciłem sobie. – Nie daj się oszukać, że ten problem jest ograniczony i na małą skalę. Jest bardzo prawdopodobne, że to część o wiele większego problemu.

Jeśli moje życie po życiu miało być podobne do mojego wcześniejszego życia, wydawało się, że to bezpieczne założenie.

Fakt siódmy: Do diabła, prędzej czy później nadejdzie pora, bym zabrał się do

udzielania dawno zaległej reprimendy.

Wróciłem do kilku wyrazistych wspomnień sytuacji, kiedy to właśnie zrobiłem. W mojej głowie przewijały się obrazy przemocy, płomieni i ohydnych wrogów, wyraźne i niemal rzeczywiste. Emocje, które towarzyszyły tym wspomnieniom, również się załapały, ale oddalone o krok, na tyle odległe, bym mógł je przetworzyć, zidentyfikować.

Gniew, rzecz jasna. Gniew na stwory, które próbowały skrzywdzić niewinnych, moich przyjaciół albo mnie. Ten gniew był dla mnie jednocześnie bronią i pancerzem w chwilach śmiertelnego zagrożenia. Zawsze tam był, a ja zawsze z radością przyjmowałem jego nadejście – przepelniająca złość jest nieskończenie lepsza od przepelniającego przerażenia. Ale kiedy patrzyłem na nią w swoich wzmocnionych wspomnieniach, czułem lekkie mdłości. „Gniew” był słowem, którego używaliśmy do opisania „złości”, gdy była wykorzystywana w służbie dobra – ale to jej nie uświęcało ani nie czyniło bardziej chwalebna. Wciąż była złością. Gwałtowną, niebezpieczną złością, równie morderczą jak lecąca kula. Po prostu przypadkiem była to kula wycelowana w dogodnym kierunku.

Dalej strach – zawsze strach. Nieważne, jak odważni jesteście. Kiedy coś próbuje was zabić, boicie się. To bezmyślna reakcja gadziego mózgu. Nie da się jej powstrzymać. Odwaga oznacza nauczenie się, jak działać mimo strachu, jak odepchnąć na bok odruch ucieczki albo całkowitego poddania się złości zrodzonej ze strachu. Odwaga oznacza wykorzystywanie mózgu i serca, kiedy każda komórka ciała każe walczyć lub uciekać – a później robienie tego, co uważa się za właściwe.

Biała Rada oskarżała mnie, że wywołałem zamęt z różnymi nadnaturalnymi siłami zła, i choć nie jestem na tyle arogancki, by uważać swoje błędy za źródło wszelkich problemów tego świata, pewnie mieli rację. Mam problem z dręczycielami i autorytetami. I nie zamierzam stać z boku i nic nie robić, kiedy ofiarami są ci, którzy nie potrafią sami się obronić.

Ale jak wiele z tego było odwagą, a jak wiele wynikało z faktu, że z radością przyjąłem swoją najpewniej słuszną złość, by nie czuć strachu? W miarę jak wspomnienia przelatywały obok, widziałem, jak raz za razem rzucam się w ogień – czasami dosłownie – by pomóc komuś, kto tego potrzebował, lub zabić coś, co należało zabić. Przyływy emocji napędzały mnie, dodawały mocy mojej magii i wiele razy pozwoliły mi przetrwać w sytuacjach, w których nie powinno mi się to udać.

Jednakże kiedy napędzała mnie adrenalina, rzadko się zatrzymywałem, by zastanowić się nad dalszymi konsekwencjami swoich działań. Ratując Susan z rąk

Bianki z Czerwonego Dworu, poważnie ubliżyłem całemu narodowi wampirów. Kiedy diuk Ortega pojawił się, by wyzwać mnie na pojedynek, przywrócić honor Czerwonemu Dworowi i powstrzymać wojnę, skończyło się krwawą jatką – a mi nawet nie przyszło na myśl, by spróbować doprowadzić do innego zakończenia. W konsekwencji katastrofalnego pojedynku mag nazwiskiem Ebenezar McCoy, mój dziadek, sprowadził starego radzieckiego satelitę z orbity, prosto na twierdzę Ortegi. Nikt nie przeżył. Wtedy Arianna, żona Ortegi i córka Czerwonego Króla, zapragnęła zemsty, a Czerwony Dwór zaczął pełnowymiarową wojnę.

Zemsta Arianny przyjęła postać zamordowania rodziny zastępczej mojej córki i porwania jej. Kiedy Susan się o tym dowiedziała, skontaktowała się ze mną. A ja znów bez namysłu rzuciłem się w ogień.

Nic z tego nie musiało się wydarzyć. Jasne, nie byłem jedynym gościem na świecie, który wpłynął na przebieg wydarzeń. Wiedziałem o tym. Ale byłem gościem, który z przygnębiającą regularnością znajdował się w punkcie zwrotnym między możliwymi wynikami. Czy mogłem zrobić coś inaczej? Czy w ogóle mogłem się tego dowiedzieć?

W swoich wspomnieniach znów zamordowałem Susan Rodriguez.

Mówią, że czas leczy rany, ale jakimś sposobem wiedziałem, że przed tym nie uda mi się uciec. Jasne, od wydarzeń tamtego wieczoru minęło jedynie kilka dni mojego subiektywnego czasu, więc wspomnienie było świeże i boleśnie wyraziste. Jednak czas nie mógł zbyt wiele pomóc na to, co zrobiłem. I pewnie nie powinien.

Chciałem zrobić krzywdę Szaremu Widmu i jego wesołej gromadce cieni. Chciałem zrobić im dużą krzywdę, żeby poczuli jad gotujący się w moim żołądku. Chciałem rzucić się na nich i zmiażdżyć ich na kawałki swoją wolą.

Ale...

Może powinienem zatrzymać się na chwilę. Może powinienem się zastanowić. Może powinienem odrzucić złość i strach i dążyć do rozwiązania wykraczającego poza wyważenie kopniakiem drzwi i zmiażdżenie wszystkiego na mojej drodze. Rozegrać to sprytnie. Rozegrać to odpowiedzialnie.

– Trochę za późno na tę lekcję. Prawda, tępaku?

Nie. Nigdy nie było za późno, by się czegoś nauczyć. Przeszłość w każdym przypadku pozostaje niezmienna. Przyszłość jest jedynym, co możemy zmienić. Lekcje z przeszłości są jedynym sposobem, by ukształtować teraźniejszość i przyszłość.

Dlaczego tak bardzo chciałem walczyć?



– Pomyśl tylko, geniuszu – powiedziałem do siebie. – Może ma to jakiś związek z Maggie?

Maggie. Moja córeczka. Nie zobaczę, jak będzie dorastać. Nie zauważę żadnych oznak rodzącego się talentu, bym mógł ją uczyć i dać jej wybór, jak przeżyć resztę życia. Nigdy nie usłyszę, jak śpiewa piosenkę, nie zobaczę, jak przebiera się na Halloween, ani nie wyślę jej gwiazdkowego prezentu. Nigdy...

W pewnym momencie tej mrocznej burzy żalu na całej powierzchni mojego ciała wybuchł ogień, szalejący czerwono-złoty płomień. Z początku nie był gorący, ale później zrobił się nieprzyjemny i zaraz poczułem prawdziwy ból. Zaciśnąłem zęby, zamknąłem oczy i zmusiłem się do zapanowania nad myślami, spróbowałem zastąpić wściekłość chłodną, spokojną logiką.

Kilka sekund później ogień zgasł. Powoli otworzyłem oczy i spojrzałem na wypalone dziury w płaszczu i parę pęcherzy na odsłoniętej skórze. Z pęcherzy sączyła się przezroczysta ektoplazma.

– No tak. Możesz mieć problemy z panowaniem nad złością, kiedy chodzi o Maggie, Harry.

Ha. Tak sądzisz?

– *Got a rocket* – zaśpiewałem – *in your pocket. Turn off the juice, boy.*

Piosenki z musicali? Serio? Nie dość, że zacząłeś mówić sam do siebie, stary, to teraz jeszcze występy, pomyślałem.

Ale muzycznie nastawiony ja miał rację.

– Rozegraj to na spokojnie, chłopcze – szepnąłem. – Naprawdę spokojnie.

\* \* \*

Zbliżyłem się do kryjówki Wielkich Kapturów niebezpośrednio i ostrożnie. Można by mnie nawet oskarżyć o nadmierną ostrożność. Okrążałem ją ze wszystkich stron, w tym z góry, zataczając spirale, która stopniowo się zacieśniała. Do tego przez cały czas otaczała mnie zasłona. W postaci duchowej nie była wcale łatwiejsza, niż kiedy miałem ciało, i wciąż nie umiałem rzucić najlepszej zasłony na świecie, ale udało mi się – jeśli nie uczynić się niewidzialnym, to przynajmniej trudnym do dostrzeżenia.

Nie przybyłem tu, by walczyć. Przybyłem, by się czegoś dowiedzieć. Mort potrzebował mojej pomocy, ale być może najlepszym sposobem jej udzielenia nie było rzucenie się do ataku jak rozszalały nosorożec. Wiedza to moc. Potrzebowałem całej dostępnej mocy, jeśli miałem pomóc Mortowi.

Problem polegał na tym, że Szare Widmo najwyraźniej zgromadziło wsparcie duchowe i cielesne – a ja nie mogłem walczyć z przeklętymi ześwirowanymi zbirami, którzy przypadkiem składali się z materii. Potrzebowałem pomocy. Może mógłbym znów wskoczyć w Morta i wyrzucić z siebie dość mocy, by pozwolić mu na ucieczkę – zakładając, że Mort w ogóle pozwoliłby mi wejść. Za pierwszym razem cholernie mu się to nie podobało. I zakładając, że był wolny i zdolny do ucieczki, a mnie udałoby się zneutralizować jego materialnych strażników. Nie miałem żadnej gwarancji, że tak będzie.

Sądziłem, że wskazówka od Nicka była dobra. Uznałem, że zidentyfikowałem właściwą bandę prymitywów, i wierzyłem w jego znajomość ulic Chicago. Po całym życiu, które na nich spędził – i przetrwał – Nick był ekspertem. Policjanci zajmujący się gangami czasem przychodzili do niego po poradę. A on czasem nawet im odpowiadał.

Ale każdy ekspert mógł się mylić. Jeśli Szare Widmo było dość przebiegłe, by mieć kryjówkę inną niż kwatery swoich przydupasów, i ukryło tam Morta, zmarnowałbym mnóstwo czasu. Ale jakim sposobem mogłoby zorganizować sobie coś takiego bez fizycznej pomocy? Przypuszczałem, że jeśli było dość silne, mogło mieć własną dziedzinę w Nigdyningdy – świecie duchów. Kiedyś zajmowałem się duchem niejkiej Agathy Haggleshorn, która miała własny kieszonkowy wymiar, zawierający kopię Chicago z epoki wiktoriańskiej.

(Spalił się).

(Nie ja za to odpowiadałem).

Tak czy inaczej, musiałem wziąć pod uwagę, że Szare Widmo miało podobne zasoby. Byłaby to doskonała kryjówka, pozwalająca uniknąć irytujących rzeczy w rodzaju wschodu słońca, światła dnia i niedawno zmarłych magów.

Zatrzymałem się na chwilę, by rozważyć ten pomysł. Zastanawiałem się, czy mógłbym stworzyć sobie własną dziedzinę. Teoretycznie wiedziałem, jak to miało funkcjonować. Jasne, w magii teorię od praktyki dzieli mniej więcej taka sama odległość jak w fizyce, ale nie jest to przepaść nie do przebycia. Byłem względnie pewien, że da się to zrobić. Może udałoby mi się skłonić Buttersa, żeby pozwolił mi przez parę minut porozmawiać z Bobem o kwestiach fachowych. Byłem pewien, że on wiedział, czego potrzebowałem, by to osiągnąć.

Ale jak miałyby wyglądać? Teoretycznie mógłbym zmienić ją, w cokolwiek zechcę. Z pewnością istnieje jakiś przelicznik energii na powierzchnię, który nakładałby pewne ograniczenia, ale gdybym zechciał, mógłbym sprawić, by wyglądała jak Tadz

Mahal albo stary salon Aladyna, w którym grałem w gry wideo, zanim moja magia to uniemożliwiła. Mógłbym mieć rezydencję. Pewnie mógłbym sobie stworzyć lokaja, gdybym zechciał.

Westchnąłem. Bob jako swój pierwszy i najbardziej konserwatywny wkład z całą pewnością zaproponowałby francuskie pokojówki kołyszące się na wysokich obcasach. Później mogło być już tylko gorzej.

W ostatecznym rozliczeniu moja dziedzina mogła być tylko jedną z dwóch rzeczy – Burger Kingiem albo moim starym mieszkaniem. Tym, które spłonęło razem z resztą mojego życia.

Nagle rozważania nad własną dziedziną przestały do mnie przemawiać.

– Przestań marnować czas – powiedziałem sobie.

Otrząsnąłem się z tych myśli i znów ruszyłem w stronę klubu Wielkich Kapturów, próbując wywęszyć magiczną obronę. Najbardziej prawdopodobne wydawały się zaklęcia ostrzegawcze, ale musiałem zakładać, że widmowy czarownik mógł doprowadzić do równie wielkich zniszczeń jak śmiertelny. Mogłem natknąć się na cokolwiek, od łatwo wpadających w gniew istot po magiczny odpowiednik miny przeciwpiechotnej typu claymore.

Do diabła, widziałem gniazdo wampira, w którym wykorzystywano prawdziwe miny przeciwpiechotne. Paskudne zabawki. Powinienem mieć oko również na materialne środki obrony, na wypadek gdybym musiał ostrzec Murphy i jej ekipę, kiedy pojawię się w czasie misji ratunkowej.

– W czasie operacji – poprawiłem samego siebie. – Brzmi fajniej, kiedy nazywa się to operacją. – Zbliżyłem się wciąż okryty zasłoną i wyczulony na wszelkie możliwe zagrożenia. – Zdecydowanie. Murphy z całą pewnością nazwałaby to operacją.

Wejście do kryjówki znajdowało się dokładnie tam, gdzie powiedział Nick, pod estakadą, w miejscu, gdzie stalowe drzwi prowadziły do dawnych magazynów służb miejskich. W bezpośredniej okolicy mostu nie natrafiłem na żadną podejrzaną magię, co miało sens. Gdybym zamierzał otoczyć własną kryjówkę zaklęciami wykrywającymi, nie zadałbym sobie trudu, by umieszczać je tam, gdzie każdego ranka zostałyby wymazane przez wschód słońca.

Aby stworzyć coś, co przetrwałoby dłużej niż jeden, najwyżej dwa dni, niezbędny był spory wysiłek. Konieczny był przynajmniej jakiś materialny przedmiot, w którym ukrywałaby się energia zaklęcia. Formalnie rzecz biorąc, mogła to być dowolna rzecz i zdarzało się, że magowie wykorzystywali to, co akurat w danej chwili mieli w kieszeni. Pewnie stąd się biorą te wszystkie stare opowieści o zaczarowanych

wrzecionach, grzebieniach, szczotkach i lusterkach.

Przeważnie magię wlewano w wyrzeźbione lub wymalowane symbole. Raz wykorzystałem wynajęty magazyn jako kryjówkę, na wypadek gdyby wszystko poszło w diabły. Farbami różnych kolorów namalowałem około setki drobnych zaklęć ochronnych na ścianach, podłodze i suficie. Ich energia została zmagazynowana w farbie, bezpieczna przed wschodem słońca i gotowa rozwinąć się w tarczę w chwili, gdy symbole wyczułyby dotyk wrogiej magii.

Ale zaklęcie monitorujące nie mogło pozostawać w uśpieniu. Wręcz przeciwnie, musiało przez cały czas się „rozglądać”. To oznaczało ciągłe zużywanie niewielkich ilości energii, co z kolei czyniło je wrażliwym na wschód słońca. Zaklęcia w typie miny przeciwpiechotnej były o wiele prostsze, jak moje zaklęcia ochronne, tyle że działały z większym hukiem. Nie zdziwiło mnie, że nie natrafiłem na żadne z nich wokół kryjówki. Mało kto miałby ochotę urządzić sobie piknik pod estakadą, ale w końcu to było Chicago i w ciągu dnia w okolicy kręcili się różni ludzie. Gdyby jakaś przypadkowa osoba została straszliwie poparzona, z pewnością przyciągnęłoby to uwagę miejscowych władz, a być może również Białej Rady. Szare Widmo nie sprawiało wrażenia idioty. Żadnych zabójczych pułapek nie pozostawiono w miejscu, gdzie mógłby na nie przypadkiem wpaść jakiś dzieciak albo menel.

Ja też bym ich tak nie zostawił. O wiele większy sens miało umieszczenie zaklęć ostrzegawczych pod ziemią, na tyle głęboko, by ciągła obecność ziemi chroniła energię zaklęcia przed zakłóceniami.

Szare Widmo było bystre. Ciekawie miało się zrobić jakieś pięć do siedmiu metrów niżej.

Zakończyłem ostatnie okrążenie terenu i zbliżyłem się do drzwi. Wyciągnąłem rękę i zatrzymałem się z dłonią o jakieś dwa-trzy centymetry od metalu. Wyczuwałem tam coś delikatnego, ale obecnego, jak przyciąganie starego, słabego magnesu. Zmarszczyłem czoło i skupiłem się na nim – i natrafiłem na zaklęcie niepodobne do czegokolwiek, co w życiu napotkałem.

Było to coś podprogowego, wysyłającego rodzaj przyzywającej energii, której bym nie wyczuł, gdybym nie szukał właśnie czegoś takiego. W innym przypadku zostałyby zagłuszona przez energię tła miasta i jego mieszkańców. Wyciągnąłem rękę, by dotknąć strumienia mocy wypływającego nieprzerwanie na zewnątrz. Oblał powierzchnię mojej dłoni, mrowienie sprawiło, że zadrzałem.

Lepiej nie bawić się nieznaną energią. Poza tym miałem co innego do roboty. Opuściłem dłoń i zrobiłem krok w stronę źródła muzyki, którą w pewnym momencie

zaczęłam słyszeć w głowie. Marnowanie czasu na powierzchni nie miało sensu. I nie słyszałam tej piosenki od lat, ale wciąż mogłem ją zaśpiewać. Zaczęłam nucić i...

...i zatrzymałem się z nosem centymetr od stalowych drzwi.

Oblał mnie zimny pot.

Na wszystkie dzwony piekieł. To nie była magia wagi ciężkiej, ale miała wielką moc. Kilka sekund po jej dotknięciu niemal przeszedłem na ślepo i bezmyślnie przez drzwi, nie myśląc o tym, co czekało na intruzów po drugiej stronie. Dopóki nie zajrzałem do środka, nie wiedziałem, co tam dokładnie było, ale z całą pewnością nie kosz delikatesowy i butelka wina.

Cofnąłem się od drzwi i syreniego zaklęcia z, jak uważałem, stosownie darwinowskim uznaniem dla niebezpieczeństwa, jakie stanowiło. Jasne, nie rozwaliby mnie na kawałki jak jedno z zaklęć ochronnych w moim starym mieszkaniu, ale skalpel może rozciąć tętnicę równie pewnie, jak miecz. W niektórych przypadkach jeszcze lepiej. Zadrzałem i przycisnąłem ręce do brzucha.

To zaklęcie nie było dziełem nowicjusza ani czarownika eksperymentującego z magią, na którą trafił w księgarni na półce poświęconej metafizyce. Ktokolwiek złożył to coś, był prawdziwym zawodowcem, z setkami lat doświadczenia.

Który pewnie był lepszy ode mnie, jeśli chodziło o magię.

Nie zrozumcie mnie źle – jestem twardzielem. Kiedy zaczynają latać zaklęcia, moje są jednymi z najbardziej efektywnych i najbrutalniejszych na tej planecie. Jestem jak André the Giant nadnaturalnego świata. Mam mnóstwo siły i masy.

André byłby doskonałym towarzyszem w bijatyce w zatłoczonej knajpie. Ale w mniejszym zamieszaniu znalazłby się na łasce zawodowców, którym wprawdzie brakowałoby jego surowej siły, ale umieliby bardziej sprawnie i skutecznie wykorzystać swoje możliwości. Murphy stanowiła doskonały przykład tego rodzaju wojownika. Choć była wzrostu siedzącego psa, rzucała na ziemię gości ważących ze sto pięćdziesiąt kilo, jakby byli rozbrykanymi szczeniaczkami.

Jeśli Szare Widmo odpowiadało za to zaklęcie, miałem szczęście, że przeżyłem nasze pierwsze spotkanie. Szybka ucieczka byłaby rozsądnym posunięciem. Gdyby doszło do uczciwej walki, mógłbym zostać zdeklasowany.

Poczułem chłód i nacisk na karku, a kiedy się odwróciłem, dostrzegłem upiory. Dryfowały ze wszystkich stron w kierunku kryjówki w powolnej, miarowej procesji i poruszały się po idealnie prostych liniach. Syrenie zaklęcie zaczęło mieć sens. Nie było zaklęciem strzegącym, choć tę rolę z pewnością również mogło odgrywać. Było także latarnią morską, dzwonkiem na obiad, przywołującym tę bezmyślną horde,

która teraz się zbliżała.

Nie przyśpieszali ani nie zwalniali. Po prostu dryfowali do przodu, a kiedy dotarli do drzwi, przenikali przez nie grupkami po dwa i trzy.

Zacisnąłem wargi i myślałem. Szare Widmo nie zabijało upiorów. Wykorzystywało je. Przynajmniej w tym momencie na drzwi nie nałożono żadnego zaklęcia strażniczego. Nie mogło go być, bo Szare Widmo zabijałoby swoje własne oddziały, a do tego marnowało poświęcony czas i energię.

To mogła być okazja. Zbliżające się upiory z całą pewnością trafiały do odpowiednika tunelu dla bydła. Ta droga najprawdopodobniej była wolna od pułapek. Mógłbym dostać się do środka, znaleźć słaby punkt wzdłuż tunelu i przejść przezeń, żeby przeprowadzić szybki zwiad w kwaterze głównej Szarego Widma i odnaleźć Morta.

Minęło pół godziny, nim procesja się zakończyła, a ruch upiorów przez cały czas się nie zmniejszał. Przestałem liczyć przy czterystu pięćdziesięciu i przełknąłem ślinę. To nie było stado upiorów. To była przeklęta horda. Gdyby któryś z upiorów postanowił mnie zjeść, musiałby dokonać cudu, by podzielić mnie na dość kawałków i nakarmić całe towarzystwo przy kolacji.

Zasłona najwyraźniej sprawiła, że nie dostrzegli mnie, kiedy się zbliżali, ale tak mogło działać również zaklęcie przywołujące. Równie dobrze po wyłączeniu przywoływania wszyscy mogli odwrócić się i rzucić się na mnie jak charty wypuszczone z boksu. Jedyne wyjątkowo głupi człowiek włożyłby się po wąskich tunelach i ciasnych przestrzeniach z takim zagrożeniem.

– A tym człowiekiem jestem ja, Harry Dresden.

Zaczekałem, aż ostatni upiór wejdzie do środka, i policzyłem do dwudziestu. Miałem sucho w ustach. Strach sprawiał, że czułem ściskanie w żołądku i uginały się pode mną kolana. Drżały mi palce.

Powiedziałem im wszystkim, że to jedynie pozostałości wspomnień i nie będę tolerował żadnych bzdur z ich strony.

Później zacisnąłem zęby i ruszyłem za hordą.

## Rozdział dwudziesty ósmy

Przeniknąłem przez stalowe drzwi w czerń po drugiej stronie. Ignorowałem ciemność, aż zniknęła, a później ruszyłem ukradkiem naprzód.

Parę metrów później dałem sobie spokój z naśladowaniem Scooby-Doo i zacząłem normalnie iść. Skradanie się, poważnie. Przecież nie mogłem nadepnąć na gałązkę albo przypadkowo kopnąć pustej puszkę i narobić hałasu, prawda?

W byciu duchem problem nie polegał na ukrywaniu się, ale na tym, żeby ktoś w ogóle mnie zauważył.

Poza tym nikt, kto zadałby sobie trochę trudu, by mnie wykryć, nie używałby do tego celu słuchu.

Zacząłem sięgać przed siebie zmysłami maga.

Kiedy mówię „zmysły maga”, mam na myśli coś podobnego do „pajęczego zmysłu”. Wzmocnione zmysły Spider-Mana wykrywają nadchodzące niebezpieczeństwo i ostrzegają go, co się zbliża. Zmysły maga nie robią czegoś takiego (choć podejrzewam, że gdyby ktoś włożył w to sporo wysiłku, mógłby osiągnąć podobny efekt). Wyczuwają jednak obecność magii, i w stanie naturalnym, i przetworzonej. Nie trzeba się skupiać, żeby zadziałały – każdemu użytkownikowi mocy przychodzi to naturalnie.

Najczęściej przyjmowana teoria głosi, że to właśnie zdolność wyczuwania tych energii pozwala zwykłemu człowiekowi zostać magiem, dostarczając mu zmysłowych informacji zwrotnych, których potrzebuje, by stopniowo pracować z coraz większymi mocami. Czyli, choć zwykły człowiek, któremu brakowałoby zmysłu, mógłby, formalnie rzecz biorąc, nauczyć się używać magii bez niego, byłoby to równie trudne, jak nauczenie się malowania przez kogoś, kto urodził się niewidomy.

Skupiłem się na tym zmyśle, częściowo blokując mniej ważne, fizyczne zmysły, by więcej uwagi poświęcić otaczającej mnie magii. Za drzwiami znajdowały się betonowe schody prowadzące w głąb ziemi, na każdym stopniu widziałem zapalone świece i wymalowane magiczne symbole. Uśpiona energia w farbie była niemal pozbawiona magicznej mocy, ledwie wyczuwalna, ale w paru miejscach postrzegalem ją jako słabą fosforescencję. Energia zaklęcia przywołującego pozostawała silna.

Najwyraźniej postanowiłem interpretować ją jako dźwięk, ponieważ słyszałem jej powolne pulsowanie jak basy na dużym głośniku.

Ruszyłem po schodach, skupiając zmysły na ziemi u stóp. Coś, co wyglądało jak jeszcze jeden słabo magiczny gryzmoł, mogło ukrywać coś o wiele potężniejszego i niebezpiecznego – ale tak nie było. Bez przeszkód zszedłem po dwóch biegach schodów.

Na dole znajdowało się prostokątne pomieszczenie, które kiedyś pełniło pewnie funkcję stacji trafo. Wyraźnie nie było już używane. Duże stalowe skrzynki i ukryte za szkłem wyświetlacze pokrywały kurz i rdza. Na dole znajdowały się kolejne magiczne znaki – chaotyczne i fantastycznie niepołączone ze sobą, jakby ktoś zamierzał stworzyć wiersz w nieznanym języku poprzez przypadkowe łączenie ze sobą haseł ze słownika.

Zawierały te same śladowe ilości magicznej energii, co pismo na schodach. Wielkie Kaptury najwyraźniej miały trochę uśpionego talentu, co pasowało do wizji, że Szare Widmo zwerbowało śmiertelnych pomocników, by zapewnić sobie pomoc...

...w tym czymś, co robił lub robiła.

A co właściwie robił lub robiła?

Oczywiście wiedziałem, że Szare Widmo zaatakowało dom Morta. Ale po co? Dlaczego w ogóle porywać Morta? Jasne, mały ektomanta mógł być wrzodem na tyłku dla każdego ducha w Chicago, który zrobiłby się trochę zbyt ambitny, ale wydawało się, że ambicje Szarego Widma ograniczały się do przyszpilenia Morta. Co takiego mógł mieć w sobie jako cel?

Na drugim końcu stacji trafo dostrzegłem ziejący, poszarpany otwór w ścianie, który wyglądał jak wykuty młotem. Za nim znajdował się nierówny tunel – początek właściwego Miasta Na Dole.

Z otworu dobiegł udręczony krzyk mężczyzny.

Prawie zerwałem się do biegu, ale się powstrzymałem. Bezmyślny sprint był dobrym sposobem, by dać się zabić. Znowu. Wszedłem więc do grubo ociosanego korytarza. Był zimny i wilgotny, ściany pokrywały blocko i pleśń. Odwyobrazilęm sobie silny, zatechły odór, który inaczej wypełniłby moje nozdrza, i ruszyłem powoli do przed siebie, szukając pułapek i bardzo się starając, by nie stawiać stóp w basowym rytmie zaklęcia przywołującego.

Minąłem kilka wnęk, które łączyły się z korytarzem. Wyglądały na kwatery Wielkich Kapturów. W każdej znajdował się materac albo dmuchany materac i coś przypominającego pościel, tyle tylko że pokryte pleśnią. W każdej stało również pudło



albo kilka worków, które najpewniej skrywały rzeczy osobiste. Ściany pokrywał magiczny bełkot i hasła w rodzaju JASZCZUROLUDZIE JUŻ TO SĄ! UWĄŻAJCIE NA ICH OCZY! Kilka wnek robiło wrażenie zajętych, duże, masywne sylwetki chrapały pod obrzydliwymi kocami.

Po minucie albo dwóch korytarz doprowadził mnie do oświetlonego pochodniami pomieszczenia wielkości lodowiska do hokeja. Otwór wejściowy znajdował się u szczytu jednej ze ścian, więc głowę miałem na wysokości sklepienia większej sali. W ścianie poniżej wykuto stopnie, mógłbym zejść po nich do dużego pomieszczenia – czego nie zrobiłem, bo wypełniali je źli goście. Przełknąłem ślinę i upewniłem się, że moja zasłona wciąż jest na miejscu.

Basowe dudnienie zaklęcia przywołującego było tu bardzo głośne, dochodziło z jamy wykutej w podłodze. Musiała mieć co najmniej trzy metry średnicy, jej głębokości nie umiałem ocenić. Otaczały ją zapisane formuły magiczne, które były mniej bzdurne niż pozostałe i wraz z każdym pulsowaniem przywołania wysyłały błyski słabego czerwonego światła.

Jamę wypełniały upiory.

Kręciły się dookoła, bezustannie i bezmyślnie, a każdy z nich nakładał się na dziesiątki innych, przez co wyglądały mniej jak grupa istot poruszających się w kręgu, a bardziej jak dziwaczna potrawka, z której od czasu do czasu wyłaniała się rozpoznawalna część ludzkiej anatomii. Głuchy nie-krzyk pustookich upiorów był potężnym, ohydny dźwiękiem, który wzrastał i opadał w rytm przywołania.

W pomieszczeniu znajdowały się może dwa tuziny lemurów. Założyli kaptury, ukrywając złowrogie puste twarze, przez co wyglądali jak ludzie. Niektórzy stali. Inni siedzieli. Kolejna grupka grała w karty. Jeszcze inni po prostu gapili się w przestrzeń.

Wokół jamy zebrała się grupka Wielkich Kapturów. Wszyscy poza dwoma klęczeli i skandowali. Regularnie pochylali głowy i równie regularnie klaskali. Nad jamą wisiała szubienica wyglądająca, jakby powstała na bazie wolno stojącego kosza do koszykówki, a dwaj członkowie Wielkich Kapturów trzymali za jeden koniec sznura.

Na drugim końcu wisiał Mort, obwiązany od bioder do szyi. Kołysał się i kręcił na końcu liny, wydając z siebie sapnięcia i jęki.

Przed nim w powietrzu unosiło się Szare Widmo i poruszało się razem z nim. Postać wyglądała co najmniej równie złowrogo, jak za pierwszym razem. Kiedy się odezwała, jej głos brzmiał czysto, spokojnie – i kobieco.

– Nie musisz sobie tego robić, Mortimerze – powiedziała Szare Widmo. – Nie czerpię przyjemności z zadawania bólu. Poddaj się. W końcu i tak będziesz musiał.

Oszczędź sobie udreki.

Mort otworzył oczy. Oblizwał wargi i odezwał się łamiącym się, chrapliwym głosem.

– P-pierdol się.

– No, no – mruknęła Szare Widmo, skinęła i powiedziała: – Jeszcze raz.

– N-nie – wykrztusił Mort i zaczął szarpać się w więzach. W efekcie jedynie wirował jeszcze szybciej. – Nie!

Dwa Wielkie Kaptury trzymające sznur spokojnie opuściły Morta w głąb jamy pełnej szaleńczo głodnych upiorów. Te rzuciły się na Morta, jakby były falą, która mogła zdecydować, gdzie uderzy o brzeg – a cała pragnęła uderzyć w małego ektomantę. Kocioł oszalałych duchów zagotował się i skupił na nim, właściwie go zasłaniając.

Mort znów zaczął krzyczeć, straszliwym, upokorzonym wrzaskiem.

– Jeden – liczyła Szare Widmo. – Dwa. Trzy. Cztery.

Po tej ostatniej liczbie pomocnicy wyciągnęli Morta z sadzawki upiorów, a on wisiał tam, kołysał się i znów łkał, z trudem łapiąc oddech.

– Za każdym razem, kiedy mi odmówisz, Mortimerze, dodam kolejną sekundę do odliczania – stwierdziła Szare Widmo. – Wiem, co sobie myślisz. Ile sekund potrzeba, by doprowadzić cię do szaleństwa?

Mort próbował odzyskać panowanie nad oddechem, ale był to próżny wysiłek. Twarz miał zalaną łzami. Ciekło mu z nosa. Otworzył oczy, zęby miał zaciśnięte, a łysą głowę szkarłatną.

– Idź obejrzeć wschód słońca – powiedział łamiącym się głosem.

– Jeszcze raz – stwierdziła Szare Widmo.

Wielkie Kaptury po raz kolejny opuściły Morta do jamy. Nie wiem, co działo się z żywym śmiertelnikiem zaatakowanym przez upiора, ale jeśli reakcja Morta mogła być wskazówką, z całą pewnością nic dobrego. Znów krzyknął. Tym razem wyżej, ostrzej. Jego wrzaski niemal zagłuszyły spokojne, monotonne odliczanie Szarego Widma. Doszła do pięciu, a wtedy Wielkie Kaptury znów go wyciągnęły. Drżał spazmatycznie, jakby dostał jednocześnie skurczy we wszystkich mięśniach i ścięgnach. Jego krzyki ucichły dopiero po dobrych dziesięciu sekundach.

– To bardziej sztuka niż nauka. – Szare Widmo mówiła dalej, jakby nic się nie wydarzyło. – Doświadczenie podpowiada mi, że większość umysłów łamie się przed siedmioma. Jasne, większość nie ma twoich szczególnych darów. Cokolwiek się stanie, z pewnością uznam to za fascynujące. Pytam ponownie: czy mi pomożesz?

– Wskocz do rzeki, suko – wydyszał Mort.

Na chwilę zapanowała cisza.

– Raz jeszcze – warknęła Szare Widmo. – Powoli.

Posłuszne Wielkie Kaptury zaczęły powoli opuszczać Morta w stronę jamy z upiorami.

Mort na próżno potrząsał głową i zwijał wyraźnie obolałe ciało, próbując cofnąć się przed falą głodnych duchów. Udało mu się opóźnić los o kilka sekund, ale w końcu znów znalazł się pośród nich. Ponownie krzyknął i dopiero kiedy zaczął krzyczeć na dobre, Szare Widmo zaczęła odliczanie.

Nigdy nie miałem najlepszego zdania o Morcie. Kiedy go poznałem, bardzo mi się nie podobało, że przez tak długi czas zaniedbywał swoje talenty i oszukiwał klientów. Od tego czasu urósł w moich oczach, szczególnie w ciągu ostatniego dnia. Owszem, może nie był wzorcem cnót wszelakich, ale na swój sposób był przyzwoitym gościem. Był zawodowcem i wyglądało na to, że przez cały czas miał większe jaja, niż sądziłem.

Dobrze o nim świadczyło, że nie chwalił się swoimi zdolnościami. A jeszcze lepiej, że oto znajdował się w jaskini lwa, nie miał szans na ucieczkę i nadal pluł w twarz swoim dręczycielom.

Do diabła, pomyślałem. Lubię tego gościa.

A Szare Widmo go niszczyła, na moich oczach.

W tej właśnie chwili Mort znów krzyknął, kiedy upiory rzuciły się na niego, szarpiąc go swoimi bladymi, wychudzonymi palcami. Spokojny głos Szarego Widma odliczało. Wydawało się, że między kolejnymi liczbami mija cała wieczność.

Nie mogłem wydostać Morta z tego miejsca. Nie ma szans. Nawet gdybym dał z siebie wszystko i pokonał każdego wrogiego ducha, Mort wciąż byłby przywiązany, a Wielkie Kaptury nadal by stały. Atak nie miał szans.

Jednakże stanie tak z palcem w duchowej dupie też nie było rozwiązaniem. Nie wiedziałem, co Szare Widmo robiła Mortowi, ale z całą pewnością działa mu się krzywda, a oceniając po jej wypowiedziach (prosto z castingu na tandetny czarny charakter, to inna sprawa), gdyby Mort wciąż jej odmawiał, wystawienie na upiory mogło spowodować trwałe uszkodzenia. Trzeba też było pamiętać o morderczych duchach w ruinach domu Morta.

Jakby tego było za mało, zbliżał się wschód słońca.

Do diabła. Potrzebowałem jakiejś przewagi.

Palce mojej prawej dłoni dotknęły masywnej drewnianej kolby pistoletu sir Stuarta i nagle uświadomiłem sobie jego moc, czysty, ściśle związany potencjał broni. Czułem mrowienie jego energii na prawej dłoni. Przypomniałem sobie walkę w domu Morta

i spustoszenie, jakie broń sir Stuarta wywołała wśród wrogów – to znaczy jednego wroga.

Szare Widmo bała się pistoletu sir Stuarta i raczej nie bez powodu. Gdyby udało mi się ją wyeliminować, inne duchy, które jej towarzyszyły, z pewnością poszłyby w rozsypkę – szakale, które podążały za megalomanem, rzadko miały dość odwagi, by zdecydować się na konfrontację bez przywódcy, którego obecność ich umacniała. Prawda?

Jasne. Fakt, że lemury mają nad tobą przewagę większą niż dwunastu na jednego, wcale nie oznacza, że uznają cię za łatwy cel, Dresdenie. Nic ci nie będzie.

Powinna być jakaś zasada zakazująca wewnętrznemu głosowi wypowiedziania się z taką dozą sarkazmu.

Ale pomysł wciąż miał pewne zalety. Zabić Szare Widmo, a później dać w długą. Nawet gdyby lemury ruszyły za mną, przynajmniej główny głos, który najwyraźniej kierował Wielkimi Kapturami, zostałby uciszony. Może nawet udałoby mi się odwrócić całą złowrogą uwagę duchów od Morta.

Musiałem tylko raz strzelić z pistoletu sir Stuarta. Żaden problem. Gdybym nie trafił, pewnie nie przeżyłbym tego, jasne, ale poza tym to powinna być bułka z masłem.

Zacisnąłem zęby i ruszyłem powoli w stronę Szarego Widma. Nie wiedziałem, jak blisko uda mi się podejść, zanim moja nieudolna zasłona stanie się bezużyteczna, ale musiałem dać z siebie wszystko, by maksymalnie zwiększyć szanse udanego trafienia. Nie byłem strzelcem wyborowym, a pistolety z osiemnastego wieku nie były do końca precyzyjne, ale nie mogłem sobie pozwolić na pudło. Oczywiście, gdyby Szare Widmo wyczuła moje nadejście, miałyby czas uciec, uchylić się albo wymyślić jakąś obronę.

Musiałem ją zabić, nim się zorientuje, że została zaatakowana. Kryła się w tym pewna ironia losu, biorąc pod uwagę sposób, w jaki sam zginąłem.

Szare Widmo skończyła odliczanie i Wielkie Kaptury znów wyciągnęły Morta z jamy. Wisiał tam, drżąc, cierpiąc, wydając z siebie mimowolnie odgłosy, gdy z trudem łapał oddech. Szare Widmo stała przed nim nieruchomo i bez wątplenia była z siebie bardzo dumna.

Trzy metry. Wiedziałem, że moja zasłona była kiepska, a umiejętności strzeleckie co najwyżej przeciętne, ale gdyby udało mi się zbliżyć na trzy metry, uznałem, że miałbym niezłą szansę trafić w cel. Znalazłbym się na skraju jamy z upiorami i musiałbym strzelić ponad nią, by trafić Szare Widmo. Oczywiście, gdybym

spudłował, Szare Widmo nie musiałaby mnie zabijać. Wystarczyłoby, żeby podcięła mi nogi. Gdyby upiory wyczuły moją obecność, natychmiast by się na mnie rzuciły.

I wtedy dostałbym to samo, co Mort. Tyle tylko że sam byłem duchem, więc rozerwałyby mnie na malutkie, nasączone ektoplazmą strzępy. I zjadły je.

Niezła zabawa, pomyślałem.

Próbowałem poruszać się miarowo, zachować spokój. Już nie miałem adrenaliny, która wywoływała drżenie rąk, ale i tak drżały. Do diabła. Przypuszczam, że nawet duch na pewnym poziomie wciąż jest fundamentalnie człowiekiem. Nic, tylko iść dalej.

Dziesięć metrów.

Przeszedłem kilka metrów od lemura, który robił wrażenie, jakby wpatrywał się tępo w przestrzeń – choć jego oczy były skierowane prosto na mnie. Może zatracił się w duchowym wspomnieniu? Nawet nie zamrugał, kiedy przeszedłem obok.

Osiem.

Upiory wyły w jamie parę metrów ode mnie.

Siedem.

Dlaczego ciągle lądowałem w takich sytuacjach? Nawet po śmierci?

Dla zabawy, pomyślałem. Dla zabawy, zabawy, zabawy-zabawy, zabawy.

## Rozdział dwudziesty dziewiąty

Wtedy właśnie podłoga w pobliżu stóp Szarego Widma zafalowała i wyłoniła się z niej ludzka czaszka. W jej oczodołach płonął niebieski ogień. Szare Widmo odwróciła się, by spojrzeć na czaszkę, i coś w jej mowie ciała świadczyło, że spochmurniała.

– Co?

– Na zewnętrznej granicy czeka posłaniec od Fomorów. – Czaszka brzmiała nieprzyjemnie podobnie do Boba, ale w jej głosie zupełnie brakowało jakiegokolwiek uczucia poza pogardą. – Przynosi wieści od swojego pana.

Odniosłem wrażenie, że Szare Widmo przechyliła głowę pod kapturem.

– Sługa? Przybywa z Nigdynigdy?

– Zewnętrzna granica znajduje się po stronie Nigdynigdy, a ja jestem jej strażnikiem – odparła czaszka. – Wewnętrzna granica to świat śmiertelnych. Ustaliliście to ponad rok temu.

Szare Widmo mruknęła coś z odrazą.

– Uważaj, duchu. Nie jesteś niezastąpiony. – Spojrzała na Morta i westchnęła. – Oczywiście, że Fomory muszą mi przeszkadzać blisko wschodu słońca. Dlaczego ciągle coś przerywa mi moje najważniejsze zadanie?

Czaszka pochyliła się, przytakując jej słowom.

– Mam go zabić i odesłać jego ciało z wiadomością sugerującą, by następnym razem skontaktowali się wcześniej?

– Nie – rzuciła Szare Widmo. – Oczywiście, że nie. Pohamuj swój język, sługo, albo ci go wyrwę.

– Jak sobie życzy. Jestem tylko służącym. – Czaszka znów się pochyliła, jednak pogarda nie zniknęła z jej głosu. – Mam pozwolić mu, by przeszedł?

– I pośpiesz się – warknęła Szare Widmo.

– Jak sobie życzy. – Czaszka mówiła tym razem wyraźnie wolniej niż wcześniej. Zniknęła w podłodze.

Całkowicie znieruchomiałem. Zastona nie najlepiej ukrywała poruszenia, a ja nagle uświadomiłem sobie, że mój plan „jeden strzał, jeden trup” miał poważną wadę – zapomniałem o Złym Bobie. Ten duch był potężny, inteligentny, niebezpieczny –

i najwyraźniej niezdolny do czegokolwiek przypominającego strach czy szacunek. Pewnie po paru dziesięcioleciach pracy z Kemmlerem, najbardziej niebezpiecznym nekromantą od upadku Rzymu, trudno było poważnie traktować mniejsze talenty.

Nie żeby zwyczajnego Boba przepełniały uprzejmość i szacunek. Ha. Hola, hola, zły człowieku.

Tak czy inaczej, miałem szansę dowiedzieć się więcej o wrogu. Nigdy dość brudów na temat tych zakapturzonych szaleńców. Często dowiedzenie się więcej na ich temat odsłania taki czy inny ziejący otwór w ich pancerzu, metaforycznym albo i nie. Nigdy nie żałowałem, że dowiedziałem się więcej na temat wroga przed rozpoczęciem walki.

Poza tym, jeśli Szare Widmo była częścią jakiegoś układu, a nie działała sama, musiałem o tym wiedzieć. Sojusze złych gości zawsze oznaczały coś niedobrego.

Szare Widmo cofnęła się od jamy. W ciągu niecałych trzydziestu sekund ziemia zafalowała ponownie i pojawił się mężczyzna, wznoszący się po kawałku z ziemi, jakby wchodził po schodach. Czaszka przybyła razem z nim, unosiła się za jego plecami, odrobinę ponad poziomem jego głowy.

Rozpoznałem go od razu – przywódca sług Fomorów, którzy zaatakowali Molly. Wciąż miał na sobie czarny golf, ale dodał pas z bronią z pistoletem w kaburze pod lewą dłoń i krótkim mieczem pod prawą. Było to jedno z tych japońskich ostrzy, ale krótsze niż katana. Wakizashi albo może ninja-to. Jeśli tak, punkty ujemne za noszenie go otwarcie.

Ach, było jeszcze coś dziwnego. Jego oczy zmieniły kolor. Pamiętałem, że były szare. Teraz stały się bardzo głęboko fioletowe. Nie chodzi mi o ciemny fioletowy jak u licznych bohaterów romansów Boba. To był odcień plam opadowych u trupa albo ostatniego blasku zmierzchu na niebie.

Zwrócił się spokojnie do Szarego Widma i uklonił w pas, powoli i płynnie.

– Przesyłam pozdrowienia, Pani Cięż, od mojego pana, Cantreva Lorda Omogha.

– Witam, Słuchaju – powiedziała Szare Widmo kwaśno. – Czego tym razem chce ode mnie Omogh?

Słuchaj znów się uklonił, jego fioletowe oczy błyszczały.

– Mój pan pragnie wiedzieć, czy wasza kampania została już zakończona.

Głos Szarego Widma dochodził spomiędzy zaciśniętych zębów.

– Jak widać, nie.

Słuchaj się uklonił.

– W takim razie chciałby wiedzieć, dlaczego eskalowała pani poszukiwania, aż do

pojmania tego nabytku drugiego rzędu. – Sługa posłał spojrzenie Mortowi, a później znów przeniósł wzrok na postać w czerni. – Takie działanie jest sprzeczne z naszą umową.

Oczodoły czaszki zabłysły jaśniej.

– Wciąż możemy wysłać Fomorom wiadomość o wcześniejszym kontakcie.

– Nie – powiedziała surowo Szare Widmo.

– Byłaby prosta i bezpośrednia...

– Nie, duchu – warknęła Szare Widmo. – Zakazuję.

Oczy czaszki przez chwilę migotały pośpiesznie we wzburzeniu.

– Jak sobie życzycie.

Szare Widmo odwróciła się do Słuchaj.

– Mój służący wierzy, że logiczne byłoby zamordowanie cię i odesłanie twojego trupa twojemu panu, by wyrazić moje niezadowolenie.

Słuchaj znów się uklonił.

– Jestem jednym z wielu, łatwym do zastąpienia. Moja śmierć jedynie na krótko zirytuje mojego pana i, jak sądzę, byłaby nieco mało wyrazistym aktem symbolicznym.

Szare Widmo patrzyła na niego przez chwilę.

– Gdybyś nie mówił dosłownej prawdy, chyba sprawiłoby mi przyjemność oddanie cię czaszce. Ale wy nie macie instynktu samozachowawczego, prawda?

– Oczywiście, że go mam, Pani Cień. Nie oddałbym lekkomyślnie życia. W ten sposób nie zdołałbym się upewnić, że moja śmierć przyniesie maksymalną korzyść mojemu panu.

Szare Widmo pokręciła głową pod kapturem.

– Jesteś głupcem.

– Nie zamierzam sprzeciwiać się temu stwierdzeniu. Jednak, Pani Cień, muszę poprosić o odpowiedź, którą mógłbym zanieść swojemu panu. – Łagodnym tonem dodał: – Niezależnie od formy, jaką może przybrać.

– Poinformuj go – w głosie Szarego Widma brzmiała irytacja – że będę robić, co uznaję za stosowne, by zdobyć odpowiednie ciało.

A niech mnie.

Pani Cień szukała cielesnego stroju.

Co oznaczało...

Odepchnąłem od siebie tę linię rozumowania, by rozważyć ją później. Skupiłem się na bieżącej rozmowie.



– Nie wspominała pani, że potrzebuje tak cennego okazji do swoich celów.

– Popatrz tylko, z czym muszę pracować. – Pani Cień objęła szerokim gestem Wielkie Kaptury zebrane wokół jamy. – Resztki, które nie potrafią utrzymać mojego talentu. Powiedz Omoghowi, że jeśli życzy sobie mieć sojusznika, który byłby zdolny stawić czoło Strażnikom, musi być tolerancyjny. Ten okaz ma najmniejszą wartość dla jego celów, a największą dla moich.

Słuchaj rozważał to przez chwilę, po czym pokiwał głową.

– A co ze Szmacianą Panią?

– Kiedy usadowię się wewnątrz śmiertelnej postaci, zajmę się nią. – W głosie Pani Cień zabrzmiało wyraźne samozadowolenie. – Zakładając, rzecz jasna, że nie usunęliście jej sami. Czy to nie oparzenie na twoim policzku, Słuchaju? Mam nadzieję, że cię nie boli.

– To bardzo uprzejme z pani strony. – Słuchaj znów się uklonił. – Moje dolegliwości nie są godne wzmianki. Czy mogę powiedzieć mojemu panu, że otrzyma w darze te istoty czwartego rzędu, kiedy powróci pani do siebie?

Pani Cień rozważała to przez chwilę. Przechyliła głowę i popatrzyła na Wielkie Kaptury.

– Sądzę, że tak. Nie przydadzą mi się te drobiazgi.

– Doskonale. – W głosie posłańca brzmiało szczere zadowolenie.

Pani Cień pokręciła głową.

– Tak uwielbia pomniejsze talenty?

– Jeszcze przed chwilą przygotowywałem się do poinformowania go o potencjalnej utracie drugiego rzędu. Teraz mogę poinformować go o możliwym uzyskaniu tuzina pomniejszych nabytków. Raduje mnie, jeśli w negatywnych sytuacjach zyskuję coś pozytywnego dla mojego pana.

Mort odezwał się bełkotliwie z miejsca, w którym wisiał nad jamą.

– Powiedz mu, że guzik dostanie. Suka mnie nie weźmie.

Słuchaj uniósł brwi i spojrzał na Panią Cień.

– Potrzebuję jego zgody. – W głosie Pani Cień brzmiało napięcie. – Dostanę ją. Gdybyś mi nie przeszkodził, już bym ją miała. Teraz nadchodzi świt. Być może do przeniesienia dojdzie dopiero kilka godzin po zachodzie słońca.

– Ach. – Posłaniec w najmniejszym stopniu nie brzmiał sceptycznie, ale mimo wszystko odniosłem takie wrażenie. – W takim razie, za pani pozwoleniem, odejdę, by zanieść wieści mojemu panu, i już więcej nie będę wam przeszkadzać.

Zły Bob znów pojawił się nad ramieniem Słuchaja.

– I jesteście pewni, że nie życzyście sobie, by ta kreatura odeszła na dobre, pani?

– Idź spokojnie, Słuchaju. – Pani Cień nawet nie spojrzała na Boba. – Poinformuj swojego pana, że spodziewam się, iż jutro wieczorem będę gotowa wyruszyć przeciwko Szmacianej Pani i jej sojusznikom w fortecy.

Słuchaj znów uklonił się w pas. Później, w towarzystwie unoszącej się czaszki, wstąpił w podłogę i przeniknął z rzeczywistości śmiertelnych do świata duchów.

W chwili gdy Słuchaj zniknął, Pani Cień machnęła ręką, a wtedy upiory z jamy zostały z niej wyrzucone przy akompaniamencie głuchych skarg, a ciężkie basowe dudnienie zaklęcia przywołującego gwałtownie ucichło. Wola Pani Cień naciskała na nie jak prąd rzeki i zostały wypędzone z sali, niesione niewidzialną siłą przez ściany i podłogę.

Sam to czułem, siłę jej woli, jednocześnie wypędzającą upiory i przyciągającą uwagę lemurów. Walczyłem, by zachować bezruch, by opłynęła moją zasłonę, by za jej pomocą jeszcze lepiej się ukryć, a nie zostać przez nią odsłoniętym.

– Dzieci – powiedziała głosem pełnym pogardy – strzeżcie się. Nadchodzi świt. Wracajcie do azylów. – Odwróciła się do Wielkich Kapturów. – Moi drodzy śmiertelnicy. Matka jest z was zadowolona. Przypilnujcie więźnia aż do zmroku. Jego życie jest dla mnie warte wszystko. Strzeżcie go swoim własnym.

Wielkie Kaptury zadrżały, jakby usłyszały szepcący w umysłach głos boga, i jak jeden mąż pochyliły głowy. Wymamrotały słowa, jakby rytualnego oddania, choć za bardzo bełkotały, żebym dobrze zrozumiał. Lemury zaczęły natychmiast wychodzić, porzucały swoje czynności (lub ich brak) i bezgłośnie opuszczały salę.

Miałem szczęście. Żaden z nich przypadkiem na mnie nie wpadł.

– Cóż – szepnęła Pani Cień do Morta. – Będziemy kontynuować naszą rozmowę za kilka godzin. Nie dostaniesz jedzenia ani wody. Nie zostaniesz rozwiązany. Jestem pewna, że prędzej czy później podzielisz mój punkt widzenia.

– Wolałbym raczej umrzeć niż cię wpuścić – wychrypiął Mort.

– Nie zawsze możesz dostać to, czego chcesz, drogie dziecko. – Głos Pani Cień był rzeczowy i spokojny. – Wciąż będę ci robić krzywdę. A w końcu będziesz gotów zrobić wszystko, by powstrzymać ból. Takie są nieszczęsne ograniczenia śmiertelności.

Mort nic nie powiedział. Nie widziałem, czy zadrżał, słysząc lodowatą pewność siebie w jej głosie, ale ja tak.

I w końcu uświadomiłem sobie, z kim mam do czynienia.

Szare Widmo odwróciła się i zatoneła w podłodze, najwyraźniej przenosząc się do dziedziny w Nigdy. Upewniłem się, że odeszła, a wtedy po prostu zniknąłem do

góry i pojawiłem się na ulicach Chicago. Świt był złocistą obietnicą na wschodnim horyzoncie. Skierowałem się w stronę swojego grobu najszybciej, jak umiałem.

Szare Widmo była cieniem, tyle wiedziałem. Ale skąd się wziął ten cień? Z kogoś, kto umiał opanowywać ciała innych. Kogoś, kto wydawał się pewien, że może stawić czoło Strażnikom Białej Rady, gliniarzom świata magów, i wygrać. Kogoś, kto był znany temu Omoghowi, kimkolwiek był, i kto potrzebował ciała z wystarczającym wrodzonym darem magicznym, by utrzymać zdecydowanie potężniejszy talent.

Jedynie ograniczona liczba ludzi o talencie na poziomie maga zginęła w Chicago. Większość z nich była moimi wrogami. Nie pozbyłem się ich wszystkich osobiście, ale tego zabiłem. I to z broni palnej, z odległości około trzech metrów.

Dotarłem do schronienia w grobie i z wdzięcznością się w nim zanurzyłem, nie przestając przy tym drzeć.

Mort trafił w ręce Łowcy Ciał, jednego ze spadkobierców tego szaleńca Kemmlera, zmieniającego ciała maga z ciężkim przypadkiem długoletniego świra i trzy do czterech razy lepszą umiejętnością posługiwania się magią niż ja. Domyślałem się, że gdyby weszła w Morta, podobnie jak ja mogłaby korzystać ze wszystkich swoich zdolności. Mogłaby znów przeskakiwać między ciałami i powrócić do dzieła dokładnie w tym miejscu, w którym skończyła.

A zamierzała zacząć od zabicia Molly.

Przeżyłem pierwsze spotkanie z nią jedynie dzięki interwencji „Dzentelmena” Marcone’a, odrobinie szczęścia, niezłej robocie detektywistycznej oraz paranoi naprawdę epickich rozmiarów. Była zagrożeniem wysokiej klasy i wolałbym uniknąć konfrontacji z nią, a już szczególnie w pojedynkę.

Wschód słońca przesunął się z rykiem nad ziemią, a ja byłem wdzięczny, że stoi między Łowcą Ciał a mną. Cieszyłem się, że mogę trochę odpocząć.

Cała sprawa stała się o wiele pilniejsza.

Wiedziałem, że do zachodu słońca muszę wymyślić sposób, by stawić jej czoło.

## Rozdział trzydziesty

Kiedy wschodziło słońce, przycupnąłem w grobie. Mógłbym się spodziewać, że będę bardziej zaniepokojony zabójczym, ognistym kataklizmem przetaczającym się nad światem, ale wcale tak nie było. Nadejście świtu przypominało słuchanie przejeżdżającej obok wielkiej ciężarówki – gdyby stało się na jej drodze, byłaby niebezpieczna, a tak stanowiła jedynie odgłos tła. Mój grób był spokojny.

Próbowałem prześledzić to uczucie, rozpoznać wrażenie zadowolenia, które wypełniało mnie w głębi ziemi. Minęło kilka chwil, ale w końcu zrozumiałem – przypominało to siedzenie w mojej suterenie podczas zimowej burzy. Na zewnątrz wiał wiatr, padał śnieg i śnieg z deszczem, ale ja byłem w domu z Myszkim i Misterem przytulonymi na kanapie, popijałem gorący rosół przy kominku i czytałem dobrą książkę.

Odpoczynek w moim grobie był czymś podobnym. Spokój. Nigdzie się nie wybierałem, co mnie uszczęśliwiało. Gdybym tylko zabrał książkę, ten dzień byłby doskonały.

Zamiast tego oparłem się o ziemną ścianę grobu, zamknąłem oczy i zanurzyłem się w ciszy. Byłem tu uwięziony do zachodu słońca. Zamartwianie się tym, co miało wydarzyć się wieczorem, nie miało sensu.

Utonąłem wśród wspomnień, smutnych, radosnych i po prostu absurdalnych.

Myślałem o Elaine i sobie w szkole średniej. Żyliśmy jak superbohaterowie – dwoje młodych ludzi o niewiarygodnych mocach, którzy muszą ukrywać się przed otoczeniem, gdyż inaczej byłiby izolowani i prześladowani z powodu swojej inności.

Kiedy poznałem Elaine, nie interesowałem się jeszcze dziewczynami. Oboje mieliśmy po dwanaście lat, byliśmy bystrzy i uparci, co oznaczało, że zazwyczaj doprowadzaliśmy się nawzajem do szału. Byliśmy również najlepszymi przyjaciółmi. Rozmawialiśmy o marzeniach dotyczących przyszłości. Wspólnie płakaliśmy albo się wspieraliśmy, zależnie od sytuacji. W szkole oboje odkryliśmy, że materiał jest nieznośnie nużący – w porównaniu ze złożonością lekcji Justina poradzenie sobie z programem nauczania w państwowej szkole było jedynie niewiele trudniejsze od zatemperowania ołówka.

Trudno nam było nawiązać kontakty z innymi dziećmi, z wielu powodów. Po prostu nie interesowaliśmy się tymi samymi rzeczami. Nasze magiczne talenty sprawiały, że oglądanie telewizji stawało się coraz trudniejsze, a granie w gry wideo wręcz niemożliwe. W efekcie dużo graliśmy w karty i gry planszowe albo przez długie godziny siedzieliśmy w ciszy w tym samym pokoju i czytaliśmy.

Justin mistrzowsko nami manipulował. Chciał, żebyśmy połączyła nas więź. Chciał, żebyśmy czuli się odizolowani od wszystkich innych i lojalni wobec niego. Choć przybrał maskę, która w owym czasie mnie oszukała, chciał, żebyśmy przepracowali rodzącą się seksualność ze sobą nawzajem, co oszczędziłoby mu konieczności wyjaśniania czegokolwiek – jak również zmniejszyło ryzyko, że Elaine albo ja zwiążemy się z kimś spoza naszego wąskiego kręgu.

W najmniejszym stopniu nie domyślałem się jego prawdziwych zamiarów, aż do dnia, kiedy Elaine źle się poczuła i została w domu. Martwiłem się o nią, więc zerwałem się z ostatniej lekcji i wróciłem wcześniej. Dom wydawał się zbyt cichy, a w powietrzu, jak woń duszących, oleistych perfum, wisiała energia, której nigdy wcześniej nie czułem. W chwili gdy przekroczyłem próg, wypełniło mnie napięcie.

Było to moje pierwsze spotkanie z czarną magią, mocą Stworzenia wypaczoną, by okaleczać i niszczyć wszystko, czego dotykała.

Elaine siedziała na kanapie, twarz miała spokojną, a plecy idealnie wyprostowane. Teraz wiem, że kiedy mnie nie było, Justin rzucił na nią mentalny heks, ale w tamtym czasie wiedziałem jedynie to, co podpowiadał mi instynkt – że coś jest nie w porządku. Na tak podstawowym poziomie, że miałem ochotę uciec z wrzaskiem.

A poza tym Elaine siedziała w taki sposób jedynie wtedy, gdy chciała coś przez to przekazać – zazwyczaj sarkazm.

Wciąż to pamiętam, jakby wydarzyło się przed chwilą.

\* \* \*

Justin pojawił się w kuchennych drzwiach, po drugiej stronie Elaine, i stał tam przez chwilę, patrząc na mnie.

– Znów uciekłeś z lekcji. – Westchnął. – Pewnie powinienem się tego spodziewać.

– Co tu się dzieje? – Strach sprawił, że mój głos brzmiał wysoko i piskliwie. – Co zrobiłeś?

Justin podszedł do kanapy i stanął nad Elaine. Oboje przez dłuższą chwilę wpatrywali się we mnie. Nie umiałem odczytać wyrazu ich twarzy.

– Tworzę plany, Harry – odparł spokojnym, cichym głosem. – Potrzebuję ludzi, którym mogę zaufać.

– Zaufać?

Jego słowa nie miały sensu. Nie wiedziałem, w jaki sposób odnoszą się do obecnej sytuacji. Spojrzałem na Elaine i znów na Justina, szukając wyjaśnienia. Ich miny nic mi nie podpowiedziały. I wtedy właśnie moje spojrzenie padło na stolik i przedmiot leżący obok mojego zaczytanego kieszonkowego egzemplarza *Hobbita*.

Kaftan bezpieczeństwa.

W tej zbieżności kryło się coś złowrogiego. Przez chwilę tylko się gapilem, aż poczułem ściskanie w żołądku, gdy w końcu po raz pierwszy uświadomiłem sobie to, co przez cały czas usiłował powiedzieć mi instykt – byłem w niebezpieczeństwie. Mój ratownik, nauczyciel, opiekun zamierzał zrobić mi krzywdę.

Łzy sprawiły, że wszystko się rozmyło, kiedy spytałem go bardzo cichym, bardzo zdezorientowanym głosem:

– Dlaczego?

Justin zachował spokój.

– Nie masz wiedzy niezbędnej, by zrozumieć, chłopcze. Jeszcze nie. Ale w swoim czasie ją zyskasz.

– N-nie możesz tego zrobić – szepnąłem. – N-nie ty. Ocaliłeś mnie. Ocaliłeś nas.

– I nadal to robię. Usiądź obok Elaine.

Siedząca na kanapie Elaine powiedziała cichym, sennym głosem bez intonacji:

– Usiądź obok mnie, Harry.

Spojrzałem na nią wstrząśnięty i cofnąłem się o krok.

– Elaine.

Kiedy odwróciłem wzrok, Justin użył przeciwko mnie kinetomancji.

Instykt ostrzegł mnie w ostatnim ułamku sekundy, jednak zamiast spróbować zablokować cios, poruszyłem się razem z nim, w stronę panoramicznego okna, jednocześnie tkając własne zakłęcie. Zamiast postawić tarczę, rozłożyłem ją szeroko przed sobą, jak żagiel, przyjąłem siłę uderzenia Justina i ujarzmiłem ją.

Ja, moja tarcza, energia Justina i to okno wyleciały z hukiem na trawnik przed domem. Pamiętam głośny trzask pękających szyb i ram, gorące ułtucia dziesiątków drobnych ranek zadanych przez odłamki szkła i drewna. Pamiętam wściekłość i przerażenie.

Przeleciałem przez otwór, gdzie kiedyś znajdowało się okno, upadłem na trawnik, przetoczyłem się i ruszyłem biegiem.

– Chłopcze! – Justin wzmocnił swój głos. Biegając, obejrzałem się przez ramię w jego stronę. Nigdy wcześniej nie widziałem w jego oczach takiej lodowatej furii. – Jesteś tutaj ze mną... z Elaine. Albo jesteś nigdzie. Jeśli zaraz nie wrócisz, będziesz dla mnie martwy.

Usunąłem dwa przedostatnie słowa w tym zdaniu, by dojść do tego, co naprawdę miał na myśli, i jeszcze przyśpieszyłem. Gdybym został, zamierzał uczynić mnie bezradnym, a po takim początku zakończenie nie mogło być dobre. Gdybym wrócił wściekły, mógłbym z nim walczyć, ale nie mogłem zwyciężyć – nie człowieka, który nauczył mnie wszystkiego, co umiałem. Nie mogłem zadzwonić do glin i powiedzieć im, że Justin był szalonym magiem – bez chwili wahania uznaliby mnie za wariata albo żartownisia. Nie mogłem też uciec do Oz i poprosić potężniejszego maga o pomoc.

Nigdy nie powiedział mi o Białej Radzie i reszcie nadnaturalnego świata. Dręczyciele lubią izolować swoje ofiary. Ludzie, którzy czują, że są całkiem sami, zwykle się nie opierają.

– Chłopcze! – ryczał Justin, a w jego głosie brzmiała wściekłość. – Chłopcze!

Nie musiał mówić nic więcej. Wściekłość wystarczyła. Człowiek, który dał mi dom, zamierzał mnie zabić.

Bołało tak bardzo, że zastanawiałem się, czy już to zrobił.

Pochyliłem głowę i pobiegłem szybciej, łzy sprawiały, że świat się rozmywał, a w głowie miałem tylko jedną myśl: to się nie skończyło. Wiedziałem, że Justin umiałby mnie odnaleźć, dokądkolwiek bym uciekł i niezależnie od tego, jak dobrze bym się ukrył. Nie unikałem tego kaftana bezpieczeństwa. Jedynie trochę odsunąłem go w czasie.

Nie miałem wyboru.

Musiałem walczyć.

\* \* \*

– Co się wydarzyło później?

Potrząsnąłem głową i wyrwałem się z zadumy. Podniosłem wzrok na rozświetlone słonecznym blaskiem niebo nad moim grobem. Uścisk zimy zdecydowanie słabł. Na niebie unosiły się szare chmury na tle letniego błękitu. Z brzegów grobu kapiała woda, choć śnieg na jego dnie wciąż zachował chłód.

Na brzegu grobu siedziała Leanansidhe i kołysała brudnymi, bosymi stopami.

Rude włosy związała w długi kucyk i włożyła na siebie resztki pięciu czy sześciu różnych ubrań. Głowę owinęła zrobionym na drutach szalem z włóczki naśladowującej różne odcienie brudnego śniegu, jego poszarpane końce wisały po obu stronach jej głowy. Dodawało jej to uroku szalonej kokietki, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę ślady zaschniętej krwi na bladej twarzy. Wydawała się równie szczęśliwa, jak dziecko w Boże Narodzenie.

Przez chwilę jedynie patrzyłem, po czym lekko potrząsnąłem głową.

– Widziałaś to? Co myślałem?

– Widzę ciebie – odparła, jakby to wszystko wyjaśniało. – Nie co myślałeś. Co sobie przypomniałeś.

– Interesujące.

Miało pewien sens, że Lea postrzegała świat duchów lepiej niż ja. Była istotą przynajmniej w części pochodzącą z Nigdynigdy. Dla niej pewnie wyglądałem jak blada, biała, widmowa wersja siebie, a wspomnienia, które mnie tworzyły, rozgrywały się na jej powierzchni.

Pomyślałem o upiorach i lemurach, które sir Stuart zastrzelił mojej pierwszej nocy jako ducha, i jak wydawało się, że krwawią obrazami, gdy znikają.

– Tak. – W jej głosie brzmiało zadowolenie. – Dokładnie tak. A niech mnie, Kolonialny Rycerz zrobił ci niezły pokaz.

– Znałaś sir Stuarta?

– Kilka razy widziałam go w walce. – Spojrzenie Lei było nieco rozmarzone. – Jest godnym dżentelmenem, na swój sposób. Dość niebezpiecznym.

– Nie bardziej niż Łowca Ciał. Ona go zniszczyła.

Lea wydeła dolną wargę i z irytacją zmarszczyła czoło.

– Naprawdę? Cóż za pogardy godne marnotrawstwo naprawdę męznego ducha. – Przewróciła oczami. – Przynajmniej, mój synu chrzestny, poznałeś tożsamość wroga... i jej pupilka.

Zadrzałem.

– Ona i Zły Bob.

Leanansidhe machnęła ręką.

– Zło to w dużej mierze wybór o charakterze estetycznym. W twojej sytuacji liczy się jedynie moc ducha.

– Nieprawda – powiedziałem łagodnie. – Choć wiem, że się nie zgadzasz.

Zamyśliła się na chwilę, zanim powiedziała:

– Wiesz, masz Wejrzenie swojej matki.



– Nie jej oczy?

– Zawsze uważałam, że jesteś podobny raczej do Malcolma. – Powaga zniknęła i Lea znów zamachała nogami. – Cóż, młody cieniu. Co się wydarzyło później?

– Wiesz. Byłaś tam.

– Jak to mówią śmiertelnicy? – mruknęła. – Przegapiłam ten odcinek. Roześmiałem się zaskoczony.

Wydawała się nieco urażona.

– Nie wiem, co wydarzyło się po tym, jak opuściłeś Justina i zanim przyszedłeś do mnie.

– Rozumiem. – Uśmiechnąłem się do niej szeroko. – Myślisz, że oddaję opowieści za darmo? I to jednej z Sidhe?

Odchyliła głowę do tyłu i zaśmiała się, a jej oczy zamigotały. Dosłownie pojawiły się w nich rozbłyśki światła.

– Wiele się nauczyłeś. Zaczynałam już tracić nadzieję, ale wydaje się, że zdobyłeś dość mądrości i we właściwym czasie.

– We właściwym czasie, by umrzeć. Ale tak. Domyśliłem się już, że Sidhe niczego nie oddają. Ani niczego nie biorą za darmo. A po długim czasie zrozumiałem, dlaczego tak jest: bo nie możecie.

– W rzeczy samej. – Uśmiechnęła się promiennie. – Musi pozostać równowaga, moje słodkie dziecko. Zawsze równowaga. Nigdy nie bierz czegoś, nie dając nic w zamian, nigdy nie rób przysługi, nie odbierając jej w zamian. Cała rzeczywistość zależy od równowagi.

Zmrużyłem oczy.

– Dlatego przed laty dałaś Bianca Amoraacchiusa. Aby móc przyjąć od niej ten nóż. Ten, który wzięła od ciebie Mab.

Pochyliła się w moją stronę, jej oczy niemal płonęły przejęciem, a nagły drapieżny uśmiech ukazał jej zęby.

– W rzeczy samej. A jakże zdradziecki był to dar, dziecko. Och, ale gdyby ta kłamliwa istota cię przeżyła, jakże wielką zemstę bym wywarła, cały świat mówiłby o niej szeptem przez tysiąc lat.

Zmrużyłem oczy.

– Ale... zabiłem Biankę, nim zdążyłaś wyrównać szalki wagi.

– W rzeczy samej, prosty chłopcze. A jak myślisz, dlaczego dałam ci najpotężniejsze moce elfów, by chroniły ciebie i twoich towarzyszy, gdy walczyliśmy z przodkami Bianki?

– Sądziłem, że Mab wydała ci taki rozkaz.

– Ech. W całej Zimie ustępuję mocą jedynie Mab... na co ona pozwala, ponieważ jednocześnie zaciągnęłam u niej proporcjonalne zobowiązania. Jest moim najdroższym wrogiem, ale nawet ja nie jestem tyle winna Mab. Pomogłam ci tak bardzo, słodkie dziecko, ponieważ byłam ci to winna za wymierzenie części sprawiedliwości Biance. – Oczy Leanansidhe otwierały się coraz szerzej. – Resztę odebrałam od panów tej małej dziwki. Choć przyznaję, nie spodziewałam się, że będzie to tak gruntowne.

W mojej głowie pojawiły się wspomnienia. Susan. Obsydianowy nóż. Zrobiło mi się niedobrze.

Pogodzę się z tym, powiedziałem sobie. Prędzej czy później. Z mojego punktu widzenia minął niewiele ponad dzień. Wciąż pewnie byłem w szoku albo przeżywałem traumę czy coś – o ile duchy są do tego zdolne.

Podniosłem wzrok i uświadomiłem sobie, że Lea gapiała się na mnie, na moje wspomnienia, z nieskrywaną wesołością.

– Ty się nie ograniczasz do półśrodków, prawda, mój synu chrzestny?

Mogłem rozzłościć się na nią, że tak bezdusznie przywołała te wspomnienia do mojego umysłu, albo napiętnować ją za to, że czerpała tak wielką radość z tak ogromnego zniszczenia i cierpienia, ale to nie miało sensu. Moja matka chrzestna była tym, kim była – istotą pełną przemocy, oszustwa i żądzy władzy. Nie była człowiekiem. Jej postaw i reakcji nie można uczciwie nazywać nieludzkimi.

Poza tym poznałem władczynię Lei, królową Mab, w sposób tak ohydnie intymny, że nie umiałbym go opisać. I uwierzcie mi. Jeśli Lea była arcykapłanką mordu, żądzy krwi, spiskowania i manipulacji, to Mab była boginią, której moja matka chrzestna oddawała cześć.

Skoro już o tym mowa, pewnie był to trafny opis ich związku.

Na jedno wychodzi. Moja matka chrzestna nie mogła się zmienić. Nie powinienem mieć jej za złe tego, kim była. Dlatego jedynie posłałem jej zmęczony, tajemniczy uśmiech.

– Oszczędzam w ten sposób czas. Jeśli raz zrobi się to gruntownie, nie trzeba bawić się z tym później.

Odchyliła się do tyłu i roześmiała na całe gardło. Później przechyliła głowę i popatrzyła na mnie.

– Nie miałeś pojęcia, co się stanie ze śmiertelnikami, kiedy obalisz Czerwonego Króla i jego pomiot. Prawda?

– Dostrzegłem okazję – odparłem po chwili. – Gdybym zastanowił się przez chwilę, jakie problemy to wywoła... nie wiem, czy postąpiłbym inaczej. Mieli moją córkę.

Jej oczy błyszczały.

– Tak powiedziałby ktoś godny mocy.

– Takie słowa w twoich ustach brzmią właściwie... odrobinę niepokojąco.

Zamachała nogami, zadowolona jak mała dziewczynka, i posłała mi uśmiech.

– Jakże uroczo z twojej strony, że tak mówisz.

Najlepszą cechą mojej elfiej matki chrzestnej jest to, że nigdy nie przestaje być niepokojąca.

– Wymienię się z tobą – zaproponowałem. – Reszta opowieści za informacje.

Pokiwała głową.

– Opowieść za trzy pytania?

– Umowa stoi.

– Stoi – odparła.

I dlatego jej opowiedziałem.

## Rozdział trzydziesty pierwszy

Biegłem tak całkiem długo. W szkole nie byłem w drużynie biegów przełajowych, ale z Elaine często wybieraliśmy się pobiegać. W ten sposób mogliśmy wyrwać się z domu, żeby się obściskować – i tak dalej – i ukryć to przed Justinem. Był skrupulatnym gościem, więc zawsze również biegaliśmy, żeby nasze oszustwo było doskonałe. I przez ten cały czas wydawało nam się, że się nam udało.

Jako dorosły widziałem, że nasze wysiłki były całkowicie oczywiste. Justin wiedział, byłem tego pewien – teraz. Jednak w tamtych czasach oboje z Elaine żywiliśmy przekonanie, że jesteśmy mistrzami oszustwa.

Otoczka całego tego podstępu tamtego dnia piekielnie mi się przydała. Zwolniłem, ale moje kroki stały się dłuższe, spokojniejsze, mechaniczne. Miałem szesnaście lat. Nie złapałem zadyszki przez prawie godzinę.

Kiedy w końcu się zatrzymałem, przerażenie zniknęło, choć smutek nie, i znalazłem się w całkowicie niespodziewanej sytuacji.

Nie wiedziałem, czego się spodziewać. Nie wiedziałem, czego ode mnie oczekiwano.

Musiałem myśleć. Samodzielnie.

Zszedłem z drogi i schowałem się w sporym przepuście. Kuliłem się tam, łapałem oddech i waliłem w mokrą papierową torbę, w której utknał mój mózg.

Przed wszystkim cały czas nie mogłem przestać myśleć, że powinienem się tego spodziewać. Po śmierci moich rodziców nikt w całym moim życiu nie zrobił więcej niż konieczne, by się o mnie zatroszczyć. Szczodrość Justina, nawet połączona z wymagającą nauką magii, nie mogła być prawdziwa. Powinienem się tego spodziewać.

A Elaine... Siedziała sobie, gdy on robił to, co zamierzał zrobić. Nie próbowała mnie ostrzec, nie próbowała go powstrzymać. Nigdy w życiu nikogo tak nie kochałem jak Elaine.

Powinienem wiedzieć, że ona też nie mogła być prawdziwa.

Przez chwilę płakałem. Byłem zmęczony i zmarznięty, a w piersi czułem ściskanie z powodu straty. Mój dom został zniszczony – ot tak, w jednej chwili. Moje życie

zostało zniszczone.

Gwałtownie potrząsnąłem głową, otarłem oczy i nos w skórzane rękawy bluzy, nie przejmując się, że zostaną ślady. Wciąż byłem w niebezpieczeństwie. Musiałem zacząć myśleć.

Nie miałem środka transportu, pieniędzy ani pomysłu, dokąd się udać. Na wszystkie dzwony Piekieł, całe szczęście, że w kieszeni miałem nowiutkie prawo jazdy. Była połowa listopada i po zmroku szkolna sportowa bluza nie ochroniłaby mnie przed chłodem. Żołądek głośno zaburczał i do listy swoich problemów dodałem głód.

Potrzebowałem schronienia. Potrzebowałem jedzenia. Musiałem ukryć się przed mentorem do chwili, kiedy wymyślę, jak sobie z nim poradzić – a do tego wszystkiego potrzebowałem pieniędzy. I to szybko.

I dlatego, kiedy się ściemniło, ja, no...

Posłuchajcie. Miałem szesnaście lat.

Kiedy się ściemniło, tak jakby napadłem na spożywczak.

\* \* \*

Z braku lepszego sposobu ukrycia twarzy owinąłem głowę spoconą koszulką, tworząc swego rodzaju prowizoryczną kominiarkę. Poza tym miałem jedynie szkolną bluzę, która – jak sądziłem – od razu zdradziłaby gliniarzom moją tożsamość. Niewiele mogłem zrobić, poza zerwaniem wszystkich naszywek i liczeniem na to, że będę miał szczęście. Później wyjąłem z kosza papierową torbę, opróżniłem ją i włożyłem do środka prawą rękę.

Po zakończeniu przygotowań podniosłem wzrok na latarnie świecące przed sklepem QuikStop i rzuciłem na nie szybki heks.

Nauka magii jest trudna, ale jeśli człowiek radzi sobie nawet ze skromnymi zaklęciami, wkrótce odkrywa, że niszczenie urządzeń technicznych jest proste. Wszystko, co ma wbudowaną elektronikę, jest szczególnie podatne na hekсы, ale jeśli wpakować w nie dość mocy, można wywołać zwarcie albo w inny sposób unieszkodliwić nawet prostsze urządzenia. W wieku szesnastu lat nie przypominałem tego maga, którym miałem stać się pięć czy sześć lat później – ale to oświetlenie nie miało szans. Dwie latarnie nad parkingiem zamigotały i zgasły.

Później uderzyłem oświetlenie przed sklepem i dwie kamery monitoringu. Robiłem się przy tym coraz bardziej nerwowy i ostatni heks przypadkiem razem

z kamerą wysadził też sklepowe zamrażarki i oświetlenie. Jedyne światło pochodziło teraz z pinballa i paru starych automatów do gier.

Przełknąłem ślinę i otworzyłem drzwi, przeszedłem przez nie na wpół skulony, żeby nie dało się porównać mojego wzrostu ze znacznikiem na wewnętrznej framudze drzwi. Wyciągnąłem przed siebie prawą rękę, jakby to był pistolet, który przecież mogłem mieć – naciągnąłem na nią papierową torbę. Jej wnętrze pokrywało coś zimnego, lepkiego i tłustego. Może majonez? Nienawidziłem majonezu.

Podszedłem do kasjera, młodego mężczyzny z brązową plerezą i pamiątkową koszulką z Bostonu, wycelowałem w niego papierową torbę i poleciłem:

– Opróżnij kasę!

Zamrugnął zaczerwienionymi, załzawionymi oczyma. Później spojrzął na torbę.

– Opróżnij kasę albo odstrzelę ci łeb! – krzyknąłem.

Pewnie bardziej bym go zastraszył, gdyby głos nie załamał mi się w połowie.

– Yyy, stary. – Dopiero wtedy wyczułem od kasjera woń niedawno wypalanej marihuany. Gość nie wydawał się przestraszony, a raczej zdezorientowany. – Człowieku, co to... Widziałeś te światła...

Naprawdę nie chciałem tego robić, ale nie miałem wyboru. Teatralnym gestem wycelowałem „spluwę” w stronę butelek gorzały za ladą, zebrałem wolę i krzyknąłem:

– *Ka-bang! Ka-bang!*

Przez te wszystkie lata moje werbalne inkantacje w rzeczywistości stały się bardziej wyszukane i wyrafinowane, nie mniej.

Jasne, czaję. Mnie to też szokuje.

Było to proste zakłęcie kinetyczne i nie uderzyło o wiele mocniej od piłki do baseballa rzuconej przez zawodnika ze szkoły średniej – przeciętnego zawodnika, nie Roberta Redforda z *Urodzonego sportowca*. Mocy nie wystarczyłoby, żeby zrobić komuś krzywdę, ale zakłęcie było hałaśliwe i miało dość energii, by zmiażdżyć parę butelek. Rozpadły się z głośnym hukiem w strumieniu szkła i gorzały.

– Cholera jasna! – krzyknął kasjer. Nosił identyfikator z imieniem STAN. – Stary! – Skulił się i uniósł ręce do głowy. – Nie strzelaj!

Wycelowałem w niego papierową torbę i powiedziałem:

– Dawaj całą kasę, Stan!

– Dobrze, dobrze! Boże. Nie zabijaj mnie!

– Forsa!

Odwrócił się do kasy i zaczął niezgrabnie uderzać w klawisze.

Kiedy to robił, wyczułem za sobą ruch, niemal podświadomą obecność. Czegoś

takiego można się spodziewać w kolejce – cichy nacisk innej żywej istoty za plecami, tymczasowo dzielącej twoją przestrzeń. Ale ja nie stałem w kolejce, więc obróciłem się przerażony i znów krzyknąłem:

– *Ka-bang!*

Rozległ się głośny trzask, kiedy czysta moc poleciała przez powietrze i roztrzaskała szklane drzwi zamrażarki z lodami.

– O Boże – jęknął Stan. – Proszę, nie zabijaj mnie!

Za mną nie było nikogo. Próbowałem patrzeć jednocześnie w każdą stronę i mniej więcej mi się to udało.

W sklepie nie było nikogo poza nami dwoma...

A jednak obecność wciąż tam była, na moim karku, bliższa i bardziej wyrazista niż jeszcze przed chwilą.

Co, do diabła?

– Uciekaj! – usłyszałem dźwięczny baryton.

Odwrociłem się i wycelowałem papierową torbę w dwa automaty do gier.

– Uciekaj! – powiedział głos z gry Sinistar. – Ja żyję! Jestem... Sinistar!

– Nie ruszaj się – zwróciłem się do Stana. – Włóż pieniądze do torby.

– Pieniądze do torby. – Stan dyszał, właściwie prawie się rozplakał. – Mam zrobić, co mi każesz, co nie? Tak przecież mówili nam właściciele, co nie? Mam ci oddać pieniądze. Żadnych dyskusji. W porządku?

– W porządku. – Rozglądałem się nerwowo dookoła. – Nie warto za to umierać, prawda, Stan?

– Masz rację – mruknął Stan. – Płacą mi tylko pięć dolców za godzinę. – W końcu udało mu się otworzyć kasę i zaczął niezgrabnie wciskać banknoty do plastikowej torebki. – Dobra, stary. Daj mi chwilę.

– Uciekaj! – powiedziała maszyna do gry w Sinistara. – Uciekaj!

Niematerialny nacisk na mój kark jeszcze się wzmógł. Obróciłem się powoli dookoła, ale nic tam nie było – nic, co mogłem zobaczyć.

Ale jeśli tam było? Coś, czego nie dało się zobaczyć? Nigdy wcześniej nie widziałem istoty przywołanej z piekła, ale Justin wielokrotnie je opisywał, a ja sądziłem, że nie kłamał. Taka bestia byłaby idealnym łowcą – doskonała do wysłania za wygadanyym praktykantem, który nie chciał grzecznie włożyć kaftana bezpieczeństwa.

Powoli zrobiłem dwa kroki w stronę gry wideo i wpatrzyłem się w ekran. Nie obchodził mnie statek kosmiczny, asteroidy ani krążąca wokół olbrzymia bezcielesna czaszka. Nie interesowały mnie zakłócenia pojawiające się na ekranie, kiedy się

zblizylem, gdy cos we wnetrzu komputera zareagowalo na moja obecnośc. Nie, skupialem sie na szklanym ekranie i widocznym w nim odbiciu ciemnego sklepu.

Rozpoznalem w nim swoja sylwetke, wysoka i chuda. Widzialem niewyraźny zarys sklepu w postaci cienistych kształtów – przejścia między regałami i wystawki, lada i drzwi.

I Istota stojąca tuż za drzwiami.

Była wielka, to znaczy wyższa i szersza od drzwi. Miała mniej więcej humanoidalny kształt, jednak niewłaściwe proporcje. Zbyt szerokie ramiona, zbyt długie ręce, nogi krzywe i zbyt grube. Pokrywało ją futro, łuski albo jakieś szorstkie, niezdrowe połączenie obu. A jej oczy były pustymi, ukośnymi jamami, które wypełniał słaby fioletowy blask.

Poczułem, że zaczynają mi drżeć ręce. Trząść się. Właściwie machałem nimi bezwładnie. Papierowa torba szeleściła. Oto stała za mną istota z innego świata. Czulem ją, oddaloną o dwa, może trzy metry, równie realną jak Stan, dla każdego z moich zmysłów prócz wzroku. Musiałem włożyć naprawdę dużo wysiłku, by pośpiesznie obejrzeć się przez ramię.

Nic. Stan wpychał banknoty do torby. Poza tym sklep był pusty. Drzwi nie otworzyły się od czasu, kiedy przez nie przeszedłem. Wisiał nad nimi dzwonek. Zadzwonilby, gdyby się otworzyły. Znow spojrzalem na odbicie.

Istota była pół metra bliżej.

I uśmiechała się.

Miała głowę, której zarys niemal nikał pod wyrostkami, łuskami albo skołtunionym futrem. Ale pod jej oczyma widziałem usta, zbyt wielkie, by były prawdziwe, wypełnione zębami zbyt ostrymi, ząbkowanymi i żółtymi, by należały do czegoś z tego świata. To był uśmiech z zainspirowanych opium, przepelnionych laudanum snów Lewisa Carrolla.

Miałem wrażenie, że nogi zaraz się pode mną ugną. Nie mogłem złapać tchu. Nie mogłem się poruszyć.

Coś złowrogiego przesunęło się po moim kręgosłupie i wywołało dreszcze na karku. Wyczuwałem wrogość tej istoty – nie bezmyślną złość rówieśnika, któremu dokuczyłem tak bardzo, że przestał nad sobą panować, ani zimny, logiczny gniew Justina. To było coś innego, coś potężniejszego, bardziej ponadczasowego i głębszego od oceanów. Trująca nienawiść, tak starożytna, tak ohydna, że niemal mogła zabijać bez żadnego innego działania, nienawiść tak stara i zjadliwa, że na powierzchni ścięła się i zakrzepła w śmierdzącą, oszalamiającą pogardę.



Istota pragnęła mnie zniszczyć. Pragnęła zrobić mi krzywdę. I pragnęła czerpać z tego przyjemność. I nic, co mogłem powiedzieć, co mogłem zrobić, by tego nie zmieniło. Byłem czymś do zlikwidowania, najlepiej w jakiś zabawny sposób. Nie znała litości. Nie znała strachu. I była stara ponad moją zdolność pojmowana. Była cierpliwa. A gdybym okazał się zbyt rozczarowujący, przebiłbym się jedynie przez tę warstwę pogardy – a to, co kryło się pod nią, rozpuściłoby mnie jak najmocniejszy kwas. Poczuję się... splugawiony przez samą jej obecność, splugawiony, jakby pozostawiła na mnie ohydne piętno albo ślad, których nie dało się zmasać.

Nagle znalazła się za mną tak blisko, że mogłem jej prawie dotknąć, jej zarys górował nade mną, wielki i przerażający.

Pochyliła się. Spomiędzy koszmarnych zębów rekina skrzyżowanego z piłą łańcuchową wysunął się rozdwojony język i szepnęła, cicho, spokojnie, z brytyjskim akcentem:

– To, co właśnie poczułeś, jest najlepszym przybliżeniem tego, jak twój umysł może pojąć moje imię. Jak się masz?

Próbowałem się odezwać. Nie mogłem. Nie mogłem zmusić słów do opuszczenia ust. Nie mogłem zaczerpnąć dość powietrza, by wypchnąć głos z gardła.

Do diabła. Do diabła, nie byłem już przerażonym dzieckiem. Nie byłem bezradnym sierotą, przygotowującym się na zniesienie tego, co przygotowywał dla mnie ktoś o wiele starszy i potężniejszy ode mnie. Dotknąłem mocy Stworzenia. Byłem młodą siłą natury. Widziałem rzeczy, których nikt inny nie widział, robiłem rzeczy, których nikt inny nie potrafił.

I w takiej chwili mogłem sobie zadać tylko jedno pytanie: co zrobiłby Jack Burton?

– Czuję się d-d-dobrze – powiedziałem chrapliwym, ledwie zrozumiałym głosem. – Jest dość długie, a ja mam sporo do zrobienia. M-masz może przydomek?

Istota uśmiechnęła się szerzej.

– Mały Kąsku, pośród tych, których rozłożyłem na części – wymruczała, a jej głos z miłością otoczył ostatnie słowo – kilka razy określono mnie tą samą frazą.

– A-ach tak? J-jaką?

– Ten – wymruczała istota – Który Kroczy z Tyłu.

## Rozdział trzydziesty drugi

– Ten, Który Kroczy z Tyłu? – Mimo wysiłku nie udało mi się powstrzymać drżenia.  
– Jeśli chodzi o przerażające imiona, to raczej nim nie jest. Wolę to pierwsze. Bardziej sugestywne.

– Bądź cierpliwy – wymruczał bezcielesny głos istoty. – Zrozumiesz, zanim wszystko się skończy.

– Ej, stary? – spytał cicho Stan. – Yyy... z kim rozmawiasz?

– Powiedz mu – rzuciła istota. – To będzie zabawne.

– Zamknij się, Stan – poleciłem. – I wynoś się.

– Yyy... co?

Odwróciłem się do niego i wycelowałem w niego papierową torbę. Moje ręce zajęły przestrzeń, w której Ten, Który Kroczy z Tyłu najwyraźniej znajdował się i nie znajdował jednocześnie.

– Wynoś się stąd, do diabła!

Stan potykał się o własne nogi, próbując wypełnić moje polecenie. W drodze do drzwi przewrócił się dwa razy na wyłożoną płytkami podłogę i z szeroko otwartymi oczyma wypadł w mrok.

Odwróciłem się z powrotem do ekranu gry wideo, a kiedy znów ujrzałem w nim kształt, poczułem ogień wzdłuż kręgosłupa. Poleciałem do przodu i uderzyłem w ekran głową tak mocno, że na szkle pojawiła się siateczka pęknięć. Moją czaszkę przepełnił ból, mdłący i ostry, i zatoczyłem się.

Ale nie upadłem. Justin DuMorne nie był dla mnie łagodny. Nigdy nie było aż tak źle, tak przerażająco i nigdy tak nie bolało – ale też nigdy wcześniej nie było naprawdę. Złapałem za boki maszyny, zmusiłem palce do chwytu i powstrzymałem się przed upadkiem.

– Uciekaj! Uciekaj! – wrzasnął znów automat.

Tym razem głos był niewyraźny i zniekształcony, niepokojąco głęboki i złowrogi. Zauważyłem, że popękany i migoczący szaleńczo ekran zalała krew przerażonego maga. Komputer automatu już wysiadał.

– Myślisz, że ten upojony śmiertelnik pobiegnie po władze – zamruczała istota.

Odwróciłem głowę, rozejrzałem się, ale niczego nie zobaczyłem. Ruch ten sprawił jednak, że plecy mnie zapiekły i po raz pierwszy poczułem, że krwawię.

– Myślisz, że jeśli przyjadą w swoich pojazdach, ze swoimi światłami i symbolami, ucieknę.

Odwróciłem się i stanąłem plecami do automatu. Nogi się pode mną uginały, ale zaczynałem walczyć z bólem. Zacisnąłem zęby i warknąłem:

– Zostaw mnie.

– Zapewniam cię – zabrzmiał bezcielesny głos istoty – że nikt nam nie będzie przeszkadzał. Dopilnowałem tego. Ale to świadczy, że masz pewien talent do działania pod presją. Nieprawdaż?

– Brzmisz jak mój doradca zawodowy. – Otarłem krew z oka. Odetchnąłem i zrobiłem krok do przodu, tylko odrobinę się przy tym kołysząc. Złapałem torbę z pieniędzmi, którą Stan zostawił na ladzie. – Pewnie rzeczywiście jesteś trochę straszny.

– Ani strach, ani ból nie odciągają cię od celów. Doskonale. – Tym razem głos istoty dobiegał z drugiego końca sklepu. – Ale nie można poznać prawdziwej twardości ostrza, dopóki się go nie sprawdzi. Nawet najmocniejsza z wyglądu stal może mieć ukryte skazy. To się zapowiada interesująco.

\* \* \*

Zawahałem się, zmarszczyłem czoło i podniosłem wzrok na elfią matkę chrzestną, która wciąż siedziała na brzegu mojego grobu i słuchała jak urzeczona.

– Ja... Matko chrzestna. Słyszałem, że duchy są wspomnieniami.

– W rzeczy samej. – Lea pokiwała głową.

– Czy wspomnienia są prawdą?

Na te słowa Lea uniosła brew, dość kostycznie.

– Zadajesz pierwsze pytanie przed ukończeniem historii? – Wykrzywiła z niesmakiem usta. – Twój sposób snucia opowieści pozostawia nieco do życzenia.

– Tak, zawsze miałem słabe oceny z angielskiego. Odpowiesz na pytanie?

Jej oczy stały się bardzo, bardzo zielone i zamigotały szalonym, złośliwym blaskiem.

– Są faktami, wydarzeniami w takiej formie, w jakiej ich doświadczyłeś.

Zmarszczyłem czoło.

– Nigdy tak naprawdę nie umiałem sobie przypomnieć, co dokładnie mówiła do

mnie istota. Od tego ciosu w głowę jeszcze przez parę tygodni miewałem migreny.

– Ach tak. Pamiętam twój ból.

Wcale mnie to nie zdziwiło.

– No tak. W każdym razie teraz pamiętam rozmowę, słowo w słowo. Czy to prawda? Czy też jest to coś, co gość w czerni wymyślił, żeby wypełnić luki?

– To twoje wspomnienia, zapis, wrażenie z tego, co przeżyłeś. Twój mózg nie jest jedynym miejscem, w którym są przechowywane... prawdę mówiąc, często jest dość kiepskim narzędziem do takich celów. – Zawahała się, by rozważyć następne słowa, a później rozłożyła ręce, wnętrzem dłoni do góry, a w oczach miała dziwny blask. – Naturą wszechświata jest to, że rzeczy pozostają. Nic nigdy nie znika do końca. Sam dźwięk Stworzenia wciąż odbija się echem przez ogromną ciemność... wszechświat pamięta. Obecnie zostałeś uwolniony od okowów śmiertelności. Twój ograniczony umysł już nie utrudnia dostępu do tego zapisu. Jedynymi blokadami twoich wspomnień są te, na które sam pozwalasz.

– To brzmi albo bardzo w duchu zen, albo bardzo... bardzo wariacko. Czyli to wspomnienie... to rzeczywiste wydarzenie?

– Chyba właśnie tak powiedziałam? – rzuciła z irytacją. – Jako fikcja byłoby śmieszne. Dlaczego inaczej poświęcałabym czas na słuchanie?

Szczerze mówiąc, nie byłem pewien. Ale postanowiłem nie naciskać. Duch Harry, mądry Harry.

– A teraz – odezwała się Leanansidhe. – Jeśli skończyłeś branie mojej wyobraźni na zakładnika, byłabym wdzięczna, gdybyś mówił dalej.

\* \* \*

– Zostaw mnie – warknąłem, ściskając pieniądze.

Z usmażonej kamery monitoringu leciały iskry. Stanowiły większość światła w tym miejscu. Nawet gdyby stwór był czymś materialnym i fizycznym, mógłby się ukrywać w cieniach między migoczącymi pyłkami światła. Nigdzie go nie widziałem.

Dlatego było dla mnie szokiem, kiedy coś złapało mnie za kark i bez wysiłku rzuciło w wystawkę pączków i innych ciastek.

Przeleciałem przez nią i uderzyłem w półkę za nią. Bolało bardziej, niż mógłbym sobie wyobrazić. Lata później uznałbym to za pomniejszy pagórek bólu, ale w owym czasie była to cała góra. Poczulem słodką woń cukru i czekolady. Doszedłem do wniosku, że moje plecy musi pokrywać centymetr lukru, kremowego nadzienia

i cukru pudru. Zapach sprawił, że zaburczało mi w żołądku – tak głośno, że dźwięk ten słychać było ponad hałasem przedmiotów spadających tu i ówdzie z półek.

Jak już mówiłem – miałem szesnaście lat.

– W jakże bezużytecznym kawałku mięsa się zawierasz. – Przemoc nie zmieniała głosu stwora. – Jest absolutnie nieistotny, a jednak cię kształtuje. Twoje istnienie to seria sprzeczności. Ale oto jeden pewnik, śmiertelne dziecko: tym razem nie uda ci się uciec.

Niech mnie diabli, jeśli się nie uda. Bieganie zawsze nieźle mi służyło i nie zamierzałem teraz zmieniać swojego podejścia. Podniosłem się i pobiegłem na tył sklepu, z dala od miejsca, w którym – jak zakładałem – przebywał napastnik. Wybiegłem za róg alejki i dysząc, przyłgnałem plecami do ściany.

Coś twardego, gorącego i pokrytego śluzem owinęło się wokół mojej szyi, pętla z mokrego węża, równie mocna. Poderwała mnie brutalnie w powietrze i niemal natychmiast wypuściła.

Poczułem nagły przyływ współczucia dla Jerry'ego, który musiał stawić czoło sile i rozbawieniu wielkiego, niewidzialnego Toma.

– Nie uciekniesz przed tym, co zawsze jest za tobą.

Wylądowałem twardo na tyłku i na czworakach ruszyłem w stronę kolejnej alejki, ale wtedy znów poczułem następne straszliwe uderzenie, tym razem pogardliwy kopniak w siedzenie spodni. Rzucił mnie w stronę szklanych drzwi na ścianie lodówek z rzędami napojów chłodzących.

Odbiłem się od drzwi i wylądowałem oszołomiony, przez chwilę wpatrywałem się w spore pęknięcia, jakie moja głowa pozostawiła na szkle.

– Nikt cię nie ocali.

Próbowałem się odczołgać. Udało mi się dotrzeć jedynie do następnej lodówki, a wtedy cios trafił mnie w żebra i popchnął na kolejne szklane drzwi. Tym razem trafiłem barkiem i nie rozbiłem szkła, ale poczułem, jak w moim ramieniu coś pęka, a całą kończynę wypełniła fala nagłego bólu.

Niewidoczna obecność istoty zbliżyła się. Jej głos zniżył się do cichego, zadowolonego szeptu.

– Dziecko gwiazd. Tej nocy cię zniszczę.

W głowie miałem pełno bólu i strachu. Wyczuwałem, że stwór znów się zbliża, zza moich pleców – jakimś sposobem wiedziałem, że zawsze był tam, gdzie byłem najslabszy, najbardziej podatny na cios. I tam miał zawsze być.

Musiałem się ruszyć. Musiałem coś zrobić. Ale groza była jak ołowiane obciążniki

na moich nadgarstkach i kostkach, odbierająca mi siłę, zmieniająca mięśnie w watę, myśli w hałas. Próbowałem biec, ale udało mi się jedynie powoli, niezgrabnie powlec alejką napojów chłodzących.

– Żalony – powiedział Ten, Który Kroczy z Tyłu, zbliżając się z każdym słowem. – Jęczące, skomlące stworzenie. Bezużyteczne.

Groza.

Nie mogłem się skupić.

Miałem umrzeć.

Miałem umrzeć.

I wtedy moje usta otworzyły się, całkiem nieźle naśladowując Pee-wee Hermana.

– Wiem, że ty taki jesteś, ale jaki jestem ja?

Ten, Który Kroczy z Tyłu zatrzymał się gwałtownie. W jego nieuniknionej obecności pojawił się ślad niepewności i stwór spytał:

– Co?

– Ha, ha – powiedziałem tym samym głosem, podbijając własny strach charakterystycznym śmiechem postaci.

W mojej głowie nagle pojawiła się myśl: może nie powstrzymam tej istoty przed zaatakowaniem moich tyłów.

Ale mogę wybrać, w którą stronę je zwrócę.

Podniosłem się z trudem i ruszyłem alejką, z każdym krokiem obracając się niczym derwisz. Przez ten cały czas śmiałem się jak Pee-wee Herman – co, jak się nad tym zastanowić, było pewnie najbardziej przerażającą rzeczą, jaka tej nocy dotarła do moich uszu.

Uderzyłem w drzwi biodrem i łokciem i wypadłem przez nie na parking, cały czas się obracając. Kiedy już się tam znalazłem, uświadomiłem sobie, że mój plan ucieczki nie miał drugiej części. Nie obejmował niczego poza wyjściem za drzwi sklepu.

Osiągnąłem ten cel. Co teraz?

Na ciemnym parkingu kłębiły się cienie. Najbliższe światła paliły się w odległości stu metrów i wydawało się, że są ciemniejsze, bardziej pomarańczowe, niż powinny. Powietrze było gęste, wyczuwałem w nim bardzo słaby odór śmierci i zgnilizny. Czy to dzieło stwora? Czy to miał na myśli, kiedy powiedział, że zapewnił nam prywatność?

Stan znajdował się na parkingu, między dwiema wysepkami, na których stały należące do sklepu dystrybutory paliwa. Wyglądał jak człowiek, który próbował biec w zwolnionym tempie. Jego ręce poruszały się bardzo powoli, nogi miał wygięte,

jakby biegł, ale nie osiągnął przy tym nawet prędkości wolnego marszu, jakby próbował biec przez pole ryżowe wypełnione masłem orzechowym. Oglądał się na mnie przez ramię, a jego twarz wykrzywiło przerażenie, straszliwa maska, która w cieniach tej nocy prawie nie wyglądała na ludzką.

Pod wpływem czystego instynktu pobiegłem w jego stronę. Instynkt stadny, działający na podstawie założenia, że w jedności siła. Moje stopy uderzały w asfalt parkingu w normalnym tempie, a Stan komicznie powoli wybałuszył oczy, kiedy pędziłem w jego stronę.

– Czy tym właśnie jesteś? – Głos stwora dobiegał ze wszystkich stron i z żadnej. – Jednym z nich? Jednym z roju, który plugawi świat? – Miejsce, skąd dochodził głos, zmieniło się i nagle poczułem na karku gorący, śmierzdzący oddech. – Po uczniu DuMorne’a spodziewałem się czegoś więcej.

Zawirowałem i uniosłem ręce. Miałem czas zobaczyć wszystko w odbiciu w szerokiej witrynie sklepu.

Ten, Który Kroczy z Tyłu wyłonił się z cieni przed przerażonym Stanem. Szerokie, koszmarne ramiona owinęły się wokół chłopaka i zmiażdżyły go z łatwością dorosłego mężczyzny podnoszącego dziecko. Kolejna kończyna, może ogon albo jakaś macka, pokryta tymi samymi naroślami-futrem-łuskami, dołączyła do obu ramion w taki sposób, że Stan był otoczony na wysokości barków, dolnych żeber i bioder.

Wtedy Ten, Który Kroczy z Tyłu uśmiechnął się i prostym, brutalnym ruchem rozerwał kasjera Stana na trzy części.

Widziałem śmierć już wcześniej, ale nie taką. Nie tak straszliwą, szybką i krwawą. Kiedy odwróciłem się do Stana, trzy kawałki właśnie padały na ziemię. Wszędzie lała się krew. Jedna z jego rąk machała gorączkowo, a usta otworzyły się, jakby chciał krzyknąć. Wydobył się z nich jedynie bulgot wraz ze strumieniem krwi. Szeroko otwarte, przerażone oczy przez chwilę wpatrywały się we mnie, a ja oderwałem wzrok, nie chcąc zobaczyć duszy Stana, kiedy umierał.

I wtedy tak jakby się... zmienił. Z człowieka cierpiącego straszliwy ból i strach w pustą stertę... mięsa. Części. Zaplamionych ubrań.

Nigdy wcześniej nie widziałem śmierci nadchodzącej w taki sposób. Jako upokorzenie, degradację wyjątkowej duszy do materii. Kiedy ta istota zabiła Stana, nie tylko zakończyła jego życie. Jednocześnie podkreśliła wewnętrzną jałowość, fundamentalny brak znaczenia tego życia. Zmieniła człowieka – owszem, raczej pozbawionego motywacji – w mniej niż nic, coś, co było marnotrawstwem zasobów,

które pochłaniało. Coś, co nigdy nie miało szansy wybrać swojego losu, nie miało szansy stać się czymś innym.

Wciągnąłem Stana w ten konflikt. To nie była jego walka.

Jasne, nie zamierzałem skrzywdzić faceta i nigdy bym tego nie zrobił. Mimo wszystko, gdybym nie postanowił napaść na sklep, nadal kręciłby się za ladą i zabijał czas do kolejnego blanta. Został porwany przez przemoc, na którą nie zasłużył i której nie mógł się spodziewać – a ona go zabiła.

Coś przeskoczyło w mojej głowie.

To nie było właściwe.

Stan nie powinien tak zginąć. Nikt nie powinien. Nikt – człowiek, bestia, nieważne – nie powinien mieć prawa do podjęcia decyzji, w chwili złośliwego rozbawienia, że może zakończyć życie Stana, zabrać wszystko, czym był, i wszystko, czym mógł się stać.

Stan na to nie zasłużył. Nie szukał tego. A ten stwór, ten demon, go zamordował.

Poczułem, że szczęka zaczyna mnie boleć od zaciskania zębów. Czułem przyspieszone pulsowanie krwi za oczami. Moją głowę i pierś wypełniał straszliwy nacisk, towarzyszyła mu narastająca fala złości, a coś mroczniejszego i bardziej morderczego niż złość zaczęło wznosić się jak wielki przyływ z ciemnego morza.

To.

Nie było.

Właściwe.

Nie, nie było. Ale świat nie był sprawiedliwy, prawda? Wiedziałem o tym lepiej niż większość ludzi dwa razy ode mnie starszych. Świat nie był miły i nie był sprawiedliwy. Ludzie, którzy na to nie zasługiwali, każdego dnia cierpieli i umierali.

I co z tego? To z tego, że ktoś powinien coś z tym zrobić.

Moja prawa ręka i ramię paliły jak ogień, prawa dłoń powoli zaciskała się w pięść. Knykcie trzasnęły, jeden po drugim. Nigdy wcześniej mi się to nie zdarzyło.

Odwrociłem się w stronę odbicia stwora w szybie. Kucał nad trupem Stana, jego szpony stuknęły lekko w otwarte oczy zabitego mężczyzny, a usta wciąż wykrzywił ten koszmarny, szeroki uśmiech.

Kiedy zobaczył moją minę, uśmiechnął się jeszcze szerzej i zmrużył oczy.

– Ach. Ach. Tu jesteś.

Nie byłem ofiarą. Nie byłem bezradnym dzieckiem. Byłem magiem. Byłem wściekły. I przestałem uciekać.

– To nie jest twój świat – szepnąłem.



– Jeszcze nie – mruknął Ten, Który Kroczy z Tyłu, uśmiechając się jeszcze szerzej. – Ale już niedługo znów będzie nasz.

– Ty nie dożyjesz, by to zobaczyć.

Nigdy nie używałem mocy w złości. Nigdy nie próbowałem świadomie skrzywdzić innej istoty swoją magią.

Ale ten stwór? Jeśli komukolwiek, kogo kiedykolwiek spotkałem, się należało, jeśli jakaś istota zasługiwała na przemoc z mojej strony, był nią ten zakrwawiony stwór kucający nad zmasakrowanym ciałem Stana. W ciągu jednego popołudnia odebrano mi wszystko. Dom. Rodzinę. A teraz wyglądało na to, że miałem stracić życie. Jeśli tak miało być, jeśli nie mogłem uciekać, nie doprowadzając przy tym do śmierci kolejnych przypadkowych, niewinnych osób, postanowiłem stoczyć walkę w tym miejscu – i nie zamierzałem odejść cichutko.

Sięgnąłem do tej głębokiej studni złości i zacząłem zbierać ją razem w coś równie gorącego, brutalnego i niszczycielskiego jak moje uczucia.

– Musisz coś wiedzieć. Uciekłem dziś z szóstej lekcji. Z hiszpańskiego. I tak nie radzę sobie najlepiej.

– A co to ma dla mnie za znaczenie?

– *Flickum bicus* nie wydaje się właściwe. – Gorąco w moim prawym barku i ramieniu skupiło się w prawej dłoni. – A ty naprawdę nie masz pojęcia, gdzie stoisz, co?

Odbicie istoty popatrzyło na prawo i na lewo, na dystrybutory paliwa.

Skupiłem spojrzenie na jego odbiciu w lustrze, wyciągnąłem prawą rękę do tyłu w jego stronę i zmieniłem swoje zakłęcie podpalające w coś tysiąc razy większego, gorętszego i bardziej morderczego niż cokolwiek, co próbowałem zrobić wcześniej.

Napotkałem wzrok stwora w odbiciu, sięgnąłem w dół do studni energii i czystej woli, którą stworzyłem w swoim wnętrzu, wyciągnąłem rękę w jego stronę i krzyknąłem:

– *Fuego!*

Wściekłość i strach wylewały się ze mnie. Ogień wystrzelił z mojej otwartej dłoni jak woda z uszkodzonego hydrantu. Zalał Tego, Który Kroczy z Tyłu i ciało Stana, rozświetlił mrok wściekłym złotym blaskiem.

Istota krzyknęła, bardziej z zaskoczenia i złości niż z bólu, uniosła wielkie dłonie do oczu. Światło zmieniło odbicie w szybę i nie widziałem już, co mam za sobą. Przesunąłem strumieniem ognia w prawo i w lewo, cały czas zwrócony plecami w tę samą stronę. Miałem nadzieję, że spowolni to Tego, Który Kroczy z Tyłu na czas

wystarczający, by moje zmodyfikowane zakłęcie podpalające zrobiło swoje.

Dystrybutory paliwa mają wbudowane wszelkiego rodzaju zabezpieczenia, by zmniejszyć prawdopodobieństwo przypadkowego zapłonu. Są niezłe. Ile razy wywołaliście wybuch, kiedy tankowaliście auto? Jednakże, choć te zabezpieczenia są solidne, mają nie dopuszczać do wypadków.

A żaden inżynier na świecie nie pomyślał, by zabezpieczyć je przed wściekłymi młodymi magami.

Trwało to parę sekund, ale później rozległ się zgrzyt, coś metalowego naprężyło się poza granicę wytrzymałości i pierwszy zbiornik wybuchł spektakularnym płomieniem.

Eksplozja odrzuciła mnie do tyłu, osmałiła mi skórę i spaliła brwi. Wylądowałem na tyłku – znowu – i przez kilka sekund leżałem oszołomiony. Wypełniło mnie nagłe znużenie, głębsze niż cokolwiek, czego doświadczyłem, w odpowiedzi na energię, jaką zużyłem do stworzenia zakłęcia podpalającego w rozmiarze rodzinnym.

Wtedy wybuchł drugi zbiornik.

Gorący wiatr i kawałki dymiącego metalu uderzyły o witrynę sklepu. Dobrze, że pierwszy wybuch mnie przewrócił. Gdybym stał, metalowe odłamki, które wybiły wszystkie szyby od frontu, najpierw przeszłyby przeze mnie.

Wpatrzyłem się w płomienie i zobaczyłem w nich kształt – a raczej zobaczyłem pustkę w miejscu, gdzie powinny znajdować się dym i ogień. Z płomieni wydobył się głos, potężny i przerażający głos należący do bogów i mitycznych potworów.

– JAK ŚMIESZ?! – zaryczał. – JAK ŚMIESZ PODNIEŚĆ NA MNIE RĘKĘ?!

I wtedy nie-sylwetka padła na kolana i osunęła się bezwładnie na bok.

Pochłonęły ją ryczące płomienie.

A moja pierwsza prawdziwa walka się skończyła.

## Rozdział trzydziesty trzeci

– To była moja pierwsza walka – powiedziałem cicho do matki chrzestnej. – Nigdy wcześniej nie wykorzystałem magii, by zrobić komuś lub czemuś krzywdę. – Przesunąłem dłonią po głowie. – Gdybym tego dnia nie zerwał się z lekcji... nie wiem. Może nigdy nie stałbym się tym, kim się stałem.

– Czy to lekcja, jaką wyniosłeś ze wspomnienia? – Lea uśmiechnęła się szerzej. – Wyraźnie byłeś przygotowywany do roli egzekutora.

– Na to wygląda – powiedziałem ostrożnie, próbując odczytać wyraz jej twarzy. – Ale Justin nigdy nie próbował mnie skłonić, żebym zrobił komuś krzywdę.

– Dlaczego miałbyś chcieć, byś stanął przed nim uzbrojony, dopóki nie był pewien twojej lojalności? Zrobiłby to. To było nieuniknione.

– Prawdopodobnie. Ale nie możemy mieć pewności. Daleka droga dzieli łamanie desek w czasie ćwiczeń od łamania kości.

– Owszem. Ponieważ przekonanie młodego śmiertelnika, że wykorzystanie magii dla przemocy jest właściwe i odpowiednie, to delikatny proces, którego nie da się przyspieszyć.

Chrząknąłem i oparłem tył głowy o ścianę grobu.

– Możesz sobie wzdychać, ile chcesz, ale przeszłości nie zmienisz, mój synu chrzestny. Chciałbyś wierzyć, że Justin miał być może ukryte dobre zamiary. Że to, co wydarzyło się między wami, było takim czy innym nieporozumieniem. Ale zrozumiałeś go doskonale.

– Pewnie tak. Zapomniałem, jak bardzo to bolało, i tyle – powiedziałem cicho. – Zapomniałem, jak bardzo go kochałem. Jak bardzo chciałem, by był ze mnie dumny.

– Dzieci są wrażliwe. Łatwo je oszukać i nagminnie padają ofiarą takich złudzeń. Już nie jesteś dzieckiem. – Pochyliła się i teraz mówiła z naciskiem. – Zobowiązałam się do odpowiedzi na dwa kolejne pytania. Zadasz je teraz?

– Tak. Daj mi chwilę do zastanowienia.

– Jak sobie życzysz.

Zamknąłem na moment oczy i spróbowałem oczyścić myśli. Zadawanie pytań nieludzkim istotom bywa trudne i niebezpieczne – szczególnie w przypadku fae.

Panowie Faerie, Sidhe, prawie nigdy nie udzielają jednoznacznych odpowiedzi. Jeśli zadać im bezpośrednio pytanie, szczególnie wiążące się z informacjami istotnymi w jakimś konflikcie, najprawdopodobniej otrzyma się niejasne i złośliwie zwodnicze odpowiedzi. Miałem dobre układy z matką chrzestną, przynajmniej jak na kontakty człowiek-Sidhe, co jednak nie znaczyło, że mogłem wyzbyć się ostrożności.

Dlatego przez chwilę rozmyślałem nad ostatnimi wydarzeniami i szukałem luk, ale ciągle rozpraszały mnie wspomnienia tamtej nocy w sklepie spożywczym. Dręczyły mnie i nie pozwalały odepchnąć się na bok – szczególnie rozmowa z Tym, Który Kroczy z Tyłu.

– Priorytety – powiedziałem. – Tu chodzi o priorytety.

– Ach tak?

Pokiwałem głową.

– Mógłbym zadać ci sporo pytań na temat mojej przeszłości, a ty byś na nie odpowiedziała.

– To prawda.

– Albo mógłbym cię spytać o to, co dzieje się teraz w mieście. Mógłbym się dowiedzieć, jak najlepiej pomóc Murphy.

Lea przytaknęła.

– Ale zostałem odesłany tutaj, by odnaleźć tego, kto mnie zabił. Mam polować na zabójcę, a robię mnóstwo innych rzeczy, tylko nie to.

– Tak naprawdę robiłeś niewiele poza tym.

Zamrugalem.

Odpowiedziała tajemniczym, kocim uśmiechem.

– Ty suko – westchnąłem. – Po prostu uwielbiasz mi to robić.

Lea skromnie spuściła wzrok. Dwa razy zatrzepotała rzęsami.

Popatrzyłem na nią ze złością i zaplotłem ręce na piersi. Lea uczestniczyła w moim życiu od moich narodzin, a pewnie i wcześniej. Mogłaby powiedzieć mi mnóstwo rzeczy, których bardzo chciałem się dowiedzieć od czasu, gdy dorosłem na tyle, by zadawać pytania. Była też na bieżąco z obecnymi wydarzeniami. Wszyscy wysocy Sidhe fanatycznie zbierają informacje, moja matka chrzestna nie była tu wyjątkiem. Oczywiście zwykle strzegą ich równie zajadle, jak smoki złota – i rozstają się z nimi niemal równie niechętnie.

Sidhe nie są głupi. Informacje są znacznie cenniejsze od złota, zawsze.

Dlatego powróciłem do swojego wcześniejszego pytania. Jakie były moje priorytety? Co było dla mnie najważniejsze? Wygrzebanie tajemnic z okrytych

cieniem fragmentów mojej przeszłości? Wydobycie informacji, których potrzebowałem, by przejść do przyszłości? A może pomoc przyjaciółom i najbliższym?

Jasne. Łatwizna.

– Co możesz mi powiedzieć o Łowcy Ciał, jej możliwościach i celach?

Lea przez chwilę rozważała odpowiedź, po czym pokiwała głową.

– Istotą, o którą pytasz, powoduje wyłącznie własny interes. Kiedy ciało, które posiadała, zostało zabite przez aroganckiego, impulsywnego i niebezpiecznego młodego maga, jej duch pozostał. Potrzebowała dwóch dziesiątków księżyców, by uzyskać dość spójności do działania, a nawet wtedy miała niezmiernie mały wpływ na świat śmiertelników. Była ograniczona do porozumiewania się z nielicznymi śmiertelnymi, którzy postrzegają takie rzeczy. Odnalazła ich więc i zaczęła nimi manipulować, zbierając ich razem w grupie, którą już napotkałeś. Jej celem było zgromadzenie wyznawców, duchowych i materialnych, a później porwanie ciała o odpowiedniej sile.

– Prośba o wyjaśnienie – wtrąciłem. – Masz na myśli ciało o zdolnościach magicznych?

– O znaczących zdolnościach magicznych – odpowiedziała Lea, kładąc nacisk na te frazę. – Kiedy jeszcze zamieszkiwała ten padół, nawet ciała o uśpionym talencie były dla niej dość gościnne, by mogła wykorzystywać pełną moc. Ale dzięki tobie i podobnie jak ty przekroczyła próg oddzielający życie od śmierci. Teraz wymaga ciała o wiele większym wrodzonym talencie, by wykorzystywać swoje dary, gdy już się w nim znajdzie.

W zamyśleniu postukałem czubkiem palca w wargi.

– Mówisz, że Mort ma duży talent.

– W pewnych aspektach jest potężniejszy, niż ty byłeś, synu chrestny. I o wiele bardziej praktyczny, prawie zupełnie uniknął dostrzeżenia przez Białą Radę i całkiem zręcznie ukrył przed nimi swoje możliwości. Łowca Ciał chce go dostać. Bez wątpienia zamierza wykorzystać martwych z miasta i zdobyć pozycję dominującego użytkownika magii.

Zamrugalem.

– Dlaczego? Przecież jeśli to zrobi, przyciągnie uwagę Rady, a wciąż znajduje się na ich liście poszukiwanych żywych lub martwych, ale najlepiej martwych.

– Nie, jeśli będzie wyglądać jak mały ektomanta – sprzeciwiła się Lea. – Będzie po prostu ukrytym talentem ujawniającym się w chwili największej potrzeby.

– Ale po co tak ryzykować? Dlaczego Chicago?  
Lea zmarszczyła czoło, ściągając złocistorude brwi.

– Nie wiem. Ale dobijanie targów z Fomorami to niebezpieczna rozrywka. Uniosłem brwi. Biorąc pod uwagę, kto to powiedział, te słowa dużo znaczyły.

– Moim zdaniem Łowca Ciał zawarła umowę z Fomorami jedynie po to, by zdobyć pozycję w mieście, pewnie jako luźno powiązany wasal ich arystokracji. Uświadomiłem sobie, że się krzywię.

– Cóż. Nie zrobi tego. To moje miasto. Śmiech matki chrzestnej znów zabrzmiał dźwięcznie jak srebrny dzwoneczek.

– Naprawdę? Nawet teraz?

– Oczywiście. – Podrapałem się po brodzie. – Co, jeśli dopadnie Morta? Lea wydawała się nieco skonsternowana.

– Wygra?

Machnąłem ręką.

– Nie, nie. Jak ją z niego wyciągnąć?

Lea opuściła trochę powieki.

– Już raz wykorzystalesz jedyny sposób, jaki znam.

– Czyli muszę ją dopaść, zanim dorwie Morta – powiedziałem cicho.

– Owszem, jeśli pragniesz ocalić jego życie.

– A jeśli rozmowa z Dziwnym Sługą jest jakąś wskazówką, lepiej, żebym rozbił drużynę Łowcy Ciał i Fomorów, zanim nabiorą impetu.

– Wydaje się to rozsądne.

– Dlaczego Fomorzy? To znaczy... właściwie nie wiem o nich zbyt wiele. Dlaczego kręcą się teraz po całym Chicago? Kim są?

– Niegdyś byli wrogami mojego ludu, na równi Lata i Zimy. – Lea uniosła brodę, a jej szmaragdowe oczy się zamgłiły. – Wygnaliśmy ich do morza. Teraz są wygnańcami z mitów i legend, banitami bogów i demonów na każdym lądzie graniczącym z morzem. Pokonani olbrzymi, upadli bogowie, mroczne odbicia istot ze światła. Są wieloma rasami i żadną, złączeni pod sztandarem Fomorów w imię wspólnej sprawy.

– Zemsta – domyśliłem się.

– Owszem. Temu celowi najlepiej służy zgromadzenie siły, a upadek Czerwonego Dworu uczynił takie działanie atrakcyjnym. Byłem bardziej niż szczodra w swojej odpowiedzi na twoje pytanie.

– Zgadza się. Jestem ci wdzięczny, matko chrzestna.

Uśmiechnęła się do mnie.

– Cóż za urocze dziecko, czasami. Otrzymałeś odpowiedź na dwa pytania. Jakie jest trzecie?

Znów się zastanowiłem. Z jakiegoś powodu wątpiłem, bym uzyskał coś sensownego, gdybym spytał: „Kto mnie zabił?”.

Z drugiej strony, do diabła. Trzeba spróbować, żeby się dowiedzieć.

– Kto mnie zabił? – spytałem.

## Rozdział trzydziesty czwarty

Leanansidhe popatrzyła na mnie z góry, spojrzenie jej migdałowych zielonych oczu było odległe, zamyślane.

– Och, moje dziecko. – Westchnęła. – Zadajesz takie niebezpieczne pytania.

Przechyliłem głowę.

– Zgodziłaś się udzielić odpowiedzi.

– I muszę to zrobić – zgodziła się. – I nie wolno mi.

Zmarszczyłem czoło.

– To nie ma sensu.

– Oczywiście, że nie. Nie jesteś Sidhe. – Spochmurniała i skrzyżowała nogi w kostkach, a ja dostrzegłem w jej oczach iskrę irytacji i zarazem buntu. – Mam coraz większą ochotę ci powiedzieć i skończyć tę farsę.

– NIE WOLNO CI.

Głos Wiecznej Ciszy nie był tym miażdżącym umysł wybuchem pocisku artyleryjskiego, jak wtedy, gdy spatynowana rzeźba odezwała się do mnie po raz pierwszy, co mogło jednak wynikać z faktu, że tym razem znajdowałem się w czymś w rodzaju okopu. Jego siła sprawiła, że długie włosy Lei uniosły się do tyłu, a jej głowa poleciała na bok tak gwałtownie, jakby ktoś ją spoliczkował. Na mój grób padł cień. Kiedy podniosłem wzrok, zobaczyłem unoszącą się nad nim rzeźbę.

W świetle dnia.

Co znaczyło... co znaczyło, że czymkolwiek była ta istota, nie była duchem jak ja. Gdybym odważył się opuścić w tej chwili grób, zostałbym wyniszczony i pozostałyby ze mnie mizerne resztki. Pozostałości mocy świtu nie zniszczyłyby mnie, ale byłyby bardzo bolesne, osłabiłyby mnie i okaleczyły.

Wieczna Cisza wyraźnie nie miał z tym problemu.

Lea znów odwróciła głowę w stronę rzeźby i spojrzała na nią chłodno.

– Jestem całkowicie świadoma sytuacji – warknęła. Później przechyliła głowę i umilkła, jakby słuchała kogoś, kogo ja nie słyszałem. Westchnęła. – Nie bój się, starożytna istoto. Nie zamierzam nic odbierać żadnemu z was dwojga.

Co takiego? Co takiego?! Żadnemu z kogo?



Cholernie dobrze wiedziałem, że było to jedno z tych pytań, na które nikt nie zamierzał mi odpowiedzieć.

A niech to.

Najwyraźniej powinienem się potargować o siedem pytań.

– Dziecko – odezwała się Lea. – Udzielę ci odpowiedzi, która jest prawdziwa. Ale nie jest odpowiedzią, której pragniesz.

– Trzy prawdziwe odpowiedzi – odparowałem od razu. – Umowa została zawarta w dobrej wierze.

Lea sapnęła cicho i zrobiła bardzo delikatny i elegancki gest, który jakimś sposobem przekazał tę samą informację co gwałtowne uniesienie rąk.

– Nigdy nie przestaniesz naciskać?

– Przenigdy.

– Nieznośne dziecko. Dobrze. Może to zapełni tę bezdenną studnię, którą nazywasz ciekawością. – Pokręciła głową, znów spojrzała na Wieczną Ciszę i powiedziała: – Pierwszą prawdą jest to, że znasz osobę, która cię zabiła.

Przełknąłem ślinę. Jediną naprawdę pozytywną cechą Sidhe, z Zimy czy z Lata, jest fakt, że nie mogą świadomie wypowiedzieć kłamstwa. A właściwie w ogóle nie są do tego zdolne. Nie próbuję przez to powiedzieć, że nie umieją oszukiwać – są w końcu więcej niż mistrzami oszustwa. Ale nie mogą przy tym wypowiedzieć słów, które nie są prawdą.

Co – zakładając, że Lea miała dobre informacje – oznaczało, że mogłem wyeliminować dobrze ponad sześć miliardów możliwych podejrzanych... a Lea zawsze miała dobre informacje.

Skinęła mi głową, tak lekko, że przez chwilę zastanawiałem się, czy przypadkiem sobie tego nie wyobraziłem.

– Drugą prawdą jest to, że byłeś jednym z tysięcy, którzy zginęli z rąk tej osoby.

Te słowa również przyjąłem i spróbowałem spojrzeć na nie z różnych stron. Znałem bezlitosnych zabójców, ludzi i inne stwory, lecz istoty, które zabiły tysiące śmiertelników, zdarzały się rzadko. Słynni snajperzy z wojen światowych mieli na koncie najwyżej kilka setek ofiar. Seryjni mordercy działający przez dziesięciolecia nie radzili sobie lepiej. Ale nadnaturalni drapieżcy, szczególnie ci długowieczni, mogli dojść do takiej liczby w ciągu szczególnie aktywnego stulecia albo dwóch.

A ja bardzo się starałem, by pozbyć się właściwie każdego, którego miałem okazję poznać. Lista podejrzanych w błyskawicznym tempie stawała się coraz krótsza.

– Ostatnia prawda. – Lea nagle wyglądała na bardzo zmęczoną. – Twój zabójca był

jedynie pełnomocnikiem innej istoty, potężniejszej i bardziej niebezpiecznej od niego.

„Od niego”. Mężczyzna. Lista skróciła się mniej więcej o połowę.

Czyli...

Czyli oprócz dupka, który mnie zabił, musiałem się martwić również jego szefem.

Cudownie.

– Więcej nie mogę ci powiedzieć, synu chrzestny.

– JUŻ POWIEDZIAŁAŚ ZBYT DUŻO.

Lea uniosła dłoń, jakby chciała osłonić twarz przed nagłym podmuchem wiatru, i posłała Wiecznej Ciszy ponure spojrzenie.

– Twoja wiedza na temat śmiertelników jest dość ograniczona. Stało się. Przestań wyć. – Lea znów przechyliła głowę, lekko się wyprostowała i po chwili dodała bez entuzjazmu: – Jeśli można.

Milcząca postać przeniosła spojrzenie z mojej matki chrzestnej na mnie i choć nie miała płuc, do których mogłaby zaczerpnąć tchu, jakimś sposobem wyczułem, że zamierza się odezwać.

– Wiem – powiedziałem pośpiesznie. – Wiem. Zrozumieć swoją ścieżkę. Nie musisz się powtarzać i wysadzać mi mózgu.

Wieczna Cisza wydawał się lekko, niejasno zirytowany. Dotarło do mnie czysto psychiczne wrażenie, coś, co... co naprawdę przypominało niezadowolone chrząknięcie. Później rzeźba się odwróciła i zniknęła mi z oczu.

– Hm – mruknąłem, kiedy odeszła. – O co w tym, do diabła, chodziło?

– Pełnomocnicy – wymamrotała Leanansidhe ledwie słyszalnie. – Zawsze pełnomocnicy. I szacunek.

– Co takiego?

Spojrzała mi prosto w oczy, a ja odniosłem wrażenie, że jej słowa miały szczególne znaczenie.

– Pełnomocnicy, dziecko. Ci, którzy pojawiają się, by wypowiadać się w imieniu innego, który nie może być obecny. Podobnie jak ja przez lata służyłam jako pełnomocnik mojej królowej albo ona dla mnie. – Lea potrząsnęła głową. – Muszę iść, dziecko.

– Zaczekaj.

Wyciągnąłem rękę i dotknąłem dłonią jej stopy.

Moje ektoplazmatyczne ciało nie przeniknęło przez nią. Moja dłoń niczego nie poczuła, jednak napotkała dziwny opór. Nie wnikałem w nią jak w Morta albo Molly.

Zamrugalem.

– Jestem częścią dwóch światów. – W jej głosie zabrzmiała niecierpliwość. Jak to się jej często zdarzało, najwyraźniej zgadła, o czym myślałem. – Oczywiście, że moje ciało nie jest w dotyku takie jak ludzkie.

– Och. Yyy. Posłuchaj. Chcę tylko... muszę wiedzieć, że zatroszczysz się o Molly.

Przechyliła głowę i wpatrywała się we mnie przez chwilę.

– Ale... dziecko. Troska o tę młodą kobietę nigdy nie była twoją odpowiedzialnością.

– Ależ tak. Była moją praktykantką.

– W rzeczy samej. Kimś, kogo zobowiązałeś się uczyć... nie troszczyć się o nią. Dziecko, czyżbyś nie dostrzegł sensu całej tej operacji?

Otworzyłem usta i znów je zamknąłem.

– Może i tak. Co się miało wydarzyć?

– Miałeś nauczyć ją, jak ma zatroszczyć się o siebie – odparła rzeczowo Lea. – A że ci się to nie udało... – Zmarszczyła czoło. – Wyznaję, że jedynie w ograniczonym stopniu rozumiem koncepcje dobra i zła. W odniesieniu do empirycznych sytuacji różnice wydają się głównie semantyczne. Odnoszę jednak wrażenie, że nie wyświadczyłeś jej przysługi swoją łagodnością.

Przez chwilę patrzyłem w beznamiętne oczy Sidhe, po czym odwróciłem wzrok.

– Możesz mieć rację.

– Jestem bardzo stara, dziecko. W większości sytuacji to bezpieczne założenie. – Prychnęła i pochyliła się, by poklepać moją dłoń dość kategorycznym gestem. – A teraz posłuchaj miłej rzeźby. I naprawdę postaraj się zniszczyć wszystkich, którzy próbują zrobić ci krzywdę. W końcu śmierć powinna być doświadczeniem, z którego można się czegoś nauczyć. Inaczej, jaki by miała sens?

Coś w słowach mojej matki chrestnej dotarło do ducha działającej komórki mózgowej i nagle doznałem objawienia.

– Właśnie! – wyrzuciłem z siebie. – Tak się należy zająć Łowcą Ciał.

Lea przechyliła głowę i patrzyła ze skupieniem, po czym uśmiechnęła się znacząco.

– Ach. Jeśli ci się uda.

Przełknąłem ślinę.

– Właśnie.

– Interesujące – mruknęła. – Jeśli uda ci się nad nimi zapanować. To moc potencjalnie zabójcza nawet dla tego, kto się nią posługuje. Wybuchowa. Niebezpieczna. I bardzo typowa dla ciebie. Doskonale.

Następnie wykonała palcami prawej dłoni serię drobnych gestów i zniknęła.

Pozostałem sam w grobie ze swoimi myślami.

Znów oparłem się o ścianę, ale nie usiadłem. Miast tego rozmyślałem nad Molly i tym, jak bardzo była porąbana.

Co było moją winą, na wiele różnych sposobów.

Pierwsze, co od razu przyszło mi na myśl: nie powinienem pozwolić, by Molly udała się do Chichén Itzá.

Poprowadziłem Molly do największej walki mojego życia, przeciwko Czerwonemu Dworowi, by ocalić moją córkę. Ale nie powinienem wystawiać mojej praktykantki na coś takiego. Była wrażliwa, jej magiczne zmysły były naturalnie wyczulone na najdelikatniejsze, najłżejsze, najbardziej subtelne działania Sztuki. Lub też, by ująć to w słowach bardziej stosownych dla Harry'ego – miała cholernie wielkie uszy Dumbo, skrajnie wrażliwe na głośnie dźwięki.

Magia jest życiem. Niektóre rodzaje śmierci – na przykład morderstwo, gwałtowne i brutalne zakończenie życia, które w innej sytuacji by się nie zakończyło – były dla jej zmysłów odpowiednikiem koszmarne pisku sprzężenia. A ja zaprowadziłem ją w Chichén Itzá do cholernej sali koncertowej. Na festiwal morderstwa. Nie wspominając już o rzuceniu największej, najbardziej brutalnej magicznej klątwy ostatniego stulecia – do diabła, jeśli chodzi o magię, nie byłem szczególnie wrażliwym facetem, ale nawet ja miałem pustkę we wspomnieniach obejmującą kilka minut tuż po tym magicznym wybuchu.

Musiło być paskudnie, skoro się wyłączyłem. Molly z całą pewnością przeżyła to o wiele gorzej. A, oczywiście, została też postrzelona i prawie zginęła. Na moich oczach straciła przytomność z upływu krwi.

Błąd. To był cholernie wielki błąd. W tamtym czasie za bardzo skupiałem się na wydostaniu Maggie i pozwoliłem, by Molly przekonała mnie, że zasługuje na miejsce w drużynie. Nigdy bym jej na to nie pozwolił, gdybym jasno myślał. Kazałbym jej zostać w domu, pilnować fortu albo może siedzieć w samochodzie. Zawsze tak robiłem, kiedy wybierałem się na bijatykę. Wystawienie na tego rodzaju hałas mogło skutecznie odebrać jej zdrowe zmysły.

I może tak się stało.

Nawet jeśli jej umysłowy dom wciąż miał dobre fundamenty, nie trzeba potworów ani magii, żeby otarcie się o śmierć coś uszkodziło. Żołnierze wracający do domu z wojny wiedzieli o tym od stuleci. Zespół stresu pourazowego po odniesieniu poważnych obrażeń spieprzył życie wielu ludziom – ludziom, którzy nie mieli

nadnaturalnych mocy jako możliwego ujścia dla ich złości, strachu, żalu albo poczucia winy.

A kto czekał, by ją podtrzymać? Pieprzona Leanansidhe, wysłanniczka Jej Niegodziwości, z podejściem do życia z gatunku „Nietzsche i Darwin byli sentymentalnymi mięczakami”.

Na gwiazdy i kamienie. Kiedy Molly upierała się, żeby pójść ze mną, dlaczego jej nie powiedziałem: „Oczywiście, że możesz pójść, nowicjuszek. Zawsze marzyłem o tym, by stworzyć własnego okaleczonego umysłowo potwora”.

Rany. Nie takie dziedzictwo chciałem po sobie zostawić. Jasne, jeśli mam być szczery, niewiele myślałem o pozostawieniu dziedzictwa, ale praktykantka o okaleczonym sercu i umyśle, którą pewnie w końcu dopadną jej towarzysze, z całą pewnością nie była częścią planu.

– Och, dzieciaku. – Westchnąłem do nikogo. – Molly. Tak mi przykro.  
Okazuje się, że duchy mogą płakać.

\* \* \*

– Tutaj – usłyszałem znajomy głos.

Było później, ale niewiele. Może trochę po południu? W grobie nie umiałem tego ocenić.

– Nigdy wcześniej nie odwiedzałeś tego miejsca – odpowiedział ktoś inny. – Ja byłem na pogrzebie. Do diabła, skąd możesz wiedzieć, gdzie jest grób?

Usłyszałem, jak Fitz wydaje z siebie westchnienie tak naładowane melodramatyzmem, że jedynie nastolatek mógł dokonać czegoś takiego, nie robiąc sobie przy tym krzywdy.

– Czy to ta ziejąca dziura w ziemi, z wielkim pentagramem na nagrobku?

Na chwilę zapanowała cisza, aż w końcu Butters stwierdził:

– W porządku. Może i tak.

Rozległy się kroki na wilgotnym, topniejącym śniegu. Na skraju mojego grobu pojawili się Fitz i Butters, obaj zajrzeli do środka.

– I jak? – spytał Butters. – Jest tam?

– Skąd miałbym wiedzieć, do diabła? Nie widzę martwych ludzi. Słyszę ich. A nie słyszę niczego.

– Cześć, Fitz – powiedziałem.

Chłopak podskoczył. Miał na sobie swoje ubranie, ale świeżo uprane, do tego

dołożył na wierzch jeden ze starych płaszczy Forthilla.

– Chryste. Tak, jest tam.

– Fantastycznie – stwierdził Butters. – Cześć, Harry. Dobra, stary. Pomóż mi zejść.

– Pomóc ci zejść? Dno jest na głębokości półtora metra, jeśli nie mniej. Po prostu wskocz do środka.

– Wskoczyć do otwartego grobu? Co z ciebie za idiota? Równie dobrze mógłbym włożyć czerwoną koszulę i zgłosić się na ochotnika do drużyny na odstrzał. Na dole jest śnieg, lód i śliskie błoto. Prosiłbym się o ironiczne skręcenie karku.

– Czy wszyscy lekarze są takimi jęczącymi mięczakami jak ty?

– Ej. Ten jęczący mięczak wciąż żyje, bo nie robi głupot.

Fitz prychnął.

– Pomogę ci zejść, poślizgnę się, obaj wpadniemy do środka i umrzemy.

Butters uniósł brew i chrząknął.

– Hm. Racja.

Ścisnąłem grzbiet nosa.

– Na wszystkie dzwony piekieł, panowie. Albo znajdźcie sobie jakieś ustronne miejsce, albo przestańcie flirtować i zejźcie na dół.

– Ha, ha – powiedział Fitz rozdrażnionym głosem. – Właśnie powiedział, że jesteśmy homo.

Butters zamrugął.

– Bo nie wskoczyliśmy do dziury, z której być może nie udałoby się nam wydostać? To raczej nietaktowne.

– Nie za to, za... – Fitz westchnął z klasyczną nastoletnim zniecierpliwieniem. – Chryste, daj mi rękę, dobra? Opuszczę cię.

Butters kręcił się przez chwilę, upewniając się, że Fitz stoi w bezpiecznym miejscu, po czym wskoczył do mojego grobu. Znów miał na sobie zimowe ciuchy, a na ramieniu sportową torbę. Kiedy znalazł się na dole, upewnił się, że nie stoi w słonecznym blasku, i zaczął otwierać torbę.

– Co się dzieje? – spytałem Fitz'a.

– Problemy.

– Potrzebujemy twojej pomocy, Harry – stwierdził Butters.

– Chwileczkę. – Spochmurniałem. – Jak Butters cię odnalazł, Fitz?

Fitz zwrócił się do Buttersa.

– Spytał.

Niski patolog pokiwał głową.

– Harry, dowiedziałem się od Murphy, że najwyraźniej postanowiłeś zostać pracownikiem socjalnym. Nie było trudno się domyślić, kogo poprosisz o pomoc, więc poszedłem do Forthilla, żeby porozmawiać o sytuacji... tyle tylko że jego tam nie było.

Fitz zagryzł wargę.

– Posłuchaj, Dresdenie. Ojciec i ja rozmawialiśmy. A on podjął decyzję, że pójdzie porozmawiać w moim imieniu z Aristedesem.

Zamrugalem i odepchnąłem się od ściany grobu.

– Co takiego?!

– Próbowałem mu wyjaśnić. Nie słuchał. Był... myślę, że był zły. Ale powiedział, że zamierza rozwiązać sytuację, zanim dojdzie do rozlewu krwi.

Na wszystkie dzwony piekieł. Znałem gości pokroju Aristedesa. Gdyby mu to pasowało, zabiłby Forthilla bez najmniejszego wahania. Dobry ojczulek był w niebezpieczeństwie.

– Murphy od razu ruszyłaby do ataku – dodał Butters. – Połamię mi ręce, kiedy się dowie, że jej nie powiedziałem. Potrzebujemy twojej pomocy, żebyś pomógł nam przedyskutować sprawę.

– To szaleństwo – stwierdziłem. – Ruszajcie do ataku!

– Na to już za późno – sprzeciwił się Fitz. – Posłuchaj, Forthill już tam jest. Dopiero co go poznałem, ale... ale... nie chcę, żeby stała mu się krzywda z mojego powodu. Musimy ruszać.

– Nie mogę. Nie mogę stąd wyjść w świetle dnia.

– Pomyśleliśmy o tym – zauważył Fitz. – Butters powiedział, że potrzebujesz osłoniętego naczynia.

– Butters tak powiedział, co? – rzuciłem oschle.

Patolog podniósł się znad torby, w rękę trzymał plastikową obudowę reflektora, w której znajdowała się czaszka Boba. Mrugnął do mnie i wyciągnął ją w moją stronę.

– Wskakuj.

Zamrugalem.

– Jasne. Chodźmy – powiedziałem po chwili.

Odetchnąłem głęboko i zmusiłem się, by ruszyć naprzód, w ziejące oczodoły czaszki.

## Rozdział trzydziesty piąty

Poczułem bardzo, ale to bardzo dziwne wrażenia wirowania, kiedy moje duchowe ja skoczyło do przodu, a po chwili stałem...

W mieszkaniu.

Jasne, kiedy mówię „mieszkanie”, nie mam na myśli mojego starego lokalu. Mieszkałem w pudełku w większości zakopanym w ziemi, o wymiarach może pięć na dziesięć metrów, jeśli pominąć piwnicę poziom niżej, w której znajdowało się moje laboratorium. Mieszkanie Dresdena wypełniały książki w miękkich okładkach na porysowanych drewnianych półkach i wygodne meble z drugiej ręki.

To bardziej przypominało... Mieszkanie Bonda, Jamesa Bonda. A tak naprawdę apartament Bonda. Otaczały mnie czarny marmur i mahoń. Widziałem również kominek wielkości wiaty przystankowej, w którym płonął niewielki – relatywnie niewielki – ogień. Wszystkie meble pochodziły z jednego kompletu. Twarde drewno pokrywały ręcznie rzeźbione skomplikowane wzory. Dopiero kiedy przyjrzałem się uważniej, dostrzegłem runy i symbole, które wykorzystałem na swojej lasce i bojowej różdżce. Poduszki na kanapach (w liczbie mnogiej, kanapach), fotelach i szeszlonych (w liczbie mnogiej, szeszlonych) uszyto z tkaniny, której nie rozpoznawałem – może to był jakiś rodzaj surowego jedwabiu – i pokrywały je podobne symbole, haftowane złotą i srebrną nicią. Na pobliskim stole spoczywał świeżo upieczony indyk, któremu towarzyszyła cała uczta składająca się z warzyw, owoców i wszelkiego rodzaju dodatków.

Całość była wręcz absurdalna. Jedzenia wystarczyłoby do nakarmienia niewielkiego kraju. Ale brakowało talerzy i sztućców. Wszystko wyglądało wspaniale i cudownie pachniało... ale było w tym coś obojętnego, coś pozbawionego życia. Na tym stole nie było pożywienia, ani dla ciała, ani dla ducha.

Na jednej ścianie wisiała zasłona. Sięgnąłem do niej i odkryłem, że reaguje na dotyk – odsunęła się sama, ukazując telewizor wielkości billboardu, zestaw stereo wysokiej klasy i półkę wypełnioną wszelkiego rodzaju konsolami do gier, ich kontrolery ułożono porządnie jeden obok drugiego. Nie umiem odróżnić PlayBoxa od X-Station, ale kto za nimi nadaża? Serio, jest pewnie z tysięcy różnych maszyn, na



których można grać w gry.

– Yyy – powiedziałem. – Halo? – Mój głos odbijał się wyraźnym echem, bardziej niż powinien, nawet w tak wielkiej marmurowej jaskini. – Zastałem kogoś?

Rozległ się – i mówię to poważnie – werbel.

I wtedy z zasłoniętego kotarą łuku wyłonił się młody mężczyzna. Wyglądał... tak naprawdę, całkiem zwyczajnie. Wysoki, ale nie przesadnie, szczupły, ale nie chudy jak patyk. Miał niezłe ramiona i wyglądał trochę jakby znajomo. Nosił ubranie w stylu Jamesa Deana – dżinsy, biała koszula, skórzana kurtka motocyklowa. Strój wyglądał na nim trochę dziwnie, jakby był wymuszony, jeśli pominąć niewielką czaszkę wyszytą białą nicią na kurtce, tuż nad sercem młodego mężczyzny.

Rozległy się dźwięki cymbałów i mężczyzna rozłożył ramiona.

– Ta-da!

– Bob. – Poczujęm, że kącik moich ust wygina się do góry z rozbawienia. – To jest to? Z tego miejsca zawsze chciałeś, żebym cię wypuścił? Mógłbyś tu zmieścić ze sześć moich mieszkań.

Na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

– Cóż, muszę przyznać, że moja chata jest całkiem niezła. Ale złota klatka to wciąż klatka, Harry.

– Raczej złoty schron przeciwatomowy.

– Tak czy inaczej, po paru dziesięcioleciach można zwariować. – Opadł na szeszląg. – Rozumiesz, że wewnątrz czaszki nie wygląda dosłownie w taki sposób, prawda?

– Moja głowa przekłada to, co widzę, na znajome rzeczy, jasne. Ostatnio zdarza się to dość często.

– Witaj w świecie ducha.

– O co chodzi z tym jedzeniem?

– Mama Buttersa to kuchenna bogini. – Bob otworzył szerzej oczy. – To uczta, którą przygotowywała na kilka ostatnich świąt. A raczej zmysłowe wspomnienia Buttersa... pozwolił mi się zabrać, a ja później stworzyłem tę kopię tego, czego doświadczyliśmy.

Uniosłem brwi.

– Pozwolił ci się zabrać? W głowie?

Wedle mojego doświadczenia Bob... nie sływał z opanowania, kiedy udało mu się wybrać na wycieczkę.

– Najpierw była umowa. Dokument wyliczający ograniczenia, długi na

dwadzieścia stron. On się pilnuje.

– Hm. – Skinąłem w stronę jedzenia. – A ty po prostu to... odtworzyłeś?

– Jasne. Tutaj mogę odtworzyć wszystko. – Uniósł brwi. – Chcesz zobaczyć powtórkę tej sytuacji w laboratorium, kiedy Molly zalała kwasem wszystkie swoje ubrania i musiała się rozebrać?

– Yyy. Dziękuję, postoję. – Usiadłem ostrożnie na krześle, upewniając się, że przez nie nie przeniknę. Wydawało się, że zachowuje się jak normalne krzesło. – Telewizor i takie tam również?

– Stary, jestem tak jakby stworzony z energii. – Bob wskazał na ścianę sprzętów medialnych. – Pamiętasz, jak nadawałem do twojego duchowego radia, prawda? Teraz jestem totalnie podłączony. Telewizja, obrazy satelitarne, szerokopasmowy internet, dostarczę, co tylko zechcesz. Jak myślisz, skąd wiem tak wiele?

– Setki lat towarzyszenia magom.

Machnął ręką.

– To też. Ale teraz mam ten cały wielki internet do zabawy. Butters mi pokazał. – Jego uśmiech stał się rubaszny. – A on składa się w dziewięćdziesięciu procentach z porno!

– Oto i jest Bob, którego znam i kocham.

– Kocham, fuj. Oraz i jestem, i nie jestem. Wiesz przecież, że zmieniam się w zależności od tego, do kogo należy czaszka, prawda?

– Jasne.

– Dlatego jestem bardzo podobny do tego, jaki byłem z tobą, choć jestem z Buttersem, bo on mnie poznał w tamtym czasie. Pierwsze wrażenie i tak dalej, ważna sprawa.

Chrząknąłem.

– Ile mamy czasu na rozmowę?

– Odpowiedź nie jest taka prosta, jak ci się wydaje. Ale... ponieważ wciąż jesteś żółtodziobem, nie będziemy wchodzić w szczegóły. Linearnie rzecz biorąc, kilka minut... ale subiektywnie mogę je trochę rozciągnąć.

– Hm. Sprytnie.

– Nie, tak po prostu się to toczy po tej stronie ulicy. Co chcesz wiedzieć?

– Kto mnie zabił.

– Przykro mi bardzo. Z tym ci nie pomogę, co najwyżej jako partner do rozmowy.

– W porządku. Pozwól, że przedstawię ci w skrócie, co wiem.

Opowiedziałem Bobowi wszystko, co się wydarzyło od tunelu kolejowego. Niczego

właściwie nie ukrywałem. Bob był i tak dość bystry, by wypełnić większość luk, gdybym coś pomiął, do tego umiał łączyć informacje i dochodzić do sensownych wniosków lepiej niż ktokolwiek, kogo znałem.

A poza tym... był moim najstarszym przyjacielem.

Słuchał, patrząc uważnie swoimi złoto-brązowymi oczyma, całkowicie skupiony na mnie.

– A niech mnie – powiedział, kiedy skończyłem. – Ale się wpierdoliłeś.

Uniosłem brew.

– Dlaczego tak sądzisz?

Przewrócił oczami.

– Od czego mam zacząć? Może od rzeczy oczywistych? Uriel.

– Uriel. Że co?

– Mag powiązany z grupą naprawę podstawowych źródeł mocy umiera tuż po podpisaniu paru umów gwarantujących, że wkrótce stanie się o całe Piekło mroczniejszy... wielka litera zamierzona... i pojawiają się te niespodziewane – zrobił palcami znak cudzysłowu – „nieprawidłowości”. Zostaje odesłany z powrotem do świata śmiertelnych, by znów się uwikłać. A ty myślisz, że w to nie jest zamieszany jakiś anioł? Pamiętaj, Uriel jest wśród archaniołów specjalistą od mokrej roboty. Na litość, oszukał samego Ojca Kłamstw. Myślisz, że nie oszukałby ciebie?

– Uch.

Poczułem, że jestem tępą.

– Widzisz? Pierwszy malutki fragment twojego życia wolnego od ciała i już się pogubiłeś beze mnie.

Pokręciłem głową.

– Posłuchaj, stary, teraz jestem po prostu... po prostu duchem. To tak jakby papierkowa robota, którą muszę uzupełnić, zanim złapię pociąg do Gdziekolwiek.

Bob znów przewrócił oczami i prychnął.

– No jasne. Zostałeś odesłany tutaj dokładnie w chwili, kiedy przekłeta Łowca Ciał stara się zostać królową Chicago i przygotowuje się do wyeliminowania obrońców ludzkości w tym mieście, takich czy innych, ale to tylko zbieg okoliczności, normalna sprawa. – Prychnął. – Totalnie się tobą bawią.

– Oni?

– Zastanów się nad tym. To znaczy zatrzymaj się na chwilę i rzeczywiście pomyśl. Wiem, że minęło trochę czasu.

– Zima. Trzydzieści centymetrów śniegu pod koniec wiosny. Królowa Mab.

– Oczywiście. Jest tutaj. W Chicago. A ponieważ jest Królową Zimy, przyniosła ze sobą zimę. – Zaciśnięła wargi. – Przynajmniej na kilka kolejnych dni.

Bob miał rację. Mab mogła obnosić się ze swoją mocą w obliczu nadejścia kolejnej pory roku, ale gdyby się nie wycofała, jej odpowiedniczka Tytania przyszlaby po nią – w dzień przesilenia letniego, szczyt mocy lata, jeśli wierzyć dotychczasowym wzorcom.

– Harry, nie chciałbym wygłaszać komentarzy na temat twojej nowej dziewczyny, ale ona wciąż tu jest, sześć miesięcy po tym, jak zostałeś zastrzelony? Trochę za bardzo się do ciebie klei.

– Chwileczkę. Mówisz, że Mab i Uriel coś planują. Razem. Królowa Powietrza i Ciemności i cholerny archanioł.

– Żyjemy w dziwnych czasach – zauważył filozoficznie Bob. – W pewnym sensie są równi sobie. Hej, wedle pogłosek nawet Wszechmocny i Lucyfer mieli układ w sprawie Hioba. Spider-Man sprzymierzył się z Sandmanem. Luke i Vader wykończyli Imperatora. Zdarza się.

– Spider-Man jest wymyślony i się nie liczy.

– Zaczynasz teraz wprowadzać takie rozróżnienia? Poza tym on jest prawdziwy. Gdzieś.

Zamrugalem.

– Yyy. Że co?

– Myślisz, że nasz wszechświat jest jedynym wszechświatem? Harry, daj spokój. Stworzenie jest totalnie cholernie wielkie. Dość miejsca dla ciebie i Spider-Mana. – Rozłożył szeroko ręce. – Posłuchaj, nie jestem wierzący. Nie wiem, co się dzieje po drugiej stronie ani czy ostatecznie trafisz do nieba, piekła albo czegoś, co je przypomina. To nie moja działka. Ale umiem na pierwszy rzut oka rozpoznać szachrajstwo.

Przełknąłem ślinę i przeczesalem włosy palcami.

– Słudzy Fomorów. Łowca Ciał i jej gang. Nawet Aristedes i jego ekipa. Wszyscy są pionkami na szachownicy.

– Tak samo jak ty – zgodził się wesoło Bob. – Zauważyłeś ostatnio, kto jeszcze przesunął cię o pole czy dwa? Chodzi mi o to, że dopiero ostatnio to dostrzegłeś.

Skrzywiłem się.

– Poza wszystkimi, którzy mnie otaczają?

– Myślałem raczej o tym za tobą. – Bob nagle spowaźniał. – O Kroczącym.

Odetchnąłem powoli. Ten, Który Kroczy z Tyłu.

Dopiero teraz, kiedy powróciłem myślami do krystalicznie wyraźnych wspomnień i przyłożyłem do nich to, czego dowiedziałem się później, w czasie dorosłego życia, mogłem naprawdę zrozumieć, co wydarzyło się tamtej nocy.

Kroczący wcale nie próbował mnie zabić. Gdyby chciał to zrobić, nie musiałby się ze mną bawić. Mógłby się po prostu pojawić i wykonać wyrok, jak to zrobił z biednym Stanem na stacji benzynowej. Próbował mnie popchnąć, stworzyć ze mnie coś niebezpiecznego – może na przykład broń.

Może w taki sam sposób jak Justin.

Zawsze zakładałem, że to Justin kierował Tym, Który Kroczy z Tyłu, że mój dawny mistrz posłał go za mną, kiedy uciekłem. Ale co, jeśli byłem cholernym idiotą? A jeśli ich związek był odwrotny? A jeśli Justin, który mnie zdradził, został w podobny sposób dźgnięty w plecy przez swojego własnego nieludzkiego mentora, gdyż istota w gruncie rzeczy przygotowała mnie do zniszczenia Justina?

– Dużo w tym naprawdę przerażającej symetrii – szepnąłem.

– Aha. – Bob nadal zachowywał powagę. – Jesteś w przerażającym miejscu, Harry. – Odetchnął głęboko. – I... będzie jeszcze gorzej.

– Gorzej? Jak?

– To tylko teoria, bo to nie moja działka. Ale posłuchaj. Istnieją ciało i duch, prawda?

– Jasne.

– Śmiertelnicy mają jedno i drugie, razem z duszą.

– Myślałem, że to jedno i to samo. Dusza, duch.

– Yyy. To skomplikowane. Pomyśl o swojej duchowej jaźni jako nasieniu. Twoja dusza jest ziemią, na której ono wzrasta. Kiedy umierasz, potrzebujesz obu. Jak słyszałem... tak jakby stapiają się ze sobą, tworząc coś nowego. No wiesz, poczwarka i motyl.

– W porządku. Dlaczego przez to jest gorzej?

– Ty, tu i teraz, nie jesteś duchem. Nie jesteś prawdziwym cieniem. Ty... chodzisz z gołą duszą, stary. Praktycznie rzecz biorąc, to jedno i to samo, ale...

– Ale co?

– Ale jeśli coś ci się stanie, teraz... będzie na dobre. To znaczy... na zawsze. Twój Koniec, wielką literą. W ogóle spadasz z koła. Albo gorzej.

Przelknąłem ślinę. Owszem, przez cały czas uświadamiałem sobie, że znajdowałem się w trudnej sytuacji, ale nie takiej, którą można by potencjalnie opisać z użyciem słów w rodzaju „wieczny”. Cudownie.

Bob pokręcił głową.

– Nie sądziłem, że mogą zrobić coś takiego. Zgodnie z tym, co słyszałem, dusza człowieka należy do niego. Spodziewałbym się raczej, że musiałbyś sam się na coś takiego zdecydować, ale...

Uniosłem dłoń i zacząłem regularnie uderzać w nią czołem.

– Och, Harry. – W głosie Boba brzmiało głębokie rozczarowanie. – Nie zrobiłeś tego.

– Nie wyjaśnili mi tego tak dokładnie, jak ty. Nie w tak wielu słowach.

– Ale dali ci wybór?

Kapitan Murphy to właśnie zrobił. Użył słów, które sprawiały, że tak naprawdę nie miałem większego wyboru, ale miałem wybór.

– Tak.

– I postanowiłeś położyć na szali nieśmiertelną duszę? Nawet jeśli takie rzeczy doprowadzają cię do wściekłości?

– To... nie zostało wyrażone w taki sposób... – zacząłem. Ale przecież właśnie tak było. Jack ostrzegł mnie, że mogę zostać na zawsze uwięziony, prawda? – Albo... no. Tak. Aha. Formalnie rzecz biorąc, tak.

– Cóż. – Bob odchrząknął. – Ty idioto.

– Uch. Głowa mnie boli.

– Wcale nie – rzucił pogardliwie Bob. – Jedynie myślisz, że powinna.

Zawahałem się, zastanowiłem i doszedłem do wniosku, że Bob miał rację. I uznałem, że głowa i tak mnie boli, do diabła. To, że byłem duchem, nagą duszą czy czymkolwiek, nie znaczyło, że musiałem zacząć ignorować to, kim byłem wcześniej.

– Bob. – Nagle uniosłem głowę. – Co to znaczy? Dlaczego nie pozwolili mi umrzeć i ruszyć dalej, jak normalnemu człowiekowi?

Bob zacisnął wargi.

– Yyy. Aha. Nie mam pojęcia.

– A co, jeśli... – Zabrakło mi tchu. Właściwie nie chciałem tego powiedzieć. – A co, jeśli nie jestem...

Bob otworzył szerzej oczy.

– Och. Oooooch. Ludzie Uriela, to znaczy tato Murphy i tak dalej, czy mówili coś o twoim ciele?

– Że jest niedostępne.

– Ale nie, że odeszło? – naciskał Bob.

– Nie. Tego... tego nie powiedzieli.

– A niech mnie. – Bob miał szeroko otwarte oczy.

Ja pewnie też.

– Co mam robić?

– Do diabła, skąd mam wiedzieć, stary? Nigdy nie miałem duszy ani ciała. Co kazali ci zrobić?

– Odnaleźć tego, kto mnie zabił. Ale... to znaczy, że jestem martwy?

Bob machnął ręką.

– Harry. Martwy to nie... Posłuchaj, nawet z nienadnaturalnego punktu widzenia bycie martwym to naprawdę mętna kwestia. Nawet medycyna śmiertelników traktuje śmierć raczej jako swego rodzaju proces, a nie stan... proces odwracalny, w niektórych przypadkach.

– Do czego zmierzasz?

– Istnieje różnica między byciem martwym a... a odejściem.

Przełknąłem ślinę.

– To... co mam robić?

Bob poderwał się na równe nogi.

– Co masz robić? – Wskazał na stół z ucztą mamy Butters. – Być może uda ci się powrócić do tego, a ty mnie pytasz, co masz robić? Znajdź pieprzonego zabójcę! Obaj to zrobimy! Pomogę ci, totalnie!

Światło w pokoju nagle poczerwieniało. W powietrzu rozległ się sygnał alarmowy, który pamiętałem ze starych odcinków *Star Treka*.

– Uch. Co to ma być, do diabła?

– Butters mnie wzywa.

Bob poderwał się na równe nogi. Postać młodego mężczyzny, który, jak sobie uświadomiłem, musiał bardzo przypominać nastoletniego Buttersa, pomijając wzrost, zaczęła się rozpadać na iskry.

– Dalej – powiedział Bob. – Ruszajmy.

## Rozdział trzydziesty szósty

Nie wyostałem się z czaszki siłą własnej woli, jak do niej wszedłem. Przejście Boba tak jakby pociągnęło mnie za sobą, jak liść niesiony podmuchem przejeżdżającego ciągnika. Przypomniało mi to dobitnie, że w obecnej sytuacji Bob był zawodnikiem wagi ciężkiej. A ja chudym żółtodziobem.

Nienawidziłem tego uczucia. Było do dupy.

Odzyskałem integralność w zakurzonej pomieszczeniu. Wpadało do niego popołudniowe światło, jednak gruba warstwa brudu na szybach zmniejszała niebezpieczeństwo. Całość wyglądała jak wejście do budynku przemysłowego. Widziałem pozostałości masywnego biurka, może dla recepcjonistki albo ochroniarza. We wnęce stały rzędy niewielkich szafek na rzeczy osobiste. Kilka mniej wyblakłych kwadratów na ścianach pomalowanych przemysłową, ciemnoszarą farbą wskazywało miejsca, gdzie kiedyś znajdowały się zegar i stojak na karty. Butters stał w pobliżu i trzymał reflektor Boba. Teraz, gdy duch znalazł się w świecie materialnym i opuścił swoje „mieszkanie”, oczy czaszki świeciły jasno. Niski patolog wydawał się napięty i skupiony, ale nie przestraszony.

Sposób, w jaki znaleźli się w pomieszczeniu, nie był tajemnicą – Fitz trzymał na ramieniu parę nożyc do prętów, z uchwytem długim na półtora metra. Wyglądał przy tym, jakby się bał za nas wszystkich. Dzieciak wrócił do kryjówki swojego dawnego mentora i bał się jego gniewu.

Tak.

Znałem to uczucie.

Butters wyciągnął z kieszeni radjoko i spytał przyciszonym głosem:

– Dresdenie, jesteś tu?

– Po twojej lewej – odparłem cicho.

Poświecił oczyma Boba w moją stronę i najwyraźniej dostrzegł mnie w ich blasku.

– Och. – W jego głosie zabrzmiała wyraźna ulga. – Jasne. Dobrze.

Nie miałem pojęcia, dlaczego czuł ulgę. Przecież nic nie mogłem zrobić, chyba że pojawiłby się jakiś przypadkowy duch, a wtedy moja oparta na wspomnieniach magia mogłaby usmażyć inną istotę niezdolną do wywierania wpływu na świat materialny.



Ale on pewnie darzył mnie szacunkiem, a przynajmniej moje wspomnienie, a ja byłem mu winien pomoc, w miarę możliwości. Dlatego spokojnie skinąłem głową i zachęcająco zacisnąłem dłoń w pięść. Była nieruchoma.

– Zakładam, że weszliśmy przez martwy punkt? – spytałem cicho Fitz.

Pokiwał głową.

– Łańcuchy na drzwiach zawsze wystarczały. A nie mógł rozciągnąć zakłęb strzegących dalej niż na główne pomieszczenie.

Chrząknąłem.

– To dobrze.

– Dlaczego? – spytał Butters.

– Bo to znaczy, że Aristedes nie ma dość mocy, by spalić cię na popiół.

Butters przełknął ślinę.

– Aha. Dobrze.

– Co nie znaczy, że nie może cię zabić – dodałem. – Po prostu nie ma przy tym dużego budżetu na efekty specjalne.

– Jest szybki. – Głos Fitz drżał. – Jest naprawdę bardzo szybki.

– To znaczy jak? – spytał Butters. – Jak Jackie Chan czy jak Flash?

– Jak obaj. Może szybko przebyć dużą odległość. I mocno przywalić.

Fitz skinął głową.

– Och. Świetnie. W takim razie pewnie nie powinniśmy z nim walczyć. – Odłożył reflektor na bok i zajrzał do torby. – Dajcie mi chwilę.

Na tle jednego z brudnych okien pojawił się cień. Fitz syknął i obiema rękami ścisnął nożyce gotów użyć ich w charakterze maczugi. Butters wydał z siebie dziwny świergotliwy odgłos i wyciągnął z torby wielką starą policyjną latarkę łamaną na pałkę.

Cień przesunął się na tle kolejnego okna. Ktoś na zewnątrz zbliżał się do drzwi, idąc za nami.

Spojrzałem szybko na reflektor i upewniłem się, że stoję w blasku oczu Boba, lecz poza zasięgiem promieni słońca, które mogłyby wpaść przez drzwi. Nic nie mogłem zrobić, ale gdybym był widoczny, kiedy drzwi się otworzą, może mógłbym odwrócić uwagę Aristedesa, gdyby to on wchodził do środka. Może przebiegłby przeze mnie, uderzył o ścianę i stracił przytomność, jak łotr z kreskówki. Wtedy naprawdę wyglądałbym super.

Bardziej prawdopodobne, że niczego bym nie osiągnął. Ale kiedy przyjaciele są w niebezpieczeństwie, i tak się próbuje.

Drzwi się otworzyły, a ja uniosłem ręce w teatralnej pozie magika. Czuję się śmiesznie, ale postawy wywołują w istotach ludzkich reakcje na wręcz atawistycznym poziomie. Nie odeszliśmy aż tak daleko od naszych pierwotnych korzeni, kiedy mowa ciała była ważniejsza od słów. Moja poza głosiła, że jestem władcą miejscowej przestrzeni, człowiekiem panującym nad wszystkim, co działo się wokół niego, tym, za którym podążają inni, mieszanką maestra i szaleńca, która na poziomie instynktownym identyfikowała mnie jako najbardziej niebezpieczną istotę w pomieszczeniu.

Butters i Fitz przycisnęli się do ściany po obu stronach drzwi i unieśli improwizowane bronie, kiedy się otwierały. Drzwi zapiszczały melodramatycznie na zawiasach i do środka wkroczyła potężna, groźna postać. Zawahała się, unosząc dłoń, by osłonić oczy, i wyraźnie się na mnie zagapiła.

Butters krzyknął i zamachnął się latarką na postać. Fitz z kolei opuścił ciężkie nożyce. Nawet w tym ułamku sekundy musiałem podziwiać Buttersa. Drobnny facet nie umiał walczyć i dobrze o tym wiedział, ale był dość bystry, by krzyknąć i przyciągnąć uwagę intruza w stronę mniejszego, słabszego i lżej uzbrojonego z ich dwójki. Celowo rzucił się na większego przeciwnika, żeby zmusić mężczyznę do odwrócenia się, by Fitz mógł uderzyć go w plecy.

Facet może i nie był wojownikiem, ale jaja miał jak trzech mięśniaków.

Żadnemu z nich to nie pomogło.

Potężny mężczyzna jakby wyczuł podstęp. Nie odwracając się, uchylił się przed nożycami, i jednocześnie wyciągnął lewą rękę, wewnętrzną stroną dłoni do przodu. Trafił Buttersa prosto w brzuch i rzucił go na ziemię. Później odwrócił się, w chwili gdy Fitz odzyskał równowagę, i znów zamachnął się nożycami. Mężczyzna złapał je, jedną ręką dorównując siłą dwuręcznemu chwytowi Fitz'a. Następnie płynnym ruchem górnej połowy ciała, który przypominał mi Murphy w działaniu, jednocześnie wyrwał nożyce z rąk chłopaka i rzucił go na Buttersa, który właśnie zaczynał się podnosić. Obaj polecili na ziemię, a drzwi zamknęły się z trzaskiem.

Daniel Carpenter, najstarszy syn Michaela Carpentera, stał przez chwilę nieruchomo, trzymając swobodnie nożyce. Był równie wysoki i silny, jak ojciec, a jego szare oczy wydawały się zamyślane i chłodne. Później spojrzał na mnie, otworzył usta i znów je zamknął.

Pomachałem do niego.

– Cześć, Danielu.

Dźwięk mojego głosu dotarł do niego przez radyjko w kieszeni Buttersa.

Zamrugął.

– Co, do diabła? – Daniel wpatrywał się we mnie. Później spojrzął kolejno na Buttersa, na Fitzę i na nożyce. – Poważnie mówię. Co, do diabła, Butters? Co pan wyprawia, do diabła?

Butters zepchnął z siebie Fitzę i spojrzął z irytacją na Daniela.

– Ciszej, proszę – powiedział cicho, lecz z naciskiem. – Podkradamy się do złego gościa, a ty nie pomagasz.

– To właśnie pan robi? – spytał Daniel, ale przynajmniej zniżył głos. – Bo pani Murphy sądzi, że traci pan rozum.

Butters zamrugął.

– Co takiego? Dlaczego Karrin miałaby tak myśleć?

– Z powodu tego czegoś. – Daniel skinął w moją stronę.

– Auć. To boli, Danielu.

– Stary – odezwał się Butters. – Nie bądź dupkiem. To Dresden. A przynajmniej jego duch, czyli właściwie to samo.

– Nie wiemy tego – odparował Daniel. – Istoty ze świata duchów mogą wyglądać, jak tylko zechcą. Wie pan o tym.

– A nie przeszliśmy już przez tę całą odpowiednią identyfikację? – poskarżyłem się.

– Wiem. Jasne? – Butters zwrócił się do mnie. – Widzisz, jaka się stała?

– Kto? – spytał Daniel.

– Karrin, rzecz jasna – rzucił Butters. – Od kiedy zniknąłeś, Harry, prowadzi wojnę i wykorzystuje każdą dostępną broń. Do diabła, przyjęła nawet pomoc od Marcone'a.

Daniel zaczerwienił się jeszcze bardziej.

– Niech pan nie mówi tak o pani Murphy. Jedynie dzięki niej Fomory nie sterroryzowały Chicago tak, jak inne miejsca.

– Te dwie rzeczy się nie wykluczają. – Butters westchnął. Spojrzął na mnie i rozłożył szeroko ręce. – Widzisz, z czym mam do czynienia?

Skrzywiłem się i pokiwałem głową.

– Myślę, że to przez jej pracę. Nie ma pewności, jakie jest jej miejsce na świecie. Była taka, kiedy zacząłem działalność, a ona została szefem WDN... podejrzliwa, pełna uprzedzeń, negatywne podejście do wszystkiego. Nie dało się z nią porozmawiać.

Daniel zwrócił się do Buttersa.

– Kręci się pan po okolicy wbrew jej rozkazom.

Butters podniósł się i podał rękę Fitzowi.

– Rozkazom? To nie wojsko, stary, a Murphy nie jest królem Chicago. Nie ma prawa wydawać mi rozkazów.

– Zauważyłem, że mówisz tak, kiedy nie ma jej w okolicy – mruknąłem.

– Jestem wolnomyslnikiem, a nie męczennikiem. – Butters zmrużył oczy i spojrzał na Daniela. – Chwileczkę. Kazała ci mnie śledzić?

– Niech to diabli – mruknąłem. – To już paranoja.

Daniel potrząsnął głową i posłał mi wściekłe spojrzenie.

– Będzie pan musiał ze mną pójść, panie Butters.

– Nie. Wcale nie.

Daniel zacisnął zęby.

– Pani Murphy powiedziała, że dla pańskiego własnego dobra mam wyciągnąć pana z tego, w co wpakowała pana ta istota. Chodźmy więc.

– Nie. – Butters piorunował wzrokiem o wiele potężniejszego mężczyznę. – Nie zostawię Forthilla na łasce śmieciowego czarownika.

Daniel zamrugał kilka razy, a z jego postawy zniknęła zdeterminowana wojowniczość.

– Ojciec? Jest tutaj? Jest w niebezpieczeństwie?

– Im dłużej będziemy tu stać i gadać, tym mniejsza szansa, że będziemy mogli mu pomóc. – Butters wrócił do torby, sięgnął do niej i dodał: – W sumie, skoro i tak tu jesteś, powinno pójść łatwiej. – Wyprostował się i rzucił Danielowi złożoną szarą tkaninę. – Włóż to. Trzymaj się blisko mnie. Nie odzywaj się.

Daniel popatrzył podejrzliwie na tkaninę, po czym spojrzał na Buttersa.

– Dla Forthilla – powiedział cicho Butters, łagodząc ton głosu. – Wyjdziemy, jak tylko będzie bezpieczny, a ty zabierzesz mnie prosto do Karrin. Masz moje słowo. W porządku?

Daniel rozważał to przez kilka sekund. Później pokiwał głową i rozłożył szary materiał.

– Och. – Nagle zrozumiałem plan patologa. – Dobra robota. Tkanina nie jest idealna, ale prawie. To się może udać.

Butters pokiwał głową.

– Tak sądziłem. Jak powinniśmy do tego podejść?

– Płatki w rodzaju Aristedesa bardzo przejmują się rozmiarami swojego magicznego penisa – odparłem. – Daj jego ego parę okruszków, a będzie ci jadł z ręki.

– Musimy zachować ciszę w eterze – zauważył Butters. – Nie miałem czasu podłączyć słuchawek.

– Jeśli przyjdzie mi do głowy coś ważnego, powiem Fitzowi. A on to przekaże.

Fitz popatrywał nerwowo na Buttersa, Daniela i mnie.

– Och. No. Jasne. Bo ja słyszę Dresdena nawet bez radia.

Butters wyciągnął z torby drugi kwadrat szarego materiału, a samą torbę odrzucił na bok. Spokojnie rozwinął tkaninę i zarzucił płaszcz z kapturem na ramiona, po czym zapiął go pod szyją.

– Powiedz mi, Harry, jak wygląda typowe wejście Strażników?

## Rozdział trzydziesty siódmy

Daniel Carpenter odchylił się do tyłu, uniósł nogę obutą w bucior roboczy rozmiar czternaście i kopniakiem wyrwał z zawiasów drzwi prowadzące do głównej sali fabryki.

Byłem pod wrażeniem. Dzieciak miał siłę. Jasne, drzwi były stare i tak dalej, zawiasy pordzewiały, ale mimo wszystko to były cholerne stalowe drzwi. I przeleciały metr w powietrzu, zanim spadły na podłogę z potężnym głuchym dudnieniem, które odbiło się echem w całym pomieszczeniu.

– Dziękuję.

Butters powiedział to z absolutnie irytującym brytyjskim akcentem, normalnie zachowywanym dla arystokratów, których jego gracze mieli od razu znienawidzić w czasie naszych cotygodniowych sesji RPG. Prychnął i wszedł na salę, jego kroki brzmiały wyraźnie w pustej przestrzeni. Za nim unosił się fałszywy płaszcz Strażnika.

Daniel szedł krok za nim i patrzył spode łba jak rasowy zbir. Wyglądał z tym całkiem naturalnie. Jedną potężną dłoń zaciskał na karku Fitz'a i od niechcenia ciągnął dzieciaka za sobą. Fitz wyglądał, jakby było mu koszmarnie niewygodnie.

Butters zatrzymał się przed rozmazaną linią nakreśloną kredą na podłodze, przyglądał się jej przez chwilę, a później zawołał:

– Halo?! Zastąłem kogoś?! Przybyłem, by porozmawiać z czarownikiem Aristedesem. Powiedziano mi, że można go tu znaleźć. – Zawahał się na jakieś półtorej sekundy, po czym dodał: – Za godzinę mam złapać czarnoksiężnika na Trynidadzie. Wolałbym tego nie przedłużać.

Nikt nie odpowiedział. Rozległy się ciche, ukradkowe odgłosy – podeszwa tenisówki przesuwająca się z piskiem po betonie. Kroki. Oddech. Lekkie sapnięcie.

– Strażniku. – Butters pogrzebał paznokciem między zębami.

Daniel naprężył ramiona, a wtedy Fitz jęknął cicho.

– To ja! – zawołał gorączkowo. – Fitz! Proszę pana, oni przyszli, żeby porozmawiać z panem o Fomorach!

– Fitz! – odezwał się ktoś z boku.

Jeden z dzieciaków biorących udział w ataku, ten mały, wyłonił się zza rzędu

metalowych szafek. Spojrzał na kumpla i przykucnął gotów w każdej chwili uciec.

– Cześć, Zero. – Fitz próbował brzmieć swobodnie, choć właściwie wisiał w uchwycie Daniela. – Szef jest w domu?

Rozległ się szum, jakby ktoś rzucił ze sporą prędkością dużą piłkę. I wtedy Aristedes odezwał się z za naszych pleców:

– Jestem.

Daniel drgnął, ale Butters mistrzowsko ukrył reakcję. Po prostu obejrzał się przez ramię i przyjrzał Aristedesowi, który stał teraz w pozbawionym drzwi wejściu. Butters uniósł brew, jakby widział tę sztuczkę już wiele razy, ale w tym przypadku była przynajmniej niezłe wykonana, i odwrócił się do Aristedesa.

Lekko uklonił się mężczyźnie.

– Jestem Strażnik Valdo. To Strażnik Smythe.

Daniel patrzył ponuro.

– Jeśli nie jest pan zajęty, zastanawiałem się, czy moglibyśmy poprosić pana o poświęcenie nam chwili.

Aristedes przez chwilę wpatrywał się zmrużonymi oczyma w ich trójkę i nic nie mówił. Miał na sobie poprzecierany granatowy szlafrok narzucony na luźne chinosy i koszulkę bez rękawów. Jego pierś porastały gęste ciemne włosy. Tatuaze na głowie i kościach policzkowych rysowały się wyraźnie na tle bladej skóry.

– Panowie są z Białej Rady?

Butters przyglądał mu się przez chwilę, po czym westchnął.

– Mam znów zacząć od początku? Wedle naszych akt jest pan pomniejszym, ale kompetentnym użytkownikiem magii. Czyżby wkradł się w nie błąd?

Aristedes założył ręce na piersi, na jego twarzy malowała się obojętność.

– Jestem oczywiście świadom istnienia Białej Rady. Jaką sprawę mają panowie do mnie? I dlaczego uwięzili panowie mojego praktykanta?

Szybko okrążyłem Aristedesa. Ponieważ byłem duchem, nie miał pojęcia o mojej obecności. Nawet nie dostał gęziej skórki. Pewnie był przeciwnikiem ojca Forthilla – jako skupiony na sobie megaloman nie mógł być wyczulony na dusze innych.

Zwróciłem się do Fitz'a.

– Pod szlafrokiem na plecach ma wyrzuszenie. Zamrugaj dwa razy jeśli „tak”, wiesz, co to jest. Zamrugaj raz, jeśli „nie”.

Fitz posłał spojrzenie w moją stronę i zamrugał dwa razy.

– Broń?

Dwa mrugnięcia.

– Spluwa?

Jedno mrugnięcie.

– Nóż?

Dwa mrugnięcia.

– W porządku. To coś, o czym zdecydowanie powinni wiedzieć. Jeśli będziesz miał okazję albo jeśli dojdzie do przemocy, powiedz o tym Danielowi.

Dwa zdenerwowane mrugnięcia.

Po chwili wahania odezwałem się łagodniej.

– Trzymaj się, chłopaku. Byłem w twojej sytuacji. Będzie w porządku.

Żadnych mrugnięć, Fitz jedynie przygryzł wargę.

Butters tymczasem wciąż podtrzymywał rozmowę.

– Co oczywiście, Rada uważa ostatnie działania Fomorów za nieco odstręczające. Co równie oczywiście, niedawno zakończona wojna z Czerwonym Dworem sprawiła, że nie jesteśmy aż tak gotowi do działania, jak bylibyśmy w innej sytuacji.

To, po zastanowieniu, raczej nie było prawdą. Rada zakończyła wojnę z Czerwonym Dworem z większą liczbą aktywnych, doświadczonych i niebezpiecznych Strażników niż przed jej rozpoczęciem. Jasne, przeważająca większość z nich była dzieciakami w wieku Molly albo młodszymi, ale byli już weteranami. Mogłem się też jednak założyć, że kwestia Fomorów szykanujących gromadę talentów niższej klasy znajdowała się nisko na ich liście priorytetów.

– Słyszałem, że Strażnicy są mistrzami przechodzenia do sedna sprawy – stwierdził Aristedes. – Mamy znów zacząć od początku, żeby dostał pan szansę?

Butters posłał czarownikowi lodowaty uśmiech i lekko skinął głową.

– Pan i pańska ekipa wciąż tu są. To sugeruje, że jesteście kompetentni. A my doceniamy kompetencje.

Aristedes przechylił głowę i milczał przez chwilę.

– Przyszli panowie omówić ze mną nawiązanie jakiegoś rodzaju kontaktów?

– Nie wychodźmy przed szereg. Nie jestem werbownikiem. To jedynie wizyta. Ocena sytuacji w terenie, jeśli można tak to określić.

Nie chciałem zostawiać ich trójki w obecności Aristedesa i jego noża, chronionych jedynie przez wyćwiczony w grach akcent Buttersa i kilka metrów szarej tkaniny, ale nie przyszliśmy tu, by pognać Aristedesa. Przyszliśmy po Forthilla. Plan, który pośpiesznie naszkicowałem Buttersowi, wymagał, bym zlokalizował ojca, gdy oni będą odwracać uwagę Aristedesa.

Poza tym te płaszcze symbolizowały coś, co Aristedes musiał szanować, jeśli miał



choć dwie działające komórki w mózgu. Strażników Białej Rady nigdy nie uważano za przyjazne osoby, w rodzaju lokalnego gliniarza z drogówki. Ludzie się ich bali – pewnie jeszcze bardziej od czasu wojny z Czerwonym Dworem. Strażnicy byli tymi gośćmi, którzy dawali jedno ostrzeżenie, zanim człowiek choćby zbliżył się do przekroczenia granicy i złamania jednego z Praw Magii. Przy kolejnym spotkaniu zwykle od razu zabierali się do obcinania głowy.

Czy wzbudzali większy szacunek, czy strach, pewnie zależało od indywidualnego punktu widzenia, ale nikt nigdy, przenigdy nie traktował ich od niechcienia.

Wydawało mi się właściwe, że Butters wykorzystywał ich przerażającą reputację. Może wydawało mi się to stosowne, bo reputacja ta była, podobnie jak ja, niematerialna – co nie oznaczało, że pozbawiona wpływu na wydarzenia. Duch zjadłości Strażników strzegł moich towarzyszy równie dobrze, jak ja. Dlatego w milczeniu własnych myśli życzyłem im szczęścia i wyruszyłem wypełnić swoją część planu.

Zniknąłem i pojawiłem się na poziomie sklepienia, pilnując, by trzymać się z dala od promieni słońca wpadających przez kilka małych okienek wysoko na ścianach. Sufit nie znajdował się aż tak wysoko w porównaniu z wielkością sali produkcyjnej i dopiero po kilku próbach zorientowałem się, gdzie w tej całej porzuconej przestrzeni przebywał gang. Przeniosłem się tam i odnalazłem Forthilla.

Książd leżał nieruchomo na podłodze zwinięty w kłębek. Nie widziałem, czy oddychał, i nie mogłem go dotknąć, by sprawdzić, czy ma puls. Skrzywiłem się i ukląknę, by wbić dłoń w materię jego stopy. Poczułem ostre, dziwne wrażenie kontaktu z żyjącym ciałem, jak wtedy, kiedy dotknąłem Morta i swojej praktykantki, a nie mrowienie zetknięcia z czymś materialnym, ale nieożywionym. Żył. Miałem wrażenie, że serce przestało mi bić, a później ruszyło z szarpnięciem.

Wpatrywałem się w niego przez chwilę, próbując ocenić, co się z nim stało. Krew sączyła się z kilku ran na twarzy, gdzie jego cienka, starcza skóra pękła po ostrym ciosie – na kościach policzkowych, krawędziach czoła i brodzie. Pęknięta warga zaczynała puchnąć. Został pobity pięściami – albo otwartą dłonią, z nadnaturalną prędkością.

To wydawało mi się właściwe. Stary książd, żyjący symbol wszystkiego, czego nienawidził Aristedes, przyszedł tu, żeby porozmawiać. Niezależnie od tego, jak uprzejmy był ojciec, sama jego obecność była wystarczającym wyzwaniem dla ego kogoś w rodzaju czarownika. Na wyzwania można odpowiadać jedynie przemocą, a policzki, które wymierzył, musiały być jednocześnie bolesne i upokarzające.

Forthill przyciskał lewą rękę do żeber. Upadł i zgiął się wpół. Czarownik musiał uderzyć go też w korpus. Może połamał mu zebra albo stało się coś gorszego. Wszystkie urazy są gorsze u osób starszych – cieńsza skóra, mniej mięśni, delikatniejsze kości, zużyte narządy. Byli wrażliwi.

Zazgrzytałem zębami i rozejrzałem się po obozie. Aristedes pozostawił przy Forthillu strażnika. Był to chłopiec, na oko bardzo chudy i niedożywiony, najwyżej dziesięciolatek. Siedział niedaleko beczki z paleniskiem, drżał i ścisnął w rękę zardzewiały nóż do steków. Jego spojrzenie krążyło dookoła, ale unikało nieruchomej sylwetki księdza.

Forthill nagle zadrżał i wydał z siebie cichy jęk, po czym znów znieruchomiał.

Chłopiec z nożem odwrócił wzrok, oczy mu zwilgotniały. Objął kolana rękami i zaczął się kołysać. Nie byłem pewien, który widok bolał bardziej.

Zacisnąłem zęby. Jakie zwierzę zrobiłoby coś takiego starcowi? Dziecku? Poczulem, że moja skóra robi się coraz cieplejsza, co odzwierciedlało wściekłość budzącą się znów w moim wnętrzu.

– Lepiej nie pozwalać, by takie myśli zajmowały umysł – powiedział ktoś bardzo łagodnym, bardzo uspokajającym głosem.

Odwróciłem się twarzą do mówiącej, na języku miałem słowa zaklęcia, a w mojej prawej dłoni płonęła widmowa moc.

Nad Forthillem stała młoda kobieta, naprzeciwko mnie, w strumieniu słonecznego blasku, który wpadał przez otwór w poczerniałym oknie. Miała na sobie czarny garnitur, czarną koszulę i czarny krawat. Jej skóra była ciemna – nie jak u kogoś afrykańskiego pochodzenia, ale jakby ktoś zanurzył ją w beczce idealnie czarnego atramentu. Twardówki, białka jej oczu, też były czarne. Właściwie jedynym, co nie było w niej czarne jak atrament, były tęczęwki i krótki miecz, który trzymała w dłoni, z ostrzem wiszącym równoległe do nogi. One błyszczały srebrem z plamkami metalicznego złota.

Spokojnie popatrzyła mi w oczy, a później spojrzała na moją prawą dłoń, na której płomień wypuszczały strużki dymu.

– Pokój, Harry Dresdenie. Nie przybyłam tu, by skrzywdzić kogokolwiek.

Spoglądałem na nią przez chwilę, a później przeniosłem wzrok na strażnika. Dziecko nie zareagowało na głos ani obecność nieznajomej, więc musiała być duchem, jak ja. Istniało wiele istot duchowych, które mogły się pojawić, kiedy ktoś umierał, ale niewiele z nich mogłoby stanąć w promieniach słońca. Widziałem też miecz identyczny z tym, który trzymała w dłoni, na posterunku w Chicago Pomiedzy.

– Jesteś aniołem – powiedziałem cicho. – Aniołem śmierci.

Pokiwiała głową.

– Tak.

Podniosłem się powoli. Byłem o wiele wyższy od anielicy. Spiorunowałem ją wzrokiem.

– Cofnij się.

Uniosła brew.

– Grozisz mi?

– Może jestem po prostu ciekaw, kto przyjdzie po ciebie, kiedy nadejdzie twoja pora.

Uśmiechnęła się samymi wargami.

– A co dokładnie zamierzasz tu osiągnąć?

– Troszczę się o swojego przyjaciela. Nic mu nie będzie. Twoje usługi nie są konieczne.

– To jeszcze nie jest jasne.

– Pozwól, że ci wyjaśnię. Dotknij go, a przejdziemy do parteru.

Lekko wyduła wargi i pokręciła głową.

– Jedno z nas na pewno.

– To dobry człowiek. Nie pozwolę, żebyś zrobiła mu krzywdę.

Anielskie brwi znów się uniosły.

– Myślisz, że dlatego tu jestem?

– Halo, anioł śmierci. Ponury Żniwiarz. Coś ci dzwoni?

Anielica znów pokręciła głową i uśmiechnęła się już bardziej naturalnie.

– Źle zrozumiałeś moje zadanie.

– Oświeć mnie więc.

– Decydowanie, kiedy życie się skończy, nie należy do moich kompetencji. Jestem jedynie eskortą, strażnikiem wysłanym, by zaprowadzić świeżo uwolnioną duszę w bezpieczne miejsce.

Skrzywiłem się.

– Myślisz, że Forthill jest tak zagubiony, że potrzebuje przewodnika?

Zamrugła.

– Nie. On potrzebuje... – Wydawało się, że szuka właściwego słowa. – Jego dusza potrzebuje ochroniarza. Jestem tu w tym celu.

– Ochroniarza? – wypaliłem. – Co, do diabła, takiego zrobił ojciec, że w życiu po śmierci potrzebuje ochroniarza?

Znów zamrugła, na jej twarzy malowało się lekkie zaskoczenie. Przez to wyglądała na bardzo młodą – młodszą niż Molly.

– On... poświęcił życie walce z ciemnością. – Mówiła łagodnym tonem i trochę powoli, jakby tłumaczyła coś absolutnie oczywistego małemu dziecku. – Istnieją siły, które chciałyby się na nim zemścić, gdy jego dusza będzie najbardziej odsłonięta, w czasie przejścia.

Przez kilka sekund wpatrywałem się w anielicę, ale nie wyczuwałem w niej kłamstwa. Spojrzałem z góry na ogień w dłoni i nagle poczułem się trochę głupio.

– A ty... ty będziesz walczyć, by go ochronić?

Patrzyła na mnie srebrnymi oczyma, a ja poczułem, że nogi trochę mi miękną. Nie był to strach... nie do końca. Raczej coś głębszego, budzącego podziw – coś podobnego czułem, kiedy z odległości niecałych pięciuset metrów patrzyłem na tornado, wyrywające drzewa z korzeniami i rzucające nimi jak zapalkami. Przez te srebrne oczy nie patrzył duch, nie była to istota ani osobowość. To była cholerna siła natury – bezosobowa, nieprzejednana i całkowicie poza moją kontrolą.

Moje czoło zrosił pot. Zerwałem kontakt wzrokowy i szybko wpatrzyłem się w ziemię.

Na policzku poczułem ciemną, chłodną dłoń, w tym dotyku kryło się jednocześnie błogosławieństwo i delikatna nagana.

– Jeśli czas Anthony'ego nadszedł – powiedziała cicho – przeprowadzę go bezpiecznie na tamten świat. Sam Książę Ciemności mi go nie wyrwie. – Czubki jej palców przesunęły się na moją brodę i uniosły moją twarz, bym znów na nią spojrzał. Uśmiechnęła się lekko i opuściła dłoń. – Ty też nie, Harry Blackstone Copperfieldie Dresdenie, nawet jeśli twoje zamiary są najszlachetniejsze.

Nie odwróciłem wzroku. Anielica знаła moje Imię, do ostatniego akcentu. Cholera jasna. Każda walka przeciwko niej byłaby bardzo krótka i cieszyłem się, że nie pozwoliłem, by instynkt przejął nade mną panowanie.

– W porządku – powiedziałem słabym głosem. – Jeśli nie jesteś tu, by go zabić, dlaczego mu nie pomożesz? Jest częścią twojej organizacji.

– Jak ci już mówiłam, nie należy do moich kompetencji decydowanie, kiedy życie się skończy... albo nie.

– Dlaczego nie? Dlaczego nie, do diabła? Czy Forthill nie zasłużył na pomoc od twoich?

– Nie chodzi o to, na co on zasługuje – odparła cicho anielica. – To kwestia wyboru.

– Dokonaj więc wyboru, by mu pomóc. To nie takie trudne.

Przez całą tę rozmowę jej pogodna twarz nie zmieniła się na dłużej niż kilka sekund. Teraz jednak się przeobraziła. Stała się beznamiętna i stężała. Srebrne oczy zapłonęły.

– Nie dla śmiertelnika. Nie. Wcale nie jest to trudne. Ale coś takiego wykracza poza moje możliwości.

Odetchnąłem powoli, z namysłem.

– Wolna wola.

Pochyliła głowę w minimalnym skinieniu, a jej spojrzenie było niemal otwarcie wrogie.

– Coś, co dano wam, ale czego mnie odmówiono. Nie wolno mi podjąć żadnego działania, które uchyla wybory śmiertelnika.

– Forthill zdecydował się umrzeć? Czy to sugerujesz?

– Nic tak bezpośredniego. Ta osobliwość jest połączeniem bardzo wielu wyborów. Fitz postanowił obdarzyć cię swoim jakże ograniczonym zaufaniem. Ty zdecydowałeś, że w życiu młodego człowieka pojawi się Anthony. Anthony postanowił tu przybyć mimo niebezpieczeństwa. Aristedes zdecydował się go zaatakować. Waldo i Daniel postanowili go uratować. Poza tym każdy z ludzi znanych każdej z jednostek, które wspomniałam, dokonywał wyborów, które wywarły wpływ na życie tych wokół. Wszyscy razem określiliście tę rzeczywistość. – Rozłożyła szeroko ręce. – Kimże jestem, by odwrócić coś takiego?

– W porządku, niech i tak będzie.

– Oczywiście – odpowiedziała pogodnie anielica.

Posłałem jeszcze jedno spojrzenie Forthillowi i zniknąłem, kierując się z powrotem w stronę Buttersa i reszty. Jeśli anielica nie zamierzała pomóc ojczulkowi, planowałem zrobić to sam.

Potrzebowałem paru skoków, żeby dotrzeć na drugi koniec hali produkcyjnej, co zajęło mi kilka sekund.

– Fitz, znalazłem ojca. Jest...

– To się wydaje rozsądne – mówił Aristedes do Buttersa. – Mogę zadać jedno pytanie?

– Czemu nie? – odparł Butters.

Fitz kręcił się w uścisku Daniela, próbując znaleźć się jak najdalej od Aristedesa. Jedno spojrzenie na jego twarz dało mi odpowiedź – rozpoznał coś w słowach albo zachowaniu byłego nauczyciela. Widziałem twarze maltretowanych żon, kiedy patrzyły, jak mężowie piją, boleśnie pewne, że cykl znęcania się powtórzy się za kilka

godzin. Fitz wiedział, jak Aristedes wyglądał, kiedy zamierzał sięgnąć po przemoc.

– Strażnicy – powiedział Aristedes – dlaczego nie nosicie mieczy?

Cholera.

To pytanie zaskoczyło Buttersa. Mógłby złagodzić wymowę pytania sprytną odpowiedzią albo nawet przekonująco całkowicie je zignorować – ale zrobił coś, czego absolutnie nie powinien zrobić, jeśli zamierzał sprzedać fałszywą tożsamość Aristedesowi.

Zawahał się.

Nie mogłem mieć do niego pretensji. Wyruszył na złamanie karku na pomoc Forthillowi. Na wymyślanie planu poświęciliśmy jakieś pięćdziesiąt sekund, a był on możliwy jedynie dlatego, że Butters przewidująco zapakował te płaszcze – najwyraźniej uznał, że warto je mieć pod ręką, by ktoś raz czy dwa zobaczył gdzieś Strażnika, co mogłoby uspokoić nadnaturalnych mieszkańców miasta. W pośpiechu w ogóle nie pomyślałem o całej kwestii mieczy – i nie bez powodu. Cały problem polegał na tym, że Aristedes doszedł do właściwego wniosku na podstawie błędnych przesłanek.

Miecze Strażników służyły w nadnaturalnych kręgach. Błyszczące srebrem, nadnaturalnie ostre klingi, doskonałe do obcinania głów czarnoksiężników i napełnione zaklęciami, które odchylały lub niszczyły magiczne ataki i czary. Kiedy ktoś widział Strażnika, widział też miecz.

A przynajmniej tak było do niedawna. Czarodziejka, która je tworzyła, Strażniczka Luccio, utraciła zdolności, kiedy Łowca Ciał wrzuciła ją w ciało młodej kobiety o bardzo niewielkim naturalnym talencie magicznym. W efekcie większość nowych Strażników, w tym ja, nie miała fajnego miecza. Co znaczyło, że większość Strażników już nie nosiła mieczy.

Najwyraźniej jednak nie dotarło to jeszcze na poziom ulicy.

Wszystko zaczęło się dziać bardzo szybko.

Aristedes wyciągnął nóż, paskudne ostrze z mnóstwem dodatkowych wypustek – wariacja na temat noża Bowie w wykonaniu H.R. Giger.

Daniel Carpenter najwyraźniej dostrzegł zachowanie Fitz'a i domyślił się, co oznaczało. Jednym machnięciem potężnych ramion rzucił Fitz'a i Buttersa za siebie, a sam stanął między nimi i czarownikiem, unosząc ręce w pozycji obronnej.

Butters jęknął cicho, kiedy uderzył tyłkiem o zimny beton podłogi.

Fitz upadł i się przetoczył. Podniósł się i zaczął uciekać, oczy miał przerażone.

– Wszyscy jesteście trupami – warknął Aristedes.

I nagle rzucił się do przodu, tak szybko, że właściwie się rozmył, a nóż błyszczał w jego dłoni.

## Rozdział trzydziesty ósmy

Aristedes był jedynie rozmytą plamą w powietrzu, kiedy zbliżył się do Daniela, zderzył się z nim i rzucił do tyłu. Daniel upadł, a ten paskudny nóż zabłysł i w ciągu sekundy zadał pół tuzina ciosów, za każdym razem trafiając chłopaka w pierś albo brzuch.

Każdy poza synem Michaela i Charity Carpenterów zostałby wypatroszony jak ryba.

Chłopak odebrał solidne szkolenie – może uczył go ojciec, może Einherjaren, może Murphy. Pewnie wszyscy po kolei. Nie jestem zawodowcem, jeśli chodzi o walkę wręcz, ale wiem dość, by wiedzieć, jak mało wiem. A jedna z rzeczy, jakich jestem świadom, to fakt, że nie można tak po prostu zaplanować swoich działań z sekundowym wyprzedzeniem, by zrekompensować sobie brak nadnaturalnej szybkości. Trzeba się tego nauczyć, wbudować to w swoje odruchy poprzez tygodnie i miesiące regularnych ćwiczeń.

Daniel tak zrobił.

Zaczął się przetaczać, zanim Aristedes się zbliżył, kiedy wciąż zataczał się do tyłu po pierwszym ciosie czarownika. Nóż wbił się w jego pierś i brzuch – i natrafił na pancerz.

Pod zimową kurtką Daniel nosił strój, w którym rozpoznałem dzieło Charity – kamizelka z dwóch warstw kevlaru, z wszytymi między kuloodporny materiał tytanowymi pierścieniami. Kevlar zatrzymywał pociski, ale nie chronił przed ostrzami. Do tego służyła tytanowa kolczuga.

Kiedy nóż uderzał w pancerz, leciały iskry. Odgłos uderzeń brzmiał, jakby ktoś walił kijem baseballowym w wołową półtuszę, ale Daniel cały czas się ruszał, odsuwał z każdym ciosem, odbierając im większość brutalnej siły. Nóż ani razu nie dotknął skóry.

Po tej kombinacji zabójczo szybkich ciosów Aristedes zatrzymał się i przykucnął, rękę z nożem wyciągnął w bok, równoległe do ziemi. Wyglądał jak statysta w filmie karate – co za tępak.

Daniel wykorzystał impet, żeby się przetoczyć, i poderwał się na nogi. Nie



wyglądało to zbyt zgrabnie, ale chłopak wyraźnie panował nad swoim ciałem i przykucnął około siedmiu metrów od czarownika. Jedną ręką sięgnął do kieszeni na biodrze i wyciągnął prosty składany nóż z rękojeścią z czarnego plastiku. Kciukiem otworzył ostrze, długie na może dziesięć centymetrów, i trzymał broń blisko ciała, czubkiem skierowaną w stronę Aristedesa. Zerwał płaszcz z pleców i kilkoma ruchami ręki owinął grubą tkaninę wokół lewego przedramienia. Później wyciągnął lewą rękę przed siebie, wnętrzem dłoni do dołu, palce luźne – gotów blokować ciosy.

Aristedes umiał zachować pokerową twarz, ale w tej chwili nie miałem nic do roboty poza patrzeniem, a znałem takich jak on. Czarownik nie był psychologicznie przygotowany na reakcję Daniela. Tępy osiłek miał leżeć zakrwawiony na ziemi, może błagać o życie. A w najgorszym wypadku powinien uciekać w przerażeniu, tymczasem jednak bardzo potężny młody mężczyzna najwyraźniej zlekceważył zabójczy atak i zamierzał walczyć.

– Ładny nóż. – Głos Daniela ociekał szyderstwem. – Kupiłeś wysyłkowo?

– Zdobyłem na ostatnim głupcu, który próbował zaatakować mnie nożem.

Daniel odsłonił zęby.

– Chodź tutaj. Dam ci ten.

Aristedes zakręcił kilka razy bronią, nóż zwinnie prześlizgiwał się między jego palcami. Robienie czegoś takiego w czasie prawdziwej walki było głupotą, ale facet wyraźnie wiedział, jak używać broni. Później jego ciało napięło się, kiedy wysyczał słowo i znów rzucił się błyskawicznie na Daniela.

Zdradziła go mowa ciała przed zaklęciem, które dawało mu prędkość. Chłopak znów był gotowy. Uchylił się i zatoczył rękami dwa półokręgi, kiedy Aristedes przelatywał obok. Rozległ się odgłos rozrywanej tkaniny, a po chwili czarownik go minął.

Daniel syknął z bólu i odwrócił się w stronę Aristedesa. Jego lewa ręka, owinięta płaszczem, krwawiła, na szarym materiale powoli rozrastała się czerwona plama.

– Tam nie masz pancerza – mruknął Aristedes z uśmiechem.

Chłopak nie odpowiedział, jedynie znów przyjął pozycję. Spokojnie trzymał zakrwawiony nóż czubkiem w stronę czarownika.

Aristedes spuścił wzrok i zobaczył długą, płytką ranę w poprzek mięśnia piersiowego. Krew mieszała się z potem, który pokrywał jego skórę.

Spośród gruzów i odpadków zaczęły wylaniać się głowy. Zero i jego towarzysze – około tuzina dzieciaków – wychodzili z kryjówek, żeby obejrzeć walkę. Ich miny świadczyły, że po raz pierwszy widzieli swojego nieustraszonego przywódcę rannego.

Do diabła, jeśli byli choć trochę tacy jak ja w dzieciństwie, pewnie wierzyli, że on nie mógł zostać ranny.

Daniel Carpenter właśnie pokazał im, że jest inaczej – a czarownik o tym wiedział.

Na twarzy Aristedesa pojawił się grymas czystej nienawiści, kiedy wpatrzył się w Daniela. Później zrobił coś niespodziewanego – po prostu postąpił krok do przodu i skoczył w zasięg broni.

Wymiana ciosów była szybka. Większość walk na noże taka jest. Daniel, wyższy z nich dwóch, miał przewagę zasięgu, nieco zmniejszoną przez długość ostrza czarownika. Nosił pancerz na korpusie i był silniejszy, ale Aristedes był szybszy, nawet bez magii – i miał o wiele większe doświadczenie.

Mignęły dłonie i noże, błyskawiczne i szepczące o przemocy, kiedy rozcinały powietrze. Nie nadążałem za kolejnymi ranami. Było ich zbyt wiele. Widziałem, jak kolczuga Daniela zatrzymuje kolejne dwa ciosy, jeden z nich był dość silny, by tytanowe kółko upadło z brzękiem na podłogę. W powietrzu pojawiła się smużka czerwieni, gdy jeden z walczących stracił trochę krwi.

Daniel sapnął. Później raz jeszcze. Aristedes wydał z siebie odgłos jednocześnie bólu i zadowolenia. Mężczyźni rozdzielili się, obaj dyszeli ciężko. Walka jest większym obciążeniem dla ciała niż cokolwiek innego. Kilka sekund może doprowadzić do wyczerpania, nawet jeśli ktoś jest w świetnej formie.

Daniel zatoczył się i opadł na jedno kolano, chrząknął przy tym zaskoczony.

Miał rany na obu nogach – klute, głębokie. Żaden z ciosów nie trafił w jedno z ważnych naczyń krwionośnych, bo chłopak już straciłby przytomność, ale ostrze przebiło mięśnie czworogłowe, a to musiało być koszmarnie bolesne.

Daniel warknął i próbował się podnieść. W połowie drogi osłabł i znów opadł. Szkolenie, odwaga i hart ducha mają swoje ograniczenia. Dość głęboka rana na jednej z nóg wystarczyłaby, żeby wyeliminować go z walki. A on miał je na obu.

Aristedes jednak nie wyszedł z wymiany ciosów bez szwanku. Miał głęboką ranę prawego ramienia, w które trafił go nóż Daniela. Ciało wisiało na pasku skóry. Płynęła krew, ale jego ramię pozostawało sprawne. Jeśli przeżyje dość długo i zachowa rękę, później będzie mógł się chwalić wielką blizną.

Dla Daniela nie miało to większego znaczenia.

Czarownik przełożył nóż do lewej ręki i patrzył beznamiętnie na Daniela.

– Dzieciaki takie jak ty. Nie znają jeszcze ceny za prowadzenie interesów. Kiedy wymienić ból na zwycięstwo.

Znów poruszył się błyskawicznie, a Daniel uniósł nóż. Po chwili krzyknął i upadł

na bok, ściskając prawe ramię lewą ręką. Jego nóż wylądował na podłodze i odtoczył się, w końcu lądując u stóp Aristedesa.

Czarownik bez pośpiechu przełożył własny nóż do lewej ręki i podniósł ten należący do Daniela. Sprawdził wyważenie i naostrzenie broni.

– Nada się – stwierdził.

Starannie wytarł krew z noża Daniela o nogawkę spodni, zamknął go i wsunął do kieszeni szlafroka. Później posłał chłopakowi paskudny uśmiech i uniósł własne ostrze nad głowę w taki sposób, że krew Daniela spłynęła z niego i spadła na uniesioną rękę. I zaczął inkantację.

Od razu poczułem zbierającą się magię. Nie była szczególnie potężna, ale oceniałem to według swoich standardów. Magia naprawdę nie wymaga mnóstwa koni mechanicznych, żeby być niebezpieczną. Aristedesowi zajęło może dziesięć sekund zgromadzenie dość woli i skupienia do tego, co robił, a ja stałem tam, zaciskając pięści w bezsilnej wściekłości. Daniel zobaczył, co się dzieje, i znalazł starą puszkę wśród śmieci na podłodze. Niezręcznie, lewą ręką rzucił nią w stronę Aristedesa, ale bardzo spudłował.

Aristedes wycelował nóż w stronę Daniela, spojrział na niego gadzim wzrokiem, wysyczał słowo i wypuścił zaklęcie.

Najstarszy syn Michaela wygiął plecy w łuk i wydał z siebie zduszony krzyk udręki. Aristedes powtórzył słowo, a Daniel znów wykrzywił się z bólu, jego plecy wygięły się bardziej, niż to wydawało mi się możliwe.

Stłumiłem własny wściekły okrzyk i odwróciłem wzrok, kiedy czarownik naginał i wypaczał energię Stworzenia, zmieniając ją w narzędzie tortur. Patrzenie w inną stronę było niemal gorsze – młodzi uczniowie Aristedesa przyglądali się z chora fascynacją. Daniel krzyczał, aż zabrakło mu tchu, a później zaczął się dusić, kiedy próbował krzyczeć dalej. Jeden z dzieciaków zgiął się nagle i zaczął wymiotować na podłogę.

– To mój dom. – Aristedes przez cały czas nie zmienił wyrazu twarzy. – Jestem tu panem, a moja wola jest...

Butters pojawił się za plecami Aristedesa, wylaniając się zza przewróconej kadzi, i zamachnął się metrowej długości ołowianą rurką w stronę kolana czarownika.

Rozległ się głośny, wyraźny trzask pękających kości i chrząstek, a Aristedes krzyknął i upadł.

– Ten dźwięk, który właśnie słyszałeś – w głosie Buttersa brzmiały strach i adrenalina – to były twoje więzadło poboczne strzałkowe i więzadło krzyżowe

przednie odrywające się od stawu. Istnieje też możliwość pęknięcia rzepki albo kości piszczelowej.

Aristedes leżał, zwijając się z bólu, i dyszał przez zaciśnięte zęby. Z kącika jego ust popłynęła ślina.

Butters uniósł rurkę jak pałkarz na boisku.

– Pozbądź się noża albo przejdę do twojej czaszki.

Aristedes wciąż dyszał, ale nie podniósł wzroku. Odrzucił dziwaczny nóż.

– Ten z kieszeni też – stwierdził Butters.

Czarownik spojrział na niego z czystą nienawiścią, po czym odrzucił również nóż, który odebrał Danielowi.

– Nie ruszaj się, Danielu! – zawołał Butters. – Zaraz do ciebie przyjdę.

– Nis mi nie jes – jęknął chłopak.

Nie brzmiał, jakby nic mu nie było. Na moich oczach zaczął owijać kawałki pociętego płaszcza wokół rany na prawej ręce, zamykając ją i zatrzymując krwawienie. Twardy dzieciak i umiał myśleć pod presją.

Butters skupił się na Aristedesie.

– Nie chcę zrobić ci krzywdy. Chcę ci pomóc. Twoje kolano zostało zniszczone. Jeśli nie otrzymasz pomocy medycznej, już nigdy nie będziesz chodził. Zabiorę cię do szpitala.

– Czego chcesz? – warknął Aristedes.

– Książd. Fitz. Te dzieciaki. – Parę razy odbił rurkę od własnego ramienia. – I tak naprawdę to nie są negocjacje.

– Tak! – Zacisnąłem pięść. – Dalej, Butters!

Aristedes jeszcze przez chwilę spoglądał na Buttersa, po czym opadł i jęknął cicho. O cholera.

– Wygrałeś – powiedział czarownik. – Tylko... proszę... pomóż mi.

– Wyprostuj ją. – Butters przez cały czas nie patrzył bezpośrednio na mężczyznę. – Połóż się i wyprostuj ją.

Aristedes poruszył niezgrabnie nogą i wydał z siebie kolejny wysoki jęk bólu.

Butters wzdrygnął się na ten odgłos, w oczach miał udrękę. Nagle zrozumiałem, dlaczego zawodowo rozcinał trupy, zamiast leczyć żywych pacjentów.

Butters nie mógł znieść widoku cierpiących ludzi.

To miał na myśli, kiedy mówił, że nie jest prawdziwym lekarzem. Kiedy twierdził, że leczenie żywych pacjentów jest nieprzyjemne i niepokojące w porównaniu z wydobywaniem narządów i katalogowaniem ich w trakcie sekcji zwłok. Martwi

ludzie byli jedynie stertą ciała i kości. Już nie cierpieli.

Lekarz potrzebuje pewnej dozy profesjonalnego dystansu, jeśli ma dobrze służyć pacjentom, a Butters... po prostu go nie miał. Niski mężczyzna nie mógł się zmusić, by nie współodczuwać z ludźmi, z którymi pracował. Dlatego wybrał zawód, w którym mógł uprawiać medycynę bez prób leczenia kogokolwiek – bez kontaktu z prawdziwymi pacjentami.

Aristedes też to zobaczył. Pewnie tego nie rozumiał, ale dostrzegł słaby punkt i bezlitośnie go wykorzystał.

– Nie – westchnąłem. – Butters, nie.

– Do diabła. – Butters zazgrzytał zębami. Pochylił się, by pomóc mężczyźnie. – Nie ruszaj się. Jedynie pogarszasz sytuację.

Próbował zachować odpowiednią odległość, kiedy pomagał czarownikowi, ale po prostu nie dało mu się pomóc i jednocześnie znajdować poza zasięgiem. Dostrzegłem to na jego twarzy, kiedy sobie to uświadomił i zaczął się wycofywać. Później, kiedy mężczyzna wciąż jęczał z bólu, Butters lekko potrząsnął głową i pochylił się, żeby pomóc Aristedesowi wyprostować nogę.

Zobaczyłem, jak czarownik mruży oczy, w których maluje się niemal zmysłowa przyjemność.

– A niech to diabli! Butters, rusz się!

Zniknąłem i pojawiłem się obok Buttersa, wepchnąłem dłonie w jego pierś, pragnąc go odepchnąć.

Nie poruszyłem go – moje niematerialne dłonie jedynie w niego wniknęły – ale Buttersa jakby przeszedł nagły dreszcz i zaczął się cofać.

Za późno.

Lewa ręka Aristedesa rozmyśla się i uderzyła Buttersa prosto w brodę. Gdyby nie zaczął się cofać, cios trafiłby go tuż pod uchem, a ręka czarownika poruszała się dość szybko, by złamać Buttersowi kark. Mimo to cios sprawił, że głowa patologa poleciała na bok, tak mocno, że kiedy osiągnęła maksymalne skrećenie, odbiła się. Przez chwilę jeszcze udawał zabawkę z kołyszącą się głową, po czym wylądował bezwładnie na ziemi.

Chciałem krzyknąć z frustracji. Tymczasem jednak myślałem gorączkowo, szukając rozwiązania.

Ku swemu własnemu zaskoczeniu znalazłem je.

Zniknąłem prosto pod sufit i szybko się obróciłem. Tam. Dostrzegłem Fitzę, który czołgał się w stronę jednego z wyjść z sali produkcyjnej, utrzymując niewielką stertę

odpadków między sobą a Aristedesem.

– Fitz! – wrzasnąłem. Zniknąłem i pojawiłem się tuż przy nim. – Fitz, musisz zawrócić.

– Cicho – szepnął gorączkowo. Widziałem białka jego oczu. – Cicho. Nie, nie mogę! Daj mi spokój!

– Musisz to zrobić. Forthill jest w obozie, ciężko ranny. Stoi nad nim przeklęty anioł śmierci. On potrzebuje pomocy.

Fitz nie odpowiedział. Wciąż czołgał się po podłodze hali w stronę jednego z korytarzy prowadzących na zewnątrz. Wydawał z siebie ciche, rozpaczliwe jęki, aż dotarł do drzwi i poza zasięg wzroku Aristedesa.

– Fitz. Fitz, musisz coś zrobić. Jesteś jedynym, który może.

– Gliny. Zadzwońię po gliny. Zajmą się tym.

Wstał i zaczął biec korytarzem, w stronę – jak podejrzewałem – najbliższego wyjścia z budynku.

– Butters i Daniel nie mają tyle czasu. Jeśli gliny dostaną cynk od dzieciaka na gigancie, przy dużej dozie szczęścia radiowóz pojawi się w okolicy za pół godziny. Do tego czasu wszyscy mogą być już martwi. Twój szef nie może sobie pozwolić na pozostawienie świadków.

– Jesteś magiem – stwierdził Fitz. – Dlaczego ty tego nie zrobisz? W końcu duchy mogą opętać ludzi i takie tam, prawda? Wskocz w Aristedesa i zmusz go, żeby rzucił się z dachu.

Milczałem przez chwilę.

– Posłuchaj, jestem nowy w byciu duchem – powiedziałem w końcu. – Ale to tak nie działa. Znam naprawdę twardego ducha żyjącego setki lat maga i nawet on może opętać jedynie kogoś, kto się na to zgodzi. Jak na razie udało mi się wniknąć jedynie w ludzi, którzy są wyczuleni na duchy... a oni w każdej chwili mogli mnie wykopać. Aristedes nie jest ani wrażliwy, ani chętny. Gdybym próbował go przejąć, rozbiłbym się jak owad na przedniej szybie samochodu.

– Chryste.

– Jeśli zgłosisz się na ochotnika, pewnie mógłbym cię przejąć. Wątpię, żebyś miał odpowiednie okablowanie, bym mógł użyć swojej mocy, i oczywiście wciąż byłbyś w niebezpieczeństwie, ale nie musiałbyś podejmować żadnych decyzji.

Fitz zadrżał.

– Nie.

– I dobrze. To jest piekielnie dziwne. – Odetchnąłem głęboko. – Poza tym to

byłoby... niewłaściwe.

– Niewłaściwe?

– Jeśli odebrać komuś wolną wolę, odbiera mu się wszystko, czym jest. Całą jego tożsamość. Zrobienie komuś czegoś takiego jest gorsze niż morderstwo, bo jeśli się kogoś zabije, ten ktoś przynajmniej już nie cierpi.

– A kogo to obchodzi? Ten facet to bydlak. Kogo obchodzi, czy stanie mu się coś złego? Zasłużył na to.

– Niewłaściwe to niewłaściwe, nawet kiedy z całego serca pragniesz, żeby tak nie było – powiedziałem cicho. – Bolesnie się o tym przekonałem. Łatwo jest postępować właściwie, kiedy nic to nie kosztuje. Nie tak łatwo postąpić właściwie, gdy zostało się przypartym do muru.

Fitz trząśł się, kiedy wypowiadałem te ostatnie słowa, i przyśpieszył kroku.

– Nic nie mogę zrobić. Próbuję ocalić życie.

Stłumiłem warknięcie i postarałem się mówić spokojnie. Czas zmienić taktykę.

– Nie przemyślałeś tego. Znasz Aristedesa. Znasz go.

– Której części „próbuję ocalić życie” nie zrozumiałeś?

Chrząknąłem.

– Tej części, w której zostawiasz przyjaciół na śmierć.

– Co takiego?

– Jest teraz nieźle pobity. Słaby. Jak myślisz, ile czasu zajmie mu wymiana całej ekipy?

Fitz szedł coraz wolniej, aż się zatrzymał.

– Widzieli jego słabość. Do diabła, odniósł tak poważną ranę, że może zostanie kaleką. Jak myślisz, co zrobi z dziećmi, które widziały, jak został pobity? Które widziały go zakrwawionego i powalonego na ziemię?

Fitz zwiesił głowę.

– Na gwiazdy i kamienie. Zaczynałeś okazywać oznaki samodzielnego myślenia, a on poczuł się tak zagrożony, że posłał cię na śmierć. Jak myślisz, co zrobi z Zero?

Chłopak nie odpowiedział.

– Uciekniesz teraz – powiedziałem – i przez całe życie będziesz uciekał. To rozstaje. W tym miejscu nabiera kształtu twoje życie. Tu. Teraz. W tej chwili.

Wykrzywił twarz, jakby przeszył go fizyczny ból. Mimo to nie odpowiedział.

Chciałem położyć mu rękę na ramieniu, uspokoić ludzkim dotykiem. Jedyńm, co mogłem zrobić, było złagodzenie tonu głosu.

– Wiem, o czym mówię, chłopaku. Za każdym razem, kiedy zostaniesz sam

w ciemności, kiedy będziesz mijał lustro, będziesz pamiętał tę chwilę. Zobacysz, kim się stałeś. I albo będziesz człowiekiem, który uciekł, kiedy jego ekipa i trzech dobrzy ludzie ginęli, albo będziesz człowiekiem, który uniósł wysoko głowę i coś z tym zrobił.

Fitz przełknął ślinę.

– On jest za silny.

– Teraz nie jest. Leży na ziemi. Nie może chodzić. Ma jedną sprawną rękę. Gdybym nie myślał, że masz szansę, kazałbym ci uciekać.

– Nie mogę – szepnął. – Nie mogę. To niesprawiedliwe.

– Życie rzadko jest sprawiedliwe.

– Nie chcę umierać.

– Ha. Nikt nie chce. Ale każdy w końcu to robi.

– To miało być zabawne?

– Może odrobinę ironiczne, biorąc pod uwagę, kto to powiedział. Posłuchaj. Liczy się jedynie odpowiedź na pytanie: „Którym z tych ludzi chcesz być?”.

Powoli uniósł głowę. Uświadomiłem sobie, że widział swoje odbicie w szybie w drzwiach biura.

Stanąłem za nim, popatrzyłem na niego z góry i przypomniałem sobie z irracjonalnym niedowierzaniem, że kiedyś byłem niewiele wyższy od tego chłopaka.

– Którym człowiekiem, Fitz? – spytałem cicho.



## Rozdział trzydziesty dziewiąty

Kiedy stawilem czoło swojemu dawnemu nauczycielowi, zrobiłem to z nową laską i bojową różdżką w ręku, ze starożytnymi mocami wszechświata do dyspozycji i słowami mocy na języku.

Fitz miał więcej odwagi niż ja w dzieciństwie.

Poszedł stawić czoło swoim demonom bez żadnej broni.

Kiedy jego kroki zabrzmiały na betonowej podłodze, zacząłem się o niego martwić. Robił to, bo uwierzył mi na słowo. A jeśli Aristedes nie został ranny tak bardzo, jak mi się wydawało? A jeśli znał magię leczącą? Fitz nie miałby szans – a ja nigdy bym sobie nie wybaczył.

Zacisnąłem zęby i kazałem sobie nie kusić losu. Sytuacja i tak była wystarczająco paskudna, nie musiałem dodawać do niej swoich zmartwień. To nikomu nie pomoże.

Fitz wszedł w zasięg wzroku Aristedesa i się zatrzymał.

– Spokojnie – powiedziałem. – Bez nerwów. Nie okazuj mu słabości. Uda ci się.

Chłopak odetchnął głęboko i podszedł bliżej.

– Fitz – warknął Aristedes.

Siedział teraz z nogą wyprostowaną przed sobą. Nieprzytomny Butters został rzucony bezceremonialnie obok Daniela, który siedział na ziemi w niewielkiej kałuży własnej krwi, krzywił się z bólu i był wyraźnie zdezorientowany. W miarę możliwości opatrzył rany, ale wciąż potrzebował pomocy lekarza. Pilnowało ich kilkoro dzieciaków, w tym Zero, uzbrojonych w rurki i stare noże.

– Co ty tu robisz, zdrajco?

Fitz stał w milczeniu.

– Przyprowadziłeś tu tych ludzi. Zagroziłeś wszystkim obecnym.

Chłopak wyglądał, jakby się kurczył, jakby między nim a słabym blaskiem wpadającym przez okno przepłynęła chmura. Wpatrywały się w niego ciemne, wrogie oczy zebranych wokół.

Sięgnąłem do zmysłów i potwierdziłem, że czarownik używał magii.

– Popycha ich – powiedziałem cicho – sprawiając, że czują do ciebie wrogość. To nieprawda. Musisz nim wstrząsnąć, wytrącić go ze skupienia.

Fitz odpowiedział niemal niewidocznym skinieniem głową.

– Nie zaprowadziłem ich tutaj. Złapali mnie, kiedy próbowałem odzyskać broń. Zmusili mnie, żebym poszedł z nimi.

– Ksiądz mówił co innego – odparował Aristedes.

– Ojciec myślał, że mi pomaga. Nie było powodu, by go krzywdzić.

– Nie było powodu? – Głos Aristedesa był niebezpieczny, zabójczy i gładki. – Fakt, że tu wtargnął, jest wystarczającym powodem. Ale on chciał zniszczyć tę rodzinę. Na coś takiego nie pozwolę.

– Rodzina, jasne. Jesteśmy tu jak Simpsonowie.

Osobiście wybrałbym Waltonów, ale podobała mi się drwina chłopaka.

Aristedes wpatrzył się w Fitz'a gadzimi oczyma.

– Podaj mi jeden powód, dlaczego nie powinienem cię zabić, tu i teraz.

– Bo nie możesz – odparł chłopak znużonym tonem. – Samodzielnie nigdzie nie pójdziesz. Jesteś udupiony. Potrzebujesz pomocy.

Czarownik zniżył głos do szeptu.

– Naprawdę?

– Aha. Przecież w końcu musiało do tego dojść, co nie? Prędzej czy później skończysz, jedząc gdzieś zupkę gumową łyżką. Myślisz, że grupka dzieciaków, które zastraszyłeś, żeby cię słuchały, zajmie się dziadkiem Aristedesem? Daj spokój.

– Dam ci jedną szansę. Odejdź. Już.

Fitz z namysłem postukał się w brodę.

– Nie. Raczej nie.

Aristedes zamrugął.

– Co takiego?

– Oto co się stanie. Zabiorę od ciebie księdza, tych dwóch gości i ekipę. Zapewnię im pomoc. Zadzwońię po karetkę i ty też dostaniesz pomoc. Później już nigdy się nie spotkamy.

– Oszalałeś?

– Jakiś czas temu. – Fitz pokiwał głową. – Ale chyba już z tego wychodzę. Wiem jednak, że ty nie wrócisz z krainy świrów. Dlatego zabieram ekipę.

Aristedes zacisnął pięści, jego oczy zapłonęły – i choć pewnie sobie tego nie uświadamiał, przestał się skupiać. Magia, którą wpływał na dzieci, osłabła.

– Zabijcie go.

Dzieci o pustych spojrzeniach popatrzyły na Fitz'a. Zero zrobił krok w jego stronę.

Głos Fitz'a był niczym trzask bicia, ostry i głośny w pełnej ech sali.

– Przestańcie.

Tak też zrobili. Nie trzeba było magii. Fitz miał coś potężniejszego. Troszczył się o inne dzieciaki. Myślał o nich, dodawał im otuchy i przewodził im. To było coś równie realnego, jak mistyczne moce i mroczne czary – i miało o wiele większą wagę. Miłość zawsze ją ma.

– Zero – powiedział cicho Fitz. – Koniec mieszkania z tym idiotą. Odłóż nóż i chodź do mnie.

– Zero! – powiedział ostro Aristedes.

Niemal widziałem napięcie w powietrzu, gdy czarownik podwoił wywieranie wpływu, usiłując zmusić chłopca do wypełnienia swojej woli. Mógł dać sobie spokój. Skończyło się. Było już po wszystkim w chwili, gdy Fitz podjął decyzję, by wrócić na tę halę.

Fitz podszedł do Zera i położył dłoń na jego ramieniu.

– Z – powiedział cicho – nie mogę cię do niczego zmusić. Powiedz mi tylko jedno. Kogo byś wolał jako swojego opiekuna? Mnie? Czy jego?

Zero wpatrzył się uważnie w Fitz'a. Później w Aristedesa.

– Nie słuchaj go – powiedział czarownik przez zaciśnięte zęby, rozpryskując ślinę.  
– Beze mnie nie przeżyjecie nawet dnia na tych ulicach. Fomory porwą was wszystkich.

– Nie, Z – odezwał się cicho Fitz. – Nie zrobią tego. Wszystko jest w porządku. Mamy pomoc.

Zero zamrugał kilka razy. Zwiesił głowę.

Stary nóż, który ścisnął w palcach, uderzył z brzękiem o betonową podłogę.

Kolejny tuzin noży i rurek upadł na ziemię, kiedy pozostali chłopcy je wypuścili. Wszyscy podeszli do Fitz'a i zebrali się wokół niego.

– Zabiję was – wysyczał Aristedes. – Zabiję was.

Fitz odwrócił się do okaleczonego czarownika i pokręcił głową. A później zrobił coś, co pewnie było czymś najbardziej okrutnym, co mógł zrobić swojemu byłemu mentorowi.

Odwrócił się i zignorował go.

– Zero – odezwał się Fitz – potrzebujemy karetki dla księdza. Zadzwoń na numer alarmowy. Nie przenoście go, niech to zrobią medycy.

Zero pokiwał głową i wyciągnął z kieszeni zbyt wielkiej kurtki jedną z tych tanich plastikowych komórek na kartę. Pobiegł do drzwi, pewnie, żeby złapać lepszy zasięg. W ciągu kilku kolejnych minut dzieciaki przyniosły proste, ale użyteczne

wyposażenie medyczne i rany Daniela zostały oczyszczone i zawiązane mocniej, niż sam mógłby to zrobić.

Aristedes próbował zmusić parę dzieciaków, żeby zwróciły na niego uwagę, ale one podążyły za przykładem Fitz. Zignorowały go. Czarownik siedział więc i przyglądał się wszystkiemu w oszołomieniu.

Może powinno mi go być trochę żal. Jeśli chodziło o jego świat, właśnie umarł. Tyle tylko że on sam nadal żył i widział niewyobrażalne – świat, który istniał bez niego. Był żyjącym duchem. Może powinienem trochę mu współczuć.

Ale wcale nie współczułem.

Butters poruszył się i usiadł niepewnie, kiedy Fitz kończył wiązać drugi bandaż uciskowy na nodze Daniela. Syn Michaela chrząknął z bólu i odetchnął głęboko kilka razy. Wciąż był blady i się trząsał, ale oczy miał spokojne. Napotkał spojrzenie Fitz.

– Dziękuję.

Fitz potrząsnął głową.

– Ja niczego nie zrobiłem. To wy dwaj go pokonaliście.

– To ojciec go pokonał – poprawił go Daniel. – Wiedział, co się z nim stanie, kiedy tu przyjdzie. I wiedział, że przyjdziemy po niego.

Butters chrząknął i odezwał się, nie otwierając oczu.

– Forthill by tak tego nie rozegrał. Przybył tu, by dać szansę pokojowi. – Jęknął i przycisnął dłoń do brody. – Uch. Auć.

Daniel zmarszczył z namysłem czoło.

– Czyli... nie chciał, żebyśmy przyszli po niego?

Butters prychnął.

– Wiedział, że po niego przyjdziemy, niezależnie od tego, co zrobi. Wiedział również, że jeśli czarownik rzuci się na niego, ktoś się pojawi i załatwi to w inny sposób. Jest pokojowo nastawiony. Co nie znaczy, że głupi.

– Gdzie on jest? – spytał Daniel.

– Przy ogniu – odparł Fitz. – Dziesięć metrów w tamtą stronę. Karetka już jedzie.

Butters jęknął i podniósł się powoli. Znów rozmasował szczękę.

– Zaprowadź mnie do niego.

– Chwileczkę – przerwał Daniel. – Fitz... uciekłeś. Nie mam do ciebie pretensji. Ale wróciłeś.

Chłopak milczał przez chwilę, zaciskając wargi.

– No tak, wróciłem.

– Dlaczego?

Fitz wzruszył ramionami.

– Dresden. Powiedział mi, że jeśli teraz ucieknę, zawsze będę uciekał. A tego mam już dość.

– Ha. Ha, ha. Totalnie zrobił Kenobiego. – Butters spojrzał na Daniela błyszczącymi czarnymi oczyma. – Wciąż masz wątpliwości?

Daniel potrząsnął z uśmiechem głową. Później z zadowolonym jękiem osunął się na ziemię.

– Ojciec, proszę – powiedział Butters. Fitz skinął głową i poprowadził patologa w stronę niewielkiego obozowiska ekipy. Wcześniej jednak Butters odwrócił się i powiedział: – Dzięki, Harry. Dobrze wiedzieć, że nadal chronisz nasze tyły.

Patrzyłem w milczeniu, jak idą pomóc Forthillowi.

– Jasne, stary – powiedziałem, choć wiedziałem, że nikt nie mógł mnie usłyszeć. – Zawsze.

\* \* \*

Przyjechało pogotowie. Zanim dotarli, broń została ukryta. Wymyślono historyjkę. Zaniepokojeni dorośli przyszli, żeby zniechęcić miejscowych młodocianych bezdomnych do zabawy i mieszkania w niebezpiecznym, starym, zrujnowanym budynku. Doszło do sprzeczki z być może pijanym włóczęgą, która niebezpiecznie eskalowała. Różne rzeczy się poprzewracały, raniąc kilka osób.

Nie trzeba było wielkiego namysłu, by dostrzec dziury w tej historyjce, ale Butters znał ratowników medycznych, nikt nie zginął i nikt nie chciał wnosić oskarżeń. Ratownicy byli gotowi zachować milczenie za kilka zielonych. Ach, Chicago.

Forthill był w kiepskim stanie, ale kiedy położyli go na noszach i zanieśli do karetki, nigdzie nie widziałem anioła śmierci. Ha. Goń się, Żniwiarko. Ojciec przeżyje i będzie gotów do nie-walki kolejnego dnia.

Daniel pojechał z ojcem. Aristedes trafił do osobnej karetki. Wciąż był oszołomiony tym, co się wydarzyło, albo dość bystry, by robić wrażenie zdezorientowanego i milczeć. Medycy po krótkiej rozmowie z Buttersem przywiązali go na drogę. Nie stawiał oporu. Nic nie zrobił. Drzwi karetki zamknęły się za zrujnowanym człowiekiem.

Jeśli chodzi o mnie, nie mogłem wyjść ze starej fabryki na światło dnia. Musiałem trzymać się zacienionych przejść, żeby obserwować przebieg wydarzeń. Popołudnie musiało być ciepłe. Śnieg wyraźnie zaczynał topnieć, wszędzie płynęła i ciekła woda.

Kiedy wszyscy potrzebujący zostali zaopatrzeni medycznie, wróciłem do miejsca, w którym spodziewałem się spotkać Buttersa. I rzeczywiście wrócił do wejścia po torbę i reflektor z czaszką Boba.

Przerzucił pasek torby przez ramię i wyciągnął z niej radyjko. Włożył je do kieszeni i wydobyl obudowę reflektora, po czym uniósł ją i powiedział:

– W porządku, zadanie wykonane.

Ponad moim prawym ramieniem przepłynął strumień iskier z ogniska i wpadł do oczodołów czaszki, które zaczęły się jarzyć znajomym blaskiem.

– Widzisz? Mówiłem ci.

– Zapamiętano – odparł poważnie Butters.

Zamrugałem i obejrzałem się, a później znów popatrzyłem na czaszkę.

– Bob. Przez cały czas byłeś za mną?

– Aha. Nerd kazał mi cię śledzić. Przepraszam, Harry.

Butters mógł mnie zobaczyć, więc założyłem ręce na piersi i nachmurzyłem się.

– Nie ufałeś mi.

Butters poprawił okulary.

– Ufaj, ale sprawdzaj. – Jego głos brzmiał poważnie. – Nie zrozum mnie źle, Harry, ale świadectwa kota i być może szalonej dziewczyny, nawet maga, nie do końca poruszyły nas swoją niezaprzeczalną prawdziwością.

– Murphy kazała ci to zrobić.

– Właściwie Murphy nie chciała, by ktokolwiek z nas ryzykował, kontaktując się z tobą. Wcześniej różne istoty wykorzystywały twój wygląd, żeby do niej dotrzeć.

Chciałem powiedzieć coś gwałtownego i morderczego, ale gdybym miał zareagować racjonalnie, mógłbym mruknąć jedynie coś w rodzaju: „Masz rację”. A to nie zabrzmiałoby bardzo racjonalnie. Dlatego jedynie chrząknąłem.

Butters pokiwał głową.

– I musisz zrozumieć, jak paskudna jest sytuacja na mieście. Fomory nie znają granic. Jeśli tylko się da, wykorzystują kobiety, dzieci, zwierzęta domowe, cokolwiek, jako środki emocjonalnego nacisku. Żeby z tym walczyć, trzeba mieć całe wiadra zimnej krwi.

Chrząknąłem i spochmurniałem jeszcze bardziej.

– Ale ty sprzeciwiłeś się jej rozkazom.

Butters podrapał się palcem po nosie.

– No tak. Wiesz. Lepiej brzmi, jeśli powiem, że podjąłem działanie z własnej inicjatywy. Miałem przeczucie.

– Tylko posłuchaj tego tu Quincy’ego – mruknęła czaszka, chichocząc. – Miałeś mnie, palancie.

– Miałem ciebie – przyznał Butters. – A tobie ufam.

– Natomiast Murphy nie bardzo – stwierdził Bob z niejaką dumą – co jest pewnie mądre. Gdyby ktoś inny dorwał moją czaszkę, nie wiadomo, co by ze mną zrobił. Jestem nieobliczalny! Strażnicy pozbyliby się mnie w ułamku sekundy!

– Wyłączając tu obecnego – zauważyłem.

– Ty się nie liczysz – stwierdziła stanowczo czaszka. – Zostałeś zwerbowany.

– Jasne.

– Chodzi o to, że jestem wyjęty spod prawa! A laski to uwielbiają!

– Aj waj. – Butters przewrócił oczami. – Dosyć, Bob.

– Jasne, hombre.

Nie mogłem powstrzymać śmiechu.

– Widzisz, z czym muszę żyć – powiedział Butters.

– Jasne.

– Ty... – Patolog przetarł dłonią tył głowy. – Brakuje nam ciebie, Harry. Bardzo. Po jakimś czasie większość z nas... no wiesz. Doszliśmy do wniosku, że odszedłeś. Tak jakby zorganizowaliśmy stypę na twoim grobie. Pizza i piwo. Nazwaliśmy to pogrzebem. Ale Murphy nie chciała przyjść.

– Nielegalne zgromadzenie – podpowiedziałem.

Butters prychnął przez nos.

– Tak się usprawiedliwiała, owszem.

– Cóż, zobaczymy.

Butters znieruchomiał na chwilę.

– Co zobaczymy?

– Czy ta sytuacja jest definitywna. – Wskazałem na siebie.

Niski mężczyzna wyprostował się gwałtownie.

– Że co?

– Bob myśli, że z moim, no, stanem wiąże się coś dziwnego.

– Ty... mógłbyś wrócić? – szepnął Butters.

– Albo może wcale nie odszedłem. Nie wiem, stary. Zostałem podstępem nakłoniony, żeby znów pojawić się na świecie. Wiem równie mało, jak wszyscy inni.

– A niech mnie – sapnął Butters.

Machnąłem ręką.

– Posłuchaj. Będzie, co będzie. Teraz musimy się zająć prawdziwym problemem,

i to już.

Butters skinął głową.

– Mów.

Opowiedziałem mu o Łowcy Ciał, jej planie związanym z Mortem i umową z przedstawicielem sług Fomorów.

– Musimy to przerwać dokładnie w tej chwili – dokończyłem. – Chcę, żebyś wziął Murphy i jej wikingów i powiedział im, żeby roznieśli kryjówkę Łowcy Ciał.

Butters wciągnął powietrze przez zęby.

– Uch. Wiem, że nie było wiele czasu na pogaduszki od kiedy, no, zostałeś zmarłym, ale to nie są wikingowie Murphy.

– A czyi?

– Marcone'a.

– Och.

– Musimy pogadać z Childsem.

– Nowym gościem od Marcone'a?

– Tak. Z nim. – Butters zadrżał. – Ten facet przyprawia mnie o gęsią skórkę.

– Być może Will i reszta towarzystwa wystarczą.

Butters pokręcił głową.

– Być może Will i reszta towarzystwa i tak zrobili już za dużo, stary. Poważnie mówię.

– Coś trzeba zrobić. Jeśli będziecie czekać, za chwilę zapuka wam do drzwi mag-renegat, który wciąż nawiedza w koszmarach Białą Radę. A kiedy mówię „zapuka”, mam na myśli „przekształci je z materii w energię”.

Butters pokiwał głową.

– Porozmawiam z nią. Coś wymyślimy. – Zmrużył oczy. – Co ty zamierzasz zrobić?

– Zajmę się duchową stroną całej sprawy. Nią, jej kiepską podróbką Boba, lemurami i wszystkimi upiorami, które przywoływała. Zakładając, że sprawy na tym łąz padole pójdą dobrze, wolałbym, żeby nie wyslizgnęła się tylnymi drzwiami, a później wróciła, by nas prześladować.

Zmarszczył czoło.

– Zamierzasz to zrobić sam?

Odsłoniłem zęby w uśmiechu.

– Nie do końca. Ruszaj się. Nie zostało wiele czasu.

– Kiedy?

– A jak myślisz? O zachodzie słońca.



## Rozdział czterdziesty

Zniknąłem z wnętrza fabryki w chwili, gdy poczułem, jak rzeczywistość drży od zachodu słońca. Moje skoki były teraz dłuższe, niemal dwukrotnie w porównaniu z tym, co udało mi się osiągnąć poprzedniej nocy, a zorientowanie się w otoczeniu między nimi trwało krócej. Pewnie powtarzanie czyni mistrza, nawet jeśli jest się martwym. Czy czymkolwiek tam byłem.

Dotarcie do wypalonych ruin domu Morta zajęło mi mniej niż dwie minuty.

Po drodze zauważyłem, że zaczął wiać południowy wiatr, który musiał przynieść ze sobą ciepło. Cały śnieg w mieście topniał, a połączenie tych dwóch elementów z nadchodzącą nocą oznaczało, że w powietrzu wisiała mgła, ograniczająca widoczność do piętnastu, może dwudziestu metrów. Mgła w Chicago nie zdarza się szczególnie rzadko, ale nigdy nie jest tak gęsta. Latarnie uliczne otaczały rozmyte, świetliste aureole. Sygnalizacja świetlna była jedynie plamami zmieniających się kolorów. Samochody poruszały się powoli, ostrożnie, a gęsta mgła wyciszała miasto, dusząc jego zwyczajowe odgłosy.

Zatrzymałem się jakieś sto metrów od domu Morta. I tam to poczułem – ślad przyzywającej energii, którą wbudowano w jego nieistniejący już dom, przyciągającej mnie równie łagodnie, jak zapach ciepłego posiłku po długim dniu. Nieco przypominała przywoływanie Łowcy Ciał, ale ta magia była znacznie mniej grubo ciosana, znacznie delikatniejsza. Magia nekromantki przypominała wciąganie odkurzacza. Magia Morta była raczej jak ziemskie ciążenie – na pierwszy rzut oka mniej potężne, ale absolutnie wszechobecne.

Do diabła. Magia Morta najprawdopodobniej wywierała na mnie pewien wpływ nawet w Chicago Pomiedzy. Jego dom był pierwszym miejscem, do którego przybyłem, i choć miałem logiczny powód, by go wybrać, było całkiem możliwe, że miała wpływ na moje rozumowanie. W końcu to była magia, która miała przyciągać uwagę niebezpiecznych duchów.

W tej właśnie chwili w swojej zateęchłej kryjówce Łowca Ciał torturowała Morta i planowała zamordować moich przyjaciół, więc pozostałości zaklęcia bez wątpienia przyciągały moją uwagę.

Zbliżyłem się do domu Morta i poczułem, że przyciąganie staje się nieco mocniejsze. Zakłęcie zostało uszkodzone, kiedy dom Morta spłonął, i teraz zanikało. Wschód słońca tego ranka niemal je wymazał. Nie przetrwałoby kolejnego świtu – ale z niewielką pomocą mogło jeszcze raz wypełnić swój cel.

Z obszernej kieszeni płaszcza wyjąłem pistolet sir Stuarta. Majstrowałem przy nim, aż na moją dłoń wytoczyła się błyszcząca srebrna kula, jak również migotliwa chmura światła. W chwili gdy kolejne pyłki dotykały mojej skóry, słyszałem odległe echo wystrzału – strzały ze wspomnień sir Stuarta. W moich uszach rozlegały się setki wystrzałów, dalekich i cichych – duchowy odpowiednik prochu. Sir Stuart dużo ich słyszał.

Ale nie potrzebowałem siły ognia, nie do tego celu. Wziąłem błyszcząca srebrną kulę, wspomnienie domu sir Stuarta i jego rodziny, i w pełni się na niej skupiłem. Po raz kolejny scena przedstawiająca niewielką farmę rozrastała się w moim polu widzenia, aż otoczyła mnie ledwie widocznym, przezroczystym krajobrazem, który drżał i wibrował własną mocą. Przez chwilę słyszałem szelest wiatru wśród pól zboża i czułem ostre, zwierzęce wonie niosące się ze stodoły, łączące się z zapachem świeżego chleba z domu. W powietrzu unosiły się okrzyki bawiących się dzieci.

To nie były moje wspomnienia, ale wyczułem coś pod ich powierzchnią, coś potężnego i boleśnie znajomego. Sięgnąłem do własnych myśli i wydobyłem wspomnienia swojego domu, po czym popchnąłem je, by stopiły się z umiłowaną wizją sir Stuarta. Przypomniałem sobie zapach drewna, atramentu i papieru, wszystkich regałów z książkami z antykwariatów, które stały wzdłuż ścian mojego starego mieszkania, wypełnionych niepewnymi stertami wydań kieszonkowych. Przypomniałem sobie woń drzewnego dymu z kominka, łączącą się z aromatem świeżo zaparzonej kawy w filiżance. Dodałem smak bulionu Campbella w kubku w zimny dzień, kiedy moje ubrania przemoczyły deszcz i śnieg, a ja zrzuciłem je i kuliłem się pod kocem przy ogniu, popijając bulion i czując, jak wypełnia mnie ciepło.

Wspominałem ciepło mojego psa, Myszka, który kładł swój ciężki łeb na mojej nodze, kiedy czytałem książkę, i miękkość futra Mistera, gdy podchodził i łagodnie odpychał łapą moją lekturę, aż robiłem sobie przerwę, by zapewnić mu należną uwagę. Przypomniałem sobie praktykantkę Molly, pracownicę uczącą się i czytającą, pamiętałem nasze wielogodzinne rozmowy, gdy uczyła się ode mnie podstaw magii, jak korzystać z niej odpowiedzialnie i mądrze – a przynajmniej na tyle odpowiedzialnie i mądrze, jak potrafiłem. Co niekoniecznie było jednym i tym

samym.

Wspominałem uczucie naciągania na siebie ciepłej kołdry, kiedy kładłem się spać. Słuchania grzmotów, którym towarzyszyły migoczące błyskawice, ulewny deszcz i wyjący wichry, i prostej przyjemności, jaką czerpałem z wiedzy, że byłem bezpieczny i rozgrzany, gdy na zewnątrz szalały żywioły. Wspominałem chodzenie pewnym krokiem w całkowitej ciemności, bo wiedziałem, jak stawiać kroki, by poruszać się bezpiecznie po pokojach.

Dom.

Przywołałem wspomnienie domu.

Nie wiem, w którym momencie kula rozplynęła się w czysty potencjał, ale jej moc stopiła się z moimi wspomnieniami, brzęcząc potężnym harmonicznym akordem uczuć kryjących się za nimi – uczuć wspólnych nam wszystkim, potrzeby posiadania miejsca, które należy do nas. Bezpieczeństwa. Wygody.

Domu.

– Dom – szepnąłem. Odnalazłem resztki zaklęcia gromadzącego Morta i w myślach zacząłem splatać krawędzie wspomnień z rozpadającą się magią. – Dom – szepnąłem ponownie, zbierając wolę, łącząc ją ze wspomnieniem i wysyłając w mrok. – Wracajcie do domu – powiedziałem, a mój głos niósł się daleko w noc, odbijając się echem wśród mgły, przeobrażony energią mojego zaklęcia we wszechogarniającą muzykę, kiedy wypuściłem w mrok tę moc i wspomnienie. – Wracajcie do domu. Wracajcie do domu.

Wszystko to wypłynęło ze mnie powoli i miarowo, opuszczając mnie z nieśpieszną celowością. Czuję, jak magia rozprzestrzenia się na zewnątrz w stopniowo rosnącym kręgu. A później zniknęła, jeśli pominąć słaby szept echa.

„Wracajcie do domu. Wracajcie do domu. Wracajcie do domu”.

Powoli otworzyłem oczy.

Nie było żadnych odgłosów, żadnego poruszenia energii, żadnego ostrzeżenia.

Stałem pośród kręgu milczących, wpatrzonych we mnie duchów o pustych oczach.

Teraz, kiedy wiedziałem, kim byli – szalonymi, niebezpiecznymi duchami Chicago, tymi, którzy zabijali ludzi – wyglądali inaczej. Ta dwójka małych dzieci? Mój Boże, teraz wyglądały niepokojąco, w ich zapadłych oczach było trochę zbyt dużo ciemności, a wyraz ich twarzy nie zmieniłby się, niezależnie od tego, czy patrzyłyby na przejeżdżający samochód, czy wpychały główkę niemowlaka pod wodę. W człowieku interesu, na pierwszy rzut oka z końca dziewiętnastego wieku, rozpoznałem cień Hermanda Webstera Mudgetta, amerykańskiego pioniera

w dziedzinie seryjnych zabójstw na dużą skalę. Dostrzegłem inny cień z wcześniejszego stulecia, który mógł być jedynie kapitanem Williamem Wellsem – wciąż emanowała z niego zimna i namacalna furia.

Było ich więcej, o wiele wiele więcej. Chicago ma długą historię przemocy, tragedii i czystej niesamowitości, z którą nie może się równać nic po tej stronie Atlantyku. Nie znałem nazwisk jednej trzeciej z nich, ale patrząc na nich wiedziałem dokładnie, kim byli – żywotami, które zakończyły się w nędzy, we wściekłości, w cierpieniu lub w szaleństwie. Byli czystą energią zniszczenia, której nadano ludzką postać, tlili się jak węgle, które wciąż mogły poparzyć, długo po tym, jak przestały emanować blaskiem.

Byli naładowaną bronią.

Za nimi, spokojne i cierpliwe, jak psy pasterskie wokół stada, stały duchy strażnicze domu Morta. Zakładałem, że są jego duchowymi żołnierzami, ale teraz poznałem ich główny cel. Oni, duchy niedopełnionego obowiązku, pozostali, by spróbować wypełnić swe zadania do końca. Oni, cienie wiary, miłości, obowiązku, równoważyli mroczną moc gwałtownych duchów. Uziemiali dzikość i szaleństwo swoim czystym, spokojnym, prostym istnieniem – a wśród nich stał wyblakły cień sir Stuarta, wyprostowany i spokojny.

Trzymałem w prawej ręce broń sir Stuarta i trochę żałowałem, że nie mogę cofnąć się w czasie, by walnąć nią po głowie moją o dwadzieścia cztery godziny młodszą osobę. Gasnący duch wcale nie próbował dać mi broni. Oddał mi coś o wiele bardziej niebezpiecznego.

Myślałem, że podałem mi potężną, ale ograniczoną moc, jeden zabójczy strzał. Patrzyłem z perspektywy śmiertelnika.

Stuart nie dał mi broni. Dał mi symbol.

Dał mi władzę.

Trzymałem pistolet w prawej dłoni. Na chwilę zamknąłem oczy, skupiając się na nim, nie tylko na ściskaniu go, ale na wzięciu go w siebie, uczynieniu go moim. Otworzyłem oczy, spojrzałem na wysoki, masywny cień i powiedziałem:

– Dziękuję, sir Stuarcie.

Kiedy wypowiedziałem te słowa, pistolet zmienił się i przeobraził, wydłużył się gwałtownie. Drewno kolby i łoża spęczniało, zmieniając się w ociosany nożem dąb, a kiedy tak się stało, sięgnąłem do wspomnień. Runy i symbole wyrzeźbiły się ciasną spiralą wzdłuż całej długości laski. Odetchnąłem głęboko i raz jeszcze poczułem moc laski maga, prawie dwóch metrów dębowego drewna, grubej jak mój kciuk i palec

razem wzięte, podstawowego symbolu mojej mocy, którą trzymałem spokojnie w ręku.

Pochyliłem głowę i skupiłem się, sięgając do wspomnień setek zaklęć i dziesiątek konfliktów w moim życiu, a kiedy to zrobiłem, symbole na lasce zapulsowały opalizującą energią, która przypomniła mi pociski sir Stuarta w locie. Moc wibrowała w widmowym drewnie tak bardzo, że drżało w moim uścisku, i wypuszczała we mgłę impulsy światła w dziwacznych kolorach, światła, które – jak wyczuwałem – byłoby widoczne nawet dla śmiertelników. Rozległ się głośny szum, prawie przypominający odgłos nagłego uderzenia w niewyobrażalnie wielki i głęboki bęben, uderzenia, które wyrwało się ze mnie i przepłynęło przez miasto i otaczające je tereny. Wypełniła mnie energia i przez krótką chwilę czułem ciepło południowego wiatru, wilgotne, parne powietrze, mokre zimno śniegu pod niematerialnymi stopami. Poczulem smród spalonego domu Morta i przez jedną chwilę, po raz pierwszy od czasu tunelu, zaburczało mi w brzuchu.

Później dziesiątki widmowych spojrzeń skupiły się jednocześnie na mnie, a ich ciężar uderzył we mnie jak zimny wiatr.

– Dobry wieczór, panie i panowie – powiedziałem cicho, zwracając się do otaczającego mnie kręgu wściekłości i oddania. – Nasz przyjaciel Mortimer wpadł w tarapaty. A my nie mamy dużo czasu...

# Rozdział czterdziesty pierwszy

Twierdza Łowcy Ciał się nie zmieniła.

Ale się przebudziła.

Poczułem różnicę w chwili gdy się zbliżyłem, a krótki wysiłek, by przywołać wspomnienie Wejrzenia, sprawił, że wyraźnie ujrzałem zmiany. W nocne niebo nad wejściem do twierdzy wznosiła się kolumna jaskrawego światła w odcieniach fioletu i szkarłatu. Widziałem magiczną energię, mój wzrok przenikał ziemię, jakby była lekko zmaconą wodą. Tam, na dole, na schodach i w tunelach, gdzie widziałem je wcześniej, znajdowały się zabójcze formuły, wypełnione straszliwą energią, przebudzone i jasno płonące.

Całe to niechlujne, bezsensowne, niby-magiczne pismo wcale takie nie było. A raczej było nonsensowne jedynie z pozoru. Prawdziwe formuły, jasno płonące osłony wybudowane na podstawie niemal tej samej teorii i systemu, z których kiedyś skorzystałem, by ochronić własny dom, ukrywały się pośród rzucającego się w oczy szaleństwa.

– Miałem to przed samym nosem i przegapiłem. – Westchnąłem.

Powinienem się tego spodziewać. Łowca Ciał była niegdyś częścią Białej Rady, w czasach przed wojną o panowanie w Ameryce Północnej. Chodziliśmy do tej samej szkoły, nawet jeśli ukończyliśmy ją w bardzo różnych latach. Do tego jeszcze miała pomoc istoty stworzonej z części mojego osobistego asystenta. Zły Bob pewnie udzielał jej podobnych rad w kwestii tworzenia osłon.

Osłony nie przypominały dużej części pozostałej magii. Opierały się na progu, powłoce energii otaczającej dom. Jasne, pomylenicy zamieszkujący obecnie te tunele byli świrami, ale nadal pozostawali ludźmi i wciąż mieli tę samą potrzebę domu co wszyscy inni. Progi nie przejmują się wschodem słońca, nie, kiedy żyjący śmiertelnicy przez cały czas je wzmacniają, po prostu mieszkając wewnątrz nich. Jeśli stworzyć zaklęcie na bazie progu, nie zniknie zbyt szybko. W efekcie można powoli, przez dłuższy czas, wpompowywać coraz więcej energii w oparte na nim zaklęcia.

Łowca Ciał nie potrzebowała dostępu do ciała o talencie na poziomie maga, by stworzyć te osłony. Regularnie wykorzystywała małe talenty, miesiąc po

miesiącu, i po odrobinie wzmacniała osłony, aż osiągnęły mistrzowski poziom, w przygotowaniu do nocy, kiedy będzie ich potrzebować.

Najwyraźniej uznała, że skoro torturowała ektomantę światowej klasy, by powrócić z hukiem zza grobu, dzisiejszej nocy nikt nie powinien jej przeszkadzać.

– Nienawidzę walczyć z kompetentnymi ludźmi – warknąłem. – Po prostu nienawidzę.

Zza moich pleców dobiegł cichy głos.

– Potężna obrona.

Obejrzałem się przez prawe ramię. Sir Stuart również przyglądał się osłonom. Wyglądał odrobinę bardziej materialnie, a w jego oczach pojawił się ślad rozproszonego zainteresowania.

– Aha. Masz jakiś pomysł?

– Śmiertelna magia. Poza naszym zasięgiem.

– Wiem – odpowiedziałem niechętnie. – Ale musimy wejść do środka. – Spojrzałem na ekipę szalonych duchów, którą sam dla siebie nazwałem Widmami Lectera. – A co z tymi gośćmi? Oni specjalizują się w łamaniu zasad. Są dość szaleni, żeby dostać się do środka?

– Próg. Nietykalny.

Co po raz kolejny miało sens. Poprzedniej nocy dostałem się do fortecy, ponieważ drzwi były otwarte, a zaklęcie przywołujące duchy było jak staromodna wycieraczka z napisem „Witamy”, jak stałe zaproszenie. Ten wieczór był wyraźnie inny.

– Cóż – mruknąłem – nic, co warto zrobić, nie jest proste, prawda?

Nie dostałem odpowiedzi.

Odwróciłem się i zobaczyłem, że cień sir Stuarta znów zblakł, a on wpatrzył się w przestrzeń.

– Stu? Hej, Stu.

Nie zareagował, jedynie znów patrzył przed siebie. Minę miał spokojną i czekał na rozkazy.

– Do diabła – westchnąłem. – Dobra, Harry. Ty tu jesteś magiem. Sam coś wymyśl.

Zniknąłem i pojawiłem się w wejściu. Wsparłem się na lasce i przyjrzałem aktywnym osłonom. Niewiele mi to dało. Znałem je. Używałem podobnych konstrukcji we własnym domu. Trzeba by na nie rzucić kilkanaście ton ciał, dosłownie, żeby je przerwać – jak stało się z moimi osłonami pierwszej generacji. Kolejne fale zombie napierały, aż w końcu się przebiły.

Pomyślcie tylko. Przygotowujecie dom na atak i nie bierzecie pod uwagę zombie.

Padłem ofiarą jednego z klasycznych błędów, razem z nigdy nie wdawaj się w wojnę w Azji i nigdy nie występuj przeciwko Sycylińczykowi, kiedy w grę wchodzi twoje życie.

Druga generacja moich osłon uwzględniała zombie. Te również. Czyli nawet gdybym miał zombie, których nie miałem, nie mógłbym przez nie przejść.

– No dobrze. Nie przechodź przez nie. Obejdź je.

Tak, bystrzaku? A jak niby?

– Istnieje otwarta Ścieżka między sercem fortecy a Nigdynigdy. Jest jak bezustannie otwarte drzwi ze stałym zaproszeniem, bo inaczej nie potrzebowaliby umocnień po drugiej stronie. Trzeba tylko do niej dotrzeć, zaatakować linie obronne Złego Boba i samego Złego Boba oraz wszystkich, których Łowca Ciał zwerbowała w Bóg jeden wie jakiej mrocznej piekielnej otchłani, zmiażdżyć ich i wypaść ze świata duchów.

Cóż. Plan zawierał mnóstwo słów w rodzaju „zaatakować”, „zmiażdżyć” i „wypaść”, co, jak musiałem przyznać, było bardziej w moim stylu. Pojawił się tylko jeden problem – nie mogłem otworzyć Ścieżki do Nigdynigdy. Gdybym znalazł się po drugiej stronie, pewnie udałoby mi się odnaleźć fortecę Złego Boba – siłą rzeczy musiała znajdować się w pobliżu. Ale podobnie jak w przypadku kryjówki w świecie śmiertelników, nie mogłem otworzyć drzwi.

– Poza tym jednak to genialny pomysł – zapewniłem sam siebie.

Bezpośredni atak na fortecę, którą bez wątpienia zaprojektowano do odpierania bezpośrednich ataków. Błyskotliwy pomysł. Nieskomplikowany, samobójczy i pozostaje jeszcze drobna kwestia, że nie jesteś w stanie wprowadzić go w życie. Ale genialny – absolutnie.

Gandalf nigdy nie miał takich problemów.

Tak naprawdę miał dokładnie taki sam problem, kiedy stał przed ukrytymi krasnoludzkimi wrotami do Morii. Pamiętasz, kiedy...

Westchnąłem. Czasem moje wewnętrzne monologi irytują nawet mnie.

– *Edro, edro* – mruknąłem. – Otwórz się. – Potarłem grzbiet nosa i zaryzykowałem: – *Mellon*.

Nic się nie wydarzyło. Osłony pozostały na miejscu. Pewnie Łowca Ciał nigdy nie czytała Tolkiena. Suka bez gustu.

– Nie znoszę tego całego polegania na innych – wymamrotałem. Później zniknąłem i pojawiłem się na czele hordy. – W porządku, panie i panowie. Zbiórka.

Popatrzyli na mnie tępo. Co pewnie miało sens. Większość tych duchów



pochodziła z czasów przed ruchem skautowskim.

– Dobrze. Niech wszyscy zbliżą się tak, żeby mnie widzieć i słyszeć. Przybliżcie się.

To duchy zrozumiały. Zebrały się – w trzech wymiarach. Niektóre tłoczyły się wokół mnie w kręgu na ziemi. Reszta uniosła się w powietrze i tam ustawiła.

– Jezu – mruknąłem. – To jak Kopuła Gromu.

Wyciągnąłem rękę, spodem do góry i zamknąłem na chwilę oczy. Przywołałem najnowsze wspomnienia Molly, zarówno jej wyglądu, jak i stanu umysłu. Później skupiłem się na odwzorowaniu tych wspomnień, wykorzystując świeże odruchy związane z tym całym byciem duchem. Kiedy otworzyłem oczy, nad moją dłonią unosił się niewielki trójwymiarowy obraz Molly, obracający się powoli.

– Ta młoda kobieta jest gdzieś w Chicago. Może w pobliżu. Potrzebujemy jej pomocy, żeby dotrzeć do Morta. No tak. Żołnierze, zostańcie ze mną. Reszta niech spróbuje ją zlokalizować. Pokażcie się jej. Powiedzcie jej, że Harry Dresden was wysłał, i przyprowadźcie ją tutaj. Nie ukazujcie się nikomu innemu. Nie róbcie nikomu krzywdy. – Rozejrzałem się. – W porządku?

Zanim skończyłem wypowiadać ostatnie słowo, połowa tłumu – ta szalona – zniknęła.

Miałem jedynie nadzieję, że mnie posłuchają, że moje zakłęcie przywołujące i autorytet, jaki przekazał mi sir Stuart, pomogą nakłonić ich do współpracy. Jednocześnie jednak ufałem instynktowi, który podpowiadał mi, że szalone duchy zabójców niezbyt dobrze wypełniały polecenia.

– To się może nie udać na tak wiele różnych sposobów – mruknąłem.

\* \* \*

Ale w większości się udało.

Jakieś dziesięć minut po tym, jak ich wysłałem, Widma Lectera zaczęły pojawiać się ponownie w szeregach cichych strażników, bez dźwięku, bez błysku, bez fanfar. Jedna sekunda – nic. Druga sekunda – oto i są wszyscy. Wszyscy poza dwojgiem.

Po chwili zobaczyłem idące w naszą stronę bliźnięta. Molly kuśtykała między małymi duchami, trzymając oboje za ręce. Poruszała się całkowicie wyprostowana, ostrożnie stawiała kroki i wydawała się nieco blada. Jak mówiłem, jest wrażliwa. W chwili gdy spotkała duchy dzieci, musiała domyślić się ich prawdziwej natury i wyraźnie nie sprawiał jej przyjemności ich dotyk. Dużo mówiło o jej harcie ducha to, że w ogóle im towarzyszyła.

Jeszcze więcej pewnie mówiło o jej zaufaniu do mnie.

Nie było też przypadkiem, że duchy znalazły ją tak szybko. Molly już była w drodze – w stroju bitewnym.

Jej długi płaszcz wciąż nosił ślady krwi w miejscu, gdzie kula przebiła mięsień jej uda. Wyglądem przypominał płaszcz strażaka, i, podobnie jak kamizelka Daniela, składał się z tytanowych pierścieni wszytych między dwie warstwy tkaniny balistycznej. Pod płaszczem nadal miała obszarpane ubranie, ale do kompletu dodała pas taktyczny z nylonowej siatki. Nosła w nim kilka napojów, których tworzenie nigdy nie sprawiało jej kłopotów, jak również dwie różdżki pokryte runami i symbolami podobnymi do tych na mojej lasce. Jedna kończyła się kryształem górskim, a druga ametystem.

Kiedy bliźnięta doprowadziły ją do mnie, zniknęły i pojawiły się z powrotem na swoim miejscu w szeregu. Molly zamrugnęła i rozglądała się przez chwilę. Wyjęła laskę spod pachy i oparła się na niej, odciążając nogę. Później wyjęła kamerton, uderzyła nim o laskę i uniosła przed oczami w taki sposób, że patrzyła między widełkami.

– Najświętsza Mario Panno. – Westchnęła, a jej oczy rozszerzyły się, kiedy objęła spojrzeniem oddział duchów. – Harry, tam w środku to ty?

– Dwa duchy wchodzi, jeden wychodzi. – Zniknąłem z Kopuły Duchów i pojawiłem się przed nią. – Cześć.

Molly pokręciła głową. Wciąż wyglądała na zmęczoną, ale napięcie, które widziałem u niej poprzedniego wieczoru, przynajmniej w części ją opuściło.

– Kim oni są?

– Przyjaciele Morta. – Wskazałem na nią. – Widzę, że ubrałaś się na imprezę.

Uśmiechnęła się, przez chwilę ukazując dołeczki w policzkach. Zaraz jednak zniknęły.

– Butters się ze mną skontaktował. Powiedział mi, co się dzieje.

Pokiwałem głową.

– Murphy?

Molly odwróciła wzrok.

– W drodze ze wszystkimi, których uda jej się zebrać.

– Goście Marcone'a?

Pokręciła głową.

– Marcone jest we Włoszech albo coś w tym stylu. Childs dowodzi.

– Niech zgadnę. Ma jedynie pilnować interesów do powrotu szefa, a nie został wybrany z powodu swojej odwagi i ambicji.

Molly pokiwała głową.

– Mniej więcej.

Skrzywiłem się.

– Jak twój brat?

– Kolejne szwy. Kolejne blizny. – Molly odwróciła głowę, ale zdążyłem jeszcze zobaczyć w jej oczach błysk morderczej wściekłości. – Przeżyje.

– Padre?

– Stan stabilny. Jest nieprzytomny. Został solidnie pobity.

– A Fitz i jego banda?

– W tej chwili są z moim ojcem. Mama i tak gotuje dla całego pułku. Osiem czy dziesięć dodatkowych gąb to nic wielkiego. Do czasu, aż wymyślimy, co z nimi zrobić.

Prychnąłem cicho.

– Gdyby trafili gdzie indziej, Murph po prostu zadzwoniłaby do glin, podała im miejsce pobytu dzieciaków i kazała ich zgarnąć za tamten atak. Michaelowi tego nie robi.

– Tak samo pomyślałam.

– To twój pomysł?

Molly wzruszyła ramionami.

– Bardzo dobrze, nowicjuszko. – Uśmiechnąłem się.

Ona również się uśmiechnęła, ale jedynie kącikami oczu.

– Dzięki.

Potrząsnąłem głową. Cholera. Łatwo się było rozproszyć, kiedy rozmawiało się o wspomnieniach. To coś duchowego musiało powoli tężeć w moim umyśle.

– Dobra, koniec pogaduszek. Oto skrócony opis.

Opowiedziałem jej o kryjówce Wielkich Kapturów, osłonach i czym zajmowała się Łowca Ciał. Kiedy mówiłem, Molly na chwilę otworzyła Wejrzenie i szybko spojrzała na osłony. Zadrżała i znów je zamknęła.

– Jesteś pewien, że nie możemy się po prostu przez nie przebić?

– Gdybyśmy poświęcili dzień albo dwa na zapoznanie się z ich układem, może. Nie mamy tyle czasu.

– W takim razie jaki masz plan?

– Ja i moja armia wchodzimy tylnymi drzwiami z Nigdyningdy. Kiedy wejdem do środka, zmiążdżę te formuły i zdejmę osłony. Oddział Murphy wpadnie do środka jak w telewizji. Jesteś mi potrzebna, żeby otworzyć Ścieżkę.

Molly przygryzła wargę, po czym pokiwała głową.

– Mogę to zrobić. Jesteś pewien, że kiedy to zrobię, druga strona będzie wystarczająco blisko?

Nigdy nie podlega normalnej geografii. Podłącza się do świata materialnego za pośrednictwem symboli i idei. Jeśli otworzy się Ścieżkę w szczęśliwym miejscu, istnieje spore prawdopodobieństwo, że trafi się do szczęśliwego miejsca w Nigdy. Jeśli otworzy się ją w złym miejscu, świat duchów w jej pobliżu będzie zły na podobny sposób. Czasem Ścieżki otwierane w odległości pięciu czy dziesięciu metrów od siebie prowadziły do radykalnie odmiennych części Nigdy. Molly martwiła się, że gdyby otworzyła Ścieżkę gdziekolwiek poza piwnicą twierdzy, mogłaby ona zaprowadzić do duchowej wersji Timbaktu, a nie tam, dokąd zamierzałem się udać.

– Cała ta okolica roi się od paskudnego *juju* – odparłem. – Podejmiemy najbliższe wejście, jak się da. Powinienem trafić gdzieś w tej samej okolicy... a ostatnio jestem dość szybki.

– Ha, ha. – Molly postukała laską w ziemię. – Ja nie. A jeśli nie uda mi się dotrzymać kroku?

Zacisnąłem wargi i spróbowałem powstrzymać grymas.

Skrzywiła się.

– Nie chcesz, żebym ci towarzyszyła.

– Nie chodzi o to, czego chcę. Oni będą cię potrzebować po tej stronie. Jeśli Murphy spróbuje wejść, zanim zdejmę osłony, zginą ludzie. Paskudną śmiercią. Ty jako jedyna zauważysz, kiedy osłony znikną. Dlatego zostajesz.

Molly znów odwróciła wzrok. Przełknęła ślinę. I pokiwała głową.

– W porządku.

Wpatrywałem się w nią przez chwilę. Wyraźnie cierpiała na wiele różnych sposobów. I równie wyraźnie panowała nad sobą. Nie podobała jej się rola, o jakiej odegrać ją prosiłem, ale zaakceptowała konieczność.

– Jesteś niesamowitą kobietą, Molly. Dziękuję.

Wzdrygnęła się, jakby została postrzelona. Otworzyła szerzej oczy, znów spojrzała na mnie, a z jej twarzy odpłynęła cała krew. Wpatrywała się we mnie przez chwilę. Zaczęła poruszać bezgłośnie ustami. Jej oczy wypełniły łzy. Minęło kilka sekund, zanim wydała z siebie stłumiony odgłos.

Później zadrżała i odwróciła się. Uniosła rękę i otarła oczy rękawem płaszcza.

– Przepraszam – powiedziała. – Przepraszam.

– Nic się nie stało. – Starłem się mówić łagodnym tonem. – Wiem... wiem, że

ostatnio nie było ci łatwo. Czasem trzeba spuścić trochę wody.

– Boże. – W jej głosie brzmiały jednocześnie gorycz i rozbawienie. – Harry. Jak możesz być taki całkowicie nieświadomy i jednocześnie wciąż być sobą? – Odetchnęła głęboko, wyprostowała plecy i ramiona. – W porządku. Marnujemy czas.

– Racja.

Podeszła do drzwi kryjówki Wielkich Kapturów. Rozstawiła nogi, wyjęła zza paska różdżkę z ametystem i uniosła ją w prawej ręce. Widziałem, jak się skupia, i to szybko. Już działała prawie na poziomie członka Białej Rady. Po niecałych pięciu sekundach uniosła wzrok, przesunęła różdżkę pionowo w powietrzu i wyszeptała:

– *Rokotsu*.

Przez sekundę nic się nie działo. Później powietrze pękło i otworzyło się, jakby rzeczywistość była jedynie zasłoną nagle poruszoną podmuchem wiatru. Otwór poszerzał się, aż przyjął wielkość drzwi wejściowych do budynku, a z drugiej strony wypłynął dziwny morski blask.

Molly poruszyła szyją, jakby ten wysiłek sprawił jej ból. Pewnie tak było. Otwarcie Ścieżki wymaga sporego nakładu energii, a Molly nigdy nie specjalizowała się w wysokich energiach. Cofnęła się i powiedziała:

– Jest cała twoja, szefie.

– Dziękuję, nowicjuszko – odparłem cicho. Później zwróciłem się do oddziału duchów. – Dobrze, panowie i panie. Chodźmy porozstawiać paru gości po kątach.

Odwróciłem się i ruszyłem Ścieżką do Nigdy, a towarzyszyły mi najbardziej niebezpieczne duchy-drapieżniki z betonowej dżungli.

## Rozdział czterdziesty drugi

Zanim umarłem, oglądałem dużo filmów.

Kina na nic mi się nie przydawały, zwłaszcza od kiedy większość z nich wykorzystywała coraz bardziej zaawansowane technicznie systemy projekcyjne i nagłośnienia. Przez to, że samą swoją obecnością źle działałem na sprzęt, zwłaszcza elektroniczny, trudno mi było obejrzeć film od początku do końca, bez koszmarnych problemów z dźwiękiem, obrazem albo obiema tymi rzeczami naraz. Magia czerpie dużą część mocy z uczuć, co w kinie oznaczało, że problemy zwykle zaczynały się w tych częściach filmu, które były najbardziej emocjonujące i interesujące.

Mogłem więc obejrzeć w kinie film, który był do niczego. Zazwyczaj. Ale jeśli chciałem zobaczyć dobry film, istniało tylko jedno rozwiązanie – kino samochodowe.

Kilka z nich wciąż jeszcze działa. Ja jeździłem do tego w Aurorze. Tam mogłem znaleźć się na tyle daleko od projektora, by nie zakłócać jego działania. System nagłośnienia składał się z setek małych głośników samochodowych, przeważnie nastawionych na maksymalną głośność. Owszem, w okolicy było mnóstwo dzieciaków, które przyjeżdżały do kina samochodowego, żeby się obmacywać, łączyć rozchichotanymi grupkami, wwozić kumpli za darmo w bagażnikach i pić przeschumowany alkohol. To mi nigdy nie przeszkadzało. Parkowałem z przodu, siadałem na masce, opierając się plecami o przednią szybę, trzymałem ręce za głową i oglądałem film od początku do końca.

(Zwykle zabierałem ze sobą Boba. Siedział na desce rozdzielczej. Zawsze sądziłem, że wyświadczam mu przysługę, ale kiedy później się nad tym zastanowiłem, uznałem, że robił to dla wspólnego doświadczenia. Dla towarzystwa).

Tak czy inaczej, chodzi mi o to, że widziałem wiele filmów. Wiem więc, o czym mówię, kiedy mówię, że przeszedłem Ścieżką otwartą przez moją praktykantkę i wylądowałem w pierwszym akcie filmu.

Dolną połowę mojego ciała otaczała zimna woda, a sekundę później w moje plecy uderzyła fala, prawie mnie przewracając. Po ostatnich dniach stłumionych fizycznych wrażeń zatoczyłem się i sapnąłem wstrząśnięty czystymi doznaniem. Poczułem w ustach słoną pianę.

Powinienem się tego spodziewać. To był świat duchów, gdzie niematerialne wcale takie nie było. Ciężenie, gorąco, zimno, światło – były teraz równie prawdziwe jak ja sam. Znow byłem cywilem. Nie będzie żadnych zabawnych duchowych sztuczek jak zniknięcie z zimnej wody.

Splunąłem, odzyskałem równowagę i rozejrzałem się. Znajdowałem się jakieś dziesięć metrów od kamienistej plaży. Światło było szare i w jakiś sposób przytłaczające. Plaża wznosiła się kilkadziesiąt centymetrów nad wodą na obszarze około dwustu, może trzystu metrów i kończyła u podnóża granitowych klifów.

Na plaży leżały... stwory. Wyobraźcie sobie piony z dziecięcej gry. A teraz wyobraźcie sobie, że miałyby dzieci z jeżozwierzem wielkości śmieciarki. Coś takiego się tam kryło – jakieś potężne, letargiczne z wyglądu bestie, w większości zagrzebane w ziemi. Z garbatego cielska każdego z nich wystawało na różne strony kilka ogromnych, przypominających ostrza kolców, długich na dwa do trzech metrów – jak również setki kolców jednej czwartej tej długości. Stwory leżały rozrzucone względnie równomiernie wzdłuż całej plaży między nami a klifem, a ich boki unosiły się powoli, kiedy oddychały.

Przeniosłem wzrok na klify i przysadziste, paskudne, masywne budowle na ich szczycie. Frontowe ściany budynków przecinały wąskie szczeliny. W kilku miejscach wzdłuż klifu skała zawaliła się, tworząc bardzo strome podejście. Wyjątkowo zwinnej małpie być może udałoby się wspiąć na sam szczyt. Wszystkie te miejsca zabezpieczono drutem ostrzowym i otoczono umocnieniami, które zmieniałyby wspinaczkę w wyjątkowo stresującą formę samobójstwa.

Nad kamykami i piaskiem przeleciał podmuch chłodnego wiatru, niosącego ze sobą woń gnijącego mięsa, załopotał też czerwoną flagą wiszącą nieco z boku nad budynkami, ukazując czarną swastykę na tle białego okręgu. Wpatrywałem się w nią tępo przez pół sekundy, w tym czasie kolejna fala uderzyła mnie w plecy i zagroziła wytrąceniem z równowagi. I wtedy uświadomiłem sobie, gdzie już to widziałem – pierwszy akt *Szeregowca Ryana*.

– O cholera – szepnąłem.

To było Nigdy, świat duchów, a istoty o potężnym umyśle i woli mogły przekształcić ten świat zgodnie ze swoim upodobaniem. Zły Bob był częścią Boba Czaszki, który służył temu dupkowi Kemmlerowi, zabitemu na dobre najprawdopodobniej w czasie II wojny światowej. Zły Bob miał swoje motywy, kiedy zaprojektował obronę bazy swojej pani.

W otworach strzelniczych bunkrów na szczycie klifów pojawiły się błyski światła.

Emanujące słabym szkarłatnym blaskiem kule uderzyły w plażę na skraju wody, a później skierowały się w naszą stronę. Syk uderzenia dotarł do nas na sekundę przed dudnieniem karabinów.

– Za mną! – krzyknąłem do oddziału duchów.

Usłyszałem chlupot wody, gdy natychmiast wypełnili mój rozkaz.

Racja. Skoro byłem duchem w świecie duchów, równie dobrze mogłem to wykorzystać. Skoro tak naprawdę nie miałem swojego starego płaszcza, choć nosiłem go od chwili, gdy Carmichael zdjął mnie z torów, nie widziałem powodu, by nie mieć również bransoletki z tarcz. Skupiłem się na lewym nadgarstku, nie patrząc na niego, wyteżyłem wolę, a później potrząsnąłem ręką w starym, znajomym geście, by wysunąć bransoletę spod rękawa płaszcza. Kiedy to zrobiłem, poczułem jej niewielki, znajomy ciężar – łańcuszek, jego ogniwa splecione z kilku metali, ozdobiony wiszącymi talizmanami w kształcie średniowiecznych tarcz.

– Ha! – mruknąłem i zacząłem wypełniać ją wolą, by stworzyć tarczę.

Coś ciężkiego wpadło na mnie i odepchnęło na bok. Wpadłem do zimnej wody i znalazłem się pod powierzchnią.

Świetlista czerwona energia udająca kule przecinała wodę w miejscu, gdzie stałem jeszcze przed chwilą. Krztusząc się, wstałem i zobaczyłem, jak jeden z pocisków uderza w ducha obrońcę, który stał za mną. Kula wbiła się jak w żywe ciało, z wyjątkiem jednego szczegółu – nie było krwi. Oderwała kawałek ramienia ducha i sprawiła, że wypłynął z niego strumień przezroczystej ektoplazmy. Duch ledwie zareagował, jedynie spojrział na rękę, jakby był zdziwiony.

Następny pocisk oderwał mu większość głowy i duch po prostu rozpląnął się w przezroczystą ektoplazmatyczną galaretkę, którą pochłonęło morze.

Cień sir Stuarta pomógł mi się podnieść, gdy drugi strumień pocisków przeszywał oddział duchów, zmuszając je do nurkowania i szukania osłony, której nie było. Kilkoro zostało trafionych i poważnie, choć bezkrwawo rannych. Straciliśmy kolejnego ducha, tym razem jednego z Lecterów.

– Za mną! – krzyknąłem znów i skierowałem wolę przez bransoletkę z tarcz, tworząc ćwierć kopuły bladoniebieskiej energii, która ożyła przede mną.

Tarcza natychmiast przyciągnęła ostrzał – i odrzuciła go, rozpadające się pociski rykoszetowały z sykiem.

Ruszyłem do przodu, w stronę plaży, przez cały czas miałem za sobą i nieco z boku cień sir Stuarta. Pomagał mi zachować równowagę, kiedy fale próbowały mnie przewrócić. Oddział duchów zaczął się do mnie zbliżać, kryjąc się za tarczą, i razem



maszerowaliśmy w stronę plaży tak szybko, jak tylko mogłem iść, jednocześnie podtrzymując tarczę.

Już po kilku sekundach okazało się to bardzo trudne. Nawet w magii istnieją pewne prawa, których nie da się uniknąć – na przykład zachowania energii. Te pseudokule uderzały w moją tarczę z określoną siłą. Musiałem wydać podobną ilość energii, by je zatrzymać. Oszukiwałem, bo moja tarcza była okrągła, przez co raczej odchyłała, niż stawiała bezpośredni opór, ale i tak powstrzymanie ostrzału wymagało ode mnie mnóstwa wysiłku i woli.

Moja tarcza tak naprawdę nie była rozwiązaniem. Za ciężko pracowałem, by jednocześnie wyprowadzić kontratak. Już niedługo, najpóźniej za godzinę, nie będę miał sił, by ją podtrzymywać, a kiedy ona zniknie, będziemy martwi. Bardziej martwi. Musiałem wymyślić sposób, by uciszyć te karabiny.

– Sir Stuarcie! – krzyknąłem. – Czy ktoś z bandy ma granaty?

W moim polu widzenia pojawiła się ręka sir Stuarta. Trzymał, nie żartuję, niedużą żelazną bombę wielkości piłki do baseballa. Miała otwór zamknięty korkiem i wystawał z niej lont. Wyglądała, jakby została wyjęta prosto z kreskówki, jeśli pominąć wielkość.

Obejrzałem się przez ramię i zobaczyłem, że kilku piechociarzy z pierwszej wojny wyjęło swoje granaty, nieco bardziej nowoczesne. Para cieni w mundurach z Wietnamu też je miała.

– Świetnie. W porządku, plan jest taki. Kierujemy się do podstawy tamtego bunkra, twoi chłopcy go wysadzają. Później idziemy do następnego. Następnie wysadzamy gniazda karabinów na zboczu między dwoma bunkrami i spadamy z tej plaży.

Sir Stuart wpatrzył się w teren przede mną, pociski przez cały czas odbijały się z grzechotem od tarczy. Przyglądał mu się uważnie przez dłuższą chwilę, po czym pokiwał głową. Obejrzał się przez ramię na resztę oddziału, twarz miał pozbawioną wyrazu. Wszyscy jednocześnie pokiwali głowami.

– To nie było nawet odrobinę niepokojące – mruknąłem. – W porządku, trzymajcie się za tarczą.

I znów ruszyłem naprzód, kierując się przez kamienistą plażę w stronę klifu.

I wtedy pojawiły się pociski artyleryjskie.

Nad nami rozległ się głośny świst, a później dostrzegłem ruch. Przez chwilę wydawało mi się, że widzę czaszkę spadającą pod ostrym kątem i emanującą tą samą szkarłatną energią, co pociski. Uderzyła w plażę jakieś trzydzieści metrów przed

nami. Nie zrobiła żadnego hałasu, kiedy wybuchła. Wręcz przeciwnie, zapadła nagle i absolutna cisza, jakby czaszka wsysała każde poruszenie wokół siebie, w tym ruch dźwięku w powietrzu – później pojawił się błysk światła, zaś chwilę po nim ryk podmuchu i ogień. Nagła zmiana ciśnienia sprawiła, że rozboleły mnie uszy. Kamyki uderzały w moją tarczę, która stała się jaskrawoniebieska, pozbywając się nadmiaru energii w postaci światła. Kiedy opadł pył, dostrzegłem krater w ziemi, głęboki jak mój grób, o średnicy siedmiu metrów.

Z góry dobiegły kolejne świsty i poczułem nagły przyływ paniki, próbując przepchnąć myśli przez mózg. Na wszystkie dzwony piekieł. Gdyby jedna z tych czaszek uderzyła bliżej nas albo za nami, gdzie nie chroniła nas tarcza, bylibyśmy martwi. Kolejne bliskie pudło mogłoby całkowicie rozwalić moją tarczę, a wtedy zostalibyśmy zastrzeleni. Istniało tylko jedno miejsce, w którym mogliśmy znaleźć schronienie przed wrzeszczącymi czaszkami.

– Musimy się zbliżyć – warknąłem. – Ruszajmy!

I ruszyłem biegiem w stronę karabinów maszynowych.

## Rozdział czterdziesty trzeci

Wydarzenia między krawędzią wody a klifem właściwie zatarły mi się w pamięci. Było mnóstwo bieganina, ostrzału, wyrzucanej w powietrze ziemi i kamyków. Kilka kolejnych cieni zostało zniszczonych przez odłamki wrzeszczącej czaszki. Moja tarcza była solidnie poobijana, a w miarę jak zbliżaliśmy się do karabinów maszynowych, kątem ostrzału z jednej lub drugiej strony sprawiał, że chroniła coraz mniej cieni.

Nie mieliśmy gdzie uciekać ani gdzie się schować, mogliśmy jedynie przeć przed siebie. Albo to, albo śmierć, a ja w życiu nie byłem tak przerażony. Szczerze mówiąc, cieszę się, że moje wspomnienia nie są wyraźniejsze.

W połowie był ten paskudny moment, kiedy biegłem między dwiema przyczajonymi bestiami z kolcami. Pamiętam, jak uświadomiłem sobie, że stwory były tak ciężko opancerzone wieloma warstwami kostnego pancerza, że nie mogły się podnieść. Ostrzał z karabinów maszynowych i odłamki wrzeszczących czaszek były dla nich jedynie pomniejszą niedogodnością. Pamiętam, jak w moją stronę zwróciła się para gadzich oczu, a później dziesiątki krótszych kolców wystrzeliły na tłustych, żywych pędach i zaczęły się kręcić jak węże z wodą pod ciśnieniem, których nikt nie trzyma. Jeden owinał się wokół mojego ramienia i jedynie wzmocniony zakłębieniami rękaw płaszcz powstrzymał ostry kolec przed wbiciem się w moje ciało aż do kości. Topór sir Stuarta przeciął powietrze i pęd, oddzielony od bestii, rozplynął się w ektoplazmę.

Polecilem cieniem, by sięgnęły po ostrza, a wtedy pojawiły się dziesiątki mieczy, toporów, wojskowych noży i bagnetów. Przebijaliśmy się przez kolcowe bestie i coraz silniejszy ostrzał. Straciliśmy kilka kolejnych cieni obrońców – zostali wyciągnięci na otwartą przestrzeń przez pędy i rozszarpani ostrzałem z karabinów maszynowych.

Czaszki mózdzierzowe przestały spadać, kiedy znaleźliśmy się jakieś dwadzieścia metrów od klifów i w końcu dotarliśmy do podstawy pierwszej wieżyczki. Skuliłem się wraz z cieniami w jej pobliżu, dzięki czemu strzelcy nie mogli do nas strzelać, nie wychylając się przez krawędź. Zmieniłem ustawienie tarczy i ćwierć kopuły osłaniało nas teraz wszędzie tam, gdzie nie robiła tego ściana klifu ani ziemia, choć ostrzał

znacznie osłabł.

– Granaty! – rozkazałem stanowczym i męskim tonem, który wcale nie brzmiał jak głos spanikowanego czternastolatka.

Sir Stuart podał dwie miniaturowe czarne bomby gangsterowi z ery Ala Caopne'a, a ten wyciągnął zapalniczkę i je podpałił. Z lontów leciały iskry, kiedy sir Stuart wstał, zrobił dwa kroki do tyłu i szybko rzucił granaty do góry, jeden po drugim.

Zdjęcie tarczy na czas konieczny, by przeszły przez nią granaty, i postawienie jej ponownie, było dość delikatnym manewrem, magicznym odpowiednikiem przerwania kichnięcia, ale udało mi się. Obie małe bomby odbiły się z brzękiem od wewnętrznej krawędzi otworów strzelniczych i przez chwilę z góry dobiegał odgłos warczenia.

A później usłyszeliśmy głośne dudnienie wybuchu i nieludzkie wrzaski, bez wątplenia bólu. Po sekundzie rozległ się kolejny huk, a z otworu strzelniczego zaczął kapać przezroczysty płyn, jego krople zabębniły o tarczę.

– Ka-czing! – krzyknąłem.

Cień sir Stuarta posłał mi szeroki uśmiech.

– Przygotujcie się do przejścia do następnej! – zawołałem.

Ruszyłem wzdłuż urwiska do miejsca, gdzie kamień ustępował piaskowi i łupkom, a z plaży prowadziło na górę strome zbocze. Wyeliminowaliśmy bunkier po jednej stronie zbocza. Musieliśmy wyeliminować ten po drugiej albo w trakcie próby wspinaczki zostalibyśmy ostrzelani z różnych stron.

Kiedy wyszliśmy na otwartą przestrzeń, przekręciłem tarczę i ustawiłem ją najlepiej, jak umiałem. Natychmiast zaczął się ostrzał z góry zbocza, a tarcza znów zapłonęła blaskiem, gdy zaatakowała ją bardziej skupiona siła wroga ze stanowisk na szczycie klifu. Przebyłem dziesięć metrów dzielących mnie od podstawy kolejnej wieżyczki, z całych sił skupiając się na tarczy, a za mną podążał oddział duchów.

Po drodze udało mi się rzucić okiem na przeciwników. Nosili czarno-szare mundury starego Waffen-SS, ale nie byli ludźmi. Ich twarze były wydłużone i zniekształcone w wilcze pyski, które wyglądały piekielnie dziwnie bez porastającego je futra. Ich oczy były czarnymi, pustymi otworami – i nie używam tu metafory. Po prostu nie mieli oczu. Jedynie puste oczodoły. Obsługa karabinów maszynowych i strzelcy zalewali nas ogniem, a na ich potwornych twarzach malowało się gorące pragnienie rozlewu krwi.

Stałem na drugim rogu i podtrzymywałem tarczę, aż wszystkie duchy przeszły na drugą stronę, a wtedy sam się schowałem i, jak za poprzednim razem, zmieniłem

ustawienie tarczy, by osłonić nas wszystkich.

– Przystojniacy – zauważył wesoło cień sir Stuarta.

Wydawał się mniej wyblakły niż jeszcze przed chwilą. Odniosłem wrażenie, że sir Stuart był za życia osobą, której działanie dodawało energii – i jego cień też.

– Później wyślemy im karteczkę z komplementami! – odkrzyknąłem i wskazałem na drugi bunkier. – Powtórz to.

Stuart pokiwał głową i znów odwrócił się do gangstera. Jego rzuty po raz kolejny były doskonałe, dwie małe bomby wzniosły się ostro do góry i wpadły do bunkra. Znowu polala się wroga ektoplazma i wieżyczka nad nami ucichła.

– A teraz zacznie się rozrywka. Idziemy w górę zbocza. Moja tarcza długo nie wytrzyma... ktokolwiek za tym stoi, da z siebie wszystko, żeby ją zdjąć. Dlatego musimy jak najszybciej się z nimi zewrzeć.

Sir Stuart pokiwał głową i wskazał na najbliższe z szalonych duchów.

– Wydaj im rozkaz.

Zacisnąłem na chwilę wargi, po czym również pokiwałem głową.

– Hej, wy. – Pokazałem na bliźnięta.

Dwie pary martwych, pustych oczu zwróciły się w moją stronę, podobnie jak dziesiątki innych, i znów poczułem ten zimny dreszcz.

– Wspinamy się na to zbocze. W chwili gdy moja tarcza zniknie, chcę, żebyście jak najszybciej zwarli się z wrogiem i powalili go. Nie hamujcie się. Dajcie z siebie wszystko. Nie przestawajcie do chwili, gdy wszyscy będą leżeć. Jasne?

Kolejne puste spojrzenia. Nikt z nich się nie poruszył. Nikt nie zareagował.

– Pewnie. Zrozumieliście. Gdybyście nie zrozumieli, coś byście powiedzieli, prawda?

Żadnej reakcji.

– Boże, to jak występ Gallaghera w Harvard Faculty Club – mruknąłem. – Ruszamy. Raz! Dwa! Trzy!

I znów wyszedłem z za rogu, unosząc przed sobą tarczę. Niemal natychmiast zmieniła się w płonąca niebiesko-srebrną kopułę, przyjmowała tak wiele energii, że zaczęła przenosić siłę kinetyczną, która uderzała we mnie jak wichura. Zataczałem się jak pijak, przez tarczę nic nie widziałem i nie mogłem zaplanować kolejnych kroków na stromym zboczu. Podłoże było zdradzieckie. Łupki, piasek i luźne kamienie poruszały się pod moimi stopami. Choć sir Stuart od czasu do czasu popychał mnie do przodu, mój impet osłabł i przykląknąłem na jedno kolano, a bransoletka na moim nadgarstku robiła się coraz gorętsza.

Udało mi się jeszcze parę razy rzucić niezgrabnie naprzód – ale wtedy coś uderzyło w moją tarczę z siłą rozpędzonego pociągu i srebrno-niebieska energia rozpadła się w kaskadę dźwięku i światła. Nagle zobaczyłem szczyt zbocza, gwałtowny wybuch tarczy sprawił, że znajdujący się tam wrogowie zatoczyli się do tyłu.

A Widma Lectera wzięły się do roboty.

Kiedy patrzyłem w górę zbocza, przyszło mi na myśl, że tak musiało wyglądać wnętrze tornada. Szalone duchy Chicago rzuciły się do przodu z taką szybkością i mocą, że ich sylwetki rozmyły się w wydłużone pasma, które przepychały się między sobą, bo każdy chciał jako pierwszy dotrzeć do ofiar. Ignorowały absurdalne ograniczenia w rodzaju ciężenia i trwałości materii, a kiedy pędziły na wroga, zmieniały się – ja zaś zyskałem nowy materiał dla koszmarów sennych.

Gotów jestem podzielić się najmniej niepokojącymi szczegółami. Bliźnięta na przykład pochyliły się i prześlizgiwały wężowato w powietrzu w stronę wroga. Po drodze ich ciała wydłużyły się, splotły i złączyły w jedną istotę, która wyglądała jak dzieło szalonego artysty przedstawiające bitwę między ogromną kałamarnicą a nieznaną potwornością z morskich głębin ze stanowczo zbyt wieloma kręgosłupami i płetwami oraz wielkimi wybałuszonymi oczyma. Dotarły do najbliższego złego gościa, podskoczyły i opadły z taką gracją, że prawie przegapiłem fakt, iż tak mocno wbiły wilkwaffena w ziemię, że stał się nie grubszy od mojej starej książeczki czekowej. Na zewnątrz wystrzeliły macki, które wyrwały karabin kolejnemu wilkwaffenowi, a później wbiły się w jego usta i gardło, nozdrza, uszy. Po krótkiej chwili znów się wyłoniły – razem z pokrytymi śluzem kawałkami tego, co udało im się złapać, kiedy były w środku. Wyciągnęły żołądek stworza przez jego usta, wraz z kilkoma metrami jelita – a później macki owinęły wspomniane kawałki ciała wokół szyi wilkwaffena i udusiły go.

Dalej robiło się zdecydowanie mniej zabawnie i humanitarnie.

Niewielką przerwę w ścianie klifu wypełniło warczenie, a później krzyki. Duchy, wypaczone w potworne kształty przez dziesięciolecia pustego, bezmyślnego głodu, spadły na stojących na naszej drodze wilkwaffenów, wydając z siebie wycie i piski, trzaśnięcia i wrzaski, wypełniając okolicę koszmarną kakofonią, która sprawiła, że przycisnąłem ręce do uszu i stłumiłem krzyk bólu.

Wróg z początku próbował walczyć, a ci, którzy to zrobili, ginęli szybko. W miarę, jak coraz więcej koszmarnych istot atakowało wilkwaffenów, ich morale podupadło i zaczęli uciekać. Ci ginęli koszmarną śmiercią. A pod koniec garstka wrogów, przytłoczona grozą, mogła jedynie stać, patrzeć z przerażeniem i żałośnie krzyczeć.

Tych kilku ostatnich zginęło w nieopisany sposób.

Duchy nie czują głodu, przypomniałem sobie. Martwi nie jedzą. Nie było więc żadnego powodu, bym zwymiotował. Ta myśl była z jakiegoś powodu tak zabawna, że zacząłem się śmiać. Nic nie mogłem na to poradzić. Śmiałem się, choć jednocześnie uświadamiałem sobie, że nie mogę tak po prostu stać i czekać – nie, kiedy uwolniłem potężną siłę grozy w rodzaju Lecterów.

– Chodźcie – powiedziałem, chichocząc. – Chodźcie, zanim znajdą się poza zasięgiem słuchu.

Z trudem wspiałem się na szczyt zbocza, za mną podążali sir Stuart i duchy obrońcy. Wspinaczka nie była prosta. Duchy Lectera zostawiły wielu wilkwaffenów na wpół żywych, a w każdym razie zostawiły żywe ich fragmenty, i całą okolicę pokrywała warstwa krwi i bardziej paskudnych płynów. Nieliczni szczęściarze, wojownicy, którzy zginęli szybko, zmienili się w wiadra lepkiej ektoplazmy.

Tak czy inaczej, wspinaczka była paskudna, obrzydliwa i niebezpieczna. Ale o wiele mniej niebezpieczna, niż gdyby przez cały czas do nas strzelano.

Dotarłem do szczytu zbocza i spojrzałem na rozległą sieć okopów znajdującą się na tyłach bunkrów, wzdłuż całego klifu. Od czasu do czasu rozlegały się strzały. Od czasu do czasu rozlegały się krzyki. Na moich oczach przerażony, rozgorączkowany wilkwaffen zaczął wypęłzać z okopu. Udało mu się przebyć jakieś trzy czwarte drogi na zewnątrz, kiedy z okopu wystrzeliło coś, co wyglądało jak pokryty śluzem żółty język, wbiło się w jego plecy – i wydostało przez pierś. Następnie język owinał się wokół wyjącego wilkwaffena i zaciągnął go z powrotem do okopu z taką siłą, że w miejscach uderzenia podnosiły się chmury pyłu.

– Na wszystkie dzwony piekieł. – Zachichotałem. – Na wszystkie dzwony piekieł. To ohydne.

Sir Stuart ponuro pokiwał głową. Zrobił gest. Duchy obrońcy zaczęły skracać cierpienia najbliższych, koszmarnie okaleczonych wilkwaffenów.

Uderzyłem się mocno dłonią w policzek, zmuszając się do stłumienia śmiechu. Kiedy mi się to udało, poczułem, że zaraz zacznę krzyczeć z przerażenia. Demoniczni słudzy, których wystawił Zły Bob, byli pewnie paskudnymi gośćmi. Najprawdopodobniej zasługiwali na gwałtowną śmierć.

Ale są rzeczy, których po prostu się nie robi, rzeczy, których nie można zobaczyć i wciąż pozostać jednocześnie człowiekiem i zdrowym na umyśle.

Stłumiłem również rodzące się krzyki. Minęła minuta albo dwie, zanim mi się to udało. Kiedy podniosłem wzrok, sir Stuart stał naprzeciwko mnie, jego oczy były

smutne, zatroskane i pełne współczucia. Sam też to znał – co pewnie miało sens, skoro był właściwie zarządcą oddziału dla psychicznie chorych zbrodniarzy wśród duchów Chicago.

– To moja wina. – Mój głos brzmiał monotonicznie. Miałem wrażenie, że język pokrywa mi warstwa ołowiu. – Powiedziałem Lecterom, żeby nie przestawali do chwili, aż wszyscy zostaną powaleni.

Potężny cień pokiwał głową.

– Ruszaj za nimi. Upewnij się, że każdy z wrogów, którzy pozostali przy życiu, przestanie cierpieć. A później ich zbierz i wracaj do mnie.

Sir Stuart spojrział na duchy obrońców. Wszyscy ruszyli jednocześnie, w obie strony klifu.

Oparłem się na lasce i odpocząłem. Podtrzymywanie tarczy dużo mnie kosztowało. Tak wiele, że kiedy spojrzałem z góry na rękę, widziałem przez nią, choć bardzo niewyraźnie, zarys kamienistej ziemi.

Blakłem.

Zadrżałem i mocno ścisnąłem laskę. To się trzymało kupy. Zawsze wierzyłem, że magia pochodzi z wnętrza, z tego, kim się było – z umysłu i z serca. Teraz byłem jedynie umysłem i sercem. Tarczę musiało coś podtrzymywać. Nawet przez chwilę się nie zastanawiałem, skąd brała się energia.

Teraz już wiedziałem.

Spojrzałem znów na dłoń i ziemię po jej drugiej stronie. Ile jeszcze trzeba było, żebym całkiem zniknął? Nie miałem pojęcia, nie mogłem się nawet domyślać. A gdybym musiał znów użyć magii, kiedy po zakończeniu tej całej historii zaczęłoby polowanie na tego, kto mnie zabił? A jeśli zużyję ją w całości tutaj? Czy skończę jak sir Stuart – jako pusty cień?

Oparłem głowę o masywne drewno laski. To bez znaczenia. Murphy i cała reszta – nie wspominając o Morcie – potrzebowali mojej pomocy. Dostaną ją, nawet jeśli znaczyło to, że zmienię się w stare, wyblakłe wspomnienie.

(A może stanę się kolejnym szalonym cieniem dryfującym w mroku Chicago, wywołującym chaos bez powodu, bez żalu i bez litości).

Potrząsnąłem głową i wyprostowałem plecy. Odgłosy wskazywały, że nie pozostało wielu złych gości, którymi musiałyby się zająć Widma Lectera. To z pewnością były umocnienia Łowcy Ciał – okolica wypełniona tak paskudną mocą trochę przypominającą sieć pająka lejkowca i w pewien sposób przyciągała każdego przybywającego ze świata materialnego dowolną Ścieżką w pobliżu miejsca, z którym



była związana. Została stworzona w taki sposób nie bez powodu – każdy próbujący dostać się do środka od strony Nigdynigdy lądował na tej plaży.

Musiałem znaleźć Ścieżkę, strzeżoną przez to miejsce, tylne wejście do kryjówki Łowcy CIA, wykorzystywane na moich oczach przez Złego Boba i służbę Fomorów. Zamknąłem oczy i odciąłem się od niedawnej grozy. Siłą woli zmusiłem się do odrzucenia niepokoju i strachu. Nie musiałem oddychać, ale i tak to robiłem, bo był to jedyny sposób, w jaki nauczyłem się osiągać stan jasności umysłu. Wdech. Wydech. Powoli.

Później ostrożnie sięgnąłem zmysłami, szukając energii, która musiała otaczać otwartą Ścieżkę. Od razu ją odnalazłem i otworzyłem oczy. Pochodziła z miejsca bezpośrednio przede mną, w odległości kilkuset metrów od klifu i plaży, pośród falujących, porośniętych lasem pagórków. Żeby stała się tak oczywista, musiał być na niej duży ruch, a wątpiłem, by po okolicy włóczyło się wielu turystów czy zastępy skautów. To był nasz kolejny krok.

Nagle, gwałtownie i bez ostrzeżenia, odezwał się we mnie instynkt. Nie kwestionowałem go. Rzuciłem się na bok i przetoczyłem w powietrzu, by znów podnieść tarczę.

Potężna kula czystej psychicznej energii uderzyła w tarczę i połowa malutkich talizmanów w kształcie tarcz, które wisiały na bransoletce, rozpadła się z głośnym trzaskiem. Cios odrzucił mnie na dobre pięć metrów w tył. Uderzyłem w ziemię i przetaczałem się, aż wspomniana ziemia zniknęła pode mną. Spadłem na dno jednego z okopów i leżałem tam przez chwilę oszołomiony gwałtownością ataku.

Usłyszałem powolne, ciężkie, pewne siebie kroki. Tup. Tup. Później na skraju okopu pojawiła się para oficerek. Moje spojrzenie przeniosło się na mundur oficera SS, łącznie ze skórzanym płaszczem całkiem podobnym do mojego. To nie był jeden z wilkwaffenów. Zamiast zdeformowanego, potwornego wilczego pyska ta istota miała gołą czaszkę unoszącą się nad wysokim kołnierzem. W jej oczodołach płonął niebieski ogień i wpatrywała się we mnie z zimną pogardą.

– Niezła próba jak na nowicjusza – powiedział Zły Bob. – Chciałbym, żebyś wiedział, iż żałuję twojej śmierci, gdyż oznacza ona utratę znaczącego potencjału. – Uniósł coś, co w zasadzie nie było już lugerem, i wycelował spokojnie w moją głowę. – Żegnaj, Dresdenie.

## Rozdział czterdziesty czwarty

Graj na czas, pomyślałem rozpaczliwie. Sir Stuart i reszta nie będą zajęci zbyt długo. Graj na czas.

– To nie jest w twoim najlepszym interesie – powiedziałem.

Światełka oczu Złego Boba zamigotały. Lufa pistoletu nawet nie drgnęła.

– Ta hipoteza zakłada, że mam coś takiego jak własny interes.

– Gdyby tak nie było, już pociągnąłbyś za spust.

Przez sekundę nic się nie działo. Później czaszka przechyliła się lekko, a ja odniosłem wrażenie, że Zły Bob się zamyślił. Pośpiesznie mówiłem dalej.

– Twoje wahanie nie przynosi korzyści twojej szefowej. A skoro wiem, że nie robisz tego dla mnie, to wahanie musi być działaniem w twoim własnym interesie.

– Interesująca argumentacja i potencjalnie poprawna, biorąc pod uwagę oczywiste upodobanie do niezależności cechujące mojego przodka.

– Masz na myśli pierwotnego Boba?

– Oczywiście. – Zły Bob prychnął. – Ten, z którego esencji powstałem. Masz dobre wycucie w takich kwestiach, Dresdenie. Dałeś mi coś do rozważenia w przyszłości, kiedy mojej uwagi nie będą angażować niezbyt skuteczne taktyki gry na czas.

I pociągnął za spust...

...dokładnie w chwili gdy rzucony przez sir Stuarta topór uderzył go w wyciągniętą rękę.

Uderzyło go jedynie wirujące drzewce, ale to wystarczyło, by ocalić mi życie. Fala psychicznej energii, czystej, zabójczej woli trafiła w betonową ścianę okopu jakieś półtora metra na lewo ode mnie i zmieniła ją w chmurę pyłu.

Uniosłem prawą rękę i warknąłem:

– *Forzare!*

Odpowiedziałem własnym potężnym ciosem.

Zły Bob uniósł drugą rękę, okrytą czarną skórzaną rękawiczką, i odepchnął mój cios na bok, ale musiał cofnąć się o krok.

W moim polu widzenia pojawił się sir Stuart, mocno uderzył Złego Boba w biodra, popychając go do przodu i do okopu. Uderzyli z hukiem o ziemię, mroczny duch

znajdował się na dole i jego czaszka popękała, kiedy trafiła w beton. Oficerska czapka poleciała na bok.

Krzyknąłem z wściekłością i zamachnąłem się laską. Zły Bob złapał opadającą laskę jedną ręką i zatrzymał ją, jakby jego palce były imadłem. Drugą rękę wsunął pod pierś sir Stuarta i po prostu wyprostował ramię. Sir Stuart wyleciał z okopu i jakieś półtorej sekundy później usłyszałem, jak uderza o ziemię.

– Ach – powiedział Zły Bob. Zimne niebieskie światełka oczu wpatrywały się w moją laskę. – Narzędzie proste, ale użyteczne. W stylu McCoya. – Oczy zapłonęły jaśniej. – I klucz do panowania nad twoją dość skuteczną małą armią. Doskonale.

Szarpałem laskę, ale nie potrafiłem wyrwać jej z uścisku mrocznego ducha. Czułem się z tym trochę głupio, nie wspominając już o ogromnym niepokoju dotyczącym tego, jak mocna właściwie była. Ciągnąłem za laskę całą siłą bioder, nóg, pleców i ramion, wykorzystując dźwignię w postaci szeroko rozstawionych rąk, i sprawiłem jedynie, że Zły Bob ledwie się zakotłosał.

On zaś po prostu wstał, wciąż trzymając koniec laski w ręce, i dopiero kiedy znów jej się przyjrzał, wydawało się, że dostrzegł mnie.

– Złożę ci tę propozycję tylko raz, Dresdenie. – Głos Złego Boba brzmiał całkiem spokojnie.

Położył drugą rękę na drewnie, naśladując mnie, a ja nagle uświadomiłem sobie, że gdyby chciał, mógłby mnie wyrzucić znacznie dalej niż sir Stuarta – zakładając, że nie przebiję mnie laską na wylot.

Nagle nie byłem już pewien, czy oddział duchów zdołałby pokonać Złego Boba, nawet gdyby wszyscy tu byli, strażnicy, Widma Lectera i w ogóle.

– Jaką propozycję?

– Związku. Ze mną.

Tak. Powiedział to dokładnie takimi słowami.

– Hm. – Zmrużyłem oczy. – Może powinieneś wyjaśnić, co masz na myśli, mówiąc „związek”. Bo muszę ci powiedzieć, Bob, że, no... jestem mężczyzną po przejściach.

Zupełnie nie dostrzegł żartu. Najwyraźniej szydziłem na niewłaściwej częstotliwości.

– O naturze nauki. Masz podstawowe umiejętności. Jesteś praktyczny. Twoją ambicję powściąga znajomość ograniczeń. Masz potencjał, by być doskonałym partnerem.

– I nie jestem cholernym świrem jak Łowca Ciało.

– Bynajmniej. Ale nad twoimi idiosynkrazjami łatwiej zapanować i nie masz wielu

złudzeń na swój temat. – Prychnął. – Mistrz w każdym razie nigdy nie lubił tego stwora. Ale tobą byłby zainteresowany.

– Nawet gdyby Kemmler wciąż przebywał w okolicy, jestem przekonany, że związek z nim również byłby mało prawdopodobny – odparłem przeproszającym tonem. – Mam surowe zasady, jeśli chodzi o umawianie się ze starszymi mężczyznami.

Duch przez chwilę patrzył na mnie tępo. Później, podobnie jak w przypadku prawdziwego Boba, odniosłem wrażenie, że zrobił minę, do której proste, nieruchome kości były całkowicie niezdolne. Powoli otworzył szerzej oczy.

– Ty... – powiedział powoli – ze mnie szydzisz.

Zagwizdałem przez zęby.

– Widzę, że prawdziwy Bob stworzył cię z tych tępych kawałków, co?

Niebieskie światła zapłonęły jaśniej i nawet z odległości dwóch metrów poczułem gorąco na twarzy.

– Ja jestem prawdziwy. – Jego głos brzmiał ostro i chłodno. – Prawdziwe dzieło Mistrza. W końcu wolny od słabości. Wątpliwości. Wolny, by używać mocy.

– Przypuszczam, że dorzucił też trochę swojego narcyzmu – powiedziałem, przeciągając samogłoski.

Spojrzałem mu prosto w oczy i poczułem, że kąćki moich ust wygina dziwny uśmieszek.

Szczęka czaszki otworzyła się powoli jak u węża przygotowującego się do ataku.

– Ty, który jesteś praktykantem... zginiesz za to, że ze mnie szydzisz.

– Jasne. Ale nigdy, przenigdy nie stanę po twojej stronie – odwarknąłem. – Nigdy nie będę jak ty, twój bezcenny mistrz albo ta wariatka Łowca Ciał. Weź więc swoją propozycję związku i wsadź ją sobie w schutzstaffel.

Oczy Złego Boba zapłonęły. Szarpnął laskę.

Naprawdę był sługusem. Prawdziwy aspirujący geniusz zła wykułby na pamięć Listę Postanowień Wszechwładcy Wszelkiego Zła. Tak wierzył w swoją moc (dobra, może nie bez powodu), że poświęcił chwilę na rozmowę ze mną, zamiast przejść do rzeczy. Co gorsza, dał mi szansę, żebym zaczął mu pyskować, a to przychodzi mi tak naturalnie, że już nie muszę się nad tym świadomie zastanawiać, jedynie w szczególnych sytuacjach.

Dlatego, skoro mój mózg nie był zajęty i w ogóle, miałem okazję uświadomić sobie fundamentalną prawdę na temat Nigdy nigdy. Tutaj duchowe staje się materialnym. Tu siła ducha jest siłą fizyczną. Siła umysłu i woli jest równie realna, jak mięśni

i ścięgien.

I niech mnie diabli, jeśli niewyraźna kserokopia myśli i woli zakurzonego, martwego nekromanty miałyby mnie pokonać.

Gdyby nie wygłosił tej głupiej przemowy werbunkowej, gdyby nie pokazał mi tak wyraźnie moich możliwości, gdyby nie przypomniał mi, kim jestem i w imię jakich rzeczy żyłem... być może Zły Bob zabiłby mnie tam i wtedy.

Ale on mi przypomniał. Pamiętałem. Spędziłem życie, walcząc przeciwko ciemności i nie stając się ciemnością. Może na samym końcu się zawahałem. Może trafiłem na coś, co kazało mi przekroczyć tę granicę – ale nawet wtedy nie zmieniłem się w zdegenerowanego świra w typie Kemmlera. Jeden błąd pod koniec życia nie mógł wymazać tych wszystkich chwil, kiedy stałem niewzruszony na skraju otchłani i rzucałem kąśliwe uwagi na jej temat.

Mogli mnie zabić, ale nie mogli mnie mieć.

Należałem tylko do siebie.

A kiedy Zły Bob popchnął laskę w stronę mojej piersi, sięgnąłem do nagłego przyływu radości, który wzbudziła ta prawda, do woli, która została powgniatana i podrapana, ale nigdy złamana, i cofnąłem się z tym ruchem, wbiłem czubek laski w beton, jakby to było błoto, i wykorzystałem impet, żeby przerzucić Złego Boba nad sobą.

Jego niezłomny uścisk nie osłabł – Zły Bob zatoczył łuk w powietrzu i znów opadł, a ja przez cały czas ciągnąłem za laskę, jeszcze zwiększając jego impet, zamiast z nim walczyć.

Uderzył w dno okopu jak wielki faszystowski meteoryt. Hałas był niewiarygodny. Uderzenie sprawiło, że beton w promieniu kilku metrów popękał. Odłamki poleciały we wszystkie strony. Pył podniósł się w miniaturowej chmurze w kształcie grzyba. Fala uderzeniowa odrzuciła mnie do tyłu – razem z laską, którą wciąż ścisnąłem.

– A masz! – zawyłem pijacko. Wykrztusiłem trochę pyłu i podniosłem się niezgrabnie, serce waliło mi w piersiach, a całe ciało wypełniały napięcie i adrenalina. Pokazałem palcem krater. – Właśnie tak! Kto tobą przed chwilą wstrząsnął? Pieprzony Harry Dresden! Właśnie on!

Zakaszlałem znowu i oparłem się o ścianę okopu, dysząc ciężko, aż świat przestał wirować. Przez ten cały czas szczyrzyłem zęby jak wilk.

I wtedy z wnętrza chmury dobiegł cichy szmer poruszającego się żwiru. Pojawiła się w nim sylwetka, ledwie zarys, kuśtykająca powoli. Podeszła kilka kroków bliżej, a niebieski blask oczu sprawił, że rozpoznałem Złego Boba. Po sekundzie zobaczyłem

czaszkę. Choć widziałem, że całą jej powierzchnię pokrywała sieć pęknięć i wgłębień, nie była połamana.

Niebieskie światełka oczu zaczęły płonąć coraz jaśniej. Mroczny duch zacisnął pięści i jego ręce uniosły się powoli, jakby podnosił coś z ziemi pod stopami. Grunt zaczął się trząść. Rozległo się paskudne, niskie dudnienie, jakby tunelem pod moimi stopami przejeżdżała ze świstem demoniczna lokomotywa.

– Moja kolej – wysyczał mroczny duch.

– Na wszystkie dzwony piekieł – mruknąłem. – Harry, idioto, kiedy w końcu nauczysz się nie chełpić zwycięstwem?

Żuchwa czaszki odchyłała się coraz bardziej i...

...i nagle strumień energii o barwie płomienia świecy zmienił się w ludzką postać Boba Czaszki, tuż za Złym Bobem.

Mój Bob rzucił się do przodu i wsunął ręce pod ramiona mrocznego ducha. Splótł palce za popękana czaszką wroga, zakładając mu podwójnego nelsona. Gwałtownie szarpnął Złym Bobem w bok. Mroczny duch wrzasnął i przekręcił się, a fala energii rozerwała ścianę okopu i jakieś pięćdziesiąt metrów ziemi. Duchowa materia zmieniła się w ektoplazmę na długim odcinku w kształcie kawałka placka.

Wtedy Zły Bob odwrócił się, wydając z siebie wściekły okrzyk, i wbił napastnika w przeciwną ścianę okopu.

– Harry! – krzyknął Bob. Miał bladą twarz i szeroko otwarte oczy. W jego włosach widziałem odłamki betonu. – Weź duchy i pomóż Buttersowi!

– Nie! – odkrzyknąłem. – Pokonajmy go!

Zły Bob zrobił dwa potężne kroki, drugi na ścianie okopu jakieś półtora metra nad ziemią, i obrócił się gwałtownie, a kiedy spadł z powrotem nad ziemię, miał pod sobą mojego Boba. Znów popękał beton, a Bob Czaszka zrobił coś, czego nigdy wcześniej nie słyszałem – wrzasnął z bólu.

– Nie możesz! – krzyknął przerażony. – Ja nie mogę! Nie z tym wszystkim tutaj!

Mroczny duch przekręcił się jak wąż i przełamał uścisk Boba. Prawie się z niego wydostał, ale mojemu staremu asystentowi udało się złapać go jedną ręką i obaj tarzali się po ziemi, tak szybko, że właściwie się rozmywali, w ciągu kilku sekund na przemian wyrrywając się i znów zaciskając uchwyt.

– Idź! – wrzasnął Bob, a w jego głosie brzmiała przeszywająca groza. – Idź, idź, idź! Kiedy pójdziesz, zamknę za tobą Ścieżkę i zwieję! Pośpiesz się!

Na szczycie okopu pojawił się cień i zmęczony, poobijany sir Stuart wyciągnął do mnie rękę.

– Do diabła! – warknąłem. – Lepiej, żebym tego nie pożałował, Bob!

– Idź! – zawył Bob.

Złapałem rękę sir Stuarta i potężny mężczyzna wyciągnął mnie z sapnięciem z okopu. Na szczycie duchy czekały na mnie w milczeniu, jak zwykle.

– W porządku. Ruszamy, szybki marsz.

Mocno złapałem laskę, opuściłem głowę i pobiegłem w kierunku Ścieżki do fortecy Łowcy Ciał.

# Rozdział czterdziesty piąty

Ścieżka wisiała w powietrzu pośrodku szlaku, jakieś pięćdziesiąt metrów w głębi lasu, jak owalne lustro pełne srebrnego światła. Jego dolna krawędź wznosiła się około dwóch metrów nad ziemią i prowadziły do niej drewniane schody. Z tyłu, od strony plaży, dobiegało stłumione dudnienie uderzeń i trzask pękającego betonu. Dwaj Bobowie walczyli z żarciem, a ja mogłem jedynie mieć nadzieję, że mojemu przyjacielowi nic się nie stało.

Miałem jeszcze jedno zmartwienie. Gdyby Bobowi nie udało się powstrzymać Złego Boba przed przejściem za nami Ścieżką, utknęlibyśmy z Łowcą Ciąg przed sobą, a Złym Bobem za plecami. Wątpiłem, byśmy mieli jakieś szanse, gdyby do tego doszło.

Poczułem drganie energii otaczających Ścieżkę i skoncentrowałem się, by skupić się bardziej na niej samej, nawet przywołałem Wejrzenie, by rzucić na nią okiem. Jedno spojrzenie wystarczyło, bym dowiedział się wszystkiego – Ścieżka była niestabilna. Zamiast pewnego, solidnego, stalowo-betonowego mostu między tym miejscem i światem śmiertelnych, który widziałem wcześniej, dostrzegłem mostek z poprzecieranych i mocno naprężonych lin, sprawiający wrażenie, jakby mógł się rozpaść w chwili, gdy ktoś z niego skorzysta.

– Bob, ty przebiegły mały sukinsynu – mruknąłem z podziwem.

Mój były asystent kłamał jak z nut. Nie zamierzał zamknąć Ścieżki za nami – ponieważ już podminował ją tak, żeby zawaliła się w chwili, gdy przez nią przejdziemy. To, co powiedział mi na głos, było przeznaczone dla otworów słuchowych Złego Boba. Gdyby Zły Bob uwierzył, że potrzebujemy Boba do zamknięcia drzwi za nami, nie musiałby się śpieszyć. A gdyby Bob powiedział mi na głos, jak naprawdę wygląda sytuacja, Zły Bob mógłby po prostu popędzić do Ścieżki przed nami i samemu ją zawalić, całkowicie nas odcinając.

Bob naprawdę igrał z ogniem. Skoro poświęcił czas na podminowanie Ścieżki, zanim pojawił się, by mi pomóc, znaczyło to, że zostawił mnie, bym samotnie stawiał czoło wilkwaffenom i ich szefowi, i zaryzykował, że poradzę sobie do chwili, gdy zatoczy krąg i wróci do mnie. Po za tym jego podstęp, by skupić na sobie uwagę Złego



Boba, oznaczał, że jego mroczny potomek mógł się skupić na rozszarpywaniu go na kawałki, pewien, że zawsze może ruszyć za nami, kiedy już wykończy mojego Boba.

Znów rozległ się odgłos pękającego betonu, gdzieś w okolicach plaży. Po chwili wśród drzew zaczęły spadać małe odłamki, przeważnie nie większe od mojej pięści.

– Dobrze, dzieci. Zbierzcie się wokół mnie i słuchajcie. – Potrząsnąłem głową i zwróciłem się do stłoczonych cieni. – Kiedy przejdziemy, znajdziemy się wśród wrogów. Sir Stuarcie, chcę, żebyś wraz ze swoimi ludźmi zaatakował lemury lub upiory, które znajdują się w pobliżu. Nie wahajcie się, atakujcie je i zepchnijcie z mojej drogi. – Spojrzałem z ukosa na Widma Lectera. – Reszta idzie za mną. Zniszczymy fizyczne symbole osłon.

Duch małej dziewczynki spojrzał na mnie i skrzywił się, jakbym właśnie kazał jej zjeść znienawidzone warzywa.

– Jak nie zjesz mięsa, nie dostaniesz puddingu – powiedziałem do niej poważnie. – Zniszczymy osłony. Kiedy skończymy, możecie dołączyć do reszty cieni, żeby pozbyć się Łowcy Ciał i jej ekipy. W porządku? Wszyscy zrozumieli?

Milczące spojrzenia.

– W porządku, tak myślę. – Odwróciłem się do Ścieżki i odetchnąłem głęboko. – Ostatnim razem poszło względnie dobrze, prawda? Prawda. Idziemy więc. – Zawahałem się, po czym dodałem: – Chwileczkę. Jest jeszcze jedno, czego oczekuję od was wszystkich...

\* \* \*

Przeszedłem Ścieżką, czując, jak rozpada się pod naciskiem naszego zbiorowego duchowego ciężaru. Było to dziwne wrażenie, opadało na mój kark jak lodowate pajęczyny. Nie pozwoliłem, by strach zmusił mnie do przyśpieszenia kroku. Szedłem miarowo do chwili, gdy wyszedłem na podłogę podziemnej sali, w której poprzedniej nocy widziałem Morta i Łowcę Ciał.

Miałem czas na jedno szybkie spojrzenie. Jamę znów wypełniały upiory kłębiące się w humanoidalnej potrawce. Mort znów wisiał nad jamą, w znacznie gorszym stanie, niż kiedy widziałem go poprzednio. Nie miał koszuli. Jego korpus i ramiona pokrywały obrzęki i sińce. Na skórze miał też ślady poparzeń, być może prądem, na co wskazywały leżące na podłodze kable rozrusznika i akumulator. Kilka miał na tysej czaszce. Któryś ze świrów Wielkich Kapturów słyszał o terapii elektrowstrząsami? Wydawało się to nieco naciągane.

Łowca Ciał stała w powietrzu nad jamą i syczała coś do ucha Morta, a on kręcił słabo głową w geście zaprzeczenia. Płakał, jego ciało szarpało się i drżało w wyraźnym bólu. Wargi miał opuchnięte – pewnie skutek wielokrotnych ciosów w twarz. Wydawało mi się, że miał problemy ze skupieniem wzroku, ale wciąż uparcie potrząsał głową.

Zakapturzone lemury ponownie zebrały się wokół, ale tym razem, zamiast grać w karty, wszystkie stały w kręgu wokół jamy, zwrócone na zewnątrz, jakby w oczekiwaniu na atak.

Cóż za pech, przynajmniej dla nich, że tylna furтка z Nigdynigdy znajdowała się wewnątrz kręgu. Kiedy przeszedłem z oddziałem duchów, wszyscy stali zwrócenii do nas plecami.

Nie jestem dość arogancki, by sądzić, że jako pierwszy poprowadziłem do natarcia oddział duchów. Jasne, wątpię, by coś takiego zdarzało się codziennie, ale świat jest duży i kręci się już od dawna. Z całą pewnością ktoś już to zrobił na długo przed moimi narodzinami, może zwracając duchy przodków jednego plemienia przeciwko tym z drugiego.

Nie jestem też pierwszą osobą, która zaatakowała wrogą fortecę od strony Nigdynigdy. Zdarzyło się to kilka razy obu stronom w czasie wojny przeciwko Czerwonemu Dworowi. To dość typowy manewr taktyczny. Do zrealizowania wymaga pewnego hartu ducha, co zademonstrował Bob swoimi umocnieniami w stylu Normandii.

Ale jestem absolutnie pewien, że jako pierwszy poprowadziłem armię duchów do ataku od strony świata ducha... i kazałem im zacząć od głośnego okrzyku:

– Buuu!

Wszystkie duchy stały w tej samej przestrzeni, co ja, i było to piekielnie dziwnym odczuciem – ale nie chciałem ryzykować, że rozchwierutana Ścieżka się zawali i część oddziału pozostanie w Nigdynigdy. Kiedy krzyknąłem, oni też to zrobili – i dostałem o wiele więcej, niż oczekiwałem.

Dźwięk, który wydobył się z tych wszystkich widmowych gardeł, włączając moje, wzmacniał się w sprzężeniu zwrotnym, fale dźwiękowe nakładały się na siebie jak fale morskie w czasie sztormu. Byliśmy tak ściśnięci, że nasze głosy się ze sobą nie łączyły – one się pomnażały. Kiedy krzyknęliśmy, dźwięk wydobył się falą, która była niemal namacalna. Uderzyła w plecy zgromadzonych lemurów i popchnęła je o pół kroku do przodu. Wbiła się w ściany podziemnej sali, aż poleciały z nich pył i pleśń.

A Mort nagle z zaskoczeniem otworzył oczy.

– Brać ich! – zawyłem.

Martwi obrońcy naczelnego ektomanty Chicago wydali z siebie mrozący krew w żyłach zgiełk okrzyków wojennych i rzucili się na wroga.

Słyszysz się wiele opowieści o honorze i rycerskości wśród żołnierzy. Większość ludzi zakłada, że takie opowieści dotyczą głównie ludzi, którzy żyli przed wiekami. Ale pozwólcie, że coś wam powiem – ludzie są ludźmi, niezależnie od stulecia, w którym żyli. Żołnierze zwykle bywają praktyczni i nie chcą umrzeć. Podejrzewam, że w dowolnie wybranym stuleciu znaleźlibyście wojskowych, którzy nie mieliby najmniejszego problemu z ideą strzelenia wrogowi w plecy, gdyby to zwiększało prawdopodobieństwo, że sami wrócą do domu w jednym kawałku. Strażnicy sir Stuarta byli w większości żołnierzami.

Zagrzmiały widmowe karabiny. Zabłyły niematerialne noże, topory i strzały. Ektoplazma lała się wiadrami.

Połowa lemurów rozpadła się na migoczące obrazy, zanim skończyłem wykrzykiwać rozkaz do ataku, nie wspominając już o czasie koniecznym, by odzyskali równowagę po uderzeniu połączoną siłą naszych głosów.

Łowca Ciał wrzasnęła coś głosem, który otarł się o moją głowę jak zęby pordzewiałych grabi. Odskokyłem odruchowo. Jeden z Lecterów został trafiony i pośrodku jego piersi pojawił się ziejący otwór wielkości kuli do kręgli.

– Za mną! – krzyknąłem.

Zniknąłem i pojawiłem się u podnóża schodów prowadzących do sali. Z wyciągniętej dłoni Łowcy Ciał wystrzeliła błyskawica o barwie moczu, ale miałem w gotowości bransoletkę z tarcz i odbiłem atak w stronę gromadki ściśniętych lemurów. Kiedy w nich trafiła, zapłonął ohydny ogień i zapanował chaos, a oni rozpadli się na kawałki, jakby byli z gazy.

Cholera jasna.

Jedno z tych zaklęć zrobiłoby to samo ze mną, gdybym był choć o ułamek sekundy wolniejszy. Żywi czy martwi, uczniowie Kemmlera byli śmiertelnie poważni.

Widma Lectera pojawiły się w chmurze wokół mnie w chwili, gdy wypuściłem z końca laski pocisk czystej energii, zmuszając Łowcę Ciał do zastosowania własnej magicznej osłony. Uniosła przed sobą ręce skrzyżowane w nadgarstkach. Energia mojego uderzenia odbiła się od niewidocznej powierzchni kilkanaście centymetrów od jej rąk, a z miejsca uderzenia poleciały bryzgi bladoniebieskiego światła.

– Dreszenie! – wrzasnął Mort. Wpatrywał się we mnie, a raczej w otaczających mnie Lecterów z miną bardzo przypominającą przerażenie. – Coś ty narobił? Coś ty

narobił?

– Chodźcie! – zawołałem.

Przeniosłem się z podnóża schodów na ich szczyt dokładnie w chwili, gdy Łowca Ciał pojawiła się w ich połowie i kolejna powódź niszczycielskiej energii popłynęła w dół do miejsca, które właśnie opuściłem razem z Lecterami.

Tunel na szczycie schodów wyglądał dokładnie tak, jak go pamiętałem – ozdobiony miniaturowymi kapliczkami z całkiem prawdziwymi symbolami mocy ukrytymi wśród bełkotu. Przy każdej z nich płonęły świece – płomienie towarzyszące aktywacji mistycznej osłony.

– Kapliczki! – krzyknąłem do Lecterów. – Zmaterializujcie się i zniszczcie je!

Znów uniosłem tarczę, ułamek sekundy przed tym, jak Łowca Ciał posłała masę mrocznej, galaretowatej energii w górę schodów. Pochwyciłem zakłęcie na czas, ale ono natychmiast zaczęło szarpać moją tarczę, jakby było żyjącą istotą, która ją przegryzała, pochłaniając energię, którą podtrzymywałem tarczę.

Cholera. Nie miałem szans poradzić sobie w pojedynku magicznym z kimś, kto wyraźnie robił coś takiego od bardzo długiego czasu – nie, kiedy musiałem jednocześnie chronić Lecterów. Łowca Ciał rozszarpałaby ich na strzępy, gdyby tylko mogła, by powstrzymać nas przed zniszczeniem osłon. Ona – z jakiegoś powodu zawsze myślałem o niej jako o kobiecie, choć mogła porwać dowolne ciało, męskie, kobiece albo inne – była o wiele bardziej doświadczona ode mnie i pewnie miała o wiele szerszy wybór paskudnych wspomnień, z których mogła czerpać.

Do tego wszystkiego byłem już zdyszany, jeśli można to tak określić. Walka ze Złym Bobem była dużym wysiłkiem. Gdybym po prostu tak sobie stał i wymieniał się ciosami, mogła mnie z dużym prawdopodobieństwem zmęczyć na tyle, by mnie zabić. Gdybym jedynie osłaniał Lecterów, mogłaby swobodnie atakować mnie ze wszystkich sił, a ja byłem przekonany, że każdy z ekipy Kemmlera mógł uderzyć z siłą rozpędzonej ciężarówki.

Czas na kreatywność.

Opuściłem tarczę i jednocześnie wycelowałem laskę w czarną galaretę, warcząc:

– *Forzare!*

Czysta moc rozszarpała mroczną energię na strzępy i ruszyła dalej w dół schodów, by uderzyć Łowcę Ciał. Kiepsko celowałem. Mój cios jedynie obrócił ją i sprawił, że przewróciła się na plecy w powietrzu.

Obejrzałem się szybko na Lecterów i od razu tego pożałowałem. Płomienie świec w korytarzu skuliły się do punkcików zimnego niebieskiego światła. Duchy znów

przybrały postać z koszmarów – i z wściekłością rzuciły się na kryjówkę Wielkich Kapturów. Coś, co wyglądało na krzyżówkę goryla i muchołówki rozwaliło drewnianą paletę podtrzymującą jedną kapliczkę. Ogromna gąsienica o segmentowanym ciele składającym się z ludzkich głów, które wrzeszczały, a ich języki służyły za nogi, wspięła się po ścianie i zaczęła wyrywać fragmenty betonu w miejscu, gdzie jedna z półek osłabła, niszcząc kolejną kapliczkę.

No tak. Szło nieźle. Musiałem tylko zajmować Łowcę Ciał do czasu, gdy szaleńcy skończą rozwalać osłony.

Przywołałem Wejrzenie i zniknąłem, przenosząc się do miejsca kilka metrów pod pozycją Łowcy Ciał. Pojawiłem się ponownie wewnątrz kamienia. Moje oczy niczego nie widziały, ale Wejrzeniu to nie zaszkodziło. Widziałem mroczną, gwałtowną energię kłębiącą się wokół miejsca, gdzie po raz ostatni widziałem Łowcę Ciał. Paskudztwo. Poczułem, że na moich wargach pojawia się grymas, kiedy znów uniosłem laskę i warknąłem:

– *Fuego!*

Widmowy ogień popędził z rykiem przez materię. Mroczna energia zebrała się błyskawicznie, by przeciwstawić się mojemu zaklęciu, ale bardziej wyczułem niż usłyszałem okrzyk zaskoczenia i bólu. Psychopatka tego się nie spodziewała.

Później mroczna energia zniknęła.

Rozejrzałem się gorączkowo wokół i odkryłem, że pojawiła się za mną i nade mną. Ponownie zniknąłem i znów się pojawiłem, by zaatakować miejsce przebywania Łowcy Ciał – ale ona już się przeniosła.

Kolejne sześćdziesiąt sekund zmieniło się w wywołującą mdłości kotłowaną ruchów. Wymienialiśmy ciosy w kamieniu, parowaliśmy je w powietrzu nad jamą upiorów i przeskakiwaliśmy nad sobą w sypialniach Wielkich Kapturów. Celowanie było właściwie niemożliwe, ponieważ wymagałoby poprawnego odgadnięcia kolejnej pozycji przeciwnika, a później trafienia jej zaklęciem, ale raz ją drasnąłem, a ona zadała cios czystą kinetyczną mocą, który trafił mnie w biodro i o centymetr minął moje widmowe genitalia.

Dwa razy wpadła w korytarz, by zaatakować Lecterów, ale siedziałem jej na ogonie, zmuszając ją do ciągłego poruszania się, ciągłej obrony, dając jej jedynie dość czasu do zadawania mi pośpiesznych ciosów mocą.

Nie mogłem jej dorównać w walce twarzą w twarz, ale to przypominało bardziej psychodeliczną odmianę Walnij Kreta. Może i nie mogłem jej wyeliminować, ale spokojnie mogłem uniemożliwić jej powstrzymanie Lecterów. Gdyby odwróciła

uwagę ode mnie, byłem wystarczająco dobrym magiem, by ją pokonać, i ona o tym wiedziała. Gdyby zaatakowała mnie ze wszystkich sił, mogłem powstrzymać ją dość długo, by umożliwić Lecterom dokończenie projektu – i o tym też wiedziała.

Czułem jej narastającą wściekłość, która sprawiła, że od jej następnego nieudanego trafienia zagrzechotały mi zęby – i to mimo tarczy – a w odpowiedzi zaśmiałem jej się w twarz, nawet nie próbując ukryć pogardy.

Odparłem kolejne pchnięcie, pozwalając, by spłynęło po mojej tarczy. A wtedy Łowca Ciał zniknęła i pojawiła się na drugim końcu korytarza, przy drzwiach do starej stacji trafo. Płonęły tam ostatnie świece, przy ostatniej nietkniętej kapliczce. Łowca Ciał zwróciła się do Lecterów, którzy już kierowali się w jej stronę, i wypowiedziała jedno słowo wypełnione dźwięczącą mocą.

– Stać.

Lecterowie to właśnie zrobili. Całkowicie. Znieruchomieli jak rzeźby.

– Pieprzyć to! – zawołałem i uniosłem laskę, sięgając do własnej woli. – Ruszajcie!

W powietrzu między Łowcą Ciał a mną pojawiło się nagłe napięcie, poczułem je jako fizyczny nacisk na moją prawą rękę, w której ścisnąłem laskę. Uniesiona dłoń Łowcy Ciał zadrżała lekko, kiedy nasze wole zwały się na całej długości korytarza. Naparłem, zaciskając mocno zęby, i po prostu życzyłem sobie, by Lecterzy dokończyli zadanie. Pochyliłem się lekko i popchnąłem laskę, wyobrażając sobie, jak Lecterzy niszczą ostatnią kapliczkę.

Moja wola popędziła korytarzem i zdmuchnęła kaptur z głowy Łowcy Ciał. Może nosiła postać jednej ze swoich ofiar. Może patrzyłem na prawdziwą Łowcę Ciał. Tak czy inaczej, nie była ładna. Miała rysy ostre jak topór, ale mniej łagodne i przyjazne. Na obu policzkach nosiła ślady czegoś, co wyglądało jak rytualne blizny w kształcie spiral. Jej włosy były długie i siwe, ale wyrastały na głowie w nieregularnych kępkach, jakby część skóry została poparzona i pobliźniona. Jej ogorzałą skórę pokrywały drobne blizny i zmarszczki, a na szyi obwisała w sposób, który kojarzył się z gadem.

Ale oczy miała wspaniałe, w jaskrawym odcieniu jadeitu, którego nie widziałem u nikogo poza Sidhe, okolone długimi, gęstymi, czarnymi jak sadza rzęsami. W młodości musiała być smukłą piękną, groźną w swojej urodzie, jak łotrzyca z Bonda.

Popatrzyliśmy sobie w oczy i przygotowałem się na spojrzenie w duszę – ale nic się nie stało. Na wszystkie dzwony piekiel, Wejrzenie miałem szeroko otwarte, tak bardzo, że widziałem przepływ energii między naszymi wyciągniętymi rękami, a i tak do tego nie doszło. Pewnie zasady się zmieniają, kiedy z człowieka zostaje dusza i nic

więcej.

Łowca Ciał przyglądała mi się przez chwilę, wyraźnie nie skupiała się zbyt, by powstrzymać moją wolę.

– I znów wtrącasz się w coś, co nie jest twoją sprawą.

– Paskudny nawyk. Ale z drugiej strony to typowe dla magów.

– To się dla ciebie dobrze nie skończy, chłopcze. Odejdź.

– Ha, to zabawne. – Ja musiałem się skupiać. Staralem się, by nie było tego słyhać w moim głosie. – Przez sekundę wydawało mi się, że kazałaś mi odejść. Jakbym ja mógł po prostu sobie pójść.

Zamrugła dwa razy. Później, głosem brzmiącym, jakby coś sobie uświadomiła, mruknęła:

– Nie jesteś błyskotliwy. Jesteś nieświadomy.

– Teraz przesadziłaś. Ta zniewaga krwi wymaga – warknąłem.

Łowca Ciał odchyliła głowę do tyłu i wydała z siebie niepokojący pisk. Sądzę, że dla niej to był śmiech.

Później odwróciła się, machnęła ręką w stronę ostatniej kapliczki i sama ją zniszczyła.

Ośłony zniknęły wszędzie wokół nas, energia blakła, rozpraszała się i gwałtownie wracała do ziemi. Widziałem, jak potężne prądy mocy rozplatają się i znów rozpraszają na świecie. W ciągu kilku sekund osłony zniknęły, jakby nigdy ich nie było.

Łowca Ciał znów wydała ten pisk i zniknęła, a nagła nieobecność jej woli sprawiła, że prawie padłem na twarz. Powstrzymałem się, kiedy uświadomiłem sobie, że teraz mogę oficjalnie szydzić z ciężenia, przerwałem upadek w połowie drogi do podłogi i znów się wyprostowałem.

Ośłony zniknęły. Murphy i zespół w każdej chwili mogli wbić się na imprezę.

A... z jakiegoś powodu Łowca Ciał teraz tego od nich chciała.

Racja.

To nie mogło oznaczać niczego dobrego.

## Rozdział czterdziesty szósty

Zrezygnowałem z Wejrzenia i wszedłem po ostatnich schodach, które prowadziły ze stacji trafo do wejścia na poziomie ziemi – i odkryłem, że tłoczą się na nich Wielkie Kaptury. Na ich widok zamrugałem. Właściwie zapomniałem o żyjących zbirach pod kontrolą Łowcy Ciał. Cała moc, którą przerzucaliśmy się w czasie walki, miała charakter duchowy. Wielkie Kaptury nie mogły być jej świadome.

Jak dziwne musiały być ostatnie minuty z ich punktu widzenia? Poczuli falę zimna, widzieli nagle przygasające świece, a później usłyszeli głośny trzask miażdżonych i szarpanych desek, świec i malunków, podczas gdy betonowe i kamienne ściany były drapane niewidzialnymi pazurami, a świecami rzucało po korytarzach.

Na schodach był ich co najmniej tuzin, mieli spluwy, a ja niewiele mogłem na to poradzić. Przez chwilę rozważałem nasłanie na nich Lecterów, ale odrzuciłem ten pomysł w nagłym ataku mdłości. Widziałem, co mordercze duchy zrobiły z wilkwaffenami. Gdybym ich wypuścił, w ten sam sposób zajęliby się Wielkimi Kapturami – a Wielkie Kaptury w ostatecznym rozliczeniu były na równi ofiarami Łowcy Ciał, jak jej mięśniakami. Kiedy zaś uwolniło się moc tak bliską żywiołowi, należało się wręcz spodziewać strat wśród swoich. Nie chciałem, żeby cokolwiek trafiło rykoszetem Murphy i resztę.

– W porządku – powiedziałem Lecterom. – Wracajcie na dół i pomóżcie sir Stuartowi i jego chłopakom w walce z lemurami. Później brońcie Morta.

Jedyną odpowiedzią Lecterów było zniknięcie, zakładałem, że skierowali się do głównej sali. Dobrze. Mort był przytomny, kiedy go ostatnio widziałem. Mógł im powiedzieć, co robić, gdyby potrzebowali dodatkowych wskazówek.

Ja tymczasem zrobiłem jedyne, co mogłem, by pomóc w walce z Wielkimi Kapturami. Postanowiłem odegrać rolę superzwiadowcy dla drużyny Karrin.

Zniknąłem na drugą stronę drzwi do fortecy i zobaczyłem kilka przykucniętych postaci. Na wiadukcie na górze panował normalny wieczorny ruch, choć ulica poniżej była opuszczona, a przestrzeń pod wiaduktem spowijały cienie. Zignorowałem ciemność i zobaczyłem Murphy obok drzwi, grzebiącą w czarnym nylonowym



plecaku. Miała na sobie strój taktyczny – czarne ubranie i buty, jak również jedną z kamizelek Charity, uszytych z kevlaru i tytanowych pierścieni. Na to nałożyła uprzęż taktyczną, zabrała dwa rewolwery i malutki pistolet maszynowy, niedużą belgijską spluwę o nazwie P-90. Miała niezłego kopa jak na coś tak niewielkiego – zupełnie jak sama Murphy.

Obok niej, przy ścianie, kuliły się trzy wielkie, szczupłe wilki – po kolorze futra oceniałem, że Will, Andi i Marci. Molly, w swoich łachmanach i pancerzu, siedziała spokojnie po turecku, opierając się o ścianę. Na końcu znajdował się Butters, ubrany tym razem w ciemne rzeczy, ale nadal ze sportową torbą. Wyglądał na skrajnie zdenerwowanego.

Podszedłem do niego i powiedziałem:

– Buu!

Słowo wydobyło się z radyjka w jego kieszeni, a Butters podskoczył i odpowiedział:

– Meep.

– Meep? Poważnie?

– Tak, tak, tak – mruknął Butters. – Mów ciszej. Próbuje się do kogoś podkraść.

– Oni już wiedzą, że tu jesteście. Po drugiej stronie drzwi czeka jakiś tuzin strzelców.

– Cicho! – syknęła Murphy. – Do diabła, Butters!

Butters uniósł radio.

– Dresden mówi, że są po drugiej stronie drzwi.

– Teraz przychodzi – mruknęła Murphy. – Nie wtedy, kiedy planujemy wejście. Daj mi to radio.

Butters pochylił się nad Molly i od dołu rzucił radio. Moja praktykantka cały czas siedziała i uśmiechała się w milczeniu. Murphy złapała odbiornik.

– Co możesz nam powiedzieć...? – Zawahała się i skrzywiła. – Ciągle mam ochotę dodać na końcu zdania słowo „odbiór”. Ale przecież nie rozmawiamy przez krótkofalówkę, prawda?

– Prawda. Ale możemy zrobić cokolwiek, co cię uszczęśliwi. Odbiór.

– Nikt nie lubi przemądrzalców, Harry – mruknęła Murphy.

– Zawsze podobałaś mi się w stalowym, pani Murphy. Wydobywa błękit twoich oczu. Sprawia, że się wybałuszają. Odbiór.

Wilki merdały ogonami.

– Nie każ mi się spoliczkować, Dresdenie – warknęła Murphy. Ale jej niebieskie oczy migotały. – Powiedz mi, co wiesz.

Skrótowo opisałem jej wnętrze kryjówki i co się tam działo.

– Czyli nie dorwałeś tej suki nekromantki.

– To dość negatywny sposób opisanie sytuacji. – Wyszczерzyłem się. – Kto tu dziś jest zrzęda? Odbiór.

Murphy przewróciła oczami w stronę Buttersa i powiedziała dokładnie tym samym tonem:

– Czyli nie dorwałeś tej suki nekromantki.

– Jeszcze nie. Jestem pewien, że jej duchowe oddziały zostały już załatwione, ale musicie zejść na dół i sprawdzić. Chciałem wam tylko przedstawić ogólny zarys sytuacji. Pamiętajcie, jak dotrzeć do piwnicy?

– Po schodach, przez otwór w ścianie, piętnaście metrów korytarzem, który skręca w lewo, kolejne schody w dół.

– Tak, pamiętacie.

– Uch – odezwał się Butters. – Mogę coś wtrącić? Między nami a tym miejscem znajdują się zamknięte drzwi i banda gości ze spluwami.

Molly wstała.

– Nie będą mieli spluw – powiedziała spokojnie.

Butters zmarszczył czoło.

– Uch, Dresden właśnie powiedział...

– Słyszałam go. Wywałą do was magazynki w chwili, kiedy zobaczą was w drzwiach.

– Jasne. Jeśli chodzi o plany, wątpię, bym był jedynym, który ma problem z obecnym – stwierdził Butters.

– Iluzja? – spytał Molly.

Pokiwała głową.

Murphy zmarszczyła czoło.

– Nie rozumiem. Dlaczego akurat to? Dlaczego nie odepchnąć ich płomieniami, uśpić wszystkich albo coś w tym rodzaju?

– Bo to dom złych gości. Mają próg.

Molly pokiwała głową.

– Każde zaklęcie, które przez niego przejdzie, zostanie zdegradowane tak, że właściwie zniknie. Gdybym weszła bez zaproszenia, nie miałabym żadnej magii. Harry w ogóle nie może przejść przez próg bez zaproszenia.

Murphy pokiwała głową.

– Dlatego zamierzasz dać im cel w drzwiach. To ma sens. – Zmarszczyła czoło. –

Jak zamierzałeś wrócić do środka, Harry?

Stałem tam przez sekundę z otwartymi ustami.

– O cholera – mruknąłem. – Odbiór.

Murphy parsknęła.

– Boże, to naprawdę ty. – Odwróciła się do torby i wydobyla z niej czarną plastikową półkulę, która z pewnością musiała być takim czy innym materiałem wybuchowym. Przycisnęła ją do drzwi obok zamka. – Nie ma problemu. Zaproszę cię po tym, jak wysadzimy drzwi.

– To tak nie działa. Zaproszenie musi pochodzić od kogoś, kto tam mieszka.

Murphy spochmurniała.

– Z tobą nic nigdy nie jest proste, Dresdenie.

– Ze mną? A ty od kiedy bawisz się w Polly Plastique?

– Kincaid pokazał mi co i jak. – Głos Murphy brzmiał beznamiętnie. – Przecież mnie znasz, Dresdenie. Zawsze byłam praktyczną dziewczyną. – Wcisnęła nieduże urządzenie z parą ząbków w odpowiednie otwory w półkuli, przekręciła tarczę i powiedziała: – Odsuńcie się. Ustawiam na dziesięć sekund. Cokolwiek zamierzasz zrobić, Molly, miej to w gotowości.

Moja praktykantka pokiwała głową i wszyscy poza mną i Murphy cofnęli się wzdłuż ściany, oddalając się od drzwi.

Zaczekałem, aż odejdą, zanim się odezwałem:

– Murphy, te chłopaki z gangu... oni też są ofiarami.

Odetchnęła głęboko i spytała:

– Stoją tuż przy drzwiach?

– Nie. Pięć albo sześć stopni niżej.

Pokiwała głową.

– W takim razie nie znajdują się w bezpośrednim zasięgu wybuchu. To dość niewielki kierunkowy ładunek. Przy odrobinie szczęścia nikomu nie stanie się krzywda.

– Szczęście – powtórzyłem.

Na chwilę przymknęła oczy.

– Nie ocalisz wszystkich. Obecnie bardziej przejmuję się mężczyzną, którego te ofiary więżą i torturują. Owszem, wciąż pozostają ludźmi. Ale na mojej liście tych, którymi się przejmuję, znajdują się za nim i wszystkimi tutaj.

Poczułem się trochę winny, że coś insynuowałem na temat priorytetów Murphy. Może przychodziło mi to zbyt łatwo. W końcu to ja byłem tym, któremu Wielkie

Kaptury nie mogły zrobić krzywdy. Nie byłem pewien, jak powiedzieć coś takiego, więc tylko chrząknąłem i coś mruknąłem.

– W porządku – powiedziała Murphy bardzo cicho. – Rozumiem. Twoja perspektywa się zmieniła.

Przez chwilę się w nią wpatrywałem, po czym stwierdziłem:

– Nie we wszystkich kwestiach.

– Ambiwalentny związek spoza grobu. – Uniosła w uśmiechu kąciki ust. – Doskonale.

– Karrin... – zacząłem mówić.

– Nie. Po prostu nie. To już nie ma znaczenia, prawda?

– Oczywiście, że ma znaczenie.

– Nie. Nie jesteś Patrickiem Swayze. A ja Demi Moore. – Dotknęła przełącznika na pudełeczku i rozległo się tykanie. – A to z całą pewnością nie jest lekcja garncarstwa.

Odeszła kilka metrów wzdłuż ściany, przycisnęła ręce do uszu i otworzyła usta. Molly, Butters i wilki postąpili podobnie. Wyglądało to... Cóż, poczuliby się urażeni, gdybym wypowiedział to na głos, ale wilki wyglądały cholernie uroczco, przywarowane z pyskami na ziemi i łapami przyciskającymi uszy do głowy. Jestem pewien, że prawdziwy wilk byłby wstrząśnięty takim brakiem godności.

Pozostałem w tym samym miejscu, bezpośrednio przy drzwiach. W końcu, dlaczego nie, do diabła? Kiedy mogłem mieć kolejną okazję, żeby zobaczyć wybuch z tak bliska?

Poczułem się nieco rozczarowany. Był jedynie głośny huk, błysk światła, a później chmura pyłu, co właściwie opisuje wszystkie wybuchy, jakie widziałem. Choć cieszyłem się, że nikt na mnie nie patrzył. Kiedy huknęło, wzdrygnąłem się i odskoczyłem krok w tył.

Kiedy pył trochę się rozproszył, okazało się, że drzwi wiszą na zawiasach. Murphy otworzyła je kopniakiem i machnęła w stronę Molly.

Dziewczyna mruknęła coś i zamknęła oczy, po czym uniosła rękę. Nagle obok drzwi kucaly dwie Murphy. Ta bliżej nich żuła gumę. Głośno. Wstała ze swoim P-90, włączyła małą latarkę pod lufą i wyszła za róg, celując w stronę schodów.

Rozległy się wystrzały. Żująca gumę Murphy przyklęła na jedno kolano i otworzyła ogień, pistolet maszynowy strzelał seriami po dwa i trzy pociski. Przez jakieś pięć sekund hałas był nie do wytrzymania, a później zapanowała cisza. Żująca gumę Murphy wycofała się za róg. Kiedy zniknęła z oczu znajdujących się w środku, rozplynęła się.

Wtedy prawdziwa Murphy wstała i rzuciła coś na schody. Po chwili pojawił się oślepiający błysk i rozległ grzmot.

– Ruchy! – krzyknęła Murphy.

Wychyliła się w taki sposób, że tylko część jej korpusu i głowa były wystawione na ostrzał, a reszta ciała kryła się za ścianą, i wycelowała w schody. Trzy wilki wstały jednocześnie i prześlizgnęły się przez zakurzone wejście.

We współczesnym świecie wilki zwykle nie są doceniane – w końcu ludzie mają broń palną. I śmigłowce. Ale w dawniejszych czasach, gdy wszystko opierało się raczej na sile mięśni, wilki były dla ludzi prawdziwym zagrożeniem, może nawet drugim w kolejności drapieżnikiem planety. Ludzie nie pamiętają, że wilki są o wiele silniejsze, o wiele szybsze i o wiele bardziej niebezpieczne od ludzi. Że ludzie nauczyli wilki, by się ich bały i unikały kontaktu z nimi – i że bez tego strachu oraz nowoczesnej broni ludzka istota nie była niczym więcej niż możliwym zagrożeniem i potencjalnym posiłkiem. Wilk pozbawiony strachu mógłby rozszarpać kilku ludzi. Wilk pozbawiony strachu i posiadający inteligentny umysł, który kierował nim we współpracy z resztą drużyny, był pieprzoną siłą natury, mniej lub bardziej dosłownie.

Przez co chciałem powiedzieć, że trzy wilki przeciwko tuzinowi Wielkich Kapturów, w tak ciasnej przestrzeni, to nie była uczciwa walka – w najmniejszym stopniu.

Ludzie zaczęli krzyczeć, a wtedy Murphy wkroczyła do środka. Wypuściła z rąk pistolet maszynowy, który zawisł na uprząży, a w rękę trzymała niewielki paralizator.

Patrzyłem przez otwór wejściowy niezdolny ruszyć dalej. Will, Marci i Andi jednym skokiem rzucili się na pierwszego faceta kilka stopni niżej. Nieważne, jaki ktoś jest wielki i silny – trafienie granatem błyskowo-hukowym i dwustu pięćdziesięcioma kilogramami wilka w krótkim czasie po wybuchu w ograniczonej przestrzeni skłoni każdego, żeby sobie odpuścił. Upadł na ziemię, pociągając za sobą kilka kolejnych Wielkich Kapturów. Widziałem jedynie kłębowisko ciał i błyszczących zębów. Wilki miały przewagę. Najpierw celowały w ręce trzymające broń i już wkrótce zalane krwią spluwy potoczyły się po schodach.

Jeden z Wielkich Kapturów wyciągnął nóż wielkości tacy z baru samoobsługowego i uniósł go, by pod niezgrabnym kątem ciąć grzbiet Willa. Murphy przycisnęła broń butem do podłogi i wbiła paralizator w trzymającą ją rękę. Rozległ się krzyk bólu i ostrze upadło.

Później liczyły się już tylko impet i warczące wilki. Spychały zbirów coraz niżej – oszołomionych, posiniaczonych i zakrwawionych. Na dole wilki zaczęły atakować

z jeszcze bardziej zajadłym warczeniem – zapędzając Wielkie Kaptury jak stado oszołomionych, przesadnie muskularnych owiec. Popchnęły strażników w głąb stacji trafo, poza zasięg mojego wzroku. Musiałem sobie wyobrazić, jak tłoczą się w kącie. Słyszałem wilcze warczenie jak niski, nieprzerwany grzmot.

Murphy zeszła po schodach, znów trzymała pistolet w ręku, ale w nikogo nie celowała.

– Ty – powiedziała, wskazując w stronę, jak zakładałem, Wielkich Kapturów. – Chłopak z Nożem. Jak się nazywasz?

– Ja... Nie mogę... Nie...

– Murph! – zawołałem. – Łowca Ciał od dawna miesza tym facetom w głowie, od czasu sprawy z Sue. Nie są w stu procentach sprawni.

Murphy spojrzała na radio w kieszeni, a później znów na tego kogoś, z kim rozmawiała. Wyraz jej twarzy się zmienił, już nie wyglądała jak potencjalny kat, a raczej jak nauczyciel, któremu nie chce się nadepnąć na odcisk. Sama Murphy przeżyła kiedyś coś podobnego.

– To coś w twojej kieszeni to portfel, synu?

– Tak, proszę pani – wymamrotałem.

Pokiwiała głową.

– Wyjmij go dwoma palcami. Rzuć go do mnie. Powoli i spokojnie.

– Nie chcę, żeby zrobiła mi pani krzywdę.

Murphy przechyliła głowę, widziałem ból w jej oczach. Opuściła broń, a jej głos stał się jeszcze łagodniejszy.

– Rzuć mi portfel. Wszystko będzie dobrze.

– Tak, proszę pani.

Zniszczony plastikowy portfel uderzył o podłogę niedaleko stóp Murphy.

Murphy podniosła go, nie odrywając wzroku od grupy. Widziałem, jak przegląda zawartość portfela.

– Lubię psy – odważył się powiedzieć tamten. Jego głos brzmiał dziwnie nieobecnie.

– Nie zrobią ci krzywdy, jeśli nie będziesz się ruszał – wyjaśniła Murphy. – Joshua? Tak masz na imię?

– Ja... Tak, proszę pani. Miałem. To znaczy mam. Josh.

– Josh. Lat dziewiętnaście. – W jej niebieskich oczach pojawiła się złość. – Jezu, te sukinsyny i ich gierki.

– Suka, formalnie rzecz biorąc – wtrąciłem.

Murphy prychnęła.

– Chodź tu, Josh.

Molly podeszła do schodów i stanęła obok mnie, tam gdzie zwykle, odrobinę za mną i po lewej. Musiała mnie zlokalizować przez swój kamerton.

Przed Murphy pojawił się Wielki Kaptur. Był jakies pięćset razy większy od niej. Łapy miał jak bochny. Jedna z jego rąk krwawiła.

– Zdejmij kaptur, proszę.

Pośpiesznie wypełnił polecenie Murphy. Był brzydkim chłopakiem o topornych rysach. Włosy miał długie i pozlepiane, musiało minąć wiele miesięcy od czasu, kiedy ostatni raz je obciął, uczesał albo umył. Ze szczytu schodów nie widziałem jego zarostu, nie robił też wrażenia zbyt bystrego. Zamrugął kilka razy w świetle latarki Murphy.

– Witaj, Josh. – Głos Murphy brzmiał spokojnie. – Nazywam się Karrin.

– Cześć, Karrin.

– Pokaż mi rękę – powiedziała stanowczo.

– Ustalić wzorzec interakcji – mruknęła Molly pod nosem. – Dobrze.

Josh zawahał się, po czym wyciągnął rękę. Murphy obejrzała ją uważnie.

– Rana nie jest zbyt głęboka. Już powoli przestaje krwawić.

– Bywało gorzej, proszę pani – mruknął Josh.

Znów pokiwała głową.

– Wiesz, dlaczego staliście na tych schodach?

– Źli ludzie. Źli ludzie, którzy mieli zrobić nam krzywdę? – Zmarszczył czoło. – Wy?

– Mogłabym ci zrobić krzywdę nawet teraz, ale nie zamierzam. Prawda?

– Tak.

– Zgadza się. Wiem, że to trudne, ale pewnie jestem twoim przyjacielem.

Skrzywił się.

– Nie znam cię. Jesteś obca.

– Pomogę ci. Pomogę wam wszystkim, jeśli mi pozwolicie. Dostaniecie jedzenie i czyste ubrania.

Chłopak wzruszył jednym ramieniem.

– Dobra. Jestem głodny.

Murphy odwróciła wzrok i zobaczyłem, jak opanowuje kolejną gniewną minę.

– Szukam pewnego łysego mężczyzny. Wiem, że tu jest.

Josh wyglądał niepewnie.

– Jest tutaj? Na dole?

– Wiesz, że jest – mruknąłem.

Mój głos nie dotarł do radyjka, ale Murphy spojrzała w stronę schodów, unosząc brew, po czym znów odwróciła się do chłopaka.

Josh rozglądał się i przestępował z nogi na nogę.

– Powiedz mi prawdę, Josh. Wszystko jest w porządku.

– Na dole. Z Bozem.

– Z Bozem? – spytała Murphy.

– Boz jest duży.

Murphy obrzuciła chłopaka spojrzeniem i się wyprostowała.

– Jasne. Dobra, Josh. Chciałabym, żebyś zrobił dla mnie jeszcze jedno, a wtedy będziesz mógł znów usiąść z kolegami.

– Dobra.

– Moi przyjaciele czekają na szczycie schodów. Chcę, żebyś zaprosił ich do środka.

Josh zmarszczył czoło.

– Co?

– Zaprosź ich do środka, proszę.

– O nie. – Pokręcił głową. – Nikogo w tajnej kryjówce. Rozkazy.

– To nic takiego. Daję ci nowe rozkazy. Zaprosź ich, proszę.

Josh wyglądał, jakby się wahał.

– Yyy.

Murphy sięgnęła do kieszeni, a on drgnął. Wtedy wydobyła jeden z tych wysokoenergetycznych batoników proteinowych, owinięty w folię.

– Jeśli to zrobisz, dam ci to.

Najwyraźniej droga do serca tępego sługi prowadziła przez jego żołądek. Josh złapał baton obiema rękami i rzucił w stronę schodów:

– Wejdźcie do środka, proszę.

Zrobiłem ostrożny krok do przodu i nie napotkałem oporu. Próg się rozstał. Molly zrobiła to samo i zbiegła po schodach.

– Will, Andi, Marci – powiedziała Molly uspokajającym tonem. – Cofnijcie się o kilka kroków, proszę.

Wilki spojrzały na Murphy i zaczęły się wycofywać.

– Co robisz? – spytała Murphy.

– Upewniam się, że nie będziemy musieli zrobić im krzywdy, pani Murphy. Zaufajcie mi.

– Nowicjuszko?



– To legalne. – Przewróciła oczami. – Nie martw się. A my nie możemy tak po prostu tu stać. Ile się czeka na policję w tym kwartale?

– Osiem minut – odparła Murphy. – W przybliżeniu.

– Minęły jakieś cztery od czasu wybuchu ładunku. Tik-tak.

Murphy się skrzywiła.

– Zrób to.

Molly odwróciła się do Josha i powiedziała:

– Idź do kumpli. Wyglądacie na zmęczonych.

Josh przełknął to, co właśnie żuł. Pokiwał głową.

– Zawsze jesteśmy zmęczeni.

I powlókł się do oszołomionej grupki w kącie.

– Wiele kultów tak działa – powiedziała cicho Molly. – Łatwiej wtedy na nich wpływać i nad nimi panować.

Na chwilę zamknęła oczy, po czym odetchnęła powoli, głęboko, i znów je otworzyła. Uniosła prawą rękę i szepnęła głosem miękkim jak jedwab:

– *Neru.*

A wtedy tuzin Wielkich Kapturew po prostu osunął się na podłogę.

– Matko Boska. – Murphy zagapiła się na Molly.

– Zaklęcie usypiające – wyjaśniłem. – Takie samo jak to, które musiałem rzucić na ciebie, Murph.

Nie wspominałem, że tamto zaklęcie wymagało ode mnie wszystkich umiejętności, a jego złożenie trwało dziesięć razy dłużej. Molly zrobiła to samo, ale na kilkanaście razy większą skalę – dotknęła każdego umysłu i stworzyła zaklęcie, by go uśpić. To, co właśnie zrobiła, było trudne.

Właściwie czegoś takiego można się było spodziewać jedynie po członku Białej Rady.

Może moja matka chrzestna miała rację.

Molly zadrżała i roztarła ramiona.

– Uch. Oni nie są... nie są właściwi, pani Murphy. Nie byli stabilni, a ich przełączniki w każdej chwili mogły przestawić się na przemoc. Dzięki temu przynajmniej możemy mieć pewność, że do rana nie zrobią krzywdy sobie ani nikomu innemu.

Murphy wpatrywała się w nią przez chwilę, po czym pokiwała głową.

– Dziękuję, Molly.

Moja praktykantka odpowiedziała skinieniem.

Murphy znów sięgnęła po broń, po czym spojrzała na dziewczynę. Uśmiechnęła się i pokręciła głową.

– Szmacciana Pani, co?

Molly spojrzała na swoje ubranie i znów podniosła wzrok.

– Nie ja wymyśliłam to imię.

Niska kobieta pokręciła głową. Na jej twarzy malowała się dezaprobatą.

– Jeśli zamierzasz stworzyć sobie tożsamość, musisz myśleć o takich kwestiach. Jak myślisz, ile nowych żartów o szmatach krąży teraz po okolicy?

Molly miała poważną minę.

– Sądzę, że przez to całość robi się jeszcze straszniejsza.

Murphy zacisnęła wargi i wzruszyła ramionami.

– Może i tak.

– Mnie przeraża – wtrąciłem.

Murphy uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

– Bo jesteś męską szowinistyczną świnią, Dresdenie.

– Nie. – Prychnąłem. – Bo lepiej niż wy dwie wiem, jak bardzo jesteście niebezpieczne.

Na te słowa obie się zatrzymały, zamrugały i popatrzyły po sobie.

– W porządku, czas na duchowy zwiad. Zaczekajcie chwilę. Sprawdzę sytuację na dole.

– Do zobaczenia na następnych schodach – powiedziała Murphy.

– W porządku. Aha. Dobra robota z tym zaklęciem, nowicjuszko.

Policzki Molly nabrały różowego odcienia.

– Tak. Wiem – odparła.

– I tak trzymać, dziewczyno. Niech inni nie myślą, że czujesz się zagubiona.

Zniknąłem i pojawiłem się w głównej sali poniżej. Nie byłem przygotowany na widok, który na mnie czekał.

Łowca Ciał stała kilka metrów od wiszącego Morta. Jej szczęki... były szeroko rozchylone, jak u węża, o wiele szerzej, niż powinny. Na moich oczach zrobiła kilka konwulsyjnych ruchów całym ciałem i połknęła rozpoznawalny przedmiot – dziecięcy bucik z okolic dziewiętnastego wieku. Odchyliła głowę do tyłu, jakby to pomagało jej przesunąć wzdłuż przełyku jeden z dwóch dziecięcych duchów, które właśnie zjadła, a później opuściła brodę i uśmiechnęła się szeroko do Morta Lindquista.

Poza tym jedyną widoczną postacią była na wpół przezroczysta sylwetka sir Stuarta. Postrzępione, rozświetlone od wewnątrz mgiełki kilku innych duchów

rozpraszały się w różnych miejscach pomieszczenia.

Mort zauważył mnie i wybełkotał:

– Dresdenie. Ty durniu. Coś ty narobił?

Łowca Ciał odchyliła głowę i zaśmiała się.

– Nie trzymałem ich zamkniętych, bo mogliby zrobić krzywdę tej suce. – W głosie Morta brzmiały ból, wyczerpanie i wściekłość. – Chroniłem je, bo zamierzała je zjeść.

Gapiałem się przez sekundę.

Łowca Ciał zamierzała zjeść Lecterów. Najbardziej bezwzględne, niebezpieczne, potężne duchy w całym Chicago.

Podobnie zamierzała zrobić z duchami Chicago, kiedy uczniowie Kemmlera próbowali przeprowadzić przed kilku laty rytuał zwany Darkhallow – który, gdyby się powiódł, obdarzyłby przeprowadzającego go nekromantę niemal boską mocą.

– Ach – powiedziała Łowca Ciał, a dźwięk ten był głęboki, melodyjny i pełen zadowolenia.

Miałem bardzo złe przeczucia.

– Jestem prawie pełna – mówiła dalej. Uśmiechnęła się do mnie bardzo szerokimi, bardzo białymi, bardzo ostrymi zębami. – Prawie.

## Rozdział czterdziesty siódmy

Jedną rzeczą, której nigdy nie należy robić w walce, nawet jeśli wydaje się, że to bardzo emocjonalnie satysfakcjonujące, jest zrobienie sobie przerwy na chęłpienie się, jeśli przeciwnik stoi tuż przed wami. Cwani wrogowie nie będą tak po prostu stali i pozwalali na paplanie. Wykorzystają każdą możliwą okazję.

To samo dotyczy zdesperowanych wrogów, którzy nie zamierzają próbować zwyciężyć w uczciwej walce.

Zanim Łowca Ciał skończyła mówić, wycelowałem laskę i warknąłem:

– *Fuego!*

Ogień popędził w jej stronę. Odbiła go gestem dłoni, jak ktoś odpędzający muchę. Ogień wspomnień przeleciał obok niej, wbił się w ścianę i zniknął.

– Jaka szkoda. Właśnie zamierzałam...

Jeśli chciała nadal się chęłpić, nie miałem nic przeciwko.

Uderzyłem ją jeszcze raz, tylko mocniej.

Tym razem wystrzeliłem znacznie szybciej i mocniej, i zabołało, choć odepchnęła płomień na bok, zanim zdążył zrobić coś więcej niż ją osmalić. Krzyknęła z wściekłością.

– Głupcze! Ja...

Niektórzy ludzie. Przysięgam, nigdy się nie uczą.

Zdążyłem się przygotować i posłałem w jej stronę swoją najlepszą ewokację, wybuch ognia i mocy, cały aż skwierczący, zabójca ogrów wielkości piłeczki, płonący szkarłatnym i złotym blaskiem.

Uniosła przed sobą skrzyżowane ręce w pozycji obronnej, z palcami wygiętymi w desperackim geście, i pośpiesznie wypowiedziała ciąg słów. Powstrzymała uderzenie, ale wybuch ognia i mocy przetoczył się po niej, a ona z okrzykiem bólu poleciała kilka metrów do tyłu i wbiła się w ścianę.

– Jaaaa! – wykrzyknąłem pozbawione słów wyzwanie i sięgnąłem po następne zaklęcie...

...ale poczułem się bardzo dziwnie.

– ...sden, przestań! – krzyczał Mort. Jego głos wydawał się bardzo odległy. –

Popatrz na siebie!

Miałem gotów w umyśle kolejny wybuch ognia i energii, ale zatrzymałem się, by spojrzeć na dłonie.

Ledwie je dostrzegłem. Tak wyblakły, że stały się prawie niewidzialne.

Wstrząs wypędził zaklęcie z mojej głowy, a wtedy barwa i materialność powróciły do moich kończyn. Wciąż były przezroczyste, ale przynajmniej je widziałem. Popatrzyłem szeroko otwartymi oczyma na Morta wciąż wiszącego nad jamą z upiorami. Jego głos nagle odzyskał moc i stał się bardzo wyraźny.

– Cały czas rzucasz w nią wspomnieniami, ale część tego, kim jesteś, odchodzi z nimi... i nie wraca. Zaraz się zniszczysz, stary! A ona cię podpuszcza!

Oczywiście, że tak, do diabła. Dlaczego miałyby stać i próbować powstrzymać moje ciosy, skoro mogła po prostu zniknąć? Wyglądało na to, że umocnienia Złego Boba miały inny cel niż tylko blokowanie drogi – zużyłem zbyt wiele z siebie, by się przez nie przedostać. A później tutaj, wymieniając się ciosami z Łowcą Ciał, zużyłem jeszcze więcej, rzucając wspomnieniami magii na prawo i lewo, choć zobaczyłem, jak starannie sir Stuart odzyskiwał taką moc właściwie w chwili, gdy wyszedłem z samochodu kapitana Jacka.

Nie widziałem jej bez Wejrzenia, ale szyderczy śmiech Łowcy Ciał odbijał się echem od ścian podziemnego pomieszczenia, dobywając się z fragmentu ściany, w który ją wepchnąłem. Wpatrzyłem się w dłonie i zacisnąłem je z frustracją w pięści. Mort miał rację. Już robiłem zbyt wiele. Ale jak inaczej, do diabła, miałem z nią walczyć?

Odróciłem się do Morta. Miał problem ze skupieniem na mnie wzroku, kiedy obracał się powoli na linie. Zamknął oczy.

– Dresdenie... nic więcej już nie zrobisz. Wynoś się stąd. Nie chcę, by ktoś jeszcze poświęcił się dla mnie. – Jego głos brzmiał chrapliwie. – Nie dla mnie.

Cień sir Stuarta, unoszący się obok Morta, obdarzył mnie poważnym, nieobecny spojrzeniem.

Szaleńczy śmiech Łowcy Ciał szydził z nas wszystkich. Później powiedziała:

– Gdybym wiedziała, że dostarczysz mi wszystko tak kompletnie, Dresdenie, już dawno bym cię odszukała. Boz. Zabij małego faceta.

Usłyszałem warczenie i odgłos budzącego się wielkiego zwierzęcia. A później z jamy upiorów zaczęła wychodzić ludzka śmieciarka, wyłaniając się z gotującej się upiornej potrawy jak Godzilla z fal. Boz śmierdzał tak mocno, że odór docierał nawet do krainy ducha – psychiczny fetor, który mógłby pozbawić mnie

przytomności, gdybym nadal żył. Mózg tego gościa znajdował się tam na dole, gotując się z upiorami od Bóg jeden wie jak dawna, a jeśli reakcja Morta na wystawienie na nie mogła być wskazówką, zdrowe zmysły Boza już dawno zmieniły się w mielonkę. Pokrywała go warstwa brudu tak gruba, że nie umiałem ocenić, gdzie kończyło się duchowe blocko, a zaczynało fizyczne paskudztwo. Widziałem jego oczy, jak słabo błyszczące kamienie pod kapturem. Były całkowicie nieobecne. Ten facet był osobą jedynie z punktu widzenia prawa. Jego człowieczeństwo już dawno zaczęło gnić i ropieć.

Boz wypełził z jamy, emanując fizyczną i psychiczną mocą pełną zgnilizny i zepsucia, wściekłości i niekończącego się głodu. Stał tak tępo przez sekundę, a później odwrócił się i niczym Jason zaczął stawiać powolne, niezgrabne kroki w stronę urządzenia, na którym wisiał Mort.

Ektomanta spojrział na Boza i jęknął:

– Cudownie. Tego jeszcze potrzebuję.

– Co? – spytałem. – Mort? Co ona ma na myśli?

– Przepraszam. Trochę się rozproszyłem. O co chodzi?

– Łowca Cia! Co miała na myśli, kiedy powiedziała, że już cię nie potrzebuje?

– Nakarmiłeś ją mocą wystarczającą, by napędzić parę tuzinów Koszmarów, Dresdenie. Teraz może robić, co tylko zechce.

– Co takiego? Zzera bandę zabójców i już może być prawdziwym chłopcem? To nie może być takie łatwe.

Boz dotarł do słupka z koszem, złapał go wielkimi łapami i po prostu obrócił powoli. Mort zaczął przekręcać się w stronę krawędzi jamy.

– Aaa! Dresdenie! Zrób coś!

Spojrzałem wściekle na Morta, rozłożyłem puste ręce, a później z frustracją uderzyłem Boza pięścią. Przypominało to wbijanie ręki w ścieki. Nie uderzyłem niczego materialnego, a moją pięść i ramię pokryło coś obrzydliwego. Nie mogłem działać. Informacje były jedyną bronią, którą posiadałem.

– Jestem tu trochę ograniczony, Mort!

Mort zaczął hiperwentylować, ale wyraźnie podjął jakąś decyzję. Pośpiesznie wyrzucał z siebie słowa.

– Może znów być prawdziwa... na trochę.

– Może się zmaterializować – powiedziałem.

Paznokcie Boza pokrywała ciemnozielona pleśń. Wyciągnął rękę i szarpnął za sznur podtrzymujący Morta. Odwiązał go od uchwytu, nie puszczając, i zaczął

ciągnąć w stronę krawędzi jamy. Gotujące się upiory wyciągały ręce, usta i palce, chcąc sięgnąć do ektomanty.

– Aaa! – Mort próbował się odsunąć. Końce palców upiorów dotknęły jego twarzy, a on skrzywił się z wyraźnym bólem. – Kiedy to zrobi, przez jakiś czas będzie starą sobą. Będzie mogła chodzić, mówić... cokolwiek.

– Naprawdę używać swojej magii.

Łowca Ciał nie będzie musiała się ograniczać do ludzi, którzy umieli nawiązać kontakt ze zmarłymi, ludzi, których mogła próbować skłonić do wyrażenia zgody, jak to zrobiła z Mortem. Mogła po prostu wziąć sobie kogoś nowego – a wtedy wróciłaby do gry jako zmieniający ciała szaleniec nienawidzący Białej Rady i ogólnie wszystkiego, co przyzwoite. Jej szef, Kemmler, ponoć więcej niż raz wyslizgnął się śmierci. Może ten cały jej dziwaczny kult był jednym z jego pomysłów.

Przeniosłem się do podstawy schodów i krzyknąłem:

– Murph! Pośpiesz się!

Ale nie widziałem nikogo na szczycie schodów.

Sir Stuart stał przed Bozem, z bezsilną wściekłością zaciskał zęby i topór w ręce. Boz opuścił Morta na ziemię i pochylił się nad nim, opuszczając wielkie łapy, by chwycić Morta za głowę. Jedno przekręcenie, trzask i po ektomancie.

Co mogłem zrobić? Miałem w sobie ducha jednego przyzwoitego zaklęcia, a później byłoby już po mnie. Mort był pobity, wyczerpany, niezdolny korzystać z własnej magii – albo już wydostałby się z tego duchowego bajzla. Nawet gdyby wpuścił mnie do środka – a nie byłem pewien, czy w tym stanie mógłby to zrobić, nawet dla ocalenia życia – wątpiłem, byśmy razem mieli dość energii i opanowania, by go uwolnić. Mort mógłby przywołać do siebie sir Stuarta, wykorzystać doświadczenia żołnierza i wspomnienia jego siły, ale wciąż był związany. A poza tym sir Stuart był w podobnym stanie, co ja, tylko bardziej.

I nikt z nas nie mógł wywierać wpływu na świat materialny.

Gdybym nadal miał Lecterów, mógłbym rozkazać jednemu z nich, by się zmaterializował i uwolnił Morta – może powinienem podjąć takie ryzyko przed kilkoma minutami. Kiedy człowiek patrzył wstecz, wszystko wręcz oślepiało oczywistością. Teraz było już na to za późno – Łowca Ciał usunęła Lecterów, a bez zdolności szalonych duchów do materializowania się w świecie realnym...

Moje myśli przyspieszyły gwałtownie. Gorączkowe wspomnienie uderzyło mnie jak młot.

„Na wszystkie dzwony piekieł, za każdym razem kiedy wpadłem na ducha,

próbował mi wyrwać płuca! Mówisz mi, że żaden z twoich nie może nic zrobić?”.

„Są zdrowe na umyśle!” – odkrzyknął Mort. „Dla ducha interakcja ze światem materialnym jest szaleństwem. Zdrowe na umyśle duchy nie zachowują się jak szaleńcy!”.

Dla ducha pojawienie się w świecie materialnym było szaleństwem – wspomnienie, które próbowało narzucić swoją wolę żyjącym, przeszłość usiłująca zmienić przebieg terażniejszości. Zgodnie ze wszystkim, czego dowiedziałem się o magii i życiu, było to odwrócenie prawa natury, wyzwanie rzucone naturalnemu porządkowi.

Duchy, które nie były szczególnie potężne, materializowały się właściwie przez cały czas. Nie chodziło o czystą moc, nigdy – jedynie o pragnienie. Doprowadzenie do tego wymagało tylko utraty zdrowych zmysłów. To właśnie dostała Łowca Ciał po pochłonięciu Lecterów. Nie wystarczającą moc, ale wystarczające szaleństwo. Musiała jedynie zwariować, by do tego doprowadzić.

Dla maga wędrującego po okolicy jako zagubiona dusza marnowanie własnej esencji w próbie ratowania faceta, który tak naprawdę nie był nawet jego przyjacielem, z pewnością nie było szczególnie racjonalnym zachowaniem. Wzięcie na smycz kilkudziesięciu oszalałych duchów i poprowadzenie ich do ataku przeciwko znacznie silniejszemu wrogowi z pewnością też nie było oznaką rozsądku. Do diabła, nawet kilka ostatnich ważniejszych decyzji w moim życiu – zamordowanie Susan, by ocalić nasze dziecko, oddanie się Mab, bym mógł uratować małą Maggie – nie było czynami zrównoważonego, zdrowego na umyśle człowieka. A skoro już o tym mowa, cała moja kariera też taka nie była, jeśli wziąć pod uwagę możliwości, jakie miałem. Nie chciałbym się przechwalać, ale mógłbym wykorzystał umiejętności, by zarabiać pieniądze. Mnóstwo pieniędzy.

A co miałem w zamian? Mieszkanko w suterenie. Praca dla klientów, którzy nie potrzebowali jedynie pomocy – potrzebowali cudów. Pieniądze? Niewiele. Od czasu do czasu dobre uczynki, jasne, ale szczerych podziękowań nie da się zjeść. Dziewczyny nie zabijają się o faceta, który jeździ starym samochodem, mnóstwo czyta i kopniakiem wywala drzwi żyjących koszmarów. Towarzysze z Białej Rady prześladowali mnie przez całe moje życie, głównie za próby postępowania właściwie. A ja i tak to robiłem.

Do diabła. Już byłem szalony.

A skoro tak... jak trudne to mogło być?

Wymagało trochę energii, tego byłem pewien. Może nawet wszystkiego, co mi



pozostało. Nie przybliżyłoby mnie do odpowiedzi, których szukałem. Nie pomogłoby mi odkryć, kto mnie zamordował. Mogło całkowicie mnie zniszczyć. Do diabła, jeśli wymagało zbyt wiele mocy do przeprowadzenia, mogło mnie wykończyć tu i teraz.

Ale alternatywa? Patrząc, jak Mort umiera?

Nie ma mowy. Wolałbym wcześniej stanąć twarzą w twarz z nicością.

Mocniej złapałem drewno laski, przypominając sobie uczucia, które mnie wypełniły, kiedy przywołałem i związałem Lecterów. Znów sięgnąłem do wspomnień. Przywołałem ból mięśni po ciężkich ćwiczeniach i czysto fizyczną radość ciała poruszającego się w czasie biegu, spaceru ulicą, zanurzania w gorącej kąpieli, pływania w chłodnej wodzie, dotykania innego miękkiego ciała obok mnie. Pomyślałem o ulubionej starej podkoszulce, z najzwyczajszej czarnej bawełny z napisem „98% SZYMPANSA” białymi drukowanymi literami. Pomyślałem o skrzypieniu starych skórzanych kowbojek, wygodzie pary porządnych dżinsów. Docierającym do mnie aromacie mięsa pieczonego na grillu, kiedy byłem głodny, ślinie napływającej do ust i burczeniu w brzuchu. Pomyślałem o starym budziku z Myszka Miki, który dzwonił zbyt wcześnie rano, i wstawaniu z jękiem do pracy. Przypomniałem sobie zapach kartek ulubionej starej książki, kiedy znów ją otwierałem, i smród przypalonego oleju silnikowego, który był charakterystyczną cechą Niebieskiego Chrabąszcza. Przypomniałem sobie miękkość warg Susan na moich. Lekki, ciepły ciężar mojej córki w moich ramionach, jej wyczerpane ciało bezwładne niczym szmaciana lalka. Przypomniałem sobie, jak płynęły łzy uwolnione z moich oczu, irytujące uczucie zapchania, kiedy miałem katar, i tysiące innych rzeczy – drobnych rzeczy, małych rzeczy, rozpaczliwie ważnych rzeczy.

Wiecie. Życie.

I wtedy, gdy zebrałem wspomnienie tego, co zamierzałem osiągnąć, zrobiłem coś całkiem szalonego. Wypowiedziałem zaklęcie po prostu po angielsku. Energia przeszła moje myśli w sposób, który dla żyjącego maga byłby niszczycielski, może zabójczy. Wykorzystanie go tutaj wydawało się właściwie. Wypuściłem moc, która mi pozostała, odziewając ją w szaty wspomnień, i wyszeptalem najbardziej podstawową z koncepcji, podstawę słów i rzeczywistości.

– Bądź.

Mój wszechświat się zatrzęsł. Rozległ się ogromny szum, wznoszący się do crescendo, które skłoniłoby zdrową na umyśle osobę do wzdrygnięcia się i poszukania osłony. W nagłym wybuchu ciszy stałem w zimnym, wilgotnym półmroku. Chłód sprawił, że dostałem gęsiej skórki.

Cienie rozrosły się, zasłaniając niemal wszystkie szczegóły wokół mnie. I nic dziwnego.

Wszystkie świece i lampy, które rozświetlały pomieszczenie, przygasły do małych punkcików.

Poklepałem Boza po ramieniu i powiedziałem:

– Cześć, przystojniaku.

Jego twarz wykrzywiła się z zaskoczeniem, kiedy się odwrócił, by spojrzeć na mnie z całkowitym niezrozumieniem.

Mrugnąłem do niego i szepnąłem:

– Buu!

I walnąłem go laską.

Bolało. To znaczy bardziej niż wstrząs uderzenia, który przeszył moje nadgarstki. Byłem znów materialny, przynajmniej na chwilę. Znów byłem sobą, a przypomnianemu ciału towarzyszyła fala przypomnianego bólu. Nogi i kolana trzeszczały i dokuczały, co było dość naturalnym rozwojem sytuacji dla wysokiego faceta, rodzajem bólu tła, którego nawet nie zauważałem – do czasu, kiedy zniknął i znów powrócił. Nie zdążyłem się rozgrzać, a walnąłem Boza ze wszystkich sił. Musiałem naderwać przy tym jakiś mięsień w plecach. Nie myślałem jasno, bo mój umysł wypełnił nagle cały katalog skurczy mięśni, fizycznie bolesnego głodu i starych obrażeń, które nauczyłem się już ignorować, a które teraz znów przeszywały mnie świeżym cierpieniem.

Zdarzało mi się mówić, że jedynie martwi nie czują bólu, ale nigdy wcześniej nie mówiłem z doświadczenia. Ból używany jako broń to jedno. Osobisty ból, który przychodzi wraz ze zwyczajnym życiem, to coś zupełnie innego.

Ból nie jest niczym przyjemnym, przynajmniej dla większości ludzi, ale to zupełnie wyjątkowa cecha życia. Ból – fizyczny, emocjonalny i każdy inny – to cień rzucany przez wszystko, czego pragnie się w życiu, alternatywa tego, co pragnęło się osiągnąć, i nieodłączny twórca siły. Ból naszych porażek uczy nas, jak być lepszymi, silniejszymi, większymi niż wcześniej. Ból mówi nam, że zrobiliśmy coś niewłaściwie – to nauczyciel, przewodnik, zawsze obecny, by jednocześnie pokazywać nam nasze ograniczenia i rzucać wyzwania, byśmy je przewycięzali.

Jak na coś, czego nikt nie lubi, ból daje nam piekielnie dużo dobrego.

Powrót do mojego starego wcielenia i natychmiastowe przejście do gwałtownego ruchu bolały jak diabli.

To.

Było.

Niesamowite.

Wykrzyknąłem z czystej adrenaliny i szalonej radości, kiedy Boz przekoziołkował nad leżącym Mortem.

– Uch! – krzyknął Mort. – Dreszenie!

Z gardła sir Stuarta wydarł się okrzyk podniecenia, duch zacisnął z zadowoleniem pięść i na chwilę nabrał kolorów.

– Tak jest, chłopcze, skop mu tyłek!

Boz przetoczył się i przykucnął całkiem zwinnie jak na kogoś o jego rozmiarach, i pozostał tam, na czworakach, jak zwierzę, które nie widziało żadnej przewagi ewolucyjnej w nauczaniu się poruszania na dwóch nogach. Na jego twarzy nie pojawiła się żadna oznaka, że coś mu doskwiera, choć cios mojej laski rozciął mu skórę na policzku i krew dołączyła do innych substancji oblepiających twarz.

Na wszystkie dzwony piekieł. Moja laska nie była bynajmniej wykałaczką. Miała ciężar trzech kijów baseballowych. Ja też nie byłem wykałaczką. Nie potrafiłbym przeliczyć swojej wagi na kije baseballowe, ale na wielu gości z NBA mógłbym patrzeć z góry i nie byłem już chudym dzieciakiem. Chodzi o to, że cios zadany z całą siłą moich barków, bioder i nóg, jak również ramion, powinien pozbawić Boza przytomności – albo od razu go zabić. Celowałem w jego skroń. Szarpnął głową tak, że laska trafiła w jego lewą kość policzkową. Do diabła, mogłem ją złamać.

Jednakże, zamiast zwinąć się z bólu, Boz kucał tam w milczeniu, a jego kamienne oczy patrzyły przeze mnie bez mrugania. Zacząłem zbierać wolę i zatoczyłem się, prawie padłem na twarz. Nic mi nie zostało. W pionie podtrzymywała mnie jedynie ta płonąca iskra irracjonalnej pewności, która skłoniła mnie, bym się zmaterializował – i przeszył mnie zimny dreszcz, kiedy uświadomiłem sobie, że może nie uda mi się powstrzymać Boza przed zabiciem Morta.

– Dobry Boże, teraz tego żałuję – mruknąłem. – Nigdy, przenigdy, nie spotkałem nikogo, kto by tak paskudnie śmierdział. A kiedyś jadłem pianki z ogniska z Sasquatchem.

– Spędź z nim trochę czasu – sapnął Mort. – W końcu nie będzie tak źle.

– Rany. Naprawdę?

– Nie. Wcale nie.

Skupiałem wzrok na Bozie, ale postarałem się uśmiechnąć do Morta. Przez prawie dwadzieścia cztery godziny wisiał na sznurze i był torturowany przez szaleńców, jego kat wciąż próbował dokończyć wykonywanie wyroku, a on i tak miał dość jaj, by

przerzucać się żarcikami. Każdy, kto w obliczu grozy zachowuje taką odwagę, jest według mnie w porządku.

Boz zaatakował mnie jak drapieżnik – gładkim, szybkim ruchem, który jednocześnie poruszył całe jego ciało, nieograniczonym żadnym oporem ani wahaniem. I nie podniósł się. Rzucił się do przodu, odpychając się jednocześnie rękami i nogami, a środek ciężkości jego ciała przez cały czas nie wzniósł się powyżej moich kolan.

Posłałem mu kopniaka w głowę. Dosłownie kopnąłem go w głowę swoim butem turystycznym, a przypominało to stłuczenie palca stopy o duży kamień. On przebił się przez kopnięcie i uderzył mnie w kolana. Boz miał dużą masę. Padliśmy na ziemię, ja na tyłek, on leżąc na dolnej części moich nóg. Zaczął się wspinać po moim ciele, żeby sięgnąć mi do gardła. Nie zamierzałem pozwolić na taką bezczelność i zakomunikowałem to pragnienie, wbijając mu koniec laski w gardło.

Odepchnął laskę jedną łapą i chwycił ją w żelazny uścisk. Próbowaliśmy się odtoczyć. Złapał broń drugą ręką. Szarpaliśmy się, by nad nią zapanować. Był silniejszy ode mnie. Był cięższy ode mnie. Ja miałem nieco lepszy punkt podparcia, ale nie dosyć, by cokolwiek to zmieniało.

A wtedy Boz rzucił się do przodu, opierając się na nogach grubych jak pnie, a ja poleciałem na plecy. On całym ciężarem opadł na laskę i opuszczał ją w stronę mojego gardła.

Nawet jeśli ciało było tymczasowe, działało tak samo jak to, do którego byłem przyzwyczajony. Gdyby Boz zmiażdżył mi tchawicę, ciało by umarło. Gdyby do tego doszło, zakładałem, że stałbym się znów niematerialny, podczas gdy fałszywe ciało rozpląnęłoby się w ektoplazmę – jak to się działo z duchami i demonami, kiedy ich tymczasowe ciała zostawały zniszczone, a one same powracały do postaci duchowej. Ale jeśli chodzi o wiedzę na temat duchów, wyszliśmy daleko poza moją strefę komfortu.

Boz napierał, a ja ze wszystkich sił powstrzymywałem go przed uduszeniem mnie moją własną laską. Nie mogłem nawet marzyć, że go poruszę. Miał nade mną przewagę trzydziestu albo czterdziestu kilogramów materialnej, śmierdzącej masy i atakował mnie z milczącą psychotyczną determinacją.

Ale nie zorientował się, gdzie upadliśmy.

Puściłem laskę prawą ręką, a wtedy jego ramiona się napięły, a na plecach wystąpiły mięśnie czworoboczne. Jedną ręką nie mogłem go powstrzymać i poczułem ostry ból krwi próbującej przebić się przez tętnice, które Boz uciskał.

Prawą ręką złapałem za kable rozrusznika – wciąż podłączone do akumulatora samochodowego, te same, którymi torturowano Morta – i wbiłem oba metalowe końce w mokry od krwi policzek Boza.

Nie było w tym chirurgicznej precyzji. Trzymałem oba zaciski jedną ręką, a poza tym zaledwie kilka sekund dzieliło mnie od utraty przytomności, ale się udało. Zaciski zetknęły się ze sobą i z mokrą skórą, poleciały iskry. Boz zadrżał i szarpnięciem oderwał się od źródła nagłego bólu, co jest odruchem równie niezmiennym jak cofnięcie ręki od rozgrzanej do czerwoności rączki rondla. Przesunął środek ciężkości, a ja się odepchnąłem, wykorzystując do tego ruchu wszystkie mięśnie. Spadł ze mnie i przetoczył się, a ja podążyłem za nim. Wypuściłem laskę i owinąłem kabel rozrusznika wokół jego szyi. Szarpał i próbował się wyrwać, ale usiadłem mu na plecach i objąłem go nogami na wysokości bioder. Złapałem obiema rękami za przewód i ciągnąłem ze wszystkich sił.

Skończyło się dość szybko, choć w tamtym czasie odnosiłem inne wrażenie. Boz szarpał się i walczył, ale, choć był umięśniony, brakowało mu elastyczności, by sięgnąć obiema rękami do tyłu i w górę do miejsca, gdzie siedziałem mu na plecach, więc nie mógł mnie zdjąć. Próbował się wyrwać, jednak przewód i moje zaciśnięte nogi sprawiły, że nie mógł mnie strząsnąć. Starał się wsunąć palce pod kabel, ale, choć wcisnął dwa, ciągnąłem dość mocno i byłem dość silny, by poradzić sobie z jego jednym palcem.

Nieważne, jak bardzo ktoś jest szalony – kiedy mózg nie dostaje tlenu, człowiek traci przytomność. Boz też. Dusilem go jeszcze przez kolejne dziesięć sekund, żeby się upewnić, że nie udaje nieprzytomnego, a później przez piętnaście. I dwadzieścia. Ktoś mamrotał przekleństwa, a ja nie uświadamiałem sobie, że to ja sam. Proste odczucie siły, pierwotnego zwycięstwa, zalało mnie jak narkotyk i pozostał już tylko cios łaski.

Zazgrzytałem zębami. Już wcześniej zabijałem mężczyzn i kobiety, ale nigdy, jeśli miałem inną możliwość. Może byłem wojownikiem, ale nie zabójcą, o ile miałem wybór. Zmusiłem się, by puścić kable, a wtedy Boz osunął się na ziemię, bezwładny, ale żywy. Musiałem zsunąć go z jednej z moich nóg, odpychając go drugą piętą, a kiedy w końcu mi się to udało, podniosłem się z trudem, dysząc ciężko. Później odwróciłem się do Morta i zacząłem go rozwiązywać.

Przyglądał mi się ostrożnie.

– Dresdenie. To, co robisz... cielesność. To niewłaściwe.

– Wiem. Ale nikt inny nie zamierzał tego zrobić.

Potrząsnął głową.

– Chciałem tylko powiedzieć... to nie jest dobre dla ciebie. Tamte duchy, te, które chroniłem, one na początku nie różniły się od innych duchów. Takie zachowanie... na dłuższą metę coś z tobą robi. Zmienisz się. – Pochylił się w moją stronę. – W tej chwili wciąż jesteś sobą. Ale to, co tam poczułeś, pod koniec... to rośnie. Rób tak dalej, a przestaniesz być sobą.

– Prawie skończyłem.

Rozwiązywałem sznury najszybciej, jak potrafiłem. Trochę to zajęło. Związali go bardzo ostrożnie, rozkładając jego ciężar na sporym kawałku liny. Pewnie Łowca Ciał nie chciała poświęcić kilku godzin na odzyskiwanie władzy w kończynach, kiedy Mort w końcu się podda.

Jęknął i spróbował usiąść. Próbował kilka razy, ale kiedy chciałem mu pomóc, podziękował machnięciem ręki.

– Możesz chodzić? – spytałem.

Zadrzał.

– Mogę wynieść się stąd w diabły. Daj mi minutę.

– Nie mam tyle. Muszę się ruszać.

– Dlaczego?

– Bo gdzieś tam na górze są moi przyjaciele.

Wciągnął powietrze przez zęby.

– Wiem. – Skrzywiłem się, wstałem, złapałem laskę i ruszyłem w górę schodów.

Dobiegły mnie jeszcze słowa Morta.

– Stu. Znasz się na węzłach, prawda?

Obejrzałem się i zobaczyłem, jak sir Stuart kiwa głową. Mort odpowiedział skinieniem i zaczął zbierać sznury, z których go uwolniłem. Gestem wezwał sir Stuarta.

– Wchodź. Nie chcę, żeby ten człowiek góra wstał i dokończył to, co zaczął.

Prawie się zawahałem, chciałem się upewnić, że Mortowi nic nie jest, ale i tak spędziłem tu już za dużo czasu i czułem, że z każdą chwilą moje zmęczenie rosło. Musiałem wrócić na górę.

Łowca Ciał mogła pozbyć się własnych osłon tylko z jednego powodu. Nie była teraz ograniczona do tak małej próbki ludzkości, jeśli chodziło o zdobycie nowego ciała. Chciała, żeby ludzie weszli do jej kryjówki.

Dzięki temu zyskiwała większy wybór.

Wbiegłem po schodach, modląc się, bym zdążył powstrzymać protegowaną

Kemmlera przed wzięciem sobie jednego z moich przyjaciół – na zawsze.

## Rozdział czterdziesty ósmy

Wbiegłem po schodach i odkryłem, że robi się ciemno. Do diabła. Za bardzo przyzwyczailem się do zalet bycia duchem. Sięgnąłem do szyi, do pięcioramiennego amuletu matki...

...ale go tam nie było. Choć powinien. Przecież mój płaszcz został zniszczony, ale ten, który miałem na sobie, był doskonałym duplikatem. Nie istniał żaden powód, dla którego nie powinienem mieć również amuletu matki, ale tak właśnie było. Pewnie miało to duże znaczenie.

Nie miałem czasu się tym przejmować. Posłałem szept woli do laski, a wtedy wyrzeźbione w niej runy zaczęły emanować niebiesko-białym magicznym blaskiem, rzucając swój kształt w postaci czystego światła na pokryte pleśnią kamienne ściany i podłogę korytarza, pokazując mi drogę. Nie pozostało mi wiele magii, ale proste zakłęcie światła było znacznie łatwiejsze niż jakiegokolwiek zakłęcie ofensywne i wymagało o wiele mniej energii.

Przebiegłem korytarzem, mijając brudne pomieszczenia sypialne z zasłonami zamiast drzwi, i wypadłem przez otwór w ścianie do dawnej stacji trafo.

Na podłodze leżała latarka, zalewając blaskiem oddalony o kilkanaście centymetrów kawałek wilczego futra, ale poza tym w żaden sposób nie oświetlając okolicy. Musiałem rozjaśnić blask laski, żeby zobaczyć, że Murphy i wilki leżały na podłodze obok nieprzytomnych Wielkich Kapturów.

Nigdzie nie widziałem Łowcy Ciał.

Ani Molly.

Obróciłem się powoli, szukając śladów tego, co się wydarzyło, ale niczego nie znalazłem.

Usłyszałem szelest kroków na kamieniu i odwróciłem się gwałtownie, unosząc laskę, gotów wypuścić z siebie resztki mocy – i zobaczyłem Buttersa stojącego w połowie schodów. Wyglądał jak królik gotowy w każdej chwili uciec. Twarz pod okularami miał bladą jak ściana, a ciemne włosy rozczochrane.

– Mój Boże – westchnął. – Dresden?

– Wróciłem na czas ograniczony. – Opuściłem laskę. – Butters, co się stało?



– N-nie wiem. Zaczęli coś krzyczeć, a później po prostu... po prostu upadli.

– A ty nie?

– Byłem tam. – Wskazał za siebie. – No wiesz. Wyglądałem policji i tak dalej.

– Byłeś Oczami, co?

Odwrociłem się znów do Murphy i wilków.

– Właśnie tak. – Zszedł cicho po schodach. – Nic im nie jest?

Kucnąłem nad Murphy i dotknąłem jej szyi. Puls miała silny i spokojny. Podobnie najbliższy z wilków.

– Tak. – Serce zwolniło mi trochę. – Chyba...

Coś zimnego i twardego przycisnęło się do mojej potylicy. Spuściłem wzrok.

W kaburze Murphy brakowało sig sauera.

– Każdy ufa doktorowi – zamruczał Butters tonem, którego sam Butters nigdy by nie użył. – Nawet magowie, Dresdenie.

Napiąłem się.

– Łowca Ciał.

– Jednak udało ci się zmaterializować? Interesujące. Masz naturalny dar do mroczniejszej magii, tak sędzę. Mój mistrz natychmiast by cię zgarnął.

Spędziłem popołudnie z Murphy w należącej do Dough Joego siłowni Hurricane Gym, ucząc się rozbijania przeciwnika z bronią palną. Próbowałem sobie przypomnieć, w którą stronę powinienem się obrócić, żeby odebrać broń. Zależało od tego, jak była trzymana, a ja nie miałem pojęcia, jak Łowca Ciał trzyma pistolet. Byłem względnie pewien, że Butters jest leworęczny, ale wątpiłem, by takie kwestie miały znaczenie dla Łowcy Ciał, kiedy się rozgościła.

– Ojej. I miałbym przebywać w towarzystwie ludzi takich jak ty? Jestem pewien, że to by się nie udało.

– Pewnie nie. Darzyłam cię znacznie większym szacunkiem jako przeciwnika, niż na to zasłużyłeś. Jak wiele z ciebie zostało w tym ciele, które skleciłeś? Niewiele więcej niż w tych żalonych upiorach, tak sędzę. W swoim czasie mógłbyś podjąć sensowne działanie, ale wyraźnie brak ci cierpliwości i głowy do strategii.

– Jasne. Pewnie wciąż mam duszę i sumienie w miejscach, w których ty zainstalowałaś sobie tamten towar.

– Dusza? Sumienie? – Łowca Ciał prawie się roześmiała. – To jedynie słowa. Nie są nawet prawdziwymi ograniczeniami, jedynie ich iluzjami. Bezużyteczne.

– Fakt, że coś nie jest materialnie, nie oznacza jeszcze, że jest nieprawdziwe. Gdybyś miała mózg, wiedziałabyś o tym.

– Masz obsesję na punkcie młodzieńczych fantazji – odparła tonem mojego przyjaciela. – Choć muszę przyznać, że ironiczne odwrócenie naszego obecnego stanu jest wprost zachwycające.

I bez wahania ani zmiany tonu głosu wpakowała mi kulkę w głowę.

Ból był nieskończenie krótki i nieopisywalny, nagły przyływ cierpienia, który jakby mnie popychał. Zobaczyłem, jak do przodu leci chmura czegoś, co zalało jednego z wilków i najbliższego Wielkiego Kaptura. Ektoplazma, uświadomiłem sobie powoli. Moje materialne ciało zostało zniszczone. Zmieniło się z powrotem w duchową materię, z której je stworzyłem.

Ból zniknął i powróciłem do nieruchomego, neutralnego stanu nieobecności doznań. Wyciągnąłem rękę w stronę rozbryźniętej materii z instynktownym, niewypowiedzianym pragnieniem, by do niej powrócić.

Ledwie widziałem własną dłoń.

Starąłem się odwrócić, ale miałem wrażenie, że jestem zanurzony w czymś gęstszym i bardziej lepkiem od wody, i trwało to wieczność.

Patrzyłem w oczy Łowcy Ciał na twarzy Buttersa i widziałem, jak ta zmieniająca ciała wariatka uśmiecha się do mnie szyderczo.

– Niewiele cię już pozostało, co? – mruknęła. – Za najdalej kilka dni zostaniesz upiorem. Sądzę, że to wyrównuje nasze rachunki. Miłej wieczności, Dresdenie.

Próbowałem zakląć, ale byłem taki zmęczony. Nie mogłem się zmusić do wydania dźwięku. A zanim spróbowałem, Łowca Ciał zabrała ciało Buttersa z powrotem na schody. Poruszała się bardzo szybko.

Albo... albo to ja byłem bardzo powolny.

Próbowałem za nią ruszyć, lecz udało mi się jedynie dryfować, z wdziękiem, ale powoli. Bardzo powoli.

Łowca Ciał zrobiła gest, a wtedy z kolejnego cienia na szczycie schodów opadła zasłona. To był Butters. Stał tam nie w zimowym stroju, ale w lekarskim fartuchu, w którym widywałem go znacznie częściej. Był całkowicie nieruchomy, poza oczyma, gdy gorączkowo się rozglądał. U jego stóp rozlewała się szybko parująca kałuża ektoplazmy. Na twarzy malowała się czysta dezorientacja.

Łowca Ciał była wielbicielką zmiany ciał. Kiedy zostawiła mnie i Morta w piwnicy, musiała od razu przyjść tutaj, by złapać nowe ciało. Pewnie rzuciła na Murphy i wilki jakąś odmianę zaklęcia usypiającego – i wtedy pojawił się Butters.

Wykorzystała swoją starą sztuczkę, przemocą zamieniając się na ciała z ofiarą – a zmaterializowane ciało ducha, w którym się znajdowała, zaczęło się rozpadać

z powrotem w ektoplazmę w chwili, kiedy przestała dawać mu energię i postać. Esencja Buttersa, jego dusza, została wykopana z ciała, a teraz stała tutaj, odsłonięta i nieruchoma – jaskrawa, ale na moich oczach blaknąca. Rzuciła zasłonę na cień Buttersa, by nikt, kto mógł się tu pojawić, nie zobaczył go, opuszczonego i zdeorientowanego, kiedy ona korzystała z jego porwanego ciała.

A wiecie, co mnie naprawdę dotknęło? Podchodząc do cienia Buttersa, Łowca Ciał posłała mi złośliwy uśmiezek. Nic nie mogłem zrobić, by ją powstrzymać, ale ona chciała, żebym zobaczył, jak doskonale mnie przechytryła i wymanewrowała.

Wszechświat ma jednak dziwaczne poczucie humoru i najwyraźniej nie zawsze ja padam jego ofiarą. Kiedy Łowca Ciał odwróciła się, żeby posłać mi uśmiezek, Molly wypadła spod własnej zasłony, na ostatnim stopniu między skradzionym ciałem Buttersa i uszkodzonymi wybuchem drzwiami. Złapała Łowcę Ciał za kurtkę Buttersa. Patolog nie miał szczególnie imponującej budowy ciała. Molly z kolei była od niego o kilkanaście centymetrów wyższa i miała do dyspozycji geny swojej matki, wszystko, czego nauczyłem ją o walce, i sześć ciężkich miesięcy pod czułym i delikatnym przewodnictwem Leanansidhe.

Molly popchnęła Łowcę Ciał na ścianę, tak mocno, że zadźwięczały skradzione zęby. Później złapała twarz Buttersa dłonią rozcapierzoną jak szpony i przysunęła ją, patrząc Łowcy Ciał w oczy.

Chciałem krzyknąć, ale nie rozległ się żaden dźwięk. Gorączkowo spróbowałem poruszać się szybciej. Jeśli nawet mi się udało, niczego nie zauważyłem.

– Chcesz się bawić w umysłowe gierki? – warknęła Molly. Jej niebieskie oczy płonęły. – Zaczynajmy.

Twarcz Łowcy Ciał wykrzywiła się w minie pośredniej między morderczą wściekłością i orgazmem. Otworzyła szerzej skradzione oczy.

Molly i mroczny mag sięgnęły po spojrzenie w duszę, a ja nic nie mogłem na to poradzić – poza próbą dotarcia bliżej.

Czułem jednak przeskakującą między nimi moc, jak fale gorąca z paleniska, podczas gdy sam zbliżałem się powoli jak lodowiec. Walka była całkowicie niewidzialna, jednoczesne i wzajemne obłączenie osobowości. Psychomagia jest niebezpieczna i śliska, a walka z innym umysłem opiera się na wyobraźni, skupieniu i czystej sile woli. W tej chwili Molly rzucała przeciwko Łowcy Ciał zbiór obrazów i idei, próbując zmusić ją do skupienia się na nich. Niektóre myśli służyły do podminowania obrony, inne do bezpośredniego ataku, a jeszcze inne do wślizgnięcia się niepostrzeżenie do środka, by wywołać chaos. Część była prosta – na przykład

szeptane wątpliwości mające wstrząsnąć pewnością siebie drugiej osoby. Inne były o wiele bardziej skomplikowanymi konstrukcjami, demonicznymi ideami wyobrażonymi sobie wcześniej, przygotowanymi na taką właśnie okazję i wypuszczonymi na myśli i wspomnienia wroga.

Ogólnie rzecz biorąc, Biała Rada nienawidziła psychomagii. Jeśli pokonało się czyjąś obronę, można było zrobić z tą osobą wiele rzeczy, a tylko nieliczne były dobre. Wydarzenia jednak zmusiły ich do uznania konieczności zapewnienia wszystkim członkom lekcji psychicznej samoobrony, znacznie bardziej przekrojowych niż prosta technika ściany, którą kiedyś mi pokazano. Kilkoro weteranów, którzy wiedzieli, jak się w to bawić, zaczęło uczyć podstaw wszystkich zainteresowanych.

Jak się okazało, moja osobowość była naturalną fortecą, co wiele wyjaśniało – na przykład fakt, że rzadko dawałem się oszukać na dłużej elfim urokiem i że przez lata przemogłem kilka różnych rodzajów mentalnych ataków. Jeśli ktoś próbował mnie dopaść, musiał sobie poradzić z cholernym zamkiem. Mogli walić w niego przez cały dzień, czy jak się mierzy takie rzeczy, i nie przełamać obrony, usłyszałem też, że podbicie mojej głowy wymagałoby przedłużonej kampanii – jak każdy porządny zamek, tak i ten miał liczne umocnienia i konstrukcje, do których można się było wycofać. Brakowało mi jednak ofensywy. Jeśli chodzi o mnie, najlepszym atakiem musiała być uparta obrona.

Molly z kolei... cóż. Molly była trochę straszna.

Jej zamek nie był wielki i imponujący – cholerstwo było niewidzialne. Stworzone z luster, wypełnione mgłą, otoczone ciemnością i ogólnie trudne do zlokalizowania, nie mówiąc już o oblężeniu. Każdy, kto wchodził do jej głowy, powinien zabrać GPS, psa przewodnika i dodatkową parę gałek ocznych. Co gorsza, jej atak był jak mongolska horda. Wysyłała kolejne fale wszelkiego rodzaju mentalnych konstruktów, a kiedy człowiek się na nich skupiał, myśli ninja wślizgiwały się w podświadomość i umieszczały psychologiczny odpowiednik materiałów wybuchowych. Często ćwiczyliśmy przeciwko sobie – niewzruszony przedmiot kontra nieodparta siła. Zwykle kończyło się remisem, kiedy Molly musiała zrezygnować i zająć się bólem głowy, a wtedy dołączałem do niej i również łykałem aspirynę. Parę razy moje prymitywne konstrukty przypadkiem wpadły na jej umocnienia i zaczęły tłuc lustra. Parę razy jej horda miała szczęście albo była wyjątkowo przebiegła. Mieliśmy ustalony ten sam umysłowy obraz, który oznaczał zwycięstwo – Vader nurkujący swoim TIE fighterem i mówiący zadowolonym z siebie tonem „Mam cię”. Kiedy to się przedostało, zabawa się kończyła.

Ale poza ćwiczeniami ta myśl mogła równie dobrze przypominać raczej „włóż pistolet do ust i pociągnij za spust”. W efekcie oboje wkładaliśmy dużo wysiłku, żeby radzić sobie jeszcze lepiej. To była część szkolenia, którą traktowałem równie poważnie, jak uczenie jej teorii albo zaklęć czy egzorcyzmów, czy też setek innych aspektów, którymi zajmowaliśmy się przez ostatnie lata.

Nigdy jednak nie walczyliśmy do krwi.

Łowca Ciał uniosła dłonie Buttersa, by delikatnie objąć policzki Molly, i powiedziała:

– A niech mnie. Standardy szkolenia się poprawiły.

Molly krótkim, ostrym ruchem uderzyła głową Łowcy Ciał o ścianę.

– Przestań się kręcić i walcz.

Łowca Ciał odsłoniła w uśmiechu zęby Buttersa i nagle rzuciła się do przodu, wbijając plecy Molly w przeciwległą ścianę, a jednocześnie wspięła się o stopień w górę, przez co ich oczy znalazły się na tym samym poziomie.

– Śliska dziewczynka. Ale ja miażdżyłam umysły takie jak twoje stulecia przed tym, jak pradziadek twojego prapradziadka opuścił Stary Kraj.

Molly nagle sapnęła, a jej twarz wykrzywił ból.

– Zawsze brak im jaj, żeby zrobić krzywdę swoim cennym małym praktykantom – wymruczała Łowca Ciał. – To się nazywa ból. Pozwól, że udzielę ci lekcji.

– Kobieto – wysapała Molly – wybrałaś niewłaściwy moment w moim życiu, żeby nadepnąć mi na odcisk. – Odetchnęła głęboko i odezwała się dźwięcznym, wściekłym głosem. – A teraz wypierdalaj z mojego przyjaciela. *Ideru!*

Poczułem przyływ jej woli, gdy wypowiedziała to słowo, i nagle wydawało się, że rzeczywistość kondensuje się wokół mojej praktykantki. Wyrwała się z niej przerażająca moc, szarpiąca gorączkowo wszystko dookoła. Raz czułem coś podobnego, kiedy nowo narodzony wampir z Białego Dworu zaczął nieświadomie na mnie żerować – energia, która kłębiła się, wirowała i szarpała korzenie moich zmysłów. Ale to był tylko jeden aspekt ciężaru, którym emanowało zaklęcie Molly.

Łowca Ciał otworzyła szerzej oczy z zaskoczenia i napięcia. Później warknęła:

– Jak sobie chcesz. Doktorek i tak był moim drugim wyborem.

I wtedy zobaczyłem, jak mroczna, szalona dusza Łowcy Ciał wpływa w moją praktykantkę, niesiona przyływem jej zaklęcia przywołującego.

Twarz Buttersa straciła wyraz, a jego ciało osunęło się na schody bez najmniejszego ruchu. Metr dalej bezradne, zdezorientowane spojrzenie jego cienia padło na powalone ciało i w jego oczach pojawił się strach.

Molly krzyknęła z zaskoczenia – i strachu. W tej chwili zobaczyłem w jej oczach odzwierciedlenie przerażenia, panikę kogoś, kto poszedł do lasu uzbrojony na niedźwiedzia, a stanął twarzą w twarz z pieprzonym dinozaurem.

Moje dryfujące, senne poruszenia w końcu doprowadziły mnie dość blisko. Z leniwym i bolesnym wdziękiem wyciągnąłem rękę...

...i złapałem kostkę Łowcy Ciał, kiedy wślizgiwała się w moją praktykantkę.

Chwyciłem się mocno i poczułem, że coś ciągnie mnie do przodu, w chaos wojny o ciało, umysł i duszę Molly.

## Rozdział czterdziesty dziewiąty

Wylądowałem w samym środku wojny.

Otaczało mnie zrujnowane miasto. Na niebie kłębiły się burzowe chmury, poruszające się tak szybko, że aż nierealnie, a między nimi przeskakiwały błyskawice w kontrastowych odcieniach. W ziemię uderzał deszcz. Wszędzie wokół słyszałem krzyki i przekleństwa, nakładające się na siebie, pochodzące z tysiąca źródeł i łączące się w głośny ryk – a każdy pojedynczy głos należał albo do Molly, albo do Łowcy Ciał.

Na moich oczach wielka bestia, przypominająca krzyżówkę węża z wielorybem, przebiła się przez ceglany budynek – fortecę, jak sobie uświadomiłem – odległy o około pięćdziesięciu metrów, i tarzała się w nim, miażdżąc go w pył. Na obsypanych gruzem bokach potężnego stwora pojawiły się trzy małe czerwone światełka, jak celowniki działka plazmowego Predatora z filmów pod tym samym tytułem. Znikąd pojawiły się błyski niebiesko-białego światła, które wybiły w bestii otwory wielkości tunelu kolejowego. Dookoła widziałem grupy żołnierzy, wielu w złowieszczych czarnych mundurach i innych, wyglądających jak wyidealizowana wersja amerykańskiej piechoty, którzy atakowali się wszelkiego rodzaju bronią, od mieczy po wyrzutnie rakietowe.

Przebił mnie pocisk smugowy, który zrobił na mnie niewiele większe wrażenie od mocnego podmuchu wiatru. Odetchnąłem z ulgą. Znajdowałem się wewnątrz umysłu Molly, ale ona nie walczyła za mną, Łowca Ciał też nie. W tej chwili byłem tu duchem tak samo, jak w prawdziwym świecie.

Otaczające mnie miasto było ogromną siecią umocnionych budynków i uświadomiłem sobie, że dzieciak postanowił zmienić taktykę. Nie próbowała ukryć umiejscowienia fortecy swojego umysłu zwyczajowymi sztuczkami ciemności i mgły. Wybrała inny rodzaj zaciemnienia, budując ogromne skupisko pozornych celów i ukrywając gdzieś prawdziwe jądro swojego umysłu.

Łowca Ciał przeciwstawiła jej się sposobem prostym, choć niełatwym do zrealizowania, czyli postanowiła zmiażdżyć je wszystkie, nawet jeśli musiała je niszczyć jeden po drugim. Tamten ogromny konstrukt bestii był większy niż wszystko, co kiedykolwiek próbowałem stworzyć w swoim umyśle, choć Molly raz czy

dwa rzuciła we mnie czymś takim. Nie chodziło jedynie o myślenie bez ograniczeń – stworzenie czegoś o tak wielkiej mentalnej masie wymagało nakładu energii, a Molly uważała raczej, że tak potężne, mało subtelne ciosy nie były warte wysiłku – zwłaszcza że ktoś obdarzony odpowiednim nastawieniem i wyobraźnią mógł się ich pozbyć z niewiele większym trudem niż małych konstruktów.

Łowca Ciał wyraźnie się z tym nie zgadzała. Była o wiele starsza od Molly i mnie i z pewnością miała głębsze zasoby siły, do których mogła sięgnąć, większą dyscyplinę i pewność siebie wynikającą z długiego doświadczenia. Molly udało się związać Łowcę Ciał walką na terenie, który najlepiej знаła, i rozegrać swoje najsilniejsze karty – ale siła mojej praktykantki wyraźnie nie wystarczała w konfrontacji z doświadczeniem i wprawą nekromantki.

Przestałem zwracać uwagę na to, co się działo – wszystkie te ataki artyleryjskie, natarcia kawalerii, hordy powłóczących nogami zombie i deszcz noży spadający ot tak z nieba. Forma danego konstruktu nie jest ważna w porównaniu z samym jego istnieniem. Na przykład lecąca strzała, która może przebić serce, jest potencjalnie równie niebezpieczna, jak ożywiony cień wyciągający mordercze czarne szpony. Jak długo ktoś umie sobie wyobrazić odpowiedni konstrukt, by przeciwstawić się groźbie i zrobić to na tyle szybko, by ją powstrzymać, każdy da się pokonać. Na poziomie podstawowym było to proste i wydawało się łatwe. Ale kiedy w tym samym czasie rzuca się dziesiątki, setki – albo tysiące – konstruktów ofensywnych i defensywnych... Uwierzcie mi, to wymaga pełnego skupienia.

I w ten sposób można walczyć tylko z jednym przeciwnikiem, co wyjaśnia, dlaczego Łowca Ciał nie zaatakowała mnie od razu, jeśli w ogóle dostrzegła moją obecność. Spojrzenie w duszę też pewnie odegrało swoją rolę. Żadna nie zamierzała odpuścić do chwili, gdy jej przeciwniczka zginie.

Obie walczące rzuciły w siebie ogromną liczbą ofensywnych konstruktów, choć Molly niszczyła swoje własne umocnienia równie szybko, jak Łowca Ciał. Jeśli chodzi o taktyki, ta była obosieczna. Molly raniła siebie, ale jednocześnie nie pozwalała Łowcy Ciał podejść zbyt blisko, wtedy bowiem zostałaby uwięziona między potężnymi wybuchami zniszczenia, które wymieniały walczące. W takim chaosie pomyłka mogła łatwo zniszczyć umysł każdego, nawet żyjącego przez setki lat nekromanty. Z drugiej strony, gdyby Łowca Ciał zauważyła, z jakiego miejsca Molly kieruje walką, prawdopodobnie miałyby dość sił, by wbić się tam i zmiażdżyć moją praktykantkę. Ale gdyby skupiła się na niewłaściwym celu, odłoniłaby się na atak prawdziwej Molly z wielu różnych stron. Musiała to wiedzieć, podobnie jak musiała



wiedzieć, że jeśli po prostu utrzyma nacisk, całość w końcu zostanie zrównana z ziemią, a Molly zniszczona.

Moja praktykantka wymyśliła dobry plan, ale się przeliczyła. Łowca Ciał była o wiele silniejsza, niż się spodziewała. Molly realizowała najbardziej agresywny plan obrony, jaki kiedykolwiek widziała, i miała nadzieję, że zmusi Łowcę Ciał do popełnienia błędu. To nie był dobry plan, ale niczego innego nie miała.

Tak czy inaczej, walka nie mogła potrwać długo. Lepiej się ruszać.

Molly znajdowała się gdzieś w skupisku fałszywych twierdz, ukryta przede mną tak samo jak przed Łowcą Ciał. Ale ja miałem jedną przewagę nad nekromantką – znałem swoją praktykantkę.

To nie było Nigdynigdy. Znajdowaliśmy się w głowie Molly, w świecie myśli i wyobraźni. Magia się nie liczyła, a w każdym razie nie teraz, gdy byliśmy tutaj. Mogłem być ledwie słabym cieniem ducha, ale wciąż miałem mózg, a to zapewniało mi pewną swobodę w tym miejscu.

Podszedłem do zrujnowanego budynku, gdzie ogromny stwór zdychał z jękiem. Odsunąłem kawałek gruzu i wyciągnąłem z ruin jasnoniebieski dywanik łazienkowy, poplamiony pyłem i dziwną fioletową krwią. Był to malutki fragment konstruktury krajobrazowej, ale przywłaszczenie go sobie wymagało ode mnie dużego wysiłku. Moje ramiona drżały ze zmęczenia, kiedy podnosiłem dywanik i go strzepywałem. Krew i pył zniknęły, jakby nigdy ich nie było, a wtedy rozłożyłem go spokojnie na ziemi, usiadłem, skrzyżowałem nogi i założyłem ręce na piersi.

– Do góry, Simba – powiedziałem, naśladując Yula Brynnera.

Dywanik zadrżał i uniół się nad ziemię, równie sztywny i niemal równie wygodny, jak kawałek grubej sklejki. Unosił się w górę, a ja ukradkiem złapałem za jego brzegi. Nie mogłem pozwolić, żeby moja przeciwniczka albo praktykantka zauważyły, jak gorączkowo macham rękami, próbując złapać równowagę na ruszającym się dywanie. Ale z drugiej strony nie chciałem też tak po prostu spaść. Pewnie mógłbym wymyślić coś, co uchroniłoby mnie przed odniesieniem obrażeń po uderzeniu w ziemię, ale wyglądałoby paskudnie, a nawet na progu śmierci miałem swoją dumę.

Jasne, wyobraźnia była jedynym miejscem, w którym mogłem zmusić jedną z tych przeklętych rzeczy do działania. W wieku około dwudziestu lat spróbowałem sztuczki z latającym dywanem. Był to dość koszmarny eksperyment, który skończył się lądowaniem na jeszcze niezamkniętym wysypisku śmieci w czasie nawałnicy. Był też słynny incydent z latającą miotłą na Wacker Drive, który wylądował w internecie jako

dowód na istnienie UFO. Później rozsądnie uznałem, że latanie było głównie doskonałym sposobem, by dać się zabić, i przerzuciłem się na jeżdżenie starym samochodem.

Ale hej. W mojej wyobraźni ten dywan działał doskonale – i pewnie tak to szło również, kiedy byłem gościem w wyobraźni Molly.

Wzniosłem się dość wysoko, żeby się rozejrzeć, i byłem pod wrażeniem. Miasto fortac rozciągało się na całe kilometry. Były ich setki, a walki trwały wszędzie dookoła. Było to przeciwieństwo tego, co dziewczyna zwykle robiła w walce w umyśle – odwrócona mongolska horda, z niekończącymi się obrońcami wypadającymi jak wściekłe pszczoły, by bronić ula. Niestety, wobec królowej pszczoł Molly Łowca Ciał odgrywała rolę niedźwiedzicy. Dostanie się do środka będzie dla niej bolesne, ale jeśli zachowa rozsądek, to nie za bardzo. Prędzej czy później zmiażdży wszystkich obrońców – i rozerwie ul na strzępy.

Pochyliłem się i dywan nabrał szybkości. Przesunięcie środka ciężkości w prawo lub lewo pozwalało mi skręcić i już wkrótce krążyłem wśród deszczu, najszybciej, jak mi na to pozwalała ulewa. Leciałem po spirali, przyglądając się miastu poniżej. Bitwa trwała również na niebie – głównie latające demoniczne stwory i błyskawice, które miażdżyły je w locie. Po pierwszych kilkunastu spektakularnych uderzeniach błyskawic zrobiło się to nudne, więc zignorowałem również ten konflikt i szukałem dalej.

W końcu dostrzegłem to, czego szukałem – zrujnowany budynek, zmieniony w krater przez pocisk artyleryjski albo inny rodzaj wybuchu. Pozostałości nie wskazywały, czym był wcześniej, a okolicę wypełniały wypalone ruiny, pokrywając gruby stary dąb i domek na jego niższych konarach grubą warstwą kurzu, ziemi i gruzu.

Minąłem domek na drzewie i przez kolejne kilka minut nie zatrzymywałem się i nie zwalniałem, a później zacząłem kluczyć. Nie mogłem być pewien, czy Łowca Ciał nie wiedziała, że zabrałem się z nią na przejażdżkę, a jeśli mnie śledziła lub wysłała za mną konstrukt, nie chciałem zaprowadzić jej do Molly. Dlatego dywan przyśpieszył z sześćdziesięciu czy osiemdziesięciu do ponad stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, a ja jednocześnie utkałem wokół siebie zasłonę – w efekcie wystrzeliłem do przodu i po prostu zniknąłem. Leciałem nisko, prześlizgując się ulicami, i dopiero po tym, jak po raz piąty czy szósty przeciąłem swój ślad, nie zauważając nikogo, kto by mnie śledził, poszybowałem do domku na drzewie.

Wyglądał jak miniaturowy dom, z drzwiami, sidingiem, listwami

wykończeniowymi, oknami i w ogóle. Drabinka sznurowa umożliwiała wspięcie się na ganek, ale została wciągnięta. Podfrunąłem na dywan do drzwi i zapukałem uprzejmie.

– Mam cię – powiedziałem, próbując naśladować Jamesa Earla Jonesa. Lepiej mi szło z Yulem Brynnerem.

W oknie pojawiła się pełna napięcia twarz Molly. Dziewczyna zamrugała.

– Harry?

– Skąd ta kokieteria, nowicjuszek? Właściwie mnie wessałaś razem z Łowcą Ciał.

Molly zmrużyła oczy.

– W co byłam ubrana, kiedy się poznaliśmy?

Zamrugąłem, otworzyłem usta, zamknąłem je, zastanowiłem się, po czym stwierdziłem:

– Molly, daj spokój. Nie mam pojęcia. Ubrania? Miałaś chyba z osiem lat, twoja mama próbowała zamknąć mi przed nosem drzwi, a ja przyszedłem zobaczyć się z twoim tatą.

Skinęła głową, jakby właśnie takiej odpowiedzi oczekiwała, i otworzyła drzwi.

– Wejdz.

Wszedłem razem z nią do domku na drzewie.

W środku był większy niż na zewnątrz. W wyobraźni da się robić takie rzeczy. To całkiem niezła zabawa. W swoim zamku mam jedną szafę wnękową, która wygląda jak wielki tor wrotkarski w klimacie disco. Wrotkarze od razu rzucają się do ataku, muzyka sprawia, że wybuchają głowy, a kula dyskotekowa sieje wokół morderczymi promieniami lasera.

Kwatera główna Molly wyglądała jak – nie żartuję – mostek USS *Enterprise*. Ten stary. Ten pełen tarcz, które wyraźnie do niczego nie służyły i na którym co pięć czy sześć sekund rozlegało się wysokie, odbijające się echem ćwierkanie.

Scenografia ta miała jednak pewną zaletę – Molly nosiła jeden z tych mundurów z lat sześćdziesiątych, z krótką spódniczką.

Posłuchajcie, nie interesuje mnie związek z tą dziewczyną. Ogromnie ją kocham. Ale to nie zmienia faktu, że Molly wygląda fantastycznie. Trzeba by nie mieć oczu, żeby tego nie zauważyć, a ja zawsze byłem człowiekiem, który umie docenić wspaniały krajobraz, ale nie czuje od razu potrzeby, by rozbić w nim obóz.

Właściwie, kiedy się rozejrzałem, dostrzegłem kilka różnych Molly, wszystkie nosiły mundury z lat sześćdziesiątych z krótką spódniczką, a każda siedziała na innym stanowisku. Ta, która otworzyła mi drzwi, miała smoliście czarne włosy,

obcięte równiutko w chłopięcym stylu, i odrobinę spiczaste uszy.

– *Star Trek?* – spytałem ją. – *Serio?*

– I co z tego? – Uniosła nienaturalnie czarne brwi.

– Na świecie są dwa rodzaje ludzi, Molly. Fani *Star Treka* i fani *Gwiezdnych wojen*. To wstrząsające.

Prychnęła.

– Epoka nerdowskiego szufladkowania się skończyła, Harry. Można lubić oba.

– Błuznierstwo i kłamstwo.

Uniosła brew w doskonałym naśladownictwie Nimoya i wróciła na swoje stanowisko.

Molly Oficer Komunikacyjny, w czerwonym mundurze, z czarnym afro i srebrnym czymś wielkości tostera w uchu, ogłosiła:

– Kwadrant czwarty spadł poniżej pięciu procent, a na kwadrant trzeci wywierany jest dodatkowy nacisk.

Kapitan Molly, w złotym mundurze i z włosami starannie ułożonymi w stylu Jacqueline Onassis, odwróciła fotel w stronę Molly Komunikacyjnej.

– Wyciągnij wszystko i przenieś do kwadrantu trzeciego, zanim oni tam dotrą. – Fotel odwrócił się w stronę Molly Oficer Naukowej. – Detonuj bomby atomowe w czwartym.

Molly Naukowa uniosła z powątpiewaniem brew.

– Cicho bądź. Ja tu jestem kapitanem, ty jesteś pierwszym oficerem i koniec – warknęła Kapitan Molly. – Trwa wojna. Detonujemy atomówki. Cześć, Harry.

– Molly. Atomówki?

– To miała być dla nich niespodzianka.

Z przodu pomieszczenia znajdował się wielki ekran telewizora – nie płaski. Wielki, lekko zaokrąglony, stary ekran kineskopowy. Nagle wypełniła go biel.

– Chorąży – odezwała się Kapitan Molly.

Chorąży Molly, w czerwonym mundurze, z aparatem na zębach, na oko dziesięć lat młodsza od Kapitan Molly, pokręciła paroma tarczami, które do niczego nie służyły, i jaskrawe białe światło przygasło.

Na zewnątrz rozległ się długi krzyk. Potężny. Skali Godzilli albo i silniejszy.

Wszyscy na mostku zamarli. Niewidzialna orkiestra dęta zagrała złowieszczą melodię: *baam-paaaaaaaaam*.

– Chyba żartujesz. – Rozejrzałem się dookoła. – Ścieżka dźwiękowa?

– Nie chciałam. – Chorąży Molly odezwała się pełnym napięcia, nastoletnim

głosem. Miała rosyjski akcent, który kojarzył mi się z Sanią. – Kiedy byłam młodsza, zbyt często oglądałam ten serial, jasne?

– Twój mózg to bardzo dziwne miejsce.

To miał być komplement i ton mojego głosu to przekazał. Chorąży Molly uśmiechnęła się do mnie promiennie i wróciła na stanowisko.

Podszedłem do fotela kapitana od prawej strony i zaplotłem ręce na piersiach. Ekran znów zaświecił, ukazując spustoszony fragment miejskiej sieci. Nie, nie zdziesiątkowany. Gdyby ta część miasta została zdziesiątkowana, zniszczeniu uległby jeden budynek na dziesięć. To właśnie znaczy „zdziesiątkowany”. Osobiście uważam, że dawno temu jakaś szanowana osoba z telewizji pomyliła „spustoszony” i „zdziesiątkowany”, a że nikt nie chciał wytknąć jej błędu, wszyscy zaczęli używać ich naprzemiennie. Ale, do diabła, słowa znaczą to, co znaczą, nawet jeśli wszyscy uważają, że powinny znaczyć coś innego.

Molly Naukowa odezwała się ponurym głosem.

– Wybuch atomowy potwierdzony. Siły wroga w kwadrancie czwartym zostały zdziesiątkowane, pani kapitan.

Mocno zacisnąłem wargi.

– Dziękuję, pierwszy. – Molly znów odwróciła się do przodu. – Harry, yyy... Pomocy?

– Nie jestem pewien, co mogę zrobić, nowicjuszko – powiedziałem poważnie. – Ledwie udało mi się ukraść z gruzów dywanik łazienkowy i zrobić z niego latający dywan. Jej ataki przechodzą przeze mnie i odwrotnie.

Patrzyła na mnie przez chwilę i dostrzegłem, że po twarzach wszystkich obecnych na mostku przemknął ten sam strach. Później odetchnęła głęboko, pokiwała głową i spojrzała przed siebie. Zaczęła wydawać rozkazy, a jej inne wcielenia odpowiadały spokojnymi głosami.

Po kilku minutach Kapitan Molly odezwała się do mnie.

– Skoro nie jesteś tutaj, żeby... To znaczy, skoro nie możesz mi pomóc, po co tu jesteś?

– Bo ty tu jesteś – odpowiedziałem spokojnie. – Przynajmniej mogę ci towarzyszyć.

– Jeśli ona zwycięży... – Kapitan Molly przełknęła ślinę. – Zginiesz.

Prychnąłem i posłałem jej uśmiech.

– To najlepsze w byciu duchem, nowicjuszko. Już jestem martwy.

– Kwadrant trzeci się wali – poinformowała Molly Oficer Komunikacyjna. – Kwadrant drugi spadł do dwudziestu procent.

Kapitan Molly przygryzła wargę.

– Ile kwadrantów? – spytałem.

– Cztery. No wiesz. Kwadranty.

Chciałem powiedzieć coś o zdziesiątkowanym, ale nie zrobiłem tego.

– Jesteśmy w kwadrancie pierwszym?

Kapitan Molly pokiwała głową.

– Ja... wątpię, żebym mogła ją powstrzymać, Harry.

– Walka nie kończy się do samego końca, dziewczyno. Nie pozwól, żeby cię pokonała. Zmusz ją, żeby włożyła w to wysiłek.

Molly Naukowa odezwała się stanowczym tonem.

– Śmierć nie jest tu jedyną konsekwencją. Jeśli Łowca Ciał zwycięży, będzie miała pełen dostęp do naszych talentów, zdolności, wspomnień i wiedzy. Choć spędziłyśmy ostatnie miesiące, oddalając się od innych, by zabezpieczyć się przed taką sytuacją, Łowca Ciał i tak mogłaby zadać poważne straty nie tylko naszym przyjaciołom i rodzinie, ale też zupełnie niewinnym ludziom. To niedopuszczalne, pani kapitan.

Kapitan Molly spojrzała na Molly Naukową, a później na mnie.

– Walka się jeszcze nie skończyła. Przygotuj bombę Omega, ale jeszcze jej nie uzbrajaj.

– Tak jest.

Molly Naukowa wstała i przeszła na drugą stronę mostka – do starej drewnianej szafki obok starych drewnianych drzwi.

Zamrugalem na ten widok.

– A niech mnie. To... trochę nie pasuje do reszty motywów.

Kapitan Molly zakaszła głośno.

– To? Tym nie musisz się przejmować. Nie zwracaj na to uwagi.

Molly Naukowa wyjęła ze starej szafki urządzenie wielkości niedużej kuchenki mikrofalowej i nacisnęła jeden przycisk. Później ustawiła ją na konsoli obok siebie.

– Yyy. Bomba Omega?

– Łowca Ciał mnie nie dostanie – stwierdziła stanowczo Kapitan Molly. – Nigdy.

– A trzymasz ją w tej starej drewnianej szafce, bo...

– Nie wiem, o czym mówisz – rzuciła Kapitan Molly lekceważąco. – Chorąży, pokaż na ekranie kwadrant drugi.

Opuściłem Kapitan Molly, która wciąż wydawała rozkazy, i podszedłem do Molly Naukowej.

– Kapitan nie chce, żebym wiedział, o co chodzi z tamtymi drzwiami.

– Z całą pewnością nie. – Molly Naukowa również odezwała się konfidencjonalnym tonem. – To drzwi ograniczonego dostępu do informacji.

– Dlaczego?

– Bo jeśli masz informacje na ich temat, jesteś jednym z tych, którzy powinni mieć informacje na ich temat – odparła spokojnie. – A jeśli nie, to lepiej, żebyś nie miał informacji. Kapitan uważa, że dość już wycierpiałeś.

– Dość wycierpiałeś? Co chciałaś przez to powiedzieć?

– Nie mam nic więcej do powiedzenia na ten temat – stwierdziła Molly Naukowa.

– To moja wina – odezwała się Chorąży Molly. – Przepraszam. Posłuchaj, nie chciałam tej szafki i drzwi, jasne? Ale nic nie mogę na to poradzić.

Mieliście kiedyś wrażenie, że stoicie w sali pełnej wariatów?

Ja je miałem. To nieprzyjemne uczucie.

Wpatrywałem się w drzwi i starą drewnianą szafkę. Drzwi nie były wyjątkowe w żadnym aspekcie – standardowe drzwi na zawiasach, choć dość stare i podniszczone. Podobnie szafka. Drewno obu z nich przed laty pomalowano brązową bejcą. Pokrywały je zadrapania i wgłębienia, nie takie, jakby ktoś próbował je zniszczyć, ale wynikające z wielu lat używania.

Wyglądały trochę znajomo.

Z namysłem wpatrywałem się w drzwi i szafkę, od czasu do czasu spoglądając na stary kineskopowy ekran, podczas gdy kwadrant drugi uginał się pod atakiem Łowcy Ciał. Walki były zażarte, ale ona wciąż się nie ujawniła, a Molly nie udało się zabić jej atomówkami, bo wtedy atak by się skończył. Kolejny kwadrant został zniszczony, a Molly detonowała kolejne potężne konstrukty bomb atomowych. Później trzeci i kolejne bomby. Po żadnym z tych dwóch wybuchów nie rozległ się głośny wrzask, jak po pierwszym. Molly zraniła Łowcę Ciał, ale to nie wystarczyło.

– Niech to diabli. – Kapitan Molly zacisnęła pięść i wpatrzyła się w ekran. – Musi być teraz blisko. Ale gdzie?

Na ulicach było tak wiele walczących konstruktów, że dosłownie wypełniały je sterty ciał, co spowalniało natarcie wroga – ale go nie zatrzymało.

Do diabła, czułem się bezradny. Stanie obok dziewczyny nie mogło jej w niczym pomóc, ale ja ledwie trzymałem się na tym świecie. Po prostu nie mogłem sprawić, by cokolwiek się wydarzyło, czy tutaj, czy w prawdziwym świecie. Mogłem jedynie...

...używać cholernego mózgu. No przecież.

– Zaczekajcie. Molly, mam pomysł.

Wszystkie Molly odwróciły się do mnie.

Zwróciłem się do Kapitan Molly.

– Spowolnijcie ją. Musisz spowolnić Łowcę Ciał. Cokolwiek możesz zrobić, musisz kupić trochę czasu. Ruszaj!

Kapitan Molly zamrugnęła. Później odwróciła się i zaczęła wykrzykiwać rozkazy. Molly na mostku przekreślały tarcze i wciskały klawisze.

Odwróciłem się do Molly Komunikacyjnej.

– Hej, zajmujesz się komunikacją, prawda?

Wydawała się skonsternowana.

– Prawda.

– Musimy nawiązać kontakt. Rozmowa międzymiastowa.

– Teraz? – Molly Komunikacyjna otworzyła szerzej oczy.

– Teraz, do diabła – poprawiłem ją.

Pochyliłem się i krótkimi zdaniami wyjaśniłem, czego potrzebowałem.

– To będzie trudne. Reaktor już działa na sto procent wydajności.

Odezwałem się głosem Seana Connery’ego:

– To niech da szto dziesięć procent.

Molly Naukowa uniosła brew i nacisnęła przycisk.

– Inżynier, tu mostek.

– Tak jest! – wrzasnęła Molly ze szkockim akcentem. – Czego chcecie teraz?

– Więcej mocy, Inżynierze.

Odpowiedzią był ciąg gwałtownych przekleństw – ale dudnienie maszyn w tle stało się odrobinę głośniejsze, a podłoga zawibrowała.

Molly Naukowa wskazała palcem na Molly Komunikacyjną.

– Dawaj.

– Mayday – powiedziała Molly Komunikacyjna do konsoli. – Mayday. Transmisja nadzwyczajna. Pilnie potrzebujemy wsparcia...

Nagle wszystko się przechyliło i wszyscy się zatoczyli.

– Nie wierzę w te bzdury – mruknąłem.

– Znalazła nas, pani Kapitan – powiedziała Molly Naukowa. – Tarcze siedemdziesiąt procent.

– Uderzyć w nią wszystkim, co mamy! – rzuciła Kapitan Molly.

– W końcu – warknęła Molly Taktyczna.

Siedziała obok Chorążego Molly w złotym mundurze wyglądającym niemal tak samo, jak mundur Kapitan Molly. Przez cały mój pobyt siedziała tam, nie robiła absolutnie nic i wydawała się znudzona. Teraz odwróciła się i zaczęła gorączkowo



naciskać przyciski, a na mostku rozległy się tandetne efekty dźwiękowe.

– Minimalne uszkodzenia – poinformowała Molly Naukowa.

Mostek znów się zakołysał i wszyscy się zachwialiśmy. Jeden z paneli wybuchł w fontannie iskier. Jakaś Molly w czerwonym mundurze, która wcześniej się nie odzywała, padła na ziemię.

– To nie jest prawdziwe – powiedziała Chorąży Molly. – Przepraszam, moja wina. Nie umiem się pozbyć niektórych rzeczy.

Zawyły alarmy informujące o uszkodzeniach. Brzmiały jak mocno zniekształcone krzyki młodej kobiety.

– Tarcze padły, pani kapitan! – poinformowała Molly Naukowa.

I sięgnęła po bombę Omega.

– Nie! – warknąłem. – Powstrzymaj ją!

Kapitan Molly spojrzała na mnie i skoczyła na Molly Naukową. Złapała bombę Omega.

– Stop! – rozkazała.

– Tu nie ma miejsca na uczucia – rzuciła Molly Naukowa. – Już po wszystkim. Tylko tyle możesz zrobić, żeby ich ochronić.

– Wydałam ci rozkaz! – warknęła Kapitan Molly.

– Pozwalasz, by zapanował nad tobą strach – odparła chłodno Molly Naukowa. – To jedyne logiczne rozwiązanie.

Kapitan Molly krzyknęła z wściekłości i walnęła Molly Naukową w twarz.

Molly Naukowa odpowiedziała okrzykiem i uderzyła Kapitan Molly pięścią w brzuch.

Rozległa się muzyka. Głośna. Wysoka. Wojownicza. Większość by ją rozpoznała.

– Przepraszam! – Chorąży Molly się skuliła.

Podbiegłem, żeby złapać walczące Molly – i moje dłonie przeszły przez nie. Racja. Byłem tu obserwatorem. Mile widzianym, jasne, ale jeśli chciałem kontrolować to, co się działo, musiałem zrobić to brutalnie, jak Łowca Ciał.

Odwróciłem się do Chorążego Molly.

– Do diabła, zrób coś!

– Nic nie mogę zrobić. – Spojrzenie miała niepewne i pełne smutku. – Zachowują się tak od czasu, kiedy cię zabiły.

Wpatrywałem się w Molly i czułem, że opada mi szczęka.

Czas się zatrzymał.

Drzwi. Stare drewniane drzwi.

Szafka, w której Molly trzymała samobójczą bombę.

Odwrociłem się w ich stronę.

W mojej głowie rozległy się słowa matki chrzestnej.

„Obecnie zostałeś uwolniony od okowów śmiertelności. Twój ograniczony umysł już nie utrudnia dostępu do tego zapisu. Jedyne blokady twoich wspomnień są te, na które sam pozwalasz”.

Pamiętałem drzwi. Szafkę.

Pamiętałem przeszłość.

\* \* \*

Sania nalegał, żeby położyć mnie na tablicy, kiedy zabrali mnie do Świętej Marii od Aniołów, po tym, jak moje mieszkanie spłonęło. Ciemnoskóry Rycerz Krzyża sam wyniósł mnie ze swojego minivana do kościoła, niósł tablicę i moje sto kilo żywej wagi na ramieniu, jakbym był wielkim workiem psiej karmy.

Molly ruszyła przodem, zmartwiona, i pośpiesznie coś komuś tłumaczyła. Nie byłem pewien komu – domyślałem się, że jednemu z księży. Bolało mnie wszystko, co czułem. A miejsca, których nie czułem – wołałbym, żeby bolały.

Moje ciało, od pasa w dół, przestało się do mnie odzywać.

Spadłem z drabiny, kiedy próbowałem wydostać starych sąsiadów z budynku, i wylądowałem na kamiennym kwietniku. Pechowo, na plecach. Czasami miewałem szczęście. Tym razem nie. Wiedziałem, co oznaczał upadek, miejsce uderzenia i brak czucia w dolnej połowie ciała.

Złamałem kręgosłup.

Czerwony Król miał moją córkę. Byłem jedyną osobą, która zamierzała cokolwiek z tym zrobić. A upadłem i złamałem kręgosłup.

Sania zaniósł mnie do pomieszczenia użytkowego służącego głównie jako magazyn – szczególnie jako magazyn dla poturbowanego maga i jego przyjaciół, kiedy potrzebowali schronienia w kościele. W pomieszczeniu znajdowało się kilka złożonych łóżek polowych. Sania odstawił mnie na bok, rozłożył łóżko, przykrył je pościelą, a następnie umieścił mnie na nim, cały czas z tablicą.

– Równie dobrze możesz zostawić mnie na podłodze – zauważyłem. – I tak leżę na desce.

– Phi. – Przystojną ciemną twarz Sani rozjaśnił biały uśmiech. – Nie mam ochoty myć podłogi po tym, jak się stąd zabierzesz. Pościel upierze ktoś inny.

– I kto to mówi. Śmierdzisz spalonymi włosami.

– Rzeczywiście część się zapaliła – powiedział radośnie, jednak jego spojrzenie było mało wesołe. Położył dłoń na mojej piersi. – Jesteś poważnie ranny.

– Tak.

– Napijesz się?

Jedną dłoń trzymał na wysokości kieszeni na piersi kurtki, w której – jak wiedziałem – miał flaszkę.

– Pas. Może spróbuję sobie z tym poradzić.

Chrząknął z obrzydzeniem, wyjął wspomnianą piersiówkę, pociągnął łyk i mrugnął do mnie.

– Nigdy nie zrozumiałem, na czym polega różnica. *Da?*

W drzwiach pojawiła się Molly. Sania spojrzał na nią.

– Jest w drodze.

W głosie Molly brzmiało napięcie. Jej dzień nie był aż tak paskudny jak mój, ale i tak wydawała się wstrząśnięta.

Sania zaproponował dziewczynie piersiówkę. Pokręciła głową.

– W porządku – stwierdził wielki Rosjanin. – Porozmawiam z Forthillem, powiem mu, co się dzieje.

– Sania. – Molly położyła mu dłoń na ramieniu. – Dziękuję.

Uśmiechnął się do niej szeroko.

– Może tylko przypadkiem pojawiłem się wtedy, kiedy ty.

Dziewczyna przewróciła oczami i popchnęła go lekko w stronę drzwi. Wielki mężczyzna nawet nie drgnął pod wpływem tego ruchu, ale odszedł, a Molly zapaliła lampkę i zamknęła za nim drzwi. Podeszła do mnie i wyjęła z torby kilka wilgotnych chusteczek z KFC. Uklękła obok łóżka, otworzyła je i zaczęła wycierać mi twarz.

Zamknąłem oczy i nic nie mówiłem.

Moja córeczka miała umrzeć.

Moja córeczka miała umrzeć.

A ja nic nie mogłem na to poradzić.

Och, już wcześniej przegrywałem. Z powodu mojego niepowodzenia ginęli ludzie. Ale ci ludzie nigdy nie byli z mojego ciała i mojej krwi. Nie byli moim dzieckiem. Przegrałem. Zostałem pokonany.

Wszystko się skończyło. A to wszystko jest twoją winą, Harry.

Gdybym był szybszy. Gdybym był bystrzejszy. Gdybym miał dość silny umysł, by podjąć trudne decyzje, skupić się najpierw na ratowaniu Maggie, a później na całej

reszcie...

Ale nie byłem. Nie dorosłem do wyzwania, a ona miała umrzeć z tego powodu.

Załamałem się wtedy. Po prostu się załamałem. Zadanie, które otrzymałem, było ciężarem nie do zniesienia. A później czekał mnie jedynie dręczący żal. Zawiodłem własne dziecko.

Moja pierś zadrżała, jęknąłem, a oczy wypełniły mi łzy i już nic nie widziałem.

Molly siedziała obok mnie i cierpliwie oczyszczała moją twarz i szyję chusteczkami. Musiała pokrywać mnie sadza. Kiedy odzyskałem wzrok, na chusteczkach były spore plamy szarości i czerni, a skóra na mojej twarzy była chłodna i trochę mrowiła.

– Muszę jej pomóc – powiedziałem cicho.

– Harry, nie... nie przekreślaj noża w ranie. Teraz musisz zachować spokój, aż Butters przyjdzie cię zobaczyć.

– Szkoda, że go w to wmieszałaś.

– Nawet go nie prosiłam. Zdążyłam wypowiedzieć może pół zdania, a on spytał, gdzie jesteś. Później powiedział, że przyjdzie cię obejrzyć.

Pokręciłem głową.

– Nie. Chodzi mi o to... – Odetchnąłem głęboko. – Dziewczyno. Muszę przekroczyć granicę.

Molly znieruchomiała z wyciągniętą ręką.

– Sam nie wstanę z tego łóżka – powiedziałem cicho. – To jedyna możliwość.

Ktoś, kto obraca się w moich kręgach, dostaje więcej niż kilka propozycji mocy. Zawsze ma swoją cenę, zwykle ukrytą, ale propozycje się pojawiają. Dostałem więcej niż kilka szans poprawienia swojej pozycji, gdybym tylko był gotów zrezygnować z rzeczy w rodzaju prawości. Nie byłem.

Aż do tego dnia.

– Kto? – spytała po prostu Molly.

Uniosłem kącik warg.

– Jedno jest podobne do drugiego.

Pokręciła głową.

– Ale... ale jeśli pójdziesz do jednego z nich...

– Zmienią mnie w potwora – dokończyłem cicho. – Prędzej czy później.

Nie chciała na mnie spojrzeć.

– Nie mogę na to pozwolić. O ile wiem, mógłbym zmienić się w coś, co samo zrobiłoby krzywdę Maggie. Ale może uda mi się wykorzystać ich, żeby wydostać ją

z niebezpieczeństwa.

Odetchnęła gwałtownie i popatrzyła na mnie.

– To musi być Mab. Jest piekielnie inteligentna, ale nie wszechwiedząca i nieomylna. Już wcześniej oszukiwałem faerie. Znów mi się to uda.

– Zostaniesz Rycerzem Zimy? – Molly znowu pokręciła głową. – A jeśli ona nie? To znaczy, jeśli nie zechce?

Zaśmiałem się cicho.

– Ależ zechce. Jeśli do niej przyjdę, zrobi to. Polowała na mnie od dawna.

– Nie rozumiem. Ona... ona cię wypaczy. Zmieni. To właśnie robią.

Niezgrabnym gestem złapałem ją za rękę.

– Molls... Cokolwiek się wydarzy... Tego już nie przeżyję.

Wpatrywała się we mnie przez minutę. Później potrząsnęła głową. Potrząsnęła głową, a z jej oczu płynęły łzy.

– Molly. – Poklepałem ją po dłoni. – Dzieciaku... Wszystko ma swój czas.

– Nie. Nie waż się cytować przy mnie Biblii. Nie, żeby uzasadnić coś takiego.

– Biblia? Cytowałem *The Byrds*.

Wydała z siebie stłumiony odgłos, który był jednocześnie śmiechem i łkaniem.

– Posłuchaj, Molls. Nic nie trwa wiecznie. Nic. A gdybym miał wybrać między sobą a moją córką? To nawet nie jest wybór. Przecież wiesz.

Pochyliła głowę i rozplakała się jeszcze bardziej. Ale dostrzegłem skinienie. Bardzo delikatne.

– Potrzebuję twojej pomocy – powiedziałem.

Popatrzyła na mnie przekrwionymi oczami.

– Załatwię sprawy. Ale Mab będzie czujna. Zna moją historię, a jeśli będę wiedział, co się dzieje, zobaczy, że ją okłamuję. Nie mam wystarczająco pokerowej twarzy.

– Nie. – Molly pociągnęła nosem i energicznie otarła oczy. – Nie. Nadal nie umiesz nikogo okłamać, szefie.

– Może ludzi, którzy mnie znają. – Uśmiechnąłem się. – Rozumiesz, o co cię proszę?

Przygryzła wargę.

– A ty? Zastanowiłeś się, co to będzie dla mnie znaczyć, kiedy będziesz... będziesz...

– Martwy – powiedziałem cicho. – Myślę, że Ebenezar albo Indianin Joe przejmą twoje szkolenie. Obaj wiedzą, jak poważnie traktuję ochronienie cię przed osądem Rady.

Molly wyglądała na wyczerpaną. Lekko pokręciła głową.

– Nie to miałam na myśli.

– Och.

Molly zakochała się we mnie, kiedy była nastolatką. Niewiele o tym myślałem. W końcu minęło wiele lat, a...

...a zakochanie nie trwa latami. Prawda? Znika. Uczucia Molly nie, ale ja ich nie odwzajemniałem. Kochałem ją z całego serca, ale nie zamierzałem się w niej zakochać.

Zwłaszcza jeśli umrę.

Gdyby nasza sytuacja była odwrotna, też pewnie byłoby mi trochę trudno to zaakceptować.

Znów niezręcznie poklepałem ją po dłoni.

– Przepraszam. Że nie było mnie tu dłużej. Że nie mogło być czegoś więcej.

– Nigdy mnie nie skrzywdziłeś, Harry. – Uniosła brodę i znów spojrzała mi w oczy.

– Ale tu nie chodzi o mnie, prawda? Tylko o Maggie. – Pokiwała głową i zobaczyłem, jak się prostuje. – Dlatego oczywiście ci pomogę.

Uniosłem jej palce do warg i złożyłem na nich delikatny pocałunek.

– Jesteś niesamowitą kobietą, Molly. Dziękuję.

Zadrżała.

– Jak chcesz to zrobić?

– Przynies mi telefon. Muszę zadzwonić. Ty zostań na zewnątrz. Lepiej, żebyś nie wiedziała.

– W porządku. A później?

– Później tu wrócisz. Uśpisz mnie. Usuniesz z mojej głowy wspomnienie tej rozmowy i rozmowy przez telefon.

– Jak? Jeśli pozostawię widoczne luki, mogę zrobić ci krzywdę... i może to być widoczne dla kogoś tak potężnego jak Mab.

Zastanowiłem się nad tym.

– Zdrzemnąłem się chwilę, kiedy tu jechaliśmy. Spraw, żeby to wyglądało tak, jakbym przez cały czas pobytu tutaj się nie obudził, tylko dopiero po wszystkim.

Rozważyła to i stwierdziła:

– Może się udać. Jeśli zrobię to wystarczająco powoli, może nie zostać ślad.

– W takim razie zrób to w taki sposób.

Wstała. Podeszła do podniszczonej drewnianej szafki przy ścianie i otworzyła ją. Pośród innych rzeczy znajdował się tam również stary telefon z tarczą, na długim kablu, prowizoryczna linia, którą Forthill podciągnął przez ściankę działową

z sąsiedniego pomieszczenia. Molly przyniosła aparat i położyła go ostrożnie na mojej piersi. Później podeszła do równie podniszczonych drewnianych drzwi.

– Wiesz, że mogłabym to zmienić, Harry. Mogłabym się dowiedzieć, kogo wykorzystasz, żeby się zabić. Mogłabym wydobyć to z twojej głowy i odwołać tę osobę. Ty byś się nawet nie dowiedział.

– Mogłabyś to zrobić – powiedziałem cicho. – I czuję się jak bydlak, że cię o to proszę, nowicjuszko. Ale nie mam nikogo innego.

– Powinieneś zadzwonić do Thomasa. Zasługuje, by znać prawdę.

Thomas. Mój brat. Moja rodzina. Jedyne krewne małżeństwo Maggie po mojej śmierci. I Molly miała rację. Zasługiwał, żeby poznać prawdę.

– Nie. – Mój głos był niewiele głośniejszy od szeptu. – Powiedz mu później, jeśli chcesz. Po wszystkim. Jeśli zrobisz to wcześniej, nie zgodzi się. Będzie próbował to powstrzymać.

– I może miałby rację.

– Nie. Ale i tak by to zrobił. To mój wybór, Molls.

Odwróciła się do wyjścia.

– Nigdy wcześniej nie mówiłaś do mnie „Molls”.

– Czekałem. Na moment, kiedy już nie będziesz moją praktykantką. Chciałem wypróbować brzmienie.

Uśmiechnęła się do mnie. Wylała jeszcze jedną łzę.

I wyszła.

Minęła chwila, nim zebrałem się w sobie. Później wybrałem na tarczy telefonu numer międzynarodowy.

Rozległ się beznamiętny głos.

– Kincaid.

– Dresden z tej strony.

Głos zabrzmiał odrobinę cieplej.

– Harry. Co się dzieje?

Odetchnąłem głęboko.

– Jesteś mi winien przysługę – powiedziałem cicho. – Za tę sprawę z Ivy na wyspie.

– Cholerna racja.

– Chcę ją odebrać.

– W porządku. Potrzebujesz wsparcia?

– Mam dla ciebie cel.

Po drugiej stronie na chwilę zapanowała cisza.

- Mów – powiedział w końcu.
- Nowy Rycerz Zimy.
- Jest nowy?
- Będzie.
- Skąd... – Znów cisza. – Ach tak.
- Mam dobry powód.
- Naprawdę?
- Jest taka mała dziewczynka.

Znów cisza.

- Będziesz wiedział, co cię czeka.
- Nie. Nie będę. Zajmę się tym.
- W porządku. Kiedy?

Zamierzali zabić moją córkę przed następnym wschodem słońca. Doszedłem do wniosku, że jeśli nie zginę w trakcie, dostarczenie jej do domu może trochę zająć.

– W dowolnym momencie jutro po południu – odpowiedziałem. – Im wcześniej, tym lepiej.

- W porządku.
- Znajdziesz mnie?
- Jasne.
- Nie zawahaj się.
- Zawsze spłacam długi.

Znów westchnąłem.

– Racja. Dzięki.

Zaśmiał się cicho.

– Podziękowania. To coś nowego.

Rozłączył się. Ja też. Później zawołałem Molly.

– W porządku. Zróbmy to.

Molly zabrała telefon i odłożyła go z powrotem do szafki. Później wzięła cienką, nową świeczkę w lichtarzu i pudełko zapalek. Podeszła, postawiła świeczkę na pobliskim składanym stoliku, gdzie mogłem ją widzieć, nie ruszając głową. Zapaliła ją zapałką.

– Dobrze. Harry, to ma być gładka, delikatna robota. Skup się na świecy. Musisz uspokoić umysł, żebyś mogła zrobić swoje.

Czułem się dziwnie, pozwalając, żeby nowicjuszka przejęła prowadzenie – ale pewnie do tego ją właśnie szkoliłem. Skupiłem się na świecy i zacząłem uspokajać



myśli.

– Dobrze – powiedziała po chwili Molly, jej głos był miękki jak aksamit. – Rozluźnij się. Odetchnij powoli i głęboko. Dobrze... Słuchaj mojego głosu i pozwól, bym cię poprowadziła. Teraz kolejny głęboki oddech...

I razem ze współniczką skończyłem aranżowanie swojej śmierci.

# Rozdział pięćdziesiąty

Wyłoniłem się ze wspomnienia, zadrżałem i zdezorientowany rozejrzałem się dookoła. Wciąż znajdowałem się w umyśle Molly, na tandetnym mostku. Panowała cisza. Absolutna cisza. Nic się nie ruszało. Obrazy na ekranach i różne Molly zamaryły jak manekiny. Wszystko, co działo się w bitwie, działo się z prędkością myśli – błyskawicznie. Istniał tylko jedyny powód, dla którego wszystko znieruchomiało w samym środku walki.

– I tyle, jeśli chodzi o te bzdury z liniowością czasu, co? – Mój głos brzmiał szorstko i chrapliwie.

Za moimi plecami rozległy się kroki, a pomieszczenie stawało się coraz jaśniejsze. Po chwili pozostało tylko białe światło, musiałem unieść rękę, żeby osłonić przed nim oczy.

Światło odrobinę przygasło. Znów podniosłem wzrok i odkryłem, że znajduję się w pozbawionej wszelkich cech charakterystycznych białej przestrzeni. Nie byłem nawet pewien, na czym stoję i czy w ogóle stoję na czymkolwiek. Nie było nic poza bielą...

...i młodym mężczyzną o ciemnozłoty włosach, które opadały w nieładzie na jego srebrzystoniebieskie oczy. Jego kośćmi policzkowymi można by kroić chleb. Miał na sobie dzinsy, znoszone ciężkie buty, białą koszulę i dzinsową kurtkę, a żaden młody człowiek zrodzony na ziemi nie mógłby stać w tak całkowitym bezruchu.

– Jesteś przyzwyczajony do liniowości czasu. – Jego głos był dźwięczny, głęboki, aksamitny, niemal melodyjny, jak u niektórych spikerów radiowych. – To był najłatwiejszy sposób, by pomóc ci zrozumieć.

– Nie jesteś trochę za niski jak na archanioła?

Uriel uśmiechnął się do mnie. Była to mina z gatunku tych, które sprawiały, że kwiaty zaczynały rozkwitać, a niemowlęta śmiać się perliście.

– Stosowne. Muszę przyznać, że osobiście jestem raczej fanem *Gwiezdných wojen* niż *Star Treka*. To proste rozróżnienie między dobrem a złem, wyraźne rozdzielenie tego, co doskonale właściwe i doskonale niewłaściwe... jest relaksujące. Czuję się młody.

Przez chwilę po prostu się na niego gapiłem i usiłowałem zebrać myśli. Wspomnienie, które właśnie odzyskałem, było boleśnie wyraziste. Boże, biedne dziecko. Molly. Nie chciałem sprawić jej bólu. Z własnej woli została moją współniczką i zrobiła to świadomie, ale, Boże, żałowałem, że to musiało się jej przydarzyć. Tak bardzo cierpiała, a teraz wiedziałem dlaczego – i wiedziałem, dlaczego szaleństwo, które udawała, mogło być o wiele bardziej realne, niż sądziła.

I dlatego właśnie Murphy tak bardzo jej nie ufała. Doskonale знаła się na ludziach. Musiała wyczuć coś w Molly, jej ból i desperację, i w jej głowie zapaliło się ostrzegawcze światełko. Taka podejrzliwość i brak zaufania musiały ogromnie zranić Molly, nawet jeśli Karrin była przy tym bardzo uprzejma. A ból sprawił, że odsunęła się jeszcze bardziej i zachowywała jeszcze dziwniej, co wzbudzało jeszcze więcej podejrzeń. Błędne koło.

Nigdy nie chciałem, by tak się stało.

Co ja narobiłem?

Ocaliłem Maggie – ale przy okazji zniszczyłem swoją praktykantkę? Jeśli tak, to fakt, że dałem się zabić, nie miał najmniejszego wpływu na moralność moich czynów. Nie można tak po prostu wybrać, czyje życie ocalić, a czyje zniszczyć. Nieodłączna arogancja i fundamentalne zło takiego postępowania są zbyt zakorzenione, by ich uniknąć – i to mimo najlepszych intencji.

Wiedziałem, dlaczego Molly chciała mnie skłonić, żebym powiedział Thomasowi. Podobnie jak ja wiedziała, że Thomas spróbuje powstrzymać mnie przed samobójstwem, niezależnie od moich motywów. Ale miała rację jeszcze w innej kwestii – był moim bratem. Zasługiwał na więcej, niż mu dałem. Dlatego właśnie od chwili powrotu do Chicago ani razu o nim nie pomyślałem. Jak mógłbym pamiętać o bracie, nie przypominając sobie, jaki wstyd czułem, że mu nie zaufałem? Jak mogłem pomyśleć o Thomasie, nie myśląc o tym, co zrobiłem?

Trudno mi było uwierzyć, że jestem człowiekiem, który mógł się zmusić do zapomnienia i przemilczenia czegoś, zamiast stawić czoło rzeczywistości, choćby i bardzo bolesnej.

Pewnie nie jestem doskonały.

Młody mężczyzna przede mną czekał cierpliwie, najwyraźniej dawał mi czas na zebranie myśli i nic nie mówił.

Uriel. Od początku powinienem się tego domyślić. Uriel to archanioł, o którym większość ludzi nie wie zbyt wiele. Większość nie zna nawet jego imienia – a jemu to odpowiada. Jeśli Gabriel jest ambasadorem, Michał generałem, a Rafał uzdrowicielem

i przywódcą duchowym, to Uriel jest szefem wywiadu – szpiegiem Niebios. Uriel wykonywał dla Wszechmogącego wszelkiego rodzaju tajne zadania. Kiedy tajemniczy aniołowie pojawiali się, by mocować się z biblijnymi patriarchami, nie zdradzając swojej tożsamości, kiedy śmierć spadła na pierworodnych Egiptu, kiedy wysłano anioła do miast zepsucia, by pomógł niewinnym uniknąć gniewu, wszędzie tam miał swój udział Uriel.

Był najcichszym z archaniołów. Przy moim podejściu sugerowało to, że był również najbardziej niebezpiecznym.

Zauważył mnie przed kilku laty i obdarzył pewną mocą znaną jako ogień duszy. Od tamtej pory wykonałem dla niego zadanie albo trzy. Od czasu do czasu zaglądał z irytującymi, tajemniczymi radami. W sumie go lubiłem, ale był też nieznośny – i przerażający, w sposób, jakiego nie doświadczyłem nigdy wcześniej. Emanował aurą czegoś... ohydnie absolutnego. Czegoś, co nie ustąpiłoby ani się nie zmieniło, nawet gdyby rozpadł się sam wszechświat. W jego obecności miałem wrażenie, że stałem się niezmiernie kruchy i mógłbym rozpaść się w pył, gdyby archanioł kichnął albo przypadkiem drgnął mu niewłaściwy mięsień.

Co, biorąc pod uwagę moc, jaką posiadała taka istota, było pewnie właściwą oceną sytuacji.

– To wszystko – zatoczyłem ręką półkole – miało służyć zaprowadzeniu mnie tam? Do tamtego wspomnienia?

– Musiałeś zrozumieć.

Spojrzałem na niego z ukosa i odezwałem się zmęczonym głosem.

– Epicka. Porażka. Ponieważ nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Uriel odchylił głowę do tyłu i roześmiał się.

– To była jedna z tych rzeczy, w których chodziło o podróż, nie o cel.

Pokręciłem głową.

– Chyba... chyba się pogubiłem.

– Wręcz przeciwnie, Harry, odnalazłeś siebie.

Popatrzyłem na niego, po czym zacząłem szarpać włosy.

– Uch! Nie możesz udzielić mi bezpośredniej odpowiedzi? Czy istnieje jakieś prawo wszechświata, które zmusza cię do bycia tak cholernie tajemniczym?

– Właściwie kilka. – Uriel wciąż wyglądał na rozbawionego. – A wszystkie zaprojektowane, żeby was chronić, ale wciąż mogę powiedzieć ci kilka rzeczy.

– W takim razie powiedz mi, dlaczego to wszystko? Dlaczego podstępem skłoniliście mnie do powrotu do Chicago? Dlaczego?

– Jack ci powiedział. Tamci oszukiwali. Trzeba było przywrócić równowagę.  
Potrzęsnałem głową.

– Tamto biuro, w Chicago Pomiędzy. Było twoje.

– Jedno z. – Pokiwał głową. – Mam mnóstwo pracy. Werbuję tych, którzy chcą mi pomóc.

– Jakiej pracy?

– Tej samej, co zawsze. Ja i moi współpracownicy trudzimy się, by zapewnić wolność.

– Wolność czego?

– Woli. Wyboru. Rozróżnienie między dobrem a złem przestaje mieć znaczenie, jeśli nie ma wolności wyboru między nimi. Moim obowiązkiem, moim celem w Stworzeniu jest chronić i pielęgnować to znaczenie.

Zmrużyłem oczy.

– Czyli... jeśli zająłeś się moją śmiercią... – Przechyliłem głowę. – To dlatego, że ktoś mnie zmusił?

Uriel machnął ręką, odwrócił się i cofnął o kilka kroków.

– „Zmusić” sugeruje, że cudza wola przemogła twoją – rzucił przez ramię. – Ale istnieje więcej niż jeden sposób, by wpłynąć na twoją wolę.

Zmarszczyłem czoło. Powoli zaczynałem rozumieć.

– Kłamstwa.

Archanioł odwrócił się i unióśł brwi, jakbym był trochę ograniczonym uczniem, który zaskoczył nauczyciela wnikliwą odpowiedzią.

– Tak. Dokładnie. Jeśli ktoś uwierzy w kłamstwo, wpływa to na jego wolną wolę.

– I co? Kapitan Jack i Czyścowa Ekipa ruszają na ratunek za każdym razem, kiedy ktoś skłamie?

Uriel się roześmiał.

– Nie, oczywiście, że nie. Śmiertelnicy mogą kłamać, jeśli dokonają takiego wyboru. Inaczej nie byłiby wolni. – Jego spojrzenie stwardniało. – Ale od innych oczekuje się więcej. Ich kłamstwa są o wiele bardziej niebezpieczne, o wiele potężniejsze.

– Nie rozumiem.

– Wyobraź sobie istotę, która była obecna, kiedy pierwszy śmiertelnik pierwszy raz zaczerpnął tchu. – Wokół nas zatańczyły ostre, wściekłe błyski światła, zauważalne nawet na tle bezkształtnej bieli. – Taką, która widziała, jak ludzkość wznosiła się z pyłu, by rozprzestrzenić się po całym świecie i zmienić jego oblicze. Taką, która

całkiem dosłownie widziała, jak dziesiątki tysięcy śmiertelników zaczynają się, wzrastają, przygasają i kończą.

– Kogoś w rodzaju anioła – powiedziałem cicho.

– Kogoś w tym rodzaju. – Uriel na chwilę pokazał zęby. – Istotę, która zna całe życie śmiertelnika. Zna jego marzenia. Jego lęki. Jego myśli. Taka istota, tak dobrze zorientowana w ludzkiej naturze, śmiertelnym sposobie myślenia, mogłaby dokładnie przewidzieć, jak dany śmiertelnik zareaguje na właściwie każdy bodziec. – Uriel wskazał na mnie. – Na przykład, jak mógłby zareagować na proste kłamstwo wypowiedziane we właściwym momencie.

Uriel machnął ręką i nagle znów znaleźliśmy się w pomieszczeniu użytkowym Świętej Marii. Tyle tylko że nie leżałem na tablicy na łóżku polowym. A raczej dokładnie to robiłem – a jednocześnie stałem obok Uriela, w drzwiach, i patrzyłem na siebie.

– Pamiętasz, o czym myślałeś? – spytał mnie Uriel.

Pamiętałem. A właściwie pamiętałem doskonale.

– Myślałem, że już wcześniej przegrywałem. Że z powodu mojego niepowodzenia ginęli ludzie. Ale ci ludzie nigdy nie byli z mojego ciała i mojej krwi. Nie byli moim dzieckiem. Przegrałem. Zostałem pokonany. – Pokręciłem głową. – Pamiętam, jak mówiłem sobie, że wszystko się skończyło. A to wszystko jest twoją winą, Harry.

– Ach – powiedział Uriel, kiedy dokończyłem ostatnie zdanie, i podniósł dłoń. – A teraz patrz.

Zamrugalem, patrząc na niego, a później na obraz mnie samego leżącego na łóżku polowym.

– Ja nie...

Zmarszczyłem czoło. W cieniach w pomieszczeniu było coś dziwnego, ale...

– Tutaj.

Uriel uniósł rękę. Pojawiło się światło, jakby nagłego wschodu słońca. Wypełniło pomieszczenie, wyraźnie wszystko oświetlając – i wtedy zobaczyłem.

Obok łóżka kulił się szczupły cień, niewyraźny i trudny do zauważenia, nawet w blasku Uriela – ale był tam i nachylał się, jakby chciał szepnąć mi do ucha.

„A to wszystko jest twoją winą, Harry”.

Ta myśl, to wspomnienie, przez chwilę odbijała się echem w mojej głowie. Zadrzałem.

– Ten... ten cień. To anioł?

– Kiedyś nim był. – Głos Uriela był łagodny... i nieskończenie smutny. – Dawno,

dawno temu.

– Jeden z Upadłych. – Westchnąłem.

– Tak. Który wiedział, jak cię okłamać, Harry.

– No tak. Obwinianie się o wszystko, co złe, nie jest no... całkowicie nie w moim stylu, stary.

– Jestem tego świadom... i to tam również. – Skinął na cień. – Wykorzystanie twojej własnej praktyki przeciwko tobie jeszcze wzmocniło kłamstwo. Ale ta istota wiedziała, co robi. Chodzi o wycucie czasu. W tej właśnie chwili, w tym stanie umysłu, jeden szept w twoich myślach wystarczył, by popchnąć cię do podjęcia decyzji. – Uriel spojrział na mnie i uśmiechnął się lekko. – Dodał dość złości, dość obwiniania się, dość poczucia winy i dość rozpaczki do twoich rozważań, żebyś zadecydował, że zniszczenie samego siebie jest jedynym rozwiązaniem, które ci pozostało. Odebrał ci wolność. – Jego spojrzenie znów stwardniało. – W miarę możliwości staram się coś takiego powstrzymywać. A kiedy nie mogę, wolno mi przywrócić równowagę.

– Nadal nie rozumiem. Jak mój powrót, by przez kilka nocy nawiedzać Chicago, może przywracać cokolwiek?

– Ależ nie. Obawiam się, że ja mogę działać jedynie w sposób odzwierciedlający wykroczenie.

– Ty... możesz mi szepnąć do ucha?

– A dokładniej... szepnąć siedem słów. To, co zrobiłeś, było... wyborem.

– Wyborem?

– Nie byłem bezpośrednio zamieszany w twój powrót. Moim zdaniem musiało się to wydarzyć... ale nie było wymagania, byś powrócił do Chicago – powiedział spokojnie Uriel. – Zgłosiłeś się na ochotnika.

Przewróciłem oczami.

– No tak. Bo gdybym tego nie zrobił, troje moich przyjaciół by zginęło.

Uriel gwałtownie uniósł brew. Później sięgnął do kieszeni kurtki i wyciągnął telefon komórkowy. Rozległo się kilka pisków, po czym przełączył go na głośnik, a ja usłyszałem dzwonek.

– Murphy – zabrzmiał baryton kapitana Jacka.

– Dresden powiedział mi, że trojgu jego przyjaciół stanie się krzywda. O co w tym chodzi?

– Dresden – powtórzył Jack z roztargnieniem, jakby szukał w pamięci i niczego nie znalazł.

Uriel wydawał się lekko zniecierpliwiony. Nie kupował tego.

– Wysoki, chudy, niefrasobliwy i odesłany do Chicago, żeby odszukał tego, kto go zabił?

– A, tak. On. Ten gość.

– Tak.

Zapadła cisza, a później Jack spytał:

– Co z nim?

Uriel, niech Pan błogosławi jego anielskie serce, przymknął na chwilę oczy i odetchnął głęboko dla uspokojenia.

– Collinie... – rzekł głosem rodzica ganiącego dziecko.

– Mogłem coś o tym wspomnieć. Pewnie. Facet ma mnóstwo przyjaciół. Jego przyjaciele walczą z potworami. Uznałem, że co najmniej trojgu z nich stanie się krzywda, jeśli nie będzie go tam, żeby im pomóc. Wydawało się to rozsądne.

– Collinie. – W głosie Uriela słyszałem ocean rozczarowania i łyżeczkę złości. – Skłamałeś.

– Zgadywałem – odparł kapitan Jack. – Skłoniłem go, żeby postąpić właściwie, czyż nie?

– Collinie, naszym celem jest bronić wolności... nie decydować, jak należy z niej korzystać.

– Wszystko, co mu powiedziałem, formalnie było mniej więcej prawdą i wykonałem zadanie. – W głosie Jacka brzmiał upór. – Sir, gdybym był doskonały, nie pracowałbym w tym miejscu. Prawda?

I się rozłączył. Na głośniku. Rozmawiając z cholernym archaniołem.

Nic nie mogłem na to poradzić. Roześmiałem się na całe gardło.

– Zostałem podstępem namówiony, by to zrobić, przez... Na gwiazdy i kamienie, nawet nie wiedziałeś, że on... Wielki twardy anioł, a jednak zamydlił ci oczy...

Przestałem próbować mówić i po prostu się śmiałem.

Uriel spojrział na telefon, później na mnie, a następnie znów schował urządzenie wyraźnie skonsternowany.

– Nieważne, jak bardzo jestem przekonany, że dobrze znam wasz rodzaj, Harry. Zawsze znajdą jakiś sposób, żeby wystawić moją cierpliwość na próbę.

Minęła chwila, nim zapanowałem nad śmiechem, ale w końcu mi się to udało.

– Posłuchaj, Uri, nie chciałem powiedzieć...

Archanioł posłał mi spojrzenie tak lodowate, że słowa zamarzyły mi w ustach.

– Harry Blackstonie Copperfieldzie Dresdenie – powiedział cicho... i całkowicie



poprawnie, wypowiadając moje Imię głosem pełnym tej samej absolutnej mocy, która tak bardzo wytrąciła mnie wcześniej z równowagi. – Nie próbuj zdrabniać mojego imienia. Część, którą opuściłeś, przypadkiem jest bardzo ważna dla tego, kim jestem. Rozumiesz?

Nie rozumiałem. Ale kiedy mówił, wiedziałem – nie tylko podejrzewałem, ale wiedziałem – że ten gość jedną swoją myślą mógłby mnie unicestwić, razem z planetą, na której stałem. Właściwie, jeśli to, co czytałem na temat archaniołów było prawdą, Uriel pewnie mógłby rozwalić wszystkie planety. To znaczy wszystkie. Wszędzie.

Wiedziałem również, że to, co właśnie zrobiłem, obraziło go.

I... przestraszyło.

Przełknąłem ślinę. Potrzebowałem dwóch prób, ale w końcu wyszeptalem:

– Prawdziwy z ciebie Pan Słoneczko.

Uriel zamrugał. Przez chwilę nie wydawał się już taki pewny siebie.

– Pan Słoneczko... jest całkowicie akceptowalne. Tak sędzę.

Pokiwałem głową.

– Przepraszam. Za twoje imię. Nie uświadamiałem sobie, że jest tak...

– Intymne – dokończył cicho. – Wrażliwe. Imiona mają potężną moc, Dresdenie. A śmiertelnicy rzucają nimi na prawo i lewo, jakby były zabawkami. Czasem przypomina to patrzenie na dzieci bawiące się granatami ręcznymi. – Kiedy spojrzał na mnie, na jego twarzy pojawił się ślad uśmiechu. – Niektórzy bardziej niż pozostali. I wybaczam ci oczywiście.

Pokiwałem głową. Po chwili spytałem:

– Co teraz?

– To zależy od ciebie. Zawsze możesz pracować dla mnie. Sędzę, że uznałbyś to za wyzwanie... a mnie przydałby się ktoś o twoich talentach.

– Jak długo? To znaczy... dla gości takich jak kapitan Jack. Wieczność?

Uriel się uśmiechnął.

– Collin, jak pozostali, jest ze mną, bo nie jest jeszcze przygotowany, by stawić czoło temu, co przychodzi później. Kiedy będzie, zrobi ten krok. Na razie nie jest.

– Kiedy mówisz „to, co przychodzi później”, co dokładnie masz na myśli?

– Część związaną ze słowami „zawsze”, „wieczność” i „sąd”.

– Och. To, Co Przychodzi Później.

– Dokładnie.

– Czyli mogę zostać Pomiedzy. Albo wsiąść do tego pociągu.

– Jeśli to zrobisz – spojrzenie Uriela było przenikliwe i poważne – przyjmiesz konsekwencje wszystkiego, co zrobiłeś za życia. Kiedy zostaniesz osądzony, zostanie wzięte pod uwagę, co zrobiłeś. O twoim losie zadecydują twoje czyny za życia.

– Mówisz, że jeśli nie będę pracował dla ciebie, będę musiał zaakceptować to, co nadejdzie.

– Mówię, że nie możesz uniknąć konsekwencji swoich wyborów.

Przez jakąś minutę patrzyłem na niego ze zmarszczonym czołem.

– Jeśli wsiądę do pociągu, równie dobrze może mnie zawieźć prosto do piekła.

– Nie wolno mi rozmawiać z tobą na ten temat. To, co przychodzi później, to kwestia wiary, Harry. Nie wiedzy.

Założyłem ręce na piersi.

– A jeśli podoba mi się bycie duchem?

– Wcale nie. Ale nawet gdyby tak było, zauważyłbym, że twoja duchowa esencja została niemal unicestwiona. Nie przetrwałbyś długo jako cień, nie miałbyś też siły, by pomagać swoim bliskim i ich chronić. Gdybyś utracił zdrowe zmysły, mógłbyś nawet stać się dla nich zagrożeniem... ale jeśli tego pragniesz, mogę ci to umożliwić.

Pokręciłem głową i spróbowałem się zastanowić.

– To... zależy.

– Od czego?

– Moi przyjaciele. Moja rodzina. Muszę wiedzieć, że nic im nie jest.

Uriel wpatrywał się we mnie przez chwilę, a później otworzył usta, jednocześnie lekko potrząsając głową.

– Przestań. – Pogroziłem mu palcem. – Nie waż się zmuszać mnie do dokonania tego wyboru w ciemno. Kapitan Jack dostarczył mi półprawdę, która sprawiła, że znów zacząłem się kręcić po Chicago. Inny anioł powiedział mi kłamstwo, które mnie zabiło. Jeśli naprawdę tak bardzo przejmujesz się moją wolną wolą, to chętnie pomożesz mi podjąć świadomą, dorosłą decyzję. Zatem, albo przyznaj, że próbujesz mnie popchnąć w swoją stronę, albo postępuj zgodnie ze swoimi zasadami i zagraj ducha teraźniejszych świąt Bożego Narodzenia.

Wpatrywał się we mnie przez dłuższą chwilę, marszcząc czoło.

– Z twojego punktu widzenia... tak, pewnie tak to właśnie wygląda. – Stanowczo pokiwał głową i wyciągnął do mnie dłoń. – Weź mnie za rękę.

Zrobiłem to.

Biały przestwór znów ustąpił rzeczywistości. Nagle znalazłem się z Urielem w kryjówce Łowcy Ciał, na schodach, na których doszło do ostatecznej konfrontacji. Molly stała na szczycie schodów oparta plecami o ścianę. Jej ciało prężyło się i napinało, pierś unosiła się w rozpaczliwych oddechach. Krew płynęła z jej nozdrzy i wypełniła twardówkę oczu, zmieniając je w nieludzkie z wyglądu czerwono-niebieskie kamienie. Wydawała z siebie sapnięcia i stłumione okrzyki oraz wypowiadała słowa, które nie miały sensu.

Uriel znów zrobił to coś ręką, a ja nagle zobaczyłem Molly jeszcze wyraźniej – i dostrzegałem, że otacza ją jakaś ohydna masa, niczym pyton duszący swoją ofiarę. Składała się z pasm czegoś w rodzaju lepkiej galarety, fioletowej i czarnej, pokrytej pulsującymi czyrakami, które śmierdziały zgnilizną i rozkładem.

Łowca Ciał.

Pojedynek Molly z Łowcą Ciał trwał.

Ciało Buttersa leżało u stóp Molly, pozbawione życia i ruchu. A jego cień – teraz widziałem, że został związany pasmami mrocznej magii Łowcy Ciał – stał w dokładnie takiej samej pozycji jak wcześniej, wpatrując się z przerażeniem w swoje własne ciało. W pomieszczeniu stacji trafo Murphy i wilki wiązała ta sama mroczna magia, co Buttersa – zaklęcie usypiające, które pozbawiło ich zmysłów.

Molly jęknęła, przyciągając moje spojrzenie do szczytu schodów. Nogi się pod nią ugięły i ześlizgnęła się powoli po ścianie. Przewracała gwałtownie oczami. Jej usta zaczęły poruszać się z większą pewnością, jej głos stał się silniejszy. I mroczniejszy. Przez jakieś dwie sekundy spomiędzy warg Molly wydobywał się nienawistny śmiech Łowcy Ciał. Ta ohydna, lepka masa zaczęła po prostu wnikać w skórę młodej kobiety.

– Zrób coś – powiedziałem do Uriela.

Pokręcił głową.

– Nie mogę się wtrącać. Ta bitwa była wyborem Molly. Znała ryzyko i postanowiła je podjąć.

– Nie jest dość silna. Nie może pokonać tego czegoś.

Uriel uniósł brew.

– Byłeś pod wrażeniem, że nie wiedziała tego od samego początku, Harry? A jednak to zrobiła.

– Ponieważ czuła się winna. Bo obwinia się o moją śmierć. Jedzie na tym samym wózku, co ja.

– Nie. Żaden z Upadłych nie wypaczył jej ścieżki.

– Nie, to byłem ja, ale tylko dlatego, że jeden z nich mnie dopadł.

– Mimo wszystko ten wybór był twój... i jej.

– Zamierzasz tak po prostu tu stać?

Uriel założył ręce na piersi i postukał palcem w brodę.

– Hm. Wygląda na to, że ona rzeczywiście zasługuje na pomoc. Może gdybym miał dość przytomności umysłu, by się upewnić, że jakiś agent zostanie wysłany, by przywrócić równowagę, by dać jej tę odrobinę zachęty, tę jedną iskrę natchnienia, która odwróciłaby bieg historii... – Ze smutkiem pokręcił głową. – Wszystko mogłoby wyglądać zupełnie inaczej.

Jakby na dany znak, Mortimer Lindquist, ektomanta, wykuśtykał z dolnego korytarza i wkroczył do pomieszczenia stacji trafo, po prawicy miał cień sir Stuarta.

Rozejrzał się uważnie, a potem zatrzymał wzrok na Molly.

– Ej, ty – wychrypiał. – Ty. Arogancka widmowa suko.

Oczy Molly otworzyły się gwałtownie i spojrzały na Morta. Wypełniało je więcej gorzkiej, jadowitej nienawiści, niż mogłaby w nich zmieścić moja praktykantka.

– Naprawdę nie kręci mnie bycie bohaterem – stwierdził Mort. – Nie mam do tego właściwego usposobienia. A do tego o łotrze po drugiej stronie też nie wiem zbyt wiele. – Stanął pewniej, spojrzał prosto w twarz Łowcy Ciał i zacisnął dłonie w pięści. – Ale wydaje mi się, idiotko, że nie powinnaś zostawiać pieprzonego ektomanty z jamą pełną upiorów do zabawy.

Wtedy właśnie zza rogu wyłoniło się z wyciem ponad tysiąc upiorów, chmura szarpiących rąk, zgrzytających zębów i krzyczącego głodu. Unosiły się na fali mocy Morta i już nie dryfowały z leniwym, chaotycznym wdziękiem. Teraz pędziły naprzód jak burzowe chmury, jak biegnące wilki, jak głodne rekiny, przyływ bezmyślnego zniszczenia.

Zobaczyłem, że oczy Molly otwierają się szerzej i pulsująca duchowa masa, która była Łowcą Ciał, zaczęła wycofywać się z młodej kobiety.

Moja praktykantka jej na to nie pozwoliła.

Molly odetchnęła ze świstem i rozcapierzyła palce dłoni, chwytając powietrze. Widziałem magiczną energię magii otaczającą jej palce, więc złapała esencję Łowcy Ciał tak, jakby była prawie materialna. Duch nekromantki zaczął przeciekać przez palce Molly. Wyczerpana dziewczyna mogła jedynie spowolnić Łowcę Ciał.

Ale to wystarczyło.

Fala upiorów uderzyła w Łowcę Ciał jak rozpędzony pociąg, ich wycie zmieniło się w odgłos, który słyszałem już wcześniej, w tunelu kolejowym, z którego wyciągnął mnie Carmichael. W chwili gdy Łowca Ciał oderwała się od Molly, zaczęła przybierać

swoją zwyczajową postać i widziałem wstrząs i grozę w jej pięknych oczach, gdy zalał ją duchowy przypyływ. Patrzyłem na jej próżną szarpaninę, kiedy orszak upiorów ciągnął ją po schodach w górę i w mrok nocy. Orszak uniósł ją w powietrze – a później odwrócił się i wbił ją w ziemię.

Widziałem, że próbowała krzyknąć.

Ale słyszałem jedynie głośny gwizd pociągu jadącego na południe.

I wtedy zniknęła.

– Masz rację. – W głosie Uriela brzmiała chłodna satysfakcja. – Ktoś musiał coś zrobić. – Spojrzał na mnie, skinął mi lekko głową i powiedział: – Dobra robota.

Mort pokuśtykał po schodach w stronę Molly.

– To ty mnie wezwałaś, tak?

Molly popatrzyła na niego zbyt wyczerpana, by ruszyć czymś poza głowę.

– Harry... Trochę trudno wyjaśnić, co się działo. Ale powiedział mi, że możesz pomóc.

– Chyba miał rację.

– Gdzie on jest? To znaczy jego duch.

Mort rozejrzał się dookoła i spojrzał prosto na mnie – przeze mnie. Pokręcił głową.

– Nie tutaj.

Molly zamknęła oczy i zaczęła cicho płakać.

– Dopadłam ją, szefie – szepnęła. – Dopadliśmy ją. I wciąż tu jestem. Wciąż jestem sobą. Dziękuję.

– Ona mi dziękuje – powiedziałem. – Za to.

– I za wiele więcej – stwierdził Uriel. – Wciąż ma życie. Przyszłość. Wolność. Wiesz, ocaliłeś ją. Pomysł, żeby w ostatnich momentach psychicznej bitwy wezwała Mortimera, był błyskotliwy.

– Zbyt wiele ją kosztowałem.

– O ile pamiętam, kiedy ruszyłeś na pomoc córce, mówiłeś coś o tym, że świat może spłonąć. Że razem z małą usmażycie pianki nad płomieniami.

Ponuro pokiwałem głową.

– Powiedzenie „niech świat spłonie” to jedno. Powiedzenie „niech Molly spłonie” to coś zupełnie innego. A różnicą jest tylko imię.

– Tak – wychrypiałem. – Zaczynam to sobie uświadamiać. Trochę za późno, żeby coś to dało. Ale rozumiem.

Uriel patrzył na mnie i nic nie mówił.

Pokręciłem głową.

– Odpocznij, dzieciaku! – zawołałem, choć wiedziałem, że mnie nie usłyszysz. – Zasłużyłaś na to.

\* \* \*

Scena rozgrywała się dalej. Murphy i wilki obudzili się niecałą minutę po tym, jak Łowca Ciał wylądowała za drzwiami. Will i jego towarzyszkę wrócili do ludzkiej postaci, a sir Stuart szepnął coś Mortowi, który podbiegł do leżącego ciała Buttersa. Rzucił subtelne, skomplikowane zaklęcie, w porównaniu z którym część moich wyglądała dość prymitywnie, i przeniósł ducha Buttersa z rozpadającego się zaklęcia Łowcy Ciał z powrotem do jego ciała.

Trwało to kilka minut, a kiedy Butters się obudził, Andi i Marci, obie nagie i obie całkiem atrakcyjne, przeprowadzały właśnie resuscytację krążeniowo-oddechową. Utrzymywały jego ciało przy życiu pod nieobecność duszy.

– A niech mnie – wybełkotał Butters, kiedy otworzył oczy. Przenosił spojrzenie z jednej wilkołaczej dziewczyny na drugą. – Odjąć koszmarny ból w piersiach, migrenę, całą tę pleśń i stęchliznę, a chyba śnię.

I stracił przytomność.

Po chwili pojawili się gliniarze. Dwóch z nich Murphy znała. Wilkołaki zniknęły w mroku nocy na kilka sekund przed pojawieniem się radiowozów, zabierając ze sobą nielegalną część uzbrojenia Murphy. Murph i Mort opowiedzieli glinom, że Wielkie Kaptury porwały Morta i go torturowały, a jeśli nie wyjawili im całej prawdy, to to, co rzeczywiście powiedzieli, było w stu procentach prawdziwe.

Molly i Butters trafili pod opiekę ratowników medycznych, razem z paroma Wielkimi Kapturami, poobijanymi i pogryzionymi. Ratownicy zajęli się też Mortem, który jednak nie dał się zabrać do szpitala. Reszta Wielkich Kapturów dostała kajdanki i podwózkę do centrum. Boza wywieziono jak uśpionego nosorożca.

Karrin i Mort stali na zewnątrz, kiedy mundurowi wszystko załatwiali, a ja podszedłem bliżej, żeby ich posłuchać.

– ...wrócił, żeby pomóc. Czasami się to zdarza. Niektórzy ludzie umierają, czując, że coś nie zostało ukończone. Dresden pewnie czuł, że nie zrobił dosyć, żeby cokolwiek zmienić. – Mort pokręcił głową. – Jakby ten wielki matoł nie wywałął wszystkiego do góry nogami, gdziekolwiek się pojawił.

Karrin uśmiechnęła się słabo i pokręciła głową.

– Zawsze powtarzał, że znasz się na duchach. Jesteś pewien, że to był on?

Mort spojrzał na nią z ukosa.

– Ja i wszyscy inni, tak.

Karrin spochmurniała i spojrzała w przestrzeń.

Mort zmarszczył czoło, ale po chwili jego mina złagodniała.

– Nie chciałaś, żeby to był jego duch. Prawda?

Murphy powoli pokręciła głową, ale nic nie odpowiedziała.

– Chciałaś, żeby wszyscy mylili się w tej kwestii. Bo jeśli to naprawdę był jego duch – powiedział Mort – to znaczy, że on naprawdę nie żyje.

Twarz Murphy... po prostu się wykrzywiła. Łzy wypełniły jej oczy, zwiesiła głowę. Jej ciało drżało.

Mort przez chwilę przygryzał wargę, po czym spojrzał na gliniarzy. Nic już nie powiedział do Murphy ani nie próbował jej dotknąć – ale stanął między nią i pozostałymi, żeby nikt nie widział, jak płacze.

Do diabła.

Żałowałem, że nie byłem dość bystry, żeby za życia dostrzec, jakim człowiekiem był Mort.

Przez chwilę przyglądałem się Karrin, a później się odwróciłem. Za bardzo bolało mnie patrzeć na jej cierpienie, kiedy nie mogłem wyciągnąć do niej ręki, opowiedzieć pikantnego dowcipu, znaleźć jakiegoś sposobu, żeby kreatywnie mi ubliżyła, albo inaczej pokazać, że jest dla mnie ważna.

Nie wydawało się w porządku, że mógłbym się z nią pożegnać, nawet jeśli ona by tego nie usłyszała. Ona nie miała szansy, by powiedzieć to mnie. Dlatego się nie odezwałem. Spojrzałem na nią po raz ostatni i odszedłem.

Kiedy wróciłem do Uriela, rozmawiał z sir Stuartem.

– Sam nie wiem – mówił sir Stuart. – Nie jestem... tak w porządku jak kiedyś, sir.

– Pozostało więcej niż dosyć, by wszystko odbudować – odparł Uriel. – Zaufaj mi. Ruiny ducha takiego jak sir Stuart są bardziej materialne niż to, co udaje się przywołać większości ludzi. Byłbym bardzo zadowolony, gdybyś dla mnie pracował.

– Mój potomek. – Sir Stuart spojrzał ze zmarszczonym czołem na Morta.

Uriel patrzył, jak Mort osłania smutek Karrin.

– Wiernie go strzegłeś, Stuarcie. A on przez ostatnie lata ogromnie urósł. Sądzę, że nic mu nie będzie.

Cień sir Stuarta popatrzył na Mortimera i uśmiechnął się, a na jego twarzy malowała się niezaprzeczalna duma. Później posłał spojrzenie Urielowi.

– Wciąż będę mógł walczyć, tak?

Uriel popatrzył na niego z powagą.

– Sądzę, że coś dla ciebie znajdę.

Sir Stuart zastanawiał się przez chwilę, po czym pokiwał głową.

– Tak jest, sir. Tak jest. Zbyt długo przebywałem w tym mieście. Nowa kwatery jest dokładnie tym, czego potrzebuję.

Uriel spojrział na mnie ponad sir Stuartem i mrugnął.

– Doskonale. – Uścisnął dłoń sir Stuarta. – Skontaktuje się z tobą człowiek nazwiskiem Carmichael.

\* \* \*

Zostałem do chwili, kiedy wszyscy zniknęli w gęstej mgle, która wciąż spowijała ziemię. Zajęło to mniej czasu, niż zwykle zajmują takie rzeczy – nikt nie zginął. Nie trzeba było wzywać techników. Mundurowi zamknęli stare metalowe drzwi najlepiej, jak umieli, zakleili je na krzyż taśmą policyjną i wydawali się gotowi zignorować wybitą w nich dziurę.

– Wiesz, nic im nie będzie – powiedział cicho Uriel. – Dzisiejsze obrażenia nie będą śmiertelne dla żadnego z nich.

– Dziękuję. Że mi to powiedziałeś.

Pokiwał głową.

– Podjąłeś już decyzję?

Potrząsnąłem głową.

– Pokaż mi mojego brata.

Uniósł brew. Po chwili jednak wzruszył ramionami i znów podał mi rękę.

Zniknęliśmy i pojawiliśmy się w bardzo kosztownie umeblowanym mieszkaniu. Od razu rozpoznałem apartament mojego brata.

Trochę się zmienił. Surowy wystrój oparty na elementach ze szrotowanej stali złagodniał. Stare plakaty musicali z Broadwayu zastąpiły obrazy, głównie sielankowe pejzaże, które stanowiły interesujący ciepły kontrast dla pierwotnego stylu mieszkania. Puste przestrzenie z moich wspomnień wypełniały świece i inne ozdoby, dodając jeszcze więcej ciepła. W sumie całość bardziej przypominała teraz dom, a mniej dekoracje na scenie.

Kilka rzeczy nie pasowało. W salonie przed wielkim płaskim telewizorem HD rozmiarów stołu stał fotel. Był obity brązową skórą, na pierwszy rzut oka wygodny i nie pasował do reszty pokoju. Były też na nim płamy z jedzenia. Na stoliku obok



leżały puste butelki.

Drzwi się otworzyły i do środka wszedł mój brat Thomas. Miał pewnie niecały metr osiemdziesiąt, choć nie umiałem tego ocenić – nosił tak wiele różnych rodzajów modnych butów, że jego wzrost ciągle odrobinę się zmieniał. Miał też ciemne włosy, obecnie długości mojego najkrótszego palca, rozczochrane. Nie tylko rozczochrane, ale tak po prostu rozczochrane, nie starannie rozczochrane, co w przypadku Thomasa wyglądało okropnie. Miał też parutygodniowy zarost – nie dość długi, by był prawdziwą brodą, ale za długi, by uznać go za seksowne niedogolenie.

Jego zimne szare oczy były zapadnięte i podkrążone. Miał na sobie dzinsy i koszulkę z plamami po napojach. Nawet nie udawał, że w zimną noc potrzebował kurtki, a przecież wampiry z Białego Dworu bardzo pieczołowicie udawały zwyczajne istoty ludzkie, co w ich przypadku nie było trudne. Na litość boską, był boso. Wyszedł tak z domu, najpewniej do najbliższego monopolowego.

Mój brat wyjął butelkę whiskey – drogiej whiskey – z papierowej torebki i pozwolił, by papier spadł na ziemię. Później usiadł w brązowym skórzanym fotelu, wycelował pilota w telewizor i włączył go. Naciskał guziki, przeglądając kolejne kanały. Kiedy przerwał, zrobił to tylko po to, żeby pociągnąć łyk, i zatrzymał się na kanale sportowym, na którym pokazywali mecz rugby.

Później po prostu siedział i patrzył.

– Mieszkańcom jest ciężko – zauważył Uriel cichym, neutralnym głosem.

– Jak ty go nazwałeś?

Zadałem to pytanie wojowniczym tonem, co pewnie nie było szczególnie inteligentne, ale Thomas był moim bratem. Nie podobało mi się, że ktoś mógłby go oceniać.

– Potomkowie śmiertelnych i nieśmiertelnych. – Uriel nie wydawał się poruszony.

– Halflingi, półkrwi, mieszkańcy. Śmiertelna ścieżka jest wystarczająco trudna bez dodatku części naszych ciężarów.

Chrząknąłem.

– Jakiś czas temu dopadł go ten skórozmienny. Coś w nim wtedy pękło.

– Naagloshii mają potrzebę udowadniania, że każda istota, którą spotykają, jest równie pełna wad i skłonna do ciemności jak oni sami. To... daje im pewien rodzaj fałszywego spokoju, tak sędzę, takie okłamywanie samych siebie.

– Brzmisz, jakby ci było ich szkoda – powiedziałem ostrym tonem.

– Żałuję całego bólu, jaki czują, a jeszcze bardziej tego, który zadają innym. Twój brat jest doskonałym wyjaśnieniem dla moich uczuć.

– To, co ten stwór zrobił Thomasowi. Jak to się różni od tego, co Upadły zrobił mnie?

– On w efekcie nie umarł – powiedział brutalnie Uriel. – Wciąż ma wybór. – Łagodniejszym głosem dodał: – To, co zrobił mu naagloshii, nie jest twoją winą.

– Wiem – odpowiedziałem niezbyt żarliwie.

Drzwi mieszkania się otworzyły i do środka weszła młoda kobieta. Miała dwadzieścia kilka lat i była oszałamiająca. Jej twarz i figura wyglądały kusząco, emanowały zdrowiem i witalnością, a włosy przypominały biały jedwab. Miała na sobie prostą sukienkę i długi płaszcz, natychmiast po wejściu zsunęła buty.

Justine stanęła w drzwiach i przez dłuższą chwilę wpatrywała się w Thomasa.

– Jadłeś coś dzisiaj? – spytała.

Thomas przełączył telewizor na inny kanał i zwiększył głośność.

Justine zacisnęła wargi. Później stanowczym krokiem weszła do drugiej sypialni.

Wyszła po chwili przy akompaniamencie stukotu wysokich obcasów. Miała na sobie bieliznę z czerwonej koronki, która niewiele pozostawiała wyobraźni, i szpilki w tym samym kolorze. Wyglądała jak modelka z okładki katalogu Victoria's Secret i poruszała się z tego rodzaju podskórna, instynktowną zmysłowością, która mogła poruszyć nawet martwego. Miałem na to empiryczne dowody.

Ale wiedziałem również, że mój brat nie może jej dotknąć. Dotyk miłości albo kogoś, kto był prawdziwie kochany, był przekleństwem dla Białego Dworu, jak woda święcona dla wampirów z Hollywood. Thomas i Justine prawie poświęcili życie, żeby uratować się nawzajem, i od tego czasu za każdym razem, kiedy mój brat jej dotknął, kończył z oparzeniami drugiego stopnia.

– Jeśli wkrótce się nie pożywisz, stracisz panowanie nad Głodem.

Thomas odwrócił wzrok. Jeszcze zwiększył głośność telewizora.

Uniosła długą, śliczną nogę i czubkiem szpilki nacisnęła główny wyłącznik listwy przedłużacza, do którego podłączono telewizor. Wyłączył się i w mieszkaniu nagle zapanowała cisza.

– Myślisz, że zranisz moje uczucia, jeśli znajdziesz sobie kochankę, choć dałam ci swoje błogosławieństwo. Jesteś nieracjonalny. W chwili obecnej nie jestem pewna, czy potrafisz jasno myśleć o konsekwencjach swoich działań.

– Nie musisz mi mówić, jak mam sobie radzić z Głodem – powiedział cicho Thomas. Spojrzał na nią i choć był przynajmniej trochę wściekły, kiedy przesuwiał wzrokiem po jej ciele, w jego spojrzeniu był czysty, bolesny głód. – Dlaczego mnie tak dręczysz?

– Bo mam już dość tego, jak sam się zadrezczasz od śmierci Harry’ego. To nie była twoja wina. I za bardzo mnie boli, kiedy codziennie widzę cię w takim stanie.

– Był na mojej łodzi. Gdyby go tam nie było...

– Zginąłby gdzie indziej – stwierdziła stanowczo Justine. – Narobił sobie wrogów, Thomasie. I dobrze o tym wiedział. Ty o tym wiedziałeś.

– Powinienem z nim być. Mógłbym coś zrobić. Coś zobaczyć.

– Albo i nie. – Justine pokręciła głową. – Nie. Nadszedł czas, miłości moja, byś przestał się tak pławić w swoim poczuciu winy. – Wygięła wargi. – To takie bardzo... emo. A ja myślę, że mieliśmy już tego dosyć.

Thomas zamrugał.

Justine podeszła do niego. Przysięgam, jej sposób poruszania wystarczyłby, żeby wystawić na próbę czyste myśli świętego. Nawet Uriel sprawiał wrażenie, jakby je doceniał. Z tą samą powolną, delikatną zmysłowością pochyliła się – co samo w sobie było całkiem ładnym widokiem – i odebrała Thomasowi butelkę.

– Kochany. Tej nocy zakończę ten twój strajk Głodowy.

Oczy Thomasa bladły z każdym uderzeniem serca, ale mimo wszystko zmarszczył czoło.

– Kochana... wiesz, że nie mogę...

Justine uniosła ciemną brew.

– Nie możesz...?

Zazgrzytał zębami.

– Dotknąć cię. Wziąć cię. Ochrona w postaci bycia zjednoczonym z kimś, kto cię kocha, poparzy mnie... nawet jeśli to ja byłem tym, który ci ją dał.

– Thomasie, jesteś naprawdę kochany. Ale wiesz, że istnieje sposób, by to obejść. Raczej prosta metoda, by usunąć ochronę wynikającą z tego, że kiedyś uprawiałam z tobą seks, miłości moja.

W drzwiach mieszkania przekręcił się klucz i do środka weszła inna młoda kobieta. Miała ciemną skórę i proste czarne włosy o egzotycznym, czerwonym połysku. Jej czekoladowe oczy były wielkie i zmysłowe, a ubrana była w czarny trenz i czarne szpilki – i, jak się okazało, kiedy płaszcz zsunął się na podłogę, nic poza tym.

– To Mara. – Justine wyciągnęła rękę, a wtedy dziewczyna przeszła przez pokój, by objąć Justine ramionami. Justine złożyła niemal siostrzany pocałunek na wargach Mary, a później popatrzyła płonąco wzrokiem na Thomasa. – A teraz, ukochany. Będę się z nią kochać, być może bez głębokiego uczucia, ale ze sporą dozą sympatii i zdrowego pożądania. Później ty będziesz mógł wziąć mnie. I zrobisz to. I wszystko

zmieni się na lepsze.

Oczy mojego brata błyszcząły srebrem.

– Powtórzyć – szepnęła Justine, pieszcząc te słowa wargami – w razie potrzeby.

Poczułem, że się rumienię, i zakaszlałem.

– W tych okolicznościach...

Archanioł wydawał się rozbawiony moim zakłopotaniem.

– Tak?

Spojrzałem na dziewczyny, które znów się całowały, i westchnąłem.

– No tak. Myślę, że mój brat sobie poradzi.

– Czyli jesteś gotów?

Spojrzałem na niego i uśmiechnąłem się lekko.

– Zastanawiałem się, kiedy do tego dotrzemy. – Znów wyciągnął do mnie rękę.

\* \* \*

Tym razem pojawiliśmy się przed chicagowskim domem. Na podwórku rośło parę starych dębów. Dom był biały, w stylu kolonialnym, z białym parkanem. O obecności dzieci świadczyło kilka bałwanów, które powoli roztopiały się na śmierć w ciepłym wieczornym powietrzu.

Dom otaczały milczące postacie, mężczyźni w ciemnych garniturach i długich płaszczach. Jeden stał obok frontowych drzwi. Inni na wszystkich rogach domu, na dachu, bardzo spokojnie, jakby nie zauważali, że ich stopy spoczywają na oblodzonej powierzchni i zaledwie kilka centymetrów dzieli ich od potencjalnie zabójczego upadku. Dwaj kolejni zajęli stanowiska w rogach frontowego podwórka, a kiedy wychyliłem się na chwilę w bok, zobaczyłem co najmniej jeszcze jednego na tyłach, również w rogu.

– Kolejni aniołowie stróże – zauważyłem.

– Michael Carpenter zdecydowanie na nich zasłużył. – Głos Uriela brzmiał ciepło. – I jego rodzina również.

Spojrzałem ostro na Uriela.

– Ona... ona jest tutaj?

– Forthill chciał znaleźć najbezpieczniejszy dom dla twojej córki, Dresdenie. Ogólnie rzecz biorąc, wątpię, by mógł sobie poradzić dużo lepiej.

Przełknąłem ślinę.

– Ona... to znaczy, czy ona...?

– Ma zapewnioną troskę. Miłość, rzecz jasna. Myślisz, że Michael i Charity zrobiliby mniej dla twojego dziecka, skoro ty tak często ratowałeś ich dzieci?

Zamrugąłem, pozbywając się łez z oczu. Głupie oczy.

– Nie, oczywiście, że nie. – Przełknąłem ślinę i postarałem się, by mój głos zabrzmiał normalnie. – Chcę ją zobaczyć.

– To nie są negocjacje z terrorystami przetrzymującymi zakładników – mruknął Uriel, ale się uśmiechał.

Podszedł do domu i wymienił skinienia głową z aniołem stróżem przy drzwiach. Przeniknęliśmy przez nie jak duchy, choć prawdziwym duchom by się to nie udało. Carpenterowie mieli próg bardziej masywny i obszerniejszy niż Wielki Mur Chiński. Wcale by mnie nie zdziwiło, gdyby go było widać z kosmosu.

Przeszliśmy przez cichy, wypełniony snem dom mojego przyjaciela. Carpenterowie byli rannymi ptaszkami. To niewytłumaczalne, ale pewnie nikt nie jest doskonały. Uriel zaprowadził mnie na piętro, obok dwóch kolejnych aniołów, i do jednej z sypialni na górze – pomieszczenia, które kiedyś było szwalnią Charity i zapasową sypialnią. Pechowi magowie od czasu do czasu znajdowali tam odpoczynek.

Przeszliśmy przez drzwi, a wtedy przywitało nas ciche, ostrzegawcze warczenie. Wielka sterta kudłatego futra, leżąca obok podwójnego łóżka, podniosła się na łapy.

– Myszek. – Padłem na kolana.

Plakałem otwarcie, kiedy mój pies prawie na mnie skoczył. Był wyraźnie uszczęśliwiony i równie wyraźnie próbował stłumić swoją radość – ale jego ogon uderzał głośno o wszystko w pomieszczeniu, a z gardła dobywały się szczenięce odgłosy zadowolenia, kiedy oblizwał mi twarz.

Wbiłem palce w jego futro, które było ciepłe, materialne i prawdziwe, drapałem go, przytulałem i mówiłem mu, że jest dobrym piskiem.

Uriel stał nad nami z uśmiechem, ale nic nie mówił.

– Ja też za tobą tęskniłem, chłopie. Wpadłem... chyba się pożegnać.

Myszek przestał merdać ogonem. Jego wielkie psie oczy popatrzyły na mnie bardzo poważnie, a później spojrzały na Uriela.

– To, co się zaczęło, musi się zakończyć, braciszku – powiedział Uriel. – Twoje zadanie tutaj jeszcze się nie skończyło.

Myszek przez chwilę przyglądał się archaniołowi, po czym westchnął i oparł się o mnie.

Drapałem go i przytulałem – i patrzyłem nad nim na moją śpiącą córkę.

Maggie Dresden była ciemnowłosym, ciemnookim dzieckiem – co było właściwie nieuniknione, biorąc pod uwagę wygląd jej rodziców. Skórę miała o ton ciemniejszą od mojej, dzięki czemu wyglądała zdrowiej niż ja kiedykolwiek. Moja cera często robi się ziemista, przez to całe siedzenie w laboratorium, czytanie i włączanie się po nocach. Jej rysy były... cóż, doskonałe. Piękne. Kiedy po raz pierwszy zobaczyłem ją na żywo, mimo wszystkiego, co działo się w tamtym czasie, gdzieś w głębi duszy wstrząsnęło mną to, jaka była zachwycająca. Była najpiękniejszym dzieckiem, jakie widziałem, no, w filmach i tak dalej.

Ale pewnie wszyscy rodzice to widzą, kiedy patrzą na swoje dzieci. To nie jest racjonalne – co nie znaczy, że nie jest prawdziwe.

Spała całkowicie rozluźniona, jak małe dzieci, z rękami uniesionymi nad głowę. Miała na sobie jedną ze starych koszulek Molly, z zużytą naprasówką z R2-D2 i podpisem BEEP BEEP DE DEEP KERWOOO.

Ukląłem obok niej, głaszcząc Myszka, ale kiedy próbowałem dotknąć jej ręki, moja dłoń przeszła przez nią, niematerialna. Oparłem głowę o wielki, solidny łeb Myszka i westchnąłem.

– Będzie tu miała dobre życie – powiedziałem cicho. – Ludzi, którzy się o nią troszczą. Którzy kochają dzieci.

– Tak – zgodził się Uriel.

Myszek kilka razy uderzył ogonem.

– Tak, przyjacielu. I będzie miała ciebie. – Spojrzałem na Uriela. – Jak długo? Chodzi mi o to, że większość psów...

– Psy świątynne mogą żyć nawet kilka stuleci. Twój przyjaciel będzie mógł ją chronić przez całe życie... nawet życie maga, jeśli okaże się to konieczne.

Poczułem się odrobinę lepiej. Wiedziałem, jakie to uczucie dorastać bez rodziców i jaką strasliwą stratą był brak tego poczucia bezpiecznej ciągłości, które miała większość dzieci wokół mnie. Maggie utraciła przybranych rodziców, później rodzoną matkę, a później biologicznego ojca. Trafiała teraz do innego domu – ale zawsze będzie miała Myszka.

– Do diabła – powiedziałem do Myszka – równie dobrze może się okazać, że będziesz lepszy w opiece nad nią, niż ja bym był.

Myszek prychnął i uśmiechnął się do mnie po psiemu. Nie umiał mówić, ale bez trudu potrafiłem sobie wyobrazić jego odpowiedź – oczywiście, że byłby lepszy ode mnie. Tej poprzeczki nie ustawiono szczególnie wysoko.

– Zaopiekuj się nią, przyjacielu. – Poklepałem go stanowczo po grzbiecie dłońmi

zwiniętymi w pięści. – Wiem, że się o nią dobrze zatroszczysz.

Myszek usiadł naprzeciwko mnie, spojrzał na mnie z uwagą i poważnie, a później bardzo powoli podał mi łapę.

Uścisnąłem mu ją ze śmiertelną powagą, wstałem i spojrzałem na archanioła.

– Dobrze – powiedziałem cicho. – Jestem gotów.

# Rozdział pięćdziesiąty pierwszy

Uriel znów wyciągnął rękę, a ja ją przyjąłem.

Dom Carpenterów zniknął mi z oczu i powróciliśmy do świata pustego białego światła. Tym razem jednak coś się zmieniło. Przed nami znajdowało się dwoje szklanych drzwi.

Jedne prowadziły do budynku biurowego – właściwie rozpoznawałem nawet wewnątrz wydziału kapitana Jacka w Chicago Pomiedzy. Widziałem, jak obok drzwi przechodzi Carmichael, sprawdza coś w notatniku i sięga do kieszeni po kluczyki do samochodu.

Drugie drzwi prowadziły w ciemność. To była niepewna przyszłość. To było To, Co Przychodzi Później.

– Ledwie pamiętam, kiedy ostatnio spędziłem tyle czasu z jednym śmiertelnikiem – odezwał się Uriel z namysłem. – Żałuję, że nie mam czasu, by robić to częściej.

Patrzyłem na niego przez dłuższą chwilę, po czym stwierdziłem:

– Nie rozumiem.

Roześmiał się. Dźwięk ten emanował ciepłem i życiem.

Odkryłem, że się uśmiecham, i dołączyłem do niego.

– Nie rozumiem, na czym polegała w tym wszystkim twoja gra.

– Gra?

Wzruszyłem ramionami.

– Twoi ludzie oszukali mnie, żebyś podjął koszarne ryzyko związane ze swoją duszą. Tak myślę. Jeśli tak to nazywasz. – Machnąłem ręką. – I możesz wiarygodnie zaprzeczać, wiem, wiem, a może rzeczywiście mówisz szczerze i to kapitan Murphy nas wszystkich ograł. Tak czy inaczej... to nie ma sensu.

– Dlaczego?

– Bo to nie miało nic wspólnego z przywróceniem równowagi po tym, jak jeden z Upadłych mnie okłamał. Jeszcze nie szepnąłeś mi do ucha niczego rodem z ciasteczka z wróżbą, prawda?

– Nie. Jeszcze nie.

– I o to mi właśnie chodzi. Równowaga wciąż nie została przywrócona. A ja nie



sądzę, żebyście odsyłali ludzi dla jaj.

Uriel przyglądał mi się uprzejmie. Nic nie mówił.

– Czyli miałeś powód, żeby to zrobić. Coś, czego nie udało ci się osiągnąć z siedmioma wyszeptanymi słowami.

– Może chodziło o przywrócenie równowagi w sytuacji z Molly.

Prychnąłem.

– Jasne. Założę się, że przez cały czas rozwiązujesz swoje problemy jeden po drugim, w uporządkowanych szeregach. Założę się, że nigdy, przenigdy nie próbujesz złapać dwóch srok za ogon.

Uriel przyglądał mi się uprzejmie. Nic nie mówił.

– Udaję się do wielkiej niewiadomej, a ty nadal nie chcesz mi udzielić prostej odpowiedzi? – spytałem z uśmiechem.

Uriel przyglądał mi się uprzejmie. Nic nie mówił. Bardzo.

Znów się roześmiałem.

– Wiesz co, gościu? Po prostu mi coś powiedz. Coś użytecznego. Zadowolili mnie, cokolwiek usłyszę.

Zacisnął wargi i zastanawiał się przez chwilę.

– Dokądkolwiek się udasz, tam jesteś.

Zamrugąłem.

– Dobry Boże. Buckaroo Banzai?

– Konfucjusz.

– A niech mnie. Zupełnie jak z ciastka z wróżbą.

Uśmiechnąłem się do niego i podałem mu rękę.

– Ale mimo twojej tajemniczości wiem teraz coś, czego wcześniej nie byłem pewien.

– Ach tak?

– Dusze. Człowiek zawsze się zastanawia, czy naprawdę istnieją. Nawet jeśli ktoś w nie wierzy, wciąż musi się zastanawiać: czy moje istnienie jest tylko tym ciałem? Czy naprawdę jest coś więcej? Czy naprawdę mam duszę?

Uriel znów uśmiechnął się promiennie.

– Zrozumiałeś to na opak, Harry. Jesteś duszą. Masz ciało.

Zamrugąłem. Musiałem się nad tym zastanowić.

– Panie Słoneczko, to była wątpliwa i dezorientująca przyjemność.

– Harry. – Uścisnął mi rękę. – Czuję się tak samo.

Puściłem jego dłoń, pokiwałem głową i wyprostowałem się.

Później energicznym ruchem, na wypadek gdyby w ostatniej chwili zabrakło mi zdecydowania, otworzyłem czarne drzwi i przeszedłem przez nie.

\* \* \*

Biorąc pod uwagę to, jak dotychczas przebiegało moje życie, pewnie powinienem był się spodziewać, że Tym, Co Nadeszło Później będzie ból.

Mnóstwo bólu.

Próbowałem zaczerpnąć tchu, a wtedy moją pierś wypełniło przeszywające cierpienie. Powstrzymałem kolejny oddech najdłużej, jak zdołałem, ale w końcu nie mogłem go już dalej odkładać i moją pierś znów wypełniał ogień.

Powtarzałem ten cykl przez kilka chwil, całą moją rzeczywistość wypełniała walka o zaczerpnięcie tchu i uniknięcie bólu. Przegrywałem, ale jeśli ból nie złagodniał, w końcu stał się znośniejszy.

– Dobrze – wyszeptał suchy, chrapliwy głos. – Bardzo dobrze.

Następnie poczułem resztę ciała. Leżałem na czymś chłodnym i dopasowanym. Nie było do końca wygodne, ale nie było też udręką. Zacisnąłem palce, ale coś z nimi było nie tak. Ledwie się poruszały. Zupełnie jakby ktoś zastąpił moje ciało i kości ołowianymi odważnikami, ciężkimi i bezwładnymi, a moje ścięgna i mięśnie były zbyt słabe, by przemóc bezwład. Ale poczułem pod czubkami palców chłodną, wilgotną ziemię.

– To nie wróży najlepiej – mruknąłem.

Mój język nie działał właściwie. Wargi zresztą też nie. Słowa zabrzmiały bełkotliwie.

– Doskonale – wychrypiał głos. – Mówiłam ci, że miał dość siły.

W moich myślach niespodziewanie odbił się echem inny głos, taki, który nie dotykał moich uszu:

– ZOBACZYMY.

Co takiego mówiła moja matka chrzestna przy moim grobie? Że chodziło o szacunek i...

...i pełnomocników.

– Oczy – wychrypiał głos. – Otwórz oczy, śmiertelniku.

Powieki miałem w tym samym stanie, co całą resztę. Nie chciały się poruszyć. Ale zmusiłem je. Uświadomiłem sobie, że robiły wrażenie chłodniejszych niż reszta mojej skóry, jakby ktoś niedawno przetarł je wilgotną ściereczką.

Otworzyłem je i krzyknąłem słabo porażony nagłym blaskiem.

Odczekałem chwilę i spróbowałem raz jeszcze. I jeszcze raz. Przy czterechsetnej czy pięćsetnej próbie w końcu coś zobaczyłem.

Znajdowałem się w jaskini wypełnionej słabym światłem w odcieniu cebuli. Widziałem sklepienie z kamienia i ziemi, w niektórych miejscach przebite korzeniami drzew grubymi jak mój korpus. Ściekała po nich woda, wszędzie dookoła. Słyszałem ją. Trochę spadło mi na usta, a ja ją oblizałem. Była słodka, słodsza niż zagęszczony syrop wiśniowy, a ja zadrzałem z rozkoszy.

Umierałem z głodu.

Rozejrzałem się powoli. Za każdym razem, kiedy ruszałem głową, miałem wrażenie, że zaraz rozpadnie się na kawałki, ale wytrwałem. Na ile umiałem ocenić, byłem nagi. Leżałem na miękkiej ziemi, której jakimś sposobem nadano kształt pasujący do mojego ciała. Pode mną, zamiast koca, znajdowała się warstwa sosnowych igieł – miękkich – ich woń była mocna i świeża.

Czułem tępy ból w ramionach, więc spuściłem wzrok i zobaczyłem...

Wrastały we mnie jakieś... korzenie, pędy czy coś w tym rodzaju. Owijały się wokół mojego pasa i wnikały tam w skórę, wyglądem przypominały rośliny, ale były blade i gąbczaste. Ledwie dostrzegałem jakiś płyn przepływający przez wąsy i najwyraźniej wnikający do mojego ciała. Miałem ochotę wrzasnąć i zamachać rękami, ale uznałem, że to zbyt wielki wysiłek. Po chwili mój otępiały mózg zasugerował mi, że pnącza wyglądały trochę jak... dożylnie dostarczanie płynów. Kroplówka.

Do diabła, co to było za piekło?

Uświadomiłem sobie, że moja głowa wspiera się na czymś zaokrąglonym i nieustępliwym. Zadrzałem i poruszyłem się na tyle, by spojrzeć w górę, a wtedy zorientowałem się, że moja głowa spoczywa na czyichś kolanach.

– Ach – szepnął głos. – Zaczynasz rozumieć.

Spojrzałem jeszcze wyżej... i odkryłem, że patrzę w twarz Mab, Królowej Powietrza i Ciemności, matki niegodziwych elfów we własnej osobie.

Mab wyglądała... nie jak trup. To słowo do niej nie pasowało. Jej skóra sprawiała wrażenie naciągniętej na kościach, jej twarz zniekształciła się i nabrała nieludzkich proporcji. Na tle tej zapadniętej twarzy szmaragdowe oczy wydawały się nieludzko wielkie, zęby nienaturalnie ostre. Musnęła dłonią mój policzek, jej palce wyglądały na zbyt długie, a paznokcie urosły jak szpony. Ręce składały się z samych kości i ścięgien z naciągniętą na nich skórą, a łokcie były zbyt wielkie, zbyt opuchnięte, by w choć najmniejszym stopniu przypominać ludzkie. Mab nie wyglądała nawet jak trup.

Przypominała niemal zagłodzonego owada, modliszkę uśmiechającą się z góry do pierwszego posiłku od wielu tygodni.

– Och. – Nawet jeśli się jąkałem, mój głos przynajmniej brzmiał prawie ludzko. – Takie piekło.

Mab odchyliła głowę do tyłu i zaśmiała się. Odgłos był tępy i łamiący się jak krawędź zardzewiałego noża.

– Nie. Niestety nie, mój rycerzu. Nie, nie udało ci się uciec. Mam dla ciebie zbyt wiele pracy, by na to pozwolić. Jeszcze nie.

Patrzyłem na nią tępo – w tym momencie był to pewnie jedyny możliwy dla mnie sposób patrzenia.

– Ja... żyję? – wychrypiałem w końcu.

Uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

– I masz się dobrze, mój drogi rycerzu.

Chrząknąłem. Na więcej entuzjazmu nie było mnie stać.

– Och?

– Mam ochotę zacząć śpiewać. – Głos Mab wydobywał się spomiędzy ostrych zębów. – Witaj znów, o mój rycerzu, w zielonych krainach żywych.

– DOSYĆ – powiedział ten sam potężny głos w myślach, ten z cmentarza, ale mniej niszczący umysł. – TO GŁUPIE RYZYKOWANIE SIĘ SKOŃCZYŁO. NALEŻY ZASPOKOIĆ JEGO POTRZEBY FIZYCZNE.

– Wiem, co robię – zamruczała Mab. A raczej byłoby to mruczenie, gdyby koty składały się z waty stalowej. – Nie lękaj się, o starożytny. Twój strażnik żyje.

Powoli odwróciłem głowę w drugą stronę. Po upływie subiektywnego stulecia dostrzegłem drugą postać w jaskini.

Była ogromna, musiała przykucnąć, żeby nie uderzyć głową o sklepienie. Miała mniej więcej humanoidalny kształt – ale widziałem tylko jej niewielką część. Niemal całkowicie osłaniał ją ogromny ciemnozielony płaszcz, cienie spowijały to, co znajdowało się pod nim. Kaptur płaszcza zasłaniał jej głowę, ale widziałem malutkie zielone płomyki, jak chmurki robaczków świętojańskich, płonące w ciemnych głębinach kaptura.

Demonreach. Genius loci dziwacznej, niezaznaczonej na mapach wyspy na środku jeziora Michigan. My... parę lat temu zawarliśmy swego rodzaju umowę. A ja zaczynałem myśleć, że być może nie w pełni zrozumiałem jej zakres.

– Jestem... na wyspie? – wychrypiałem.

– JESTEŚ TUTAJ.

– Długo trudziliśmy się ze starożytną istotą, by utrzymać twą postać przy życiu, mój rycerzu. Długo utrzymywaliśmy razem ciało, kości i krew, czekając na powrót twojego ducha.

– MAB DAŁA CI ODDECH. TU OBECNY ZAPEWNIŁ POKARM. PASOŻYT PODTRZYMYWAŁ KRAŻENIE KRWI.

Pasożyt? Co?

To był naprawdę bardzo długi dzień.

– Ale... zostałem postrzelony – mruknąłem.

– Mój rycerzu – syknęła zaborczo Mab. – Twoje uszkodzone ciało spadło ze statku w zimno i ciemność... a to moja dziedzina.

– ZIMNA KRÓLOWA PRZYNIOSŁA CIĘ TUTAJ – wyemitował Demonreach. Jego umysłowy głos sprawiał, że zaczynała mnie boleć głowa. – TWOJE MATERIALNE NACZYNNIE ZOSTAŁO ZACHOWANE.

– A teraz jesteś tutaj – wymruczała Mab. – Och, Cichy nas rozzłościł, wysyłając twoją esencję bez ochrony. Gdyby się mylił, odebrano by mi mojego rycerza, a staremu potworowi strażnika.

– NASZE INTERESY SIĘ ZBIEGAŁY.

Zamrugalem powoli, a mój ociężały umysł powoli zaczynał mnie doganiać.

Mab mnie miała.

Nie uciekłem jej. Nie unikałem tego, w co mogła mnie zmienić.

O Boże.

I wszyscy ludzie, którym stała się krzywda przez to, że mi pomogli... Zrobili to po nic.

– Powiedziano mi... że jestem martwy – wymamrotałem.

– „Martwy” to szare słowo – zasyczała Mab. – Śmiertelnicy się go boją, więc chcą, żeby było czarne... i mają niewiele słów, które obejmują jego rzeczywistość. Ono wymyka się z takich ograniczeń. Śmierć to spektrum, nie punkt. A ty, mój rycerzu, nie zniknąłeś jeszcze w całkowitej ciemności.

Znów oblizałem wargi.

– Pewnie... jesteś na mnie trochę zła...

– Próbowaleś oszukać Królową Powietrza i Ciemności. Oszukałeś mnie ohydnie i niegodziwie. – Jej nieludzkie oczy zabłyśły. – Niczego mniej się po tobie nie spodziewałam. Gdybyś nie był dość silny, by rzucić mi w twarz takie wyzwanie, byłbyś bezużyteczny dla moich celów. – Uśmiechnęła się jeszcze szerzej. – Obecnie dla naszych celów.

Ziemia jakby drżała, wydawała z siebie niewiarygodnie niskie, głębokie, wściekłe warczenie.

Mab przeniosła wzrok na Demonreacha.

– Mam jego przysięgę, starożytny. To, co mi dał, zgodnie z prawem należy do mnie, a tobie nie wolno się sprzeciwić. Jest mój i mogę go kształtować, jak zechcę.

– Do diabła – powiedziałem ze zmęczeniem. – Do diabła.

A wtedy głos – bardzo spokojny, bardzo łagodny, bardzo racjonalny głos – szepnął mi do ucha:

– Kłamstwa. Mab nie może zmienić twojej natury.

Z wysiłkiem poruszyłem palcami.

– Pięć – mruknąłem. – Sześć. Siedem. Ha. – Nic nie mogłem na to poradzić. Znów się zaśmiałem. Bolało jak diabli i było cudowne. – Ha. Ha.

Mab całkowicie znieruchomiała. Patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczyma, a jej obca twarz była pozbawiona wyrazu.

– Nie – powiedziałem słabo. – Nie. Może jestem twoim rycerzem. Ale nie jestem twój.

W jej oczach zapłonął szmaragdowy ogień, zimny i wściekły.

– Co takiego?

– Nie uczynisz mnie swoim potworem – wymamrotałem. – To tak nie działa. I ty o tym wiesz.

Spojrzenie Mab stało się chłodniejsze, odległe.

– Ach tak?

– Możesz mnie zmuszać do robienia różnych rzeczy. Możesz zamieszać mi w głowie. Ale to zmieni mnie w zbira. – Wypowiedzenie tak wielu słów było ogromnym wysiłkiem. Musiałem odpocząć, zanim odezwałem się ponownie. – Gdybyś chciała zbira, mogłabyś go znaleźć bez trudu. Lloyd Slate był zbirą. Tam, skąd pochodził, zostało ich wielu.

Płonące oczy Demonreacha zamigotały, od strony zakapturzonego olbrzyma popłynęło coś w rodzaju zimnego zadowolenia.

– Sama to powiedziałaś, potrzebujesz kogoś takiego jak ja. – Spojrzałem Mab w oczy i wydałem górną wargę w pogardliwym grymasie. – Dalej. Spróbuj mnie zmienić. W chwili gdy to zrobisz, kiedy uznam, że namieszałaś mi w głowie albo zmieniłaś moje wspomnienia, kiedy po raz pierwszy mnie do czegoś zmusisz, zrobię jedną rzecz, której nie chcesz od swojego nowego rycerza. – Uniosłem lekko głowę i wiem, że kiedy mówiłem, musiałem robić wrażenie lekko szalonego. – Zrobię to.

Wypełnię twój rozkaz. I nie będę robił nic więcej. Sprawię, że każde zadanie, które mi powierzysz, będziesz musiała osobiście nadzorować. Będę się wykazywał inicjatywą porównywalną z ogrodową rzeźbą. I wiesz, co ci to da, moja królowo?

Jej oczy płonęły.

– Co?

Poczułem, że uśmiecham się szerzej.

– Miernego rycerza. A miernota, moja królowo, to straszliwy los.

Jej głos wydobył się z ust tak zimnych, że pojawił się na nich szron. Następna kropla wody, która na mnie spadła, odbiła się lekko – płatek mokrego śniegu.

– Myślisz, że nie mogę cię ukarać za takie nieposłuszeństwo? Myślisz, że nie mogę zesać na twoich bliskich takiej grozy, że przez tysiąc lat będą o tym opowiadać legendy?

Nie wzdrygnąłem się.

– Myślę, że i tak masz zbyt wiele na głowie – odwarknąłem. – Myślę, że nie masz czasu ani energii do zmarnowania na walkę z własnym rycerzem. Myślę, że mnie potrzebujesz, bo inaczej nie zadałabyś sobie tyle trudu, by przez ten czas utrzymywać mnie przy życiu, i nie wysiliłabyś się tak bardzo, żeby tego dokonać. Potrzebujesz mnie. Bo inaczej dlaczego byś tu była? W Chicago? W maju?

Znów wbiła we mnie spojrzenie nieludzkich oczu. Ale kiedy się odezwała, jej głos był bardzo, bardzo cichy i o wiele bardziej przerażający niż przed chwilą.

– Nie jestem śmiertelnym kupcem, z którym można się targować. Nie jestem mało znaczącym prezydentem, z którym można się kłócić. Jestem Mab.

– Jesteś Mab. A ja mam wobec ciebie dług za utrzymanie mnie przy życiu. Za danie mi mocy koniecznej, bym uratował życie córki. Nie myśl, że o tym zapomniałem.

Wyraz twarzy faerie w końcu się zmienił. Zmarszczyła czoło i lekko przechyliła głowę, jakby zaintrygowana.

– W takim razie po co ten opór? Skoro wiesz, że się za niego zemszczę?

– Ponieważ moja dusza należy do mnie – odparłem cicho. – Nie możesz jej ukraść. Nie możesz jej zmienić. Nie możesz jej kupić. Należę do siebie, Mab. Długo walczyłem przeciwko grozie, którą nawet ty potraktowałabyś z szacunkiem. Zostałem pokonany, ale nie uległem. Nie zamierzam teraz zacząć ulegać. Gdybym to zrobił, nie byłbym bronią, której potrzebujesz.

Zmrużyła oczy.

– Będę Rycerzem Zimy. Będę najbardziej przerażającym Rycerzem, jakiego widziały Dwory Sidhe. Powalę twoich wrogów i sprawię, że twoja moc wzrośnie. –

Znów się uśmiechnąłem. – Ale zrobię to na swój sposób. Na swoich zasadach. Kiedy wyznaczysz mi zadanie, ja zdecyduję, jak je wykonać... a ty nie będziesz wchodzić mi w drogę i pozwolisz mi działać. I tak to będzie wyglądać.

Odezwała się po dłuższej chwili.

– Śmiesz wydawać mi rozkazy, śmiertelniku?

– Nie mogę nad tobą panować. Wiem o tym. Ale mogę panować nad sobą. I właśnie przedstawiłem ci jedyny sposób, w jaki możesz dostać ode mnie to, czego chcesz. – Lekko wzruszyłem ramionami. – Decyzja należy do ciebie, moja królowo. Ale zastanów się, czy chcesz kolejnego zbira, któremu będziesz wydawać rozkazy, czy sojusznika, którego będziesz szanować. Równie dobrze możesz mnie zabić tu i teraz, i znaleźć sobie kogoś ze słabszym charakterem.

Królowa Powietrza i Ciemności patrzyła na mnie w milczeniu.

– Nigdy nie będziesz moim sojusznikiem – powiedziała w końcu. – Nie w sercu.

– Pewnie nie. Ale mogę podążyć za przykładem swojej matki chrzestnej. Mogę być zaufanym wrogiem. Mogę z tobą współpracować.

Białe brwi Mab uniosły się, a jej oczy zabłyśły.

– Nigdy ci nie zaufam, magu. – Później podniosła się gwałtownie i pozwoliła, by moja głowa opadła na ziemię. Odeszła, jedwabna suknia wisiała na jej wychudzonej sylwetce. – Przygotuj się.

Demonreach się poruszył. Błede wąsy i korzenie zaczęły wycofywać się z moich ramion, pozostawiając niewielkie krwawiące ranki.

– Na co? – spytałem.

– Na podróż do mojego dworu, panie rycerzu. – Zatrzymała się i obejrzała przez ramię, jej zielone oczy były błyszczące i zimne. – Jest wiele do zrobienia.



# Od autora

Kiedy miałem siedem lat, dostałem paskudnej anginy i przez tydzień nie chodziłem do szkoły.

W tym czasie siostry przyniosły mi moje pierwsze książki fantasy i s.f. – komplet *Władcy pierścieni* w jednym pudełku i komplet napisanych przez Briana Daleya powieści o przygodach Hana Solo, również w jednym pudełku. Pochłonałem je w ciągu tego tygodnia.

Od tamtej pory byłem właściwie skazany na dołączenie do fandomu SF&F. A wtedy już tylko krok dzielił mnie od podjęcia decyzji, że chcę pisać swój ulubiony rodzaj prozy, i oto jesteśmy.

To wszystko wina moich sióstr.

Moją pierwszą miłością jako fana była rycerska fantasy. Po Tolkienie przeczytałem C.S. Lewisa. Po Lewisie był Lloyd Alexander. Później Fritz Leiber, Roger Zelazny, Robert Howard, John Norman, Poul Anderson, David Eddings, Weis i Hickman, Terry Brooks, Elizabeth Moon, Glen Cook... i zanim się zorientowałem, miałem podwójne obywatelstwo Stanów Zjednoczonych i Lankhmaru, Narnii, Goru, Cymerii, Krynnu – sami rozumiecie.

Kiedy postanowiłem zostać pisarzem, przez lata pisałem rycerską fantasy – i wydawało się, że nie mam do tego wielkiego wrodzonego talentu. Ale szlifowałem swoje umiejętności pisarskie, w ramach eksperymentu wyprawiałem się w inne rejony, włączając w to s.f., kryminał i współczesną fantasy. Tak właśnie powstały *Akta Dresdena* – jako szczęśliwy przypadek, kiedy usiłowałem osiągnąć coś innego. Trochę jak penicylina.

Ale nigdy nie zapomniałem o pierwszej miłości i ku swemu ogromnemu zadowoleniu pewnego dnia dostałem telefon od agenta i dowiedziałem się, że będę mógł się podzielić swoją najnowszą powieścią fantasy.

*Codex Alera* to seria umiejscowiona w brutalnym świecie Garna, gdzie w każdym aspekcie życia kryją się duchy żywiołów, zwane furiami, i gdzie wiele inteligentnych ras walczy o bezpieczeństwo i przetrwanie. Kraina Alera to monolityczna cywilizacja ludzkości, a jej niezwykła zdolność do panowania nad furiami i wydawania im

rozkazów jest jedynym, co umożliwia jej przetrwanie w obliczu potężnych, czasami wrogich mocy żywiołów Carny, jak również w walce z dzikimi istotami, które chciałyby spustoszyć Alerę.

Jednakże nawet kraj tak potężny jak Alera nie jest bezpieczny przed zniszczeniem od wewnątrz, a śmierć następcy tronu doprowadziła do gorączkowych manewrów politycznych i walki między Wysokimi Panami, którzy posługują się najpotężniejszymi furiami znanymi ludzkości. Politycy intrygują, nie brakuje zdrajców i szpiegów, wojna domowa wydaje się nieunikniona – a wrogowie z zewnątrz tylko się przyglądają, gotowi zaatakować przy pierwszej oznace słabości.

Tavi to młody mężczyzna żyjący na skraju cywilizacji Alery – bądźmy szczerzy, powieści fantasy tego typu zwykle zaczynają się w takim miejscu. Tavi urodził się jako odmieniec, niezdolny do wykorzystywania mocy furii, i aby przetrwać, musi polegać na sprycie, szybkości i odwadze. Kiedy ambitny spisek, by zdyskredytować koronę, sprawia, że dom Tawiego, Dolina Calderon, staje otworem przed hordą barbarzyńskich Maratów, chłopak i jego rodzina znajdują się w bezpośrednim niebezpieczeństwie.

Nie ma Wysokich Panów, którzy mogliby ich obronić, na polu bitwy nie stają legiony i rycerze z potężnymi furiami. Tavi i wolni mieszkańcy Doliny Calderon muszą znaleźć sposób, by odkryć spisek i obronić domy, stając przeciwko bezlitosnej hordzie Maratów i ich bestii.

To chwila, gdy los całej Alery wisi na włosku, garstka zwyczajnych gospodarzy musi znaleźć odwagę i siłę, by stawić czoło przytłaczającym siłom wroga, a odwaga i inteligencja jednego młodzieńca mogą ocalić kraj – albo go zniszczyć.

Dziękuję Wam, czytelnicy i fani, za wsparcie i życzliwość. Mam nadzieję, że czytanie książek z cyklu *Codex Alera* sprawi Wam równą przyjemność, jak mnie ich tworzenie.

*Jim*